

1353

# PARNIANSKI POLSKI

we wspomnieniu i anegdocie

Od Niemcewicza do Wyspiańskiego

Opracowała

HALINA PRZEWOSKA

Ilustrował

K. M. Sopoćko

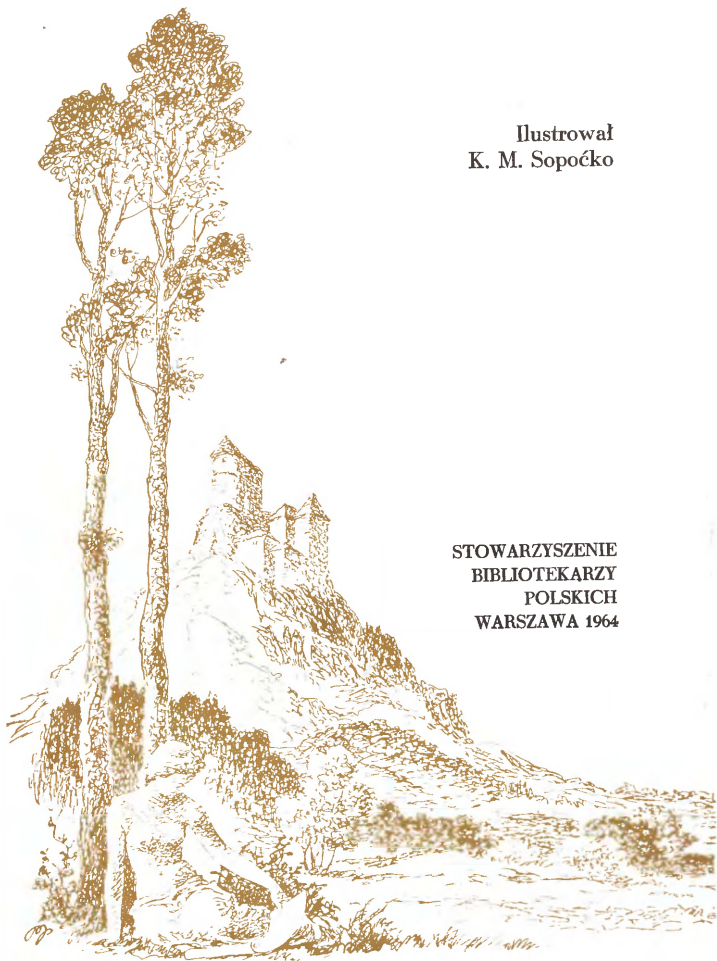




PARNAS POLSKI  
WE WSPOMNIENIU  
I ANEGDOCIE

Ilustrował  
K. M. Sopoćko

STOWARZYSZENIE  
BIBLIOTEKARZY  
POLSKICH  
WARSZAWA 1964



# PARNAJSKI POLSKI

**we wspomnieniu i anegdocie**

Od Niemcewicza do Wyspiańskiego

Opracowała

HALINA PRZEWOSKA



Redaktor: Zofia Lewinówna  
Opracowanie typograficzne: Antoni Trepіński  
Projekt okładki i karty tytułowej:  
Konstanty M. Sopoćko

1353

STOWARZYSZENIE BIBLIOTEKARZY POLSKICH  
Warszawa, ul. Konopczyńskiego 5/7

Nakład 6000+250 egz. Ark. wyd. 19,4. ark. druk. 23,25. Papier druk. sat. 80 g, kl. V,  
61×86 cm/16. Do składania 30 czerwca 1963. Podpisano do druku 16 lutego 1964.  
Druk ukończono w kwietniu 1964. Zam. 4898a. L-70. Cena zł 48,-

ZAKŁADY GRAFICZNE DOM SŁOWA POLSKIEGO, WARSZAWA

## PRZEDMOWA

Obcując z dziełem wielkiego pisarza, które żyje nadal pośród nas, chociaż jego już dawno zabrakło między żywymi – czyż nie miewamy często pragnienia przywołania go z przeszłości, aby zobaczyć, jaki był, aby spróbować dociec, co mu dawało siłę do zwycięskiej walki z czasem i oddaleniem? Poznać szczególne okoliczności jego życia, znamiennejsze cechy charakteru i osobowości twórczej, zainteresowania, lekturę, stosunek do otoczenia, tło społeczne i obyczajowe – słowem, wszystko, co w mniejszym lub większym stopniu wpłynęło na ukształtowanie się takiej, a nie innej psychiki, takiej, a nie innej wyobraźni. Ujrzeć żywego człowieka, wylaniającego się spoza jego prac literackich – tę pokusę zna chyba każdy rozmówiany w lekturze czytelnik. Gdy rzecz dotyczy ludzi niepospolitych, górujących nad społeczeństwem talentem, wiedzą, rozumem, charakterem – ciekawość nasza bywa nagradzana niejedną, przygodą intelektualną i emocjonalną. Czasami między twórcą a jego dziełem napotykamy harmonię wprost idealną, i to nam się wydaje naturalne, bo odpowiada wyobrażeniu, jakie zrodziła lektura dzieła. Kiedy indziej znowu zadziwi nas w człowieku jakiś rys jakby sprzeczny z naszym wyimaginowanym portretem twórcy. Lecz jakakolwiek czeka nas niespodzianka, każda z nich przydaje powoli portretowi barw, uplastycznia go, uwalnia z brązowych czy złotych ram – o ży w i a.

I to właśnie jest celem tej książeczki. Ukazać, choćby tylko w lapidarnym skrócie, żywy obraz naszych wielkich antenatów, którzy swą twórczością pisarską wpłynęli na kształtowanie się uczuciowości, wrażliwości, upodobań, nawet poglądów wielu pokoleń.

Powodzenie, jakim cieszą się wszelkie beletryzowane monografie, eseje biograficzne, kalendaria życia i twórczości, nie mówiąc już o tomach wspomnień i pamiętników, znikających momentalnie z półek księgarskich — dowodzi, iż poszukiwanie konkretnej, dokumentalnej informacji jest dziś bodaj jednym z najglówniejszych nurtów zainteresowań czytelniczych. Jeśli zaś chodzi o wiarogodność, o bez-

*pośredniość sugestii i malowniczość narracji – nic nie może iść w porównanie z relacjami pamiętnikarzy.*

*Im tedy oddajemy tu głos.*

*W początkowym zamierzeniu tej książki poczet przedstawionych w niej pisarzy miał być nieporównanie liczniejszy. Jak wiadomo, wiek dziewiętnasty, obrany tu za teren poszukiwań, był dla polskiego piśmiennictwa tak szczodry w zjawiska literackie, jak to sobie tylko można wymarzyć. I to zarówno w poezji, jak i w dramacie, w powieści, jak i w noweli, a niezmiernie fortunnym trafem dla potomnych – także w pamiętnikarstwie. Wspomnienia współczesnych, wydane w książkach lub rozproszone po czasopiśmie, bywały i są nadal bardzo cennym źródłem wiedzy dla badaczy i historyków literatury, jako malowidło epoki, środowiska, wydarzeń i obyczajów; nieraz znajdowano w nich nawet światło pozwalające lepiej zrozumieć którąś z zagadek twórczości. Gdy pamiętnikarz, prócz cnoty prawdomówności i daru bystrej obserwacji, posiada nadto umiejętność pięknego opowiadania – wtedy lektura jego relacji staje się nieopisaną przyjemnością.*

*W trakcie poszukiwania materiałów do tej książki zamierzony pierwotnie zespół wybranych nazwisk zaczął topnieć. Nie wszyscy godni pamięci pisarze znajdowali u współczesnych równie żywe zajęcie swoją osobą, niektórzy z nich nie mieli w swoim otoczeniu nikogo, kto by potrafił nam przekazać ich obraz oglądany własnymi oczami. Z innych trzeba było wreszcie zrezygnować z powodów zgoła prozaicznych, ot, po prostu, z góry ustalone rozmiary książki nie dały się dowolnie rozszerzyć.*

*Pozostało zatem pisarzy tylko szesnastu, ale są wśród nich nasi najwięksi, a w każdym razie ci wszyscy, których twórczość kierowała i wyobraźnią, i gustami literackimi wielu pokoleń polskiego społeczeństwa. Czytelnika zastanowić może nieobecność w tym gronie Cypriana Kamila Norwida. To prawda, że brak ten jest dotkliwy. Niestety, wielki samotnik, stroniący latami całymi od ludzi, nie pozostawił w relacjach współczesnych świadectw mogących nam odmalować jego bogatą, choć skomplikowaną i Nielatwą we współżyciu osobowość. Być może zresztą, że autorowi niniejszego opracowania nie udało się odnaleźć właściwych źródeł – wy-*

*ręczą go w tym na pewno prędzej czy później osoby bardziej kompetentne*

*Wszyscy przedstawieni tu pisarze żyli w dziewiętnastym wieku. Choć niektórzy z nich urodzili się jeszcze w stuleciu poprzednim i nawet, jak Niemcewicz, tworzyli już wówczas, inni zaś — jest ich nawet sporo — jeszcze przed kilkudziesięciu laty obdarzali społeczeństwo nowymi pięknymi książkami — w sumie jednak właśnie wiek dziewiętnasty, jego atmosfera duchowa i wydarzenia historyczne zaważyły najmocniej na kształtowaniu się ich osobowości twórczej.*

*Zasadniczy miąższ książki zawiera cytowane wiernie relacje bezpośrednie, czerpane z pamiętników, wspomnień, korespondencji. Wyjaśnienia oraz komentarz uzupełniający znajdzie czytelnik na końcu tomu. W kompozycji zastosowany został najprostszy układ chronologiczny według daty urodzin, chronologicznie również ustawione są cytowane teksty. Kierunek w poszukiwaniach materiałów do sylwetek przedstawianych pisarzy wytyczała chęć dostarczenia czytelnikowi informacji bezpośredniej o charakterze, wyglądzie, metodzie pracy, stosunku do otoczenia i wrażeniu na nim wywieranym, ukazania, że posłużę się tu zapożyczeniem tytułu znakomitej książki wspomnień Adama Grzymały-Siedleckiego — niepospolitych ludzi w ich dniu powszednim.*

*Zachowując wszędzie ścisłość relacji pamiętnikarskiej, jako dokumentu, przyznać się jednak muszę do pewnego grzechu. Popelniliśmy go wspólnie z redaktorem książki — po naradzie i namyśle — a więc z premedytacją. Postanowiliśmy mianowicie nie zaznaczać w cytowanych tekstach miejsc, gdzie dokonane zostały skróty. Usuwane bywały nieraz całe fragmenty, nieraz tylko zdania — nie dotyczące relacjonowanego tematu. Umieszczane początkowo w tych miejscach wielokropki przerywały tok narracji, utrudniając czytanie i mogąc doń nawet zniechęcić. To znów kolidowało z podstawowym celem książki, którym jest przede wszystkim zachęcanie. Zachęcanie do lektury — zarówno dzieł naszych wielkich pisarzy, jak i literatury pamiętnikarskiej. Ostatecznie, książka ta rości sobie tylko ambicje popularyzatorskie.*





# JULIAN URSYN NIEMCEWICZ





## Poezja i proza

Już słońce zaszło, gdy wróciliśmy do pałacu, gdzie zastałyśmy nowo przybyłych z Warszawy gości: panią wojewodzinę Potocką i Juliana Ursyna Niemcewicza. Księżna [Izabela Czartoryska], w mniemaniu, że nie byłam wojewodzinie znaną, chciała mnie jej przedstawić, [ale wojewodzina] przypomniała, że mnie w roku zeszłym widziała u siebie w Wilanowie, że następnie uczestniczyłam w jednym z jej kostiumowych balów w jej pałacu na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Wojewodzina należała do liczby wielkich pań, których tradycje co dzień znikają i giną w przeszłości; była jednakowo uprzejma i życzliwa dla wszystkich, czy to był możny pan, skromny obywatel, literat lub artysta, i w tym szła zupełnie w ślady starszej krewnej swojej, księżnej jenerałowej. Niezmiernie prosta i łatwa w towarzystwie, otoczyła się ludźmi wyższej w kraju inteligencji, a z Wilanowa uczyniła prawdziwe muzeum sztuk, nauk i dziejowych pamiątek.

O kilka kroków od wojewodziny siedział na krześle przewracając leżące na stole przy lampie książki i bokiem obrócony mężczyzna, którego rysów rozróżnić nie mogłam. Księżna, wzięwszy mnie za rękę:

– Pójdź, kochaneczko – rzecze – zaprezentuję cię komuś, którego z pewnością rada będziesz poznać – i zbliżywszy się do czytającego: – Oto – dorzuciła – osóbką, która się wychowała na aspana *Śpiewach*, niech ci niektóre z nich powtórzy ustępy.

O, jakże się księżna ciężko pomyliła – pomyślałam sobie – nigdy nie miałam talentu deklamacji ani nawet dobrego głośnego czytania, była to część mojego wychowania dość zaniedbana, a tu księżna jakby na wypłatanie mi figła wiersze powtarzać każe, i to jeszcze wobec ich autora. Jak się czytelnik mógł już domyślić, był to *en chair et en os*\* sam Julian Ursyn Niemcewicz. Byłam ciężko zakłopotana, a mój ojciec,

---

\* we własnej osobie (franc.)

stojący za krzesłem poety, wcale mi swoją niezadowoloną, prawie zagniewaną miną ducha nie dodawał. Układałam sobie w moich młodych marzeniach, że gdy po raz pierwszy ujrzę Niemcewicza, rzucę mu się na szyję, nie tając mojej radości i uwielbienia, aż tu przeciwnie się stało: stanęłam przed nim jak wryta, nie mogąc słowa przemówić. Na szczęście moje sławni ludzie lubią wywoływać wielkie wrażenia, zwykle mniej im idzie o dowiedzenie się, jakim kto jest, jak co o nich słyszał i jak o nich sądzi. Moje pomięszanie i strach, które powinny mi były zaszkodzić w opinii autora, nie źle go na moją korzyść uprzedziły. Niemcewicz, przypatrzwszy mi się z wszelką swobodą, powstał z miejsca, zalotnie podał krzesło, usiadł przy mnie, różne mi prawiąc grzeczności, co wcale mnie nie ośmieliło i ledwie kilka niczrozumiałych słów wyjąkać zdołałam. Pani wojewodzina, chcąc mnie oswobodzić z kłopotu, prosiła Niemcewicza, aby zadeklamował ułożony przez siebie w drodze wiersz *Nadzieja*. Nie dawszy się prosić powtórzył piskliwym trochę głosem przesłiczne strofy, a to z takim uczuciem, że wywołał w obecnych łzę współczucia i sam się na dobre rozkwilił.

Ośmielona, spojrzałam w oblicze poety: oko się zaiskrzyło, rysy, trochę pospolite, przybrały wyraz siły i natchnienia, znikł z ust trochę sarkastyczny uśmiech i ustąpił wyrazowi smutku i nadziei. Niestety, budzące się we mnie uwielbienie wkrótce miało ustąpić chwilowemu rozczarowaniu.

Przy końcu ostatniego wiersza wszedł marszałek\* z serwetą w rękę, z prozaicznym doniesieniem, że wieczerza na stole. Poeta otarł zwilżone jeszcze oczy, powstał żywo, mówiąc:

– Bodaj cię Bóg błogosławił, bom też głodny jak wilk – i powłóczyłym krokiem poszedł za starszymi paniami do jadalnej sali.

W czasie wieczerzy miałam czas dobrze się Niemcewiczowi przyparzeć. Nie wiem dlaczego, wystawiałam go sobie w imaginacji mojej nierównie młodszym, smętnym, ze łzą w oku i głósie, w ubraniu zaniedbanym, o długich, białych rysach, a tu widzę przed sobą starca za ósmym goniącego krzyżykiem, lubiącego wygodki życia, światowca przepadającego za wszystkimi życia przyjemnościami.

Późniejsze wizerunki Niemcewicza, które widzieć mi się zdarzyło,

---

\* W domu magnackim zwierzchnik dworzan i zarządzający całym dworem.

miały uderzające do niego podobieństwo: mniej jak średniego wzrostu i stosunkowo krępy, długi srebrzysty włos spadający na ramiona, wesoly uśmiech, przybierający czasami wyraz ironii i sarkazmu, chód wolny, śmiech serdeczny, głos piskliwy, czasami tkliwy, serdeczny, przyjacielski, surowy, kapryśny, rubaszny nawet; rozmowa obfita, promieniejąca dowcipem, oryginalnością, głębokością, znów pozioma i uderzająco pospolita; żartobliwy, umiejący doskonale kogoś opisać, dowciple do jego osoby przypiąć słoweczko, które mu na całe życie pozostało, popsuty od kobiet, nader dla nich uprzejmy i lubiący ich towarzystwo, a przy tym amator dobrego i obfitego jedzenia. Uważałam, że choć dopiero co z podróży i jak na literata – nader starannie był ubrany; miał na sobie czarny frak, biały, brylantową spinką zapięty krawat, białą kamizelkę, włosy starannie zaczesane. Przy stole on jedynie utrzymywał rozmowę, różne rozповідаł anegdoty, mówił o dawnych i późniejszych czasach, o swojej kampanii w Ameryce, znajomości z Washingtonem i Franklinem. To znów, dawszy innej rozmowie obrót, zaczął mówić o rzeczach potocznych i niektórych indywidualnościach warszawskiego towarzystwa. Temu łątkę przypiął, o innym jakiś żarcik powiedział, a choć czcigodna gospodyni i jej dzieci obmowy nie lubili, Niemcewicz miał powszechne monopolium wszechgadulstwa i zwyczajnie z niego korzystał. Był tego wieczora w szczególnej werwie. Pani Klaudia zapytała, czy to prawda, że nowo wchodząca przeszłej zimy panna X. nadzwyczaj była twarzą i figurą do matki podobną.

– Ma to być – dodała – drugi tom matki.

– Tak jest – przerwał nieubłagany Niemcewicz – ale oprawny w ciętą skórę.

I ta ciętą skórka pozostała na zawsze skojarzoną z nazwiskiem tej biednej panny. Z wyrazu twarzy księżnej-matki i księżnej Marii [Wirtemberskiej] widziałam, że nie były zadowolone z obrotu rozmowy, wiele razy starały się na inny ją sprowadzić kierunek, ale z Niemcewiczem sprawa nie była łatwa, był on prawdziwym *enfant terrible*\* salonów. Trudny w życiu i obraźliwy, igrać z nim nie było bezpiecznie, był przy tym uparty, nieużyty w zdaniach, piętnem śmieszności naznaczał tych wszystkich, co jego poglądów i wyobrażeń nie dzielili. Księżna jenera-

---

\* utrapieniem (franc.)

łowa, umiejąca doskonale każdego utrzymać na swoim miejscu, wiele mu pozwalała.

O nim można powiedzieć, że miał „przywary swoich zalet”; popsuty owacjami świata, a szczególnie kobiet, był zmienny, kapryśny, wrażliwy, jak popsute dziecko; miał serce dobre, kochające, na niedole bliźnich czułe, często płakał i rozkwilał się; z nawyknięcia wygodniś i sybaryta, ukradkiem wiele czynił dobrego, był bożyszczem ludzi swoich i domowników. Miał pewne przywidzenia i uprzedzenia do niektórych ludzi i stanów, nie lubił np. księży i z tą niechęcią wcale się nie krył, był nieprzyjacielem wszelkich religijnych form i lubił przekomarzać się z ludźmi nie dzielącymi w tym względzie jego zdania. Gdy około r. 1825 ciężką był złożony chorobą, arcybiskup warszawski Skarszewski zjeżdżał sam do niego, w nadziei, że go namówi do zażądania i przyjęcia religijnych pociech. Chory upornie go przyjąć nie chciał, a nawet w gorączkowym marzeniu przykre mu się wysunęło na osobę prałata słowo.

Sabina z Gostkowskich Grzegorzewska: *Dziesięć dni w Puławach w roku 1828*, Kraków 1898.

### *Imieninowy obiad*

...ducha narodowego w towarzystwie warszawskim podtrzymywał szczególnie Niemcewicz, który złośliwym dowcipem karciał wszystkich, co śmieli zbaczać z drogi obywatelskich powinności; gromił jawnych stronników rosyjskiej dążności i piastował moralną władzę nad całym towarzystwem, będąc poniekąd despotą jego. Nawykły do ciągłych hołdów, zepsuty przez kobiety jak pieszczone dziecko, wzbudzał powszechne poważanie i taką uległość, iż co on uchwalił, to było przez wszystkich uchwalone; co on ganił, to było potępiane; a kogo on dotknął uszczypliwym wyrazem, ten uchodził za potępionego lub śmieszności stawał się ofiarą.

Każde imieniny Niemcewicza były uroczyscie obchodzone z kolei w jednym z pierwszych domów stolicy, w których był ukochanym i poufałym gościem. I tak wojewodzina Stanisławowa Potocka wyprawiła na cześć jego wspaniałą ucztę. Otóż było to wierne naśladowanie obiadu odbytego u króla Zygmunta Augusta, tak jak go opisał Niemcewicz w dziele swym *Jan z Tęczyna*.

Gdy solenizant, zaproszony na zwyczajny obiad do wojewodziny, przybył na takowy, niczego nadzwyczajnego nie spodziewając się, otworzyły się podwoje głównej sali i weszło nimi kilka dam w starożytnych strojach polskich, a za nimi królowa Bona z Barbarą Radziwiłłówną po prawej i królową Izabelą\* z synem po lewej stronie. Następnie otworzyły się przeciwległe drzwi i tymi wszedł do sali król Zygmunt, poprzedzony licznym pocztem dworzan, z marszałkiem dworu na czele, który donośnym głosem zawołał: „Król jegomość!” Na te słowa zabrzmiały trąby i kotły, król przystąpił do Bony i oddał jej pokłon uszanowania, po czym podkomorzy koronny oznajmił, że dano do stołu. Wtedy dwu dworzan zbliżyło się, jeden ze złotą miednicą, drugi z haftowanym ręcznikiem, do króla, który, umywszy ręce i odebrawszy od dworzan zdjęte z nich pierwej pierścienie, podał rękę Bonie i powiódł ją do sali jadalnej, gdzie przy dwu zastawionych stołach zasiadła u jednego z nich rodzina królewska, a pomiędzy nią solenizant, u drugiego zaś osoby składające orszak biesiadny.

Po zajęciu w ten sposób miejsc rozpoczęła się rozmowa dosłownie z powieści wyjęta, do której jedynie w końcu dodano zastosowany do okoliczności ustęp następujący.

Król rzekł do Reja z Nagłowic, którego przedstawiał Ludwik Osiński:

– Mości panie z Nagłowic, powinni byście wezwać Apollina swego i coś pięknego nam powiedzieć, zwłaszcza iż dzisiaj jest to także i święto jednego znakomitego kolegi waszego.

Zagadnięty w ten sposób Rej, odpowiedział, że Apollo przychodzi do niego z Bachusem, prosił króla o pozwolenie wniesienia zdrowia królowej, a następnie odezwał się w te słowa do Jana Kochanowskiego:

– Waszmość zapomnij w dniu dzisiejszym trenów, a śpiewaj raczej wesołe piosnki.

Na to Kochanowski odrzekł:

– Ja już za stary na to, ale znajduje się pomiędzy nami taki, który piękniejszym od mojego rymem tego dokaże, że dzieje nasze śpiewane będą\*, i w nich może o nas samych wspomni. Tego więc następcy na-

---

\* Najstarsza córka Bony, wdowa po królu węgierskim Janie Zapolyi.

\* Aluzja do *Śpiewów historycznych*.



szego spełnijmy zdrowie. Niech żyje ten, co dzieje nasze poda do dalszej potomności!

Po tych wyrazach tak król, jak i wszyscy obecni odwiecznymi pucharami spełnili wniesione zdrowie, a Osiński odczytał piękny wiersz swój na tę uroczystość napisany. Niemcewicz, dotąd milczący, lecz mocno wzruszony, rozplakał się rzewnie i pełnymi czułości słowy, wynurzywszy wszystkim należną podziękę, wznosił zdrowie Osińskiego.

W całej tej uczcie wszystko miało starodawną ojczystą postać, stoły zastawione były bogatymi staroświeckimi srebrami z Wilanowa sprowadzonymi; potrawy podawano tylko same polskie, służba cała przybrana w kontusze lub po tatarsku: słowem, cała uroczystość odznaczała się rzadkim przepychem i okazałością, dla podziwiania których po obiedzie mnóstwo zjechało gości na wieczór zaproszonych.

Mówiąc o społecznych stosunkach Niemcewicza, wypada mi także dotknąć prywatnych, osoby i życia jego dotyczących. I tak: w przekonaniu, że resztę dni swoich przepędzi w Warszawie, zapragnął on posiadłości wiejskiej w pobliżu jej położonej, w której by mógł latem przemieszkiwać. Tym celem kupił sobie w sąsiedztwie Wilanowa osadę poprzednio Rozkoszą zwaną, którą od przydomku swego nazwał Ursynowem, a którą okoliczni właściciele mianowali Rusinowem, co wielce drażniło jej posiadacza i o mało nie skłoniło go do przechrzczenia na nowo tej siedziby swojej. W niej to corocznie bawił on od wiosny do zimy, swobodny i cichy obyczajem przodków wiodąc żywot. Wstawał o piątej rano i wychodził na przechadzkę w starego kroju kapocie i wielkim słomianym kapeluszu na głowie; o pierwszej jadał obiad zwykle w gronie przyjaciół, codziennie prawie licznie odwiedzających go, po tym skromnym posiłku zasiadał z nimi przed dworkiem i pałac fajkę, przy prowadzeniu rozmowy, którą ożywiać umiał, rzucał ziarna dla gromadzącego się około niego domowego ptactwa. Domek mieszkalny ursynowski był ozdobnym, ale całkiem po starodawnemu urządzone; na bramie jego oraz obok istniejącej studni były niedźwiadki, jako godło herbu Niemcewiczów, a w jadalnej salce *more antiquo*\* zegar z ku-

---

\* starodawnym obyczajem

kulką, pobudzający tak gospodarza, jako i domowników jego do regularnego i jednostajnego życia.

Fryderyk Skarbek: *Pamiętniki*, Poznań 1878.

### *W Ursynowie*

W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz, kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin – wymówiłem się z tym przed jednym z moich znajomych – i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach – przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przepijała do mnie szampanem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stoła – zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejscu. Winogrona, kawony, melony Wołyń mnie przypominały i jeszcze bardziej dopomagały iluzji.

W kilka dni potem jednego poranku przyjechał do mnie Potocki, prosząc, żebym z nim jechał do Ursynowa, małej wioseczki Niemcewicza – muszę więc Mamie opisać obszernie tę wizytę. Ursynów leży o małej odległości od Warszawy, za Mokotowem. Śliczny był ranek, trochę zimny, mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo – nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz, przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśnym. Nareszcie stanęliśmy u celu podróży. Pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której z daleka widać już było dom Poety – nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed ganikiem. Podobnie więc jak Lubańska do Częstochowy, zbliżyliśmy się pieszo, z sercem skruszonym. Przywitał nas dosyć obojętnie – ułożyłem mu jakiś naprędce komplement, którego przyjął z uśmiechem – zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał; szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła.

– Panie hrabio – rzekł do Potockiego – wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach – ja się muszę tymczasem przebrać.

To mówiąc uklonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie.

Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny – w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza; z tej krowy, jak mi sam mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek żdzierać kazał przez skromność. Usiadłem w altanie. Potocki stał nade mną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, spytał mnie o przyczynę.

– Myślę – odpowiedziałem mu – iż szczęśliwy, kto może tak pisać jak Niemcewicz słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem; szczęśliwy odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie.

Wtem lokaj przysłany od starego zaprosił nas na śniadanie; właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń. Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samej tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie maleńkie dziewczynki. Są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła:

– Pan jesteś tak głupi jak ja.

A stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę – kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: „kto jesteś?” – odpowiedziała: „żona panowa”. – Potem kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedii *Mindowe*; na wzywaniu powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku siedząc bokiem odwrócony – gdy przyszło do drugiej sceny, w której Mindowe zrywa z Krzyżakami, obrócił się nagle, czoło jego pomarszczyło się, widać było znacznie natężoną uwagę – patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć; a oczy ma szare, przenikliwe i z wielkimi

najeżonymi brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno:

– Ach, czemuż tej tragedii grać nie można!

Ten wykrzyknik bardziej mnie pochlebił niż wszystkie potem dawane pochwały... Czytałem dalej – słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział:

– Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent – i duch obywatelski utrzyma.

Potem dodał:

– Przepisz pan tę tragedię na kilka rąk – warto; niech czeka szczęśliwszych czasów... Chciałbym ją całą czytać.

Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze:

– Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.

Prawda, jak to po staropolsku... Otóż cała wizyta – nie gniewaj się, kochana Mamo, że ją tak obszernie opisywałem...

Juliusz Słowacki: List do matki z 15 września 1830 r. (Cyt. wg wydania wrocławskiego *Dzieł* z r. 1959, t. XIII.)

### *Na obczyźnie*

Skoro ubezpieczyłem się, że pozostać mogę w Paryżu, pierwszą moją rzeczą było poznać znamenitszych Polaków, którzy składali emigrację, a dla których od dzieciństwa miałem wielką cześć i szacunek. Wkrótce do tego dało mi sposobność zawiązanie się Towarzystwa Naukowej Pomocy i Towarzystwa Literackiego, do których grona byłem powołany, i to mnie zbliżyło do księcia Adama [Czartoryskiego], do Niemcewicza, Kniaziewicza, Platera Ludwika, Niemojowskiego, generała Dembińskiego etc. W jednymże czasie wszedłem w stosunki z Lelewelem, Dwerńskim, Małachowskim, z generałem Bemem i z twórcami rewolucji listopadowej i naszych powstań.

Mała ta garstka patriotów, świetnych imion i zasług, zdawała się być przeznaczoną przez opatrność do spojenia historycznym węzłem starej Polski z młodą, aby się przypatrzyła raz jeszcze sobie na żywo w powszechnym tułactwie przed niedaleką śmiercią. Książę Adam był dla nas

przedstawicielem panów i senatorów polskich, co rej wodzili na sejmach, z rodzin swoich wybierali królów i byli protektorami szlachty. Niemcewicz był żywym świadkiem i działaczem Sejmu Czteroletniego, kościuszkowskiego powstania i maciejowickiej klęski... Starszy wiekiem od ks. Adama, był daleko młodszy, żywszy w rozmowie i obejściu się towarzyskim; żartobliwy, zmiennego humoru, często smutny, rozgniewany, częściej wesoły, dowcipny, otwarty był jak większa część naszej uprzejmej i gościnnej szlachty. W poufalszym towarzystwie używać zwykł nawet swawolnych wyrażań i ostrych, uszczypliwych przycinków. W naszych politycznych dyskusjach i rozprawach między swoimi zakrawał bardziej na gajeciarza, na kronikarza, na posła sejmowego niż na poetę. Nie znałem w życiu doskonalszego Polaka i lepszego patrioty; żył w historycznych czasach i o nich rad był mówić ciągle, schodząc do ostatniego upadku i ujarzemia. Gniewał się bardzo na demokratów, na nie szanujących imienia polskiego, a nienawidził do najwyższego stopnia złych Polaków. Był szanowany od króla Ludwika, który go znał w Ameryce. Dawny znajomy ks. Pradta za czasów Księstwa Warszawskiego, poszedł go odwiedzić. Zaraz po przywitaniu weszła rozmowa o Polsce, a gdy stary dyplomata począł mówić o łaskach cesarza Aleksandra i niewdzięczności Polaków, tak się oburzył Niemcewicz, że wstał i rzekł:

– Księżdu i kobiecie wszystko wolno, nie warto i gniewać się za brednie.

Tupnął nogą i wyszedł.

Tego dnia [12 grudnia 1833 r.] byłem na obiedzie u pani generałowej Gedrojciowej z domu Burzymowskiej, urodzonej i wychowanej w Niecieży, gdzie część młodości mojej przemarzyłem. Na tym obiedzie byli: Niemcewicz, Adam Sołtan i Mickiewicz. Rozmowa należała do dawnych, staroświeckich czasów. Niemcewicz powiadał, że w dzieciństwie swoim znał człowieka bardzo starego, co znajdował się z królem Janem Sobieskim pod Wiedniem; i że pamiętał dobrze obiór króla Stanisława na Woli, jego wjazd i koronację. Powiadał też, że widział w klasztorze nieświeckim jakąś bardzo podeszłego wieku penitentkę, o której mówiono, że za młodu miała być cudownie piękną i że Piotr Wielki tak się był w niej zakochał, że się z nią chciał ożenić; kiedy księżna Radziwiłłowa nieświecka pytała jej, dlaczego nie chciała pójść za cara, odpowiedziała penitentka: „Aż gdyby o córkę waszej księżęcej mości starał się dziś chan tatarski,

byłoby zaszczytnym oddać mu księżniczkę?” Otóż to, jakie było natenczas mniej więcej mniemanie o carze.

Zabawiło też nas następane zdarzenie, które nam przytoczył Niemcewicz, a które niegdyś słyszał od Chreptowicza... \* Kiedy Batoremu sejm odmówił podatków, a wojna z Moskwą była nieuchronna, pojechał król na Ukrainę po panach polskich: do Sapiechów, do Radziwiłłów etc. Zajechał po drodze do możnego szlachcica nazwiskiem Hlebowicza i prosił o zapomożenie skarbu. Hojnie przyjął Batorego szlachcic i przez kilka dni podejmował go w domu, ale wielokroć przychodziło do rzeczy, wymawiał się: „Ciężkie czasy, miłościwy panie!” Zmartwiony król miał się do wyjazdu; a gdy był na wsiadaniu i pożegnał gospodarza, ujrzał przed gankiem 60 pancernych i na ich czele syna starszego Hlebowicza.

– Oto, miłościwy panie – rzekł szlachcic – masz ludzi na usługi kraju – a jego syn podał królowi baryłkę ze złotem przeznaczoną na opłatę żołdu.

Wsiadł król i cała jego komitywa na koń i zaledwo wyjechali za bramę, spotkali drugie tyle żołnierstwa i drugiego syna Hlebowicza, który złożył królowi drugą baryłkę złota na żołd. Nie posiadał się król z radości; aż tu spostrzeżę oddział zbrojnej piechoty kosztem tegoż samego Hlebowicza sformowanej, którą prowadził trzeci jego syn, najmłodszy, podrostek zaledwo, ze złotymi darami. Stawiając go przed królem, rzekł Hlebowicz:

– Najjaśniejszy panie, daję wam dwóch synów na wojnę, a tego małego poślę do szkoły, aby nauką stał się godnym imienia Polaka.

Wiedział szlachcic, że król Stefan był również skorym do boju jak miłośnikiem nauki.

\*

Niemcewicz był duszą i ciałem Polak; o niczym nie myślał i nie mówił, jak o Polsce. Z początku emigracji miał jeszcze jakieś zaufanie we dworze, w rewolucji lipcowej, w dyplomatycznych rokowaniach, w liberalizmie francuskim. Odwiedzał napoleonistów, z którymi za czasów Księstwa Warszawskiego i później był w stosunkach. Już powiedziałem,

---

\* Joachima, podkanclerzego w. litewskiego

jak mu się powiodło z Pradtem. Bywał u Talleyranda i naprzykrzał mu się z Polską. A gdy razu jednego usłyszał od tego szalbierza, o którym mówią, że za życia wszystkich oszukiwał, a przy śmierci zwiódł samego diabła (mówią, że wypowiedział się): „*Toutes les négociations possibles ne vous serviront à rien; il faut vous ôter de la tête cette Pologne!*” – to potem nie wrócił już do onych figur wysokiego tonu...

Ignacy Domeyko: *Pamiętniki (1831—1838)*, Kraków 1908.

### *Chrzestny ojciec*

Pierwsze moje wspomnienia sięgają bardzo daleko, bo pamięć, którą zawsze miałam dobrą, wcześniej poczęła rozwijać się i w umysł wrażeń przygody dzieciństwa. Przypominam sobie nasze mieszkanie na rue du Val de Grâce, a raczej duży dziedziniec z ogrodem i z trawnikiem, na którym z Władziem prawie cały dzień spędzaliśmy, przewracając się na trawie i wyglądając, czy przez bramę kto nie zawita do rodziców. Częstość podówczas ich gościem był mój ojciec chrzestny, sędziwy staruszek Julian Ursyn Niemcewicz, u którego w szczególnych byłam łaskach. Tytułował mnie swoją kochanką, wiersze do mnie pisał, psuł aż do zbytku i wszystkim moim dziecinnyim zachceniom dogadzał. Wylatywałam też zawsze na przeciw niemu z okrzykiem radości, ale muszę wyznać, że nie tylko wiedzona czystym uczuciem przywiązania, lecz także żeby plądrować po kieszeniach, które bywały naładowane ciasteczkami, cukierkami, a nieraz i podarunkami. Przynosił mi też często rozmaite rzeczy do ubrania, pończoszki, kaftaniczki itp.; ale że sam nigdy nie miał dzieci, nie zdawał też sobie sprawy, że dziecko rośnie: brał zawsze tej samej wielkości, jak kiedyś miała kilka miesięcy, i wiecznie potem się dziwił widząc, że za małe. Niedługo, niestety! miał go wzrost mój zadziwiać, bo kiedy umarł, byłam jeszcze tak mała, że, idąc za jego pogrzebem w Montmorency w piękny dzień majowy, koniecznie napierałam się, żeby biegać i rwać kwiatki; dopiero wówczas, kiedy postawiono mię nad dołem i kazano pierwszą grudkę ziemi rzucić na trumnę, żal i przestrasz mnie ogarnął, bom nagle zrozumiała, że on tam już na zawsze zamknięty.

Maria Gorecka: *Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu*, Kraków 1889.

*Polski przysmak*

24 września [1834]. Niewielem mógł dziś chodzić i czytać, cały zatruty obiadkiem dla mego synowca, na którym będzie generał Kniaziewicz i pan Witwicki. \* Od łyżki do serwety wszystko pożyczac przychodzi temu, co wszystko stracił i wygnańcem jest w tej ziemi. Któż by zgadł, że około dwóch godzin chodziłem za chrzanem. Imienia nawet tej rośliny nie znają; udałem się podług rady mieszkańców do aptekarza i tam dopiero dostałem jeden korzonek za 8 sous. \*

Julian Ursyn Niemcewicz: *Dziennik pobytu za granicą*, Poznań 1877.

---

\* Zob. niżej, s. 309.

\* Moneta pięciocentymowa.







# ANTONI MALCZEWSKI





## «Piękny jak anioł»

Antośko odznaczał się właśnie polską prawdziwie fizjognomią, zadziwiał jakąś instynktową znajomością staropolskich manierów. W niedzielę i święta bywał on zwykle z nami w domu rodziców naszych, mieszkających w Krzemieńcu. Ulubioną natenczas zabawą naszą było wyciągać strój polski ojca naszego i przebierać w niego Antośka. Ważny ku temu przydatek stanowiła poduszka, która pod żupan z przodu włożona dodawała smukłemu młodzieńcowi należytej peryferii \* i stateczności. Tak przystrojony przez nas – w kontuszu i żupanie, w białej konfederatce, z karabelą u boku, z jedną ręką za pasem, przytrzymującym poduszkę, z drugą pod nosem, idealny wąs podkręcającą – gdy, bywało, zacznie udawać szlachcica zawiadkę perorującego na sejmiku lub poważnego starca przy kominku stare dzieje opowiadającego – nie było końca naszej radości.

Piękny jak anioł, blondyn szafirowych oczu, śmiało w górę podniesionego czoła, zawsze uprzejmy, słodki, swawolny – zawojował on był całą szkołę krzemieniecką, kolegów i nauczycieli bez wyjątku.

Anonim [Teofil Januszewski?]: *Z życia A. Malczewskiego*, „Dziennik Literacki” 1852.

## *Romantyczna młodość*

Wiadomo już, że Malczewski urodził się na Wołyniu i że ukończywszy świetnie nauki w Liceum krzemienieckim, przybył w r. 1812 do Warszawy i wstąpił w szeregi wojska polskiego.

Przy ogromnym zasobie wiadomości (bo celował równie w naukach ścisłych, jak w studiach literackich i umiał kilka języków) Malczewski posiadał umysł bystry, dowcip żywy, humor wesoły i przyjacielski – a że przy tym był, jak to mówią, ślicznym chłopcem, salony warszawskie przyjęły młodego oficera z otwartymi rękami.

---

\* tuszy

Nie wiem, czy istnieje gdzie portret autora *Marii*. Nie od rzeczy więc będzie narysować tu wizerunek Antoniego podług opowiadań przyjaciela. Malczewski był miernego wzrostu, lecz dziwnie pięknej i kształtnej budowy ciała. Twarz miał podłużną, nos z lekka orli, usta uśmiechające się, czoło wysokie, cerę białą, włos ciemnoblond, oczy niebieskie, prawie szafirowe, pełne jakiegoś magnetycznego pociągu.

Autor *Marii* posiadał wszystko, co popłaca na świecie: rozum, dowcip, młodość, urodę i majątek. Prawdziwe dziecko szczęścia, rzucił się Antoni z całym zapałem młodzieńczej płochości w ponętny wir wysokiego towarzystwa stolicy. Odtąd życie Malczewskiego jest ciągłym romansem – miłość już nie odstępuje go do grobowej deski. Kochał się wiecznie, a wszystkie kobiety szalały za nim.

Oto jeden szczegół nieznan z owej epoki jego życia. W roku 1813 Malczewski, będąc adiutantem przy jenerale Kosseckim, kochał się szczęśliwie w pewnej damie wielkiego świata warszawskiego. Ale brygada Kosseckiego wysłaną została do Modlina, a Modlin obległo wówczas wojsko rosyjskie pod wodzą jenerała Paskiewicza, który wówczas nie był jeszcze ani hrabią Erywanu, ani księciem Warszawskim. Komunikacje między kochankami przeciął Mars, bóg wojny – lecz Kupido jest przemyślnym, śmieje się z wszelkich zapor i umie zwyciężać największe trudności: *Amor omnia vincit!* \* Malczewski miał służącego Ukraińca, sprytnego i odważnego mołojca, którego na Merkura przestroił \*. Mimo licznych niebezpieczeństw przekradał się on z listami do Warszawy i odnosił bileciki pełne słodkich czułości. Pewnego dnia, gdy w zwykłej godzinie nie widać było Ukraińca, niespokojny adiutant, wzięwszy z sobą ułana, wyjechał poza obręb fortecy, w tę stronę, skąd miał przybyć tak niecierpliwie wyczekiwany posłaniec. Przeczucie Malczewskiego nie było płonny – o parę tysięcy kroków ujrzał swego wiernego sługę ściganego przez trzech Kozaków. Młodzieniec, zbrojny tylko w pałasz i pistolety, puścił się galopem z swym ułanem na odsiecz – rozpedził Kozaków i za laur zwycięstwa odebrał pożądane pismo tęsknej kochanki.

Jenerał Paskiewicz, który znał osobiście Malczewskiego (bo ten ostatni jeździł był po kilka razy jako parlamentarz do obozu oblegających), widział

---

\* Miłość wszystko zwycięża (łac.).

\* Grecki Hermes, z którym utożsamiano rzymskiego Merkurego, przedstawiany ze skrzydełkami u sandałów, był posłańcem bogów olimpijskich.

z dała przez perspektywę całą tę scenę – i nazajutrz, gdy inny adiutant był wysłany z fortecy na parlamentarską rozmowę, generał rosyjski, załatwiwszy z nim interes, dodał w końcu z uśmiechem:

– Proszę powiedzieć panu Malczewskiemu, że wiem, iż on posyła listy do Warszawy, wiem nawet, do kogo; a że przekonany jestem, że treść tej korespondencji nie jest ani polityczna, ani wojskowa, więc go proszę, aby bilety swoje oddawał do moich forpoczt, a ja najwierniej każę je odsyłać podług adresu. Daleko to lepiej będzie, niż aby miał narażać swoje własne życie i innych dla podobnych drobnostek.

Po niedługo nastąpionej kapitulacji Modlina Malczewski wrócił do Warszawy i inna go znów miłość zajęła. Następnie wszedł do nowo utworzonego wojska polskiego jako porucznik kwatermistrzostwa. Do tej epoki odnosi się pojedynek Malczewskiego z przyjacielem swoim Błędowskim, do którego dał powód niewinny żart Błędowskiego z miłostek przyjaciela. Pojedynek ten narobił wiele hałasu. Malczewski, ranny w nogę i chwilowo niezdatny do służby, a przy tym zniechęcony rygiorem i brutalstwami, prosił o urlop nieograniczony i otrzymawszy go sprzedał swoją wioskę dziedziczną, spłacił długi i z kilkunastu tysiącami dukatów puścił się na długą podróż po Europie; najdłużej (bo przeszło rok) bawił w Neapolu. Ks. Ludwik Jabłonowski znajdował się tam wówczas jako ambasador austriacki i ściągał do swego salonu liczne i świetne towarzystwo. Malczewski bywał codziennie w tym dobranym gronie jako gość zawsze pożądany i miły, i nowa znów uwięziła go miłość. Przedmiotem jej była Polka, księżna L., którą nawet miał poślubić, ale los chciał inaczej. Małżeństwo to, już bardzo bliskie, rozchwiało się.

Po kilku latach podróžowania wrócił do kraju. Wziął dzierżawę na Wołyń i w zaciszu wiejskim zajął się gospodarstwem i pracami literackimi.

Tu rozpoczyna się ostatni epizod jego życia, owa miłość pełna fatalizmu i mistyczości, do której opisania trzeba by pióra Teodora Hoffmanna, a przynajmniej Honorego Balzaka.

Wiadomo, że Malczewski w interesach familijnych pojechał na Wołyń nawiedzić dalekiego krewnego, pana R., którego nie znał wcale. Przybywszy w jego dom, zastał gospodarza pomieszany i usłyszał z bocznej pokoi konwulsyjne krzyki. Pan R. przeproszał go i opowiadał dziwne objawy choroby nerwowej, na którą młoda jego żona cierpiała. Gdy się powiększyły jęki, mąż opuścił gościa i pobiegł na ratunek chorej. Gość, jakby jakimś

fatalistycznym prądem ciągniony, poszedł za nim, ale za ledwie próg pokoju przestąpił, nagle krzyki ucichły i cierpiąca niewiasta, z zamkniętymi oczyma, słodkim głosem zawołała:

– Ach, jak mi dobrze! mój anioł przyszedł do mnie!

Te słowa wstrząsnęły całą duszą Antoniego i rozstrzygnęły o przyszłym jego losie.

Malczewski wierzył głęboko w teorię Mesmera i od dawna zajmował się magnetyzmem. Za pomocą więc onych niedocieczonych, zaprzeczanych ciągle, a przecież widocznych skutkami środków w kilka tygodni uleczył kuzynkę, która rozkochała się w nim szalenie.\*

Konstanty Gaszyński: *Kilka nowych szczegółów o Antonim Malczewskim*, „Czas” 1856.

## *Na Mont-Blanc*

Genewa, w sierpniu 1818

Chcesz mieć Waćpan opis mojej podróży do Szamuni [Chamonix]; ożywiony miłością swego kraju i śledząc gorliwie wszystko, co tylko może być pożytecznym dla ludzi, ciekawy jesteś szczegółów mojej drogi; ponieważ sądzisz, że i drobne nawet rzeczy niekiedy interesować mogą, powinienem więc zadośćuczynić woli jego i wziąć się do pisania w języku, który nie jest moim rodowitym.

Dziwiłem się jak wszyscy wyniosłym górą i rozkosznym dolinom ojczyzny waćpana; lecz brzegi Genewskiego Jeziora nade wszystko mi się podobały, przypatrywałem się stamtąd lodowatym wierzchołkom gór szamunskich i ubolewałem, gdy przy zachodzie słońca nie mógł już ich widzieć lub gdy obłoki skrywały ich wierzchołki przed moim wzrokiem; na koniec podczas pięknego jednego wieczora w lipcu tak mię wspaniały widok Góry Białej [Mont-Blanc] zachwycił, że postanowiłem przypatrzeć się jej z bliska. Nie będę opisywał Waćpanu podróży mojej z Genewy do Szamuni, sama tylko Góra Biała zajmowała moją uwagę i pałałem niecierpliwością wstąpienia na jej wierzchołek. W Salenches, gdzie pierwszą noc przepędziłem, chciałem zasięgnąć wiadomości, lecz mi ją dano w sposób bardzo niepochlebny mojemu zamiarowi; wystawiono mi nieskończone trud-

---

\* O pani R. por. niżej, przypis na s. 295.

ności, powiadano o ogromnych rozpadlinach, które się nie wiadomo jakim potworzyły sposobem; wreszcie, że niepodobna już było zbliżyć się do Góry Białej, i śmiano się, gdym powiedział, że chcę wejść na jej wierzchołek. Nazajutrz nowe nieszczęście: niebo się zachmurzyło i powiadano mi o deszczu w ten sposób, jakoby mię z honorem miał wyprowadzić z tak niebezpiecznego przedsięwzięcia. Przybyłem więc do Szamuni z niewielką nadzieją osiągnięcia celu mojej podróży, lecz przewodnicy umniejszili mi natychmiast wyobrażenia o tych straszliwych rozpadlinach. Poszliśmy nieco po lodach, lecz wkrótce powiedziano mi o górze Stertą Południową (L'Aiguille-du-Midi) zwanej, na której nikt jeszcze nie był. Chodziło więc o odkrycie nowej pomiędzy górami doliny, a przynajmniej nowego przechodu; zapomniałem już o Górze Białej, a cały pałałem chęcią zwiedzenia tej Sterty. Nie chciałem jednak porzucić dla niej góry, która niejako jest wszystkich innych królową, i dla pogodzenia mych chęci zamierzyłem daleko rozciąglejszą drogę, to jest, przybywszy na Stertę Południową, szukać stamtąd przejścia na Górę Białą, a z niej zwyczajną powrócić drogą.

Poszedłem ku Stercie Południowej w towarzystwie sześciu przewodników. Przebywszy wąwóz Montanvert i Morze Lodowe (Mer-de-Glace) przyszlśmy do Tacul o godzinie siódmej wieczorem. Wiesz Waćpan, że ten nocleg nie jest bardzo wygodny: są to skały otoczone lodami, w bliskości niewielkiego jeziora, które na noc znika. Zimno było dość wielkie: ciepłomierz Réaumura stał na 1 st. pod zero. Nazbierane prędko rośliny rododendron, która jeszcze rośnie na tych skałach, a naniecony wielki ogień wkrótce ogrzał i rozweselił naszą gromadkę. Po wieczery śmiałyśmy się i rozmawiali; powiadano mi wiele dziwnych rzeczy o tych górach, na koniec przewodnicy moi układli się spać około ogniska, a mnie dano wygodniejsze miejsce na jednym, mniej niż inne ostrym i chropawym kamieniu. Znajdowaliśmy się pod ogromnym urwiskiem skały, która wisiała nad nami, a za najmniejszym podwiewem wiatru dym okrywał nam twarze; to widowisko było dla mnie tak nowe, że nie mógł spokojnie zostawać na miejscu; wdrapałem się na bryłę kamienia niedaleko stamtąd leżącą. Księżyc oświecał te pełne skał i lodów pustynie, ale nic oka zabawić ani umysłu uspokoić nie mogło; ludzie śpiący naokoło gasnącego już ognia zdawali się być przychodniami do krainy śmierci, gdzie ulec mieli nieodzownemu losowi, którym wiszące nad głową bryły lodu i śniegu groziły. Zimno na koniec spędziło mię z miejsca, z którego się przypatrywał. Obudzili się



ze snu przewodnicy, naniecono znowu ognia i resztę nocy spędziliśmy na rozmowie. O godzinie czwartej rano gotowaliśmy się w dalszą drogę. Ciężkomierz \*, który wieczorem pokazywał 22 cale i dwie linie, rano spadł nieco; ciepłomierz stał na 4 st. (R.) pod zero; dla bezpieczeństwa powiązaliśmy się jedni do drugich powrozami i poszliśmy dalej. Szliśmy naprzód brzegiem jeziora, które było znikłe, widzieliśmy bowiem tylko nagie kamienie, które składały jego łożysko, i przebywszy rozpadliny będące na drodze do góry Col-du-Géant, weszliśmy na płaszczyznę utworzoną ze śniegu. Tam naradziliśmy się, którą drogą pójść nam należało; były przed nami trzy lodowate sterty, które nas na Stertę Południową wyprowadzić mogły. Sterta po prawej stronie będąca zdawała się bardzo urwista i rozpadlin pełna, udaliśmy się więc na drugą, której pochyłość podnosiła się dosyć powoli, a umysł mój wyobrażeniami pięknych dolin, któreśmy znaleźć mieli, był całkiem zajęty. Lecz same tylko natrafialiśmy przepaści. Znużeni wielkim trudem i przebywszy dość znaczne niebezpieczeństwa, ujrzelśmy na koniec Południową Stertę i o godzinie czwartej po południu weszliśmy na jej wierzchołek. Góra ta ze strony Szamuni przedstawia dwie skały przedzielone bryłą ziemi okrytą śniegiem. Weszliśmy na niższą z tych skałę i nawet na bryłę okrytą śniegiem, albowiem druga skała jest niedostępna i podzielona na wiele ostrych wierzchołków; poznaliśmy na koniec, że stąd żadną miarą na Górę Białą dostać się nie można. Widok z tej skały jest bardzo rozległy; widać tu przez grzbiet góry Col-du-Géant wielką część Lombardii i te piękne Włochy, które, dając się widzieć spoza wierzchołków gór lodem pokrytych, zdawały się przypominać rozkoszne Elizejskie Pola, które imaginacja starożytna za smutnymi widziała grobami. Ponieważ bezpiecznie aż na zachodnim kraju tej skały stanąć można było, postrzeżliśmy stamtąd przeorstwo szamuńskie, lecz obłok część doliny przed nami zakrywał. Że zaś barometr uległ przypadkowi, nie mogliśmy czynić żadnych postrzeżeń i zaraz o powrocie poczęliśmy zamysłać. Było już późno, a koniecznie potrzeba było powrócić na noc do Tacul, ponieważ przemokli, znużeni i nie tak dobrze byliśmy odziani, żebyśmy noc na śniegu przepędzić mogli. Spuszczając się na powrót, ominęliśmy przykre przeprawy, które nas tyle kosztowały znoju, i wcale inną udaliśmy się stroną, idąc brzegiem stert lodem pokrytych, które nas przedzielały od Góry Bia-

---

\* barometr

lej, a o godzinie dziesiątej dostaliśmy się na nasze kochane skały. Tam zaniechałem wszelkich uwag i powróciłem szczęśliwie do Szamuni.

Oto więc podróż moja prawie skończona, bo co się tyczy zwiedzenia Góry Białej, o której mam mówić, droga moja była prawie taż sama, którą niegdyś przebywał p. de Saussure. W towarzystwie 11 przewodników poszedłem przez górę Lacôte zwaną; nocowaliśmy na skałach Grands-Mulets, a nazajutrz, 4 sierpnia, o godzinie pół do pierwszej wstąpiliśmy na wierzchołek. Barometr stał na 15 cali i 9 linii, a ciepłomierz 3 st. (R.) pod zero pokazywał. Czas był piękny. Ciekawym będąc, czyli żywość kolorów nie traciła nic w tak wielkiej wysokości, wziąłem był z sobą pryzma. Kazałem w Genewie odmalować jak najdokładniej kolory pryzmatu, lecz żadnej w nich nie postrzegłem różnicy – żywość kolorów była jedno-stajna.

Zostawiliśmy półtora godziny na wierzchołku góry, z której widok był zachwycający i wyższy nad pojęcie. Świeżość drzew i dolin, śliczne zakręty jeziora mogą przyjemnie zachwycać oczy i umysł; ale zostając pośrodku tego nieporządnego gór tłumu, tych brył olbrzymich i niekształtnych, które spośród śniegów i lodów widzieć się dają, patrzący mniema się być świadkiem stworzenia rzeczy, kiedy wszystko, cokolwiek ma cechę człowieka, znika, zaledwie postrzegać się dają lekkie miast ślady, które ręka przeznaczenia oznacza do wzniesienia na przyszłość, wszystko zdaje się zapowiadać tę wielką godzinę i przerażony tą myślą wędrownik skwapliwie schodzi na dół, żeby w ogromie wielkich przemian, które dziać się mają, pochłoniętym nie został. Opuściliśmy więc ten jedyny w świecie widok i około godziny szóstej wieczorem przybyliśmy do skał Grands-Mulets. Radość, którą nas pomyślny skutek wyprawy napełniał, wszystkiemu przyjemną i czarującą nadawała postać, a wejście na Górę Białą zdawało się być igraszką w porównaniu do smutnych i straszliwych przepraw na Południową Stertę. Nazajutrz, pyszni z powodzenia naszego, zeszlśmy na dolinę Szamuni. Znalazłem tam przyjaciela Waćpana, kapitana Bazylego Hall, pisarza bardzo ciekawej do Chin podróży, która niedawno na świat wyszła; ubolewał on bardzo, że nie był w naszym towarzystwie, ponieważ chciał także odwiedzić Górę Białą, i wymienił mi wiele ważnych postrzeżeń, które tam czynić zamierzał.

Otóż opisanie podróży przez Waćpana żądane. Ciekawość i pochlebna chęć dokonania tych rzeczy, które co dzień dopełnić nie można, zaprowa-

dziła mnie na wasze góry. Przyjemna ich pamięć, równie jak i zaszczytu poznania się z Waćpanem, do którego one powodem mi były, na zawsze mi w umyśle wyrytą zostanie.

Antoni Malczewski: List do profesora Picteta, „Bibliothèque Universelle” 1818.

### *Sąsiedzka wizyta*

Pojechaliśmy do domu pani Modzelewskiej, która nas zaprosiła na śniadanie i obiad: i zastaliśmy u niej gości, młodego i pięknego, mniej trzydziestu lat mężczyznę. Był on średniego lub nieco wyższego nad średni wzrostu, proporcjonalnej tuszy, pięknej i ujmującej twarzy. Włos półciemny, półjasny pływał w bujnych zwojach po jego białym, wysokim czole; oczy ciemnoszafirowe zadumanym i przemawiającym spoglądały wejrzeniem; usta koralowe, lekkim ciemnym uwieńczone wąsikiem, dzwoniły srebrnym, z duszy do duszy płynącym głosem; całe oblicze i oba policzki białe, świeżym okraszone rumieńcem, nadawały mu półmęski, półżeński estetyczny powab. Zastaliśmy go, jak opowiadał pani domu wrażenia, których doznawał w swojej po Niemczech i Włoszech podróży, a mianowicie na szczycie góry Mont-Blanc. Z tego opowiadania zgadłem natychmiast, że to był Antoni Malczewski, którego śliczny artykuł o wstąpieniu na tę górę czytałem.

Przypominam sobie, żeśmy się my, krzemieńczanie, wszyscy na niego gniewali, że granitu uniesionego z jej wierzchołka nie złożył w gabinecie [mineralogicznym] naszego Liceum, jako dawniejszy jego wychowaniec, ale darował do gabinetu w Getyndze.

Nie omyliłem się w moich przecuciach: był to ten sam Antoni Malczewski, któregośmy u jego ciotki zastali, ten sam genialny poeta, którego sławna *Maria*, znana mi wtedy w rękopiśmie częściami, nie była jeszcze drukowana. Byłem zachwycony bliższym jego osoby poznaniem.

Po obiedzie wyszliśmy do ogrodu, tam różnorodne tocząc rozmowy, wpadliśmy wreszcie na literaturę, poezję i sztuki piękne. Skromnie i bezstronnie odzywał się on o różnych współczesnych płodach rozumu i imagacji.

– Dobrze jest – mówił mi prawie tymi słowy – że się pan wzięłeś do tłumaczenia Moliera, gdyż on w samej rzeczy jest ojcem nowej komedii

i niewyczerpanym źródłem dowcipu; ale byłoby daleko lepiej, gdybyście wy, młodzi poeci, nie szli za Francuzami, nie trzymali się ich niewolniczo, nie myśleli ich myślami, nie patrzali ich oczyma i nie przeszczepiali obcych nam obyczajów na naszą ziemię; ale gdybyście z własnych kopalni dobywali własne, niewyczerpane bogactwa, których nie znacie albo znać nie umiecie. Dotąd jeszcze się u nas wlecze mdława, małpiarska stanisławowska literatura; same tłumaczenia i naśladowania; a czyż nie czas, abyśmy o własnych siłach sami już chodzić mogli? Jeden czcigodny Ursyn \* okazał własne i dzielne siły; z niego wzór brać trzeba, nie aby go naśladować, ale aby podobnie jak on oryginalnie myśleć i pisać.

Połykałem wszystkie słowa wielkiego poety, z mocnym postanowieniem korzystania z nich, ile mi zdolności moje pozwolą.

Kilka razy widziałem się z nim później w Krzemieńcu, dokąd często przyjeżdżał do pani Rucińskiej...

Franciszek Kowalski: *Wspomnienia (1819—1823)*, Kijów-Warszawa 1912.

### *Próba ucieczki*

Zastaliśmy miłe towarzystwo w Błudowie. Pan Antoni Malczewski, autor *Marii*, przyjechał schronić się przed napaścią, czyli dokuczliwym wymaganiami pani R., która już żyć nie mogła bez niego. Już mu sił, zdrowia i ochoty zabrakło, ciągle ją magnetyzując, gdyż poświęcił jakiś czas, aby ulżyć zdrowiu pani R., która będąc długo cierpiącą a magnetyzm ją orzeźwiał. I dziwnego pociągu przez ten wpływ magnetyczny nabrała do pana Malczewskiego, tak że stał się prawie niewolnikiem jej wymagań, a ledwie gdzie wyjechał, mąż sam rozstawnymi końmi za nim posyłał błagając, aby wracał, gdyż żona sceny wyrabia. A że to była osoba, która ni ukształceniem, ani pojęciem nie mogła mu wyrównać, uciążliwe mu było to nieodstępne towarzystwo. Przez delikatność robił z siebie ofiarę, ale i tej miaraka się przebrała, więc zemknął, aby śladu po sobie nie zostawić, a będąc w ścisłej przyjaźni z moim mężem, ulokował się w Błudowie. A że tu pan Kisiel częstych gości zapraszał, gdyż loch był dobrze opatrzony jeszcze

---

\* Niemcewicz

dawnym winem, więc pan Malczewski cały dzień z książką i piórem w lesie siedział, dokąd mu w sekrecie jeść przynoszono, a na noc tylko do domu wracał, aby nikt nie wiedział, że się tu znajduje. Tak go zastaliśmy. Nadzwyczajnie mi się podobał, tak z układu, rozmowy i powierzchowności. Niskiego był wzrostu, szczupły, ale wyraz twarzy cherubina mi przedstawiał, gdzie geniusz z dobrocią się malował. Powiedziałam memu mężowi, żeby mnie stąd prędko wywoził, gdyż gotowam się zakochać.

– Nie tylko że nie wywożę – odrzekł – ale na większą pokusę cię wystawię, gdyż proszę go, aby z nami jechał za granicę. Mam paszport z *buduszczy mi* \*, zamiast Kisiela jego wezmę. Tym sposobem najlepiej ucieknę prześladowaniu, któremu otwarcie nie ma siły oprzeć się.

Przystał na ten projekt pan Malczewski. Za kilka dni miał nasz wyjazd nastąpić, kiedy jednego ranka donoszą nam, że pani R. przyjechała. Ulokowała się w oficynie, gdzie stał pan Malczewski. Odesłał ją jej mąż ze wszystkimi gratami i gdy te wypakowano, konie z powozem odjechały, a nam się ten pakiet dostał. Co tu robić? Nie pozwolił mój mąż, abym się z tą damą widziała, i ja też tej ochoty nie miałam. Lecz żadne perswazje nie mogły przełamać decyzji pana Malczewskiego. Już z nami nie chciał jechać, mówił, że już w tym widzi wolę boską, aby nie porzucał tej, która w nim ufa i od niego jedynie pomocy oczekuje, gdyż i mąż się jej zrzekł. Wyjechaliśmy tedy zostawując ich, a oni, wspólnie zabawiwszy jeszcze tu jakiś czas, wyjechali do Warszawy, gdzie pan Malczewski, straciwszy i resztę majątku, i zdrowia, skończył życie w tak młodym wieku, nie używając go, i tylko zostawił *Marię* i żal, że nic więcej z pióra jego nie wyszło.

Henrieta z Działońskich Błędowska: *Pamiętka przeszłości*, Warszawa 1960.

### *Ostatni akt*

O *Marii* i o jej autorze winienem nieco obszerniej wspomnieć. Powtarzano aż do zbytku, że był nieoceniony \* i prześladowany przez tak zwanych klasyków, chciano nawet dowieść, że surowa krytyka wytrąciła mu

---

\* Paszport zagraniczny obejmujący również osoby towarzyszące temu, na którego nazwisko został wystawiony.

\* niedoceniony

pióro z ręki, że umarł w nędzy. Wszystko to są próżne słowa, wyrzeczone przez tych, którzy nie znali Malczewskiego. Malczewski przyjechał do Warszawy w towarzystwie pani Z[ofii] R[ucińskiej]. Jakie były stosunki między nimi, nikomu nie było to wiadomym w owej epoce. Żył samotnie, nicyjiej znajomości nie szukał, nie bywał w żadnym domu, gdzie zbierali się ówczesni literaci, a takich domów było kilka. Wyraźnie unikał towarzystwa. Miał dawną zażyłość z panem Karolem Kossowskim. On ułatwił mu wydanie poematu *Marii*, on trudnił się jego pogrzebem, on głównie mógłby udzielić stanowczych faktów o ostatnich chwilach poety, a może i o całym jego życiu. Miałem zażyłe stosunki ze wszystkimi literatami ówczesnymi, a nigdzie nie spotkałem Malczewskiego.

Że koniec życia Malczewskiego był smutnym, że ten poeta zgaśł za wcześnie dla chwały literatury naszej, wszyscy to przyznajemy. Lecz jego troski wynikły z osobistych, nie z literackich stosunków. Wprawdzie mógł z przykrością widzieć, że jego *Maria* w pierwszych miesiącach po wyjściu z druku nie uzyskała rozgłosu i prawie nie znaną była ówczesnej publiczności. Lecz w owym czasie rozgłos nie był tak nagły jak teraz, gdy pisma liczące cztery, trzy, a choćby i półtora tysięcy prenumeratorów dadzą komu patent na nieśmiertelność... czas pokaże, jak wiele lat trwającą. Skądże więc mogła się dowiedzieć publiczność o *Marii* Malczewskiego?

Franciszek Salezy Dmochowski: *Wspomnienia od 1806 do 1830 roku*, Warszawa 1959.

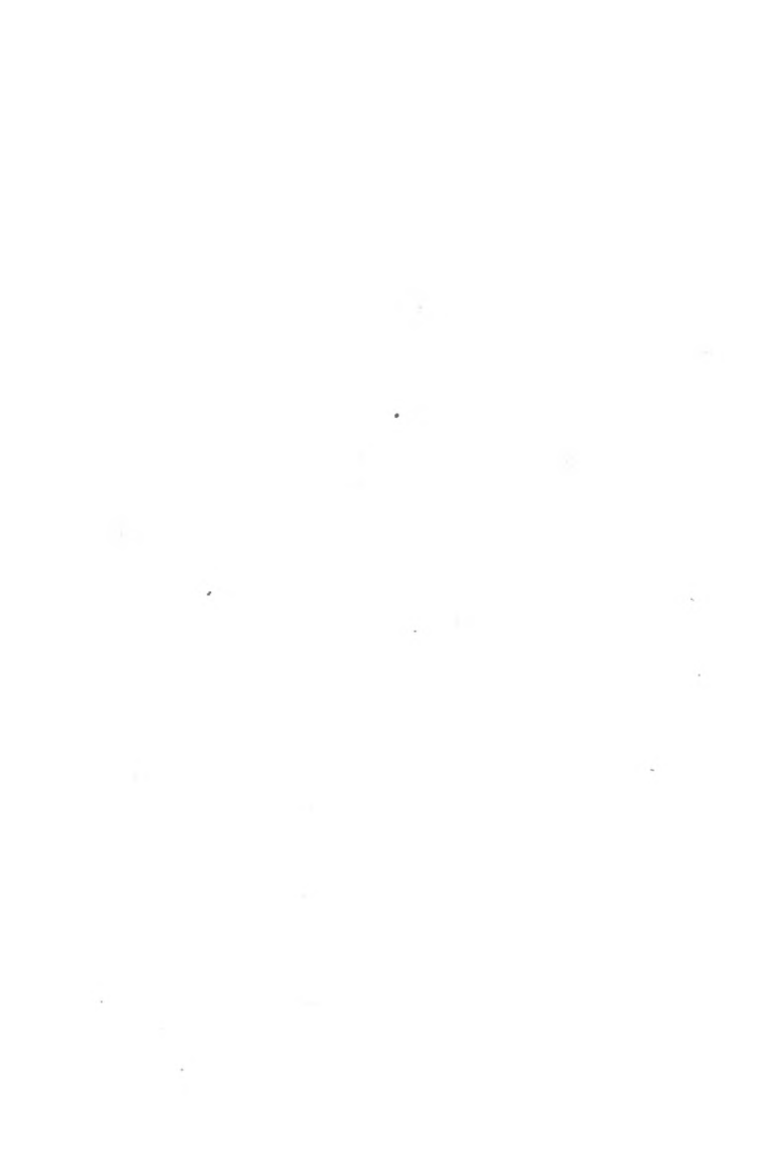




# ALEKSANDER FREDRO







## «Strach przestraszony»

Znał kto z waćpaństwa dobrodziejstwa pana Stecewicza? – Nie? – Szkoda... Był to dobry człowiek, miał wzrost ogromny, nos duży, rzadkiej wielkości nogi, koszulę zawsze brudną i część ubioru nieodzownie potrzebną zawsze podartą. Dlatego zapinał surdut aż pod szyję i siadał wąsko. Był on dyrektorem, *alias* \* pedagogiem, moich młodszych braci. Teraz już dyrektorów nie ma, sami guwernerowie, ale onego czasu pan Stecewicz był dyrektorem, guwernerem zaś pan Płachetko, na drugi zawód \* w domu naszym. Dwie osobliwości łączył on w sobie, pierwsza, że był guwernerem Polakiem w owym czasie zatapiającej nas francuszczyzny, a druga, że brodę golił bez zwierciadła. Poważna to była figura pan Płachetko, ale można było o nim powiedzieć, przekręcając znane przysłowie: Nie tak mądry, jak się zdaje. Boską to były plagą owe guwernery, chodzące wszechnice. Guwerner dawniej brał obowiązek kształcenia duszy i ciała. Uczenia przy tym kilku języków, wszystkich wiadomości i niektórych innych. Udzielał często nauki muzyki i rysunku, a co najdziwniejsza, że czasem sam mało co umiał...

Moim pierwszym autokratą umysłowym był Hekel, Szwajcar o łbie kędzierzawym i kabłąkowatych nogach. Szlufował \* kamienie, łapał ptaszki, nietęgo uczył, ale tego ciągnął za uszy. Lubo często nazywał mnie Sztokfiszem, powiem, niepomny urazy, że o ile sobie przypominam, był to człowiek światły, przy tym i muzyk niezły. Po nim nastąpił pan Płachetko, o tym już wyżej. Na koniec, trochę już za późno, zwrócono się do trybu szkolnego i berło przeszło w ręce pana Trawińskiego. Obfita w zdarzenia i przemiany, acz, niestety, krótka jego historia. Z pedagoga, w całym znaczeniu tego słowa, stał się nagle dziwaczno wykwintnym elegantem. Z eleganta został żołnierzem w wojsku polskim 1807 r.

---

\* czyli (łac.)

\* za drugim nawrotem

\* Szlifował

Za młodym jeszcze byłem, abym był mógł z Maksymilianem, Sewerynem \* i Trawińskim umknąć do Warszawy, przeszedłem więc z młodszymi braćmi, Julianem, Henrykiem i Edwardem, pod powtórne panowanie pana Płachetki jako gubernera i dyrektora pana Stecewicza. Pierwszy miał uczyć po francusku, muzyki, przyzwoitości, obyczajności etc., etc. Drugi zaś kontynuować rozpoczęte przez pana Trawińskiego nauki szkolnym trybem prywatnie, których egzamina w domu zawsze kosztowały parę fasek masła. O Płachetko! niech ci Bóg, przed którym już stoisz, przebaczy, ale ja nie mogę, żeś mój czas najpiękniejszy od 1807 do 1809 zabił, zamordował bez litości. Książki w rękę nie wzięłem. Jeżeli czytał, to romanse. Mój ojciec, zajęty interesami, a szczególnie fabryką żelaza, którą założył w Ciśnie, rzadko bawił w domu. Nie mógł więc dla dzieci zrobić jak do ogólnego dozoru wziąć gubernera, a do szkolnych nauk dyrektora. Odpowiedzialność więc cała ciążyła na panu Płachetce. Pan Płachetko nic nie robił, nie robiłem i ja nic. Polowałem, jeździłem konno. Wtem nagle, nie pamiętam, z jakich powodów, chwyciłem pióro i... napisałem komedię pod tytułem *Strach przestraszony*.

Jeżeliby kto znalazł książkę *in 8<sup>o</sup>* \*, w skórkę oprawną, w której pierwsza połowa wycięta, bo ta książka była kiedyś rejestrem \*, a druga zachwyca oczy tytułem *Strach przestraszony. Komedia w jednym akcie* – niech ją wróci memu potomstwu, bo to jest moje dzieło. Ale daremne wezwaniem! Próżne nadzieje! Przepadł drogi rękopis, jak przepada skarb niejeden w wirze ludzkiej ciemnoty.

Nie mogę wstrzymać się i muszę wam, kochani, a zwłaszcza cierpliwi moi słuchacze, opowiedzieć treść tej krótkiej, ale pięknej komedii. Aby jednak stała się zrozumiałą, należy cofnąć się nieco i rzucić okiem w nasze zwyczaje domowe.

Był więc zwyczaj, że co niedzieli dzieci wyprawiały bal, tak zwał się bankiet, na który otrzymywały prócz codziennych jabłek trochę suszonych śliwek i wiśni, trochę rodzenków i migdałów, i kawałek cukru. Mój brat Seweryn, szef szwadronu gwardii (nie wówczas, ale później), jako najstarszy (Maksymilian bawił wówczas w Puławach) przywłaszczył sobie *jure forti-*

\* Starsi bracia autora (por. niżej, s. 300, 301).

\* w ósemce, tj. dość dużego formatu

\* księgą rachunkową

*rioris*\* żądroszczony urząd kuchmistrza. On siekał, skrobał, nadziewał śliwki rodzenkami a rodzenki migdałami, kiedy tymczasem młodsze ro-dzeństwo, obsiadłszy mały stoliczek zastawiony cynowymi talerzykami, czekało niecierpliwie pierwszego dania. Nareszcie, gdy nadeszła chwila pożądana, półmiski wypróżniały się w mgnieniu oka, nie bez zatargów i nie bez pokrzywdzenia najmłodszych pomimo reklamacji piastunek. Często też kończyło się na placzu i dopiero cała śliwka wpakowana w gębę wzięła z sobą ostatnią łzę sunącą się po nosie. Czasem i bunt powstał; rzucano się na surowe kuchenne materiały – a gdy kuchmistrz nie mógł ich już obronić, rozdawał szturchańce i ciągnął za nosy, ale rodzenki osła-dzały wszystko.

Mój brat Seweryn, o cztery lata starszy ode mnie, był do swoich lat trzynastu dokładnym egzemplarzem (tak we Lwowie nazwanego) lam-parta. Swawolny, nieposłuszny, zawsze w zdeptanych trzewikach i po-dartej czapce, którą uczył psy aportować, był dla gubernera prawdziwą plagą. Szczególne miał upodobanie szcuć świnie psami i nieraz Cusin, ówczesny gubernier, Francuz, przyprowadzał go za ucho z tego polowa-nia do lekcji i za karę przywiązywał sznurem do stołu. Z tego powodu napisał Seweryn komedię, której osoby były: Cusin, Sewercio, Burda (kundys) i Świnia. Tak to talent dramatyczny w naszym rodzie parł się w górę wszystkimi porami. Seweryn uczył się lepiej ode mnie, ale ja by-łem poważniejszy... nigdy nie byłem dzieckiem. Dlatego mnie zwano Staruszkciem.

Otóż, wracając do rzeczy, taki bał dziecinny był treścią mojej sztuki. Osoby były: Pan... zapewne Cnotliwski – ale nie pamiętam, równie jak nazwiska synka i córeczki pana Cnotliwskiego – Michał lokaj i Szafarka. Rzecz się zaczyna: Pana nie ma w domu, dzieci narzekają, że niedziela przejdzie bez balu. Michał obiecuje im dostać śliwek, rodzenków itd. Ubiera się w prześcieradło, jak to zwykle wystawiają duchów, i idzie do śpiżarni straszyć szafarkę. Szafarka, przestraszona, kryje głowę w beczkę z mąką, Michał ładuje kieszenie nie tyle dla dzieci, ile właściwie dla sie-bie. A wtem... otwierają się drzwi... wchodzi Pan... Kolej na Stracha przestraszyć się... Michał kryje głowę w drugą beczkę. Rozwiązanie na-stępuje prędkie i jasne, zamknięte nareszcie sensem moralnym.

---

\* prawem silniejszego (łac.)

Widzicie więc, moi państwo, że komedia nie była bez planu i pewnie byłaby i nie bez efektu scenicznego, gdyby była przedstawiona w teatrze. – Szkoda!

Był w naszym domu nauczyciel muzyki Mikołaj Matłowski... poczciwy, dobry Matłowski... Dziwną miał zaletę; mógł kilka godzin siedzieć wyprostowany na jednym miejscu i nic nie mówić, i nic nie robić, jak tylko od czasu do czasu zażyć tabaki i utrzczyć nosa w kraciastą chustkę z wymaganym rozgłosem. Jego wybrałem na słuchacza tym śmieiej, że obawa, która mnie w ciągu całego życia nie odstępowała, abym kogo nie znudził, nie mogła względem niego mieć miejsca, bo w niczym nie naruszałem jego moralnej i fizycznej nieruchomości. Poczciwy Matłowski uśmieł się serdecznie z conceptów Michała. Pokochałem go za to jeszcze więcej, niż go kochałem, i odwiedzając jego pochwały przestałem brać od niego lekcje na fortepianie. Niemały z niego zdjąłem ciężar. Cztery lata uczyłem się i nigdy zrozumieć nie mogłem, czego właściwie żądają ode mnie. Przy lekcjach zawsze nogami dzwoniłem, oczywiście nie w takt i nieustannie wciągałem nosem, *vulgo* \* siąkałem, co jest niezawodną oznaką słabego usposobienia ucznia i powinno zwracać uwagę rodziców. Jeżeli podrostek mocno siąka przy muzyce – nie tracić czasu. Czasem zły muzyk bywa dobrym jurystą \*. Jeżeli zaś siąka i nad kodeksem, czym prędzej dajcie mu ołówki, może będzie malarzem. Ale jeżeli zawsze i przy każdej nauce siąka i siąka – to hebes jak Bóg Bogiem...

Śmiech Matłowskiego ochrzcił mnie na autora. Przy tej sposobności muszę zrobić uwagę, że sposób najdzielniejszy podobania się jest łatwość śmiechu. Śmiech jest nie udaną aprobatą conceptu... a aprobaty któż nie lubi?

Sukces nadzwyczajny mojej komedii zawrócił mi głowę, wzięłem się do tragedii. Ale ta ograniczyła się na tytule wielkimi literami napisanym: *Rzeź Pragi*, i na spisie osób, na czele których, jak łatwo zgadnąć, stali Suworow, Zajączek i generał Jasiński. Zdaje mi się nawet, że zacząłem pierwszy wiersz pierwszej sceny wyrazami: „O Ty! co”... albo: „O Ty! który”, co zawsze wielki efekt robi w stylu poważnym tak, jak inwokacje \* w kazaniach, które budzą wszystkie uśpione baby do ryczącego

---

\* mówiąc po prostu

\* prawnikiem

\* wezwania do słuchaczy

westchnienia, albo jak w teatrze owe oklepiane sentencje o cnocie, honorze, miłości ojczyzny. Bo trzeba wiedzieć, że nigdzie nie ma tyłu czcicieli cnoty, ile w teatrze, lubo w zamęcie owych szlachetnych uniesień największej ginie chustek i zegarków.

Ale jeżeli zostałem dramaturgiem bez żadnego wyraźnego powodu, nie tak się ma co do poezji. Okolicznościami bowiem pchnięty dosiadłem Pegaza. Długo już przemyślałem, jak to opowiedzieć, bo to działo się w wojsku, a koszary nie salon. Ale historia jest historią, ma swoje żelazne prawa, z których wyłamać się nie zawsze można. Będę jednak starał się, bądźcie panie pewne, omglic, ile możności, wszelką szorstkość przedmiotu. A więc do rzeczy.

W Krasnym Stawie mieszkalem razem z podporucznikiem Jakubem Nowickim, który miał służącego Franciszka. Razu jednego wzięłem wstępny bojem (*necessitas frangit legem* \*) pewną nicodzowną, acz tylko płócienną część ubioru, którą to słońce nie zwykło oglądać. Kiedy zaś kolega uporczywie upominał się o zwrot swojej własności, napisałem wierszyk pod tytułem: *Żale Jakuba nad utratą g..i*. Zwrotki kończyły się powtórzeniem: „Franciszku! Gdzież g... moje?” – Ta poezja zrobiła w pułku furorę. Ale jeden z kolegów, Dąbrowski (zginął pod Możajskiem \*), wziął mnie na stronę i zwrócił moją uwagę, że w kilku wierszach nie ma średniówki.

– Średniówki?... Co to średniówka? – zapytałem.

Dąbrowski wytłumaczył i to była pierwsza oraz jedyna nauka rymotwórstwa, którą w życiu otrzymałem.

Uzbrojony w średniówkę, rzuciłem w świat parę kawałków, których tytułu powtórzyć nie mogę, a których sława przeszła krańce nawet pułku.

Później we Francji spróbowałem rodzaju uczuciowego – napisałem do Ludwika Jelskiego ładny wierszyk zaczynający się:

*Miłość jest równie  
Buja topoli.  
Wzrasta gwałtownie  
Na miękkiej roli...*

Ale kiedy razu jednego zacząłem deklamować w gronie kolegów, je-

\* potrzeba łamie prawo (łac.)

\* podczas wyprawy moskiewskiej 1812 r.

den z nich, gbur nicokrzesany, dodał zaraz do mego pierwszego wiersza „Miłość jest równie” – swój rym arcyniczysty, co mnie tak zbiło z terminu, że na długi czas dostałem wstrętu do uczuciowego rodzaju.

Aleksander Fredro: *Trzy po trzy. Pamiętniki z epoki napoleońskiej*, Warszawa 1917.

### *Szabla i pióro*

Nie słyszałem nigdy, by Aleksander chodził do szkół, więc wychowanie czysto domowe odebrać musiał. Mając lat szesnaście wstąpił do wojska r. 1809. Podczas odwrotu z Moskwy zakopał chorego i zamarzącego ordynans Jędrzej w śniegu, a wynalazłszy gdzieś podwodę przywiózł do Wilna, gdzie w szpitalu dostał się Aleksander do niewoli. Przez jakieś panie wykradziony, przebrany za chłopą, dostał się do Galicji, wypocząwszy wrócił do służby i robił kampanię 1813–1814 roku.

Wróciwszy do domu, dostał od ojca rocznego wyznaczenia 100 dukatów. Z tej pensji objął w dzierżawę maleńki folwarczek, należący do Beńkowej Wiszni, Jatwiewi. Jak mawiać lubiał, bieldował na tej dzierżawce, mając na śniadanie kieliszek „kopciuchy”, na obiad drugi, a na kolację trzeci, z przyjacielem i sługą Jędrzejem, któremu za uratowanie życia odwdziczył się odą:

*Jędrzeju, sługo wierny, przyjacielu rzadki,  
Ty, co ze mną wojenne dzieliliś wypadki  
I coś w całej zdobyczy z moskiewskich płomieni  
Uniół szcztokę, dwie pończochy i kilka grzebieni.*

Żył, jak mógł, polując zawzięcie z sąsiadami, szczególnie najbliższym, bratem moim Kazimierzem, pierwszym na ten czas w Galicji myśliwym.

Podrostkiem widywałem Fredrę często u brata w kniei i na siwym podjezdku, w zielonej kurcie; miał wtedy jeszcze coś wojskowego i bogaty zbiór przypowieści, facecji i wspomnień pułkowych. Facecje owe, zawsze zgrabnie i dowcipnie podane, często tylko w paru słowach rzucane, czyniły go w męskim towarzystwie przyjemnym i pożądanym.

Wzrostu średniego, ale kształtnie zbudowany, był Fredro lekko ospowaty i płci żółciowej na twarzy, zdradzającej skłonności do hipochondrii.

Oko miał siwe, w białku także żółte, wzrok nieujmujący, wąs rudawy, krótko przystrzyżony, uśmiech niedobry, ułożenie dość gładkie...

W 21 roku osiadłszy, po pięcioletniej wojaczce, w Jatwiegach, pola zależyć musiał; sam nieraz powtarzał, że poszarpany tomik Moliera, podany przez Iglą, dał mu pierwszy popęd do pisania komedii...

Ludwik Jabłonowski: *Złote czasy i wywczasy. Pamiętnik szlachcica z pierwszej połowy XIX stulecia*, Poznań 1927.

### «Mąż i żona»

Mój ojciec przepędzał we Lwowie [w latach 1815–1824] tylko kilka zimowych tygodni. Ile, to już od ilości lisich skórek zależało; resztę roku siedział w Jatwiegach, gdzie zaczął pisać swoje komedie. Wiele lat później, gdy raz przejeżdżaliśmy przez Jatwiegę, on na dzielnym gniadym koniu, ja na kucu, pokazywał mi sosnę, pod którą leżąc napisał pierwszą scenę komedii *Mąż i żona*. Dziś już tej sosny nie widzę; czy ją burza powaliła, czy siekiera ścięła, nie wiem; dosyć, że wróciwszy do kraju po dziewięcioletniej emigracji, już jej nie zastałem. Wznosiła się ona nad Jatwiegami od strony lasu zwanego Bezarabiną.

Gdy już trochę pisać zacząłem, ojciec, który w ogóle nie lubił mówić o swym autorstwie, wrócił do tego wspomnienia i sam się dziwił, że tę komedię, którą do najlepszych można policzyć, zaczął bez planu i już miał kilka scen napisanych, gdy właściwego węzła sztuki ani jej rozwiązania nie był jeszcze znalazł. W istocie jest to rządko, może w swoim rodzaju jedyny wypadek, by autor dobrą komedię napisał nie mając przy zaczęciu w myśli przynajmniej ogólnych jej zarysów.

Jan Aleksander Fredro: *Wspomnienia...*, w książce Marii z Fredrów Szembekowej *Niegdyf...* (zob. niżej, s. 53).

### Czwartkowe obiady

Według ówczesnych ustaw szkolnych, których celem było ograniczenie rozszerzania się oświaty w kraju, potrzeba było mieć lat dziesięć skończonych, aby być przyjętym do szkół gimnazjalnych. W roku 1835



brakowało mi do tego wieku jeszcze kilka miesięcy, ale znalazła się jakaś metryka, która wypełniła tę lukę, a może to zrobiono jakoś inaczej; ja tylko tyle pamiętam, że tej jesieni ojciec mnie zawiózł do Lwowa i umieścił w konwiku\*. W tym konwiku miałem wszakże osobnego nauczyciela, który się nazywał Różycki. Będąc już z domu przygotowanym do pierwszych klas gimnazjalnych, miałem wiele wolnego czasu; ten czas starano się zapełnić lekcjami rysunków, muzyki i obcych języków, bo wtedy w domach szlacheckich trzymano się tej zasady, że młody człowiek powinien się uczyć wszystkiego. Jednak pomimo tych lekcji zostawało mi jeszcze dość czasu do czytania i przepisywania zakazanych poezji polskich, które wówczas w nieprzebranej ilości obiegały pomiędzy młodzieżą i daleko więcej ją zajmowały niżeli wykładane przez Niemców, zresztą niezmiernie chude, przedmioty szkolne. Ażeby mi podać sposobność poznania rodzin, w których było cokolwiek więcej oświaty, a przy tym dobre i gładkie chowały się obyczaje, ojciec wprowadził mnie do kilku domów, z którymi go dawne wiązały stosunki.

Jednak przed wszystkimi innymi wprowadził mnie ojciec do domu p. Aleksandra Fredry, który wówczas mieszkał przy ulicy Sykstuskiej i gdzie się chował jego syn Oleś, głośny później jako Jan Aleksander w naszej literaturze dramatycznej, tylko o półtora roku młodszy ode mnie, a który w domu uczył się mniej więcej tych samych przedmiotów szkolnych. Oleś jako dziecko był śliczny, jasny blondynek z niebieskimi, ciągle uśmiechniętymi oczyma, był przy tym pełen chłopięcej pustoty; miał pokój osobny, przepelniony zabawkami najrozmaitszego rodzaju, gdzie jednak znajdował się także pult, przy którym jego ojciec stojąc piśywał, bo pomieszkowanie to nie było bardzo obszerne.

Fredrowie, bracia Aleksandra – a było ich sześciu i tylko najstarszy z nich, Maksymilian, mieszkał w Warszawie – w czasach swojej młodości, a mianowicie między latami 1815 a 1825, zajmowali wybitne stanowisko we Lwowie i z kilką innymi synami zamożniejszych rodzin szlacheckich nadawali niejako ton owoczesnej młodzieży warstw wyższych. Pewna starsza matrona, opisując mi później te czasy, pełne tryskającego humoru w tych sferach, powiada mi:

– Wtenczas tu Fredry chodzili na głowach i nie można się było

---

\* w szkole z internatem

nigdzie obrócić, aby się nie natknąć na Fredrę. Trzeba się było chować przed nimi, bo i z ołtarza byliby zdjęli, a do tego jeszcze i takie wiersze pisali, że nawet starszym uszy od nich trzeszczały...

Poważniejsi ojcowie rodziny, ze starożytnych, bcz przerwy w pierwszym rzędzie stojących rodów, mocno na nich za to nosem kręcili, a przy tym puszczali w obieg złośliwe wieści, że nawet nie wiedzieć, skąd się ci Fredrowie wzięli na świecie.

... od czasu ożenienia się z Jabłonowską, rozwiedzioną ze Skarbkiem, damą niecodzienną piękności, złotego serca i bardzo świetnego ukształcenia, prowadził [Aleksander Fredro] życie skromne, spokojne i bez tej wystawności, na którą inni tracili dużo pieniędzy; bywał w towarzystwie tylko o tyle, o ile konieczność tego wymagała do utrzymania stosunków, a przyjmował u siebie tylko takich ludzi, dla których umysłu i serca miał szczerą sympatię. Pomiędzy latami 1835 a 1838, o których to mówię, odbywały się u niego co czwartek literackie obiady, do których i nas przypuszczano. P. Aleksander sadzał nas zawsze obok siebie, Olesia po jednej, a mnie po drugiej stronie, i dawał nam objaśnienia o tym, o czym właśnie mówiono, a czasem te i owe nauki, bo wychowanie syna po swej myśli leżało mu przede wszystkim na sercu. Nie widziałem w życiu lepszego męża i troskliwszego ojca od niego. Na tych obiadach, które się odbywały o godzinie drugiej, nie bywało nigdy więcej nad dziesięć do dwunastu osób. Bywali na nich, o ile sobie mogę przypomnieć, Adam Zamoyski, w granatowym kontuszu, który sam także wiersze pisywał, Tadeusz Wasilewski, konsyliarz gubernialny a często i komisarz sejmowy, ale także w kontuszu, ksiązę Henryk Lubomirski, kurator Zakładu Ossolińskich, Sagatyński, paż Stanisława Augusta, który pamiętniczek po sobie zostawił, Aleksander Batowski, Jan Nepomucen Kamiński w długim granatowym surducie. Bywał także i Pol, ale był to jedyny z młodszej generacji pisarzy, którego tam widywałem. Pol, chociaż młody, był bardzo poważny, a kiedy mówił, wszyscy go z wielką atencją słuchali, bo już wtedy otaczał go pewien urok, któremu wszyscy ulegali, a który on umiał utrzymać. Mówiono zwykle o literaturze, która wszakże wtedy w Galicji była jeszcze bardzo ubogą, dlatego kończono zwykle na Mickiewiczu, którego utwory dopiero wtedy zaczęły się upowszechniać w szerokich kołach i około których kręciły się wszystkie rozmowy.

Pomnę, że w owym czasie mój ojciec, do którego wszystkie publi-

kacje emigracyjne przychodziły z Węgier, przysłał mi był przez jakąś dobrą okazję jeden egzemplarz *Pana Tadeusza*, jeden *Dziadów* i jakieś paryskie gazety i kazał mi to zanieść pod płaszczem do p. Aleksandra Fredry. Mój nauczyciel Różycki, który był bardzo dobrym Polakiem, ale miał dekret na profesora, kiedy ten pakiet obaczył, zaokrąglił oczy jak gałki, zaparł oddech w piersiach i otarł chustką pot z czoła. Mnie się z niego śmiać chciało, zresztą jak zawsze, pytam go więc ze śmiejącymi oczyma: co mu takiego? A on mi na to:

– Jak to co? gdzież takie rzeczy!... za to idzie się do Kufstejnu.

A potem, chociaż prócz nas dwóch nikogo w pokoju nie było, nakrył „te rzeczy” chustką od nosa. Tego dnia odprowadził mnie o godzinę wcześniej do Fredrów – i jestem przekonany, iż gdyby mnie był jakiś policjant w drodze zaczepił, to mój Różycki byłby dał takiego drapaka, że byłby się pewnie nie oparł, aż w Węgrzech.

Kiedyś przyszedł do pana Aleksandra Fredry z tymi zakazanymi książkami, już było trochę gości u niego. Wszyscy się zaraz około nich gromadzić poczęli, porozkładali je na stole i patrzali na nie z taką ciekawością i namaszcczeniem, jak się patrzy na święte relikwie za ołtarzem w kościele.

Te czwartkowe obiady u Fredry przeciągały się zwykle aż do wieczora – a kiedy już ze stołu zebrano, dopiero wtedy zaczynały się poważniejsze rozmowy. Wtedy niejednokrotnie czytano głośno jakieś utwory i dyskutowano ich zalety i niedostatki. Wówczas już i we Lwowie zaczęła się z wolna rozbudzać romantyczna literatura...

Zygmunt Kaczkowski: *Mój pamiętnik z lat 1833—1843*, Lwów 1899.

### *Par Fredro*

Nie byle jakim szczęśliwcem stał się brat mej matki, ośmioletni Wi-cuś: widział on na swe własne oczy Aleksandra Fredrę, gdy ten zjawił się z wizytą w Warszawie w domu Rapackich...

W rozmowie ze mną wuj tak snuł swe dziecinne wspomnienia:

„Rzecz dziwna, niektóre fakty z epoki dzieciństwa tak mi się wryły głęboko w pamięć, że widzę je dzisiaj o wiele wyraźniej niż te z lat

późniejszych, i muszę przyznać, że lepszym byłem obserwatorem, mając lat pięć niż obecnie.

W owe czasy odwiedzało nas wielu «panów», którym z biegiem lat ten tytuł odjęto. Pierwszym takim «panem», który zjawił się u nas w Warszawie, był pan Moniuszko. Przychodził na lekcje śpiewu do mojej matki. Matka studiowała partię Zosi z *Flisa*. Muszę się pochwalić, że arię «Franku, moje krocie» śpiewałem z takim samym zapałem jak i moja matka, a pan Moniuszko, kiedy się o tym przekonał, wydał straszny wyrok, a mianowicie, że jestem stracony i nic porządnego ze mnie nie wyrośnie, co się do joty sprawdziło.

Bywał także pan Siemiradzki... Bardzo lubiłem, kiedy przychodził, bo grał ślicznie marsza na fortepianie. Potem doszło do mojej wiadomości, że pan Siemiradzki zajmuje się także malarstwem.

Ojciec mój jeszcze więcej cieszył się z odwiedzin pana Matejki, co mnie bardzo dziwiło, bo pan Matejko nie grał na fortepianie. Nosił okulary i nigdy się nie śmiał.

Za to nastrój prawdziwej zabawy wprowadzał w dom nasz pan Bałucki. Kiedy przyjeżdżał z Krakowa, zawsze mieszkał u nas. Cały czas mówił wierszami, co wywoływało niezwykłą wesołość...

Gdy wracam do tych dawno minionych czasów i wskrzeszam wizje tych różnych postaci, staje przede mną sylwetka jeszcze jednego «pana».

Pozwól mi, Jurku, przez chwilę patrzeć oczami dziecka i tak odtworzyć ten obraz, jak mi się wtedy przedstawił.

Coś dziwnego działo się tego dnia w naszym mieszkaniu. Mama zniknęła w kuchni, aby zaparzyć kawy.

Ojciec co chwila wybiegał do przedpokoju i pilnie nasłuchiwał. Reszty rodzeństwa nie było w domu. Na mnie, najmniejszego, nie zwracano uwagi, dzięki czemu mogłem się nareszcie dowiedzieć, czym był wypchany konik, darowany mi przez pana Niedzielskiego.

Nagle odezwał się dzwonek. Ojciec pośpiesznie otworzył drzwi. Do przedpokoju wszedł wysoki, siwy pan.

Ojciec pocałował tego pana w ramię. Sam zdjął mu palto i poprosił do gabinetu. Mama w tej chwili przyniosła kawę i wróciła do kuchni.

Stary pan długo z ojcem rozmawiał... Z początku cicho, potem bardzo głośno. Ojciec bardzo się unosił, a siwy pan kiwał tylko głową, ale był spokojny i bardzo poważny. Przez otwarte drzwi widziałem ich dosko-

nale, a zapamiętałem sobie tę niezwykłą wizytę dlatego, że ku swojemu zdumieniu spostrzegłem, że mój ojciec płakał, a ten pan miał także łzy w oczach. To było dla mnie niepojęte. Z jakiego powodu starsi mają płakać, kiedy im wszystko wolno? Po godzinie wyszli z gabinetu. Ojciec odprowadził siwego pana do przedpokoju, znowu go pocałował w ramię i kłaniając się nisko pożegnał. Ja stałem na środku jadalni, trzymając w rękę konia, który wyglądał jak po walce z bykiem.

Ojciec z wielkim ożywieniem zwrócił się do mnie:

– Przyjrzałeś się temu panu?

– Tak.

– Zapamiętaj go sobie, to był pan Fredro.

– Pan Fredro – powtórzyłem chowając konia za plecy.

Ojciec przeszedł się parę razy po pokoju, nagle przystanął i znowu zwrócił się do mnie:

– No, i jakiż był ten pan?

– Był bardzo polski – odpowiedziałem.

Ojciec uśmiechnął się i pogłaskał mnie po głowie...

\*

Dom dziadka mego, Wincentego Rapackiego, jak i nasz był opętany miłością do Fredry.

*Zemstę* umiałem wcześniej niż pacierz. Wiersze Fredrowskie często plątały mi się z modlitwą: „Nie wódz nas na pokuszenie...”, ale dalej już waliłem Fredrę: „... Ojców moich wielki Boże...” W tym miejscu dostawałem od matki tęgiego klapsa, co nic nie pomagało, bo, chowając łepetynę pod kołdrę, przekornie kończyłem: „Wszak gdy wstąpił w progi moje...” itd., i z Fredrą na ustach zasypiałem. Pukając do gabinetu mego dziadka, cichutko szeptałem słowami Papkina: „Wolnoż wstąpić...”, na co dziadek (cudowny Milczek na scenie) odpowiadał jako Rejent: „Bardzo proszę...” Po czym rozmowa toczyła się już w normalnym języku.

Gdy zbyt natrętny wierzyciel wtargnął do mieszkanka, kwitowało go się słowami Milczka: „Cześnik wszystko będzie płacił...” Otumaniony, ogłupiały tą odpowiedzią, zmykał jak oparzony. Chorego napominało

się: „Szanuj zdrowie należycie, bo jak umrzesz, stracisz życie.” Co prawda kazanie takie niewiele pomagało, ale byliśmy pewni poprawy – wszak Fredro mu radził. Powinno to go było uzdrowić...

Jerzy Leszczyński: *Z pamiętnika aktora*, Warszawa 1958.

### *I tu, i tam*

W czasach tych, tj. około roku 1871–1872, dziad mój dość dużo jeszcze pisał, zwłaszcza poczyj, lecz nigdy ich nikomu nie czytał, prócz babce w cztery oczy; mnie powoływał czasem do ich przepisywania na czysto. Nic tak nie lubił, jak kiedy brat mój w wolnych chwilach czytając w rękopisach niewydane jego komedie, zanosił się nieraz od śmiechu. Twarz dziadka się wtedy rozjaśniała i z uśmiechem mawiał do babki: „Oto moja najmiłsza, najwdzięczniejsza publiczność! Dla niej warto pisać...”

Z czasów tych i nicco późniejszych a poprzedzających długą, bo przeszło dwa lata trwającą, chorobę jego pozostały mi w sercu dwa obrazki... Więc najpierw obraz pokoju mojej babki w wieczory zimowe. Spędzaliśmy je stale u niej. Babka, mająca wtedy lat siedemdziesiąt jeden, kładła się już około godziny siódmej; po kolacji, w jej pokoju spożytej, przysuwano do jej łóżka stolik i fotel mego dziada i razem kładli pasjanse. Przy drugim dużym stole siedziała reszta towarzystwa... Pod koniec wieczoru drzwi się otwierały i wchodził mój ojciec we fraku...

Przyszedłszy pewnego wieczoru do pokoju babki, ujrzałam ze zdziwieniem dwa próżne krzesła stojące przed piecem, w którym śród stosów popiołu tliły się jeszcze szczątki papierów. Babka, jak zwykle o tej godzinie leżąca już w łóżku, wydawała się smutna – dziadek milcząco i głęboko zamyślony siedział obok niej w fotelu. „Musiało tu zająć coś niezwykłego – pomyślałem sobie – ale co takiego?” Brat mój, który zawsze pierwszy o wszystkim wiedział, szepnął mi do ucha, że dziadostwo przez cały wieczór palili swą przed- i poślubną korespondencję...

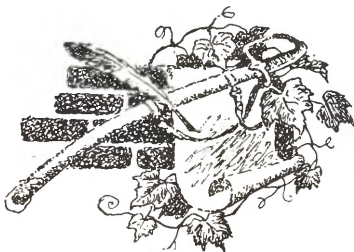
... Słuszność mieli staruszkowie drodzy, zdobywając się na ten czyn bolesny; na takich listach, pisanych wprost z serca do serca, żadne oko obce, choćby rodzonych, kochających dzieci, spocząć nie powinno... A przed spaleniem, po raz ostatni odczytując je, płakali nad nimi oboje...

Z tych więc dalekich czasów ich długoletniej miłości nie pozostał list

żaden. Jediną pamiątką sięgającą okresu, w którym toczyła się długa sprawa rozwodowa babki i w którym możliwość związku jej z dziadem wątpliwą się jeszcze zdawać mogła, pozostał miedziany pierścionek z wrytym napisem: „Nie tu – to tam.” Babka moja, przegrawszy do dziadka cwancygiera \* – nie wiadomo, czy w grze jakiej, czy w zakładzie – kazała z niego pierścionek ten zrobić i w ten sposób dług swój spłaciła. A z woli Bożej spełniły się ich marzenia i życie ich splotło się na zawsze „i tu, i tam”.

Maria z Fredrów Szembekowa: *Niegdyś... Wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze*, Lwów 1927.

\* Popularna nazwa drobnej monety austriackiej.



# ADAM MICKIEWICZ







## *Pierwsza książka*

Adam urodził się w Zaosiu, a to takim składem rzeczy: Zaosie wtenczas należało do stryjów ojca naszego; jeden z nich umarł, a drugi wezwał ojca do zarządu; rodzice więc nasi w 1798 r. w grudniu pojechali do Zaosia i tam 24 grudnia urodził się im Adam; był tam wtenczas stryj nasz Felicjan, dwunastoletni chłopak. Aż w lutym następnego roku powróciła matka z Adamem do Nowogródka i tam go ochrzczili 12 lutego 1799 r., i tak metrykę zapisali. To wszystko po kilkakroć mi potwierdził, nieboszczyk już, Felicjan. Akuszerką dla nas czterech była Żydówka Dawidkowa. Dla Adama w Zaosiu szlachcianka Mołodecka; ona, chcąc Adama przeznaczyć na rozumnego, użyła książki, na której ucięła nożykiem pępek dziecku. Tę książkę pokazywała matka swojej znajomej, na stole u ojca, a moje oczko dojrzało, uszko podsłuchiło. Miałem tę książkę zawsze w pamięci. Był to sądowy proces, in 8-vo, w skórę czarną oprawny.

List Aleksandra Mickiewicza do brata, Franciszka, z r. 1860. Cyt. wg *Kroniki życia i twórczości Mickiewicza. Lata 1798—1824*, Warszawa 1957.)

## *Wśród filomatów i filaretów*

Było to za czasów kuratorii ks. Adama Czartoryskiego, którego wpływom i zabiegom winien był Uniwersytet Wileński wiele wolności i pewien samorząd, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkali się z sobą i zaprzyjaźnili się w tymże Uniwersytecie: Zan, Jeżowski, Malewski i świeżo przybyli ze szkół nowogródzkich – Czeczot i Mickiewicz. Do nich przyłączył się wkrótce Pietraszkiewicz, Łoziński, a potem innych pięciu. To było pierwsze grono, którego wpływ na ówczesną młodzież niełatwo jest określić i dostatecznie ocenić.

Z początku nie myśleli oni zapewne o niczym więcej jak żyć z sobą ściślej niż z innymi, widywać się jak najczęściej, szukać wspólnej zaba-

wy i nauki. Rzecz dziwna! różnili się z pozoru ci młodzi ludzie w charakterze, w humorze, rzekłbyś: w skłonnościach i usposobieniu. Zan uczył się nauk fizycznych i matematyki, Jeżowski oddany był filozofii i filologii, Malewski chodził na odczyty prawne; Mickiewicz przekładał nade wszystko historię i literaturę nowożytną, a choć był jednym z najlepszych uczniów Groddecka, nie lubił katedr uniwersyteckich, nudziły go, sam sobie był profesorem. Czeczot sposobił się na adwokata przy nader nudnym i suchym mecenasie, chodził ze statutem i papierami pod pachą; Kowalewski cały był zatopiony w łacinie i greczyźnie. Drudzy, jak Pietraszkiewicz, Łoziński, uczyli się nauk przyrodzonych, a jednocześnie chodzili na lekcje literatury polskiej Borowskiego i starożytnej Groddecka.

Zimny i poważny, błąd, najczęściej zadumany Józef Jeżowski mało mówił i rzadko kiedy wdawał się w żarty, sprzeczki i dyskusje, a kiedy zabierał głos w rzeczy dotyczące się dobra kraju, to zawsze mówił spokojnie, poprawnie, z najsurowszą logiką i do przekonania. Pochodził on z okolic Humania; był nader surowych obyczajów, lubił samotność, wiele czytał, mianowicie autorów klasycznych starożytnych; w filozofii trzymał się Kanta, ale nikomu nie narzucał swoich przekonań.

Jakże różny od Jeżowskiego w ułożeniu, humorze i w charakterze był Jan Czeczot. Żywy, tkliwy, wesoły, bratający się ze wszystkimi, prośty i poufały równie z najmłodszymi, jak i z najnieuczeńszymi, śpiewny, czuły na wszelkie wrażenia, litujący się i gniewający się z łatwością, po-błażający mianowicie dla skromnych i pokornych, prawdziwie wieś-niaczej natury; a przy tym pobożny i dobry katolik; był zawsze gotów służyć nam, ale też i gderał, i napominał, kiedy co niedobrego w nas obaczył, bo chciał, aby jego przyjaciele, mianowicie Adam, byli wolni od wszelkich wad, nawet powszednich.

Trudniej opisać różny bardzo od poprzednich w tym czasie charakter Mickiewicza. Można by wprawdzie powziąć o nim niejakie wyobrażenie z jego ballad i dwóch pierwszych części *Dziadów*, które w tym czasie napisał: nie był on jednak tak posępny i melancholiczny, jak by się z tych jego utworów zdawało; lubił być wesołym, kiedy się znajdował ze swoimi, mianowicie z Zanem, Czeczotem, Malewskim, i dziwnie przyjemnym był natenczas. Jego piękna twarz, koralowe usta, namiętne oczy, gęsty hebanowy włos, przyjemny dźwięk mowy, pewność siebie

i niepospolita bystrość – wszystko to sobie dziś przypominam i staje mi na oku jego obraz w najżywszych kolorach. Nie zajmował się on wprawdzie urządzeniem towarzystw tajnych ani pisaniem ustaw dla nich, ani ich zawiązywaniem między młodzieżą; ale się radzono go w rzeczach dotyczących się kierunku, zasad i celów i słuchano go, bo jego sokole oko widziało dobrze i daleko. Powołany zbyt wcześnie na nauczyciela do Kowna, od czasu do czasu widywał się z nami, a każdy jego przyjazd do Wilna był uroczystością dla nas. On pisał pieśni dla nas, jego tylko pieśni śpiewano, a tymi pieśniami panował, ożywiał, utrzymywał ducha między młodzieżą.

Figurą najniepoetyczniejszą ze wszystkich był bez wątpienia Łoziński. Był on z Wołynia, z krzemienieckiej szkoły, wielbiciel Czackiego i ks. Osińskiego. Zawsze w dobrym humorze, rubaszny, umiał skarbić przyjać i miał przewagę między młodzieżą; zajmował się dawaniem lekcji na pensjach panien i w prywatnych zakładach.

Nikt jednak nie dorównał w popularności, w sposobach i darze podobania się i pociągnięcia ku sobie młodzieży panu Tomaszowi Zanowi, od którego powinienem był zacząć.

Zan był, jak to mówią, człowiekiem powszechnym: posiadał gruntowną znajomość nauk przyrodzonych i doświadczalnych, był dobrym matematykiem i poetą, znał literaturę i historię naszą i języki starożytne; był wielkim miłośnikiem sztuk pięknych, mianowicie muzyki, którą znał dobrze, i śpiewał wybornie. Średniego wzrostu i nieco śniadawej twarzy, miał małe ogniste oczy, włos ciemny kędzierzawy, czoło wyniosłe, nieco zwężające się u góry. Kiedy śpiewał, improwizował i wpadał w uniesienie, mówiono, że z jego czoła i oczu strzelały jakoby promienie, którymi zdobywał i pokonywał serca tych, co go słuchali. Stąd poszła owa promienistość i nazwanie Promienistych. Zawsze wesoły, wypogodzonej twarzy, żartobliwy, lubił płć piękną, niewinną, a był bardzo przykłady w obejściu się z nią; estetyczny, miłosny, nie mógł znieść najmniejszego słowa w młodych ludziach, które by zakrawało na nieobyczajność, zepsucie i zmysłowość, a nie cierpiał rozpustnych. Utrzymywał, że pierwszym krokiem do nieuczciwości, upodlenia i zdrady jest niepowściągnięcie grubych skłonności, obżarstwo i rozpusta.

Najrubaszniejszy z całego grona, najruchawszy, istny zapaleniec, był Onufry Pietraszkiewicz: na niego spadała mianowicie materialna praca

w urzędzeniu towarzystw, on był mistrzem ceremonii, archiwistą, skarbnikiem; przyrządzał małe uczty, kiedy chodziło o obchód przyjazdu Adama z Kowna lub jakich imienin.

Różniący się od wszystkich z powierzchowności, choć tychże samych uczuć i zasad, był syn ówczesnego rektora, Franciszek Malewski. Był to prawnik, większy od wszystkich nas polityk, światowy, znający wyższe towarzystwo, mówił czysto, jasno, ze zdrowym rozsądkiem; władał z łatwością nowożytnymi językami i dobrą łaciną bronił swojej rozprawy na magistra prawa; przy tym dobrego humoru, przyjemnej twarzy, znawca i lubownik sztuk pięknych, towarzyski i praktyczny.

Owóż siedmiu młodych uczniów uniwersyteckich, którzy od zbliżenia się ku sobie uczuli pierwszy popęd do wywarcia wpływu na młodzież wileńską. Nie mam potrzeby powtarzać, że siłą tego popędu i bodźcem do czynności a głównym celem było dobro kraju, stara Polska, przechowanie narodowości i charakteru polskiego...

...nadchodziła epoka dotkliwszych prób i sroższego prześladowania: należało szukać sposobów do przechowania języka, literatury, podań historycznych, do ożywienia, utrwalenia charakteru i ducha poświęcenia się, prostoty i rozumu wobec chytrego wroga. Jakże się wziąć do tego, żeby nie ściągnąć od razu podejrzenia rządu i nie narazić samego Uniwersytetu i jego młodzieży na niebezpieczeństwo? Uchwycono się nauki, potrzeby uczenia się, potrzeby oświaty za cel towarzystwa, tak aby nawet na przypadek jego odkrycia było się czym zasłonić przed nieprzyjacielem.

To było powodem, że nasi założyciele pierwszego towarzystwa przyjęli dla niego imię Filomatów i zastrzegli w pierwszym artykule swoich ustaw, że się nie będą zajmować polityką, tylko propagandą naukowej oświaty i braterstwa między uniwersytecką młodzieżą. ...na posiedzeniach czytano literackie prace i naukowe rozprawy, w których przede wszystkim przestrzegano czystości języka, a przedmiotem ustnych narad miało być wyłącznie obmyślanie środków dążących ku szerzeniu oświaty i braterstwa między młodzieżą, ku utrzymaniu w niej narodowego ducha, tak aby każdy przekładał dobro powszechne nad interes prywatny i szanował bardziej cnotę i uczciwość obywatelską niż wszelkie dostojności światowe, bogactwa i wyniesienie się. W pożyciu zaś między członkami Towarzystwa zalecano przede wszystkim szczerść i wzajemną pomoc.

Prezesem Filomatów od początku aż do rozwiązania Towarzystwa był

Jeżowski, sekretarzem Pietraszkiewicz. Posiedzenia odbywano co dwa tygodnie, a w razie potrzeby częściej, ale zawsze w tajemnicy.

Nie śpieszono się też z powiększeniem Towarzystwa, a ostrożność była tak wielka, że pierwszego roku jego zawiązania zaledwo pięciu nowych członków, a na drugi rok tylko dwóch czy trzech przyjęto.

Na koniec i mnie nicgodnego, najmłodszego ze wszystkich wiekiem i nauką, przyjęli do siebie Filomaci, bardziej z serca niż z potrzeby.

Bez wątpienia przyjemnie jest dziś przypomnieć owe posiedzenia, które z wielką powagą zagajał Jeżowski, na których Pietraszkiewicz czytał dobrze zredagowane akta, Mickiewicz swoją *Grażynę*, *Odę do młodości* i *Hymn*, Jeżowski, Kowalewski, Malewski swoje pierwsze filozoficzne, filologiczne i prawne próby, Sobolewski, Budrewicz – matematyczne, Zan i Czeczot literackie, a częstokroć żartobliwe, krotofilne utwory; ale wyznaję, że przyjemniej jeszcze dla mnie przypominać nasze przechadzki, rozmowy i zabawy.

Na jedne ze swoich imienin, pamiętam, jakby to się dziś stało, przywiózł Adam swoją pieśń *Hej, użyjmy żywota*, która to pieśń stała się potem uroczystą pieśnią nie tylko Filomatów, ale Filaretów i Promienistych.

Z listu Ignacego Domeyki do Bronisława Zaleskiego, drukowanego w „Rocznikach Towarzystwa Historyczno-Literackiego” w Paryżu za rok 1870—1872, Poznań 1872.

### *Kuracja serca*

Dnia więc 3 maja 1823 r. wyruszyłem pierwszy raz w życiu w podróż sam przez się pocztą i wprost dla przyjemności serca. Myśl ta, w połączeniu z celem podróży, trzymała mię w radosnym upojeniu przez drogę; i tegoż dnia nad wieczorem stanęliśmy w Kownie. Pobiegłem wprost do mieszkania Adama i spotkałem go właśnie na wschodach, gdy już na spacer wychodził. Nie wracając przeto do siebie, sam poszedł ze mną do Wereszczyńskiego, kazawszy iść z sobą chłopcu po zabranie stamtąd mych rzeczy. Wereszczyński tak był uszczęśliwiony z wizyty Adama, iż, ugaszczając nas hojnie, cały wieczór zatrzymał u siebie i o północy sam dalej pojechał. Adam wracając do domu zaczął dopiero troskać się po drodze, gdzie i jak mię do snu ułoży; gdyż mu to przedtem zgoła na myśl nie

przyszło. Alić zaledwo chłopiec wyrzesał ognia i zapalił świecę, widzimy, że na kanapie, z przystawionymi krzesłami, posłana jest już pościel, nie tylko porządna, ale nawet aż elegancka. Zadziwiony gospodarz pyta, skąd się wzięła, i dowiadujemy się od chłopca, że ją przysłała pani Kowalska, dowiedziawszy się także od niego, „że jakiś pan do pana z Wilna przyjechał”.

– Pani Kowalska! to moja Opatrzność! – zawołał Adam i zaczął mi opowiadać o niej i o jej domu, o którym zresztą i w Wilnie nieraz wspominał, a z którym miał mię nazajutrz zapoznać.

Nie z tych tylko wszakże ówczesnych ani nawet z wielu późniejszych własnych jego wspomnień i opowiadań, ale i z tego wszystkiego, co słyshałem skądinąd i na co sam własnymi oczyma potem przez lat dwadzieścia kilka patrzałem, muszę tu opowiedzieć o niej i o jej domu, co o ile wiem, dotychczas powiedzianym nigdzie nie było, a co przecież w życiu Adama stanowi ustęp niezmiernie wpływowy i ważny, któremu on, jak sam nieraz powiadał, życie może nawet zawdzięczał.

Wiadomo z *Dziadów*, w jakim usposobieniu serca i umysłu Adam przybył i znajdował się w Kownie, w pierwszych czasach po zerwaniu stosunku z Marylą. Otóż, że zrozpaczony Gustaw na poetyckich tylko marzeniach o samobójstwie poprzestał i w poezji tylko je wykonał – najwidomszym w tym razie narzędziem Opatrzności była właśnie pani Karolina z Wagnerów Kowalska. Ale *bonni soit qui mal y pense!* \* Nie była to albowiem żadna jakaś nowa miłostka, co by świadczyła tylko o płochy wrażliwości serca poety-marzyciela; ale, był to wpływ niewieściej duszy i przyjaźni niewieściej. Piękniejszej od niej kobiety trudno by można było wyobrazić, ale trudniej by może jeszcze znaleźć taki hart duszy i charakteru w kobiecie. Nie była ona wcale ani uczoną, ani literatką, ale miała ten zdrowy rozum, co rzeczywistą wartość jak w książkach, tak w rzeczach i ludziach oceniał, a razem i tę przenikliwość niewieścią, co w ludziach zwłaszcza tę wartość instynktem jakby odgadywać umiała. W tym był początek przyjaźni jej dla Adama i w tym wpływ tej przyjaźni na niego. Bez tego, w otoczeniu ludzi obcych i zimnych, w małym, cichym miasteczku, jakim było naówczas Kowno, w oddaleniu od wszystkich swoich i z taką boleścią w duszy, jaka go w owym czasie dotknęła, trudno może byłoby

---

\*Hańba temu, kto źle o tym myśli (franc.). Dewiza angielskiego Orderu Podwiązki.

wymagać, aby się mógł być oprzeć rozpacz. Opatrzność wprawdzie przyszła mu w końcu w pomoc i innym cudownym sposobem, gdy zagrożony utonięciem w Niemnie, w kąpieli, przypomniał sobie w chwili największego niebezpieczeństwa, jak go niegdyś w dzieciństwie modlitwa matki cudem prawie uratowała z przypadku, i gdy, polecivszy się wtedy z wiarą opiece Najświętszej Panny, sam także jakby cudem ocalał; bo nie wiedział i nie pamiętał, jak się znalazł na brzegu. Chwila ta w duszy jego stała się jakby chwilą przełomu i zwycięstwa nad uczuciem rozpacz; ale może by nie doczekał tej chwili, gdyby go nie wspierała przedtem uprzejmość i przyjaźń, jakich w domu państwa Kowalskich doznawał. Wiem o tym z własnych Adama i cudzych opowiadań, a znając sam działające osoby pojmuję najdoskonalej, jak się to stać mogło i stało. Sam pan Kowalski (naówczas wzięty bardzo i szanowany powszechnie lekarz powiatowy w Kownie), człowiek dobry, zacny, serdeczny, posiadał wszystkie zalety rozumnego i prawego człowieka, a nade wszystko prostotę i szczerść w obęjściu, które Adam cenił najwięcej; stąd poszło, że go wzajem polubił serdecznie i w towarzystwie jego podobał. Sama pani zaś, od pierwszych chwil poznania Adama, przejęła się instynktowo dla niego jakby jakimś rodzajem czci, nie tylko przyjaźni, i z całą energią niezłomnego swego charakteru, a razem i z delikatnością niewieścią zajęła się codziennym, co chwilowym osładzaniem mu tęsknego pobytu w Kownie. Adam sam ani się domyślał mnóstwa rzeczy, których wpływu wszakże doznawał. Ja o wielu dowiedziałem się potem przypadkowo od osób, które na to z bliska patrzyły. Na przykład: Dowiedziała się, że Adam lubi muzykę. Córki jej były jeszcze w dzieciństwie; ale się zdarzyła sposobność nabycia doskonałego instrumentu. Nabyto go więc na zapas. Sama pani Kowalska nie grała, ale miała znajome, które grały prześlicznie, a dobrego instrumentu nie miały. Pozwolono więc korzystać im ze swego, ale pod warunkiem jednakże, że będą przychodziły w pewnych oznaczonych godzinach. A godziny to były właśnie, w których Adam zwykle przychodził. Miał więc co dzień muzykę, którą lubił, nie domyślając się bynajmniej, że była li tylko dla niego. Wszystkie nowe książki niemieckie w przedmiotach mogących interesować Adama sprowadzano regularnie z Królewca – dla siebie, ale pożyczano je Adamowi. W tenże sposób prenumerowano ważniejsze zagraniczne dzienniki, na co niemałych kosztów trzeba było. A cóż dopiero mówić o innych, drobnych na pozór, ale ciągłych i codziennych



przyjemnostkach, które przecież działają na smutną duszę człowieka jak krople eteru w omdleniu! W ważniejszych zaś okolicznościach życia, jak np. podczas pobytu Adama w bazylikańskim klasztorze w Wilnie\*, żadne kraty ani niebezpieczeństwa nie były dla niej zaporą, aby się dostać do niego i przynieść mu potrzebną wiadomość. Jakoż we trzydzieści lat potem, w przeddzień już prawie swej śmierci, a w ostatniej ze mną rozmowie o Adamie wyrzekła, „iż był on dla niej w życiu najwyższym ideałem człowieka, którego duchem krzepiła się sama”... Podczas zaś pobytu jego w Kownie, powtarzam, była ona dla niego istotnie Opatrznością, jak ją sam nazwał półzartem z powodu owej dla mnie przysłanej pościeli.

Mało z niej wszakże korzystałem pierwszej tej nocy, bośmy ją na przód do białego dnia przegadali, a zaś potem, gdyśmy ledwo usnęli, dzwonek szkolny na korytarzu w gmachu gimnazjalnym, będącym kiedyś kolegium jezuickim, zbudził nas na mszę studencką. Adam po niej zaznajomił mnie z prefektem i kolegami, którzy też byli na niej z obowiązku obecni. Prefekt, pan Dobrowolski, najszanowniejszy człowiek i po ojcowsku lubiący Adama, od pierwszej zaraz chwili poznania okazał się też nader uprzejmy i dla jego gościa. Ofiarował mi osobny pokój w swoim mieszkaniu, sądząc, że u Adama za ciasno. Gdy jednak ten oświadczył, że się pomieścimy, ja też wolałem pozostać u niego. Mieszkanie jego w murach szkolnych, w rynku, składało się z jednej izby z wąskim przedpokoikiem, w którym spał chłopak służący, który też chodził do szkół i był w pierwszej klasie.

Ale mówiąc o domu pp. Kowalskich nie mogę też pominąć milczeniem dwóch podrzędniejszych wprawdzie, ale zawsze dość wpływowych czynników, które go miłym Adamowi czyniły. Pierwszym były dwie małe, piękne jak anioł dziewczynki, sześciolatnia i pięcioletnia Olesia i Kamcia, które go tak serdecznie kochały i tak już były z nim spoufalone, że skoro wszedł, nie odstępowały prawie od niego, pieszcząc się z nim lub rozmawiając. Adam zawsze wspominał je czule, a między innymi ich powiedzenie: że mają dwóch tylko „przyjaciółów: pana Mickiewicza i Bauzera”. Była to nazwa ogromnego buldoga, faworyta całej rodziny i zwykle stróża dzieci na przechadzkach, który też strzegł je pilniej może i gorliwiej od nianiek.

---

\* w czasie śledztwa i procesu Filomatów

Ale trudniej ci może przyjdzie zrozumieć, gdy powiem, jaki był drugi węzeł, który go też do domu tego przywiązywał. Oto była nim matka samego pana Kowalskiego, siedemdziesięcioletnia już naówczas staruszka, a będąca najdoskonalszym typem prostodusznej, szczerzej, a przy tym i po swojemu rozumnej wiejskiej szlachcianki litewskiej. Ona też pasjami kochała Adama, ale miłość ta zwłaszcza wyrażała się u niej przez to, że ze zbytku troskliwości o niego zawsze mu miała coś do zarzucenia: czy to ze względu zdrowia, czy ubrania, czy na koniec humoru i postępowania. Czyniła zaś to z zupełną swobodą i otwartością, gdyż ani syn, ani synowa, widząc, że to, owszem, bawi Adama, żadnej w tym jej nie stawili przeszkody. Sam Adam lubił wyraźnie wywoływać te oburzenia, przekomarząc się jej na każdym kroku.

Taki był skład i obraz domu pp. Kowalskich, do którego mnie Adam nazajutrz, zaraz po odbyciu lekcji swojej, wprowadził. Piękność pani Kowalskiej oczarowała mnie tak od razu, jak uprzejmość obojga ujęła za serce...

Antoni Edward Odyniec: *Wspomnienia z przeszłości opowiadane Deotymie*, Warszawa 1884.

### *Pierwsze aresztowania*

Było to około południa. Wyrzuciwszy moje manatki, ponieważ nie miałem do stracenia czasu, pobiegłem do dawnych kolegów dla powzięcia języka. Nie zastałem ich w domu. Powiedziano mi sekretnie, że znajduję ich w katedralnym kościele.

Duchowieństwo nasze wielogodzinnymi modły oddawało w ten moment ostatnią posługę pamięci ojca Kościoła, świeżo zmarłego Piusa VII. I katedra, i wszystkie jej kaplice były otwarte. Przebiegłszy wszystkie zakątki, dopiero w kaplicy Kazimierza świętego, u podnóża ołtarza naszego patrona, znalazłem i Zana, i Mickiewicza, i Pietraszkiewicza, i Czeczota, i innych wszystkich gotowych co moment wcisnąć ręce swoje w przygotowane dla nich od kilku dni żelaza. Uradowali się zobaczywszy nowego przybysza. Dowiedziałem się od nich, że dziwnym losu zrządzeniem, chociaż dużo już aresztowanych było, wielu jeszcze najstarszych równie jak i Zan wolno chodziło. Młodzież dała sobie słowo nie wymieniać jego nazwiska, a w ogóle nie kompromitować, o ile można, nikogo. Powiedzieli mi jednak, że około ich domów czyha na nich policja i że ich dzisiaj

jeszcze, podług wiarogodnych doniesień, wracających do domu niewątpliwie uwięzłą. Dlatego też sobie na cały dzień i kościół, i tę kaplicę wybrali na miejsce schronienia. Dodali i to, że ponieważ widoczną jest rzeczą, że ci, co tę sprawę podjęli, przekonali się o jej nicości, a jednak przedstawili ją w strasznych kolorach, nie mając sumienia, dla własnego bezpieczeństwa, dla własnych korzyści muszą chcieć wszystko postawić na swoim, a to dużo i starań, i strachów, i męk za sobą niewątpliwie pociągnie. Stąd im więcej nas wolnych zostanie, tym więcej będzie ludzi, którzy, działając swobodnie, dla reszty uwięzionych męczenników pożytecznymi być mogą. Że Jankowski tak się sam poplątał, że już wiary nie ma. Ale że na wszystkie strony wysłano gońców, żeby tych członków, co już od lat kilku czy wojskowej, czy cywilnej poświęcili się służbie i w różnych miejscach znajdują się rozrzućeni po Rosji, jako też będących za granicą, pod konwojem sprowadzić. Tacy bowiem, kwestiami \* podstępnyymi i niespodziewanym śledztwem zdurzeni, mogą z przestachu i takie prawić rzeczy, jakich nigdy nie było. Mówiąc nawiasem, wkrótce się to wszystko sprawdziło i na pierwsze danie Bobiński i Józef Szetkiewicz z Petersburga, a Malewski, syn rektora, i Piasecki Marian z Berlina przez feldjegrów \* przywiezieni do Wilna zostali. Zan polecił był już wszystkim przed moim przyjazdem powiadać w razie pytania, żem za granicę wyjechał, i zupełnie inaczej moją opisywać postać.

Tyleśmy mieli czasu do mowy i rady! Trzeba było się rozstać. Zadziwieni prześladowaniem żadnej logicznej nie mającym podstawy, ścisaliśmy się serdecznie po raz ostatni u tego świętego grobu, jak kiedyś w rzymskich pieczarach na zagładę idący chrześcijanie!... Tam gdzie dziatki sądzono jak starych, łatwo się było domyślić, co zrobią z ludźmi w obliczu prawa wyszłymi już z opieki!

Nazajutrz rano Pietraszkiewicz Onufry doniósł mnie, że Tomasz Zan, Mickiewicz, Kazimierz Piasecki, Czeczot – w nocy aresztowani. Że Zan w kajdanach osadzony w ostrogu \* i że podług danych mu od szpiegów jego ostrzeżeń on sam dzisiaj o godzinie jedenastej rannej wzięty być ma, a Józefa Jeżowskiego szukają.

Stanisław Morawski: *Kilka lat młodości mojej w Wilnie (1818--1825)*, Warszawa 1959.

\* pytaniami

\* żandarmów

\* w więzieniu

## *W wileńskich więzieniach*

Filareci znajdujący się w mieście mieli się na baczności od samego przyjazdu Nowosilcowa. Wówczas więc, skoro się dowiedzieli o zeznaniach Jankowskiego, ci mianowicie z nich, których on zapomniał wymienić, nie pochwytani, natychmiast utworzyli między sobą komitet do czuwania nad tokiem zawiązującej się sprawy, żeby siebie i braci, o ile da się, ratować. Niezwłocznie więc obmyślili sposoby do komunikowania się z uwięzionymi; a względem działań Komisji, chociaż ta postępowała nader sekretnie, jak wszystko dzieje się w Rosji, znaleźli także drogi do odbierania dokładnych informacji, zjednawszy sobie niektórych z kancelarii Nowosilcowa.

Zaczęło się więc śledztwo. Żeby czas drogi dla Nowosilcowa przedłużyć, sprowadzano po jednemu z więźniów do Komisji i kazano mu pisać historię swego życia. Naturalnie, to szło marudnie, chociaż każdy, będąc w kwiecie młodości, niewiele miał do napisania; następowały odpowiedzi na pytania Komisji, także wszystko na piśmie. W tych jedni, według instrukcji uradzonej w naszym Komitecie, szczerze zeznawali wszystko, co wiedzieli o celach i działaniach towarzystw: przez kogo byli wprowadzeni, kto więcej należał do Towarzystwa i wszystkie okoliczności; jako rzeczywiście nie mieli racji z niczym się taić, nie czując się do żadnego występku przeciwko prawom lub przeciw rządowi.

Ale zdarzały się wypadki, że niektórzy byli w takich okolicznościach domowych, iż należało starać się, żeby ich zaraz uwolniono albo żeby ochronić ich od wszelkich nawet podejrzeń u rządu. Komitet więc nasz polecał kolegom takich wszystkich nie wymieniać w spisach członków albo jeśli przez kogo zostali wymienieni, cofać to zeznanie. Jakoż na ocznych stawkach\* w takim razie cofali powiadając, że tego więźnia nie znają lub że go zapisali tylko z domysłu. Takim sposobem wielu zostało uwolnionych. Członkowie Komisji niekiedy wpadali na domysł, że to zмова, lecz nie mogli nigdy dośledzić, jakim sposobem uwięzieni tak ściśle i strzeżeni tak pilnie zmnawiać się by zdołali. Zastanawiała ich i ta jednostajność zeznań, że cokolwiek jeden powiedział, jakąkolwiek nową okoliczność objaśnił, tak samo już i wszyscy następnie badani mówili

---

\* na konfrontacjach

i objaśniali. Zdarzało się między innymi, że badano o znanych śpiewkach Promienistych i Filaretów, które krążyły w całym kraju, a zawierały nie mało liberalnych pomysłów. Komisja chciałaby nakreślić i je za podjętę do buntu, i kazała Mickiewiczowi i Odyńcowi, których o te śpiewki oskarżano, pisać je tuż w sali; oni w zwrotkach delikatnych improwizowali przemiany i twierdzili, że one takie spod ich pióra początkowo wyszły i tak były przez kolegów śpiewane. Komisja przyzywała natychmiast różnych więźniów z różnych klasztorów i każdy te śpiewki już z owymi przemiany recytował. Członkowie Komisji, będąc pewni, że to była improwizacja w ich obecności wykonana, dziwili się tylko, jakim sposobem następowało tak rychłe porozumienie się wszystkich i wszędzie: ale nic dojść nie zdołali. Trafiało się nawet, że wpadali na trop, lecz Opatrzność zawsze nad nimi czuwała i wszelkie ich obostrzenia, wszelkie wybiegi ostrożności znikwały przed dowcipem i działalnością naszego komitetu. Jeżeli jeden jaki sposób komunikacji został zatamowany, to natychmiast znajdowały się inne, jeszcze dogodniejsze.

Jednym z głównych punktów badań Komisji było pytanie, każdemu zadawane, względem ustawy filareckiej. Ta, przez Zana napisana, przy rozwiązaniu Towarzystwa była zniszczona. Wielu nawet z filaretów nigdy jej nie czytało; starsi zaś, a szczególnie filomaci, którzy jako założyciele Filaretów tę ustawę wspólnie z Zanem układali, pamiętali ją i wszyscy mniej więcej dokładnie na rozkaz Komisji ją wypisywali. Ale Komisja, mając i to za znowę, koniecznie domagała się oryginału, ręką Zana pisanego, o czym z zeznań wiedziała. Nie wierzyła bowiem twierdzeniu, że ów oryginał zniszczony; owszem, z tego twierdzenia wnosząc, że w tej ustawie zawierały się rzeczy przeciw rządowi, kuczyła Zana, żeby koniecznie wykrył, gdzie się ów oryginał znajduje, grożąc mu najśroźszymi karami, jeśli się on nie okaże, i wszystkim badanym zapowiadając, że w razie nieznaledzenia tej ustawy w oryginale będą sądzeni podług oskarżeń uczynionych przez Jankowskiego.

Ja w moim więzieniu byłem od samego początku o tych wszystkich przejściach uwiadamiany. Koledzy wprawdzie dla ostrożności bywać u mnie nie mogli, ale inni znajomi mnie odwiedzali, a po utworzeniu w mieście naszego komitetu komunikację między nim a mną przyjęły na siebie pewne święte niewiasty, których nazwisk przyrzekłem nigdy nie wymieniać.

... jednej nocy wsunął się do mnie po cichu z latarką Paniewski \*, uwiadomiasz, że przed chwilą Botwinko przywiózł sam do zamku Tomasza Zana i osadził go w jednej z komórek środkowego gmachu, gdzie okna były zakratowane i zabite deskami. Paniewskiemu zaś przykazał, żeby go trzymał w jak największym sekrecie, nie mówiąc ani przyznając się nikomu, ani nawet policyjnym urzędnikom, że on tu osadzony. Zabronił też pod najsrozsą odpowiedzialnością puszczać do niego żołdatów ze straży ani nawet ich oficera, którego powinnością było co dzień zaglądać do wszystkich więźniów. Jedzenie dlań nosić polecił samemu Paniewskiemu, i to nie inne, jak kawałek czarnego chleba i trochę obrzydłej stawy areztanckiej. Umówiliśmy się tedy naprzód co do jedzenia, że Paniewski będzie mu nosił w kieszeni kawę w butelce, czysty chleb i pieczone; następnie, że będzie przynosił moje pisma do Zana i od niego do mnie, tylko z tym, że nic może mu dać kałamarza, żeby tego na przypadek niespodziewanej rewizji nie znaleziono; ale zanieś mu ołówek i papier. Po tej umowie zaraz poszedł do Zana i przyniósł mi od niego polecenie, napisane ołówkiem, żeby uwiadomić nasz komitet o miejscu jego pobytu. Było to wielce potrzebne, bo komitet ową jednostajność w zeznaniach utrzymywał pod kierunkiem Zana i wypadało, żeby tu, jak w każdej sprawie, jeśli ma iść porządnie, jedna głowa kierowała.

...poradziłem Zanowi, żeby napisał ową ustawę, której oryginału Komisja tak usilnie domagała się, i żeby, włożywszy ją między papiery którego z filomatów mających być areztowanymi, dać tym sposobem zręczność \* Komisji do znalezienia tego pisma. Spodziewałem się bowiem, że to nie tylko nie pogorszy naszej sprawy, lecz w oczach rządu, jeśli przyszło do sądenia nas, będzie dowodem przekonywającym o naszej niewinności i o prawdziwości naszych zeznań przed Komisją. Poruczyć zaś tę ustawę komu z mających być areztowanymi było bardzo łatwo, bo każdemu badanemu kazano pisać listę towarzyszków, i ta kompletowała się ustawicznie, gdyż Jankowski ani połowy nie wypisał. Należało tylko polecić któremu z nowo badanych, żeby pisząc listę wymienił tego, któremu ta ustawa byłaby już poruczona, a tego uprzedzić, jak ma odpowiadać, kiedy ją w jego papierach znajdą. Zan usłuchał mojej rady. A że nie mógł mieć kałamarza, ustawa zaś musiała być koniecznie jego ręką pisana, żeby

---

\* dozorca więzienia

\* okazję

mogła uchodzić za oryginał, ułożyliśmy się, że Zan będzie ją pisał ołówkiem, a ja po ołówku naprowadzę litery atramentem, zachowując jak najstaranniej charakteru jego cechę. Zaczęliśmy więc robotę, która, jako obejmująca kilka arkuszy, potrzebowała kilka dni czasu. W miarę tedy przychodzących do mnie arkuszy, które poczciwy Paniewski, nie mogący czytać bez okularów, a zatem nie wiedząc nawet, co się w nich zawiera, przynosił, czerniłem litery, a potem ślady ołówka wycierałem.

Kiedym tak był zajęty dzień i noc tą robotą, niespodzianie odbieram wiadomość, że Wojniłowicz, szwagier mego wuja Korbuta, dowiedziawszy się, iż jestem niezdrów, podał do naszej Komisji prośbę o wypuszczenie mnie z więzienia na jego porękę. Natychmiast więc posłałem do Wojniłowicza zaklinając, żeby swą prośbę cofnął; chociaż bowiem chory i pragnący dotychczas uwolnienia, czułem, że tu Opatrzność wymagała mego poświęcenia się dla dobra spółbraci. Wojniłowicz zdziwił się na moją odezwę, ale prośbę swoją cofnął, i tak mogłem dokonać zaczętej roboty.

Ustawę zawieziono jednemu z filarectów na wieś, nauczono go, jak z nią postąpić i co ma odpowiadać, kiedy ją u niego znajdą, a tymczasem któremuś z nowo badanych polecono go wymienić w nowej liście, wskutek czego aresztowano go, wzięto jego papiery i ustawa dostała się w ręce Komisji. Zan, kiedy mu ją pokazano, przypomniał niby, że oryginał był w dwóch egzemplarzach, z których jeden, będący u niego, on zniszczył, a drugi, o którym był zapomniiał, chodził po rękę przewodników gron i że to musi być ten sam. Poświadczyli to samo zaraz i przewodnicy, po osobno przywołani; a ten, u którego znaleziono go, twierdził, że go właśnie u jednego z nich wzięwszy, przy rozwiązaniu Towarzystwa dla pamiętki zachował. Takim sposobem i zeznanie Zana bez cofnięcia zostało wytłumaczone, i Komisja dała nareszcie wszystkim o tę ustawę pokój...

Edward Tomasz Massalski: *Z pamiętników*, w zbiorze wspomnień różnych autorów *Z filareckiego świata*, Warszawa 1924.

### *W celi Adama*

Północ była dla nas wschodem słońca; zbieraliśmy się w celi Adama i aż do świtu przepędzaliśmy noc na rozmowie cichej, ale nie smutnej. Freyend przyrządził herbatę i nas rozśmieszał. Kto dniem pierwej był

zawołany na śledztwo, przynosił nowiny, jakie zbierał w sali i na ulicy. Ksiądz Lwowicz na drugi dzień po uwięzieniu go spadł, przechodząc nocą korytarzem, ze schodów i był przez miesiąc niebezpiecznie chory; dlatego później od innych zaczął należeć do naszych nocnych schadzek i pamiętam, kiedy pierwszy raz o północy wszedł do nas, jak nas zabawił i rozczulił, mówiąc z wyciągniętymi rękami poważnie: „Kozy, ucieszne kozy, ma trzodo jedyna”. W tejże celi na Nowy Rok czytał nam Adam swój piękny wiersz: „Skonał rok stary” etc., a z jutrzni w noc Bożego Narodzenia dochodziła nas przy wtórowaniu dalekiego organu przytłumiona pieśń *Przybieżeli pastuszkowie* – która to pieśń przenosiła nas w progi domowe, gdzie po nas matki i siostry płakały. Zdarzyło się też, że jednej nocy o pierwszej godzinie przyszło policmajstrowi zwiedzić nasze więzienie; szyldwachy spały, my, skupieni w izbie Adama, piliśmy spokojnie herbatę; wtem rozruch na korytarzu, szczęk kluczy i karabinów; przestraszony podoficer zdobył się na koncept, że od razu nie mógł trafić na klucz do drzwi, które wiodły do naszego korytarza; policmajster pękał ze złości, ale zyskaliśmy minutę czasu i w momencie, kiedy wysadził drzwi, już każdy z nas był w swoim łóżku i zagasił świecę, a przy każdego drzwiach stał szyldwach z karabinem, wyprostowany jakby przed cesarzem.

Przez cały czas więzienia Adam, wyjąwszy wspomniany wiersz, nic nie pisał, ale czytał wiele i był bardzo towarzyski z nami, przyjemny w rozmowie; niekiedy się zamyślał i milczał, ale był spokojny.

Tak przeszły zima, wiosna i lato dla naszych filaretów i filomatów w więzieniach; rzadko komu udało się wyrobić u Nowosilcowa, i to nie za staraniem swoim, ale przez zabieg kobiet i rodziców, że go wypuszczono na wolność pod dozór policji.

Nic zgoła nie wykazano, co by nosiło na sobie cechę zbrodni stanu, i trzeba było do tego całej złości i nienawiści ku nam Nowosilcowa, żeby w końcu wycisnąć z tej sprawy akt oskarżenia. Wyszedł dekret skazujący wszystkich prawie, co byli filomatami, i kilku filaretów na wywiezienie w głąb Rosji; Zana skazano do Orenburga, mnie, Piaseckiego i Kozakiewicza oddano pod wieczny dozór policji.

W jesieni wszystkich wypuszczono na wolność, Zana wywieziono prosto z więzienia na Sybir, innym zaś, skazanym na wywiezienie w głąb Rosji, dano czas niejaki na przygotowanie się do podróży, z czego też



nasi nie omieszkali korzystać, bo tego krótkiego czasu użyli na ostatnie tchnienie filareckiego życia na Litwie.

Byłem natenczas na wsi, w domu stryja mojego w Słonimskim. Pojechałem dół Wilna dla pożegnania się ze skazanymi na wygnanie i przeżyłem z nimi ostatnią noc całą aż do świtu w jakimś domu w głębi, na poddaszu, przy ulicy Ostrobramskiej, noc, której nigdy nie zapomnę. Znajdowali się wszyscy prawie filomaci i wielu filaretów. Ale nie było kochanego Tomasza, tylko jego dwaj bracia: Stefan i Ignacy. Tej nocy wszyscy byli raczej weseli niż smutni, nie pozwalano nawet ubolewać ani przypominać, co się przecierpiało. Odśpiewaliśmy wszystkie nasze pieśni, smutne i wesole, poczynawszy od *Hej, użyjmy żywota!* aż do *Toastów*.

Przy końcu nalegano na Adama, żeby co zaimprovizował. Zrazu nie chciał, ale po chwili Freyend zagrał na flecie pieśń jego ulubioną „Już słońce zaszło, psy się uspiły” i, na tę nutę śpiewając, improwizował balladę *Basza* (drugą część). Rozeszliśmy się w milczeniu, po cichu, kiedy już dzwoniło na pierwszą mszę w Ostrej Bramie, a lud kłęczał na ulicy.

Z cytowanego już listu Ignacego Domeyki do Bronisława Zaleskiego.

### *Rozmowa poetów*

W r. 1828 u p. Sobańskiej poznał się Mickiewicz z Puszkinem. Z początku traktował Puszkina poetę polskiego chłodno. Mickiewicz, jak zwykle, był naturalny. W rozmowie Mickiewicz widząc, jak wiele rzeczy jest obcych Puszkiniowi, zapytał:

- A czytał pan Schlegla?
- Nie.
- A Sismondiego?
- Nie.

I tu dopiero Puszkini porzucił swój ton protekcjonalny i rozmowa przeszła na inny przedmiot. Wkrótce potem Puszkini odszedł.

Mickiewicz w kółku naszym nie ukrywał swych wrażeń. Dziwił się nie tyle niedostatecznemu wykształceniu Puszkina, jak temu, że z tak szczupłym zapasem wiadomości mógł stworzyć tyle dzieł znakomitych.

– Prawdziwy to geniusz – dodał – i jeśli nie spocznie na laurach i sam uczuje konieczność dalszego kształcenia się, to daleko zająć może!

Na trzeci dzień Puszkina pierwszy przyjechał do Mickiewicza. Nie była to jednak prosta wizyta etykieta... Puszkina rzekł zaraz na wstępie:

– Nie mógłś pan nie zauważyć przy pierwszym zaraz widzeniu się mej ignorancji w teorii sztuk pięknych. Ale nie dziw się pan temu. Sam czuję, że mi potrzeba dopełnić mego wykształcenia, lecz nie wiem, od czego zacząć; daj mi więc radę.

Mickiewicz, ujęty taką otwartością, powtórzył to, co nam pierwej mówił:

– Wierz mi pan – rzekł – że nie tyle dziwię się temu, ile pańskiemu geniuszowi. Boś pan genialny poeta! A że rady pragniesz zasięgnąć, więc powiem najprzód, że wiedza konieczna jest dla poety; dowodem tego Goethe i Byron; u nich erudycja przebija we wszystkich utworach, bez niej nie byliby stworzyli i połowy dzieł tych, które im sławę zapewniają. Należałoby panu znać łacinę, ale na to już za późno. Literatura francuska nie na wiele się panu przyda. Przeczytaj pan najpierw dobre dzieła teoretyczne, a potem naucz się po angielsku; to zaś łatwo panu przyjdzie. Po pięciu tygodniach będziesz już mógł czytać prozę, a potem weźmiesz się do poezji. Najpierw czytać trzeba Milтона, Pope'a, potem Moora, Byrona, a na koniec dopiero Szekspira. On to otwiera duszy poety niezmierzone obszary.

Józef Przeclawski: *Kalejdoskop wspomnień*. Fragment przełożony z rosyjskiego oryginału, zamieszczony w t. XVI sejmowego wydania *Dzieł wszystkich Mickiewicza*, zawierającym *Rozmowy*, Warszawa 1933.

### «Ulubiona powieść»

Okres czasu, w którym Adam pisał i drukował *Pana Tadeusza*, niedługi, niespełna dwuletni, od września 1832 do lipca 1834 r. Po świeżym z nim zaprzyjaźnieniu się nie odstępowałem prawie przez te lata od jego boku. Pod jesień w r. 1832, kiedy przybył do Paryża, druk *Dziadów*, *Ksiąg pielgrzymstwa*, potem redakcja „Pielgrzyma” i korekta pism Stefana Garczyńskiego zajmowały mu wszystek czas przez wiele miesięcy, że niemal całkiem oderwały go od „milszej pracy”, która już była opanowała całą jego wyobraźnię. Wśród różnorodnych zajęć literackich i politycznych uważał się często Adam przed przyjaciółmi najwięcej na to, że te zajęcia „dławiają mu w pieluchach *Tadeuszka*”. W pogodniejszych godzinach jednak ówczesowego znojnego życia dorzucał dorywczo po kilkadziesiąt wierszy

do swej „ulubionej powieści”, jak ją sam nazywał. Otaczało już wtedy Adama kilku rodaków, do których od razu po zapoznaniu się przyłączył sercem. Bliższe to, niejako przyboczne grono składali: Ant. Gorecki, Ign. Domeyko, Bohdan Jański, Stefan Zan, ja i nieco później Stefan Witwicki i brat mój Józef. Mieliśmy wolny przystęp do Adama o każdej godzinie dnia, czy dumał, czy pisał, czy obiadował. Używaliśmy też swego przywileju i często nadużywaliśmy, osobliwie przynosząc niepotrzebnie rozgwyry z bruków paryskich i od sejmików emigranckich. Wielkoduszny i czuły Adam pobrażał wszystkiemu i kochał nas, pomimo nieznośnych wad i dziwactw tego lub owego w gronie. „Ulubiona powieść” niejednokrotnie szkodziła i od przyjaciół. Najwięcej dokuczałem Adamowi ja z moim politykowaniem, czego zostały ślady i w jego korespondencji. Główną atoli mu zawadą do pisania był duch burzliwy, co wiał w ówczesnej Europie, a który i jego samego rozmarzał na dnie i tygodnie. Gdzie tu można było myśleć i o *Panu Tadeuszu!* Odwiedzali Adama wtedy tłumnie, jako słynnego autora *Wallenroda*, *Dziadów* i *Ody do młodości*, rozbitkowie, roznamiętnieni, krzykliwi. Z umiarkowańszą bracią Adam chętnie przedstawiał; usiłował nastroić zwichnione umysły do zgododźwieku i zapął ich nieobłudny skierować ku wyższemu, pożyteczniejszemu celom. Nie bardzo mu się to udawało. Nastąpiły wkrótce wieczorne schadзки u Adama, po większej części umiarkowańszych osób, i tym samym sympatyczniejszych. Uczęszczali na nie, ile pamiętam: Jęłowiccy, Edward i Aleksander, bracia Sobańscy, Kaszyc, Worcell, Cezary Plater, Karol Montalambert, David rzeźbiarz, generałowie Dembiński i Miś Mycielski, Władysław Zamoyski, Fryderyk Chopin, Franciszek Szemiot, Leonard Chodźko, Wrotnowski, Wejsenhoff, Januszkiewicz, Kołysko, K. E. Wodzyński, Kajsiewicz, Rettel, Semenenko, Ropelewski i wielu, wielu innych. Goście przychodzili do szczupłych pokoików nie co dzień, ale po parę razy w tygodniu, na pół godziny, na godzinę, czasem raz jeden na miesiąc. Adam stał wtedy na swym zenicie, w pełni twórczości poetyckiej i w ciągłym podniesieniu ducha. W mowach i rozmowach codziennych błyskawicował parabolami \*, rozświecającymi głębie ducha, sypał jak z rękawa genialne postrzeżenia, cudne myśli, oryginalne dowcipyki w oryginalnym wysłowieniu. Zabierał głos, kto chciał. Czytano listy z Litwy, Ukrainy i zawiązywały się spory.

---

\* przypowieściami

Adam uśmierzał burzliwszych cytacjami z Ewangelii, to przysłowiami starożytności, czyli jak ją zwał, „retoryka polityki”, panująca wtedy na emigracji. Adam widocznie smutniał; na dziwnie wyrazistej jego twarzy odzwierciedlało się zniechęcenie, a może i żal po zaniedbanej od dawna „ulubionej litewskiej powieści”. Schadzki też wieczorne nagle ustały. Zanosło się w Paryżu znicznacka na ogromną burzę. Groźny rozruch Gwardii Narodowej i przedmieści, na którego czele miał stanąć marszałek Clausel, działający, jak mówiono, w porozumieniu z generałem Dwernickim, rozplamieniał głowy emigrantów. W barykadach i pod oknami króla huczała bez ustanku *Marsylianka* i Dwernicki z kilkoma generałami i całym sztabem przechadzali się po ogrodzie Tuileryjskim w mundurach i przy pałaszach. Tymczasem przez układy (jeśli dobrze pamiętam) z Odillon-Barrotem Ludwik Filip zdołał przeciągnąć na swą stronę gwardię, że skrupiło się jeno na porażce republikańców z przedmieści. Nastąpiła reakcja rządu przeciw sprawcom ruchu i sprzymierzeńcom ich, a głównie przeciw Polakom. Kluby zaraz rozwiązano, członków komitetu internowano w odległych departamentach. Dotknęła ta proskrypcja i wielu innych rodaków, osobliwie z młodszych, uczęszczających na wieczory u Adama. Skądinąd także uderzyły na nas bolesne zawody i szkody. Chodziliśmy po Paryżu przygnębieni na duchu i jak z krzyża zdjęci. Adam oplakane te wypadki przebolewał z nami jak najdotkliwiej w głębi swej duszy: współpłakał bardzo i począł się odosobniać. Znał on wszystkich zasłużonych współemigrantów, cenił ich, poważał i udzielał się każdemu na zawołanie, ale odtąd najochotniej żył jeno w otoczeniu wypróbowanych przyjaciół. Ku ukojeniu powszednich smutków i oderwaniu się od piekącej obecności Adam jął się z wielkim wysiłkiem do umysłowej pracy, która poszła zaraz na użytek zaniechanemu *Panu Tadeuszowi*. „Pielgrzym” ustał już był od niejakiemuś czasu, a i druk pism Garczyńskiego zdążył ku końcowi: czuł się wtedy swobodniejszym od roztargnień i tym uparciej wziął się do pisania. Z początku pisanie to szło twardo, aż rozgrzał się w duchu i wkrótce tym obficie dłoń wytrysnęło źródło Hipokreny\*. Napisał drugą i trzecią księgę *Pana Tadeusza*. Przy czytaniu piękniejszych ustępów z poematu, którego

\* Wg wierzeń greckich woda z źródła Hippokrene, które miało wytrysnąć od uderzenia kopyta skrzydlatego konia Pegaza, a poświęcone było Apollinowi i Muzom, dawała natchnienie poetyckie.

nie znaliśmy jeszcze rozmiarów ani obejmowali całości, napędzał i nas do pracy, osobliwie do pracy wewnętrznej nad sobą. Radził, abyśmy zaniechali na czas reformy społeczeństw, aż on i my z nim zreformujemy się sami wprzód, aż rozniecimy w skołatanych sercach stygnącą wiarę, miłość i nadzieję. „Smutni, chorzy, my zamiast cieszyć się i leczyć, wolimy wzajem siebie smucić i kaleczyć...” Ku wiosnie zapachniał Adamowi las, opanowała tęsknota za wsią, poetycka tęsknota, którąśmy obydwaj zawždy po bratersku współczuli. Na razie miał różnego rodzaju zobowiązania, co nie pozwalały mu wychylić się za Paryż. Ogród Luksemburski wtedy okazały, przestronny, zaciszny, nęcił go ku sobie, głównie z powodu *Pana Tadeusza*. Domeyko, uczeń szkoły min \*, miał mieszkanko o kilkadziesiąt kroków od tego ogrodu, z oknami na wsze strony, jak w latarni, w którym tylko noclegował. Adam, w nadziei, że użyje słońca, do niego się wprosił i rozgościł się na dobre. Niestety, na wstępie zaraz spotkała go najnieznośniejsza przygoda. Podczas niesłuchanej płodności literackiej, jakiej doznał w Dreźnie, Adam przetłumaczył był *Giaura* z Byrona, niemal całego. Poprzyjeździe do Paryża tłumaczenie to razem z *Korsarzem* Odyńca sprzedał Aleksandrowi Jełowickiemu. Nadchodził termin wyznaczony na druk, a tu brulion drezdeński gdzieś się zapodział, ani sposobu, aby go odszukać. Rad nie rad, ze szkodą *Pana Tadeusza*, musiał zasiąść do tłumaczenia na nowo, z przykrym uczuciem, że dawniejszy przekład był lepszy. Żmudna i nudna ta praca zabrała mu cały długi miesiąc czasu. Okrom tego marcowe chłody i słoty nabawiły go fluksji \* dokuczliwych, że zaledwie kilkaset wierszy mógł dorzucić do *Pana Tadeusza*. Zmierzył już był sobie swój Carrefour de l'Observatoire, i nawet ogród Luksemburski. Na szczęście Stefan Zan znalazł apartament na ulicy Saint-Nicolas-d'Antin, dość obszerny, chociaż nad stajniami, który się Adamowi od razu spodobał. Istotnie, poszczęściło mu się w nowej siedzibie. Z wypogodzonym umysłem zasiadł do umiłowanego i pobłogosławionego swego arcydzieła i natchnienie popłynęło mu wnet strumieniściej. Wtedy to pisał po sto i sto pięćdziesiąt wierszy na dzień za jednym zamachem, które nam odczytywał wieczorami jeszcze nie zaschłe na papierze. Podziwialiśmy ich świeżość, krasę, barwę i woń rodzinną. Rozdobruchany Adam zachęcał rymujących swoich przyjaciół, aby przynosili

---

\* górniczej

\* zapalenia okostnej

luźne rapsody szlacheckie, które on wcieli do swej powieści na pamiętkę stosunków między nami na emigracji. Tym to sposobem kilkadziesiąt wierszy Witwickiego zostało się w opisie matecznika, wplecionych tak zgrabnie, że dziś zaledwie je kto rozróżnić zdoła. Zaczęły się skwary letnie. Wieszczy nasz pisał a pisał, korzystając na razie z dobrego swego usposobienia do pracy. Rzadko wychodził teraz z domu, chyba wieczorami na przechadzkę i w odwiedziny do przyjaciół i znajomych paryskich. Kiedy indziej, po większym znużeniu się i wyczerpaniu, zabiegał na jeden dzień i drugi do mnie, mieszkającego w Sèvres, jak mawiał: „na wypoczynek i dla chłypnięcia wiejskiego powietrza”. Wiedziałem doskonale o każdym przyroście *Pana Tadeusza*. Już róg myśliwski pana Wojskiego grał mi bez ustanku w słuchu i w sercu i gwary braci szlachty zaściankowej poczynałem rozumieć. Księga czwarta była już napisana, a i piątej większa część. Przyjaciele życzyli końca i całemu poematowi, bo Adam więdnął nam i sechł w gorączkowej pracy. Wśród znojnego z dnia na dzień życia w Paryżu pod koniec czerwca Adam odebrał smutny list z Drezna, że Stefan Garczyński źle jest na zdrowiu i że już wyruszył powoli ku Szwajcarii. Serdeczny druh chorego postanowił natychmiastowy do niego wyjazd. Nazajutrz był już w drodze. Z początku byliśmy tu pełni dobrej otuchy, że Stefanowi się polepszy i że Adam, owiany alpejskim powietrzem, orzeźwieje na siłach i choć po trosze, ale będzie mógł pisać dalej *Pana Tadeusza*. Domeyko (u którego zostawił manuskrypt czterech ksiąg pierwszych, aby go Zan przepisał) częste od niego odbierał kartki. Kartki te nie były wcale pocieszające. Stefan widocznie niknął, a i Adam, umartwiony jego cierpieniami i umęczony czuwaniem po nocach, zaniechał całkiem pisania. Umyśliłem wtedy za zgodą przyjaciół wyjechać ku pielęgnowaniu naszych biedaków, Stefana, Adama i *Pana Tadeusza*. Uwiadomiłem o tym Adama i czekałem na jego skinienie, kiedy i kędy mam się udać, bo przenosił się ze swoim chorym z miejsca na miejsce. Listy się nasze skrzyżowały. Dowiedziałem się z nowej kartki do Domeyki czy do Witwickiego, że obadwaj są w Avignon, że dla Stefana nie masz ani odrobiny nadziei, ale napiera się na gwałt do Włoch, i że on (Adam) jedzie na kilka dni do Marsylii dla uzyskania paszportów. Puściłem się więc z Paryża pędem i prosto do Marsylii. Otóż rozminęliśmy się w drodze – i potem długośmy się nawzajem szukali. Przygody tej podróży opowiem kiedy indziej. Dość, że odnalazł Adama w Lyonie. Przechodząc około jakiegoś hotelu, zo-

czyłem go w oknie, z papierem w ręku. Po wejściu do pokoju zastałem Adama cudosłownie zaciętrzewionego nad *Panem Tadeuszem*. Wieczorem tegoż samego dnia, zdaje mi się ostatniego września 1833 r., puściliśmy się w podróż ku Paryżowi. Za powrotem pojechał Adam wprost z dyliżansu na dawniejsze mieszkanie przy Saint-Nicolas-d'Antin, któreśmy dlań wcześniej zamówili. Nazajutrz już się całkowicie w nim instalował. Od razu wpadł na trop swój i cieszył się jak najbujniejszym natchnieniem. *Pan Tadeusz* wystąpił dopiero teraz w zarysach wyraźnych architektoniki swej epicznej. Mistrz potężny opanował całkiem swe narzędzia: język, rytmy, rymy jak roztopiony kruszec lały się w ogromne tygle, że na skinienie czarodzieja posąg, dzwon lub działo wyskakiwały w mgnieniu oka, jak spod ziemi. Rozkoszowaliśmy wspólnie z Adamem, spożywając te nowalie poetyckie jego geniuszu. W czasie odczytów żyliśmy jak przemienieni, jak przeniesieni cudownie do Polski między braci i siostry, tak w *Panu Tadeuszu* wszystko jest żywe, swojskie; zapominaliśmy bied i trosk powszednich tułactwa, zapominaliśmy piekących tęsknot, pojęzycznych i porodzinnych. Unosiliśmy się chlubą Adama i zarazem dumą narodową, że oto Polska posiada swoją epopeję. Adam zdążył pospiesznie ku końcowi, dorabiając jednocześnie wstawki do ksiąg poprzednich. Błogie wieczory zimowe u Adama w r. 1833 nie zamierzchną nigdy w pamięci przyjaciół. Nuciliśmy pieśni litewskie, białoruskie, ukraińskie, w chorówód za wieszczem. Adam opowiadał nam chętnie ustępy z dziejów swej młodości w Nowogródku, Wilnie i Kownie, wyzywając nawzajem do poufnych zwierzeń, że każdego z nas znał niejako na wskroś. W codziennym obejściu się z nami był nad podziw dobrotliwy, słodki, rzewny, że poniewolnie Witwickiemu i mnie przypominał się dobroduszny Kazimierz Brodziński; umiał każdemu umilić dolę wygnańca, zażegnać boje i bóle wewnętrzne, których nam nigdy nie brakło.

W połowie lutego 1834 r., wieczór pod szarą godzinę, kiedyśmy się już zebrali byli przy ulicy Saint-Nicolas i po cichu gwarzyli, widząc gospodarza w drugim pokoju przy kominku, „szparko machającego piórem po papierze”, powstał od stolika Adam z rozpromienioną twarzą i zawołał ku nam: „Chwała Bogu! oto w tej chwili podpisałem pod *Panem Tadeuszem* wielkie *finis* \*.” Radośnie za nim powtórzyliśmy: „Chwała Bogu!”, i wy-

---

\* koniec (łac.)

krzyknęliśmy trzykrotnie „Vivat!” z oklaskami przy winszowaniach i uściskach jak najserdeczniejszych. Nazajutrz, staropolskim obyczajem, wysłuchaliśmy najpierw mszy świętej w kościele Saint-Louis-d’Antin, a po mszy świętej zaprosiliśmy go na obiad do Palais-Royal\*. Uczta była niewystawna, ale dostatnia i z gęstymi toastami w cześć i Adamowi, i jego nowo narodzonemu infantowi. Po tych ucztach zażądał Adam, abyśmy wcześniej do niego przychodzili, „odbędzie się bowiem jeszcze jedna ceremonia, tj. imienin i chrzcin *Pana Tadeusza*”. Tak nazywał autor niezbędne poprawki w poemacie. W pierwotnym tekście stały imiona własne, rodowe osób i przeróżnych miejscowości na Litwie, które należało koniecznie przechrzcić, tj. zastąpić wymyślonymi. Oczywiście na pierwszym zaraz posiedzeniu nawymyślaliśmy bez liku dziwnych imionisk, które Adam rozgatunkowywał i przyjmował je lub odrzucał. Najpożyteczniej mu w tej rzeczy służył Domeyko, który, jako Litwin i współpowietnik Pana Tadeusza, doskonale znał ojczyste strony. Przy tej sposobności Adam wymagał także od nas, zaklinając na przyjaźń, abyśmy, póki czas jest po temu, wskazywali mu do sprostowania i ważniejsze błędy, bądź to w duchu, bądź w treści, bądź w formie, bądź to na koniec w słowach i wyrażeniach czymkolwiek grzeszących. Wymawialiśmy się w tej mierze i targowali z nieudanym sromem, ale w końcu musieliśmy ulec jego niezłomnej woli. Adam z piórem w ręku sam czytał *Pana Tadeusza*, księgę po księdze, a kiedy ucuwał zmęczenie, odsuwał rękopis ku Witwickiemu albo ku mnie do czytania. Z początku branie inicjatywy tej cenzorskiej szło twardo; ten, to ów bąkał jednak uwagi, które Adam po krótkim namyśle uznawał za niesłuszne lub też słuszne i natychmiast własnoręcznie mazał lub podkreślał do poprawki, a czynił to z nieocenioną skromnością i nawet z pokorą. Nieraz w czasie czytania wrywał mi rękopis i przekreślał piękne wiersze bezlitośnie. Wypraszailiśmy je jak najwymowniej od śmierci. Adam zbywał nas dowcipnym lub głębokim słówkiem: „Wiersz umorzony, jak ziarno pszenicy, rozrodzi się tym bujniej”, itd. Najwięcej takich wykreślcń było przy Telimenie. Stefan Witwicki bił ostro na tę panią, Adam potakiwał mu, czując sam śliskie strony jej roli; toteż przeciw zgorszeniu, jakie dawał, słabo się bronił;

---

\* W galeriach otaczających ogród Palais-Royal, pałacu książąt orleańskich, mieściły się lokale sklepowe, restauracje, sale teatralne itp.



utrzymywał jeno ciągle, że mu Telimena była ąrcypotrzebną dla kontrastu i dla przeróżnych kombinacji poematu. Zgodził się na końcu na wyrzucenie wielu jej tyrad, zmazał o świecy w kominku, a historię klucza i następstw zaczernił palcem umoczoną w atramencie, że wątpię, aby ją dziś jaki estetyk zdołał przeczytać. Inny z przyjaciół czynił innego rodzaju zarzuty przy mowach Buchmana i przy swarach szlachty zaściankowej, że zniżają nieco nastrój poważnej eposci. Adam podkreślił naznaczone przez niego wiersze, ale dodał: „He! wiem ja, mój drogi, czego ty chcesz, ale nie tylko w tych tu miejscach, co wskazałeś, ale i w całym poemacie potrzeba by podnieść nastrój o jakie pół tonu. To naprędce nie da się zrobić, klamka już zapadła. Poprawię się, da Bóg, w innej powieści, bodaj w synie *Pana Tadeusza*, a najprawdopodobniej w dalszych częściach *Dziadów*.”

Bohdan Zaleski: *Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania „Pana Tadeusza”, w Księżce zbiorowej ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza, Petersburg 1898.*

### *Lekcje z ojcem*

Wieczorem prawie co dzień kazał [ojciec] Władziowi pokazywać sobie zadane na drugi dzień lekcje i sam wypracowania łacińskie poprawiał; a czynił to z taką starannością, że nieraz w godzinę po lekcji slyszałam, jak ojciec z wyższego piętra, gdzieśmy mieli swoje pokoiki, Władzia przywoływał, aby jeszcze słowo jakie lub wyrażenie na właściwsze zamienić. Tych lekcji łaciny szczerze bratu zazdrościłam; starałam się spamiętać te, które głośno powtarzał.

Ale cokolwiek później lekcje niemieckiego zgodził mi się ojciec sam dawać i zaczęliśmy razem czytać Goethego *Hermann und Dorothea*.

Raz ojca zniecierpliwilo nieudolne moje tłumaczenie i spróbował objaśnić mi, o ile moja praca niegodną była oryginału; na co odpowiedziałam z pokorą, że sama to czuję i rozumiem, ale że lepiej tłumaczyć nie potrafię.

Wówczas ojciec z żywością książkę otworzył i powoli, ale wcale nie zatrzymując się, wierszem polskim tej samej miary co wiersz Goethego utwór niemieckiego mistrza zaczął przekładać. Może byłby choć nowy ułamek przybył do tłumaczeń jego z obcych poetów, bo widocznie był

w nastroju poetycznym; ale nieszczęściem, po kilku wierszach wykrzyknęłam osłupiona:

– Ależ to wiersze, papo!

Wówczas ojciec zadrgnął, jakby przebudził się, książkę zamknął i odesłał mnie mówiąc, że lekcja skończona; mnie zaś żal ogarnął, żal, który dotąd pozostał, za tak niewczesne odezwanie się moje.

Maria Gorecka: *Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu, jw.*

### O poezji

[Mickiewiczowie mieszkali] wówczas na l'Ouest, wprost bramy ogrodu Luksemburskiego; z początku maszerowałam odważnie, ale kiedy przyszło wejść do domu, uczułam nieco gorąca i pewną niespokojność... Zapukałam z nieśmiałością i czekałam odpowiedzi. [Mickiewicz] widać był zajęty, bo nieprędko nastąpiła, a może i nie dosłyszał, tak uderzenie było lękliwe; za powtórny usłyszałam kroki i Adam, trzymając fajkę w rękę, sam otworzył mi drzwi. Zakłopotanie moje spostrzegł i dobrotliwie wskazał mi miejsce obok siebie, tonem przychylnym zapytując:

– Skąd przychodzisz, bracie? Z której części Polski?

– Ojciec mój był Litwinem, a ja rodem z Warszawy.

– A kiedy tak, to my i ziomkowie; uprzedził mnie Cyprian Norwid, że pracujesz i że poezje piszesz. Nie znam, ale chętnie przeczytam, bo już cię obchodzi mnie wszystko, co tam robicie w kraju. Cóż tam macie nowego?

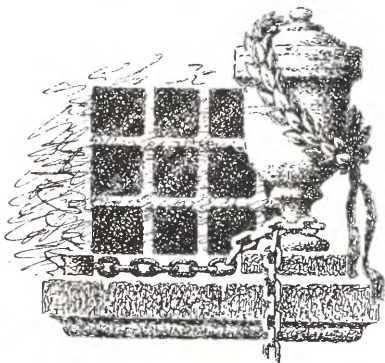
Wymieniłem kilka nazwisk i kilka nowych dzieł, świeżo wyszłych; niektóre przeglądał już, a imiona wszystkich autorów były mu znajome i z całą szczerością mówił o dziełach i osobach, nie szczędząc, co prawda, nazwisk i nie obwijając w bawełnę; o jednym mianowicie pisarzu dość mi się surowo wyraził; mówił z przestankami, patrzył mi w oczy bystro i radą następującą rzecz zakończył:

– Jeżeli chcesz wiedzieć moje zdanie, to ci powiem: wszyscy jesteśmy równi sobie i tylko pod warunkiem, żeby każdy był sobą i orzeł nie nastrojał się na słowika, a słowik na orła; głupcy i błazny zdolni są jedni do lekceważenia tego, co w tej, a nie w owej formie od Boga przychodzi.

Kto mnie porównywa Rafała z Wuwermansem albo Fidiasza z Robią, to mu powiem, że głupi, tak samo, kto chce poniżyć Burnsa dlatego, że Szekspir tragedie pisał; wszystko to są Boże ptaki i tylko zielone głowy w porównania się wdają, w rozdawania honorów albo ich zaprzeczania. Poezja była, jest i będzie do końca świata, a kto jej nie widzi, ten jest kret i głuchoniemy. Pisz i nie bój się, jeśli masz tylko serce pełne i szlachetną wolę.

Po tych słowach nałożył znowu fajkę i odrzucił w tył dobrze już siwiejące włosy, i wtedy to, ochłonawszy z pierwszego strachu, i owszem, cały radością przejęty, wpatrzyłem się w twarz Adama.

Teofil Lenartowicz: *Listy o Adamie Mickiewiczu*, Paryż 1875.



# JULIUSZ SŁOWACKI





## *Julek i jego dom rodzinny*

Od przybycia mego do Wilna, poprzestając na towarzystwie kolegów, w domu tylko pp. Spitznagłów, w którym byłem jak w rodzicielskim, widywałem czasem z daleka światowe towarzystwo wileńskie. Że zaś to składało się zazwyczaj z poważnych profesorów narodowości niemieckiej, którzy się w nim z całą rodziną raz w tydzień na bostona lub wista \* zbierali, ja, jako młody i nieśmiały student, żadnego w nim właściwie nie brałem udziału i przy wieczerzy tylko w gronie gości siedziałem. Tak było do imienin samej pani domu, w dzień N. P. Marii Gromnicznej (2 lutego 1821 r.). W dniu tym po nabożeństwie z kościoła przyszedłem też z powinszowaniem i przy wstępie do przedpokoju usłyszałem hałas i tertes \* w pokoju dzieciennym, do którego też wszedłem najpierwej. Ujrzałem tam jakiegoś malca idącego w zapasy z młodszym bratem Ludwika, do których on i brat najmłodszy okrzykami zachęcali szermierzy. Malec ten nieznamy zwrócił moją uwagę przez szczególniejszy jakiś wyraz fizjonomii, a zwłaszcza przez duże, czarne pałające oczy, które też utkwił we mnie, gdy wszedłem i kiedy moje wejście położyło koniec zabawie. Był to Julek Słowacki, o którym często wspominał mi Ludwik, zwał go zawsze przyjacielem swoim, choć sam był starszym od niego o lat parę. Julek miał natenczas lat jedenaście. Ubrany był w czarnym aksamitnym kaftaniku do stanu, przepasany lakierowanym paskiem z błyszczącymi stalowymi kłamrami. Szeroko odłożony kołnierz od koszuli odsłaniał cienką, białą szyję, na którą z tyłu i z boków spływały długie, czarne, utrefione włosy. Mam go dotąd żywo w pamięci, bo się też w nią wraził od razu. Ludwik zapoznał nas między sobą; po czym on znowu wrócił do przerwanych zapasów, a ja do salonu poszedłem.

---

\* Popularne w ówczesnych salonach gry w karty.

\* wrzawę, zgiełk

W salonie, na kanapie przed stolikiem, siedziały jakieś dwie panie: starsza i młodsza; cztery zaś krzesła około stolika zajęte były przez solenizantkę i trzy jakieś młode panienki, odwrócone plecami do wejścia, których twarzy widzieć przeto nie mogłem. Gdy złożyłem powinszowania, pani domu zaprezentowała mnie swoim gościom jako „swego czwartego syna”, ale nie powiedziała nawzajem, komu byłem prezentowany. Zaledwo jednak wymówiła moje nazwisko, starsza dama zapytała z żywością, czy nie byłem owym poetą, którego wiersze pochwalił Borowski. Skłoniłem się, zarumieniłem, a gdy m urzał, że oczy wszystkich zwróciły się ku mnie, dziś jeszcze pamiętam wrażenie, jakiego podówczas doznałem. Cóż dopiero, kiedy się dowiedziałem, że młodsza dama i jedna z panienek są córkami Jędrzeja Śniadeckiego, że drugą damą starszą jest pani profesorowa Bécu, a dwie drugie panienki jej pasierzbicami, o których rozumie i wdziękach cuda już w Borunach słyszałem. Tu dopiero pierwszy raz w życiu, gdy się rozmowa wprost od poezji zaczęła, uczułem ponad sobą jakby siłę wyższą, która mnie nagle porwała i nad własny mój poziom podniosła. Nie wiedziałem ja wtedy, a może bym nawet i nie pojął, gdyby mi kto chciał wytłumaczyć, w czym było źródło tego magicznego uroku, który mnie tak niespodzianie ogarnął. Nie wiedziałem, że stoję wobec dwóch dusz najpoetyczniejszych, nad które wyższych w tym względzie w ówczesnym społeczeństwie wileńskim nie było; wobec dwóch najświatlejszych i najlotniejszych umysłów, w sferze najtkliwszych uczuć i pojęć najszlachetniejszych, opromienionych wdziękiem przyrodzonej dobroci i estetycznych form wyższego świata. Osobiste odcienia charakteru czy raczej temperamentu nie szkodziły bynajmniej wspólności ich zasad, a ta wspólność łączyła je nawzajem węzłem najściślejszej przyjaźni, pomimo kilkoletniej różnicy ich wieku. Uroda, właściwie mówiąc, nie grała tu żadnej roli. Nie rysy, lecz wyraz twarzy nadawał im obu ten powab, który serca ku nim pociągał. Za toż pełnym blaskiem urody jaśniała starsza panna Bécu (Aleksandra), ze wspaniałą postawą Pallady łącząca wdzięk typowej polskiej piękności, błękitnookiej, pogodnej, łagodnej; podczas gdy młodsza jej siostra (Hersylia) i młodsza siostra pani Balińskiej (Ludwika Śniadecka) odznaczały się, przeciwnie, typem raczej wschodnim, na wzór jakiejś Greczynki czy Arabki. Tu wszakże muszę nadmienić, że ani rodzaj urody, ani rodzaj inteligencji panny Ludwiki, wprawdzie rozwiniętej szeroko i silnej, lecz

nastrojonej na ton byroniczny, nigdy do mego współczucia \* i upodobania nie trafiał; a nawet, że i wszyscy dzielący mniej więcej usposobienie moje, podobnegoż doznawali wrażenia. W chwili wszakże, o której tu mowa, chwili mi na zawsze pamiętnej, ja, zajęty rozmową pań starszych, nie miałem nawet czasu do obserwowania panienek.

Nigdy bym jednak sam przez się nie ośmielił się wtedy kontynuować tej znajomości, którą mi traf niespodziany nadarzył, gdyby pani Bécu przy wyjściu, gdym im jako syn domu do odziewania się w przedpokoju pomagał, nie zaproponowała mi pierwsza, abym je odprowadził do domu. Pani Balińska z siostrą powozem odjechały do siebie; ja reszcie dam towarzyszyłem piechotę, Julka przy tym trzymając za rękę. Trotoarów jeszcze w Wilnie nie było, a ruch sanek na ulicy był wielki. Czuwałem więc troskliwie nad malcem, a i to mi też może nieco pierwsze względy matki zjednało.

Sam pan Bécu, profesor patologii w Uniwersytecie Wileńskim, człowiek gładki, światowiec i dworak z natury, żył chętniej w wyższym towarzystwie światowym niż w gronie profesorskich kolegów; z wyjątkiem wszakże domu obu Śniadeckich, z którymi ścisła łączyła go przyjaźń. Dom też jego nastrojony był raczej na elegancki ton wyższego świata. Córkom dał wychowanie umysłowe świetne, a że sam wielki znawca i lubownik muzyki, talent do niej i głos śliczny z natury w obiedwóch do sztuki prawie rozwinął. W obejściu z młodzieżą, która u nich bywała, a której wybór żonie wyłącznie zostawiał, był on zawsze tylko obojętnie grzecznym.

A miałem też prawdziwe szczęście zjednać żywą i uprzejmą życzliwość dwóch innych osób w tym domu, które w nim, w braku obcych gości, co dzień zwykle wieczorne towarzystwo składały. Byli to: brat samej pani, Teofil Januszewski, i ówczesny gubernator Julka, p. Hipolit Błotnicki. Pierwszy mieszkał osobno w mieście, jako amator poświęcał się malarstwu i zakochany był w pannie Hersylii, z którą się też na koniec w lat kilka potem ożenił. Był to człowiek niezmiernie miły i dobry, z usposobienia podobny do siostry: pełen prostoty, otwarty, łagodny; przejmujący się łatwo i żywo każdym pięknym, szlachetnym uczuciem i lubiący zarazem zastanawiać się nad nim psychicznie, co często było

---

\* sympatii



powodem do żywych rozpraw czy dysput, w których wszyscy braliśmy udział. Pan Hipolit Błotnicki, uczony literat, tłumacz z oryginału sławnej powieści Goldszmidta *Vicar of Wakefield*, odznaczał się spokojem i rozważą w rozmowie, a zdania jego, zawsze wyważone i ściśle określone, w przedmiotach zwłaszcza naukowych, były zwykle wyrocznią i nauką dla wszystkich. A i on też, jako prawdziwy Mentor\*, zdawał się mieć w nich zawsze na względzie obecność swojego ucznia, Julka, który ten tylko czas przy herbacie w salonie z matką i siostrami przebywał i zaraz po niej do pokoju swego odchodził. Nie ma, zda się, potrzeby mówić, jak tego rodzaju rozmowy musiały i mogły wpływać na umysły młodych słuchaczy. Julek natenczas jeszcze nie brał w nich udziału, ale z jego błyszczących oczu, z wyrazistej i ruchliwej twarzyczki znać było, jak wszystko, co słyszy, rozważa i czy to w myśli swojej potwierdza, czy przeczy. W ogólności, póki był pod opieką p. Błotnickiego, nie zauważyłem w nim nigdy owego pierwiastka pychy, który potem coraz to częściej na jaw wychodzić zaczynał, wyrażając się już to głośnym sarkazmem, już ironicznym tylko uśmiechem na ustach. Bolało to zawsze matkę, tym bardziej że nigdy cienia nawet ironii i pychy w sercu jej i usposobieniu nie było. Miało to być w nim podobno, jak mówiono, spuścizną po charakterze ojca, tak jak niezawodnie po matce wziął on nerwową wrażliwość, bujną imaginacją i w ogólności usposobienie poetyczne – z wyjątkiem wszakże kochającego jej serca i zapominania o sobie.

Brak ten od dzieciństwa czuć w nim zawsze było, przy najszlachetniejszych zresztą uczuciach i zdolnościach nad lata. W ogólności był w nim jakiś osobliwszy pierwiastek, może nawet niezależny od woli, który wybitną cechę temperamentu jego stanowił. Zdawałoby się, że nie mógł znieść długo jednostajnego, spokojnego, choćby najmiłszego stosunku; tak go lubił sam dobrowolnie, bez żadnej ku temu przyczyny i bez żadnego w tym celu, zamącać. Celem chyba było może dla niego, ale i to chyba bezwiednie, że, poczuwszy się wreszcie do winy (co zwykle następowało, gdy już widział, że dobrze dokuczył), stawał się lepszym w sobie i tkliwszym dla tych samych, w których udręczaniu przed chwilą zdawał się znajdować przyjemność. Bywało tak nieraz i z matką, która w nim tylko i dla niego żyła; ale ja to widziałem najczęściej w stosunku jego z przy-

---

\* Opiekun i wychowawca syna Odysa, Telemacha.

branymi siostrami, z kochającym go szczerze Ludwikiem Spitznaglem i na koniec z Józefem Massalskim, który przy nim w r. 1822 miejsce pana Błotnickiego zastąpił. Obie panienki kochały matkę jego jak własną, bo i ona była też dla nich jak prawdziwa matka rodzona. Julka przetoż pieściły także, jak własnego młodszego braciszka, a i on niemniej szczerze przywiązany był do nich. A przecież, ileż to razy widziałem je zalane łzami, gdy im Julek do żywego dokuczył, pewny, że się nie poskarżą przed matką, ażeby jej przez to nie zmartwić. Zwyczajnym w takich razach pośrednikiem lub sędzią pomiędzy nimi bywał wujaszek jego, p. Teofil, który znał go także na wylot i umiał z nim sobie poradzić; ale co biedny Massalski, to formalnie nieraz w głowę zachodził\*. Nazywał go też żartem *mon petit diablotin* \*.

Ale skoro ów paroksyzm przeminął, był to znów miły, żywy, wesoły i dowcipny chłopczyk, z którym nawet już wtedy można było z przyjemnością pogadać, dopóki go znów jakaś mucha nie ukłuła. W oderwanych także uczuciach i wyobrażeniach moralnych był on zawsze czystym, prawym, szlachetnym, a mianowicie nigdy pospolitym. Wobec jednej tylko panny Ludwiki Śniadeckiej, którą adorował od dziecka, był zawsze jednostajnie słodkim i uległym; może, iż czuł w niej właśnie ten sam pierwiastek, co w sobie, którego bał się podrażnić; czyli, jak mówi przysłowie, że trafiła kosa na kamień. A jednak i ta sama panna Ludwika, która zawsze brała jego obronę, gdy się jej raz formalnie jak dojrzały kawaler\*, jadąc obok niej konno, oświadczył, musiała przyznać przed siostrą, że pycha w nim była nad lata.

Antoni Edward Odyniec: *Wspomnienia z przeszłości...*, jw.

### *Pod polską banderą*

Juliusz dla bezsilnego składu\* w szeregach (wojsk powstańczych) walczyć nie mógł, walczył zapalem, podniecając go pismami swoimi. A kiedy po bezskutecznej dyplomacji z dworem moskiewskim udano się o in-

---

\* odchodził od zmysłów

\* moje małe diablę (franc.)

\* Miał wówczas lat 13.

\* słabego organizmu

terwencję zagranicznych, Słowacki wyprawiony z poleceniem do Ludwika Platera, pełnomocnika rządu ówczesnego w Paryżu, a stamtąd do Wielogłowskiego, zebrzącego dla Polski w Londynie, popędził. Piękna to była chwila dla Juliusza! Mieszkańce Douvres skupieni na brzegu widokiem obcej im flagi, bo Słowacki, nie znalazłszy paropływu, najął niewielki statek i banderę polskiej barwy na nim zatknął. Dowiedziawszy się, że to flaga z dawna zasłużonego wolności, a dziś krwią dobijającego się o własną wolność ludu, [publiczność] okrzykami powitała, na rękę uniosła młodego gońca ze statku i lotem postawiła go wśród Londynu...

Wyjątek z gawędy Teofila Januszewskiego, cytowanej przez Stanisława Pigonia w artykule *Do biografii Juliusza Słowackiego — nowe materiały*, „Ruch Literacki” 1933.

### *W Szwajcarii*

W okresie, gdyśmy przez czas jakiś mieszkali razem u pani Pattey, [Słowacki] zżył się z nami i stosunek wywiązał się bardzo serdeczny. Szczególnie dobrze był ze mną, do czego w części przyczyniła się okoliczność, że nas związała... tajemnica. Rzec się miała tak. Któregoś popołudnia — a było to już w Pâquis — zebrało się u nas kilka osób. Między innymi przyszedł także Słowacki. Ponieważ dzień był prześliczny, więc towarzystwo całe siedziało w ogrodzie na ławce, która — szczegól to ważny — stała w ten sposób pod ścianą domu, że siedząc na niej, było się plecami odwróconymi do okien i otwartych drzwi salonu, z którego wprost wychodziło się do ogrodu. Dodać winnam, że zajmowane przez nas mieszkanie posiadało dwa sąsiadujące z sobą saloniki — jeden wspólny i jeden mojej matki, w którym stał fortepian. Każdy z saloników tych, prócz drzwi, którymi się łączyły z sobą, posiadał oszklone drzwi od ogrodu, przez które ze dworu widziało się wszystko, co się działo wewnątrz. Otóż była chwila, że siostra moja grała na fortepianie, towarzystwo zaś całe, siedząc przed domem, słuchało w milczeniu. Pomiedzy słuchającymi nie brakło i Słowackiego. Ja tymczasem, jako zbyt młoda jeszcze, by się znać na muzyce, nie mogąc ustać spokojnie, bawiłam się skakaniem przez sznur. Ponieważ fortepian stał *vis à vis* drzwi oszklonych, więc zwrócona do nich twarzą widziałam doskonale Marynię, jak grała. Słowacki, zasłuchany, widocznie był pod wrażeniem muzyki. Nagle widzę, że przechodzi koło pań, obchodzi dookoła róg domu i zmierza ku otwartym drzwiom

owego drugiego saloniku, dostaje się tamtędy do pokoju mej matki, zbliża się na palcach do grającej, a tak ją zachodzi z tyłu, że go w pierwszej chwili dojrzeć nie mogła. Klęka przed nią, całuje rąbek sukni, po czym wstawszy zmierza ku oszklonym drzwiom, przez którem go wciąż obserwowała, i łączy się z nami, stając znów na swym dawnym miejscu. Nikt prócz mnie nie widział tej niemej, a tak wymownej sceny, rozegrała się bowiem poza plecami towarzystwa. Nawet Marynia nie widziała, co się stało: widziała tylko przechodzącego przez pokój i zmierzającego ku drzwiom poetę... Chcąc dać do zrozumienia Słowackiemu, że ten sentymentalny hołd z jego strony nie uszedł mej bacznosci, że wszystko widziałam doskonale, rzuciłam sznur i naśladowując poetę minęłam siedzące na ławce damy, obeszłam róg domu i wszedłszy owymi drugimi drzwiami przez salonik wspólny do saloniku matki, gdzie Marynia wciąż jeszcze grała w dalszym ciągu, podeszłam do niej, przyklękłam, podniosłam do ust rąbek jej sukni, co uczyniwszy, tymi samymi drzwiami, co przed chwilą Słowacki, weszłam do ogrodu na dawne miejsce i znów zaczęłam skakać przez sznur. Podobnie jak i przy pierwszej scenie, nikt z obecnych nie zauważył, co się stało! Jedyny wyjątek stanowił pod tym względem Słowacki, który, wodząc za mną oczyma, widział wszystko, com uczyniła, a zrozumiawszy moją, przyznając, iż złośliwą trochę, intencję, pobladł i zmieszał się... Wprawdzie, gdy Marynia wstała od fortepianu, nic ze mną o całej tej sprawie nie mówił (choć niejednym błagalnym spojrzeniem zdawał się mnie zaklinać o dyskrecję), ale miałam go od tej chwili w ręku. On zdawał sobie z tego sprawę, a że pragnął, by to zostało w tajemnicy pomiędzy nami, więc był po prostu, jak to mówią, na łapkach wobec mnie...

Relacja Józefy z Wodzińskich Kościelskiej, cytowana w książce Ferdynanda Hoesicka *Słowacki i Chopin*, Warszawa 1932.

W ciągu dwugodzinnej a milej nad wyraz pogadanki opowiadała nam Eglantyna wiele ciekawych szczegółów o życiu i charakterze młodego przyjaciela. Był on nadzwyczaj staranny tak w ubraniu, jak we wszystkim, co go otaczało. Mimo że zasiłki, jakie otrzymywał od matki i od wydawców, nadzwyczaj były szczupłe, nie brakło mu nigdy pieniędzy. Porządny w prowadzeniu rachunków, strzegł się najmniejszego długu; nic nigdy nie potrzebował od nikogo, sam jednak chętnie przychodził w pomoc drugim, o ile pozwalała mu na to możliwość...

Cichy, smętny, melancholiczny poeta nasz pracował bez ustanku. Jeśli, strudzony, porzucił na chwilę pióro, wygrywał na fortepianie ulubione melodie, niekiedy znów chwycił ołówek albo pędzel i kreślił pełne wdzięku szkice, to z otaczającej go, a tak bogatej przyrody, to niekiedy ze wspomnień zachowanych w sercu głęboko. Spomiędzy tych ostatnich darował Eglantynie wykonany gwaszą \* widok botanicznego ogrodu w Krzemieńcu, gdzie zbiegły jego dziecinne lata. Pod rozłożystymi topolami stała maleńka ławeczka, na której siadywał zwykle z matką.

Wszyscy w domu kochali Juliusza, wszyscy odgadywali w nim coś wyższego. Kochała go szczególnie maleńka Matyldka, pięcioletnia siostrzenica i wychowanka Eglantyny. Poeta zabierał ją często do pokoiku swego i pałac fajkę rozповідаł jej fantastyczne powieści. Obiecywał dziewczynce, że jak urośnie, ożeni się z nią i zawicze ją do Polski, a kraj to prawdziwych cudów, piękniejszy od Szwajcarii i wszystkich krajów świata.

– Pojedziemy tam – mówił – prześliczną karetą, okna w niej całe z różowych karmelków. Pola nasze i łąki posypane cukrem zamiast śniegu; po Wiśle pływają statki ukute ze szczerego złota, oświecone płomieniami palącego się ponczu.

Matyldka wierzyła tym cudownym powieściom, a kiedy Juliusz odjechał, gwarzyła ciągle o nim, pytała ciotki, rychło wróci i weźmie ją do Polski.

Nie wrócił już poeta, ale Matyldka w kilka lat potem zamieszkała z rodzicami w Paryżu. Tam widywała znów Juliusza. Nie był to już ów piękny młodzian, którego znała w Pâquis; lica jego pożółkły, oko zapadło, w ustroju duchowym większa jeszcze nastąpiła przemiana. Myśl poety nowy przybrała kierunek, spoważniała, skupiła się w sobie, oderwała od ziemi...

Seweryna Duchńska: *Wspomnienie o Juliuszu Słowackim*, „Biblioteka Warszawska” 1874.

### *Pierwszy słuchacz «Mazepy»*

Z tragedią Juliusza Słowackiego *Mazepa* łączy się dla mnie osobiste wspomnienie, któremu niechaj wolno mi będzie krótki poświęcić tu ustęp.

Było to w Paryżu w grudniu roku 1839. Na pierwszym piętrze niepo-

---

\* nieprzezroczystymi farbami wodnymi

zornego domku z nadpisem „*Maison meublée*” przy ulicy St. Nicolas d'Antin (nr 24) mieszkał wielki poeta. Mnie losy przyjazne pomieścili tuż obok niego, na tym samym piętrze, drzwi we drzwi. Zabrana już poprzednio znajomość skutkiem bliskiego sąsiedztwa ścięła się. O lat osiem ode mnie starszy, Słowacki, opromieniony już blaskiem geniuszu i powszechnym niemal jego uznaniem, jaśniał męską powagą; ja zaledwie wstąpiłem w lata młodzieńcze. Z tym wszystkim serdeczna jego natura nie odpychała mię, owszem, im skromniej ja usuwałem się na bok, tym on mnie życzliwiej poszukiwał i ciągnął do siebie. Tryb jego życia był wtenczas dość jednostajny: czytywał i myślał. Rzadko kiedy tylko widywałem go spisującego drobne notatki; reszta czasu schodziła na poufnej gawędce z odwiedzającymi go znajomymi lub ze mną, a że, z wyjątkiem pory obiadu, nie zwykł całymi prawie dniami z domu wychodzić, nudy długich wieczorów skracał szachami, w które grywaliśmy to u niego, to u mnie. Grał nieszczególnie, ale z zapałem; każda partia przegrana widoczną sprawiała mu przykreść, każda wygrana cieszyła go niewymownie. Z żalem teraz niekiedy wspominam, iż nie miałem jeszcze wówczas dosyć, sam nie wiem, czy delikatności, czy zastanowienia, by mu ulubione te zwycięstwa zρέcznie ułatwić.

Pewnego wieczoru, gdyśmy dobrze już po północy trzecią czy czwartą partię skończyli:

– Jutro – rzekł mi – i przez dni kilka grać nie będziemy.

– Czy pan wyjeżdżasz? – spytałem go.

– Nie, ale zamykam się. Mam robotę, która mnie czas jakiś potrzyma, a najlepiej wtenczas lubię odosobnić się zupełnie od świata. Nie przyjmuję nikogo, oprócz jednej pani Durand\*, która pamiętać będzie o moim obiedzie.

Posłuszny jego woli, przez dni kilka nie zachodziłem do niego, chociaż paliła mię żywa ciekawość dowiedzenia się, nad czym pracuje. Wprawdzie niemal mogłem być pewny, iż będzie to dramat, zamiłowanie bowiem jego dla tego rodzaju poetycznego było wtenczas w swoim zenicie, a zwłaszcza „piramidalność” (jak się wyrażał) akcji scenicznej, którą wykazywał po szczególe we wszystkich tragediach Shakespeare'a, bywała częstym rozmowy jego tematem. Szóstego dnia przed wieczorem, kiedy,

---

\* portierki

wróciwszy z obiadu, właśnie wchodziłem do siebie, Słowacki uchylił drzwi od swojego pokoju. „Dobry wieczór! – rzekł – już skończyłem. Rozbierz się pan i przyjdź do mnie.” Nie potrzebował mi tego powtarzać dwa razy; za chwilę byłem u niego. Przyjął mnie w humorze tak złotym, w jakim go nigdy nie widziałem poprzednio. I dopiero dowiedziałem się teraz, że od dawna nosił się z planem do dramatu, którego bohaterem miał być Mazepa, a do którego pierwszy powziął asumpt z poematu Byrona, że tworzył siedząc i leżąc samotnie, czytając, niemal rozmawiając z innymi, że gdy zasiadł do napisania tytułu i pierwszej sceny aktu pierwszego, nie tylko cały scenariusz miał wynotowany jak najdokładniej, ale rzecz całą do szczegółów najdrobniejszych odrobioną i wykończoną w swej głowie – że ponieważ wiersze płynęły mu *plume volante*\*, nie potrzebował właściwie nic więcej, jak tylko kopiować z własnej pamięci, zwłaszcza że mnóstwo nawet tych wierszy tkwiło w niej od chwili pierwszej koncepcji.

Tak więc, nie dając wprawdzie ani chwili wytchnienia i pracując codziennie po godzin szesnaście, w ciągu pięciu dni napisał pięć aktów i dopiero gdy skończył, odczytał dnia szóstego swe dzieło, rzadkie tu i ówdzie czyniąc w nim jeszcze poprawki. „Teraz – dodał – posłuchaj pan, jeśli zechcesz; jaszczem dotąd tego na głos nie czytał.” Że zaś grzeczności, choćby najszczerszych, nie lubił, a ja znów nigdy nie miałem usposobienia do gadania komu w żywe oczy pochwały, która mogłaby się tamtemu wydać pochlebstwem, więc tłumilem w sobie żywą swą radość i milcząco usiadłem na krześle, które przy biurku swoim mi wskazał.

Trzeba było znać Słowackiego i posłyszeć go kiedy deklamującego, choćby nie własne swe wiersze, by mieć pojęcie o niewymownym wrażeniu, jakie wieczór ów niezatartymi głoskami zapisał na zawsze w mojej pamięci. Pełny i dźwięczny organ piersiowy poety zdolny był do modulacji najrozmaitszych, do rzewnej miękkości i do siły patosu. Słowa płynęły mu niewstrzymanym potokiem; dwa razy tylko, w akcie drugim i piątym (dobrze miejsc już nie pomnę), zatrzymał się i zadumał – widocznie był on jeszcze pod wpływem tworzenia. Nareszcie skończył, a ożywienie wewnętrzne było tak wielkie, że nawet, pomimo istotnego wysiłku, pomimo wątłości tej na wpół eterycznej postaci, nie znać w niej było ani śladu znużenia. I ja uległem bezwiednie genialnej potędze: za całe podziękowa-

---

\* lotnym piórem (franc.)

nie silnie ścisnąłem mu rękę; on niemy ten poklask życzliwie zrozumiał.

Prosiłem go, żeby po sześciu dniach dobrowolnej rekluzji\* wyszedł zaczerpnąć cokolwiek powietrza. Prawda, że aura była fatalnie jesienna, on też propozycji mojej nie przyjął; ustawił natomiast szachownicę do walki.

Gdyśmy skończyli, a było wcześniej niż zwykle, i ja zabierałem się do wyjścia:

– I cóż? – odezwał się do mnie z właściwym sobie tonem lekkiej, dobroduszej ironii – i cóż powiesz mi o *Mazepie*?

– Później powiem, jeśli pan żądasz – odrzekłem – pozwól mi wrzód zebrać swoje wrażenia i myśli.

Z wyjątkiem jedynej uwagi, którą mu zrobiłem nazajutrz co do bohaterstwa tragedii, do którego podobno przeznaczał Mazepę, a które, jak mi się zdawało, rozdzieliło się tu między trzy czy cztery osoby, odpowiedź na zapytanie owo pozostałem mu dłużny. On się też więcej do niego nie wracał...

Fryderyk Henryk Lewestam: *Mazepa*, „Kłosy” 1873.

### *Wiosna poznańska 1848 roku*

Na wieść o wybuchu w Berlinie, a dwie doby później w Poznaniu śpieszyło z Francji wielu rozmarzonych nadzieją i szczęściem wychodźców do miasta naszego, w gościnę do ludzi osobiście lub z rozgłosu tylko znanych. Dzięki pani Bibiannie Moraczewskiej schronił się do rodziców moich (Piekary nr 12, I piętro, wówczas dom dr Gąsiorowskiego) jeden z pielgrzymów, a nim był – Juliusz Słowacki.

Syt pracy i sławy, wracam pod wieczór do domu i słyszę zdumiony i zachwycon, że ot – w tamtym pokoju dopiero co się rozgościł Słowacki! Jedna jedyna ściana między mną a – poetą! Nigdy poprzednio oczy moje nie padły na takie zjawisko, a tu od razu wielki Słowacki! Odtąd widywałem go co dzień po dwakroć przynajmniej, wśród wspólnych obiadów i wieczerzy, przez cały miesiąc kwiecień, do maja początków. Zrazu był swobodniejszym, później coraz, coraz to więcej ponurym. Zrazu częś-

\* odosobnienia



cię zabierał głos, to ożywiając nas wspomnieniami swej po Włoszech, po Wschodzie podróży, to o najosobliwsze trącając przedmioty. Młody chłopak, ogarniać nie mogłem jego myśli, tak dla mnie nowej, zdumiewającej; co przechowały pamięć i pojęcie, powtórzyć śpieszę.

– Poznałem dziś nowych osób kilkanaście – opowiadał dnia któregoś, wróciwszy z miasta – i dziwna! jak tych osób nazwiska zgadzają się z pozorem, charakterem lub ich życia przygodami. Dawniej bo dawano ludziom przydomki według ich właściwości, cnót czy przywar albo znaczniejszy życia wypadek bywał powodem nazwiska. Otóż spostrzegam nie od dziś, iż wraca pora, w której ludzie mimowolnie i bezwiednie zaczynają nosić nazwiska nader trafne, jak gdyby umyślnie dobrane!

Tak prawiąc poparł Słowacki szczególne te spostrzeżenia kilku przykładami. Na to z kącika odzywa się mój brat młodszy, dwunastoletni kawaler:

– Dziwne to, ale wierzę. Toteż pan, mistrz Słowa, nazywa się doskonale: Słowacki!

I oto najpewniejszy siebie, najdumniejszy z poetów stanął nagle bez wyrazu, zakłopotany, rzekłbym prawie: zarumieniony, wobec tak niespodzianej malca uwagi. Wstrzymując zapęd dalszych dowodów, pochwycił chłopca, uściskał, łajząc żartobliwie niemiłosiernego wyznawcę głoszonej nauki.

[Kiedy indziej:]

– Majorze – pyta Słowacki ojca mojego wobec nas wszystkich – jakież to cios straszliwy okaleczył panu widocznie jednym zamachem rękę obie i nogę?

– Byłem w tylnej straży, zasłaniającej odwrót Francuzów pod Berzyną – począł ojciec. – Ugodzony kulą w nogę, padłem; pochwycili mię towarzysze, a przed natarczywym uchodząc nieprzyjacielem wieźli mię bez spoczynku do Wilna samego. Przepełnione tu już były wszystkie lazarety, złożono mnie tedy w sieni mieszkania dr Bécu, polecając jego opiece. Ale Bécu łotrem był zawsze, duszą całą oddanym Moskwie. Napiętnował go też Mickiewicz w *Dziadach*, strasznie, ale sprawiedliwie. Pan, panie Słowacki, wychowany w Wilnie, to niewątpliwie dosyć nasłuchałeś się o tym nikczemniku. Owóż Bécu przez nienawiść do wszystkiego, co polskie i francuskie, tyle był bezsumiennym, że mię kazał wyrzucić do mroźnej, śniegiem zasypanej stajni i ani spytał o mnie. Trzeciego dnia przy-

chodzą do mnie troskliwi koledzy – i prawie trupa przenieśli do szarytek. Po takiej kuracji u pana Bécu trzeba było amputować odmrożone, zgangrenowane członki, a ranną nogę zaledwie w pół roku wygojono.

Słowacki milcząc słuchał i nie poznał nikt, że opowiadanie głęboką zadaje mu boleść. Po dniach potyczek, które od ksiąskiej szybko po sobie następowały, znajdował się mój ojciec sam jeden w mieszkaniu, gdy o niezwykłej porze wszedł do niego Słowacki, smutniejszy niż kiedy, zgnębiony, drżący.

– W tej chwili była u mnie policja; każe mi wyjeżdżać do Francji natychmiast, najpierwszą pocztą, za godzinę. Policja groźna, wszelako oprę się jej, jeżeli do tego czasu nie prześlągam majora! – Poeta mówił uroczyście; zdziwiony ojciec pojąć nie może, do czego zmierza, aliści poeta z trudem wyraźnym to tamując, to przyśpieszając oddech, coraz więcej zagadkowe wyrzuca słowa. – Winowajcą jestem wobec majora, niestety! naprawić nie mogę zadanej krzywdy. Nie umrę spokojnie, jeżeli nie odpuścisz. Godziny życia mego policzone, nie spotkamy się więcej tu, to jedyna, to ostatnia chwila prosić o przebaczenie, uzyskać i cichszego już ducha oddać Bogu.

– Na miłość tego Boga – wołał zdumiony ojciec – tu chyba pomyłka lub potwarz złych ludzi stanęła między nami. Cóż mnie pan zawinić mogłeś?

– Okropna prawda, własnymi majora usty niedawno wypowiedziana, albowiem... – tu ze łzami w oczach pochylił się do ramion mego ojca, ze złamanej piersi wyraz każdy gwałtownie rzucając z boleścią – ów łotr, ów łotr był moim ojczymem.

– Więc raczej pan mnie odpuść, że tak przez nieświadomość ranilem ci duszę – zakłopotany odparł ojciec – w każdym razie sam nie zawiniłeś mi nigdy w niczym.

– Według Pisma – wołał Słowacki tonem uroczystym – winy ojców na czwarte spadają pokolenie.

– Ależ Bécu nie był ojcem twoim.

– Bécu był małżonkiem matki mojej, wraz z nią mię wychowywał, a tak stał się drugim ojcem. Ja czuję, że ta straszna wina przybranego ojca czyni mię spółwinowajcą, to brzemień karcąc spadło mi na duszę, na ciężką skazuje mię pokutę, wzbrania mi opuścić próg ten, póki nie dostąpię przebaczenia.

Zbyteczne dodać, jak pośpiesznie ojciec mój wyrzekł to żądane, a tak łatwe przebaczenia słowo. Obaj ci winowajcy pojednani padli sobie w objęcia.

Julian Bukowiecki: *Z moich wspomnień o Słowackim*, „Dwutygodnik dla Kobiet” 1881.

### *Wspólny nocleg*

Zjazd był w tym czasie nadzwyczajny. Po hotelach ścisk, tłok, nie było gdzie stanąć, gdzie zjeść, ze służbą w zajazdach ani gadania, o kwatery bić się trzeba było.

Zduszony, zgnieciony, znalazłem sobie wreszcie stancyjkę na trzecim piętrze, licha, ciasną, na którą bym w każdy inszy czas plunął, ale wtedy i z tej byłem kontent.

Ledwiec się rozgościł, zbiegam na dół, żeby sobie wody bodaj z wiadra czerpnąć – patrzę, stoi na dole schodów mały, niepokazny człowieczek i klnie, na czym świat stoi. O co? – stancji nie ma. Torba podróżna przy nim, w twarzy duże zmęczenie, jakoś i nie na bogacza patrzył... Więc tknęło mnie to i mówię:

– Ha, to może byśmy razem jakoś... stancję mam...

– A gdzież ona? – zapytał dość opryskliwie.

– Tu – mówię – na trzecim.

– Idźmy zobaczyć – on na to.

Zdziwiło mnie trochę, że nie dziękuje i tak jakoś bez żadnej polityki, ale nic, idę. Idę przed nim, ten za mną; jużem i o wodzie zapomniał. Ciężko mu widać było, bo dyszał i przystawał. Aż nareszcie na dobre stanął i kaszleć zaczął.

– Gdzież mnie pan, u licha, prowadzisz! – rzekł wykaszławszy się. – Na strychu czy co?

Nie odpowiedziałem... Ja tu dla niego jak najlepiej, a ten jakby mi łaskę robił. Podyszał, postał, potem ruszył. Weszliśmy. Mój gość, jak stał, tak cisnął na stołek kapelusz i nie zdejmując dużego pledu, który mu z chudego grzbietu zwisał, zaczął po izbie chodzić sporym krokiem. Do mnie – ani słowa... Irytowało mnie to, ale rzekłem:

– Jestem Darowski... Weryha...

Przystanął, podniósł głowę i utkwiał we mnie oczy, jakby tylko głos słyszał, a słów nie rozumiał. Aż po chwili rzekł:

– Aa! – kiwnął głową, niby akceptując moje nazwisko. Po czym znów dalej chodzić po izbie zaczął... Przeszedłszy jeszcze z dziesięć razy stancję od okna do proga i od proga do okna, zatrzymał się nagle przede mną i rzekł:

– Ale to tam torba moja w sieniach została.

Mówił to takim tonem, jakby oczekiwał, że mu pójdę po nią. Tego już mi było za wiele.

– Przepraszam – rzekłem siląc się na spokój. – Z kimże mam przyjemność?...

Na to on:

– Ale co za przyjemność, mój panie? Tu nie ma żadnej przyjemności. Izba jak klatka, zmęczony jestem, zbity drogą tak, że ledwie żyję, i cóż tu za przyjemność?...

Drwi... – myślę sobie, a żółć kipi we mnie. Z lasu czy co – myślę – że z ludźmi gadać nie umie. Hamuję się wszakże i rzekę:

– Jak jest, to jest, ja jako gospodarz tej izby czy klatki przedstawiłem się panu i rad bym nawzajem wiedzieć, kogo mam za gościa...

Tak mu już musiałem łopatą wyłożyć i aż mnie za niego wstyd było. Mówiłem, a on chodził. Chwilę trwała cisza.

– Słowacki – burknął wreszcie nie przerywając wędrówki...

Zaniemiałem...

– Sło... Ju... Juliusz Słowacki? – buchnęło mi nareszcie z piersi, a jużem myślał, że mnie głos rozsadzi.

– A Juliusz, Juliusz! – rzekł gość machnąwszy ręką i nie patrząc na mnie chodził dalej. Sam nie wiem, jakem po torbę zleciał i jakem ją do izby wniósł. Ręce mi latały, serce tłukło się we mnie i wszedłem cicho na palcach, jakby do kaplicy. Gość chodził jeszcze... Prosiłem, aby kwatere, choć mizerną taką, przyjął dla siebie, a ja gdziekolwiek pójdę... Zatrzymał mnie.

– Nie, nie pozwolę na to! Pomieścimy się jakoś...

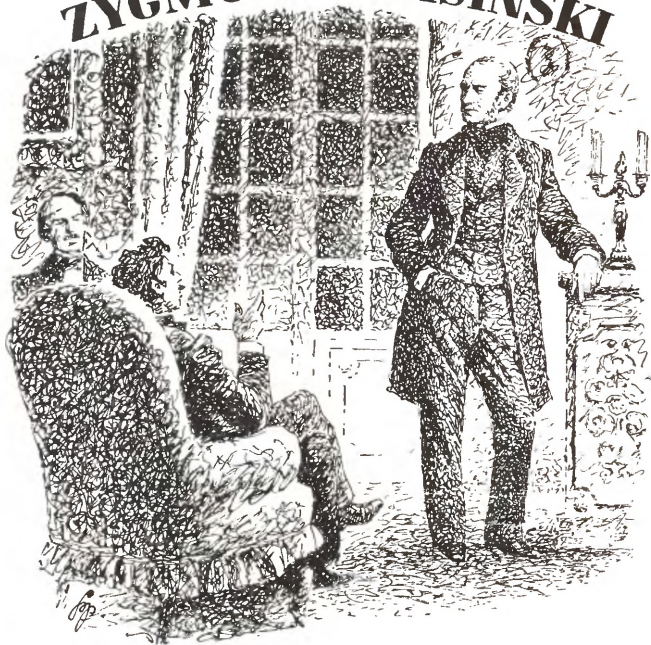
Rzuciłem się łóżko rozścielać, po czym, żeby mu zostawić spokój, wybiegłem na miasto. Gdzie, jak – sam nie wiem... Wpadałem na ludzi, trącałem się o latarnie, zupełnie jak pijany... Gdym wrócił – a wracałem jak złodziej, podnosząc klamkę, żeby nie zgrzytnęła – Słowacki leżał już.

Nie na łóżku jednak, którem rozesał dla niego, ale na wąskiej, twardej sofce, przykryty szalem i z torbą pod głową. Czy spał, nie wiem. Oczy miał zamknięte, na mizernej, bladej twarzy głębokie cienie, skronie zakłęsłe jakby po chorobie, chuda, przezrzysta ręka zwieszała się spod szala. Jaki duch bił z tej głowy na mnie, tego nie opowiem. Zbliżyłem się na palcach, a widząc, że nim dreszcz wstrząsa, okryłem mu nogi podróżną burką moją. Wtedy nie poruszając się podniósł na mnie oczy ciemne, smętne i patrzył, po czym bez słowa rękę do mnie wyciągnął. Myślałem, że mi serce pęknie. Rzuciłem się do tej ręki chudej i okryłem ją gorącymi pocałunkami, trzęsąc się cały z tłumionego łkania, aż czując, że nie strzymam, zerwałem się, uderzyłem we drzwi i w sieniach dopiero folgę sobie dając, ryknąłem płaczem.

Relacja Mieczysława Weryhy-Darowskiego wg artykułu Marii Konopnickiej *Słowo wyjaśnienia*, „Tygodnik Ilustrowany” 1893.



# ZYGMUNT KRASIŃSKI





## Portret dziecięcy

*J'ai vu hier un autre genre* \* polszczyzny, co bym była chciała ci przesłać. Jest to synek Krasińskiego, tego, co gwardie komenderował. *Il a trois ou quatre ans* \*. Noszą go po polsku, ale zupełnie tak jak Opaliński na portrecie w Sieniawie. Szarawary trochę na buciki spadają. Żupan bogaty, pas na żupanie i szuba na ramionach, szabla, kołpak i seledec \*. *C'est la chose du monde la plus extraordinaire et la plus gentille* \*. Przednią ma do tego minę, i jak pierwszy raz kogo widzi, tak zaraz oświadcza, że jest Zygmunt Krasiński.

Fragment listu Izabeli Czartoryskiej do męża z 19 lutego 1815 r. (Cyt. wg książki Józefa Kallenbacha *Czasy i ludzie. Z młodych lat Zygmunta Krasińskiego*, Warszawa 1905).

## Tragiczne przeżycie

W dniu obrzędu pogrzebowego [wojewody Bielińskiego] cała młodzież szkolna akademicka związała się słowem, iż się na prelekcjach rannych znajdować nie będzie, lecz że cała bez wyjątku uda się tłumem do kościoła. Cała więc znajdowała się na obrzędzie i gdy już trumnę złożono w katakumbach świętokrzyskich, hurmem rzuciła się na nią i tak, jak to już na pogrzebie Staszica uczyniła, obdarła obicie aksamitne trumny i kawalki z niego między siebie na pamiątkę rozdzieliła. Jeden tylko uczeń uniwersytecki, posłuszeństwem synowskim przymuszony, oddzielił się od swych towarzyszków. Był to młodzieniec siedemnastoletni, niskiego wzrostu, z żywymi oczyma, ruchliwej postaci, najznakomitszych zdolności, najbystrzejszego pojęcia. W latach jeszcze dzieciennych zadziwiał łatwą pamięcią, łaskomą żądzą nauki i żywym dowcipem. Powtarzano jego trafne odpowie-

---

\* Widziałam wczoraj inny rodzaj (ten i następne wtręty po franc.).

\* Ma trzy czy cztery lata.

\* Uczesanie na modłę kozacką.

\* Jest to rzecz najosobliwsza i najwdzięczniejsza w świecie.



dzi, a gdy jeszcze w domu ojcowskim pobierał nauki i miał zaledwie lat dwanaście, świadkiem będąc jego z nauk popisu, z wszystkimi obecnymi dość wydziwić się nie mogłem temu wszystkiemu, co już wtenczas umiał i jak to wszystko umiał. Wszedłszy do uniwersytetu, objawiającą się szlachetnością młodzieńczej duszy, zdradzającą się już gorącą wyobraźnią i połyskami ducha, silnie wpływał na wielu towarzyszków i wielu liczył przyjaciół. Młodzieńcowi temu ojciec zakazał znajdować się na pogrzebie Bielińskiego, a raczej żądał niepotrzebnie, aby w tym razie posłuszeństwem woli ojcowskiej udowodnił swoją miłość synowską. Dobry syn, z gorącą polską duszą, cierpiał, że tego rodzaju ofiary ojciec po nim wymagał; przewidywał, na co posłuszeństwem i ojca, i siebie narażał, przecież dopełnił jego woli i w zwykłych godzinach sam jeden z całej uniwersyteckiej młodzieży udał się do gmachu szkolnego. Młodzieńcem tym był Zygmunt Krasieński.

Właśnie przypadała prelekcja prawa polskiego profesora Bandtkego. Ten z właściwym sobie pedantyzmem, chociaż jednego tylko ucznia w sali zastał, dwugodzinną prelekcję odbył. Współuczniowie młodego Krasieńskiego po powrocie z pogrzebowego obrzędu, dowiedziawszy się o postępkach jego, zamiast uznać boleść towarzysza i uszanować cnotę synowską, przejęci byli oburzeniem przeciw ojcu i synowi, a podmówieni przez Leona Łubieńskiego, postanowili ukarać go publicznie. Na drugi dzień na prelekcji Osińskiego tłumnie zebrana była publiczność i szkolna, i inna; wchodzi do sali młody Zygmunt z głową do góry wzniesioną i śmiałym krokiem. Na wejście jego powstaje szmer powszechny i oznaki nieukontentowania. Lecz ukazuje się profesor na katedrze i hałas ucisza się. Po skończonej prelekcji z ławki najbliższej katedry z odwagą Zygmunt przechodzi przez salę, we drzwiach widzi się otoczony ściśnionym tłumem swoich współuczniów, którzy go gorzkimi wyrzutami przyjmują. Leon Łubieński między nimi przewodzi, powstaje zamieszanie, rzucają się na niego i obdzierają z munduru znaki akademickie. Po tym niecnym postępkach współtowarzyszów łatwo pojąć, jaka burza zawrzała w ognistej duszy Zygmunta, ile tam sprzecznych uczuć bój z sobą toczyło. Wyzwał on na pojedynek Leona Łubieńskiego, dawniej przyjaciela, wówczas najzaciętszego swego przeciwnika. Przeszkodzono jednak spotkaniu się dwóch niedojrzałych młodzieńców i obydwóch z uniwersytetu usunięto.

*Kartki z dziennika podróży*

Genewa, 12 sierpnia 1830 r.

Najmilszym wszakże dla mnie jest towarzystwo dwóch dawnych młodych przyjaciół z Warszawy: Augusta Zamoyskiego i Krasińskiego Zygmunta. Z pierwszym, wiesz, że przez dwa lata mieszkałem razem w Warszawie, a całe zaprzeszłe lato przepolowaliśmy na wsi w ordynackich dobrach jego ojca. Jest to najszlachetniejszy, najzaczniejszy młodzian, mogący ująć za ideał rozwagi i roztropności praktycznej. Kontrast najdoskonalszy z Krasińskim! który, przy najwznioślejszej także szlachetności uczuć i myśli, ma je wszystkie takie skrzydlate, że ciągle tylko bujają nad ziemią i są wiecznie w usposobieniu owego sokoła w *Wallenrodzie* Adama.

A kto wie, do jakiej wysokości wznieść go mogą te skrzydła, gdy ich burza, da Bóg, nie złamie albo wicher w bok nie uniesie! Rok ledwo, jak go raz ostatni widziałem w Warszawie, a cóż to już w nim za różnica! Rychtyk jak między panienką w krótkiej a długiej sukience. Tam był to jeszcze tylko bystry, sprytny, przenikliwy studencik; teraz, choć ma za ledwo rok osiemnasty, jest to już pełen siły i zapału młodzieniec, i genialny – jeżeli może jeszcze nie myśliciel, to przynajmniej marzyciel-poeta; chociaż wierszy zgoła pisać nie umie i w prozie tylko próbuje swoich sił. Prawda, że jest on też tu właśnie jak kwiat czy owoc dojrzewający na słońcu, to jest rozwija się i dojrzewa nie przez to tylko, że się uczy i myśli, lecz i że po raz pierwszy kocha się na dobre – jak młodzieniec, po poetycku. Miał on już i w Warszawie wielki zawsze ku temu pochop i ochotę, i przedmiotem studenckich jego westchnień i uwielbień była, nie wiedząca może o nich, pełna rozumu i uroku, wychowana prawie z nim razem, ale starsza od niego kuzynka, pani hrabina Z[ałuska], która czasowo potem w domu generała, jako opiekuna swojego mieszkała. Ja o tym widziałem przez to, że po każdym czwartkowym obiedzie, na których on jeszcze nie bywał, a ona przydygotała zwykle, jako jedyna dama i gospodyni domu, musiałem mu zdawać sprawę ze wszystkich jej słów u stołu, istotnie nieraz bardzo trafnych albo dowcipnych, a których on był ciekawszy niż literackich dysput z klasykami. Za toż teraz, jakby przez wdzięczność, obsypuje mnie konfidencjami o tej swojej nowej miłości, którą sam za prawdziwą już miłość uważa, i nie daje się wcale nawrócić

na promionkową naszą teorię wileńską, którą ja mu wszakże wykładam. Jest to obecnie węzeł, który nas tu łączy najściślej, tak jak w Warszawie niegdyś poezja łączyła. Ale co dziwne, to, że zimny, rozważny i surowy pan August jest dlań także w tym względzie Halbanem, to jest „i duszy jego spowiednikiem, i serca jego powiernikiem”, chociaż on sam i tę jego iskrzysto-gorącą, i tę moją obłoczno-tęczową teorię miłości zarówno głupstwem, bez ceremonii, nazywa, a tylko jedną sakramentalną za prawdziwą i świętą uważa. Ta wszakże różnica w poglądach nie tylko źle nie wpływa na ich wzajemny stosunek, ale owszem, tworzy pomiędzy nimi tę prawdziwie „szczęśliwą przyjaźń”, przez którą jeden drugiego ożywia i jeden drugiego hamuje. Pierwsza miłosna konfidencja przede mną wtajemniczyła mię też od razu i w ten rodzaj łączącej ich spójni. W dzień przyjazdu, zaraz po obiedzie u Klustinów przeniósłszy się na własne mieszkanie, które już dla nas pan Symon był najął (Place Molard), poszedłem do p. Augusta, którego adres wiedziałem, i z nim razem do Krasińskiego. Zostałem go na wyborze w podróż do Chamouny, dokąd najajutrz rano rzeczywiście wyjechał i onegdaj dopiero powrócił. Podróż ta miała się odbyć już pierwiej, ale opóźnił ją mój list przez Klustinów, to jest wiadomość o przybyciu Adama, którego chciał przedtem doczekać. Tymczasem pierwszy ten wieczór Adam przepędził u Klustinów i przeto ledwo onegdaj, po powrocie z Chamouny, mogłem ich między sobą zapoznać. My zaś we trzech cały ów wieczór przepędziliśmy razem, chodząc naprzód po mieście, które mi pokazywali, a potem, ponieważ czas był cichy i księżyc świecił prześlicznie, Zygmunt zaproponował żeglugę po jeziorze. Ma on własną swoją łódkę, jakby jeźdnego konia, której strażnikiem jest przewoźnik w porcie. On sam tylko i p. August byli wioślarzami. Pływaliśmy prawie do dziesiątej. I jezioro, i brzegi prześliczne! Płynąc około okien jakiegoś nadbrzeżnego domu Zygmunt powitał je zdjęciem kapelusza. Rozumiałem, że to był dom zamieszkiwany tu niegdyś przez Byrona, ale się dowiedziałem, że z tych to właśnie okien patrzyły piękne oczki Miss Harry, terażniejszej bogdanki Zygmunta, a pod które on nie tylko łódką, ale nawet i konno po wodzie podjeżdżał, a p. August wyznaje ze wstydem, że mu w tej donkiszotowskiej wyprawie, wbrew swemu przekonaniu i woli, przez słabość serca dla niego towarzyszył.

Miss Harry już od miesiąca wyjechała z powrotem do Londynu i pan Zygmunt o niczym więcej nie myśli i nie marzy, jak żeby mógł też co

rychlej stolicę Albionu oglądać. Bieda tylko, że jak Telemak w gościnie u Kalipsy, ma i on tu obok siebie Mentora\*, w osobie bardzo światłego i zacnego człowieka p. Jakubowskiego, który tu z nim razem przyjechał i któremu go ojciec porучzył w opiekę. [Ich kamerdyner] jest to wcale niepospolity człowiek i dlatego też względem Zygmunta nie gra on prostej roli służącego, ale jest raczej jak stary kapral przy młodym oficerze. Jest on z rodziny niemieckiej (nazywa się Lintner); ma postać poważnego Flamanda, ale bystry i przebiegły jak Francuz, a dowcipny i jowialny w guście polskim, bo się urodził w Polsce i wychował. Kocha on bardzo Zygmunta...

14 sierpnia 1830, Montreux (godzina 11 wieczorem)

Tryumf! Klaskajcie i ciescie się wraz ze mną! Jedziemy wszyscy razem.

Dziś rano o pół do dziewiątej zesłiliśmy się na statku parowym „Leman”, na którym mieliśmy razem płynąć aż do Vevey. Adam po wzięciu biletów poszedł jeszcze na pocztę, azali listów z Paryża nie znajdzie. Ja, zajęty zdaniem pakunku, a potem rozmową z Zygmuntem, nie dostrzegłem, jak wrócił i szedł do kajuty. Tymczasem dzwonią raz – dzwonią drugi – za pięć minut dziewiąta – jego nie ma! Szukamy go z Zygmuntem wśród ciżby na pokładzie – na próżno! Rozpacz mię ogarnęła – sam nie wiem, co począć? Czy go iść szukać, czy płynąć bez niego? Machinalnie wybiegłem na brzeg – i w tejże chwili zadzwoniono raz trzeci. Oglądam się – aż tu i Adam błądy wyłazi z kajuty, i Zygmunt bieży ku mnie, aby mi to oznajmić. Chcę wracać – ale już statek poruszać się zaczął i co gorsza, ściągnięto deski, które go z brzegiem łączyły. Prawdziwie odszedłem od zmysłów. Szczęściem Zygmunt znał kapitana, który na prośbę jego kazał zwiesić z pokładu jakieś drewniane wschodki czy raczej drabinę, o płaskich wprawdzie, ale wąskich szczeblach, na którą ja wprost z mostku przybrzeżnego skoczyłem i za pomocą podanej mi ręki Zygmunta i jego kamerdynera szczęśliwie jakoś dostałem się na pokład.

Po siedmiogodzinnej żegludze przy najpiękniejszej pogodzie, admirując nadbrzeżne równiny i góry, sami jak „w otchłani błękitu”, pomiędzy niebem a wodą, ciałem kołysząc się na falach, a myślami bujając na

---

\* Aluzja do pobytu Telemacha, syna Odysa, u pięknej nimfy Kalipso, kiedy młodzieniec wyruszył na poszukiwanie ojca pod opieką Ateny przebranej za Mentora.

wiatrach – o godz. 4 z południa wylądowaliśmy szczęśliwie w Vevey. Śliczne małe miasteczko tuż nad brzegiem jeziora. Tu jest, jak wicie pewnie, teatr miłosnych dziejów *Nowej Heloizy* Roussa. Clarens, Villeneuve, ujście Rodanu, skały Meillerie i St.-Gingolph (tuż nad wodą na brzegu przeciwnym) – wszystko to widać z okien i z ganku oberży, gdzieśmy w sam czas trafili na obiad i wnet po nim, nie tracąc czasu, wyruszyli dalej piechotą do Montreux, gdzie właśnie noclegujemy. Bagaż składa się z dwóch mantelzaków\*, dwóch naszych tornistrów i torby podróżnej Lintnera, który ma straż nad tym obozem. Jest jeszcze i futerał z pistoletami Zygmunta, z których on strzela już biegle i mnie w drodze uczył obiecał. Za toż ja mam nawzajem być jego instruktorem w „sztuce nie b e z p i e c z n e j odlewania wierszy”, jak ją, nie wiem, czy sam Horacy, czy tłumacz jego *Sztuki rymotwórczej* nazywa. Dziwna rzecz bowiem, jak Zygmunt, który jest z natury poetą i pisze ciągle poetycką prozą, wierszy zgoła pisać nie umie i dopiero w ciągu tej swojej ostatniej podróży do Chamouny pierwsze wiersze w życiu, jak mówi, z nudy, jadąc na mule, ułożył; a uczynił to, jak też mówi, aby mi je za powrotem do Genewy pokazać i zdania mojego zasięgnąć. Koszlawe dość i chropawe, tak żeśmy się z nich obaj uśmieli. Zaklął mię na wszystkie świętości, aby o nich Adamowi nie mówić...

15 sierpnia (niedziela), Chateau-d'Oex (godzina 11 wieczorem)

Dent de Jaman, pierwszy cel dzisiejszej naszej pielgrzymki, jest to szczyt skały górąjący nad pasmem gór tegoż imienia (Col de Jaman), wznoszących się nad brzegiem Lemanu (5600 stóp nad jego powierzchnią) i rozdzielających kantony: Fryburg i de Vaud (waadtlandzki). Przejście przez nie lord Byron zowie „pięknym jak sen” (*beautiful as a dream*). Myśmy sen nawet poświęcili dla niego, będąc już o piątej rano na nogach, a przed szóstą ruszyliśmy w drogę. We trzy godziny byliśmy u celu. Obraz, a raczej panorama rzeczywiście cudowne! Wszystko to notowałem prozaicznie w dzienniczku, aby kiedyś tym łatwiej obraz ten sobie przypomnieć. Ale Zygmunt wrzał poetyckim zapalem, a nie mogąc go wydać inaczej, w tym też moim dzienniczku, ołówkiem, siedząc na ziemi na szczycie Jamanu, cały rapsod o nim napisał.

Ustęp [opisujący widoczne w dole Jezioro Genewskie], najlepszy

\* tłumoków podróżnych

zresztą ze wszystkich, niezmiernie się Adamowi podobał. Pochwała ta, ma się rozumieć, rozpromieniła i ośmieliła niejako Zygmunta, który dotąd wobec Adama czuł się jak gdyby zażenowanym, a teraz zaczął się przed nim ze zwykłą obfитоścią myśli swoich wywnętrzać. Zauważyłem też, że i Adam słucha go bardzo uważnie, i stara się wyrozumieć cierpliwie, ażeby czy to zdanie jego potwierdzić, czy je przekonywająco sprostować, w czym zwykle nie zadaje sobie pracy ze swoimi, których albo z góry wylaje, albo milczeniem tylko swoje wyraża. Tym sposobem na szczycie Jamanu byliśmy wszyscy w poetyckim nastroju i doskonałym humorze, a pocziwy p. Jakubowski, widziałem, że był kontent wyraźnie, słysząc, co mówił Adam, i widząc, jaki to wpływ miało na Zygmunta. A i Adam jest też dla niego z wielką względnością i poważaniem. Schodząc już z góry szedł ciągle z nim obok, rozmawiając o polityce, podczas gdy my z Zygmuntem pożegnawszy pistoletową salwą górę Jaman, kontynuowaliśmy poetyckie przedmioty. Zygmunt wścieka się zwłaszcza na klasyków i krytyków warszawskich za głupie ich uprzedzenia i płytkie sądy o Adamie, od którego (jak się wyraził) posłyszał w jednej godzinie więcej nowych i rozumnych rzeczy niż od nich w całym ciągu obcowania z nimi...

17 sierpnia, godz. 11 wieczór, Thun

Dzień i dzisiaj mglisty i dżdżysty, tylko że deszcz drobniejszy, z przerwami. Wyjechaliśmy z noclegu dopiero o godz. 9 i o południu stanęliśmy w Thun. Droga i okolice byłyby prześliczne, ale cóż, kiedy wciąż we mgle, jak piękność zakwefiona. Thun sławne jest mianowicie przez to, że zawiera Wojenną Szkołę Związkową i że tu odbywają się co rok ćwiczenia artyleryjskie. I myśmy też tu z Zygmuntem rozpoczęli nasze puszkarstwo, to jest przez parę godzin po obiedzie strzelaliśmy z pistoletów za miastem. Pierwsza lekcja moja udała się nieźle, podobnie jak i pierwsza wieczorem lekcja wierszowania. Sam Zygmunt strzela po mistrzowsku, a i ja na dziewięć strzałów trzy razy trafiłem w kartę, a raz tuż pod oczkiem asa. Lintner radził mi myśleć, że to jest serduszko panińskie, aby dobrze mierzyć i trafić.

– Ależ ja nie chcę tych serduszek zabijać – rzekłem.

– Nie bój się pan, nie zabijesz. Żywuszcze to, żywuszcze, panie! jak gadzina. Potniesz na dziesięć kawałków, a każdy jeszcze rusza się i skacze.

– Co? może i kasa? – spytałem.

– Nie, nie, panie! żądło jest tylko jedno: dla męża.

Przyznajcie, że ten Lintner, to rodzaj Sanszo Panszy. Ja i Zygmunt dzielimy między sobą rolę Don Kiszota. Dzisiejsza nasza lekcja wierszowania bardzo go nam przypominała. Zygmunt ma z sobą angielskie poezje Shelleya, odznaczające się zwłaszcza rozmaitością i harmonią miary wierszowej. Radzę mu więc próbować tłumaczenia z zachowaniem tych miar i rytmu, nie troszcząc się bynajmniej o zachowanie sensu. Wynikły z tego takie dziwolągi, że aż kładliśmy się od śmiechu...

18 sierpnia, godz. 11 w nocy. Interlaken

Z Neuhaus porządnym powozem na cztery osoby dostaliśmy się do Interlaken, przejechawszy po drodze Unterseen i Aarmühle, dwa miasteczka łączące się prawie z sobą, a służące za pobyt letni niezliczonej masie Anglików. Ze wszystkich okien i ganków spoglądały na nas ciekawie modre oczęta spod lnianych i złocistych loków; a i my też z Zygmuntem, jako siedzący na przedzie, wychylając się na obie strony z powozu, odplacaliśmy im tąż samą monetą. Dla niego zwłaszcza, jak mówi, każda Angielka ma podwójny urok: bo wszystkie one z pozoru zdają się być podobne do siebie, tak z figury, jak ze sposobu noszenia włosów; nie dziwi więc, że mu każda przypomina miss Henriette...

19 sierpnia, w wieczór, jeszcze Interlaken

Zygmunt w lekcji wierszowania doszedł do poczucia uchem, bez liczenia na palcach, różnicy w ósmiozgłoskowym wierszu między średniówką na czwartej a na piątej sylabie. On to zaraz przemienia na miary łacińskie, które umie doskonale na pamięć; do czego ja ani w szkołach, ani potem dojść nigdy nie mogłem i nie mogę. Zygmunt jednak ma ucho bardzo muzykalne i gra ślicznie walca Webera, ale też nic więcej. Jest to owoc nauki i pamiątka pani Amelii Z[ałuskiej]. Adamowi ten walec także coś przypomina, a gra Zygmunta tak mu się podobała, że go prosił o bis...

*Po rozstaniu z Kornelią*

Drogi Adamie! Cały czas na wsi-m siedział – oczekiwałem, by do nóg przenieść ból z mózgu. Z trzysta kuropatew lewą ręką strzelając zabiłem. Położenie moje w niczym się nie polepszało, owszem, coraz bardziej względnie do Ojca się pogorszało. Co dzień łyzy Jego, to znów oburzenie i gniew rozdzierały mi serce. Do tego doszło, że już on mojej przytomności \* znosić nie mógł, ja zaś od jego oblicza się usuwałem, o ile to pogodzić mogłem z winnym mu uszanowaniem. Jeszczem nie był nigdy żył tak nędznie, przykro, nieznośnie. Wreszcie przyszedł dzień, w którym żądano ode mnie, bym dał słowo, że nigdy już w życiu do niej nie napiszę. Zdaje się, że mój Ojciec pocztytywał sobie za obowiązek ostateczne zniszczenie wszelkich pomiędzy nami stosunków. Pojmiesz, że nie zgodziłem się na takie żądanie, wiesz, że nie umiem opuszczać, że nie umiem o przeszłości zapomnieć, że owszem, co dzień w przeszłości żyję, może to nikczemny kierunek umysłu, ale co jest, to jest. Otóż po trzech tygodniach najżałośniejszych burz, nic na mnie wymóc nie mogąc, rozjątrzony do najwyższego stopnia, oskarżając mnie ciągle o to, że go nie kocham, pojechał nareszcie mój ojciec na Podole i w przejeździe [przez] Wołyń, wstąpiwszy do Krzemieńca, udał się do niej i prosił ją o to samo. Pojmiesz znowu, że tak jak ja nie mogłem przystać, tak ona nie mogła nie przystać, bo jej położenie okropnym, strasznym, nad miarę dzikim w tej chwili było. Wrócił mój Ojciec przywożąc mi kilka słów od niej, drżącą ręką pisanych, w których mówi, że musiała zgodzić się na to, by ostatni raz te kilka słów napisać, bo inaczej groził jej mój ojciec, że nigdy już w życiu mnie nie zechce widzieć. Odtąd, tj. od półtora miesiąca, żadnych już nie mam dalszych od niej wieści. Patrz, do czego mę tę nieszczęśliwą kobietę doprowadził i samego siebie. Jest w moim sercu coś na kształt kamiennej zapory, która mnie od świata zewnętrznego jakby na wieki przedzieliła. Skurczyłem się w duszy, zmałałem, znędzniałem, nie wiem, gdzie jestem i czym jestem, wiem tylko, że tę, którą kocham, wydałem na łup wewnętrznych zgryzot i zewnętrznych przykrości. Wszyscy o tym wiedzą i mówią. Jej imię na ustach ludzkich pożenione z moim krąży po świecie jak zdawkowa moneta – a ocalić jej, a pomóc jej, a bronić jej nawet nie mogę. Wi-

---

\* obecności



nienemże głowę pochylić i powtarzać chrześcijańskie *mea culpa*\*? Czyż wszystko na tym świecie z gliny i błota wcześniej czy później musi jeden mieć koniec zewnętrzny – nieszczęście, i jeden wewnętrzny – pokorę, poniżenie? Bój się Boga, Adamie, jest coś szkaradnego w związku, w ciągu i w końcu życia. Rozkosz wiedzie do boleści, boleść doprowadza do zgonu! Jeden Bóg tylko wie, że to wszystko dobre i piękne. Powiadam Ci, żem niemiłosiernie znikczemiał. Teraz jadę do Włoch z moim Ojcem. Zdrowie jego coraz gorsze, a jego westchnienia przebijają mi serce, bo każde z nich wyrzuca mi, żem nie chciał się ożenić, żem nie chciał dom jemu dać, w którym by spokojnie odpoczął po tyłu nawałnicach. W całym wątku losów moich jest coś zgubnie niedopełnionego. Teraz życie moje składa się z ciągłej troski i tęsknoty. Od jednego chyba straciłem i kochankę, i przyjaciela. Konstanty gdzieś ujrzał jakąś pannę i zakochał się, i chce się z nią żenić. Na wszystkie strony złe przecucia mnie dręczą. Wierzę w nieszczęście jej, nie mogę uwierzyć w szczęście przyszłe Konstantego, a wiem, że w terażniejszości mój Ojciec, na ciele i duszy schorowany, pełen jest cierpienia. Przynajmniej napisz mi cokolwiek pomyslniejszego o sobie. Jakżeż wzrasta i kształci się Marysia? Czy jej serce, które pączkiem było, rozszerzyło się, roztworzyło się zupełnie dla Ciebie?

Odpowiedz na te pytania i dodaj, że mnie kochasz, że myślisz często o mnie. Rad bym był jechać na Wiedeń, ale nie chcę się odłączać od Ojca mego, bo czuję głęboko, że świętym mi jest obowiązkiem pilnować go i starać się, by uwierzył, że go Kocham. Bez tej wiary bowiem i tak już skolatanę jego zdrowie mogłoby ostatecznie się rozwiązać.

Ściskam Cię z wszystkich sił i proszę Cię, pisz zaraz.

Twój Z.

List Zygmunta Krasińskiego do Adama Soltana. Wg pierwodruku w książce zbiorowej *Krasiński żywy*, Londyn 1959.

### *Wieczory na Krakowskim Przedmieściu*

[W początkach roku 1850] pojechałem do Warszawy, żeby przygotować mieszkanie dla żony i dzieci. Mieszkanie nająłem w domu ciotecznejgo brata mojej matki, a zatem mego wuja, generała Wincentego Krasiń-

\* moja wina (łac.)

skiego, będącym z tyłu pałacowego ogrodu, na ulicy Mazowieckiej; dziedziniec mego domu łączył się z pałacowym przez wąskie przejście wzdłuż muru ogrodu pałacowego, często też tam bywałem. Stary hrabia mieszkał na dole, cała góra była zajęta przez syna generała, naszego sławnego poetę, Zygmunta Krasińskiego; ten zawsze chory, nerwowy, cierpiący na oczy, nigdzie nie bywał i mało kogo przyjmował. Ja, jako bliski krewny, i Kazimierz Lubomirski należeliśmy do bardzo małej liczby wybranych, którzy mogli każdego wieczora przyjść na herbatę; najczęściej było nas trzech: Kazimierz Lubomirski, Aureli Poletyło i ja. Gabinet duży, ciemny; przy wielkim stole do pisania oświetlonym jedyną lampą, przykrytą zielonym kołpakiem, siedziała pani Liza Krasińska, z domu Branicka, piękna jak anioł, z kanwową robotą i sama herbatę nalewała. Zygmunt siedział w głębokim fotelu tyłem do stołu i lampy obróconym, z wielką zieloną umbrą\* na czole, pomimo ciemności pokoju; poeta siedział tak w milczeniu, słuchając naszych rozmów i rzadko do nich mieszając się. Kiedy o godzinie jedenastej pani Liza, złożywszy robotę, odeszła do siebie i myśmy się wybierali, gospodarz odprowadzał nas do sąsiedniej sali balowej, przez którą trzeba było przechodzić, i najczęściej zatrzymywał Lubomirskiego i mnie, jako mieszkających prawie w tym samym domu, mówiąc, że to dobry uczynek jeszcze z nim trochę posiedzieć, bo on spać nie może ani pracować z powodu bólu oczów. Siadał w oknie na kanapce, jak najdalej jedyne go kinkieta, trochę salę oświetającego, a my naprzeciwko niego na krzesłach, zaczęliśmy między sobą dysputę w jakim przedmiocie mogącym go zajmować i objawialiśmy zdania wręcz przeciwne jego przekonaniom. Słuchał w milczeniu zgarbiony, potem zżymał się, poruszał, na koniec, nie mogąc dłużej wytrzymać, zrywał się i chodząc nerwowym krokiem po sali mówił, prostując nasze niby pojęcia, a tak pięknie, tak wymownie i często poetycznie, że chciałoby się mieć ołówek, żeby zapisywać to, co mówił; czasem w zapale krasomówczym włożył kolanami na jaki stołek i, oparty o poręcz, mówił jak z mównicy. Oczywiście od czasu do czasu stawialiśmy mu opór, żeby nie ostygła. Na takich rozmowach przesiedziało się zwykle do pierwszej, czasem drugiej w nocy. Dziwna zaiste jest rzecz, jak rozum i wymowa takiego człowieka

---

\* daszkiem osłaniającym oczy

jak Zygmunt Krasiński są zaraźliwe i przelewają się w drugich; nieczaj powracając do domu dziwowałem się sam swojej wymowie, myślom, doborowi wyrażań i zasypiałem pyszny z mego rozumu! Nazajutrz budziłem się taki głupi, jak byłem przedtem...

Henryk Olechnowicz Stecki: *Wspomnienia mojej młodości*, Lwów 1895.



# JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI





## *Nazwisko w poniewierce*

W owe czasy zawód „pismaka”, „gryzpiórka”, człowieka piszącego z profesji, był zawodem jakiegoś pariasa indyjskiego... Dawniej wolno było być dyletantem, a nie wolno było być literatem z profesji. Literatura z powołania plamiła tożę polskiego obywatela. Z tym przesądem długo potrzeba było walczyć osobliwie samemu Kraszewskiemu.

Słyszałem o tym, że ojciec naszego autora, czytając dzienniki i znajdując w nich ustawiczne wzmianki o Kraszewskim, rzucił niechętnie, z gniewem numer pisma mówiąc z goryczą do swojego syna:

– Ach, Józefie, Józefie! Jak się nasze pocziwe imię szlacheckie poniewiera przez ciebie po gazetach!

Antoni Marcinkowski: *J. I. Kraszewski w literaturze i społeczności naszej*, „Tygodnik Mód i Powieści” 1879.

## *Droga do serca*

Kraszewskiego nazwisko pamiętam tak dawno, iż przez przybliżenie jeno oznaczyć mogę moment, w którym się po raz pierwszy o moje obito uszy. Stało się to, kiedy dzieckiem jeszcze byłem i mieszkałem z rodzicami w okolicy, do której promienie dostawały się dłuższą aniżeli gdzie indziej drogą. Pobereże, gdzie światło dzienne ujrzał, leży na najbardziej od ognisk świetlnych oddalonym dawnej Rzeczypospolitej krańcu. Książki do nas dochodziły bądź z Kamieńca, skąd je bryką brodzką na rozprzedaż wyprawiał księgarz nazwiskiem Czech, bądź też z Kijowa, dokąd ojciec mój rokrocznie prawie na kontrakty jeździł. Owóz jedną z tych dwóch dróg, po utworach Bronikowskiego, Bernatowicza, Kropińskiego, Waltera Scotta, Krasickiego, równocześnie prawie z Brodzińskim, Mickiewiczem, z Czajkowskim Michałem, zawitały pod strzechę naszą książki z podpisem: J. I. Kraszewski. Nazwisko to sprawiło wrażenie – wrażenie,

które szybko wzrastało i potęgowało się. W latach czterdziestych, ba, nawet pod koniec czwartego wieku naszego dziesięciolecia, było ono już szeroko w zapadni naszej znane. Powieści jego ze wzmagającym się czytano zapałem. Szlachcice, z kontraktów wracając, przywozili je do domów pakami całymi. Nie miał spokoju ze strony zwłaszcza dorosłych i dorastających córek ten, co obok kawioru, śledzi holenderskich, konfitur od Bałabuchy, skórek na trzewiki i sprawunków innych nie przywiózł w złotych, w nieużywany dziś sposób ilustrowanych okładkach książek z Kraszewskiego podpisem. W ruchu umysłowym, jaki się był w czasie owym obudził, odegrały one rolę ważną – służyły za podniecie, akcentowały grę wrażeń, co zaś ważniejsze, nie bładły ani trochę wobec dzieł cięższego wagiomiaru, rzucanych pomiędzy czytelników prowincjonalnych przez potentatów takich, jak Jarosz Bejła lub Michał Grabowski. Czytały się z zajęciem, z zapałem nawet, przez pleć piękną szczególnie. Pleć niepiękna w bałagulskim roztargnieniu niekoniecznie się z książkami wdawała. I ona atoli wciągała się powoli – wciągana bowiem była przez panny na wydaniu mające posagi donośne. W sąsiedztwie naszym, na przykład, jeden z młodych L., gdy serce jego rozgorzało do panny E., posiadającej pięćdziesiąt tysięcy złp., które mu koniecznie do uporządkowania stajni i psiarni potrzebne były, dla podbicia serca jej kupił sobie pół tuzina powieści Kraszewskiego, woził się z nimi po jarmarkach, polowaniach i chwalił się, że je czytał. Kraszewski większe jeszcze cuda czynił – poetów tworzył. W Humańszczyźnie mieszkał szlachcic młody noszący nazwisko autora *Myszeidy*\*, podobno nawet jakiś jego krewny. W Humańszczyźnie też mieszkała panna, której na imię było Joanna, przez przyprawione na sposób francuski spieszczenie przerobione na Żańcia; nazwisko zaś jej, kończące się na... „acka”, dla zamaskowania nazwiska prawdziwego przecinaczymy na Nowacka. Owa Żańcia Nowacka tak się w Kraszewskim rozczytała, że się w nim rozkochała. Nie oglądała go w życiu nigdy. To jej atoli zgoła nie przeszkadzało pokochać go sercem całym i duszą całą i kochać do tego stopnia, że wzięła przed sobą postanowienie za mąż nie wychodzić i wychowaniu sierot ubogich się poświęcić. Piękne to postanowienie nie dogadzało krewniakowi biskupa-poety, pragnącemu gorąco za małżonkę ją pojąć. Natknął się na współzawodnika, którego

---

\* tj. Krasicki

zaćmić w stanie nie był, ani piątką w lejc, ani koczem wiedeńskim, ani krawatem osobliwym, ani żadnym ze sposobów, w jakie kawalerowie na Ukrainie serca panieńskie podbijali. Przy tym współzawodnik ów niewidzialny był i niedotykalny. Ażeby go jednak usunąć, trzeba z nim było współzawodniczyć, walczyć, walczyć bronią równą – kawaler próbował pisać prozą. Pisał, kleił – nie szło mu. Zwrócił się do poezji i ta mu dopisała – dopisała tak dalece, że rozmowę zwyczajną z ludźmi, a nawet z ekonomem, lokajem, furmanem, kucharzem swoim, prowadził rymami. Rymami też przemawiał do wybranej swojej. Przemawiania jego podchwytywano, przerabiano i powtarzano. Zawodniła się nimi okolica. Umiałem tego niegdyś dużo na pamięć. We wspomnieniach pozostało mi jedno tylko:

*Idę ja sobie przez pola; patrzę, aż oto topola,  
Podchodzę bliżej — patrzę zmienacka:  
To nie topola, to Żania Nowacka.*

Złośliwi dorobili dwa wiersze:

*Moja ty piękna, moja ty wzniosła,  
Na coś ty taka długa wyrosła?*

Nie rękę atoli, czy i te dwa wiersze kompozycji jego nie były. Nic to mu jednak nie pomogło. Serca panny rymami nie podbił. Żańcia pozostała wierną miłości dla Kraszewskiego; pozostawała jej wierną długo, długo; przysposabiała się do wychowywania sierot; w końcu atoli – za mąż poszła. Komuś oddała rękę; czy z ręką i serce?... – nie wiem.

Pleć piękna u nas (mówię o Pobereżu, Humańszczyźnie, Braclawszczyźnie) pierwsza do Kraszewskiego przyłgnęła. Do niej on najprzód trafił i przez nią w popularność rósł, rozpowszechniając potrzebę czytania. Ktoś, co pierwszy powiedział, że on czytać nauczył, powiedział czystą prawdę. Lekka strawa, którą publiczności dawał, budziła umysły z uspienia i przysposabiała je do przyjmowania pokarmów esencjonalniejszych. Nie wycisnęła ona jednakże, jak utrzymują gdzie niektórzy, lektury francuskiej. Te sfery, co się nią karmiły, karmy tej nie rzuciły – Balzaca na Kraszewskiego nie mieniały; lecz dzięki Kraszewskiemu powstawały czytelników zastępy nowe, rekrutujące się z tych, co i po francusku nie umieli,



i bądź nic nie czytali, bądź też zadowalali się piśmiennictwem powstałym w epoce Stanisława Augusta. Pochodziło to stąd, że nie było pośrednictwa pomiędzy piśmiennictwem a publicznością; dziennikarstwo dla prowincji nie istniało: na okolicę naszą, a bodaj czy nie na cały powiat bałcki, jeden tylko szlachcic, niejaki Lipiński, gazety prenumerował i otrzymywał. Dochodziły bo one w kopertach i opłacały transport pocztowy wedle taksy na listy – co je bardzo kosztownymi czyniło. Świat przeto dla nas deskami był zabity i przez te to deski przerzucał Kraszewski powieści swoje, które kobiety chwytaly i w kurs puszczały.

Płeć męska miała to zrazu za zabawkę urozmaicającą robótki szydelkowe i krosienkowe. Wołała karty. Fakty atoli takie jak zniewolnienie L. do kupienia sześciu powieści, jak rozkochanie się w niewidzianym panny Żańci i tym podobne to sprawiły, że i płeć męska książkę do ręki mieć poczęła. Powieści Kraszewskiego szły w obieg, rozchodziły się po dworach i dworkach; z rąk panięńskich dostawały się do rąk paniczów i obczytane, przechodziły *via kredens* i garderobę pod strzechy ekonomskie, na posiłek dla ekonomówien, praktykantów gospodarskich i pisarzy prowentowych. Ci, co nic do czytania nie mieli – czytali.

Działo się to w warstwie społecznej średniej – w sferze szlachciców na jednej wiosce, dzierżawców, oficjalistów, po kolokacjach\*, nie dochodząc do stanu włościańskiego, o oświecaniu którego mowy jeszcze zgoła w czasie onym nie było. Na progu chłopskim literatura wszelaka zamierała; progów zaś wielkopańskich nie przekraczała literatura polska. Wielkim panem w okolicy naszej był Karol Brzozowski – człowiek dobry, patriota nawet – ojciec Zenona, co ze Słowackim w ścisłych pozostawał stosunkach. W domu jego jednak książka francuska prym nad polską trzymała. Rodzina, jak rodziny Potockich, Komarów i in., czasu dużo spędzała za granicą i zapewne ani wiedziała, co się w kraju na polu literackim dzieje, przypuszczając może, że literatura polska wyniosła się wraz z Mickiewiczem, Brodzińskim, Mochnackim, Słowackim, Lelewelem i innymi. Z mniemaniem tym spotkać się można obecnie nawet. Dziś jeszcze w Paryżu istnieją w sobie zamknięci Polacy, co o czasach pomickiewiczowskich nic nie wiedzą i wiedzieć nie chcą. Nic przeto dziwnego, że w okresie roku 1840 w rodzinie wielkiego pana, spędzającej więcej czasu za granicą

---

\* wsiach szlacheckich podzielonych między kilku właścicieli

aniżeli w kraju ojczystym, uznawano Mickiewicza, czytywano Balzaca i nie słyszano o Kraszewskim. Rodzina ta wchodziła w czasie onym w stosunek matrymonialny z rodziną Zamoyskich. Członek tej ostatniej, Andrzej, przyjechał na Podole. O przyjeździe jego wieść się po okolicy rozniosła i po dworach szlacheckich opowiadano, jak to Andrzej Zamoyski, naprowadziwszy rozmowę na materię literatury, odczytał głośno w salonie Brzozowskich powieść Kraszewskiego i zachwyił nią słuchaczy. Opowiadanie to niemały w okolicy naszej wywarło wpływ i wsparło potężnie wpływ kobiet. Czytanie straciło charakter zabawkowości. Garnąć się poczeli do niego monszterdzieje i monszterdziejki – weszło ono do stosunków. Sąsiadki odwiedzając się, po wyczerpaniu materii tyczącej się uprawy jarzyn, sadzenia kur, w ogóle gospodarstwa domowego, jako też chorób nadzwyczajnych i pelerynek w ząbki czy też ząbków, zapytywały jedna drugiej:

– A czytała pani dobrodziejka (na przykład) *Dwa a dwa cztery*?

Jakkolwiek odpowiedź wypadła, twierdząco czy przecząco, o powieści tej zawiązywała się rozmowa i jedna z sąsiadek drugiej treść onej szczegółowo opowiadała, przyozdabiając opowiadanie wykrzyknikami: „Jakie to piękne!...”, „Jakie to śliczne!...”, „Jak to on to napisał!...” Opowiadanie powieści Kraszewskiego weszło po dworach szlacheckich w użycie powszechne. Celowała w tym między innymi jedna z ciotek moich, która sztukę tę do takiej doprowadziła doskonałości, że słuchaczy zamięczała, mimo że z narracją łączyła gestykulacją odpowiednią. Rzecz prosta, z zajęciem, jakie książki wzbudzały, łączyła się ciekawość co do osoby autora. O Kraszewskim różne, nierzadko dziwne, krążyły wieści. Ożenienie jego nastąpić miało w sposób jakiś nadzwyczajny. Opowiadano, że mu w ogrodzie pokazuje się postać cała w bieli. Postać jego otaczała legendarność...

Teodor Tomasz Jeż: *Wspomnienia o J. I. Kraszewskim*, Warszawa 1888.

### *Kraszewski w Warszawie*

Rodzina Kraszewskich miała sprawę w Senacie\*. Zjechał zatem do Warszawy pan Jan Kraszewski z synem Kajetanem. Mąż mój szanownego ojca pana Józefa Ignacego wysoko poważał i pokochał. Był to nadzwyczaj przyjemny, wyższego rzędu szlachcic-obywatel, pełen życia, uprzejmości,

\* tj. w najwyższej instancji sądowej

rozumny i umysłowy. Bywał częstym u nas gościem, bo i August nachodził go często. Pan Kajetan we wielu był domach i ceniono jego talent muzyczny.

Później przybył i pan Józef Ignacy. A powiedziałam już, że Warszawa rwała się do niego, że go wrywano sobie, bo i nie mógł wszystkim za-prosinom podołać. Obiady, wieczory goniły jedne po drugich. To proszono, by oblubienicę do ślubnego powiodł ołtarza, to znowu, ażeby chrzestnym był ojcem. I tak istny wiązał się łańcuch. Wyjechał po dniach kilkunastu pobytu. Pan Jan i pan Kajetan pozostali dłużej. Potem miał August listów parę od pana Jana. Z jednego, z dnia 6 stycznia 1847 roku, pisane-go z Romanowa, pozwolę sobie ustęp przytoczyć:

„Powróciwszy z Warszawy do Romanowa i wypawszy się w wiejskiej zaciszy, obudziłem się przybyciem mojego Józefa, z którym święta i Rok Nowy zaczęliśmy w towarzystwie domowym matki, żony, córki. Dni przeszły jak godziny. Zapłakałem żegnając mojego Józefa, z którym może przyjdzie dopiero w lat parę zobaczyć się. Ruszył on na przekłete kontrakty dubieńskie, od których wyłamać się nie mógł, i zostawił mi tylko miłe wspomnienie Warszawy i wszystkich, którzy raczyli łaską swoją zaszczyścić syna mojego. Póki mnie jeszcze proces klóci, nieraz może odwiedzę Warszawę, ale jak się ten skończy, w szarej kapocie i szlafmicy, siedząc przy skromnym moim kominku, słodko będę rozpamiętywał grudzień roku 1846 i odmawiając paciorki westchnę do Boga za tych, którzy do serca przytulili mojego pierworodnego.”

Paulina z Lauczów Wilkońska: *Moje wspomnienia o życiu towarzyskim w Warszawie*, Warszawa 1959.

## *Rewanż*

Kiedy rozpoczęły się w kraju ruchy jubileuszowe 50-letniej pracy literackiej Kraszewskiego, Polacy zamieszkali w Dreźnie, na krótko przed uroczystym aktem krakowskim, ofiarowali zasłużonemu pisarzowi na pamiątkę złoty medal i wyprawili w pierwszym drezdeńskim hotelu składkowy obiad, w którym wzięły także udział damy polskie przebywające podówczas w stolicy saskiej – razem kilkadziesiąt osób. Kraszewski przyjął z wdzięcznością medal, co zaś do obiadu położył warunek, że w takim tylko razie będzie na nim, jeżeli całe bez wyjątku fetujące go towarzystwo

stawi się nazajutrz w tym samym hotelu na obiedzie przez niego wydanym. Skoro ktoś zapytał Zaleskiego jako gospodarza jubileuszowej uroczystości: czy nie można było powstrzymać Kraszewskiego od tak kosztownej fantazji?

– Owszem – odrzekł Zaleski – przedstawiałem mu, że to zupełnie niepotrzebne; dwa obiady dzień po dniu za wiele... Ale się uparł i musiałem ustąpić. Cóż chcesz, to polski dumny szlachcic... natura pańska... Przyjąwszy dar, stokrotnie się za niego wywzajemnia!

Na obiedzie nie brakowało nikogo, wszyscy się stawili.

Maurycy Karassowski: *Z księgi wspomnień o J. I. Kraszewskim*, „Polak w Ameryce” 1887.

### *W dreźnieńskiej pracowni*

Inne znakomitości literackie przy bliższym zetknięciu – tracą nieraz wiele... Kraszewski – zyskiwał. Umiał on podbić każdego, choć nie starał się o to. Pomnę, że i ja sam, olśniony urokiem jego popularności i sławy, gdy stanąłem przed nim po raz pierwszy, obawiałem się, nie bez zasady, zbyt może protekcyjnego przyjęcia. Lecz z jakąż radością, jak rychło spostrzegłem, że nie było w nim ani cienia, nie tylko już pychy, lecz próżności nawet. Skromność, prostota, serce pełne najszlachetniejszych uczuć, niewyczerpana dobroć i wyrozumiałość dla wszystkich – oto były główne cechy wielkiej tej duszy. O sobie, o swych dziełach, o owacjach, jakie go spotykały ciągle – nie wspominał prawie nigdy. Wybadywany dopiero, wyciągany na słowo, opowiadał o nich jak najkrócej, a zawsze z nieudaną skromnością. Ilekroć go zaś zagadnąłem o one pamiętne uroczystości krakowskie, z rozrzewnieniem o nich mówił. Mimo to wszakże bez wszelkiej miłości własnej nieustannie zapewniał, że on je rozumiał jedynie jako hołd złożony nie jemu, lecz wspólnej naszej idei – idei, którą w miarę zdolności swych i pojęć usiłował reprezentować.

Urządziwszy się już jako tako na nowej swojej sadybie... zapragnął jeszcze uporządkować swoją bibliotekę, korespondencję i zbiory. W tym celu zgłosił się do piszącego te słowa z zapytaniem, czy nie zechciałby podjąć się tej pracy. Gdy propozycję tę dostojnego Jubilata, autor niniejszych *Wspomnień* przyjął bez wahania i zamienił z nim następnie jeszcze kilka listów – otrzymał na koniec stanowcze już wezwanie:

„W imię Boże więc – pisał doń Kraszewski – przybywaj, kochany pan. Będę się starał, aby mu zbyt źle u mnie nie było...”

W drugiej tedy połowie stycznia 1880 r. stanąłem w Dreźnie.

. . . . .

Śród balsamicznej woni kwiatów, smukłych brzoź i sosen, na wzgórkę okoloną gęstą zielenią drzew i krzewów wznosił się duży, wyniosły, zakrawający na pałacyk dom dwupiętrowy. Prócz wdzięcznie obluszczonego ganku brak mu było prawie wszelkich ozdób na zewnątrz; był za to suchy, wygodny, murowany, prawdziwie niemiecką odznaczający się czystością.

Od ulicy uderza nas napis: „Villa Kraszewski”. Z bijącym sercem pociągamy za rękojeść dzwonka, otwiera się furta i po kilkudziesięciu kamiennych stopniach wstępujemy do ogrodu. W nim witają nas naprzód dwa olbrzymie czarne psiska, a defilując radośnie i wywijając ogonami, wskazują drogę do ganku.

Z ganku wchodzimy wprost do salonu.

Tu oprócz kilku dzieł sztuki, kilku obrazów, płaskorzeźb, dwóch marmurowych kolumn i urn (dar jubileuszowy), prócz fortepianu i organów nic tak dalece nie zatrzymuje uwagi.

Stojąc w salonie, twarzą do ganku, widzimy na prawo skromnie – jak i wszystkie inne – umeblowany pokój, a w nim szafkę z zabytkami archeologicznymi, kilka obrazów, pamiątek, kilka albumów na stole.

Dalej równie niewielki pokój jadalny, a w ślad za nim znów malutki pokój, mieszczący w sobie skład materiałów i przyborów malarskich.

Z pokoju jadalnego wychodzimy na korytarz.

Tu, pominąwszy na lewo dwoje drzwi: do pokoju gościnnego i do przedsiönka, a na prawo drugie wejście do salonu – dążymy wprost przed siebie do czwartych drzwi w korytarzu i znów stajemy w malutkim pokoiku, gdzie oprócz dwóch wielkich szaf z książkami i pełnej nut etażerki nie ma już miejsca na nic.

Jest to właśnie jeden z 6 pokoi, w których się mieści szacowna biblioteka Kraszewskiego. Zasługuje on na uwagę z tego jeno względu, że w nim znajdują się wyłącznie dzieła samego gospodarza.

Z gabinetu tego drzwi na lewo prowadzą do pokoju znów przepelnionego książkami, a na prawo do Pokoju Jubileuszowego.

Żywo mi jeszcze tkwią w pamięci i sercu te pełne drogich wspomnień chwile, gdyśmy na życzenie czcigodnego Jubilata wspólnie z nim układali i porządkowali wszystkie pamiątki i dary jubileuszowe. Aby jakiegokolwiek dać wyobrażenie o ilości tych darów, dość będzie, gdy powiem, żeśmy przez całych prawie dni cztery pracowali nad ich rozpakowaniem, rozwiezieniem, ustawieniem i uporządkowaniem.

Oprowadziwszy czytelnika po całym niemal parterze ówczesnej siedziby Kraszewskiego, zaprosić teraz musimy na pierwsze jej piętro.

Wszedłszy na korytarz dążymy na prawo, do jego pokoju sypialnego. Pokój to więcej niż skromny, bo prawie ubogi. Stół, łóżko, kilka krzeseł, szafka, umywalnia – i oto wszystko...

Wyszedłszy drugimi drzwiami z pokoju sypialnego, przechodzimy inny, umeblowany już starannie, i stajemy niespodzianie – w pracowni Kraszewskiego. Z pracowni przechodzimy następnie do biblioteki, której część znaczna mieściła się, jak wspomnieliśmy, w dwóch pokojach na dole; że zaś ów cały księgozbiór zajmował tylko sześć niewielkich pokoi (licząc w to i pracownię), główne więc jego działy mieściły się w czterech na górze. Pracownia, jak zwykle, zawierała przede wszystkim dzieła encyklopedyczne, źródłowe, podręczne... Nie brakło w niej wszakże i mnóstwa historycznych, czasowo tu tylko goszczących, bo przy ogromie różnorodnych Kraszewskiego zajęć, badań, porównań, studiów niepodobna mu było co chwila odrywać się od pracy, biegać do biblioteki. Na próżno byście jednak szukali w niej gdziekolwiek całej armii słowników, której by słuszenie można się było domyślać wiedząc, że Kraszewski posiadał oprócz ojczystego języki: grecki, hebrajski, łaciński, arabski, francuski, niemiecki, angielski, włoski, hiszpański, rumuński, szwedzki, rosyjski, starosłowiański, czeski, chorwacki, serbski, cygański itd. W bibliotece Kraszewskiego przypominamy sobie tylko oprócz trzech znanych słowników polskich (Linde, wileński, Rykaczewski) parę zaledwie przestarzałych jakichś dykcjonarzy.

W pierwszym od pracowni pokoju bibliotecznym zatrzymamy się dłużej. Prócz wielkiego dębowego stołu po środku, mniejszego z boku i czterech sięgających niemal sufitu, szerokich, malowanych szaf bibliotecznych, prócz fotela i dwóch krzeseł – nie było w nim żadnych więcej sprzętów. Ale za to ileż prawdziwie nieocenionych mieściła w sobie skarbów bodaj tylko ta jedna – ot, ta na lewo – ogromna szafa, przepelniona mnóstwem daw-

niejszych i nowszych szpargałów, mnóstwem drobnych rękopisów i grubych tomów.

Otóż ogromną tę szafę zajmowała jedynie olbrzymia a bezprzykładna niemal – korespondencja Kraszewskiego.

Zważywszy, iż Kraszewski otrzymywał codziennie najmniej kilkanaście listów, że bardzo nawet często ze wszystkich krańców świata odbierał ich po kilkadziesiąt, zważywszy, że na każdy z nich odpowiadał własnoręcznie, i to natychmiast – o czym wiedzą najlepiej wszyscy jego korespondenci – zważywszy to, możemy, opierając się na rachunku prawdopodobieństwa, twierdzić śmiało, że przez pięćdziesiąt lat swej działalności autorskiej i obywatelskiej wysłał on w różne strony świata najmniej 200 000 listów, nie licząc w to naturalnie tysiącznych korespondencji literackich do różnych pism krajowych i zagranicznych.

Aby podolać olbrzymim swym pracom, musiał oczywiście wyznaczyć na to odpowiednie godziny, musiał we wszystkim stosować się najściślej do zegarka. Toteż z obiadem lub herbatą np. nie wolno się było spóźnić ani chwili... Punktualność w domu Kraszewskiego była tak wielka, że nie pomnę, aby w czymkolwiek choć na włos jej uchybiono! Chcąc spóźnieniom się wszelkim zapobiec kazał najlepiej chodzący zegar umieścić w kuchni. Punkt o wpół do dziewiątej z rana dawano herbatę lub kawę; punkt o drugiej obiad, punkt o siódmej wieczorem znowu herbatę.

Do biurka zasiadał codziennie przed dziewiątą z rana. Tu oczekiwała go już zwykle spora plika listów i gazet, którą *Brieftraegerzy*\* przynosili od 5 do 8 razy na dzień. Przez parę więc godzin, tj. do jedenastej przed południem, czytał otrzymane pierwszą poranną pocztą książki, dzienniki i listy, na które, jak wiadomo, odpowiadał natychmiast. Inaczej nie byłby już im w stanie podolać.

Od jedenastej do pierwszej przyjmował zwykle gości.

Od pierwszej do drugiej znowu przeglądał nadesłane książki i dzienniki lub odpisywał na listy.

Punkt o drugiej zasiadał do obiadu, który trwał najdłużej do trzeciej.

Od trzeciej do czwartej (w lecie), a gdy sprzyjała pogoda, czasem i do piątej odbywał zwykle ze mną dość dalekie spacery powozem lub pieszo.

Wróciwszy do domu, znów do godziny szóstej przeglądał otrzymane

---

\* listonosze (niem.)

dzienniki lub książki, rozcinał wszystkie kartki, robił notaty, zbierał materiały, wertował różne źródła, czytał nadsyłane z różnych stron korekty (niektórych dzieł własnych i obcych wydawanych przez siebie), czytał nieraz kilkutomowe rękopisy cudze, rozmawiał z domownikami, najrozmaitsze im dawał zlecenia itd., itd.

Od szóstej do siódmej, tj. do wieczornej herbaty, grywał na fortepianie i organach lub wzdłuż kilku pokoi przechadzał się w zamyśleniu.

W niedzielę zaś i święta Kraszewski bawił się dla rozrywki rysunkiem i malarstwem. Widziałem tysiące, literalnie t y s i ą c e prac jego w tym rodzaju, wykonanych na płótnie czy papierze, na drzewie, na szkle, na porcelanie – pędzlem, piórem, ołówkiem, wodnymi lub olejnymi farbami itp. Dawniej zajmował się jeszcze, jak wiadomo, kompozycją muzyczną i rytownictwem!

Po wieczornej herbacie nie przyjmował już nikogo i nie rozmawiał z nikim. Teraz dopiero zabierał się do pisania na serio.

Zasiadłszy raz do biurka i przygotowawszy zawczasu pewną ilość piór gęsich, pisał już bez wychnienia, pisał nieustannie, nieoderwanie, z nieodścignioną szybkością. Na zapelnienie drobnym, a wcale wyraźnym pismem całej stronicy potrzebował nie więcej jak około 10 minut czasu.

Na biurku Kraszewskiego zastawałem też co dzień to inne stopy tych kartek, zapisanych zwykle od pierwszej do ostatniej.

„Zdumiony ogromem jego pracy – opowiada w artykule swym o Kraszewskim Michał Wołowski – pytałem go, skąd na to bierze czas.

– A, jakoś się znajduje – odparł. – Tom złożony z sześciu do dziesięciu tysięcy wierszy piszę zazwyczaj dni dziesięć na kartkach po jednej ich stronie, piszę tchem jednym, bylebym miał przewodnią myśl i typy. Planów żadnych nie robię; zaczynam, i dalej idzie jakoś samo, a nigdy na początku powieści nie wiem, co się w końcu stanie z jej bohaterami. Jakoś to tak samo płacze się i rozwiązuje. Gdy skończę, odczytuję całość. Co mi się nie podoba – odrzucam, nowe kartki wstawiam i na nich piszę. Rękopisu poprawiać nie lubię i nie czynię tego nigdy. Ten sam system mam względem prac swych historycznych. Nie zaczynam roboty, dopóki dobrze nie przetrawię materiału, który, wszedłszy raz do głowy, już nigdy stamtąd się nie ulatnia.”

Mam jeszcze przed sobą luźną jakąś a ciekawą kartkę z dawnych ręko-



pisów Kraszewskiego, kartkę, w której on sam tak się znów wyraża o swej twórczości i pracy:

„...Pojmuję, że kto inny, roztargniony, rozrywany, nie byłby w stanie wydołać tym zajęciom... Jam nawykł... I póki tak jest, póki ten ruch unosi mnie, popędza, póki wir myśli cudzych i swoich porywa mnie i niesie, póty wam służę, piszę, żyję... Gdy raz zostanę w tyle, zechcę odpocząć, powiem wam już na zawsze: bądźcie zdrowi!...”

Aleksander Bolesław Brzostowski: *Ze wspomnień o Kraszewskim*, Warszawa 1912.

### *W więzieniu*

W czerwcu 1883 roku okropny wypadek spowodował dla Kraszewskiego cały szereg takich udręczeń, że prawdziwie zdumiewające jest, jak mógł je wytrzymać. Pomimo to w najprzykrzejszych nawet warunkach zachował zdolność do pracy z nie słabnącą ani chwili energią.

Kraszewski przez litość powierzył wykonanie kilku odpisów jednemu z zagadkowych osobników przybierających narodowość tego, kogo proszą o jałmużnę. Ów niegodziwiec, nazwiskiem Adler, przetrząsał u Kraszewskiego kilka tek z papierami i zadenuncjował go jako mającego tajne stosunki z rządem francuskim. „Sam zaś – pisał mi Kraszewski – bardzo dobrze widziany był w ambasadzie francuskiej w Dreźnie i proponował nawet, jeżeli znam kogoś w ministerium spraw zagranicznych w Paryżu, ułatwić mi przesyłkę listów za pośrednictwem posła francuskiego w Dreźnie, ponieważ Polacy nie oszczędzali Niemiec w swych zwierzeniach listownych. Nie skorzystałem z tej oferty. Adler pisywał do wielu czasopism, przy czym Prus nie oszczędzał wcale.” Rewizja u Kraszewskiego wytropiła tylko pewną pracę o marszrucie, jakiej użyliby Niemcy w razie nowego najścia na Francję, pracę opartą na drukowanych dokumentach. To nie byłoby dostateczną do procesu podstawą, gdyby nie interwencja księcia Bismarcka, który wskazał na Kraszewskiego jako na członka jakiegoś komitetu emigrantów polskich, uprawiającego szpiegostwo antypruskie. Taki komitet nigdy nie istniał.

Co dało księciu Bismarckowi powód do objęcia tym oskarżeniem emigracji polskiej, to okoliczność, że pewien Polak, Ildefons Kosiłowski, rzeczywiście pracował w biurze wywiadowczym ministerium wojny w Paryżu i był w bliskich stosunkach z Kraszewskim.

Mam powody mniemać, że Kraszewski nie był wtajemniczony w potajemne związki tej osobistości, że uważał go po prostu za wroga Prus, jakim był sam, i to równie bezinteresownego.

Kraszewski wrócił z Pau do Paryża, ażeby pojechać do Berlina i tam być aresztowanym. Zatrzymał się w Grand Hotelu, gdzie Kosiłowski, muszę przyznać, nie odstępował od niego. Kraszewski nie mógł piąć się na moje piętra, ja więc chodziłem do niego. Po jego wyjeździe właściciel hotelu opowiadał, że agenci pruscy stanęli w jego domu jednocześnie z Kraszewskim, szpiegując go i jego gości z wiedzą personelu hotelowego i policji francuskiej. Nikt nie ostrzegł Kraszewskiego, że rzuci się prosto w paszczę wilka, tyle bowiem policja jednego kraju ma względów dla innej, że, nawet nie bacząc na rok 1870, szpicle niemieccy cieszyli się w Paryżu przychylnym obejściem. Kraszewski, początkowo pozostawał w areszcie domowym w swej willi drezdeńskiej, później przeniesiony do Lipska i skazany na 3 i pół lata twierdzy, w maju 1884 roku przeniesiony do Magdeburga, wypuszczony został warunkowo na wolność w roku 1886, dzięki wstawiennictwu księcia Antoniego Radziwiłła, spokrewnionego z Hohenzollernami, który przedstawił cesarzowi, że skazaniec jest chory i że śmierć jego w więzieniu pruskim sprawiłaby w Poznańskim fatalne wrażenie.

Władysław Mickiewicz: *Pamiętniki*, Warszawa 1926.

Uwięziony w Berlinie i osadzony w śledczym więzieniu w Moabicie (oddział szpitalny, nr 13), przebył tam wśród prawdziwych katuszy moralnych całych 8 tygodni, tj. od 14 czerwca do 7 sierpnia 1883 r. Ale i tu nawet, pomimo tych duchowych i fizycznych męczarni, z godną największego podziwu umiejętnością panowania nad sobą (że nie wspomnę już o czym innym) tak energicznie zabrał się do pracy, iż w ciągu zaledwie dni siedemnastu (!), tj. od 14 czerwca do 1 lipca, napisał dwutomową powieść *Psiawiara*. Od 1 zaś lipca do 18 pisał znów drugą, pt. *Od kolebki do mogiły*, a od 18 lipca do 5 sierpnia dokonał z niepospolitym talentem arcytrudnego przekładu białym wierszem pięciu komedii Tytusa Macciusa Plauta\*.

Od 26 maja 1884 r., tj. od dnia przyjazdu [do Magdeburga], do 5

---

\* Titus Maccius Plautus (ok. 250—184 p.n.e.) — najwybitniejszy komediopisarz rzymski.

czerwca, zatem w przeciągu pierwszych dni pobytu w twierdzy, Kraszewski zdołał już napisać powieść pt. *Awantura*. W lipcu tegoż roku napisał jeszcze dwutomową powieść *Rodzeństwo* i jednotomową *Nad przepaścią*. W późniejszych czasach, ale równie w Magdeburgu, powstały jeszcze *Justka*, *Król w Nieświeżu*, ostatnie sześć powieści „z cyklu historycznego”, wielka a niedokończona podobno powieść z czasów reformy włościańskiej na Wołyniu, znaczna część dzieła o zakroju archeologicznym pt. *Starzyzna* i wreszcie tak przez autora nazwane *Album magdeburskie*, zawierające jedynie 65 wielkich akwareli z podróży włoskich, które Kraszewski w Magdeburgu dopiero według dawniejszych swych szkiców wykończył.

Otrzymawszy zezwolenie na sprowadzanie wszelkiego rodzaju książek i czasopism, znów, jak widzimy, pisał powieści, studia etc., a oprócz tego pisywał, jak zwykle, korespondencje do dzienników i prowadził, jak zawsze, olbrzymią korespondencję prywatną, pomimo iż załatwiać ją wówczas musiał w języku francuskim lub niemieckim i że wszelkie rękopisy wychodzące od niego, jak i nadsyłane mu do Magdeburga musiały nie tylko przechodzić przez ręce komendanta von Claer, ale nadto – niektóre przynajmniej – musiały być tłumaczone na język niemiecki, a tłumaczenia te opłacane przez więźnia. Co się zaś tyczy korespondencji literackich do tygodników warszawskich, te, dla uniknięcia zapewne kosztów opłaty tłumacza, Kraszewski pisywał w początkach po francusku. W redakcjach dopiero przekładano je na język polski.

Aleksander Bolesław Brzostowski: *Ze wspomnień o Kraszewskim*, jw.



# ELIZA ORZESZKOWA





## *Kraj lat dzieciennych*

W stronie północnej powiatu grodzieńskiego, o mil sześć od Grodna, o wiorst kilka od granicy guberni wileńskiej, na równinie szerokiej, z pól żyznych i łąk rozległych złożonej, z dala już widać było dwór mój rodzinny. Z dala widać było z powodu wielkiej ilości drzew starych, przeważnie lip i klonów, wielkiego koła strzelistych topoli włoskich i obejmujących to wszystko, wśród zieleni bielejących murowanych sztachet. Sztachety biegly na przestrzeni niemal wiorstowej u samego skraju pocztowej drogi, która przed zbudowaniem kolei żelaznej była główną komunikacyjną arterią kraju.

Po drugiej stronie tej drogi, naprzeciw ogrodu składającego się z cienistych alei i kawałka angielskiego parku \*, znajdowała się stacja pocztowa. Zgrabny spory domek, obsadzony drzewami, w którym mieścili się pocztylioni i rzemieślnicy różni, napełniony ciągle gwarem ludu, tętentem koni, odgłosami kowalskich i kołodziejskich narzędzi, dźwiękami pocztowych dzwonek. Wszystkie te odgłosy (jakże mi pamiętne!) słabymi echy dosięgały domu niskiego, długiego, z otynkowanymi na biało ścianami, od którego ganku rozchodziły się na wsze strony szeregi lip, tak starych, że do objęcia ich paru ludzi zaledwie starczyło, nad którego dachem w lecie klekotał bocian.

Wnętrze domu dzieliło się na kilkanaście obszernych pokojów z bardzo niskimi sufitymi, co o zmroku szczególnie nadawało im pozór smętny i tajemniczy. Okna ze strony ogrodowi przeciwnej wychodziły na wielki dziedziniec, z klombem krzewów i kwiatów pośrodku, a dalej na stojący tam za dziedzińcem, jego topolami i zabudowaniami, gęsty liściasty las.

W tym to domu urodziłam się jakiejś majowej nocy w r. 1842. Powiadano, że tego właśnie maja, pierwszej czy potem – nie wiem, po raz pierwszym w ogrodzie milkowskim zaśpiewał słowik. Mogło to być wymysłem

---

\* Park angielski, czyli pejzażowy, w przeciwieństwie do francuskiego, planowany jest swobodnie, tak aby tworzył złudzenie dzieła natury, nie korygowanej ręką człowieka.

lub próżnym wyobrażeniem sług czy domowników, ale matka opowiadać lubiła w wiele lat później, wtedy zwłaszcza, gdy zaczęła być dumną z pi-sarskiego zawodu mojego, któremu zrazu bardzo była przeciwną.

Przed tą nocą urodzin moich istniała już w domu tym dziewczeczka, siostra moja Klementyna, o trzy lata niespełna ode mnie starsza. W kilka-nastu miesięcy po niej, bo w listopadzie roku 1843, kondukt pogrzebowy z domu tego wyprowadził zwłoki mojego ojca, nagle z uderzenia apo-pleksji zmarłego.

Ojciec mój, Benedykt Pawłowski, pochodził z rodziny szlacheckiej na Wołyniu osiadłej i pieczętującej się herbem Korwin. Miał dwóch braci, z których jeden, o wiele starszy wiekiem, zmarnowawszy rodzinny majątek na pospolitych wówczas na Wołyniu zabawach hulackich i zbyt-kownych, zginął w jakiejś zawadiackiej awanturze, pojedynku czy burdzie. Drugi, najmłodszy, obdarzony talentem malarskim, lecz dotknięty nieuleczalną chorobą nerwową, wraz z ojcem moim i pod jego opieką przeniósł się na Litwę. Nie są mi dobrze znane przyczyny, które skłoniły ojca mego do przeniesienia się z Wołynia na Litwę, i słyszałam, wyraźnie powiedzieć mi tego nie chciano może, iż główną z tych przyczyn był charakter jego najstarszego brata i spowodowane przez niego kolizje majątkowe, zarówno jak towarzyskie. Jakkolwiek bądź, ojciec mój przybył na Litwę około 1830 roku i, nabywszy Milkowszczyznę, ożenił się wnet potem z panną Teofilą Borzęcką. Małżeństwo to przecież trwało bardzo krótko, zaledwie lat parę podobno, a wkrótce po owdowieniu, bo już w roku 1837, ojciec mój poślubił moją matkę, Franciszkę Kamieńską, córkę oficera wojsk napoleońskich i posiadacza majątku ziemskiego w powiecie grodzieńskim, Michałówki, nad samym Niemnem położonej.

Ojciec mój był człowiekiem wielkiej nauki, specjalnie prawnikiem. Wcześniej osierocona po nim, niewiele szczegółów posiadać mogłam o życiu jego. Nikt mi też nie powiedział, gdzie mianowicie ukończył nauki, ale w dzieciństwie i w pierwszej młodości znałam wielu jego współczesników, sąsiadów, przyjaciół i od nich wiem, że zostawił po sobie pamięć człowieka wielkiego rozumu i charakteru.

Jako świadectwo pierwszego pozostały mi po nim: biblioteka, złożona z kilkunastu tysięcy dzieł przeważnie naukowych, i zbiór obrazów, liczący sto kilkadziesiąt płócien, z których część znaczna była wysokiej artystycznej wartości.

To estetyczne zatem otoczenie, wśród którego wzrosłam i kilka lat młodości przeżyłam, znaczny wpływ na mój umysł, szczególnie na wyobraźnię, wywarło...

Co do kierunku pojęć umysłowych ojciec mój był wolnomyślicielem, jak się to wtedy nazywało: wolterianinem. Wiem także, iż pomiędzy 1825 a 1840 rokiem należał do jednej z łódz wolnomularskich na Litwie. To przekonanie podzielił z nim brat, malarz-amator, który, z powodu wspomnianej choroby nerwowej (epilepsji) ani ożenić się, ani w artystycznej pracy do poważnych rezultatów dojść nie mogąc, do końca życia w Milkowszczyźnie przebywał z bratem.

Kiedy u początku zaraz pisarskiego zawodu swego objawiać zaczęłam skłonności wolnomyślicielskie, osoby starsze mniej więcej domowi naszemu bliskie jednomyślnie utrzymywały, że wraz ze zdolnościami umysłowymi i te buntownicze zadatki myślenia odziedziczyłam po ojcu. Ze swej strony mniemam, że to trochę twórczej zdolności, którą posiadam, zawdzięczam stryjowi, po którym też wzięłam, niestety, nerwy od dzieciństwa już czułe jak ostateczne mazgajstwo i rozczochrane jak włosy na wietrze. Ta swoboda myślenia i brak wszelkich praktyk religijnych u ojca i stryja była przez czas krótkiego pożycia moich rodziców jedynym cieniem w życiu mojej babki, Elżbiety z Kaszubów Kamieńskiej, kobiety, której pamięć jest mi nad wyraz miłą i świętą, ale której staroświecka, naiwna pobożność zgodzić się nie mogła ze sposobem filozoficznego myślenia zięcia, skądinąd szanowanego i potem ze czcią i miłością przez nią samą wspomnianego.

Jednak, kiedy miałam lat sześć, kilka razy znalazłam ją stojącą przed portretem ojca, w niego zapatrzoną i cicho płaczącą. Spozrzegłszy mnie przy sobie, pokazywała portret i mówiła: „Pamiętaj, abyś była taką jak on!”

Fragment wspomnień Orzeszkowej opublikowany przez Leopolda Méyeta w „Tygodniku Ilustrowanym” 1907.

### *Debüt*

„Tygodnik Ilustrowany” może się poszczycić, że w nim znakomita autorka *Nad Niemnem* zamieściła pierwsze swe utwory.

Oto w r. 1866, w nrze 352 (z dnia 23 czerwca) i 353 (z dnia 30 czerwca),



czytamy duchem gorącego demokracji i gorącym współczuciem dla pokrzywdzonych przeniknięty *Obrazek z lat głodowych*.

O zdarzeniu tym niezapomniany redaktor „Tygodnika Ilustrowanego” Ludwik Jenike opowiada w swych pamiętnikach tymi słowy:

„W tymże samym roku 1866 zdarzył się jeden z tych licznych wypadków, w których poczynające talenta zgłaszały się do pisma mojego po radę i poparcie, wypadek mający tym razem pociągnąć za sobą następstwa ważne, dla piśmiennictwa polskiego nader pomyślne. Pomiędzy wielu listami nadchodzącymi każdą prawie pocztą do «Tygodnika Ilustrowanego» otrzymałem w połowie kwietnia jeden rekomendowany \*. Pismo adresu było mi nie znane, ale wyraziste, oryginalne, podobne nieco do Matejkowskiego. Dla grafologa zwiastować ono mogło charakter wytrwały i energiczny. W liście mieściło się niewielkie opowiadanie prozą pt. *Obrazek z lat głodowych*, podnaczone całkiem nie znanym wtedy w literaturze naszej nazwiskiem niewieści. Do utworu tego dołączona była prośba «nieśmiała» o jego ocenę i wydrukowanie... «jeśli wart druku».

Zacząłem czytać z obowiązku więcej niż w nadziei znalezienia czegoś godnego uwagi; ale po pierwszych zaraz kilkudziesięciu wierszach uderzyły mnie: głębokie uczucie, szczerość przekonania, obrazowanie żywe i barwne, słowem, zadatki niepospolitego talentu, niepewnego jeszcze siebie, obracającego się w formie trochę szablonowej, lecz bądź co bądź wiele na przyszłość obiecującego.

W następnym zaraz numerze «Tygodnika» wystosowałem do autorki wezwanie od redakcji w tych słowach:

«Za śliczny *Obrazek z lat głodowych*, pełen rzewnej poetyczności i prostoty, składamy serdeczne podziękowanie. Prosimy o nadesłanie adresu pocztowego celem bliższego porozumienia się.»

Otrzymawszy zaś adres odpisałem nieznanym serdecznie, zachęcająco i pracę jej wydrukowałem w dwóch numerach «Tygodnika».

Autorką tego drobiazgu, cechującego już poniekąd kierunek dalszej jej działalności a będącego literacką jej pierwociną, była późniejsza twórczyni *Nad Niemnem i Chama* – Eliza Orzeszkowa.

Bez żadnej więc z mojej strony zasługi, zbiciem tylko przypadkowych

---

\* polecony

okoliczności, zostałem literackim «ojcem chrzestnym» pani Orzeszkowej, którym to mianem znakomita powieściopisarka w listach swoich czasem zaszczycać mnie raczy.”

Henryk Galle: *Orzeszkowa i „Tygodnik Ilustrowany”*, „Tygodnik Ilustrowany” 1910.

### *Po pożarze Grodna*

Sylwetka przyniosła mi szczęście. W nagrodę za nią otrzymałem od Orzeszkowej prześliczny list – ciepły, serdeczny, wyciągający dłoń do bratniego uścisku.

Niedługo potem mogłem już był uścisnąć tę dłoń już nie figuracyjnie, lecz realnie. Nastąpiło to w chwili tragicznej: prawie nazajutrz po strasznym pożarze, który trzy czwarte – może więcej – Grodna, stałej siedziby autorki, obrócił w perzynę.

Orzeszkowa, wypłoszona przez ogień z własnego mieszkania, znalazła gościńcę pod dachem swego przyjaciela i prawnego doradcy, adwokata Nahorskiego, który następnie został jej mężem. Tam ją odwiedziłem, w tym dużym drewnianym domu, do dworu wiejskiego podobnym.

Choć latami dość jeszcze młoda, wydała mi się staruszką. Jej włosy, wysoko podpięte, były prawie białe; na twarzy ani śladu rumieńca; cała postać pochylona; w ręce laska, którą się podpierała. Ale z wielkich szarych oczu wyglądała dusza silna, energii pełna, niezmożona; ruchy były żwawe, stanowcze; z ust płynęły słowa bystrym, nieprzerwanym potokiem.

Tylko wielki duch mógł być sprawcą cudu: że niewiasta fizycznie słaba po trzech nocach bezsennych, po trzech dniach gorączkowego podniecenia i gwałtownych wzruszeń była w stanie rozwijać działalność, której ledwie by kilku silnych mężczyzn sprostało.

Cała Polska stanęła wówczas do akcji ratunkowej dla pogorzalców grodzieńskich, a główny kierunek akcji spoczywał w ręku Orzeszkowej. Myśl jej pracowała bez przerwy nad wynajdywaniem coraz nowych źródeł dochodu, rozniecaniem coraz nowych ognisk współczucia. Mówiła o tym ze mną i towarzyszem moim, z kilkoma przybyłymi przyjaciółkami, z adwokatem; wychodziła co chwila do skupionych w sieni i przed ganikiem mieszczan, Żydów, przedstawicieli policji; wyprawiała listy, karty pocztowe, bilety. Jednocześnie starczyło jej sił do wypytywania mię

o Warszawę, o ruch literacki; do wychwalania Grodna, które gdyby nie pożar, wyglądałoby „jak kosz kwiatów”; do wskazywania miejsc, które mi zwiedzić koniecznie wypadało...

Zamyśliła się na chwilę – a potem zaraz:

– Mierzwiński!... Panie, gdzie bawi w tej chwili Mierzwiński?

– W Paryżu.

– Adres?

– Wystarczy: Wielka Opera.

– Zaraz do niego napiszę. Musi na naszych pogorzalców zaśpiewać. Toć Polakiem jest.

Zażądała atramentu, pióra...

Po chwili znów:

– Panie! serce mi się ściska... Ogień nie ocalił nawet tej komnatki w starym zamku, gdzie zmarł Stefan Batory!...

Napisała list, wyprawiła.

– Panie! – znów do mnie – pan Nahorski zawiezie pana do baraków, do szpitali, gdzieśmy tymczasem będę bezdomną umieścili. Żadnych tam różnic wyznaniowych, politycznych... W obliczu nieszczęścia wszyscy równi... Znajdzie pan tematy do stu nowel...

Powróciwszy z objazdu miasta zastałem Orzeszkową w nowym otoczeniu. Białoruscy wieśniacy, rośli, krzepcy a poważni i nieco melancholicy, zamknęli ją żywym kołem i głowy ku niej ze czcią chylili, a ona, niewielka, schorzała, rej między nimi wiodła, ze wszystkimi o wszystkim rozmawiając.

Wyszędłszy z koła, oznajmiła mi:

– To moi Dziurdziowie...

Wiktor Gomulicki: *Przy świeżym grobie*, „Tygodnik Ilustrowany” 1910.

## *Z dawnych dni*

Kiedy wspominam lata spędzone na tajnej pensji, widzę pannę Lizię [Aloję] Traugutt, córkę dyktatora. Panna Lizia udzielała na pensji lekcji dykcji. Ta wątła, blada istota w szarej sukience, z gładko zaczesanymi włosami, mówiąca przyciszonym głosem o poezji i poetach, wprowadziła mnie w świat gorących doznań poetyckich, którym pozostałam wierna przez całe życie.

Przechadzając się z nami podczas pauzy po długim korytarzu opowiadała nieraz o ojcu. W jej opowiadaniach Romuald Traugutt był nie tylko dzielnym organizatorem ruchów powstańczych, postacią bohaterską, przypięczętowującą śmiercią na stokach Cytadeli koniec tragedii nieudanego powstania, ale był spokojnym dzierżawcą folwarku Ostrów w powiecie kobryńskim, pracującym z zamiłowaniem na roli i traktującym parobków jak braci.

Traugutt opowiadał często rodzinie o rzemiośle wojskowym, które sobie upodobał wówczas, gdy po ukończeniu szkoły rycerskiej odbywał służbę w armii rosyjskiej i w randze kapitana brał udział w wojnie węgierskiej, a potem krymskiej. W nabożnym skupieniu słuchała relacji ojcowskich pięcioletnia Alojza ze starszą siostrą Anną, która się nią opiekowała po śmierci matki.

– Gorący nurt powstania wyrwał ojczulka z rodzinnego gniazda – mówiła panna Lizia. – Nie przeczuwałyśmy wówczas tragedii narodowej.

W związku z wypadkami z czasów powstania wspominała Orzeszkowa. Kult Trauguttówny dla autorki *Nad Niemnem* datował się od najwcześniejszych lat dzieciństwa. Była wielkiej pisarce nieskończenie wdzięczną za to, iż pod jej dachem ojciec znalazł bezpieczne schronienie i opiekę, gdy oddział powstańczy, którym dowodził, uległ rozsypcie. Orzeszkowa pielęgnowała rannego Traugutta i ukrywała go przez dwa tygodnie, zachowując się po bohatersku podczas dziewięciu kolejnych rewizji we dworze, i uratowała wodza wywiozłszy go własnym powozem do granicy Królestwa.

– Pragnęłam zawsze ucałować ręce tej czcigodnej pani i dziękować za wszystko, co uczyniła dla ojczulka – powtarzała panna Lizia.

Przełożona [Zuzanna Morawska] była w serdecznych stosunkach z Orzeszkową, toteż sposobność spotkania mogła się nadarzyć na terenie pensji, którą wielka pisarka obiecała odwiedzić.

Do upragnionego spotkania nigdy nie doszło. Wówczas gdy Orzeszkowa przebywała w Warszawie, Trauguttówna zachorowała na influencję\* i przez kilka tygodni nie zjawiała się na pensji. Przełożona przeprowadziła autorkę *Pamiętnika Wacławy* przez wszystkie klasy, informując,

---

\* grypę

jakich mamy nauczycieli. Gdy padło nazwisko panny Traugutt, pisarka przystanęła, zamyśliła się i szepnęła z przejęciem:

– Jego córka... Córka dyktatora...

Zuzanna Rabska: *Moje życie z książką*, Wrocław 1959.

### *U pani Elizy*

Siedzibą pani Orzeszkowej był staroświecki, parterowy dworek, stanowiący jedyny drewniany zabytek z epoki tyzenhauzowskiej. Stał przy ulicy zwanej Rozkosz, zanim została Sadową, a następnie na urągowsko – Murawjowską. Domek oszalowany deskami miał niski dach, kryty cynkową blachą, a od frontu facjatę z balkonem i dwiema mansardami. Pomalowany był na szarobłękitny kolor, na którym odbijały białe drzwi, okna i okiennice. Wejście z chodnika prowadziło przez sionkę i przedpokój – na prawo do przestronnego salonu, na lewo do saloniku, wprost zaś do pokoju jadalnego, wychodzącego na kryty ganek. Z ganku po kilku stopniach schodziło się do ogródka, gdzie nieliczne kasztany, rosochate lipy i stary klon ocieniały nisko rabatki z kwiatami. Za salonikiem leżał gabinet i sypialnia pani Orzeszkowej. Pokoje gościnne i służbowe mieściły się w prawym skrzydle domu i na „górkach”.

Mieszkanie było urządzone skromnie. Brakowało w nim starodawnych biedermajerowskich jesionów i płomienistych mahoni oraz obrazów, które bądź pozostawały w Ludwinowie i tam zagięły, bądź sprowadzone z Miłkowszczyzny spłonęły w pożarze Grodna z częścią bogatej biblioteki. Sprzęty były nowoczesne, kryte przeważnie pluszem. W małym saloniku znajdował się marmurowy kominek – nad nim lustro. Ściany ozdabiała *Anastazja A. Kamińskiego* – źródło pomysłu do powieści pod tymże tytułem, obraz *Barany* i *Dwie siostry* niewiadomego pędzla, piękny portret pani Pawłowskiej z małą Elizą, roboty jej stryja Pawłowskiego, kilka sztychów, miniatur, dagerotypów\* i fotografii. Szafy były przepełnione książkami w różnych językach, co razem stanowiło pokaźny księgozbiór. Na wszystkich półkach i stolikach leżały książki, albumy i zeszyty. Francuskie dywany okrywały posadzki. Mieszkanie ożywiały zawsze zi-

\* Dagerotypia — pierwotna technika fotograficzna poprzedzająca właściwą fotografię.

mą świeże białe bzy, cyklameny i azalie oraz bukiety sezonowych kwiatów. Gabinet był ciasny, ciemny; biurko małe, zarzucone książkami i papierami. Pani Eliza porównywała pracownię swoją do grobu.

Orzeszkowa starała się prowadzić u siebie życie systematyczne. Budziła się o 8 rano. Wypijała w łóżku herbatę z bułką, następnie ubierała się, przeglądała gazety i listy, krótko chodziła po salonie i jeżeli była w natchnieniu, zasiadała do pracy; jeżeli natchnienia brakło – załatwiała obfitą korespondencję. O godzinie 1 podawano drugie śniadanie, składające się z potraw mięsnych. Zdradziłem się kiedyś, że lubię jajecznicę. Gościnną pani Eliza nazwała jajecznicę „owacją”, a kiedy przychodziłem, zapytywała ciocię Monisję, czy o owacji dla mnie pamiętała. Jeżeli pani Orzeszkowa była usposobiona do pisania – zapominała o godzinie śniadaniowej; przypominał o niej wprawdzie nastawiony budzik, lecz często budzik wydzwonił godzinę, a pani Orzeszkowa pisała aż do obiadu. Tak długa praca wyczerpywała ją, prosiła więc domowników, aby „udawali budzik”. Należało jednak bardzo ogłędnie wypełniać to zlecenie, gdyż nagła interwencja sprowadzała jakiś niepokój czy lęk, połączony z bólem głowy. Czas pomiędzy śniadaniem a obiadem, do którego zasiadano o 5, był przeznaczony na czytanie, przejażdżki lub przechadzki po mieście, na przyjmowanie i oddawanie wizyt oraz załatwianie spraw codziennych. Po obiedzie następował kilkunastominutowy spoczynek, potem znowu – pisanie do 9 wieczór, aż do kolacji. Dzień kończył się głośnym czytaniem czasopism i gazet w jadalnym pokoju. Czytano „Ateneum”, „Prawdę”, „Głos”, „Kraj”, „Przegląd Tygodniowy”, „Polaka”, „Przegląd Wszechpolski”, „Wisłę”, „Revue des deux mondes”, „Revue bleue” i rozmaite gazety. Pani Eliza słuchała robiąc robótkę lub naklejając zasuszone kwiaty na papier listowy. O 12 lub 1 gospodyni udawała się do sypialni, wszyscy się rozchodzili, naftowe lampy gasły w całym domu. Zdarzało się jednak, że w pracowni autorki świeciły długo w noc – o ile „pisało się dobrze”. Czuła się wtedy szczęśliwa: „... pisząc w ciemnym pokoju, podobnym do grobu, czuję, że jednak panuje we mnie dziwna radość, bezpamiętna, spokojna, ale tak wielka, że nazywam ją szczęściem...” (list do prof. M. Zdziechowskiego).

Przychodziły nieraz tygodnie, a nawet miesiące, kiedy Orzeszkowa nie mogła tworzyć. Jeżeli ten nastrój trwał dłużej, skarżyła się, że wszystko w niej kamienieje, że nie może już wydobyć z siebie żadnego dźwięku

pieśni, bo twórczość jej zanika. Niepokoiła się takim stanem i martwiła, aż – pewnego wieczora, pogrążona w myślach, zaczynała chodzić po salonie w półmroku do późnej godziny. Była to niezawodna oznaka, że na zajutrz budzik zadzwoni bezskutecznie – depresja minęła.

Pani Orzeszkowa zasiadała do pisania dopiero wtedy, gdy miała w głowie całą powieść skomponowaną rozdział po rozdziale, od początku do końca, a nigdy nie oddawała do druku rzeczy niezupełnie wykończonych. Prace swoje i listy pisała sama; tylko będąc już chorą uciekała się do pomocy jednej ze swoich panien sekretarek.

Otrzymywała niezliczoną moc listów najrozmaitszej treści od nieznanym, w kwestiach nie mających często nic wspólnego z jej twórczością. Tak na przykład jakaś pani zasięgała rady co do wyboru męża dla przekwitającej córki; rozczarowany młodzieniec żalił się na swoje niepowodzenia miłosne; jadowita teściowa oczerniała zięcia; niecierpliwa żona zapytywała, czy się ma już rozwodzić, czy jeszcze czekać; matki prosiły o wskazówki wychowania swoich latorośli. Ale najstraszniejszymi były początkujące literatki, które błagały o przyznanie im iskier Bożych. Pewna Białorusinka domagała się natrętnie, by Orzeszkowa pisała po białorusku, jak W. Syrokomla. Inne znowu podawały od siebie rady, tematy, wzory. Nieraz proszono o fotografię i autografy, o protekcję, zapomogi, stypendia, pożyczki. Na te wszystkie elukubracje i petycje pani Orzeszkowa odpowiadała radząc, pocieszając i pomagając. Praca i korespondencja nadwężywały wzrok, który potem wymagał leczenia i wypoczynku.

Do normalnych zajęć życia codziennego zaliczyć należy regularne wykłady pani Orzeszkowej z zakresu literatury polskiej i historii cywilizacji, które odbywały się parę razy w tygodniu dla panien domowych i zaproszonych. Wykłady odznaczały się gruntownym przygotowaniem i piękną formą. Pani Orzeszkowa wskazywała źródła, wymagała od słuchaczek wypracowań pisemnych. Były to kursy dokształcające, utrzymywane na wysokim poziomie.

Z pozostałych kajetów słuchaczek można odtworzyć treść wykładów literatury. Kurs rozpoczął się od przypomnienia, że każdy naród posiadający dziś piśmiennictwo zawdzięcza jego powstanie ludowi. Pierwszym poetą polskim był lud, który, karczując puszcze i obsiewając je, śpiewał swoje pieśni wpatrzony w słońce, a w zimowe wieczory układał przy blasku łuczywa przypowieści i legendy. Poezja leżała się w chatach, for-

mowała się w nagłowickich i czarnoleskich dworach, nim dosięgła szczytów w arcydziełach.

W wykładach przewinął się cały korowód twórczych duchów, które sprawiły, że „naród o ustach zamkniętych na sto pieczęci mówi i śpiewa tak głośno i pięknie, że mowy i śpiewu jego słuchają ci sami, którzy mu te pieczęcie na usta złożyli”.

Wzorem formy i poziomu kursów pani Orzeszkowej może być odczyt o ulubionym jej poecie, Janie Kochanowskim, wygłoszony w Grodnie w 1908 roku, kiedy właśnie jedną ze stu pieczęci z ust sam naród przełamał. Odczyt ten ukazał się następnie w druku.

Niezależnie od wykładów odbywały się wspólne czytania utworów beletrystycznych ostatniej doby, które pani Orzeszkowa komentowała, szczególnie o ile to były dzieła treści głębszej, na przykład *Duchy Świętochowskiego* albo tłumaczenia z literatury skandynawskiej, bardzo wówczas modnej. Słuchaliśmy Ibsena, Björnstjerne'a\*, Hamsuna, Strindberga, Hanssona. Przypominam sobie dyskusję nad *Dziką kaczką* Ibsena. Pani Orzeszkowa utrzymywała, że myśl przewodnia, przeprowadzona niejasno, trudna jest do zrozumienia, a jeszcze trudniejsza do wcielenia w życie. Podkreślała także różnicę pomiędzy Ibsenem i Björnstjerne'em – apologetami kobiet, a Strindbergiem i Hanssonem – ich antagonistami. Dyskutowaliśmy też nad Hipolitem Taine'em i Jerzym Brandèsem. Kuzoszki miejskie, które tylko słyszały, że „panny Orzeszkowej” czytają dzieła trudne i nowe, mówiły: „oto panny, co rozumieją Ibsena”.

Prosiłiśmy czasem, aby autorka odczytywała nam ustępy ze swoich nie wydanych jeszcze powieści. Słyszało się wtedy – jak to zwykle bywa – zachwyty i westchnienia, co wcale pani Orzeszkowej nie gniewało. Przyznawała się szczerze, że lubi powodzenie i sławę, ponieważ „można nimi przyozdobić oblicze upokorzonej ojczyzny”. Pewnego razu zapoznała nas z nowelką *Dymy*, do której napisania przyczyniłem się mimowolnie – treść jej bowiem stanowi pożar jednej wsi nadniemeńskiej, przy której ratowaniu odniosłem ciężkie poparzenia.

Kiedy indziej odczytała nam z rękopisu rozdział *Argonautów* nie zdradzając się, że postanowiła mnie ich dedykować. Gdy pojawił się

---

\* Właśc. Björnstjerne (imię!) Björnson.



w „Tygodniku Ilustrowanym” początek tej powieści z dedykacją, otrzymałem od pani Elizy list:

„Cieszę się, że *Argonautci* przypominają mię drogiemu Panu. Powodzi się na świecie tej powieści, choć jeszcze w druku połowy nie dobiegła. Wychodzi na raz w trzech językach; p. Lubowski już zaczął przerabiać ją na dramat – i inne tam objawy pomyślne. Przynosi mi to uciechę, że z rzeczą niezupełnie mierną związałam imię Pana i wspomnienie tych naszych wspólnie spędzonych dni i wieczorów, które teraz wydają mi się jakimś snem dalekim, jakąś strofą przebrzmiałą, czymś, co umknęło w mgłę i w niej świeci jak daleki płomień.”

Jeżeli czytanie lub wykłady przeciągały się do późna, podawano słuchaczom herbatę z przekąskami – nazywało się to „sympozjonem”, a kiedy przyjęcie było obfitsze – „orgią”.

Wchodząc raz w Grodnie do domu pani Elizy Orzeszkowej rozminąłem się z typowym szlachcicem zagrodowym, który jak się dowiedziałem, zjawił się po raz pierwszy w życiu, tylko po to, aby sprawdzić, „czy pejzaż pani dobrodziki ozdabiający pierwszą stronicę mojego kalendarza jest podobny do jej oblicza”. Rozłożył kalendarz, patrzył to na oryginał, to na „pejzaż”, kiwał głową, cmokał, wreszcie orzekł, że zupełnie niepodobny – szkoda wyrzuconych pieniędzy. Skłonił się zamasyście, ucałował rękę i znikł jak kamfora.

– Jeden oryginał tylko co wyszedł, a drugi opowiada to panu – zakończyła śmiejąc się autorka.

Przypominam sobie zawsze ten epizod, kiedy patrzę na podobizny, popiersia i medale Orzeszkowej, nie wyłączając portretu S. Lentza, rzeźby H. Kuny, pomnika R. Zerycha. Nikt nie potrafił dotychczas skojarzyć tych twardych rysów męskich z łagodnym wyrazem kobiecej wrażliwości. Nikt nie zdołał uplastyczyć natchnionej twarzy, wycieniowanej przez mądrość i dobroć. A kiedy szukam, kto by tego dokonać potrafił, zjawia się przede mną prorocza głowa Mickiewicza wyrzeźbiona w drzewie przez Dunikowskiego – potężna, promieniąca geniuszem.

Tym, którzy wielką samotnicę z Ongrodu\* dobrze i od dawna znali, pozostał przed oczami obraz z czasów, kiedy już wiek i praca wybieliły jej włosy, ułożone w wysoką koronę ze lśniącego srebra nad twarzą, od-

---

\* Jako Ongród występuje Grodno w wielu utworach Orzeszkowej.

laną też jakby ze srebra, lecz matowego. Duża głowa Orzeszkowej była osadzona na nieco podniesionych ramionach zbyt małego korpusu. Kiedy pani Eliza, ubrana niezmiennie w czarną aksamitną suknię, siadywała o zmroku na ciemnej kanapie, suknia zlewała się z oparciem, widoczna była tylko biała, jakby zawieszona w powietrzu, dostojna twarz. Wrażenie to potęgowały kłęby dymu z papierosa, które panią Elizę prawie zawsze otaczały. Na takim tle odbijały oczy – wyraziste, mądre, ciemnopiwe, prawie czarne. Przeszywała nimi każdego, wglądając w duszę, czy aby nie cierpi, szukając ran, które zaraz goić pragnęła. Niekiedy matowy spokój rysów zakłócał uśmiech warg, niby ironicznie wydętych. Ale nie była to ironia – był to smutek, o którym pisała do mnie: „Czas, ten wielki rzeźbiarz, rzeźbi we mnie i rzeźbi ten zresztą powszechny ludzki relief \*, którym jest smutek.” Dominującą bowiem cechą usposobienia Orzeszkowej była melancholia, płynąca z „bólów jak morze”, który Polskę i ją ze wszystkich stron otaczał.

Blіsi przyjaciele znali nie tylko uśmiech pani Elizy, ale i szary cień jakby zasłony przesuwającej się po twarzy, kiedy usłyszała coś przykrego. Twarz wówczas stawała się pochmurna. Skoro ostrzejsze zgrzyty wywoływały pośpiejniejszy odblask, mówiliśmy, że pani Orzeszkowa „ściemniała”, a nawet „szczerniała”. Zdarzało się to czasem podczas wizyt, a czasem przy dysputach literackich, kiedy między innymi zabierał głos pan Stanisław Nahorski.

Jeżeli używam tu liczby mnogiej „my” albo „nas”, mam na myśli otoczenie pani Elizy, stanowiące żywą z nią, zwartą, rozumiejącą się wzajemnie rodzinę. Bliskich krewnych pani Orzeszkowa nie miała. Na owo przybrane grono rodzinne składały się: panna Monika Gorzkowska, najstarsza z otoczenia – sympatyczna „ciocia Monisia”, prowadząca gospodarkę domową; pani Maria Obrębska – serdeczna przyjaciółka autorki, nieodłączna towarzyszką w zagranicznych wyjazdach, niejako szef protokołu w momentach reprezentacyjnych, i panny z inteligencji, tworzące jakby świętę: Stanisława i Zofia Gorzkowskie, Stefania i Jadwiga Eysymontówny, siostry Jawdyńskie, Stanisława Kamińska, Jadwiga Kościakowska, moja siostra Maria oraz Wanda Nusbaumówna i Jadwiga Ostromecka z Warszawy. Niektóre z tych młodych osób mieszkały u pani

---

\* płaskorzeźbę

Orzeszkowej, inne ją odwiedzały – ożywiały dom, prowadziły bibliotekę i czytelnię, segregowały korespondencję, suszyły kwiaty, brały udział w przyjmowaniu gości, słuchały wykładów, przygotowywały się do późniejszej samodzielnej pracy społecznej. Panna Kamińska zapatrzyła się na losy Justyny i Jana Bohatyrowicza i ułożyła sobie życie według wskazań *Nad Niemnem*. Zespół męski stanowili panowie: Stanisław Nahorski, Maksymilian Obrębski, a różnymi czasy – Jan Grzeźulko, Wacław Jachuński, Jerzy Osмоłowski i Józef Jodkowski.

Dużo miłych godzin spędziłem i ja przy tym ognisku kultury i polskości. Wiele ważnych faktów mego życia wiąże mi się z pamięcią pani Elizy. Wybitna osobowość, urok talentu, na ościęż otworzone mi serce sprawiły, że przechowuję we wdzięcznej pamięci postać pani Orzeszkowej. Chcę więc czerpać z moich wspomnień i wskrzesić nawet drobne pozornie szczegóły i mało ważne epizody z życia wielkiej obywatelki. Osobiste wspomnienia moje zaczynają się mniej więcej od 1890 roku.

\*

Dom pani Orzeszkowej w Grodnie leżał wśród „grobowej ciszy, bezbrzeżnych pustek i przenikliwych chłódów”, w mieście, gdzie Rzeczpospolita skonała \*, w kraju, gdzie trzykrotne bohaterskie walki narodu poszły na marne, gdzie rozpanoszyła się zemsta zwycięzców, a w ruinach i zgliszczach tała się rozpacz, nędza i beznadziejność.

Ten dom był azylem, dokąd schroniła się dusza polska. Był jakby wyspą, o którą rozbijały się złośliwe fale polityki zaborców, zalewające współczesne życie zwyciężonych. Już pod same okna domu podpływała taka fala w postaci ulicy nazwanej imieniem Murawjewa-Wieszatiela.

Kilkanaście inteligenckich rodzin polskich w Grodnie wiodło żywot śpiący i obojętny. Wiele z nich zniknęło w miarę odlatywania „Australczyków” i „Argonautów” po złote runo.

Poza tym było kilka domów kulturalnych, którym pruderia i bigoteria nie pozwalały przerzucić mostów na wyspę Orzeszkowej do chwili jej małżeństwa z panem Nahorskim. Dla niektórych wchodziły w grę

---

\* Aluzja do ostatniego sejmiku Rzeczypospolitej, który w Grodnie w r. 1793 podpisał po dłuższym oporze akt drugiego rozbioru.

obiekcje „zasadnicze”: zwolennicy „Roli” Jeleńskiego obawiali się spotkać z Meirem Ezofowiczem, tchórzliwi lękali się urzędowej czarnej listy znajomych pani Orzeszkowej, a najskromniejsi nie czuli się dobrze w atmosferze intelektualnej.

Na wysokim poziomie kulturalnym był utrzymany dom pani Michaliny z Dziekońskich Zaleskiej, wdowy, popularnie zwanej hrabiną. Dom znajdował się po przeciwległej stronie ulicy Murawjowskiej i oknami spoglądał w okna pani Orzeszkowej. Pani Zaleska, wychowanka kultury francuskiej, młodość spędziła w Paryżu wśród emigracji, bywała w Hotelu Lambert \*, znała osobiście Mickiewicza, Towiańskiego, Szopena, Lennartowicza, Bohdana Zaleskiego, Cypriana Norwida. W stylowo umeblowanych salonach przechowywała dużo pamiątek po „ludziach listopadowych”, tak jak pani Orzeszkowa – po uczestnikach powstania styczniowego. Ze znajdujących się u pani Zaleskiej zbiorów korzystali do prac swoich o autorze *Promethidiona* Z. Przesmycki i A. Korotyński. Często gościem jej w Grodnie była córka Mickiewicza pani Gorecka i Marcelina Czartoryska, najulubieńsza uczennica Szopena. Poza tym odwiedzało ją kilka osób z litewskiej arystokracji oraz duchowieństwo. Dla reszty ten dom miał za wysokie progi. Dom zaś pani Orzeszkowej, dostępny dla każdego – nie miał ich wcale. Żydzi zwali go domem Abrahama, który był jakoby otwarty ze wszystkich stron, aby ubodzy mogli doń zawsze przenikać.

W domu pani Zaleskiej mówiono przeważnie po francusku i angielsku, z przyzwyczajenia i ze względu na to, że przebywał tam przywieziony z Paryża Francuz, eks-malarz, p. Vial, który jak mówiły złe języki – był kiedyś młody, oraz Irlandka miss Nora.

Pani Zaleska nie lubiła Orzeszkowej – ów brak sympatii był zresztą wzajemny. Zarzucała jej niedowiarstwo, demokratyzm i zły wpływ na młodzież. Głównym jednak powodem niechęci był obrazek *Dobra pani*, w którym wielka dama, egoistka i kapryśnica, przygarnęła biedną dziewczynę li tylko dla swojej fantazji, a nie dla dobra pupilki. Pani Zaleska opiekowała się rzeczywiście pewną panienką; wychowała ją po wielkopańsku, przywiązała do siebie. Pupilka nie mogła jednak wytrzymać w złotej klatce i ulotniła się z niej – co prawda w długi czas po

---

\* Siedziba Adama Jerzego Czartoryskiego.

owej nowelce. Pani Zaleska w nowelce dopatrzyła się siebie, a w Heli – swojej wychowanki.

Przez ulicę przelatywały wrogie sobie prądy. Obie panie pozostawały jak „dwa na słońcach swych przeciwne bogi” – ku szkodzie obopólnej, gdyż te dwa domy mogły się wzajemnie uzupełniać.

Cicha, starannie maskowana animozja dostarczała mi sporo momentów komicznych. Jako syn oficera polskiego i emigranta, bywałem u obu pań, niby dyskretny „oficer łącznikowy”. Pewnego razu pani Zaleska zażartowała przy wykwinnym śniadaniu u siebie, że ja pewno lubię rybę po żydowsku, bo często bywam u „sąsiadki”. Od pani Elizy zaś słyszałem, że jakiś szlachcic zaściankowy, będąc w interesie dzierżawy „na vis-à-vis”, dostąpił zaszczytu zaproszenia na herbatkę, przy tym brał palcami cukier, odgryzał i kładł z powrotem do cukiernicy; gospodyni domu zawołała lokaja i demonstracyjnie kazała wyrzucić cukiernicę z całą jej zawartością. Szlachcic po wypiciu herbaty z dobrą miną wyrzucił przez otwarte okno sewrską filiżankę ze spodeczkiem i łyżeczką, a na wyrażone przez panią Zaleską oburzenie odpowiedział:

– Myślałem, że to już taki zwyczaj u pani hrabiny.

Franciszek Godlewski: *Pani Orzeszkowa*, Warszawa 1934.



# BOLESŁAW PRUS





## Głowacz

Było to w roku 1864.

Kolega Adam Mysłowski, uczeń klasy szóstej liceum lubelskiego, opowiadał nam, że dopiero wtenczas będzie prawdziwa uciecha, jak przyjedzie Głowacki. To chłopiec wesoły i dowcipny, przy tym bardzo dobry matematyk i poeta. Napisał wiele wesołych wierszy, a między innymi poemat *Bryś*. Umie lornetować przez but dziurawy, tańczyć fandango, wiele rzeczy niesłychanych dokonać – i w danym razie pokaże, co umie. Powinien już przyjechać, a dlaczego nie ma go – nie wiadomo.

Nareszcie zjawił się Głowacki. Figura niepoczesna, szczupły, smagły – czupryna czarna, gęsta i kędzierzawa, oczy przymrużone, bo ma wzrok krótki. Twarz wyrazista, wąsiki sypią się – granatowe kepi, granatowy mundur uczniowski, zapięty na wszystkie guziki, prawy but nieco wykrzywiony.

– Cóż ty nam prawić takie cuda? – powiadamy do Mysłowskiego, inaczej Mycusia. – Ot, sobie scyzoryk taki jak i drudzy i wcale z fizjognomii nie wygląda, aby nadzwyczajne rzeczy pod czapką nosił.

Okazało się jednak inaczej. Głowacki, znany już z miejscowej szkoły realnej jako jeden z najzdolniejszych uczniów, w szóstej klasie liceum zdobył sobie od razu uznanie. Prócz wybitnych zdolności do matematyki i nauk przyrodzonych nie dał się wyprzedzić drugim i w innych przedmiotach, a jako bezwarunkowo najlepiej czytany i rozwinięty, pisał wypracowania wszelkie doskonale. Umiał przy tym zaskarbić sobie przyjaźń kolegów. Wesoły i towarzyski z natury, uczynny i serdeczny, zgrupował wnet obok siebie kółko szósto- i siódmoklasistów, a żywy i pełen intuicji umysł jego począł organizować i zespolać młode siły i ochotę do wspólnego pożytku umysłowego i wspólnej pracy.

Z inicjatywy Głowackiego powzięto myśl, aby klasa szósta i siódma urządziły wspólne repetycje niektórych przedmiotów dla tym łatwiejszego przygotowania się do egzaminów – projekt ów przyszedł do skutku.



Głowacki począł dla kolegów wykładać kosmografię. Powstała również myśl wydawania uczniowskiego pisma w siódmej klasie. Kamiński Zbigniew i niżej podpisany wydawali „Głos z Kąta”, zaś Głowacki w klasie szóstej pisał humorystyczny „Kurier Łobuzów”, do którego Michał Świątkowski rysował winiety i odpowiednie ilustracje. Nie pamiętam dobrze, co z Kamińskim pisaliśmy w „Głosie z Kąta”, nie ma w tym zresztą straty dla piśmiennictwa krajowego, zaś z „Kuriera Łobuzów” umiem krakowiaka poczynającego się od słów:

*Jestem sobie tęgi student, wąsy mi urosły,*

*Panienki się uśmiechają,*

(Chór łobuzów za kulisami)

*Ze studenty osty!*

Krakowiak ten, jak również pocmat fantastyczny *Bryś*, jako pierwociny talentu przyszłego Bolesława Prusa cieszyły się w gronie kolegów należytych uznaniem.

Głowacz – inaczej „Jan w Oleju”, pod tym bowiem pseudonimem pisał swoje pamiętniki w „Kurierze Świątecznym”, posiadał w skarbonce mózgowej bogaty zapas pieśni ludowych, osobliwie krakowiaków i wyrwasów.

Głowacki ukończył liceum lubelskie w 1866 roku – ukończył jako doskonały uczeń i w tymże roku przybył do Warszawy i zapisał się na wydział matematyczny Szkoły Głównej.

Nie pomnę dobrze, czy na Wąskim Dunaju, czy na Piwnej, pod samym dachem, gnieździł się razem ze Świątkowskim i Mysłowskim. W kieszeni były pustki, ale humor złoty. Trzeba jednak było zarabiać korepetycjami na chleb powszedni, chadzał przeto Jan w Oleju w kanonierskich łodzianach, kształcił umysł osłom i uszlachetniał serca, a to raz koło razu – metodycznie.

A harda to zawsze była sztuka. Mógł zginąć z głodu, a nikogo, nawet najbliższych, o pomoc nie poprosił. Pamiętam raz zimą – nie widząc dni kilka kochanego Głowacza, zaszedłem do kwatery na Krakowskim Przedmieściu. Wchodzę – w stancji zimno, wszyscy leżą w łóżkach nakryci koldrami, paltotami, szlafrokami itp., zaś na Głowackim widzę stosy książek i -- kalosze, wszystko dla ciepła.

– Czyście powariowali, czemu nie palicie w piecu, przecie mróz dwadzieścia stopni?

– A wsadź włosy i łeb do pieca i zapal, bo drzewa nie ma – proponował Brogowski, zwany kapitanem, wysadzając nos spod kołdry.

– Widzę, samowar jeszcze nie nastawiony, cóż u licha!

– Cukru nie ma, herbaty nie ma, bułek nie ma, węgla nie ma – była odpowiedź.

– Ach, zbóje świętokrzyskie, gdzieś stróż? Trzeba stróża posłać.

– Daj pieniędzy na sprawunki, kiedyś taki kretyń, i zawołaj stróża, bo ja wyłazić spod kołdry na takie zimno nie głupim.

Wtem wszedł listonosz z awizacją.

– Do pana Głowackiego, kto z panów pan Głowacki? Awizacja na 20 rubli.

– Od wujaszka z Nowej Aleksandrii, jak Boga kocham – zawołał Głowacki wyskakując spod kołdry. – Daj dwadzieścia groszy, daj złotówkę dla listonosza – szeptał do mnie. – Krzyknij z ganku na stróża, mieszka na dole. Muszę zaraz posłać po salceson. Salcesonu za 20 groszy! Trzeba się wzmacniać. Co dzień salceson będę jadł.

Gustaw Doliński: *Z księgi pamiątek*, „Kurier Codzienny” 1897.

### *Wspomnienie z powstania styczniowego*

... urządziliśmy raz śniadanie imieninowe na święty Józef dla jednego z naszych szefów. Było też kilku zaproszonych przyjaciół. W tej kompanii przeszło ono w miłym towarzyskim nastroju, w sporej salce restauracyjnej, w zupełnym odosobnieniu. Gdy doszło do czarnej kawy, podzieliśmy się na mniejsze grupki. Pod jednym z okien salki znaleźliśmy się przy stoliku we trzech z Prusem i Olendzkim ze „Słowa”, w którym pisywał jako Jacek Soplica. Typowego tego szlachcica, o dużych czarnych wąsach, powszechnie zwaliśmy Majorem.

Olendzki, pochodząc z kresów, zapytywał mnie o moje strony rodzinne, których nie znał. A gdym mu opowiadał o domu moim rodzinnym w Lubelskiem, który stał frontem do gościńca wiodącego ku Wohyniowi, Prus przerwał nagle:

– Do Wohynia? Czekaj no pan, to przecież ja na tym gościńcu w waszych stronach wojowałem.

Chodziło tu naturalnie o ostatnie powstanie (w 63 r.), w którym młodziutki Prus brał udział.

– Jakże to było, panie Aleksandrze, na tym gościńcu?

Prus opowiadał.

„A było to tak. Partia nasza stała właśnie w lasach po obu stronach tego gościńca. Otrzymaliśmy wiadomość, że w nocy będzie tamtędy przejeżdżał oddział konnicy moskiewskiej. Urządziliśmy więc zasadzkę, ukryci w lesie przy samej drodze, z bronią przygotowaną do strzału. Strzelać nie wolno było inaczej, tylko razem salwą, natychmiast po sygnale, którym miał być wystrzał pojedynczy. Noc była ciemna, byliśmy doskonale ukryci. Czekaliśmy dosyć długo, aż nareszcie słyszymy charakterystyczny tętent zbliżającej się konnicy. Wojsko w ciemności zaczęło przeciągać tuż przed nami. Serca nam biją. Jednak nie strzelamy. Czekamy na sygnał. Konnica z wolna przeciąga pod drzewem, za którym stoję w pogotowiu. Z ciemności dochodzi odgłos rozmowy dwóch oficerów. Z daleka padł strzał sygnałowy i palnęliśmy salwą do przejeżdżających Moskali. Zaskoczeni, pomknęli galopem dalej.”

– Dużoście ich tam natłukli? – zapytał Major ciekawie.

– Naprawdę to ani jednego. Ciemno było, strzelaliśmy na oślep. Ra-no, po dniu znaleźliśmy dwa zabite konie i miejscami ślady krwawe, „farbę”, nie wiadomo, czy po ludziach, czy po koniach. Musiało tam paru co oberwać. Ale strachu napędziliśmy im kapitalnie.

– I co dalej? Co dalej?

„Na razie nic. Ale trochę później przyjechał do nas konno młody jeszcze człowiek, któremu w rozmowie na uboczu nasz dowódca okazywał wiele uwagi. Byliśmy ciekawi, kto to. Zapowiedziano na wczesny ranek przegląd partii, widocznie przez nowo przybyłego. Zaraz po świcie stanęliśmy w szeregach. Przed nami, przed frontem, przejeżdżało ich dwóch: nowo przybyły i nasz dowódca, który widocznie zdawał mu sprawę.

Po dłuższym baczny przeglądzie przybyły zapytał dowódcę, co teraz zamierza, ten zaś odrzekł, że właśnie wydał rozkaz do wymarszu i poprowadzi nas tam a tam, przeciwko oddziałowi wojska rosyjskiego.

– Nie zrobi pan tego. Mamy wiadomości pewne. Oddział pański przeciw zebranej tam sile za mały. Niech pan rozkaz wymarszu odwoła.

Na to dowódca:

– Nie odwołuję rozkazów raz wydanych.

– To pan zgubi ludzi! Proszę rozkaz odwołać.

– Nie odwołuję rozkazów raz wydanych.

Wtedy stała się w naszych oczach rzecz niesłychana. Przybyły ujął nabity pistolet, odwiódł kurek i, podjeżdżając bliżej do dowódcy z podniesionym ku niemu pistoletem, zawołał:

– W imieniu Rządu Narodowego, na mocy nadanej mi władzy, rozkazuję panu wydać natychmiast rozkaz do odwrotu. – Dowódca zbladł. Rozkaz cofnął.”

Milczeliśmy przejęci. Po chwili Olendzki zapytał:

– Panie Aleksandrze, czy tego wysłańca Rządu Narodowego spotkał pan kiedy w życiu?

– Nie spotkałem.

– Myli się pan, spotykasz go często. Ten siwy, cichy pan, który w redakcji zajmuje się telegramami i tłumaczy je, siedzi w ostatnim pokoju, to właśnie on.

– Majorze – zawołał Prus podniecony, prawie obrażony – żartujesz! A Olendzki poważnie:

– Daję ci na to słowo honoru.

Major w opowiadaniach o swoich życiowych przejściach często mocno koloryzował, gdy jednak dał słowo honoru, wiadomo było, że mówi poważnie. Zerwał się Prus.

– Bywajcie zdrowi! leć! leć! muszę go uścisnąć i ucałować.

I wzięwszy szybko palto i zwykłą swą czapkę karakułową szybko opuścił nas i pobiegł do redakcji.

Miłosz Kotarbiński: *Kilka luźnych wspomnień o Bolesławie Prusie*, „Świat” 1936.

### *W redakcji «Kurier Warszawski»*

Wśród adeptów zawodu literackiego zespolonych nicią sympatii z „Kurierem Warszawskim”, który mimo swego charakteru przeważnie brukowego usiłował nadać sobie ton prowodyra w dziennikarstwie warszawskim, wyróżniali się liczbą i ruchliwością wychowawcy b. Szkoły Głównej, i to nie z wydziału filologicznego, lecz z wydziałów prawnego i matematycznego, bezpośrednio z literaturą lżejszego pokroju niezestosunkowanych.

Szymanowski, doskonały znawca ludzi i talentów, od razu ocenił w Prusie pożyteczną literacką siłę. Artykuł zamieszczony w „Musze” Kaufmana pod tyt. *Na śmierć Azorka trenów pięcioro* zwrócił na siebie uwagę pana Waława i skłonił go do wysłania Prusowi zaproszenia, by przyjął współpracownictwo w „Kurierze”.

Po przełamaniu pierwszych lodów zawiązał się między Szymanowskim a Prusem stosunek zażyłości ścisłej w r. 1874, w którym współpracownictwo swoje rozpoczął Prus od szeregu *Szkiców warszawskich*. Szkic *Pod szycbtami* wybornie zobrazował ówczesne Powiśle. Od r. 1875 rozpoczęły się słynne *Kroniki tygodniowe*, które autorowi ich i pismu zjednały wielu zwolenników. Zaczęto uważać Prusa za beniaminka redakcyjnego, bez którego już się obejść niepodobna było.

Sympatią tą darzyli w pierwszym rzędzie utalentowanego pisarza koledzy jego, dla których prawość charakteru, niezwykły humor i oryginalność myśli i czynów Prusa stanowiły *great attraction*\* zebrani redakcyjnych „Kuriera”.

Rozpoczęły się owe zebrania południowe od partyjki szachów rozgrywanej między Szymanowskim a Prusem w ciasnym pokoiku, zastępującym salę przyjęć.

Szymanowski uważał się za niezwycięzonego szachistę, pomimo sromotnych pogromów, jakimi się jego zapasy z Prusem kończyły.

Dla znawców i nieznawców była owa walka roznamiętnionych graczy źródłem nieustannej wesołości. Przysłuchiwano się z zajęciem dowcipnym uwagom Prusa rzucanym pod adresem redaktora; przyglądano się parze grających, z których jeden, pod pokrywką pewności siebie, tłumił oburzenie i rozpacz, gdy mu partner przy akompaniamencie dowcipnych a zgryźliwych przymówek sprzątał sprzed nosa laufra, konika i wieżę, osaczając kulawą figurkę wyobrażającą króla zastępem nieublaganych pionków, a bezwzględny Fryze opatrywał komentarzami każdą taką porażkę.

Rozpoczęta we dwójkę partia kończyła się zazwyczaj tłumnym zebraniem tak zwanej galerii (*kibitzje*), która, nie należąc do gry, głośne ponad głowami graczy prowadziła dyskusje, przerywane kiedy niekiedy humorystycznym zaklęciem Prusa, palącego bez przerwy swoje nadłamane i po-

---

\* wielką atrakcję (ang.)

miętoszone „papierówki” i natrzęsającego się z zimną krwią nad namiętymi ruchami rąk redaktora.

Aleksander Kraushar: *Wspomnienia. Sylwetki literackie z niedawnej przeszłości*, ogłoszone w książce *Kartki historyczne i literackie*, Kraków 1894.

Trzeba go było znać osobiście i widzieć, jak się przejmował każdą kwestią publiczną, jak mu ona wchodziła w nerwy, w krew, we wszystkie komórki mózgu w danej chwili.

Zdarzało się często, że w swym rozpiętym paltocie, z jakimś kosturkiem przypominającym laskę, z kapeluszem lub czapeczką baranią, które nigdy chyba nowymi nie były, z miną zaaferowaną wpadał do redakcji i nie rozbierając się, nie witając z nikim, siadał przed biurkiem sekretarza i zaczynał:

– Ot, macie!... oto macie!... cóż teraz będzie?... trzeba coś zrobić. Czy wy nie widzicie, moi ludzie, co się dzieje!

I dopiero w krótkich, urywanych zdaniach wygłaszał swoją opinię, chodząc dużymi krokami po pokoju, potrząsał głową, wzruszał ramionami, przecierał swoje podwójne binokle i odbywał krótkie narady z panem Wacławem, a potem zrywał się znowu i bez pożegnania najczęściej zniknął z redakcji, aby śpieszyć do domu, zamknąć się w swoim gabinecie na kilka godzin i pisać *Kronikę* na długich, wąskich paskach, które w sobotę sam przynosił do druku ze słowami:

– Macie *Kronikę* na jutro, tylko niech uważnie składają!

Jakby mu ulgę sprawiało wylanie zapasu nagromadzonych myśli, siadał potem w wesołym humorze z Szymanowskim do szachów i czekał cierpliwie na korcektę.

Zdarzyło się, że rękopism bywał niekiedy opóźniony albo że autor, nie czując się dysponowanym, nie dawał wcale *Kroniki* na jutro, ale co zwyczajnemu pracownikowi nie byłoby płazem uszło, to uchodziło Prusowi; wiedziano, iż nie potrafi pisać na obstalunek i że do pracy przysiąść się może wtedy tylko, gdy czuje prawdziwe natchnienie i ma istotną potrzebę przemówienia do czytelników.

Z natury delikatny, jakby nieśmiały, unikający rozgłosu i zwracania uwagi na siebie, skromny aż do przesady, nie lubiący rozmawiać nigdy o sobie i swoich pracach, należał do tych rzadkich kolegów, którzy w stosunkach osobistych nikomu wody nie zamącili, nikogo nie dotknęli przy-

krym, złośliwym słowem, żadnemu się nie narazili. Na swary literackie, na polemiki i kłótnie pisarskie spoglądał zawsze z ironicznym uśmieszkiem i politowaniem, powtarzając sentencjonalnie:

– Panowie, szanujmy się!... bo gdy nie będziemy się szanowali, któż nas szanować będzie?...

Pogodnym uśmiechem witał zawsze każdego z kolegów i rozpoczynał rozmowę najczęściej od podania swojej papierošnicy ze słowami:

– Cóż?... prosi kawaler damski o papierosa?

Miał bowiem swoje właściwe wyrażenia, dowcipy, zwroty, które można było nazwać „prusowskimi”.

Marian Gawalewicz: *Ze wspomnień o koledze Prusie, „Rozwój” 1904.*

## *Katastrofa*

Podczas pierwszych dwudziestu lat po powstaniu życie w Warszawie, jak wnioskować można z relacji współczesnych, było wyjątkowo uciążliwe. Atmosfera wypełniona była smutkiem i żalobą po doznanej klęsce, a terror cenzury, żandarmerii i policji łamał wszelkie odważniejsze poczynania. Nad publicznym słowem polskim roztaczano wyęžoną i wyrafinowaną kontrolę. Dawano pozwolenia na odczyty naukowe, ekonomiczne, przyrodnicze, z wielką jednak ostrożnością zezwalano na odczyty literackie. Wolno je było wygłaszać jedynie autorom, których *blagonadziejność*\* nie ulegała żadnej wątpliwości. Takim był np. Włodzimierz Spasowicz, sławny adwokat petersburski, pisarz tyleż rosyjski, co polski, promotor „ugodowości”, która rozwinęła się później, ku pohańbieniu imienia polskiego.

Trudno dzisiaj uprzytomnić sobie dokładnie, jak wielkim wydarzeniem kulturalnym bywały w Warszawie ich odczyty. Wspomnienie o nich pozostało w tradycji starszych ludzi, ale wystarczy przejrzeć pisma z owych czasów, aby się przekonać, że stawały się przedmiotem nieskończonych dyskusji, sporów i komentarzy, wybiegających daleko poza ramy samego tematu

Dnia 9 marca 1878 zarząd Towarzystwa Osad Rolnych podał w „Ku-

---

\* prawomyślność (ros.)

rierze Walszawskim” zawiadomienie, że Włodzimierz Spasowicz, „obrońca przysięgły”, wypowie w sali ratuszowej d. 12 i 14 marca tegoż roku dwa odczyty o Wincentym Polu. *Pieśni Janusza* były jeszcze na wszystkich ustach, więc zapowiedź odczytów wywołała sensację. „Kurier” informował, że „bilety na wszystkie miejsca numerowane są już rozprzedane i tylko bilety na miejsca stojące, na galerii lub na sali, będą do nabycia na dwa dni przed prelekcją”. Istotnie, na obu odczytach sala była zapelniona po brzegi. Spasowicz, analizując utwory Pola, a zwłaszcza jego *Przygody Benedykta Winnickiego*, zaatakował ostro życie społeczne i obyczajowe w dawnej Polsce i krytykował metody wychowawcze, zgodnie z którymi ojcowie wymierzali starszym nawet synom bizuny na kobiercu. Słuchacze byli do głębi oburzeni tą krytyką bez pardonu, po raz pierwszy wypowiedaną w pogrzebionej Warszawie publicznie. W pewnym momencie odczytu odczuwały się frenetyczne oklaski gromadki młodzieży uniwersyteckiej, co jeszcze mocniej rozdrażniło słuchaczy, a zwłaszcza licznych przedstawicieli prasy. Okazało się, że oklaski biła grupa studentów-socjalistów, która stanowiła wówczas pierwsze kadry naszego socjalizmu. W grupie tej były jednostki wybitne: Stanisław Mendelson (późniejszy działacz socjalistyczny), Stanisław Krusiński (genialny socjolog, zmarły przedwcześnie), Jan Popławski (późniejszy działacz i ideolog Narodowej Demokracji), Kazimierz Dłuski i inni.

Po odczytach wszystkie dzienniki wystąpiły przeciw Spasowiczowi, licząc się oczywiście z cenzurą. W dyplomatycznej, wytwornej recenzji „Kuriera Warszawskiego” (15 III 1878) pisze znakomity krytyk, b. zesłaniec syberyjski, Władysław Bogusławski: „Tak jest, przeszła chwila, której Wincenty Pol był szczerem i naiwnym wyrazem; przeszła tak dalece, że obawa o s z k o d l i w o ś ć takiej książki jak *Przygody Benedykta Winnickiego*, o ponętności takich ideałów jak bizuny, choćby z dodatkiem kobierca, mogła tylko uśmiech na ustach dzisiejszego słuchacza wywołać. Prelegent niedobrze zrobił, bo za pole zapasów wybrał sobie nie miejsce poważnych studiów, w których prawda może, pod osłoną nauki, przedstawić się we wszelakim oświeceniu, ale – przybytek lekkich rozrywek umysłowych, napełniony słuchaczami, których najgłówniejszym przygotowaniem do dyskusji w tym przedmiocie były dotąd artykuły «Przeglądu Tygodniowego». Niedobrze wreszcie zrobił zapomniawszy, że w tym zgromadzeniu, hołdującym więcej modzie aniżeli wiedzy i zachwycającym



się w równej mierze wytwornym wyglądem prelegenta jak treścią jego odczytu, znaleźć się muszą żywy, w obecności których usta przygotowane do najsłuszniejszego nawet procesowania naszej przeszłości zamknąć się powinny... Oklaski, jak wszystko na świecie, podlegają krytyce, sądzić więc, że do nich prelegent zastosuje prawo ścisłej analizy."

Inne pisma były mniej oględne, chociaż musiały zręcznie maskować swe poglądy. Wyjątek stanowiły jedynie „Nowiny” (gazeta świąteczna), redagowane przez Erazma Piltza, rzecznika późniejszej „ugody”. Artykuł wstępny (z dn. 17 III 1878) pt. *Spasowicz wobec krytyki warszawskiej* rozpoczyna Piltz taką przygrywką: „Po gorączkowym nastroju sprawozdań, po niedomówionych zdaniach, tajemniczych kursywach i dwuznacznych kropkach najmniej spostrzegawczy czytelnik mógł odgadnąć, że na nieruchomym i bezbarwnym widnokregu naszego społecznego życia zdarzył się fakt wybiegający daleko poza kresy powszedniości.” Następuje szczegółowa analiza głosów prasy i – dość bezwstydnym panegiryk dla Spasowicza, jeżeli się weźmie pod uwagę intencje patriotyczne sprawozdawców, którym odebrano prawo szczerego wypowiedzania swych myśli.

W tym samym numerze „Nowin” znalazł się w odcinku tygodniowy *Felieton warszawski* Bolesława Prusa, który rozważa złe i dobre strony odczytu, a w końcu oznajmia: „Sumienie nakazuje mi powiedzieć, że koledzy z prasy codziennej powtórzyli zasadniczy błąd p. Spasowicza, to jest widzieli tylko jego wady, a nie spostrzegli jego zalet.” Przyzwyczajony do tonu swoich sławnych *Kronik tygodniowych* w „Kurjerze Warszawskim”, postanowił Prus skarcić w „Nowinach” ostro studentów, którzy manifestacyjnie oklaskiwali niektóre ustępy odczytu Spasowicza. „Na drugim odczytzie – mówi Prus – kiedy p. Spasowicz rzucił słówko, że Pol był tylko znakomitym a n t y k w a r i u s z e m, nie zaś historykiem, stojące z boku stadko młodzieży uderzyło brawo. Ten wybuch cięłej wesołości był tak niestosowny i dziwny, że ludzie rozsądni do dziś nie mogą zrozumieć powodu, dlaczego podobał im się tak wyraz a n t y k w a r i u s z i dlaczego np. nie dali brawa po wyrazie w s z a k ż e albo p o n i e w a ż. Tajemnicze zjawisko, dowodzące nie tyle pomieszania pojęć, ile raczej klepek, niedobrze widać zlepionych. Ja sądzę, że powód oklasków był głębszy. Pol apoteozował b a t o g i stosowane do niesfornej młodzieży, więc gdy p. Spasowicz zrobił Pola antykwariuszem, a tym samym usunął bat, niby miecz Damoklesa zawieszony nad dziećmi, zainteresowana

w sprawie część publiczności w taką wpadła uciechę, że aż zrobiła głupstwo. Osoby kształcące swoje umysły w zakładach naukowych uczynią dobrze, gdy zdań ludzi poważnych nie będą stawiać na wysokości piruetu wykonanego przez baletnicę a widzianego z paradyżu \*. Dobrze też uczynią, gdy na uroczystej prelekcji, na której krytyk druzgocze jedną z wybitniejszych dotychczas postaci i kiedy tysiące serc smutek ściska, zechcą zachować się inaczej niż na *Orfeuszu w piekle* \*. W razie przeciwnym będziemy się domyślali, że w młodzieży tej, która przecie naszą przyszłość stanowi, zamarło uczucie i nie zakiełkował rozsądek."

Cała Warszawa rozchwytywała numer „Nowin” z felietonem swego ulubieńca. Komentarzom nie było końca... Dziś sprawa takich oklasków przeszłaby bez żadnego wrażenia; wówczas, w najgorszej epoce niewoli, urosła do wielkiego wypadku, którego ofiarą padł niespodzianie Prus.

Nazajutrz po wyjściu z druku felietonu o „cielęcej wesołości” i „bato-gach” zawrzało w grupie młodych socjalistów w Uniwersytecie. Zredagowano wspólnie wzór odwołania i zażądano od Prusa, aby je drukiem ogłosił. Odmówił. Wówczas grupa socjalistyczna przybyła do Prusa i zażądała od niego satysfakcji honorowej. Znakomity felietonista nie zdawał sobie sprawy z rozdrażnienia młodzieży; chciał obrócić jej żądanie w żart.

– Moi panowie – zawołał – stanę wam na mecie, ale pod warunkiem, że będziecie do mnie strzelali wszyscy po kolei.

Treść tej odpowiedzi pochwyliła wnet plotka warszawska. Zaczęły krążyć różne ponure wersje o zamierzonej zemście obrażonych. Doszły one do wiadomości członków redakcji „Kurier Warszawskiego”, którzy postanowili nie puszczać Prusa samego na ulicę. Po ukończonej pracy redakcyjnej, około trzeciej, grywał Prus zazwyczaj w szachy z redaktorem Wacławem Szymanowskim. Pewnego dnia wyszedł z redakcji w towarzystwie Bogusławskiego i redaktora faktycznego, Czapelskiego \*, którzy go odprowadzali do domu, przy ulicy Mariańskiej.

Gdy weszli na plac Grzybowski, otoczyła ich gromadka studentów-socjalistów, ze Stanisławem Mendelsonem na czele. O tym, jak się ci studenci zachowali wobec Prusa, krążą od dawna sprzeczne legendy. Ci i owi

\* z galerii

\* Operetka J. Offenbacha.

\* O Czapelskim zob. niżej, przypis na s. 336.

wymieniają różne nazwiska uczestników, przypisując im napaść zbiorową. Najbardziej wiarogodna jest relacja Zygmunta Herynga, pomieszczona w „Niepodległości” [1930]. Twierdzi on, że obrażeni za „cieleńcą wesołość stadka młodzieży” studenci postanowili na tę obelgę odpowiedzieć policzkiem. „Jeden z działaczy – mówi Heryng – a mianowicie Sawicki, zgodził się wyrok ten wykonać, a pozostali członkowie w milczeniu przypatrywali się temu czynowi. Petersburskiej młodzieży socjalistycznej, a zwłaszcza mnie i Wysłouchowi, zagorzałym wielbicielom Prusa, wydała się ta brutalna napaść czymś wprost ohydny. Toteż, gdy Sawicki, po wygnaniu go z Uniwersytetu Warszawskiego, zaszedł do nas (mieszkałem podówczas z Wysłouchem) i z zapalem o swym bohaterskim czynie zaczął opowiadać, nie tylko nie szczędziliśmy mu słów oburzenia naszego, lecz poprosiliśmy go, aby osobistych stosunków z nami nie podtrzymywał.”

Napaść na placu Grzybowskiem wywołała zbiegowisko. Nadeszła policja i zaprowadziła wszystkich studentów do cyrkułu \* przy ulicy Twardej. Podczas badania wstępnego Prus oświadczył:

– Nie mam do tych panów żadnej pretensji. Szukali kogo innego i napadli na mnie przez pomyłkę. Proszę ich uwolnić.

Wobec takiego postawienia sprawy nie spisywano żadnego protokołu.

Prus bardzo głęboko, niemal tragicznie, odczuł napad na placu Grzybowskiem. Była to dla niego katastrofa moralna, której nigdy nie mógł zapomnieć. Na razie przestał pisać, wyjechał do Nałęczowa. Wstrząs nerwowy, jakiego doznał, wywołał w nim cierpienie, które go nękało przez całe życie, a mianowicie obawę przestrzeni (agorafobia).

\*

Poznałem go w dwadzieścia lat później, w Paryżu. Pewnego dnia państwo doktorstwo Zielińscy zawiadomili mnie, że Prus przyjechał do Paryża i u nich zamieszkał. Zbieraliśmy się w ich mieszkaniu co wieczór niewielką gromadką i dążyliśmy do tego, aby w naszych rozmowach zwracać uwagę Prusa na te lub inne objawy życia francuskiego, zazwyczaj fałszywie u nas oświetlane. Podczas tych gawęd prześcigaliśmy się

---

\* do komisariatu

wzajemnie w informacjach. Dowiedziałem się wówczas po raz pierwszy o chorobie Prusa i o napadzie na placu Grzybowski, oświetlanym zresztą niedokładnie. Dopiero po powrocie moim do kraju szczegółowszych wiadomości o tej sprawie udzielił mi jeden z delegatów młodzieży uniwersyteckiej z r. 1878, mecenas J. Śliwowski. Okazało się, że podróż do Paryża zaostrzyła jeszcze chorobę Prusa. Nie mógł wejść na oświetlone schody, nie mógł patrzeć przez okno, nie mógł przejechać przez most. Wynikały stąd niekiedy bolesne następstwa: w Berlinie Prus potłukł się mocno, wyskakując z dorożki, gdy ta wjeżdżała na most. Kolejami jeździł, o ile się dało, w nocy, a pomimo to odczuwał dotkliwie każdy wiadukt: ogarniało go nerwowe drżenie, po którym długo nie mógł dojść do jakiej takiej równowagi. Obawa przestrzeni sprawiła, że autor *Lalki* zobaczył tylko jedną stronę Paryża, a mianowicie ulice znajdujące się na prawym brzegu Sekwany.

Pragnęliśmy namówić go koniecznie, aby pojechał do Quartier latin\*. Nie mogliśmy wyobrazić sobie nawet, ażeby świetny obserwator z *Kronik* nie zobaczył w Paryżu tej jedynej na świecie pełni, frenezji\* i różnorodności życia, jakie tętniło w owe czasy na bulwarze St-Michel i w jego okolicach. Usiłowaliśmy przekonać Prusa, że go przewieziemy do Quartier latin w taki sposób, iż nie poczuje zgoła mostu.

– Jakże się to stanie? – zapytał niedowierzająco.

– Właśnie w Auteuil jest jedno takie miejsce... – tłumaczyliśmy kłamliwie.

– Auteuil? Co? może po tym najwyższym wiadukcie? – zawołał z oburzeniem.

Podstęp się nie udał. Prus wystudiował plan Paryża wybornie i chodził po ulicach z całą swobodą. Jeden z lekarzy polskich osiadłych we Francji próbował na swoją rękę tego samego podstępu. Wsiadł z Prusem do tramwaju przy Gare de l'Est i nie powiedział, dokąd jadą. Nagle, gdy tramwaj zatrzymał się na pięknym placu zamkniętym z dwóch stron dwoma wielkimi gmachami, Prus zapytał:

---

\* Quartier latin (Dzielnica łacińska) — od XII w. uniwersytecka dzielnica Paryża; mięci liczne uczelnie, muzea, zabytki itp., odznacza się też specyficznym kolorytem lokalnym.

\* szaleństwa

– Co to za gmach?

– Teatr Châtelet – objaśnił towarzysz podróży.

– Ach, to zaraz będzie Sekwana – zawołał Prus i wyskoczył z tramwaju.

Pewnego dnia zgłosił się do państwa Zielińskich jeden z organizatorów napadu na placu Grzybowskiem z prośbą, aby mu wyjednali przyjęcie u Prusa. Pragnął złożyć mu swe hołdy i uzyskać przebaczenie za szaleństwo sprzed lat dwudziestu.

– Nie, nie mogę – odpowiedział Prus z przygnębieniem. – Życie całe mi złamali.

Państwo Zielińscy otaczali znakomitego gościa najserdeczniejszą i najtkliwszą opieką. Niestety, mieszkali na pierwszym piętrze i w dodatku przy jednym z największych placów paryskich, a mianowicie przy Place de la Nation. Każde przechodzenie przez ten plac męczyło Prusa niewymownie. Przechadzki po Paryżu odbywał sam. Nadmierna delikatność nie pozwalała mu korzystać z pomocy rodaków, którzy tłumnie oświadczaali gotowość do usług wielkiemu i ukochanemu pisarzowi. Obawa przestrzeni nękała Prusa coraz więcej. Zamierzony dłuższy pobyt w Paryżu skrócił do dni dziesięciu. Pragnął, aby co prędzej minęła męka powrotu koleją po tyłu, tyłu mostach. Gdyśmy go odprowadzili gromadnie na kolej – był bardzo smutny, milczący i blady...

Jan Lorentowicz: *Spojrzenie wstecz*, Warszawa 1935.

## W Nałęczowie

Mój ojciec, dr Konrad Chmielewski, był długo lekarzem i dyrektorem Zakładu Leczniczego w Nałęczowie, do którego w latach od 1880–1900 zjeżdżała na wywczas y letnie i leczenie cała elita inteligencji polskiej. Więc przede wszystkim ukochany Dziadzio – Prus, doprawdy często pełniący zaszczytne obowiązki sumienia narodowego. Dziadzio Ajzyk Głowacker, jak się w chwilach swego szampańskiego humoru nazywał, bawił latem zawsze przez lat przeszło 20. Ukochał Nałęczów, ukochały go wszystkie dzieci Nałęczowa. Zawsze pogodny, żywy, „trefny” – jak siebie nazywał, cały się wylał w niezmierzonej dobroci w listach do naszej siostry [przyrodniej] Oktawii Radziwiłłowiczówny (późniejszej Żeromskiej), która od wczesnych lat życia była jego ulubienicą, dalej w *Eman-*

*cypankach*, może pisanych pod jej wpływem, bo ileż tam wypadków i powiedzonek z życia Okci!... To był człowiek najprostszej, najbardziej wektorowej myśli polskiej (że użyję tu przez pamięć jego określenia matematycznego), najprostszego i najbliższego sercu czynu i najmniej złożonego odruchu. Jego dusza – całkiem gołębia – przytulała wszystkich i wszystko jako swoje w wielkiej radości życia, przemocnej wierze w zwycięstwo dobra, w czym był zupełną antytezą swego sąsiada – Stefana Żeromskiego.

Nie potrafiłbym opisać dość barwnie nauki jazdy na rowerze Dziadunia. Kupił sobie tani rower, garnitur z barchanu za 5 rubli srebrem i wprawiał się we wsiadaniu na grobelce za pałacem, co parę minut zlatując głową na dół w krzaki. Nie można go było ubłagać, aby był łaskaw wybrać bezpieczniejszą aleję – bez bocznych spadków – do tej gimnastyki.

– Patrzcie, co ten kochany wariat wyprawiał! – wołała z tarasu p. Lucyna Cwierciakiewiczowa, autorka znakomitych 365 *obiadów*, opiekunka całej literatury i studenterii, duchowa i materialna, bo któż łaknący nie dostał wonczas dobrego obiadu u cici Lucyny, słynnej z dosadnych słówek poza tym.

... gdybyż wszyscy wiedzieli, jak ta *Lalka* powstawała! W Nałęczowie w dawnym pałacu Małachowskich, na lewo od wejścia ze strony zachodniej, był mały pokoik o gotyckim sklepieniu, z mocną kratą żelazną w oknie (kiedyś widocznie była tu kasa), które zasłonięto do połowy (okno było niskie), aby Dziadzio mógł w tym pokoiku „nie być starannie oglądanym przez białogłowy” – zieloną sukienną firanką... Na słomiance pod oknem legiwał stale jakiś przybłęda-pudel o jednym oku, mocno zapchlony przyjaciel Dziadzi, którego głównie interesowała znajdująca się w pałacu restauracja, a później Dziadzio.

Ten pan (Prus – oczywiście) w ciemnych okularach, nakładający jeszcze często do nich *pince-nez*, z żelazną laseczką pod pachą, w „marengowatym” garniturze, spacerował oto wśród gromadki ludzkiej w podcieniach jednego z najpiękniejszych parków w Polsce, obserwował różne lalki i różnych „dramatycznych” kawalerów i pajaców, układał nowelki, z noweli przeszedł do powieści, bo sam był rozkosznym, miłym gadułą i lubił bajecznie opowiadać dużo tym, których dopuścił do konfidencji ze sobą. Przypuszczam, że sam nie wiedział, kiedy przeszedł z powiastki do powieści, bo na powiastkę było już treści za dużo.

Pani Wąsowska tak mi ogromnie przypomina jedną przedziwnie pięknej urody p. Z. S. z jej rozmów z Dziadziem w parku. Wszystkie nasze towarzyszyki lat młodych w Nałęczowie – Jadzie, Niutki, Milcie, Hele, lgnęły do Dziadzi nie tylko dlatego, że to był Prus („znacznie przystojniejszy od diabła”, jak mawiał o sobie krotochwilnie), ale dlatego, że był on mistrzem eleganckiego, miłego dialogu i subtelnego nad wyraz wychowania. Ja nigdy nie słyszałem, żeby Dziadzio mówił o kimkolwiek źle. Nie umiał...

Dziadzio Prus w parku nałęczowskim dosyć długo z ożywieniem twierdził kilku damom, że teraz piszą lepsze wiersze niż w czasy mickiewiczowskie, bo rymują „małpa” z „wykonywał pas”, a „chaber” z „kandela-ber”, że ostatecznie wcale się nie dziwi, że piszą wiersze pokojówki – często nawet lepsze od swych pań. Tu pocztylion Maciążek, który na próżno poszukiwał Dziadzi w Zakładzie, podaje mu z poczty przesyłkę – dużą bombonierę, jak gdyby od cukierków Wedla. Dziadzio Prus, ucieszony, że zaraz będzie damy częstował cukierkami, dodając do nich dodatki swego złocistego humoru, szybko odpieczętowuje i rozpakowuje bombonierę... Tu konsternacja Dziadzi i wybuch śmiechu dam. Wiecie, co w niej było? Nowe spodnie dla Prusa przesłane przez firmę Gebethner i Wolff na wieść publiczną, że Dziadzio przy nauce jazdy na rowerze stargał na nic portugalia. I wiecie, co ten najpogodniejszy zawsze w Polsce człowiek powiedział: „O, cóż to za poezja – doprawdy!”

Konrad Chmielewski: *Mneme*, „Tygodnik Ilustrowany” 1939.

### *Maszyna do pisania*

... skrzętność Prusa w zbieraniu materiałów jest niezrównaną. I to nie tylko, jeśli chodzi o daty \* naukowe, jak tym razem, ale też w zbieraniu dokumentów życiowych, które potem zużytkowuje w swoich powieściach. Znany jest jego zwyczaj, który zmienia mu całe życie w ustawiczną, zabiegliwą pracę, zwyczaj notowania każdego uwagi godnego faktu, zdania, obserwacji czy poglądu. Stąd zawsze miewa dużego formatu notatkę i ołówek w pogotowiu, a w towarzystwach, gdzie nie wypada nie-

\* dane

jako wydobywać foliałów, niejednokrotnie się podobno zdarza, że mankiety od koszuli poważnie na tym ucierpią.

Ze Lwowa miał się Prus udać do Pragi, ponieważ jednak materiał tutaj zebrany jest nadzwyczaj obfity, więc prawdopodobnie zaniecha tego zamiaru, a uda się tylko gdzieś na wieś dla odpoczynku i uporządkowania zgromadzonych dat i informacji.

– Przykro mi tylko – mówił Prus wspominając o tym – że nie mam pod ręką swojej maszyny do pisania. Nieoceniony to wynalazek. Odżyłem, odkąd go używam, robota mi idzie szybciej, a nie tak męczy. A mnie już groził skurcz pisarski w ręce. Na trzeci dzień po kupnie maszyny do pisania wygrałem już na jej klawiszach swoją *Kronikę tygodniową*, a dziś piszę już półtora razy szybciej niż piórem.

Przypomniały mi się przy tych słowach anegdota, jakie krążyły po Warszawie o Prusie, kiedy sprawił sobie ową maszynę. Cieszył się nią jak student i dla wprawy wypisywał na niej listy do żony z jednego pokoju do drugiego, z prośbą np. o czysty kołnierzyk lub chustkę do nosa.

Jan Zgoda: *Wędrowało sobie słonko*, „Kurier Lwowski” 1898.

## *Spotkania z Prusem*

Bolesław Prus jak gdyby żywy stoi przede mną: głowa z lekka pochylona ku przodowi, ciemne okulary zakrywają mu oczy, w ruchach jego jakaś niepewność, jak gdyby nie ufał, iż ziemia, na której stoi, będzie się zachowywała statecznie i niezmiennie, do twarzy przylgnął wyraz zamyslenia, w którym jest nieco rozlazłości i rozstrzelenia, nieco jakiegoś mistycyzmu. Bodaż należałoby zrobić poprawkę: mistycyzmu owianego niewiarą. (Może podsuwam mu to niewłaściwie, ale okoliczności, w których spotykałem się częściej z Prusem, sprawiły, iż jakoś nie umiem go sobie wyobrazić inaczej.) Jedyne w niektórych chwilach, gdy zadrgały silniej struny uczuciowe w jego jaźni, znikał z twarzy ów sceptycyzm, na pół zrośnięty z mistycyzmem, znikało rozstrzelenie – pozostawało serdeczne, ale i niepraktyczne dziecko.

Zanim poznałem osobiście Prusa, dałem mu się już nieco we znaki. Jeden z pierwszych moich artykułów był wymierzony przeciwko niemu. Był to wstępny artykuł w „Przeglądzie Tygodniowym” w r. 1883, rozpra-



wiający się z filozofią społeczną Prusa i praktycznymi konsekwencjami jego poglądu, iż społeczeństwo jest organizmem. Artykuł był namiętny, nie liczył się z wyrazami, ale, nielitościwy względem zapatrywań Prusa, nie dotykał w niczym jego osoby, jako człowieka dobrej woli. Już o parę lat wcześniej, z powodu odczytu Spasowicza w Warszawie, Prus miał bardzo przykrą przeprawę z pierwszymi pionierami rodzącego się radykalizmu społecznego w naszym kraju. Wśród namiętności doszło do brutalnego a zgoła niewłaściwego znieważenia Prusa na jednej z ulic Warszawy. Nie wiem, jak odczuł Prus mój artykuł, właśnie z powodu łączności moich poglądów z poglądami niefortunnych uczestników owego zatargu. Bodaj nieobecność w moim przyczynku pierwiastków natury osobistej usposobiła go względem mnie dość życzliwie. W ciągu wielu lat następnych musiałem trzymać się z daleka od Warszawy, ale kiedy powróciłem, w lat blisko dziesięć po poprzednim moim uderzeniu na Prusa uczyniłem nowe: napisałem długi artykuł z powodu *Emancypantek*. Nie chodziło mi tam o krytykę utworu z punktu widzenia artystycznego, ale o wartość społeczną wprowadzonych tam bohaterów i bohaterek. Ku mojemu zdziwieniu, pomimo dość ostrej wiwisekcji, artykuł mój podobał się Prusowi. Dał wyraz swemu stosunkowi do mnie w entuzjastycznym artykule z powodu drukowanych przeze mnie spostrzeżeń nad szkolnictwem amerykańskim – nad schematami rozbioru gramatycznego przypominającymi nieco schemat równań algebraicznych.

Ignacy Matuszewski postanowił nas zaznajomić: spędziłem niezmiernie miły wieczór w towarzystwie pana Bolesława. Znaleźliśmy wspólne punkty zetknięcia w „mistyce” matematycznej, jak przystało na dwóch poronionych matematyków i częściowo tak samo poronionych fizyków – ja miałem za sobą skończony wydział fizyko-matematyczny, z matematyką i fizyką kumał się tak samo Prus w swojej przeszłości.

Stosunki nasze stawały się odtąd coraz serdeczniejsze. Zadzierzgnęły się silniej z powodu drobnego zdarzenia, które pozwolę sobie tu opowiedzieć, jako rzucające niejaki światło na psychikę pana Bolesława. Mianowicie w parę tygodni później, przechodząc pod filarami Teatru Wielkiego, spostrzegłem wyczekującego tam Prusa. Ale dla Prusa okazałem się deską zbawienia: uchwycił mnie pod ramię i prosił, ażebym go przeprowadził przez plac Teatralny, bo sam obawia się przebyć tę przestrzeń. Po raz pierwszy zetknąłem się z jego agorafobią – Prus bał się otwartej

przestrzeni: plac Teatralny, a zwłaszcza plac Zamkowy budziły w nim lęk urągający wszystkim powściągom rozumowanym. I gdy przeprowadzałem go, czułem, iż obok mnie stąpa ktoś bardzo niepewnym krokiem. Wyobraźnia uniosła mnie jeszcze dalej – intuicyjnie, ale z mocą nieprzepartą: jego lojalizm praktyczny pod względem politycznym, jego ideały pracy organicznej zespoliły się wtedy w moim umyśle z jego bezradnością wobec rozległej, odsłoniętej przestrzeni. Tak samo jak jego obawa w obliczu wielkich i jego przywiązanie do małych idei. A przecież kiedyś wyrostkiem przyłączył się był w 1863 do powstania. Podobno pozostały mu po tym uczynku bardzo ciężkie wspomnienia. Ale bodaj jeszcze bardziej zaważyła potężniejsza z biegiem czasu agorafobia. Niepewność ruchów położyła była w tej wędrowce przez plac Teatralny na twarzy Prusa wyraz bardzo znamieny, który z biegiem czasu nauczyłem się dostrzegać, nawet gdy występował na jego obliczu jako niezmiernie leciuchne zadraśnięcie, jako jakiś słabiuchny odcień niezaradności.

I znajomość nasza urastała w serdeczność po różnych zakątkach i korytarzach warszawskich. Ilekroć bowiem odtąd spotykałem go, a zwykle było to na Krakowskim Przedmieściu, Prus chwycił mnie za ramię i ciągnął do najbliższej bramy. Żle powiedziałem: nie do najbliższej bramy, ale do najbliższej położonej wąskiej bramy, a zwłaszcza do korytarzy, jakie istniały i istnieją dotychczas na tej ulicy. A w korytarzu rzucał, zażenowany, pytanie: „Ile tam nieboraków?”, tj., ilu siedzi więźniów politycznych w Cytadeli. Na zakończenie zaś krótkiej zawsze rozmowy do ręki mojej ruchem jeszcze bardziej zażenowanym wkładał dziesięciorubłówkę, a niekiedy i większą kwotę – dla „nich”. Dziwna to była sytuacja! Prus był wyznawcą jak największego lojalizmu politycznego. Właściwie może nie tyle lojalizmu piastowanego w głębi serca, ile sfernego zachowania się pod względem politycznym, a natomiast możliwie najrozleglejszego rozszerzenia zdobyczy gospodarczych i kulturalnych. Był do szpiku kości przepojony ideologią pracy organicznej i przejęty jednocześnie lękiem, ażeby jakimkolwiek poruszeniem i nawet silniejszym protestem nie wywołać nowej klęski w kraju. Pierwszy jego zatarg z socjalistami był targiem pomiędzy tą ideologią pracowitej a cichej sferności a dojrzewającymi dopiero, choć jeszcze niedojrzałymi, hasłami walki wszelkiego rodzaju. Socjalizmu jako teorii nie rozumiał i nie lubił, a zwłaszcza stronił od jego haseł bojowych, politycznych. Ale pojmował, iż ludzie siedzący

w Cytadeli są ideowcami, którzy w imię swoich przekonań nie wahali się przed więzieniem i zesłaniem, niekiedy przed śmiercią na szubienicy – „szli na śmicrę po kolei, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...” I Prus, przeciwnik jakiegokolwiek walki czynnej z caratem, niechętny socjalizmowi, mający w przeszłości swojej przykre wspomnienie owego zatargu z młodzieżą nie tyle socjalistyczną, ile usiłującą dopiero socjalizować, uchylił czoła przed ludźmi niemiłej dla siebie idei właśnie dlatego, że byli ludźmi idei! A słysząc o ciężkim położeniu ich rodzin, spieszył z pomocą pieniężną, nawet z dużą pomocą jak na jego skromne fundusze. Zdarzało się, iż niejednokrotnie odmawiałem przyjęcia takiego zasiłku od osób, które tym upominkiem chciały rehabilitować siebie za niezbyt „piękne” pod względem politycznym postęпки. Ale od Prusa nigdy nie wahałem się przyjąć pieniędzy na rzecz więźniów i ich rodzin – może odmówiłbym świadom jego położenia finansowego, ale nie miałem odwagi tego uczynić! I znowu, jak gdyby to było w chwili, gdy piszę, wypływa przede mną postawa Prusa w tych naszych krótkich pobytach w korytarzach warszawskich: twarz mocno zażenowana, a jednocześnie drgająca rozrzewnieniem, ruchy niezręczne, niemal niezgrabne. I wyraz taki oglądałem w paru innych okolicznościach. Ilekroć w rozmowie potrącono czyjąś ciężką sytuację, twarz Prusa wyrażała zakłopotanie i mam wrażenie, że ręka sięgała po portmonetkę i może później wręczała coś komuś w jakimś kącie lub korytarzu, o ile można było w danym wypadku pomóc kwotą kilku lub kilkunastu rubli, kwotą znowu poważną na zarobki Prusa, bodaj bardzo niezaradnego w swoich stosunkach z redakcjami i wydawcami. Mimo woli przypominała mi się tak wrażliwa na cudze nieszczęścia Madzia z *Emancypantek*. W tej postaci bodaj, *mutatis mutandis* \*, Prus wcielił swoje własne stany i przeżycia. Umysł twórczy, skłonny do mistycyzmu, wychodzącego z założeń nauk przyrodniczych, zwłaszcza fizyki i chemii, i czułe, niezmiernie czułe serce.

Niewiele wiem o nim w jego życiu domowym, niewiele o dreszczach jego twórczości. A jeśli to lub owo wspomnienie przesuwają się w mojej wyobraźni, są to luźne obrazy, których pamięć moja nie jest pewna. Stykałem się z Prusem zetknięciem niezmiernie jednostronnym i poznawałem jak gdyby jedną jakąś jego stronę. Ale przyglądałem mu się z całą cieka-

---

\* zmieniwszy, co zmienić należy (łac.)

wością! Niewątpliwie był jednym z oryginalniejszych ludzi, z jakimi spotkałem się w swoim życiu: umysł dziwnie poplątany, zawiły, paradoksalny – nawet komizm jego utworów był wyrazem tej wrodzonej paradoksalności. Wady wzroku, jego agorafobia kładły swoje piętno na całej jego duchowości. Położyły je także na jego utworach. Miałem czyjaś pracę w rękę, napisaną w jednym z seminariów wyższego zakładu naukowego, poświęconą pojęciom przestrzennym i barwnym u Prusa: barwy i stosunki przestrzenne u Prusa wyglądają nieco inaczej, niż wyglądałyby u pospolitego śmiertelnika, który nie ma lęku przed otwartymi placami i otwartymi oknami, a barwy ujmuje w sposób należyty. Lecz te oryginalności ekscentryczne nie pomniejszają wartości utworów Prusa. Ze wszystkich pisarzy ówczesnego pokolenia Prus najrealniej chwycił drobne przebiegi życia, acz niekiedy nadawał im odcień karykatury. Kiedyś powieści jego będą przyczynkami o charakterze naukowym: jak Dickens w Anglii, Balzac we Francji, tak Prus u nas stanie się świadectwem natury historycznej, świadectwem, które dalekim pokoleniom opowie, jak ludzie żyli życiem powszednim w Polsce w drugiej połowie XIX wieku. Bohaterzy w powieściach są zmyśleni, ale ich otoczenie codzienne i tryb życia, bieg myśli są plastyczną rzeczywistością.

Ludwik Krzywicki: *Wspomnienia*, Warszawa 1958.





# HENRYK SIENKIEWICZ





## *Reportaż z pożaru*

Poznałem go [Sienkiewicza] w r. 1874 w Warszawie. Na werandzie Lessla, w Ogrodzie Saskim, zbierała się co dnia brać literacko-dziennikarska. Ściągał ją popołudniowy obowiązkowy mazagran.

W dobie pozytywizmu, „pracy organicznej”, mieliśmy dwa zwalczające się wzajem obozy, za czym też prasę: starą i młodą. Wierni temu podziałowi również i tutaj – stronę lewą zajmowali „młodzi”, między którymi wszakże świeciły nierzadko łyse czaszki, podczas gdy z prawej widziałeś „starych” o gęstych, bajronowskich czuprynach. Ale byle jaka polityczna wiadomość, alarm z Zamku, policji, cenzury, a zaraz łamała się sztuczna bariera, srodzy przed chwilą przeciwnicy, rzucając „potępieńcze swary”, kupili się prawie że konspiracyjnie.

Sienkiewicz należał do „młodej prasy”, bardziej z tytułu koleżeństwa z jej koryfeuszami, którzy przeważnie wyszli ze Szkoły Głównej. Opromieniał go już wtedy urok talentu niepospolitego, nęcił ku niemu czar osobisty. Wprawdzie często zwykł szukać samotności, ciszy, tej przyjaciółki myśli, przecie nie gardził kompanią farysów, amatorów mokki.

Więc krokiem miarowym, kołyszącym, w nieodmiennej parze przychodził z „sędzią” Mikulskim. Osobliwa para: Sienkiewicz, chociaż niewysoki, lecz w modnym cylindrze zdawał się olbrzymem wobec Mikulskiego, garbuska z anhelliczną twarzą. I bodaj czy nie mieszkali razem: poczynający tak fortunnie literat i urzędnik sądowy, jeden z kryjomych działaczy i żarliwych patriotów, jakich Warszawa liczyła jeszcze tysiącami.

Owemu też Leopoldowi Mikulskiemu zawdzięczałem znajomość z Sienkiewiczem, trzymającym się nieco w rezerwie. Iż zaś obok niego zasiadał mruk nad mruki, dramaturg Daniel Zgliński, przeto nazywano ich „grobową parą”. Bywało jednak, niespodziewanie wtrąci się Sienkiewicz do rozmowy na temat literacki, a prowadząc dyskurs głosem niskim, melodyjnym, ujmie wnet, podbije zasłuchane towarzystwo.

W rok później, na schyłku lipca, kiedyśmy znów odbywali sjętę ogro-



dową, nadbiegł ktoś z wieścią o szalonym pożarze Pułtuska. Zagrożone podobno miasto całe. Zeszłej nocy buchnęły iskry i w Serocku. Czyżby podpalenie – Moskale?

– Jadę! – krzyknąłem porywając się z miejsca.

– A może by i pan, panie Henryku? – zaproponował swojemu felietoniście Edward Leo, redaktor „Gazety Polskiej”.

– Już pojechałem – wycedził z flegmą Sienkiewicz.

Po drodze bierzemy okrycia, a za moment sztajnkelerka, przedpoto-powa ekstrapoczta, jest na nasze usługi.

Dziwiłem się co prawda tej nagłej decyzji spokojnego kamienne Sienkiewicza, ale z czasem doszedłem do przekonania, że łatwiej mu było wybrać się za ocean aniżeli w Warszawie z wizytą.

Podróż, mil osiem, nie wlokła się zbyt długo, mój bowiem milczek stał się nader rozmowny, zmieniał przedmioty gawędy, olśniewał postrzeżeniami, erudycją, dowcipem świetnym, szlacheckim humorem, a zwłaszcza tą i ową opowieścią, snutą jak przędziwo. W tym zaś celował, niebezpieczny szczególnie dla kobiet, do których – jak utrzymuje Horacy – sentyment wkrada się zazwyczaj uchem. Pamiętam przy wjeździe w las seny, dębowy jego zachwyty nad „najpiękniejszym sonetem”. Słyszę, zda się, dotąd deklamowane z przejęciem a tyle przezeń ulubione:

*I nie miłować ciężko, i miłować  
Nędzna pociecha.*

Wreszcie ze zmrokiem dotarliśmy do Pułtuska, o którym spotykani po drodze mówili:

– Nie ma go już prawie, a co jest, to się dopala...

I rzeczywiście wprost w osłupienie wprawił nas ogrom kłęski. Tu jeszcze strzela w górę płomień, tam już dymem spowite ruiny. Obojętność na wszystko pogorzalców, gonitwa szakali żerujących wśród szkiele-tów domostw, sceny dantejskie, duszno, grobowo, beznadziejnie. I takie widoki, jak szabas Żydów z rozstawionymi na łące świecznikami, krzyk ich rozpaczy „Adonaj” – i gromadka najofiarniejszych sióstr miłosierdzia zakrzęta koło ocalonych przez siebie kalek.

Noc niemal cała minęła na okropnej wędrówce po fantastycznym ru-mowisku, oblanym poświatą księżycą.

Zmagały się łuny ze wschodzącym słońcem, kiedyśmy, wyczerpani, ruszyli w drogę „prosto do redakcji”.

... skreśliłem natychmiast dorywcze sprawozdanie z gorącym wezwaniem do składek. Jakoż nazajutrz ukazało się ono w „Kurierze Warszawskim”.

A Sienkiewicz?

Znużony, musiał parę dni odpocząć, skupić się, przemyśleć widziane najsumiennie, by dopiero w sobotnim felietonie dać rzecz pt. *Zgliszcza i pustka*. Straciła na tym zapewne aktualność dziennikarska... Zyskało piśmiennictwo!

Tadeusz Czapelski: *Z pamiętnika nienapisanego*, „Słowo Polskie” 1924.

### *Wyprawa za ocean*

Wydarzenie, które opiszę, miało miejsce w zimowy wieczór 1875 roku. Zawsze uważam ten dzień za wtargnięcie Losu w nasze życie. Losu, który na przekór planom ułożenia sobie spokojnej egzystencji miał nas wtrącić w jeszcze większy kołowrót. Tego wieczoru zebrało się wcale pokaźne grono przyjaciół.

Wszyscy byli tak swobodni i weseli tego pamiętnego wieczoru, że nawet ja otrząsnęłam się ze swego stanu otępienia i brałam żywy udział w rozmowie. Ktoś przyniósł wiadomość o zbliżającym się otwarciu Wystawy Stulecia Wyzwolenia w Ameryce. Obdarzony żywą wyobraźnią Sienkiewicz opisywał ów nieznany kraj w kolorach jak najbardziej zachęcających. Rozłożywszy mapy na stole, poddałszy szczegółowemu omówieniu Kalifornię.

– Umrzeć z głodu to tam nie można, to pewne! – powiedział jeden. – Króliki, zające i kuropatwy nie są objęte ochroną zwierzyny. Wystarczy wyjść na pole i strzelać!

– Tak – potwierdził drugi. – A owoców także zatrzęsienie.

– Słyszałem – poddał trzeci – że owoce w Kalifornii są trzy razy większe niż w innych krajach.

– Ależ tak, wszystko jest tam niezwykle! – uzupełnił ktoś jeszcze. – Pomyślcie, kawa rośnie tam dziko! tylko ją zbierać, a także pieprz, nasiona oleju rycynowego i mnóstwo jeszcze innych użytecznych roślin! Można by z tego zrobić przemysł!

– A poza tym złoto! – ktoś dorzucił swój rozsądny głos. – Złoto! Mówi się, że tam kopać je można prawie wszędzie.

– Są tam także grzechotniki.

– Tak jest! Ale co to przeszkadza? Grzechotnika możesz zatłuc kijem!

– Grzechotniki są niebezpieczne, ma się rozumieć, ale pomyśl jeszcze o burym niedźwiedziu i pumie, kalifornijskim jaguarze!

– Co za wspaniałe polowanie człowiek mógłby sobie urządzać! – wykrzyknął Sienkiewicz i dodał:

– Miałbym ochotę pojechać i zobaczyć ów kraj słońca i prymitywu natury!

Każdy miał coś do powiedzenia o tej ziemi obiecanej. Witkiewicz zaś wziął ołówek i narysował fantastyczny obrazek, na którym przedstawił moje obydwie siostrzenice siedzące na ogromnych grzybach, a u ich stóp gnieźdzącego się kolosalnego grzechotnika. Wiśnie zwisające na gałęziach ponad ich głowami były wielkości jabłek. Dr Karwowski wszedł właśnie w chwili, gdyśmy w największym napięciu słuchali, jak Sienkiewicz opisuje wymyśloną burzę na oceanie. Doktor zwrócił się do mnie żartobliwie:

– Pani potrzebuje zmiany powietrza. Co stoi na przeszkodzie wyjechać do Ameryki?

– To jest dobry pomysł – powiedział mój mąż. – Dlaczego nie? – i spojrzał na mnie. Ja powtórzyłam za nim z uśmiechem:

– Dlaczego nie?

Niedługo potem na krótki okres ferii w czasie świąt Bożego Narodzenia przyjechał do Warszawy mój syn Rudolf, którego wysłałam do matki w Krakowie, żeby go tam umieścić w polskiej szkole. Już wtedy był on zdecydowany zostać inżynierem konstruktorem. Pierwszą rzeczą, o której wspomniał w rozmowie, była zbliżająca się wystawa w Ameryce; oglądając mapy chłopak oświadczył mi, że kiedyś zbuduje Kanał Panamski. Powiedział także, że to by było cudownie, gdybyśmy teraz mogli pojechać do Ameryki, zobaczyć to wielkie święto, a potem przekroczyć Panamę i udać się do Kalifornii. Miał tak uszczęśliwiony wyraz twarzy, kiedy planował tę podróż, że obydwójce z mężem poczęliśmy patrzeć na sprawę przemierzenia oceanu jako na rzecz możliwą.

Z chwilą, gdy ten pomysł zaświtał w naszych głowach, zakomunikowaliśmy o nim kilku najbliższym przyjaciołom, którzy potraktowali go jako

szaleńczy. Nikt, z wyjątkiem dwóch naszych młodych artystów, Henryka Sienkiewicza i Sypniewskiego, który był towarzyszem i przyjacielem męża z więzienia moabickiego, nie wziął naszego szalonego przedsięwzięcia na serio.

Mąż mój widząc zapał tych młodych ludzi powziął zamiar założenia kolonii w Kalifornii. Projekt został przyjęty przez aklamację. Zaczęliśmy urządzać stałe posiedzenia dyskusyjne na ten temat, rozważało się rozmaite szczegóły przedsięwzięcia. Młodzi układali plany podróży; pisali statut, z mocnym postanowieniem posłuszeństwa prawu, które właśnie układali. Innymi słowy – traktowali ten cały projekt jako rzecz najbardziej serio.

Cóż nam nie chodziło po głowach! Jakież wizje wolności, pokoju i szczęścia roily się w naszych mózgowicach!

Do tych, którzy chcieli dzielić z nami dobrowolne wygnanie, należeli: Henryk Sienkiewicz, nasz żonaty przyjaciel Julian Sypniewski, który zapalił się do wychowania swoich dwojga dzieci pod wpływem przyrody i lepiej rozwiniętego systemu edukacyjnego Ameryki; Łucjan Paprocki, karykaturzysta-amator i krewny mojego męża; oraz Stanisław Witkiewicz i jego przyjaciel Adam Chmielowski. Ten ostatni w kilka tygodni później zrezygnował z zamiaru przyłączenia się do naszej wyprawy, ale mimo to pozostał w naszym ścisłym kółku emigrantów i przychodził regularnie na zebraniu. To on poddał myśl uczenia się angielskiego.

Wczesną wiosną Henryk Sienkiewicz i Julian Sypniewski odjechali statkiem do Stanów Zjednoczonych. Reszta nas miała podążyć za nimi w lipcu.

Helena Modrzejewska: *Wspomnienia i wrażenia*, Kraków 1957.

### *Prototyp Zagłoby*

Kapitan Rudolf Korwin Piotrowski, odznaczony przez generała Różyckiego krzyżem *Virtuti Militari*, był niezawodnie najoryginalniejszą i najciekawszą postacią wśród Polonii kalifornijskiej. Mierzył wzrost sześć i pół stóp, postacią przypominał typy sprzed dwóch wieków; pani Modrzejewska w jednej ze swych korespondencji bardzo trafnie wyraziła się o nim, że jest on niejako zabytkiem nietkniętym z czasów Paskowych.

Ręka jego, nie przesadzam, jeśli powiem, że była dwa razy tak wielka jak ręka zwykłego silnego mężczyzny. Siłę też posiadał niepospolitą. Poznałem go jako siedemdziesięciopięcioletniego starca: gryzł orzechy z łatwością jak rzepeę, a razu pewnego w restauracji, rozgniewawszy się na posługacza, uderzył swą ręką tak silnie w stół, że cały bok stołu utracił. Sienkiewicz od razu przylgnął do niego i odwiedzał go co dzień. Grał z nim w szachy lub wyciągał go na dykteryjki, w których kapitan był mistrzem prawdziwym. A skoro wpadł w ferwor opowiadania, to tak łągał, aż się kurzyło, zwłaszcza na temat swoich miłosnych podbojów po wszystkich częściach świata.

Razu pewnego, i to w mojej obecności, rzekł Sienkiewicz z tym uśmiechem sobie tylko właściwym, spoza którego zawsze jakaś głębsza myśl wyglądała:

– Wiesz, kapitanie, że ja ciebie jeszcze kiedyś uwiecznię.

– A bodaj ci się pysk skrzywił! – odrzekł śmiejąc się stentorowym głosem Piotrowski.

Naówczas nie zrozumieliśmy owych słów Sienkiewicza, wzięliśmy je za żart i śmieliśmy się wspólnie z kapitanem. Dziś dopiero widzę, że już wtedy chodziły po głowie Sienkiewicza jego późniejsze wielkie dzieła i dziwnym trafem tam, nad Oceanem Spokojnym, zdjął do nich portret swego Zagłoby. I rzeczywiście, kto znał kapitana Piotrowskiego z całą jego oryginalną rubaszością, szlacheckimi przesadami i łgarstwem artystycznym, ten czytając *Trylogię* od razu pozna starego kapitana. Nawet wyrażenia takie jak: „Boże, ty to słyszysz, a nie grzmisz”, lub owa dosadna odpowiedź, którą dał Sienkiewiczowi, i inne, dosadniejsze jeszcze, żywcem są wyjęte z ust jego.

Niestety, nie dożył swej sławy; na starość ociemniał zupełnie i podążył do Paryża po ratunek do naszego Gałęzowskiego, ale i ten znakomity lekarz nie miał lekarstwa na wiek podeszły. Wkrótce po przybyciu do Francji Piotrowski zmarł tam w szpitalu.

## *Próba generalna*

Działo się to w redakcji „Słowa”, mieszczącego się w owych czasach przy ul. Mazowieckiej 11, w dziedzińcu na parterze. Władysław Olendzki, doświadczony publicysta a wcale sprężysty redaktor, odznaczał się dużymi wąsiskami, trochę czernionymi, a zarazem i tym, że lubił silnie koloryzować różne wspomnienia z własnego życia. Podczas powstania styczniowego, w którym brał oczywiście bardzo czynny udział, wyciął w pień, jak zapewniał, kilka sotni kozaków. Mówił też, że był wtedy w randze porucznika. Może być. A że od powstania minęło wtedy ze 20 lat, więc, rzecz prosta, uznaliśmy za stosowne, żeby go awansować w randze. Został więc z biegiem czasu mianowany przez nas Majorem. W kółku poufnym nie zwano go inaczej.

Poza tym był Major serdecznym przyjacielem i wielbicielem talentu Sienkiewicza.

Zauważyliśmy, że przez kilka dni coś musiało ciążyć na sercu Sienkiewiczowi. Chodził po redakcji mocno zamyślony. Nareszcie zwierzył się Majorowi:

– Słuchaj, Władek. Mam w powieści scenę, jak Bohun, pojmanny opitego miodem Zagłobę, zamyka go dla pewności na strychu, ażeby mu nie uciekł, wiąże go w kij, w tym wypadku w krzywą szablę.

– Więc co? – pyta Major.

– Nie widziałem nigdy tej operacji – rzekł Sienkiewicz. – Może ty wiesz, Majorku, jak się to robi. Zagłoba musi przecie uwolnić się z przykrej opresji. Inaczej musiałby marnie zginąć. A nie można... Rozumiesz.

Major natychmiast zapewnił, że Moskale w jakiejś krwawej potyczce w r. 1863 także go pojмали i w kij związali. Ale on się uwolnił, potem wszystkich zarąbał. Wie zatem doskonale, jak się to robi.

– No to pokaż – przerwał Sienkiewicz.

Major zgodził się natychmiast. Zwołano nas wszystkich jako widzów i świadków do sanktuarium redaktorskiego. Niewielki był to pokój, o jednym oknie. Stały też w nim dwa niewielkie biurka, kilka krzesłek i coś w rodzaju otomanki, mocno sfatygowanej. Żeby na niej usiąść, trzeba było unieść ją do góry i oprzeć silnie o ścianę.

Major rzucił się na podłogę, na sam środek pokoju. Przystąpiliśmy za-

raz do wiązania go według własnych jego wskazówek. Kolana mocno zgięte, aż pod samą brodę. Pod kolanami przeciągnięto kij, a ręce wysunięte na przód kolan bardzo silnie związane mocnym sznurem, dostarczonym przez zecernię.

Pozycja istotnie bardzo niewygodna; na pozór prawie niemożliwa do uwolnienia się z tyłu więzów.

Major był jednak krzepki i zręczny. Kołysząc się na tyle, czołgał się bokiem ku otomanie. Doczołgawszy się zaczął się jeszcze mocniej kołysać, stukając jednym końcem kija o drewniane pudło otomanki. Za każdym uderzeniem w drewno kij zaczął się jednym końcem wysuwać, a drugim zbliżać się coraz bardziej ku skrępowanym dłoniom. Trwało to kilka minut. Powoli... powoli... posuwał się jeden koniec kija coraz bliżej ku związaniu, a Major ciągle się bokiem przechylał i kołysał. Aż nareszcie wysunął się kij całkiem ze związanych dłoni i upadł na podłogę. Dalsza operacja była już dziełem krótkiej chwilki. Aż nareszcie powstał Major triumfalnie z podłogi. Nagrodziło go silne brawo, uczciwie zapracowane. Sienkiewicz czule go uściskał.

I oto w kilka dni po tym doświadczeniu ukazała się w fejtynie znana a doskonała scena, jak po napiciu się na chłopskim weselu doskonałego trójniaku chwycił Zagłobę Bohun, jak w kij, to jest w szablę, związać kazał, jak się Zagłoba z tej ciężkiej opresji uwolnił – itd.

Major znów triumfował, jako że był uwiecznionym modelem w tak doskonałej scenie.

Adam Breza: *Ze wspomnień o Sienkiewiczu*, „Gazeta Warszawska” 1933.

### *Dar od Wołodyjowskiego*

[Dn. 11 grudnia 1888 r. ukazał się w „Słowie” następujący list Sienkiewicza:]

Kochany Redaktorze!

Jak ci wiadomo, w dniu wczorajszym odebrałem przesyłkę pieniężną obejmującą piętnaście tysięcy rs. i kartkę ze słowami: „Michał Wołodyjowski – Henrykowi Sienkiewiczowi”.

Jakkolwiek zwyczaj składania podobnych dowodów pieniężnego uznania dla literatów i artystów jest dość rozpowszechniony za granicą, nie był

on dotychczas znany u nas, gdzie – wobec ogólnego ubóstwa – tysiące pilniejszych potrzeb oczekuje zaspokojenia.

Co się tyczy mnie osobiście, przyjęcie takiego daru nie jest zgodne ani z moim usposobieniem, ani z moją fantazją. Nie będąc człowiekiem bogatym, zarabiam tyle, a nawet więcej, ile mi potrzeba. Dlatego, mimo wielkiej wdzięczności dla dawcy ukrywającego się pod pseudonimem Michała Wołodyjowskiego, daru jego przyjąć nie mogę. Pieniądże złożyłem jako depozyt w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, gdzie w ciągu trzech lat mogą być za udowodnieniem odebrane. Po upływie tego terminu rozporządzę nimi według własnego uznania.

[Otrzymałszy w kilka dni potem z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wiadomość, że anonimowy ofiarodawca pozostawia do jego uznania, na jaki cel zostanie przeznaczona suma pieniędzy złożonych w depozycie, Sienkiewicz pisze 16 grudnia 1888 r. do Jadwigi Janczewskiej, siostry swej zmarłej żony:]

Z całej wrzawy o te 15 000 rs. pozostaje mi jedno przyjemne wspomnienie, ztem postąpił, jak byś Ty postąpiła na moim miejscu. Za jedną drogą dzielę się z Tobą zamysłami, co zamierzam zrobić, jeśli pieniądze nie zostaną odebrane. Owóż zamierzam z nich zrobić fundusz imienia Maryni i dochód roczny (800 rs.) przeznaczyć na zagrożonych piersiową chorobą literatów, malarzy, muzyków albo członków ich rodzin, których doktorzy skazują na wyjazd do ciepłych krajów na zimę, a którzy nie mają za co wyjechać. Będzie dla mnie bardzo słodką myśl, że w ten sposób Marynia zostanie patronką takich chorych i że imię jej muszą wspominać z wdzięcznością. Wolałbym z tego powodu, żeby pieniądze nie odebrano – i pewnie tak będzie. Co do doniosłości praktycznej, nie zaprzeczy jej, kto sobie przypomni, że taki Grottger, Gierymski itd. poumierali na suchoty, że zagrożony jest – być może – nimi Witkiewicz, Maszyński, Rostafińska itd. – a czasem brak grosza na ratunek. W roku, w którym by kandydat się nie znalazł, procenta będzie można używać na stypendia itd. Oczywiście musi to być zredagowane i obmyślane ściślej niż w tej chwili.



## Wyrok śmierci

Sienkiewicz ma gruntowne wiadomości strategiczne. Zdobył je przed rozpoczęciem swoich słynnych kampanii ze Szwedami, z Kozacyzną, z Krzyżakiem. Były to dla niego prawdziwe wojny; przeżywał je, odczuwał, widział i dlatego my je tak odczuwamy i widzimy.

Ma swój odrębny, charakterystyczny sposób tworzenia. Cały plan układa w myśli, nie robi notatek, nie ma brulionu. Pisze od razu do druku, nigdy inaczej, jak urywkami, z felietonu na felieton. W ciągu roboty rozmiary powieści i figur rosną mu pod piórem. Skoro już zasiądzie do pisania, skoro się do roboty wciągnie, idzie mu ona niezmiernie łatwo i prędko. Wpierw jednak przygotowuje się długo, mozolnie i pracowicie.

Studia historyczne do *Ogniem i mieczem* trwały przeszło dwa lata, do *Potopu* – rok. Czyta bardzo dużo, wertuje całą prawie literaturę historyczną danego przedmiotu, głównie pamiętniki współczesne, kroniki, *Silva rerum*; wżywa się w ten sposób w epokę, zaznajamia się z nią w najdrobniejszych szczegółach, i dopiero wtedy postacie historyczne stają przed jego oczami żywe, z krwi i kości, wtedy pisać zaczyna.

Wielki wpływ na rozwój jego talentu miała jego żona, śp. Maria z Szetkiewiczów, kobieta niepospolitych zalet umysłu i serca. Przy pierwszych powieściach historycznych dodawała mu otuchy, przytłumiła pesymistyczną nutę, która dźwięczała w poprzednich jego utworach.

Ta istota, anielskiej prawdziwie dobroci, zachęciła go do pierwszego morderstwa.

– Twoim bohaterom zbyt dobrze się dzieje – rzekła mu, gdy pisał *Ogniem i mieczem*. – Jeden bodaj musi zginąć.

– Ale który?

Sienkiewiczowi żal było każdego. Wreszcie, po długich naradach, postanowili uśmiercić Longinusa Podbipiętę...

Nie byłem świadkiem tego wyroku śmierci, lecz w mojej obecności ważyły się losy krwiożerczego Azji. Każdy z moich kolegów obmyślał jakąś torturę. Nieboszyk Antoni Zaleski był za rozszarpaniem kołami. Do wbicia na pal przyczynił się najlitościwszy z ludzi – śp. Mieczysław Godlewski.

Później, gdy pisał *Quo vadis*, losy Chilona były przedmiotem żywych dyskusji.

– Stanie się rzecz niespodziewana. Chilon wzruszy panią do łez – oświadczył mi pewnego razu, wchodząc do redakcji „Słowa”.

– Niepodobna! – zawołałam.

– Mogę się z panią założyć.

Nie trzymałam zakładu.

Rezultat był łatwy do przewidzenia, skoro wygrana zależała od jego pióra.

Eugenia Żmijewska: *Z daleka i z bliska*, Warszawa 1912.

### *W dniu powszednim*

Autora *Trylogii* poznałem, gdy mu już wydzwoniła sześćdziesiątka. Nie mogła to więc być znajomość długoletnia, a choćby ze względu na różnicę wieku znajomość zażyła, ale była to znajomość, którą nazwałbym – ze strony Sienkiewicza: znajomość na życzliwy sposób łaskawa – z mojej strony: znajomość łakoma, łakoma każdej chwili obcowania z nim, co nie domaga się uzasadnień.

Zaszczytu poznania dostąpiłem w Krakowie w domu profesora Bolesława Ulanowskiego, sekretarza generalnego Akademii Umiejętności. To, że tam go właśnie poznałem, nieźle już dla mnie usposabiało Sienkiewicza: gospodarza domu nie tylko wysoko cenił, ale i lubił go, dobrze się czuł i w bawialni, i w całodziennej gościnniej jadalni w willi na ulicy Garncarskiej, ze świetną herbatką pani Ulanowskiej matki. Podczas swoich w Krakowie pobytów u Ulanowskich bywało mu równie domowo jak i u powinowatych Janczewskich na Wolskiej, a przybraną córkę prof. Ulanowskiego, Wandzię, obdarzał tkliwą sympatią – i to tak niezdawkową, że niejako z myślą o niej, wówczas dziesięcioletniej dziewczynce, powziął podobno zamiar napisania *W pustyni i puszczy*.

Ponad splendor twarzy – tak! zdaje się, że słowo „splendor” sprawiedliwie określi wyraz jego oblicza – ponad powab rysów zapisywał się jednak w pamięci jego wzrok.

Miał przyzwyczajenie patrzeć w oczy rozmówcy, ale – co nawet bawiło – wzrok jego nie szedł prostą linią, lecz jakby łukiem unosił się ponad binokle, których stale już używał w czasach tu opisywanych. Patrzył

raczej łagodnie, spokojnie, ale tak bacznie, że zdawało się, że i s ł u c h a swoim patrzaniem. Nie zdarzyło mi się nigdy stwierdzić, by bez starannej uwagi przyjmował to, co się do niego mówi. Mieliśmy tu oczywiście do czynienia z owocem jego dobrego wychowania, ale niemniej odzywał się w tym instynkt organicznego obserwatora. Z usposobienia był też raczej słuchaczem, a w każdym razie cienia w nim nie było oratora – i nieraz tygodniami czekać trzeba było na szczęśliwy dzień, okazję czy temat, przy którym nareszcie miało się go hojnie rozgadanego, i wtedy dopiero stwierdzało się, jak uroczo potrafi mówić, a zwłaszcza opowiadać.

Tygodniami – powiedziałem przed chwilą – trzeba było nieraz czekać na jego rozgadanie się. To nas doprowadza pod temat towarzyskości „pana Sienkiewicza”. Rozmaicie z tą towarzyskością bywało. Bywał, zdarzało się, swobodnym i wesołym u kogoś gościem, ale oto naraz przybył do towarzystwa ktoś nowy – ktoś, który mu się nerwowo nie spodobał – koniec z towarzyskością pana Sienkiewicza! Milki – i słowa z niego wydobycie nie sposób.

– Nie ma pan wyobrażenia – zwierzała mi się raz pani Sienkiewiczowa – jak ja zawsze cierpię, gdy z Henrykiem idę do kogoś, zwłaszcza do jakiegoś domu, gdzie, wiem, zaproszono nas, by ludziom z bliska pokazać autora *Trylogii*. Nigdy nie wiem, czy nie zamrozi całego towarzystwa.

Natomiast jeżeli w kompanii nie było nikogo „szkodliwego”, stawał się czarodziejem, ożywiał wszystkich i sam kąpał się w przyjemności.

To, co nie mogło uchodzić naszej uwagi, to spokój, beznerwowość, wyeliminowanie wszelakiej gorączkowości w mowie, w ruchach, w sposobie bycia. Czyżby niedomiar temperamentu? Trudno o to posądzać człowieka, którego wyprawa do Ameryki miała w sobie coś z kmicowskiej fantazji. Słabość fizyczna, niedożywność? Z przelotnych zeznań jego kolegi ze Szkoły Głównej, Aleksandra Świętochowskiego, do biografii Sienkiewicza przedostała się wiadomość, że był jednostką chorowitą. Gdy się czyta zbiór jego listów do krewnych i znajomych, uderza częstotliwość skarg na zaziębienia, bronchity etc., co by potwierdzało wersję Świętochowskiego. Ale równocześnie wiadomą było rzeczą, że nie przepuścił żadnej okazji zapołowania czy to jesienią, czy zimą, że lubił konną jazdę, że każdej chwili gotów był wyruszać w niewygodny dalekich podróży, a trudno sobie wyobrazić cherlaka, który by zniósł takie jak Sienkiewicz trudy poznawania puszczy, pustyń i górskich bezdroży Afryki Centralnej.

Choćby ta Afryka, nie w młodzieńczym przecie jego wieku poznawana, świadczy wymownie o jego energii i harcie.

Pamiętam, pytał mnie ktoś, czy w swoich pogwarkach zachwycał tym darem humoru, który pozwolił mu stworzyć Zagłobę, Rocha Kowalskiego, Podbipięte, papę Pławickiego? Owszem, humor stanowił składową część jego uroków konwersacyjnych, a każdy dowcip sygnalizował się błyskiem w oczach – owszem, i w prywatnym życiu dawał nam się poznać jako humorysta, ale nie szafował swoim talentem komiki. Lubił natomiast debatować, rozgryzać dane zagadnienie.

Nie porywała go abstrakcja, a więc tym samym porywać go musiała rzeczywistość. Po kilkunastu rozmowach jasnym się stawało, że z bezmiar rzeczywistości najbliższe mu jest wszystko, co dotyczy Polski. Nie byłby pisarzem polskim, gdyby się nie oczarowywał mową polską. Wiadomą to rzeczą, że był niedyletanckim polonistą, historykiem literatury, zwłaszcza baroku polskiego, ale dopiero osobiste z nim zetknięcie się ujawniało, jakim kultem żył np. dla gramatyki języka polskiego, dla zwyczajnej etymologii i składni. Trzeba było widzieć odmłodzenie się jego oczu, gdy przed słuchaczem roztaczał tajemnice i zagadki syntaktyczne\*, dziwa powstawania znaczeń ze źródłosłowu itd. Razu pewnego, gdym wszedł do Grandu\*, zastałem go czytającego mój felieton literacki w „Czasie”. Nie potrzebuję dodawać, jaką pychę zabiło mi serce, gdy mi to stwierdził, odkładając gazetę. Po obowiązujących komplementach oświadczył:

– Nie mogę nie zganić pana za jedno: nie wyzyskuje pan w należytej mierze średnika.

Tu nastąpił co najmniej dwudziestominutowy wykład o tym, czym się nam przysługuje średnik jako środek stylistyczny – gdzie i jak zastępuje kropkę, a gdzie przecinek, jakie myślowe powstają korzyści, gdy średnika użyjemy, a nie tamtych znaków, itd. Zakręciło mi się w głowie od olśnienia, że tyle skrytych subtelności może się kryć w tak ledwo że istniejącym, zdawałoby się, zagadnieniu.

W słownictwie języka polskiego kochał się jak w żywej osobie. Po prostu pieścił głosem stare piękne wyrazy, dziś już wyszłe z użycia.

Doskwierało mu, że używamy w mowie wyrazów obcych, gdy mamy

---

\* składniowe

\* tj. do krakowskiego Grand Hotelu

wystarczające własne. Dumny był, że to on upowszechnił wyraz „klusownik” zamiast dawniejszego „raubszyca”.

Język polski był jego umiłowaniem profesjonalnym – polskość jego zaczarowaniem. Dzieje polityczne, problemat ustroju i strukturalność społeczna, wielkie indywidualności narodowe, charakter nasz, nasz obyczaj dziedziczny, a zwłaszcza cechy naszej odrębności, miały w nim nigdy niesytego obserwatora i debatora. Kochał się w splendorze dawnych królestw, kochał się niewątpliwie w szlachetności, to chyba aksjomatyczne\*, gdy się mówi o autorze *Trylogii*, ale kto go bliżej nie znał, ten aniby się domyślił, że specjalnym sentymentem obdarował chłopca polskiego. Już po jego śmierci pani Sienkiewiczowa, zapytana przeze mnie, czy po myśli nieboszczyka było pogrzebanie go w podziemiach katedry Św. Jana w Warszawie, odpowiedziała mi:

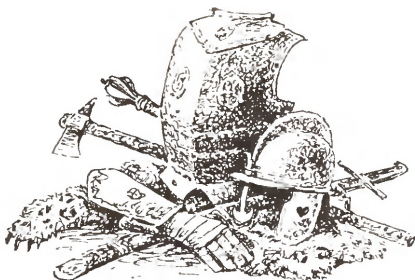
– Mam wrażenie, że niczupęnie.

– Dlaczego?

– Bo zapisało mi się w pamięci, jak pewnego razu, w Szwajcarii to było, rozmowa zesłała na temat ten właśnie: gdzie by chciał być pochowany? Na Skałce? w rodzinnej parafii? „Myślę – powiedział – że najmilej by mi się spoczywało gdzieś w polu, na chłopskiej miedzy.”

Adam Grzymała-Siedlecki: *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, Kraków 1961.

\* nie wymagające dowodu



# GABRIELA ZAPOLSKA





## *Marzenia o sławie aktorskiej*

Pierwsze osiem lat scenicznej i literackiej kariery Gabrieli Zapolskiej połączone były z takimi komplikacjami i wstrząśnieniami życiowymi, że postanowiła Warszawę opuścić. W r. 1888 rozpałać ją poczęło marzenie o sławie Modrzejewskiej, która już po roku pobytu w Ameryce nauczyła się po angielsku i wystąpiła w San Francisco w roli Adrianny Lecouveur. Echa triumfów Modrzejewskiej, od chwili zwłaszcza gdy zorganizowała *tournée* po miastach amerykańskich z własną trupą, rozbrzmiewały donośnie po całej Polsce. Zapolska postanowiła dokonać takiego samego cudu na terenie sławy znacznie bliższej, a mianowicie – paryskiej. Wybrała sobie za powiernicę Marię Szeligę, starszą od niej pisarkę, która po ogłoszeniu siedmiu tomów powieści i tomu poezji zerwała z rodziną, kraj opuściła i nigdy już do niego nie wróciła. Stała się w Paryżu bojownicą emancypacji kobiet. Napisała do niej Zapolska długi list, po brzegi wypełniony goryczą i zawierający taką między innymi spowiedź: „Nie mam nikogo na świecie, jestem sama, bo rodzina mnie nie zna. Z mężem się rozwiodłam, dzieci mi umarły. Pomyśl tylko: Młoda, z głową palącą się jak pochodnia, z sercem gorącym, z urodą niecodzienną – sama, sama! bez celu w życiu, bez serca, do którego przytulić się choćby chwilę jedną... bez opieki... bez oparcia! A dokoła mnie świat podły, nikczemny – ci «nasi», którzy kobietę idącą samą przez życie otruc by chcieli, błotem obrzucić, znieważać, zbezczęścić, a potem kamieniami obrzucić... Zresztą Ty ich znasz! Oni i Tobie ileż krzywdy wyrządzić chcieli. Proces ze Świętochowskim złamał mnie i zgnębił. Kobieta jestem przede wszystkim i to szarpanie mego nazwiska po sądach boli mnie do dziś i wstydem przejmuję. Ile ja tu cierpię – czy ja ci wypowiedzieć mogę! Jakaś straszna, piekielna furia opanowała serca tych ludzi. *Kaśkę Kariatydę* – wiesz, jak przyjęli, a mnie samą, gdy występowałam na scenie, pomimo entuzjazmu publiczności jakże prasa przyjęła? I nic ich przeciw mnie rozbroić nie zdoła – talent mój w wściekłość ich wprowadza, zmysł obserwacyjny przy-



wodzi im na myśl ich błędy i głupotę; uroda moja, zamiast mi dopomagać, szkodzi, chęć do pracy – ośmiesza. Stanęli przede mną zwartym murem i – patrzą ironicznie, kiedy w przepaść runę... I mamże ci wyznać wszystko? – ja znenawidziłam kraj mój i ludzi w nim żyjących! Nie – ziemię, nie – niebo nasze, ale ich, tych śmiesznych, głupich, beczelnych, z oczyma wyblakłymi od rozpusty mężczyzn – te kobiety-literatki, gęsi pretensjonalne, poważne jak chińskie pagody, a w głębi duszy kryjące bezwstydy i histeryczne wybryki. I oto plan mój, usnuty podczas długich nocnych rozmyślań. W ciągu dwóch miesięcy mogę ocalić okruchy posagu, skradzionego mi przez człowieka, który był moim mężem. Mogę mieć gotówki do 500 rubli i przez dwa lata po 60 rubli miesięcznie. Z tym przyjechać chcę do Paryża i rozpocząć studia, po czym wstąpić na scenę. Francuski język posiadam bardzo dobrze. Wymowa jest nieskazona – naturalnie dziś mi brak prawdziwego akcentu, ale mam szaloną ochotę i zdolność lingwistyczną: w rok będę mówiła, jak rodowita Francuzka... Czytam prawie ciągle francuskie dzieła i przez to nie zapominam języka, bo nie mam z kim w otoczeniu moim mówić po francusku... Spójrz Pani na moją fotografię, oblicz sumę mej inteligencji i talentów, przedstaw sobie, że głos mój jest może tym, co mi zjednywa najwięcej sympatii w słuchaczach, i powiedz teraz – co miała Modrzejewska idąca na scenę angielską: czterdzieści lat, zupełną nieznajomość najtrudniejszego języka pod słońcem. Ale silna wola była w niej wielka. Tę silną wolę ja mam, chcę ją mieć. Praca mnie nie przeraża. A zresztą, wszak nie palę mostów za sobą.”

Zamiar dojrzał nie od razu, bo przyjechała Zapolska do Paryża dopiero w końcu lata 1889 r., podczas wystawy powszechnej. Nie mając żadnych znajomości francuskich, zaprzyjaźniła się z Marią Szeligą, która ją zapoznała z kolonią polską i odgrywała wobec niej przez kilka lat rolę dwulicową, wciągnęła ją w sieć intryg i plotek, kierowała niewidocznie jej krokami wobec różnych ludzi, a przede wszystkim wobec tych, na których Zapolskiej zależało. Była jej rywalką, a udawała zawsze najserdeczniejszą przyjaciółkę. Wynikało stąd wiele niesnasek, których źródła nikt się na razie nie domyślał. Płatanie się wśród prywatnych spraw kolonii polskiej nie mogło wyjść na dobre artystce marzącej o scenicznym podboju Francuzów i pragnącej w trzydziestym piątym roku życia przyswajać sobie czystą dykcję paryską.

Zapolska rozpoczęła naukę u D. Talbota, b. *sociétaire*'a Komedii Francuskiej, będącego w owych czasach już emerytem. Talbot był profesorem dość wziętym. Jeździł z uczniami po teatrach prowincjonalnych, a w Paryżu dawał z nimi co niedziela popisowe przedstawienia w Salle des Capucines.

Zapolskiej nie pokazał Talbot na tych popisach ani razu przez cały rok. Była z niego niezadowolona. Zwróciła się po naukę do artystki teatru Vaudeville, pani Samary, kobiety – jak pisała Zapolska – „wzorowo doskonałej”, która zajęła się nią bardzo gorliwie. „Odżyłam – pisze w liście – nabieram jaśniejszego na świat poglądu.” Przez trzy tygodnie skorzystała więcej niż tam u Talbota przez cały rok. Samary zapoznała ją z Wormsem (z Komedii Francuskiej) i z Lenormandem. Uradzili wspólnie, iż powinna zacząć od występów w teatrach dzielnicowych, na Batignolles lub na Montmartre. Tak postępowały nieraz w Paryżu najwybitniejsze artystki. Rozpoczęły się długotrwałe wędrowki po różnych gabinetach dyrektorskich. W teatrze batignolskim przyjął dyrektor „w koszuli i w kalesonach, co nie przeszkadza, że mieszka jak udzielny książę”. Dał jej jakąś rolę bez znaczenia. Przez protekcję pani Samary otrzymuje do grania epizodzik w teatrze Déjazet. Satysfakcji żadnej nie miała. „Co do mnie – pisze – to, między nami mówiąc, doskonale czułam i widziałam, że akcent mój wyłazi jak szydło z worka, a strach go jeszcze psuje. Pracuję wytrwale, będę pracowała rok jeszcze. Potem plunę i niech to wszystko diabli wezmą...” Nie udaje się również szturm do [teatru] Gaité. Zapoznaje się Zapolska z Koningiem, dyrektorem [teatru] Gymnase, i otrzymuje od niego przychylną obietnicę. Proponuje mu *Norę* \* na swój występ. Odmówił.

Bywały zawody jeszcze gorsze. Dnia 12 VII 91 r. pisze Zapolska: „Dwa lata męki, łamania języka, idiocenia po prostu! I co? jaki rezultat? Oto – w [teatrze] Porte-Saint-Martin dali mi dziś... rolę! W *Misérables* \* Wiktora Hugo. W czwartym obrazie mówię: «*Tiens! monstre!*» Potem: «*Il descend!*» A na zakończenie: «*Animal!*» Wspaniałe, co? Ja, co grałam *Norę* w Petersburgu, Ofelię, Desdemonę – mówię: «*Animal!*», w Porte-Saint-Martin! Grać będę, bo zawsze mogę powiedzieć, że byłam zaangażowana – nie chciałam zostać.”

---

\* Ibsena (swoją popisową rolę)

\* *Nędznikach*

Za niepowodzenie swe czyniła Zapolska winnymi – Francuzów. „Wiesz – pisze (dn. 14 VII 1891) – jak nienawidzę Francuzów, wiesz dobrze chyba, że gdybym była kontenta z mego pobytu w Paryżu, byłabym się inaczej zabrała do nauki i z moją inteligencją dałabym sobie radę. Ale ten niesmak, jaki oni we mnie budzą, strasznie mój zapał ostudził.”

Nie zdawała sobie sprawy, że główną przeszkodą w jej scenicznej karierze francuskiej była właśnie jej polska zaściankowość, unikanie stosunków z Francuzami, pogrążanie się całkowite w kolonii polskiej. Interesowała się nie tylko plotkami, ale i działalnością młodych socjalistów, zgrupowanych przy miesięczniku „Pobudka”. Patrzyła zresztą na nich stale jak na „zbnikowane” okazy, które wydrwiwa w swych listach, chociaż okazuje im jawnie sympatię. Pod datą 12 VII 1891 r. informuje, że jednego dnia miała ze strony członków kolonii aż trzy oświadczyzny.

Poza kolonią zajmowała Zapolską gorączkowo praca literacka. Pisała: *Szmat życia*, *We krwi*, *Menażerję ludzką*, *Wodżireja* i wiele korespondencji do „Przeglądu Tygodniowego”. W ten sposób żyła niemal wyłącznie w atmosferze polskiej i nie zbliżyła się do ducha kultury francuskiej zupełnie.

Wreszcie w pracy scenicznej nadszedł moment szczęśliwszy. Wybitna publicystka pani Séverine poleca Zapolską bardzo gorąco Antoine'owi, dyrektorowi sławnego Théâtre Libre. Dostała rolękę. „Gram – pisze – chłopkę i mówię akcentem normandzkim, dość łatwym do uchwycenia. Rola nie pierwszorzędna, ale – nie ogon. Antoine jest bardzo sympatyczny, łagodny, inteligentny i niezmiernie na komplementy łakomy.” Przyrzekł pracować nad akcentem Zapolskiej i dawał jej lekcje wymowy. Zapewniał, że w ciągu roku straci zupełnie swój polski akcent. Ostrzegł jednak, że jeżeli będzie żyła wśród Polaków, to ją „wyrzuci za drzwi”.

Pierwszy występ w jednoaktówce *Seul* dał Zapolskiej zadowolenie. „Petit Parisien” napisał tak: „Nikt wśród widzów nie przypuszczał, że pod czepkiem mamki ukrywa się wielka tragiczka polska, pani Zapolska. Prawdą jest, że p. Zapolska, która tym razem przystosowała się do tej skromnej postaci, jest aktorką polską. Przysięgła sobie, że podbije Paryż, chociaż na to wiele będzie potrzeba czasu. Możemy zapewnić, że dopnie celu przy swej urodzie, talencie i inteligencji.”

Zachęcona życzliwym stanowiskiem Antoine'a, dała mu do przeczytania swoją *Mataszkę*, którą w przeróbce scenicznej sama przetłumaczyła.

Antoine przejrzał kilka scen i powiedział jej: „Uprowadzam panią, że my dążymy teraz do rzeczy idealistycznych, więc niech się pani stara nie pozostać w tyle.” Grywała dalej drobiazgi w jednoaktówkach. Pewnego razu przyszedł na próbę Ibsen. O tym zapoznaniu się z wielkim pisarzem tak pisze Zapolska pod datą 11 IV 1892 r.: „Wczoraj na próbę przyszedł Ibsen. Był pijany jak stok. Taczał się. Jest to potwór zupełnie, widmo z rozczochraną głową. Mówił, że nigdy nic nie napisał inaczej, jak tylko po pijanemu. Słuchałam go uważnie i jakoś uwierzyć mi się nie chciało, że to autor *Nory*...”

Nareszcie otrzymała prawdziwą, chociaż niezbyt wielką rolę: kazano jej grać księżnę Danescoff w *Simone* L. de Gramonta. Chodziło właśnie o akcent egzotyczny, więc sukces był pewny. Do sztuki kupiła sobie Zapolska trzy wspaniałe kostiumy, jakich biedny Théâtre Libre nigdy u siebie nie widział. Nazajutrz po przedstawieniu pisze: „Odniosłam triumf nadspodziewany. Gdy weszłam, powitano mnie brawem – powodzenie moje rosło w miarę sztuki. Przerywano mnie co chwila ogłuszającymi brawami. Klaki tu nie ma wcale. Po scenie drugiego aktu brawa trwały tak długo, aż aktorzy stali zdziwieni. Autor, dyrektor, wszyscy ściskali mnie, całowali, wieszali. Séverine przyszła do mnie do garderoby. Słowem – coś zupełnie odurzającego.” Prasę miała doskonałą.

Chodziło jeszcze o próbę akcentu w roli, gdzie trzeba mówić w sposób zwyczajny, po parysku. Nadarzyła się sposobność w *Hanusi* \*, w której Antoine powierzył Zapolskiej rolę Diakonisy, przemawiającej do Hanusi jako widziadło z zaświata. Nazajutrz po premierze Catulle Mendès napisał: „Pani Zapolska każe nam uwierzyć, że akcent polski trwa nawet w niebiosach...”

Nadchodzą chwile głębokiego zniechęcenia, które wzmaga się jeszcze pod wpływem choroby Zapolskiej. Zaczyna rozumieć, że drugą Modrzejewską w Paryżu nie będzie. „Sceny nie chcę – pisze 30 IX 92 r. – Sił nie mam, wreszcie mi zbrzydła. Mam co innego do roboty, jak być pajacem. Za wiele mam rozgłosu jako literatka, abym już mogła bezkarnie się szastać po deskach scenicznych.”

Zamierzała wrócić do kraju, ale pozostała jeszcze na czas dłuższy. Odsunęła się od kolonii, weszła teraz w stosunki z Francuzami, tj. zrobiła

---

\* Gerharta Hauptmanna

to, od czego powinna była zacząć. Otoczyła się grupą malarzy i literatów. Bywali u niej członkowie redakcji „La revue blanche”. Dzięki nim jeszcze raz wróciła na scenę, tym razem w teatrze L'Oeuvre Lugné-Poe'go, którego „La revue blanche” bardzo gorąco popierał. Otrzymała w początku maja 1895 r. rolę starej Szczurołapki \*, rolę maleńką, ale wymagającą mocnej ekspresji. Zasypano ją znowu pochwałami. Catulle Mendès już nie mówił o akcencie i dał notatkę bardzo ciepłą.

Ten drobny triumf przyjęła Zapolska z melancholią. Jedną tylko uczuwała satysfakcję: „Pracowałam – pisze – ciężko, lecz tę najokropniejszą trudność pozbycia się naszego akcentu zwalczyłam.” Przestała już jednak wierzyć w rację dalszego pobytu w Paryżu, chociaż uświadamiała sobie pożytek dobrowolnej kilkoletniej emigracji. „Przez te lata tutaj – pisze – nauczyłam się czuć, myśleć, patrzeć na świat, sztukę, ewolucję społeczną, dążenie i cel istnienia, słowem: stałam się człowiekiem! Czym byłam poprzednio? – maszyną bezrozumną, pchaną wolą wiatrów i wolą moich wydawców.”

W końcu maja 1895 r. wróciła do kraju.

Jan Lorentowicz: *Spojrzenie wstecz*, jw.

### *Parowanie ciosów*

Z początkiem nowego sezonu wystawiliśmy m. in. premierę *Małki Szwarcenkopf* Zapolskiej. Grałem Marszelika. Sztuka była owocem studiów znakomitej pisarki przeprowadzanych w żydowskich dzielnicach Krakowa. Artystyczne zwycięstwo teatru nic ulegało żadnej wątpliwości. Rola tytułową zagrała doskonale Maria Przybyłko, starego Szwarcenkopfa – [Antoni] Siemaszko, starego Firułka – [Władysław] Roman, świetnym Kolumną Wiedeńskim był [Kazimierz] Kamiński, Rózię grała Pomian [Irena Solska] itd. Mimo że całość obsady wywiązała się bez zarzutu ze swych zadań, tzw. opinia publiczna szalała. Nie dość, że znowu proletariatu, to jeszcze do tego – żydowski. Tego już było za wiele... Kruccjatę przeciw Zapolskiej i Pawlikowskiemu prowadził klerikalny „Głos Narodu”. Dyrektor ze stoickim spokojem przyjmował wszystkie ciosy,

\* w dramacie Ibsena *Mały Eyolf*

ale sztuki nie zdejmował z afisza. Zresztą cieszyła się ogromnym powodzeniem. Tylko Zapolska nie wytrzymała i na własną rękę zrobiła niewiarogodny kawał: w łoży należącej do redakcji „Głosu Narodu” ułożyła na krzesłach psie kagańce. Nie trzeba chyba tłumaczyć, co się działo. Pawlikowski nie lubił, by mu się ktoś rządził w teatrze... Spodziewaliśmy się więc ostrego konfliktu między nim a panią Gabriellą. Tymczasem on – chociaż jej otwarcie oświadczył, że takich metod polemicznych nie uznaje – na zewnątrz stanął po jej stronie. Ponieważ redakcja systematycznie obrażała autorkę i aktorkę teatru – cofnął „Głosowi” *passe-partout*\* redakcyjne. Wkrótce potem, jakby dla dopowiedzenia swej opinii o niektórych przedstawicielach prasy, wystawił ostrą satyrę na pewien gatunek dziennikarzy, Chęcińskiego *Krytycy*. Mało tego. Obsadził w niej Zapolską. Czy można się dziwić, że niektórzy publicyści poczuli się osobiście dotknięci? Lecz to był widocznie już taki „zapolski” rok. Niebawem Zapolska miała znów sobie zaszkodzić. Krzyż pański z tą kobietą! Uparła się, że wystąpi w kilku rolach przywiezionych z Paryża. Teatr bronił się przed proponowanymi melodramatami, ale wybronił się tylko częściowo. Inaczej pomyślałaby, że ją „tępimy”.

Jak wielu artystów, nie miała zbyt wygórowanego poczucia sprawiedliwości. Zagrała więc m. in. jakąś tam bulwarową sztukę pt. *Handlarka uśmiechów*, w której wystąpiła jako Rubinowe Serce. Ja byłem Handlarzem Amuletów, Irena Pomian – Zaklinaczką Wężów. Już same nazwy postaci dają pewne pojęcie o walorach sztuki. Zrobiła też sromotną klapę. M.in. „Głos Narodu” napisał: „Nie pomoże blansz i róż, gdy Handlarka stara już”... Zdawało się, że tym razem dobre stosunki dyrektora z Zapolską definitywnie się skończą. Ale z nią to jak na huśtawce. Opowiadała Pawlikowskiemu o stosunkach w zaborze rosyjskim i dla zilustrowania ich przytoczyła wypadki, z którymi zetknęła się osobiście. Pawlikowski zapalił się do tematu. Wybaczył jej wszystkie grzechy, nalegał:

– Dlaczego pani tego nie napisze? Przecież to wspaniały temat!

Zaczęli dyskutować. Powoli kształtował się dramat. Zachęcił ją. Postanowiła pisać. Po kilku dniach nadesłała I akt i plan następnych. Zapropował jakieś zmiany. Uzgodnili. Już po przeczytaniu II aktu Pawlikowski zrobił obsadę.

---

\* stały bezpłatny bilet prasowy

*W Prywislanskim Kraju* – przyjęto do wystawienia.

Ale zapewne nie znacie utworu pani Gabrieli pod takim tytułem. No tak. Bo cenzura go nie zatwierdziła i sztuka weszła na afisz jako – *Tamten*.

Z chwilą gdy zapadła decyzja grania *Tamtego*, zostałem wysłany do Warszawy po oryginalne mundury rosyjskie i potrzebne do nich akcesoria. Ponieważ kupowałem gotowe, mogłem wszystko załatwić niemal od pociągu do pociągu. Ale dla Kamińskiego musiałem zamówić specjalny mundur u krawca szyjącego tylko dla generalicji. W związku z tym pobyt przedłużył się. Po moim powrocie Kamiński oświadczył:

- W tym mundurze grać nie będę.
- Dlaczego?
- Bo nie jest oryginalny. Nie ma jedwabnej podszewki.

Pawlikowski – znając Kamińskiego – przeciął dyskusję. Kazał zrobić jedwabną podszewkę...

Zaczęły się próby. Dyrektor pilnował ich osobiście. Czelował akt po akcie, scenę po scenie, słowo po słowie, tym starannie, że ostatnie dwa akty nie bardzo przypadły mu do gustu i obawiał się, by aktorzy nie popadli w melodramat. Obsadę dał, jakiej by nikt w całej Polsce nie znalazł.

Gdy dziś wydrapię się na trzecie piętro do archiwum szacownego już Teatru Słowackiego i spoglądam na afisz prapremiery, jasno mi się robi przed oczyma. Takich przedstawień niewiele widziałem.

Ludwik Solski: *Wspomnienia*, Kraków 1956.

### *Burzliwa audycja*

Z początkiem zimy [1902] zapowiedziano we Lwowie koncert i wieczór literacki z udziałem różnych znakomitości, między innymi także i Gabrieli Zapolskiej. „Poznam ją nareszcie i zobaczę” – ucieszyłem się, ale i strwożyłem trochę w bardzo młodzieńczej niepewności.

W wielkiej sali lwowskiej Filharmonii tłumi. Ledwie zdołałem się gdzieś umieścić, i to tak daleko od estrady, że, mając krótki wzrok, tylko w mglistych zarysach widziałem występujące tam postacie. Kończył się wieczór. Przedarłem się ku pierwszemu rzędowi krzeseł. Wśród publiczności tworzyły się grupy i grupki. Zacząłem pytać na lewo i na prawo: „Prze-

praszam, czy nie ma tu gdzie pani Zapolskiej?” Ktoś mi wskazał wysoką panią w białej sukni. Wokoło czerń uroczystych fraków. Przystąpiłem, zaszczwieniony, zmieszany.

– Pani pozwoli, że przedstawi się pani autor *Dramatu*.

Pod ślicznie ufryzowanymi czarnymi włosami twarz lekko uszmkowana, nieco zmięta, niemłoda. Twarz kobiety przeszło czterdziestoletniej. Lecz jakże przepysznie młode oczy, jakże świetnie palące się niepokojem, dumą, tęsknotą... Niczym przy nich brylanty, które połyskiwały w jej uszach. To było pierwsze i nigdy nie zapomniane wrażenie: te oczy wspinały, bijące blask brylantów...

\*

Dokuczala mi nieraz żartobliwie Zapolska, że „marnuję się w biurokracji”. Służyłem bowiem, ukończywszy wydział prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, w Namiestnictwie lwowskim, a czyniłem to zarówno na życzenie mego ojca, jak i ze względów „chlebobajnych”, gdyż żaden prawie z młodych pisarzy nie mógł w owych czasach bodaj najskromniej wyżyć z pióra. Rozumiała dobrze pani Gabriela tę smutną konieczność, toteż żarty jej były tylko miłym ubolewaniem nad niewesołą dolą literata „wciągniętego w jarzmo urzędu”.

Już to nie mieli ze mnie wiele pociechy jako z urzędnika moi przełożeni. Ale tak się złożyło, że właśnie dzięki tej mojej „urzędowej pozycji” mogłem raz wyświadczyć Zapolskiej pewną przysługę, którą z uśmiechem wspominam. Pracowałem już wówczas, po kilku latach służby, w sekretariacie namiestnika Galicji, Michała Bobrzyńskiego, znakomitego historyka, który objął to stanowisko po Andrzeju Potockim, zamordowanym z politycznych pobudek przez Ukraińca Siczyńskiego. Bobrzyński, w przeciwieństwie do swego poprzednika, prowadził wobec Ukraińców politykę łagodniejszą, kompromisową, co znowu powodowało ostre nań ataki ze strony polskiej partii narodowo-demokratycznej, której głównym i bojowym organem było „Słowo Polskie”.

W tym sekretariacie, zwanym szumnie „Prezydium Namiestnictwa”, pełniłem obowiązki referenta prasowego, kolegując z różnymi kandydatami na przyszłych namiestników: Skrzyńskimi, Gołuchowskimi i Potoczkimi. Pewnego dnia przynosi mi woźny bilet wizytowy Gabrieli Zapolskiej.



skiej. Rzucam się czym prędzej na jej powitanie. Wita się ze mną zarumieniona, wzburzona, z groźnie błyszczącymi oczami.

– Muszę natychmiast widzieć się z tym twoim namiestnikiem... (Mówiła do mnie i nieraz pisała „ty” przez tę poufałość zaznaczając dyskretne i różnicę lat, jaka mnie od niej dzieliła, i podkreślając przemiłą szczerą dla mnie, a tak mi drogą swoją sympatię.)

– Pani Gabrielo, trudno będzie, dziś nie jest dzień audiencji... Cóż to za taka nagła sprawa?

– I nagła, i niesłychana! Wyobraź sobie – mówi rozgorączkowana, gniewna, niezwykle podniecona – zjawił się nadzwyczajny człowiek, musisz koniecznie go poznać! Nazywa się Radwan-Pragłowski, jest lekarzem, stokroć więcej niż lekarzem! Leczy za pomocą hipnozy i sugestii, cudowne ma rezultaty! Działa bezpośrednio na duszę, daje jej nowe, zupełnie nieznanne siły! Budzi je, potężne, głęboko ukryte w naszej podświadomości... Zaopiekował się moimi rozbitymi nerwami, jestem odrodzona, zmartwychwstała!

Plomiennym entuzjazmem gorzały jej piękne oczy, entuzjazm bił z każdego słowa, młodym uśmiechem rozchyłały się jej usta.

– Przyjechał z Ameryki, gdzie zyskał sobie wielką sławę, chce wygłosić w Polsce szereg odczytów, w których będzie propagował swoje idee...

Zaoponowałem trochę niepewnie, że amerykańscy doktorzy jeżdżący z odczytami po Polsce nie wzbudzają we mnie zbyt dużego zaufania.

– To nie lekarz, to cudotwórca! – zawołała z przejęciem. – I takim człowiekowi robią tutaj trudności, zamiast ułatwiać mu wszystko i jak najchętniej go przyjmować! – W jej wspaniałych oczach zaczęły migotać iskry gwałtownego gniewu, głos szarpał się i rwał wzburzeniem. – Te wasze przysłowiowo głupie galicyjskie władze! Jutro ma mieć odczyt w Zakopanem, afisze rozlepione, wszystkie bilety wyprzedane, a jakiś osioł starosta w Nowym Targu zakazał tego odczytu! To hańba ponad hańby! Radwan telegrafował do mnie z prośbą o ratunek... Musicie to w tej chwili odrobić! Twój namiestnik musi telegraficznie zmyć głowę starości i na odczyt pozwolić! Prowadź mnie zaraz do tego starego Bobra...

– Niestety, nie da się tak od razu... Pani wie, biurokracja... Muszę go uprzedzić, kto i w jakiej sprawie... I nie wiem, czy zechce panią przyjąć...

– Niechby tylko nie zechciał! – najgroźniejsze błyskawice miała

w spojrzeniu. Potrząsnęła trzymaną w rękę parasolką. – Taką bym tu urządziła awanturę, żebyście ją długo popamiętali! Wy mnie jeszcze nie znacie!

Znałem ją, więc, usadowiwszy rozgniewaną w sali przylegającej do gabinetu namiestnika, pośpieszyłem do mego szefa.

– Zapolska? – skrzywił się ekscelencja po wysłuchaniu mojej relacji. Minę miał wielce niechętną i nieufną. – A, niech mi pan da z nią święty spokój! Na oczy nie chcę widzieć tej baby! To prosta awanturka! Dość nasłuchiwałem się o niej różnych skandalicznych historii. Nie przyjmę.

Rozpocząłem tłumaczyć namiestnikowi, że jednak powinien ją przyjąć, a nawet musi. Jest to bądź co bądź jedno z najgłośniejszych i najważniejszych nazwisk w polskim piśmiennictwie. Przy tym pani Zapolska ma bardzo duże wpływy w prasie (umyślnie ugodziłem tu mego szefa w najczulszą strunę), należy do redakcji pisma narodowo-demokratycznego, a więc nieprzyjawnego... Wobec wrogów obowiązuje uprzejmość...

Wpłynął na wahania Bobrzyńskiego ten argument.

– Niech pan ją poprosi – mruknął, bardzo nachmurzony.

Niedługo trwała ta rozmowa męża stanu z artystką. Po kilku minutach usłyszałem podniesione i pełne gniewu głosy obojga. Dominował wyniosły i dźwięczny głos Zapolskiej, przerywany coraz mrukliwszym basem galicyjskiego wielkorządcy. Wnet zaczęli oboje po prostu krzyczeć na całe gardło. Z trzaskiem otwarły się drzwi gabinetu i z jeszcze większym trzaskiem się zamknęły. Z mocą zatrzęsęła je za sobą pani Gabriela, z piorunami w oczach, w szkarłatnych rumieńcach oburzenia.

– Ten twój namiestnik to skończony brutal i barbarzyńca! Wystaw sobie, ośmielił się na mnie wrzeszczeć!

– Wydaje mi się – wtrąciłem – że i pani odpląciła mu pięknym za nadobne.

– A cóż ty myślisz? Ani jego, ani nikogo na świecie się nie boję!

Uśmiechnęła się, ścisnęła mnie mocno za rękę i odeszła w szumie jedwabnych spódnic, w woni paryskich perfum, wzgardliwa i obrażona wielka dama.

Zawołał mnie zaraz Bobrzyński. I on był purpurowy na licach, trzęsły mu się ręce, gdy zapalał swoje wieczne cygaro.

– Ta Zapolska to wściekła i zwariowana baba! Myślałem już, że z pazurami skoczy mi do oczu! Te jej impertyncje, ta bezczelność... I pan

nastawaleś, żeby ją przyjąć! Popamiętam to panu! – spod gęstych siwych brwi gromił mnie wzrokiem pełnym najszczerzej pasji.

Sapał, dyszał, palił cygaro. Czekałem. Po chwili skłoniłem się, chciałem odejść.

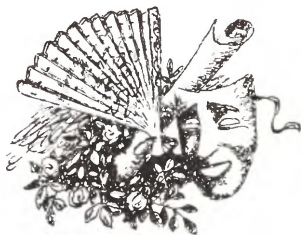
Zatrzymał mnie ruchem ręki.

– Wpakowałeś mi pan niezwykłą arogantkę. Niezwykłą, bo niezwykłą... Cóż to za temperament szalony! Ma już swoje latka, a żywy ogień z niej tryska, niczym z dwudziestoletniej dziewczyny!

W zirytowaniu i w zamyśleniu gładził i szarpał siwą brodę.

– Telegrafuj pan do starostwa w Nowym Targu – rzekł ponuro. – Niech pozwolą na ten tam jakiś odczyt o hipnotyzmie... I daj pan babie o tym znać. Ale niech mi się już nigdy na oczy nie pokazuje. Pierwszy i ostatni raz ją widziałem i najzupelniej mi to wystarczy.

Juliusz German: *Od Zapolskiej do Solskiego*, Warszawa 1958.



# JAN KASPROWICZ





## Z Szymborza w świat

Kasprowiczowie zrobili wielki wysiłek gospodarski oddając syna do szkoły. Z ciężko zarobionego grosza sprawili Jankowi przydzwiek „od święta”, który w Szymborzu wydawał się paradny, ale w szkole, gdzie było wielu „małych paniąt”, budził wesołość swoim krojem. Była wiosna po Wielkanocy 1870 r., gdy Piotr Kasprowicz synka powiodł za rękę do Inowrocławia i wprowadził go w gmach szkoły. Przyszli koledzy wzięli go w obroty, jak to chłopca wiejskiego. Mundur miał źle uszyty, a buty, ćwiekami podbite a za duże, na posadzkach taki robiły efekt, jakby chodził koń podkuty.

Zaczęło się życie zupełnie nowe a ciężkie. Rodziców nie stać było na pensjonat w mieście, więc dziecko co dzień przebywało kilka wiorst dwa razy.

Janek miał lat dziewięć, ale w szkole, w najwyższej klasie, byli już ludzie dorośli. Jak się potem dowiedział, byli tam i tacy, którzy pomagali w oddziałach powstańczych 1863 r. Do klasy przygotowawczej nie wymagano żadnych przygotowań. Przyjmowano dzieci bez żadnych wiadomości szkolnych ponad czytanie i pisanie.

Rok szkolny починаł się od Wielkanocy. Po tym kwartale wiosennym następowały ferie, potem kwartał jesienny (do kopania kartofli), trzeci do świąt Bożego Narodzenia, czwarty do Wielkanocy.

Klasy były następujące: *Vorschule* – przygotowawcza; klasy regularne: I nazywała się sexta, II – quinta, III – quarta, IV – tertia B (niższa), V – tertia A (wyższa), VI – sekunda B, VII – sekunda A, VIII – prima.

Po roku Janek Kasprowicz przeszedł niezbyt gładko do sexty. Ogółem w klasie tej było nauki 30 godzin tygodniowo, tj. 5 godzin dziennie.

W klasie następnej, kwincie, w r. 1872/73 godzin już było 35 tygodniowo.

Jakież postępy czynił Kasprowicz w tej szkole? W aktach szkoły każ-

dy uczeń pozostawił swój arkusz z wykazem klas przebytych i kwalifikacji. Z dokumentu tego łatwo się dowiedzieć, że należał do uczniów słabszych. Siedział po dwa lata w dwu klasach, w tercji wyższej (1875–77) i w sekundzie niższej (1877–79). W roku 1880 na Wielkanoc przeszedł do primy, ale wtedy wystąpił z gimnazjum, nie dostąpiwszy matury.

Nauka szkolna nie trafiała widocznie do duszy Kasprowicza. Nie powinno to dziwić nikogo, kto zna życiorysy wybitnych jednostek, przeznaczonych z natury do twórczości oryginalnej, rządzących się swoim własnym prawem psychicznym w nabywaniu, przerabianiu i wydatkowaniu wiedzy.

Tutaj przybywał jeszcze inny czynnik, który bezwiednie dla ucznia, już nie mówiąc o trudnościach asymilowania pojęć w cudzej mowie, odpychał go od nauki: metoda myślenia i nauczania niemieckiego nie odpowiada naturze umysłu polskiego. Wreszcie czynnik bodaj najważniejszy – odpychanie uczuciowe w stosunku do przełożonych Niemców, zaród buntu przeciwko wrogom, rozwijający się z latami.

Szkoła stawała się coraz bardziej niemiecką i dokuczliwą. Do roku 1872 uprawiano jeszcze dość poważnie naukę języka polskiego. Ze sprawozdań rocznych widać, że w klasach wyższych zadawano nawet polskie wypracowania na tematy literackie. Oczywiście potem, gdy nauka polskiego zanikła, ćwiczenia były tylko niemieckie.

Kasprowicz nie należał do młodzieńców układnych i łatwych, budzących zaufanie, że w jarzmie pójdą. Bujny z natury temperament w starszych klasach objawiał się w coraz częstszych zatargach, przy czym przełożonym dostatecznie zamanifestowała się barwa polska w charakterze ucznia.

Nauczyciel Quade, który przez parę lat w sekundzie był gospodarzem klasy, widocznie niedobrze usposobił do siebie Kasprowicza, skoro po wakacjach 1880 roku, na początku primy, przyszło do wybuchu. Powiadają, że przyszło do rozmowy tego rodzaju:

– Kasprowicz zapomina, że nie siedzi w karczmie w Szymborzu!

A na to uczeń:

– A pan zapomina, że nie siedzi przy kopycie! – W czym była aluzja do pochodzenia profesora\*.

---

\* Quade był synem inowrocławskiego szewca.

Quade w szewskiej pasji zrobił z tego użytek i dano Kasprowiczowi *consilium abeundi* \*.

Wystąpił tedy z gimnazjum. Nie chciał, ale musiał. Mniej pono cierpiał nad tym niż rodzice.

• *I barowali tak zimę i lato  
Za próg domostwa pędząc niepokoje  
Narzybł natrętne. A on, patrząc na to,  
Czuł, jak wdzięczności wzbierały mu zdroje  
W młodzieńczej piersi. Bo wszakci ostoję  
Człek ma jedyną w rodzicach, co w męce  
Spędzają dni swe — dla dzieci... Oboje  
Byli mu drodzy, w serdecznej podzięce  
Obojgu też całował spracowane ręce.\**

Kasprowicz postanowił bądź co bądź zdobyć maturę. Ze świadectwem wydanym mu w Inowrocławiu udał się do Poznania. Tam w gimnazjum Marii Magdaleny przyjęto go nie do primy, lecz do sekundy. Uczył się tam trzy kwartały, ale temperament buntowniczy widocznie przemażał postanowienie, władze bowiem szkolne doradziły mu, aby się usunął. Za czyjąś poradą udał się na Śląsk Górny, do Opola. Tam w gimnazjum popasał jeszcze krócej. Od Nowego Roku 1882 widzimy go już zapisanego do sekundy wyższej w gimnazjum w Raciborzu na Śląsku. Przeszedł tam na Wielkanoc do klasy najwyższej, primy, i tę ciągnął szczęśliwie do wiosny 1883 r. Miał już otrzymać maturę. Ale Niemcy widocznie nie bardzo kwapili się obdarzać nią ucznia, który systemowi szkoły germanizacyjnej chluby nie przynosił.

Zaczęto mu doradzać, aby się wyniósł; nie znoszono jego zachowywania się manifestacyjnie polskiego w kraju, w którym już od roku 1872 zakazana była w szkołach nauka czytania i pisania po polsku, a faktycznie zakazana była nawet rozmowa polska. Któryś z profesorów już podczas matury oświadczył Kasprowiczowi, że musi dobrowolnie opuścić gimnazjum.

— A jeśli pan tego nie uczyni, władze szkolne usuną pana przez policję.

Kasprowicz, który był już u brzegu na to, by usłyszeć znowu propo-

\* Złagodzona forma wydalenia ze szkoły (dosł. łac. rada odejścia).

\* Z poematu Kasprowicza *Wojtek Skiba*.



zycję cofania się na flukty szkolne, wpadł w taką wściekłość, że porwawszy kałamarz rzucił nim w profesora.

Skandal zatuszowano dla ratowania powagi szkoły, ale nasz wędrowiec znowu szukać musiał przystani. Wtedy to z ławy szkolnej zetknął się Kasprowicz z ludem górnośląskim; srogi los tego ludu, któremu tak brutalnie zaprzeczano prawa polskości, przejął Kasprowicza patriotycznym współczuciem, które wnet stało się dla niego nakazem odpowiedniego działania. Doprowadziło go to, jak wiemy, w roku 1887 do więzienia. Z gimnazjum raciborskiego, do którego, jak powiada Kasprowicz, „zagnał go jego własny niepokój”, kazano mu usunąć się „wśród okoliczności dramatycznych”.

Okoliczności istotnie były dramatyczne. Zdarzyło się jednak, że uzyskał protektora w osobie doktora Wituskiego, słynnego fizyka. Jako nauczyciel gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu wziął Kasprowicza na swoją odpowiedzialność i sprawił, że od Wielkiejnocy 1883 roku przyjeżdżał go tam do primy. Tutaj nareszcie wylądował po 14 latach.

Pomimo że Kasprowicz nie miał sympatii politycznej, ceniono jego talenty, a nawet jego niemieczynę, która wtedy była już doskonała. Pisywał już poezje niemieckie.

Akt uroczysty rozdawania dyplomów w dniu 1 marca 1884 zaszczycił swoją obecnością radca szkolny komisarz królewski Polte. Kiedy wywołano Kasprowicza, maturzysta nasz wszedł zgarbiony, patrząc spodełba. Radca Polte, wręczając mu dyplom, rzekł:

– Wszedłeś pan z pochyloną głową. Pan wiesz, dlaczego: nigdy pan nic nie robił. Ale pan piszesz znośną niemieczyną i temu pan zawdzięczasz swoją maturę.

Świadectwo było niezłe. Z niemieckiego i polskiego przyznano mu *gut*, z innych stopnie dostateczne. Jako obrany zawód naukowy oznaczono w świadectwie literaturę i filozofię.

Zygmunt Wasilewski: *Lata szkolne Jana Kasprowicza*, „Tygodnik Ilustrowany” 1922.

## *Rozbity dom*

Z członkami redakcji „Słowa Polskiego” spotykałem się częściej, gdy zacząłem pracować w „Gazecie Lwowskiej” i gdy Kasprowicz wystąpił z „Kuriera Lwowskiego”, aby objąć redakcję niedzielnego dodatku lite-

rackiego w „Słowie Polskim”. Chodziliśmy razem do winiarni George’a. Godziny spędzane w tym towarzystwie mijały jak chwile i ani się człowiek spostrzegł, gdy szary świt zaczynał przelądzać się w oknach...

Kasprowicz mimo niezwyklej siły fizycznej i atletycznej budowy głowę miał słabą i pod wpływem alkoholu przerzucał się z każdej dyskusji na ulubione swoje tematy, prowadzone w trzech językach. Zaczynał zrazu po niemiecku, deklamował Schillera, Goethego z czasu swoich popisów szkolnych, i to był znak, że Kasper ma już w czubie. Po tym przechodził na Horacego... Gdy jednak rozpoczynał jakieś zaklęcia hebrajskie i cytaty Zakonu, wypowiedane głosem tragicznym, wiedziało się wówczas, że czas najwyższy wracać do domu. Przyzwyczajony do nocnych posiedzeń i dalekich spacerów, odprowadzałem chętnie Kaspra do domu, mimo że mieszkał aż pod samym parkiem Stryjskim, przy ulicy Pułaskiego. Kasper ujmował mnie swą żelazną ręką pod ramię i był przekonany, że to on musi mnie odprowadzić, a nie ja jego. Przystawał często i mówił wiele. Lecz nigdy o sobie. I to było cechą naszych stosunków, jakie łączyły przyjaciół Kaspra.

Byłem też ogromnie zdziwiony, gdy pewnego dnia woźny w biurze zameldował mi, że jakiś pan chce się ze mną widzieć, lecz prosi, abym wyszedł na korytarz.

To był Kasprowicz! Ale jakże straszliwie zmieniony. Oczy miał jakby zagasłe, twarz szerniała, czoło poorane, usta trzęsące, wykrzywione skurczem bólu czy wściekłości. Chwycił mnie za rękę, pociągnął w ciemny kąt korytarza i zaczął mówić ochrypłym, wychodzącym ze studni głosem:

– Mój drogi, zatelefonuj do Tadzia Sobolewskiego i jedźcie obaj do mojego mieszkania... tam są dzieci same... – Przełknął ślinę i dodał: – Żona wyjechała. Dostałem w redakcji list... Jeszcze nie potrafię tam pójść. Masz tu kilka koron, kup coś po drodze. Dzieci są pewnie głodne...

Głos mu się zatrzęsł, załamał, odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Ledwo biuro się skończyło, pojechaliśmy razem z Tadziem na ul. Pułaskiego, rozmawiając po drodze o Kasprze. Wiedzieliśmy obaj, że Przybyszewski zjeżdża często do Lwowa, gdzie Pawlikowski grał jego *Złote runo*. Spotykaliśmy się przelotnie, w teatrze, na ulicy i zarzucaliśmy sobie nawzajem zmianę naszych uczuć. Nie powiedział mi nawet, gdzie mieszka.

Dopiero teraz dowiedziałem się, co było powodem tego ukrywania się... Żona Kasprowicza! Żona tego człowieka, którego uwielbiał jako

poetę! *Na wzgórzu śmierci* nazywał przecież najpotężniejszym poematem współczesnej poezji słowiańskiej! Jako towarzysza młodych swych lat po bratersku kochał... Tak przynajmniej w Berlinie nam opowiadał! I temu ubóstwianemu przez siebie twórcy i przyjacielowi odebrał bez cienia skrupułu żonę, dzieciom jego matkę!

Dotarliśmy do mieszkania Kasprowicza jakby zawstyżeni. Cóż za żalorny czekał nas widok! Pokoiki w nieładzie, szafy pootwierane, łóżka nie posłane, a na dwu dziecinnych posłaniach siedziały dwie małe dziewczynki. Trzymały pudełka cukierków w rączkach, buzie miały zawalane czekoladą i łzami, bo płakały. Zobaczywszy nas zaczęły w głos beczeć. Pewnie się przelekły, bo nigdy nas przedtem nie widziały.

– Ja chcem do mamy – szlochała młodsza. Więc Sobolewski wziął ją na ramiona i usiłował ją uspokoić tańcem. Walcował z nią po pokoiku, przytupywał i wywołał nawet uśmich na twarzy dziecka. Widząc to poszedłem w jego ślady ze starszą i tak tańczyliśmy obaj z naszymi małymi tancerkami, którym się to bardzo spodobało.

Zawołaliśmy potem stróżkę, która przy nas umyła i ubrała dzieci, chcieliśmy także zostawić pieniądze na obiad, ale ona odpowiedziała, że dostała je już od pani i wnet jedzenie przyniesie:

– Pani zresztą mówiła, że wróci i dzieci zabierze. Na razie miała przychodzić jej siostra, lecz dotąd się nie zjawiła.

Dzieci, wyczesane, ubrane, nabrały do nas zaufania i pokazały nam swoje zabawki. I tak zeszło popołudnie. Mimo że byliśmy obaj bez obiadu, nie mogliśmy zdobyć się na odejście. Doczekaliśmy się nawet przyjsia Kasprowicza. Był jeszcze ciągle milczący, ponury i zakłopotany. Natura jego, zrośnięta całkowicie z ojczystą chłopską glebą, surowa, cofająca się z wrodzonym wstrętem przed każdym objawem zepsucia i zdrady, długo nie mogła przeboleć tego niespodziewanego wiarołomstwa, tej krzywdy.

W owe noce spędzane samotnie – Kasprowiczy przerwał nawet swoje ulubione partie domina u Schneidra – odkrył on w sobie najgłębszą wartość swjej duszy, swego poetyckiego talentu. Stał się wieszczem skargi, bólu, cierpienia.

Dużą podporą duchową był mu w owym czasie Zygmunt Wasilewski. Kasprowiczy, choć był już znany poetą, musiał pracować na utrzymanie rodziny adiustując telegramy, poprawiając nicudolnie pisane korespondencje ze wsi i telegramy w „Kurierze Lwowskim”. Pismo to wychodziło

rano, a w redakcji pracowano w nocy. Kasprowicz marnował się naturalnie w tym dziennikarskim kieracie. Wychodząc z drukarni nad ranem, wstępował niby to na kawę, ale gdy natrafił na znajome wesołe towarzystwo – o co w Teatralnej nie było trudno – nie rozłączał się już z nim do końca. Wasilewski stworzył więc dla Kasprowicza idealne warunki, oddając mu w „Słowie Polskim” redakcję niedzielnego dodatku literackiego. Było to zajęcie kilkunastu godzin tygodniowo, wynagradzane tak samo jak conocna praca w „Kurierze Lwowskim”. Lecz Wasilewski na tym nie poprzestał i zaczął urabiać profesorów, aby ułatwili pocie uzyskanie doktoratu. Miał on już za sobą *Chrystusa*, *Z chłopskiego zagonu*, *Anima lachrymans*, *Miłość*, *Krzak dzikiej róży*, *Bunt Napierskiego*, tłumaczył także Szekspira, Shelleya i Byrona... więc był to dorobek znaczny, chociaż w tym czasie jeszcze niedostatecznie oceniony. Znał i odczuwał współczesną literaturę polską z pewnością głębiej i lepiej od niejednego profesora. Lecz przepisy uniwersyteckie były surowe i wymagające. Kasprowicz nie potrafiłby nigdy przełamać tych wszystkich trudności, bo, nie będąc zarozumiałym, nie umiał i nie chciał ani za sobą przemawiać, ani o cokolwiek prosić. Wasilewski załatwił to wszystko. Kasprowicza dopuszczono do doktoratu, a w jakiś czas potem dopuszczono także do habilitacji.

Alfred Wysocki: *Sprzed pół wieku*, Kraków 1956.

### *Wśród przyjaciół*

W Kasprowiczu było dwóch ludzi: poeta i człowiek świecki. Zapewne, sława szerzona przez wielbicieli jego poezji dawała aureolę także jednostce chodzącej po ziemi i przez to wysokie stanowisko społeczne. Ale niezależnie od sławy jednał sobie sympatię od pierwszego wejrzenia, od pierwszych słów, które zamienił. Zdaje się, że najsympatyczniej tym się rekomendował, że każdemu w obcowaniu zapewniał – że tak powiem – stosunek świąteczny, pozbawiony pierwiastka interesowności. Nikomu niczego nie zazdrościł, od nikogo niczego nie wymagał, nikogo nie podchodził, o nikim źle nie mówił. Ta strona negatywna wystarcza, żeby się w towarzystwie takiego człowieka dobrze czuć. Tym nawet, którzy w jego duszę nie wnikalі, imponował niepospolitością choćby samego obyczaju,

przede wszystkim bujnością temperamentu, a nawet bujnością siły fizycznej. Tchnęła od Kasprowicza biologiczna żywotność, sama przez się pociągająca, jako najistotniejsza cecha piękna życia. Wytwarzał on radość koło siebie tak dobroczynną, że za nią otoczenie gotowe darować wiele niedoborów towarzyskich.

Był tak w stosunkach prosty, że spoufalał ludzi do siebie, tych mianowicie, którzy nie mogli sobie wyobrazić, że obcuja z człowiekiem podwójnym, że w tej postaci świeckiej ukrywa się wielki twórca. Gdyby otoczenie zawsze z tego zdawało sobie sprawę, Kasprowicz miałby nudne życie, boby ludzie przy nim nie byli swobodni. Ci nawet, którzy dobrze wiedzieli, czym jest Kasprowicz jako twórca, w obcowaniu z nim nie mogli uchwycić związku, jaki zachodzi między jego poezją a życiem. Wiedzano o tym, że przy winie się ożywiał i stawał się wylewnym, wiedzano, że lubił winem się podniecać. Ubiegano się tedy o kompanię jego przy stole, starano się, aby go podniecić, nie zawsze zdając sobie sprawę z tego, że kierowała tym rachuba: a nuż Kasprowicz się odsłoni jako poeta, wprowadzi do tajników swej duszy. Nie dało się jednak nikomu tego osiągnąć. Pozornie wydawało się, że z dwu ludzi staje się jeden, otwarty do głębi. Ale tak nie było, bo nie mogło być. Wino tam nie dochodzi. Osiągano tylko tyle, że poznawano wiele zasobów jego humoru i wiedzy, dowiadywano się o jego upodobaniach jako konsumenta, obserwatora, krytyka, polityka, ale były komory w jego sercu, których nikomu nie pokazał.

Nawet w czasach, o których mówiłem, że był złamany, miał więcej w sobie żywości i humoru fizycznego, niż my, niezłamani. I to właśnie sprawiało, że wszystko ku niemu się zwracało z uśmiechem. Organizm jego domagał się rozprężania. Niezależnie od stanu swego ducha, od czasu do czasu zrywał się od biurka, aby się rozprostować. Mięśnie grały w nim, szukając wyladowania, każdego więc, kto miał trochę mocy, wyzywał na walkę atletyczną. Niezapomniana to była scena, jak razu pewnego w pokoju naszym urządził ulubioną wagę, polegającą na przeciąganiu się wzajemnym na plecy schylone. Dwaj zapaśnicy, szczepiwszy się tyłem do siebie pod łokcie, ważą się: raz jeden zadziera nogi do góry, patrząc w sufit, to drugi – krew uderza do głowy, kości trzeszczą, dochodzi do zapamiętania, kto dłużej wytrzyma. Otóż w takiej chwili otworzyły się drzwi i wkroczyła bardzo dystygowana dama.

- Czy mogę się widzieć z panem Kasprowiczem?
- Oto jest - rzekłem odwracając się od biurka, aby go zarekomendować.

Spostrzegłszy, co się dzieje, byłem zakłopotany nie mniej od gościa. Nielatwo bowiem takie zapamiętałe wahadło powstrzymać, bo choć jeden spostrzeże, to drugi nie widzi i powiada sobie: jeszcze raz. Wreszcie stanął wielki poeta na baczność, spocony, czerwony, z rozwiązanym krawatem. Była to wielbicielka Kasprowicza, poetyzująca i przychodząca z hołdem:

- To pan jest Kasprowicz! Jakże szczęśliwa jestem.

Zygmunt Wasilewski: *Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim*, Warszawa 1927.

### *Sumienny profesor*

Studiowałem na uniwersytecie lwowskim literaturę porównawczą i historię sztuki. W r. 1910 złożyłem pracę doktorską pt. *Literatura i sztuka jako wyraz obiektywnych i subiektywnych pierwiastków w odczuwaniu przyrody*. (Tytuł skomplikowany, zaznaczający równorzędność sztuki i literatury, z których chciałem być egzaminowany.) Nieodżałowany prof. Antoniewicz perswadował mi:

- Panie, ja się na tym nie znam, tu w ogóle nikt się na tym nie rozumie. Niech pan z tym jedzie do Lipska. Bo niechże pan sam powie, co ja mam robić: jeżeli praca pańska jest genialna, a ja ją odrzucę, to powiedzą, że Antoniewicz dureń, bo się na tym nie poznał, jeśli jest nic nie warta, a ja ją przyjmę, to powiedzą to samo.

Prof. Kasprowicz, który właśnie objął katedrę literatury porównawczej, postąpił inaczej:

- Panie Michale, pan będzie mój pierwszy doktor, tym sumienniejszy i ja muszę się przygotować do pańskiego egzaminu. Ja wprawdzie jeszcze nie rozumiem pańskiej pracy, choć założenie mi się podoba, ale ja ją chcę zrozumieć i przekonać się, czy pan ma rację i czy pan jej dobrze broni. Niech mi pan dostarczy wszystkich dzieł, jakie pan do tego przestudował, na jakie pan się powołuje i które zbija.

A było tego dosyć, tyle, że pan Jan oświadczył mi, iż był gotów do

meo doktoratu... po trzech latach. Ale wtedy już studiowałem rolnictwo i nawaliłem sobie na głowę tyle innych spraw, że trudno byłoby mi wracać do tych rzeczy, zaniechałem więc starania o tytuł, na którym mi nie zależało, i nie miałem o to żalu do nikogo.

Ta sumienność, to ciężkie, skrupulatne traktowanie obowiązków przez Kasprowicza nigdy nie było dostatecznie podkreślone. Wie się o nim, że był wielkim poetą, wie się też, że był człowiekiem niezmiernej dobroci i wielkiego serca – wie się też, że umiał to być dobry kompan w cygańskim towarzystwie artystycznym, ale nikt nie zdaje sobie sprawy z tego poczucia powagi spraw, których się podjął, z tej solidności przekonań i solidności obywatelskiej, które go cechowały. Kasprowicza był mocarzem wysiłku, przez który prowadził go niezłomny charakter, tak jak przez opór formy prowadziła go jego wielka czująca dusza i gorące serce poety.

Michał Pawlikowski: *Okna*, Medyka 1934.

## *Harenda*

21 września [1923 r.]

Janek wyjechał do Warszawy. Tam się ostatecznie rozstrzygnie, czy dostaniemy odpowiednią pożyczkę i czy kupimy dom. Z telegramu, który mi wysłał, widzę, że wszystko na razie układa się pomyślnie. Zresztą, od pierwszej chwili byłam pewna, że ten domek jest nam przeznaczony.

Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Parę miesięcy temu pewna Angielka kupiła świeżo wybudowany dom (położony na brzegu Dunajca, pomiędzy Poroninem a Zakopanem), kupiła go w porywie romantycznego uniesienia: jest malarką i osobą trochę sentymentalną. W krótkim czasie przekonała się, że dom leżący na takim odludziu nie jest stworzony dla osoby samotnej i nerwowej. Postanawia go sprzedać. Chce za niego tylko tyle, ile zapłaciła w styczniu tegoż roku (pięćset funtów angielskich). Domek jest ładny. Budował go chłop, który niedawno wrócił z Ameryki – solidnie i praktycznie. Jest trochę większy od zwyczajnych chat podhalańskich. Aby nam było w nim wygodnie, musimy jeszcze coś dobudować i wykończyć go. Domek leży na stromym brzegu nad potokiem, niedaleko drogi. Stamtąd jest przepiękny widok na góry.

Wieloletnie marzenie Janka gotowe się spełnić. Będzie miał swój

kąt i swój kawałek ziemi. Sprowadzimy się tam od razu i ze Lwowa przewieziemy wszystkie nasze rzeczy. Przez ostatnie tygodnie Janek żył wyłącznie myślą o kupnie tego domku. Pełen był trwogi, miał bowiem za mało gotówki. A przecież wierzył, że jest bliski upragnionego celu. Cieszę się razem z nim z tego odludzia...

6 października

Za parę dni przenosimy się do naszego domu. Wszystko się stało jakoś tak bajecznie prędko, prawie bez wysiłków z naszej strony, jak gdyby naprawdę kierowała wypadkami niewidzialna siła.

Janek nie może doczekać się chwili, kiedy tam już będziemy. Dziś kończą budowę pieców. Rano budząc się mówi:

– Jaki jestem szczęśliwy, jaki jestem szczęśliwy, że będę mógł już do końca życia siedzieć we własnym kącie, daleko od ludzi, z tobą tylko, i pracować, cudownie pracować! Wierzę w tajemniczy los. Głęboko jestem przekonany, że dopomogła mi nieznaną, ale przyjazną ręką. Może ręką mojej matki, wierzę, że czuwa nade mną. Wszystko, o czym mogłem marzyć, spełniło się. Niczego już nie pragnę, tylko cichego, spokojnego życia z tobą, wśród książek moich i pracy.

Wieczorem otworzył *Księgę ubogich*. Przeczytał mi głośno wiersz zacytując się od słów: „Na razie, mówiący prawdę...”

– Zobaczysz, Marusiu, że to wszystko, co jest napisane w tym wierszu, powoli, powoli się spełni... Tam na dole, nad samą rzeką, wybuduję mały grobowiec dla nas obojga. Tam będziemy kiedyś leżeć „pod szumów wieczystych opieką”. Patrz, czy nie miałem dobrego przeczucia, gdy pisałem:

*Albo, jeżeli już laska,  
Wybierzcie mi przystań nad rzeką,  
Tu, nad tą burtą kamienną,  
Pod szumów wieczystych opieką.  
Lub tutaj — o, żądzo zbyt górna!  
Przy udeptanej tej drodze,  
Gdzie nieraz, gwiazdy łowiący,  
Wieczorem, bywało, chodzę.  
A mamże być jeszcze natrętny —  
O, jakżem upokorzony! —  
Na grobie mym raczcie posadzić  
Dwa świerki lub dwa jesiony...*



– Świerki i jesiony posadzimy sobie w ogródku. Będzie nam dobrze. Nie wiem dlaczego, ale mam takie niezachwiane przekonanie, że będzie nam dobrze. Tak się cieszę! Może to niedobrze, że jestem taki szczęśliwy? Ale to jest przecież zrozumiałe. Mieć na starość swój ką, nie potrzebować wracać do miasta!... Nie spodziewałem się, że to marzenie moje tak prędko się spełni!...

Lecz mamy jeszcze dużo kłopotów przed sobą. Musimy dobudować nową kuchnię (starą Janek przerobił na pracownię-bibliotekę). Trzeba wykończyć pokój na górze, potem przeprowadzka, urządzenie itd. Janek załatwia jednak wszystko z takim gorączkowym pośpiechem, że za jakiś miesiąc przeważna część robót może być już gotowa.

Nie żałuje na to pieniędzy, kupuje materiał, jaki mu się nadarzy, nie zważając na cenę, piłuje wszystkich naokoło siebie. Jeżeli chodzi o praktyczne zdolności, to ich Janek nigdy nie miał. Jest nieraz wprost dziecinnie łatwowierny i nieprzewidujący. Pod tym względem należy do pokolenia przedwojennego.

Żartował niedawno, że domek kupił mu pewien Anglik, z którym żyje od dawna w wielkiej zażyłości – William Shakespeare. Istotnie, zapłacił Janek za dom większą sumę, którą otrzymał od wydawcy swego i przyjaciela, Kościelskiego, jako zaliczkę za tłumaczenie Shakespeare'a.

Harenda, 10 grudnia

...zastałam dom poprzewracany do góry nogami. Rzeczy przyszły podczas mej nieobecności. Trzydzieści trzy paki z książkami wypatroszone. Błagałam, ażeby beze mnie nic nie rozpakowywać. Ale gdzież tam! Janek z wrodzoną mu gwałtownością zabrał się do tego od razu. Chodziło przecież o „natychmiastowe” ustawienie jego ogromnej biblioteki. Dla tej biblioteki zmieniono cały dom. Biblioteka ta stawała się ośrodkiem wszystkiego.

Zastałam Janka w sypialni, wśród powodzi książek, nie ubranego, nie umytego od dwóch dni. Od rana do nocy porządkował i układał, układał i porządkował... Półki już były przymocowane, część biblioteki ustawiona. Rozpacz mnie ogarnęła, gdy zobaczyłam, co się dzieje w mieszkaniu. Wszędzie książki i papiery, stosy, góry, kaskady książek...

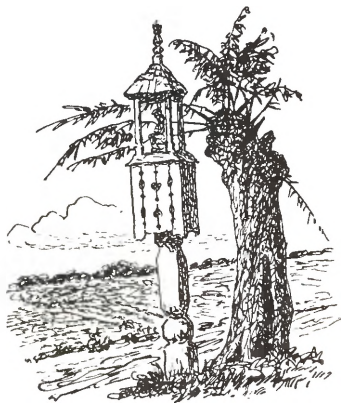
W przeciągu trzech dni biblioteka była gotowa, podłoga umyta. Zaczął się wyłaniać ten jej niezwykle obraz, który uderza obecnie każdego

wchodzącego. Ścian nie widać zupełnie, są zastawione od góry do dołu rzędami pięknie oprawnych książek. Wiele cennych, złotem wytłaczanych skór, starych pergaminów... Meble jesionowe, zakopiańskie. W głębi w jednym z rogów drewniany święty zadumany czuwa jakby opiekuńczy duch tego pokoju. Duży piec z kominkiem, na podłodze skóry niedźwiedzia i rysia. Pośrodku duży ładny stół, na którym leżą najrzadsze okazy biblioteki: kilka starych, pięknie oprawnych Biblii, między nimi Radziwiłłowska. U sufitu lampa o niezwyklej kształcie, na klamrach góralskich wzorowana. Zapalona, rzuca przez żółte szkiełka przytłumione światło. Wielki kilim-kotara oddziela bibliotekę od reszty mieszkania.

23 stycznia 1924 r.

O naszej Harendzie (nazwa przysiółka, gdzie stoi nasz dom) mogę pisać tylko ze szczerym wzruszeniem i miłością. Gdy budzę się rano i otwieram oczy, widzę przez okno promienisty grzebień Tatr. Mam wrażenie, że zawiśliśmy gdzieś w powietrzu nad tą całą panoramą.

Maria Kasproviczowa: *Dziennik*, Warszawa 1958.





# STEFAN ŽEROMSKI





## W bibliotece Zamoyskich

W tym czasie (1900) zbliżyłem się ze Stefanem Żeromskim, podówczas bibliotekarzem Zamoyskich. Mieszkał z żoną Oktawią, synem Adamem i pasierbicą Henią Rodkiewiczówną w domu Zamoyskich przy ul. Żabiej 4. Często zapadał wtedy na zdrowiu, miewał podniesioną temperaturę i krwotoki. A że surowego miał zwierzchnika w osobie mieszkającego na tych samych schodach historyka Tadeusza Korzona, musiała tedy pani Oktawia w rannych godzinach zastępować w bibliotece męża.

Otóż w takich ciężkich dla nich okresach podjąłem się – że czas miałem wolny – zastępować p. Oktawię przy chorym Stefanie, co dla mnie było i dumą, i radością, tak go wielbiłem. Leżał zwykle w stołowym pokoju na kanapie, okryty pledem, z termometrem w ustach; Adasia małego bardzo kochał, ale bał się go sadzać przy sobie lub pieścić, żeby go nie zarazić gruźlicą. Smutne dziecko siedziało z daleka w kąciku i serce się krajało na widok tej niemej tragedii. Zacząłem tedy przyprowadzać ze sobą mego młodszego syna, Huberta, rówieśnika Adasia, i razem bawili się na podłodze pod stołem, gdy ja czytałem Żeromskiemu na głos Szczedriny i Tolstoja, których przynosiłem z sobą. Na pamiątkę mego Huberta nadał Żeromski to imię synowi Rafała Olbromskiego, występującemu w opowiadaniu *Wszystko i nic* i w *Wiernej rzęce* \*. Zawsze potem przy spotkaniach ze mną w Nałęczowie, w Paryżu, w Zakopanem, Krakowie zapytywał mnie jednakowo: „Cóż tam wasz Huba?”

Stanisław Stempowski: *Pamiętniki*, Wrocław 1953.

Żeromski, w okresie gdy ojciec mój został radcą prawnym Zamoyskich i gdy sprowadziliśmy się do Ordynacji, pracował w bibliotece jako pomocnik profesora Korzona. Zajmował mieszkanie w tej samej co i my klatce schodowej, do którego schodziło się z sieni nieco w dół, po czte-

---

\* oraz w dramacie *Turoń*

rech, chyba niebezpiecznych, schodkach. Okna mieszkania Żeromskich wychodziły na dwa fronty bocznej oficyny, w której się znajdowało, a więc na dwa podwórka: jedno trójkątne, nieduże, od ulicy Żabiej, przez nie właśnie wchodziło się do naszego „skrzydła”, i drugie, wewnętrzne, tzw. biblioteczne, bo wzdłuż niego ciągnął się cały „korpus” biblioteki. Przez to podwórko można sobie było skrócić drogę do ulicy Senatorskiej, otwierając zawsze zamknięte, masywne drzwi z parterowej sieni własnym kluczem. Szereg wielkich, wysokich okien biblioteki patrzył milcząco w tę odgradzoną od miejskiego ulicznego ruchu zaciszność podłużnego, zwykłym okrągłym brukowcem, wykładanego podwórza.

Stosunki typowo „towarzyskie” nigdy nie istniały między naszym domem a domem Żeromskich; nie prowadzili oni zupełnie żadnego normalnego towarzyskiego życia. O Żeromskim mówiono, że jest chorobliwie nieśmiały i „boi się ludzi”; w każdym razie wszelkich kontaktów towarzyskich unikał. Znajomość była raczej nieoficjalna, oparta na dorywczych zwykle, ale za to częstych i z natury rzeczy bardziej intymnych stosunkach, głównie z panią Żeromską.

Widzę, jakby to wczoraj było, panią Oktawię, dużą, tęgą, o śniadej cerze i wymownych czarnych oczach, przepasaną fartuchem, najzupełniej bezpretensjonalną w swoim stroju i uczesaniu, typową „gospodynię”, jak wpada do nas z rękoma unurzanyymi w mące czy cieście, roześmiana, gadatliwa i głośna. Chodzi o jakąś sąsiedzka przysługę, pożyczanie kuchennego statka – rondla, patelni czy tarki, których to sprzętów zawsze u Żeromskich było trochę przymało i które były przyczyną niemal codziennych, przemiłych „wpadań” pani Oktawii. Ogromnie ją lubiłam.

Wpadała na króciutkie chwile, zwykle koło południa; Stefan... Stefan był ciągle na jej ustach i w myśli.

– Wpadłam tylko na chwileczkę, bo Stefan ma ból głowy. Nie chciał dziś wstać, leży twarzą do ściany. Taka jestem niespokojna. Zostawiłam przy nim Henię, bo muszę skoczyć do biblioteki, trzeba biedaka zastąpić. Więc, moja droga pani, tylko to czy tamto... już Henia jakoś ten obiad spitrasi. Mój Boże, tak się o Stefana boję... ten częsty ból głowy... no, i ta jakaś depresja! Ale już lecę, bo profesor pewno się niecierpliwi, przecież Stefan powinien tam być już o dziewiątej... a teraz... Boże drogi! wpół do dwunastej! Już? Pędzę, lecę. Kochana moja, dziękuję!

I już szybki, głośny, no, i odpowiednio ciężki tupot nóg po schodach, już pani Oktawii nie ma.

Osobiste nasze stosunki z Żeromskim z tej doby przedstawiają mi się dosyć mgliście. Żeromski był raczej tym bohaterem sztuki, który, będąc osią jej treści, ukazuje się z rzadka i głównie pozostaje poza sceną.

Doskonale jednak pamiętam jego wygląd, a nawet i pewne cechy zachowania. Wrył mi się w pamięć jeden zwłaszcza moment jakiejś bytności jego u nas, być może, że był to dzień Nowego Roku.

Żeromski siedział z rodzicami mymi w salonie. Skromnie przysiadłam obok, przysłuchując się rozmowie, która toczyła się ciężko i z trudem jak wóz po zimowej grudzie. Matka moja wytrwale nawiązywała rwącą się bezustannie nic; ojciec po paru nie dających wyniku próbach nic zadawał już sobie trudu i siedział milcząc, z pół- czy ćwierćśmiechem pod siwym wąsem. Żeromski mówił bardzo cicho, głównie odpowiadając, i to w sposób wyjątkowo lakoniczny, na pytania ze zdumiewającą wprost pomysłowością wynajdywane przez mamę.

Zdumiewała mnie ta sytuacja. Nie mogłam wówczas zrozumieć tego, że człowiek umiejący tak wspaniale pisać – nie umie mówić.

Żeromski miał bujną ciemną czuprynę, dość długie, sztywno stojące, ostro zakończone wąsy i małą, w szpic przyciętą bródkę. Robił wrażenie bruneta, choć chyba naprawdę nim nie był. Cerę miał bladą i duże, głęboko osadzone oczy, których koloru nie pamiętam, zdaje mi się tylko, że były bardzo ciemne. Twarz była chmurna. Chmura ta głównie leżała na czole i skupiała się cała nie w żadnych bruzdach czy zmarszczkach, ale po prostu w samych wydatnych brwiach, choć i te nie były specjalnie ściągnięte. Czoło to, dość niskie, przykuwało mój wzrok; nie mogłam oderwać oczu od tej chmury, właściwie niewidzialnej, a która jednak była, najwyraźniej była i rzucała mroczny cień na całą twarz. Ona to nadawała jej ten wyraz posępnego zamyślenia, jaki ją wówczas stale niemal cechował.



## *Chude lata*

Stanowisko młodego literata w Polsce niepodległej polepszyło się gruntownie, pomimo wszelkich kryzysów księgarskich i wydawniczych. Nowy talent otaczany dziś bywa czujnością krytyki, nie znaną dawniej w podobnej skali. Można wyliczyć długi szereg przykładów gorączkowego przeceniania zalet młodego pisarza, który w swych poezjach czy opowiadaniach okazał nieco talentu. Oczekują go oprócz życzliwych, często entuzjastycznych ocen ze strony starszych kolegów – stypendia, zasiłki, nagrody, a wszystkie pisma otwierają mu chętnie swe szpalty.

Pokolenie poprzednie rozpoczynało swą karierę literacką w warunkach znacznie trudniejszych. Wiemy, ile gorczy i upokorzeń zaznał Stefan Żeromski, gdy usiłował ogłosić drukiem pierwsze swoje nowele. „Kurier Codzienny” zwrócił mu znakomitą *Silaczkę*, jako utwór nieudolny i zupełnie nie nadający się do druku. To samo stało się w „Wędrowcu” z pięknym *Zapomnieniem* i innymi nowelami. Nowy tom opowieści przeraził redaktorów, przyzwyczajonych do „łatwej literatury” nowelkowej.

Blady uśmiech losu zawitał nieprędko: dzięki „stosunkom” swej narzeczonej zaczął Żeromski drukować pierwsze utwory w „Głosie” M. Bohusza i J. Popławskiego. Było to w końcu r. 1889. Nie znany dotychczas autor zyskał od razu sławę. Cała radykalna młodzież czytała z zachwytem opowiadania, w których odsłaniano własną jej duszę w sposób niezwykle przenikliwy. Niestety, poczytność i sława dawały Żeromskiemu jedynie zadowolenie moralne, gdyż redakcja „Głosu”, pozbawiona środków, nie płaciła wcale honorariów.

Przez jakiś czas ratuje się Żeromski nauczycielstwem prywatnym we dworze nałęczowskim. Za uciulane pieniądze odbywa podróż do Szwajcarii, a potem osiedla się na dłużej w Krakowie, gdzie próbuje dziennikarstwa. Drukuje w „Głosie” felietony pt. *Odgłosy krakowskie*. O popłatności tych prac świadczy list Żeromskiego do narzeczonej z dnia 12 lutego 1892 r., gdzie pisze między innymi: „Onegdaj żywiłem się tranem. Wypiłem sobie pół butelki na obiad i odrobinę na kolację... ale też miałem brzydkie sny.”

Za pośrednictwem Prusa, który od pierwszych nowel Żeromskiego darzył go wielką przyjaźnią, wszedł p. Stefan „w stosunki” z domem

nakładowym [Teodora] Paprockiego\*. Otrzymał od niego w r. 1895 za pierwszą edycję *Opowiadań* – 75 rubli. W tym samym czasie zjawiają się w pismach galicyjskich wstrząsające opowieści Żeromskiego ogłaszane pod pseudonimem Maurycego Zycha, objęte cyklem pt. *Rozdzióbią nas kruki, wrony...* Zyskały one od razu większy jeszcze rozgłos niż opowiadania. Zdawało się, że nareszcie Żeromski zrobi „dobry interes” wydawniczy. Tymczasem Zwoliński\* zapłacił mu za ten zbiór 70 guldenów, chociaż go wydał w bardzo znacznej ilości egzemplarzy.

Bywały transakcje jeszcze gorsze. Za czwartą swą książkę, pt. *Szyfowe prace*, nie otrzymał Żeromski ani grosza, gdyż firma, która ją wydała (Iwowskie Towarzystwo Wydawnicze) znalazła się w „trudnościach finansowych”.

Z takich honorariów niepodobna było, oczywiście, zabezpieczyć sobie najskromniejszego nawet utrzymania. W październiku 1892 r. otrzymuje Żeromski stanowisko pomocnika bibliotekarza w Muzeum Raperswilem. I znowu z pensją nieprawdopodobną: 50 franków na miesiąc! Pracę biblioteczną w Raperswilu opuszcza Żeromski po czterech latach, aby zająć podobne stanowisko w Bibliotece Zamojskich w Warszawie. Warunki były znacznie dogodniejsze, zwłaszcza że do posady przywiązane było bezpłatne mieszkanie. Przebył Żeromski na tym stanowisku blisko siedem lat. Wydawcy wciąż jeszcze nisko cenią twórczość p. Stefana: za *Utwory powieściowe* otrzymuje w r. 1898 od firmy Gebethner i Wolff zaledwie 300 rubli. Sytuacja zmienia się dopiero po napisaniu dwutomowych *Ludzi bezdomnych*. Ukazuje się na widowni wydawca-ideolog, Bronisław Natanson, który kupuje od Żeromskiego tę powieść za 1000 rubli. Zawodowi wydawcy przyjmują wiadomość o takiej transakcji z uśmiechem. Przekonali się wkrótce, że sceptycyzm ich był niesłuszny, bo Natanson wycofał swój kapitał z zyskiem w bardzo krótkim czasie. Już po dwóch miesiącach otrzymuje Żeromski od księgarza Fiszera propozycję drugiego wydania *Ludzi bezdomnych* za... 300 rubli. Tegoż dnia zgłasza się u niego Józef Wolff i wypłaca mu za to drugie wydanie taką samą sumę, jaką Natanson dał mu za pierwsze, tj. tysiąc rubli.

---

\* w Warszawie

\* Krakowskie wydawnictwo L. Zwoliński i Sp.

Od tej pory mógł już inaczej rozmawiać z księgarzami. Płacono mu wprawdzie honoraria niezbyt wysokie, ale dalekie od dawnego wyzysku.

Jan Lorentowicz: *Spojrzenie wstecz*, jw.

### *Wśród strajkujących robotników*

Wróciłam do Warszawy w czasie rewolucji w jesieni 1905 r. Były to dnie listopadowe. Robotnicy w całym państwie rosyjskim, a więc i w Polsce pod zaborem rosyjskim, postanowili zmusić rząd carski do nadania obywatelom swobód politycznych – zmusić swoją siłą. W powszechnej zmwocie przerwali całą pracę i w strajku trwali póty, dopóki rząd carski nie ustąpił i pewnych praw politycznych nie dał.

Koleje, poczty, telegrafy, fabryki stały. Był to wielki strajk powszechny dla wywalczenia praw politycznych dla wszystkich. Strajk, któremu wszyscy w Polsce sprzyjali, pragnęli jego zwycięstwa, ale ofiarę największą ponosiła klasa robotnicza – strajkiem tym narażając się na głodowe dni i tygodnie. Komitet Obywatelski w Warszawie zbierał pieniądze i pomoc dla strajkujących. Przedstawiciele robotników rozdzielali i roznosili je głodującym towarzyszom. Pracowałam w Komitecie Obywatelskim jako delegatka związków robotniczych. Razem z Bolesławem Prusem i kilku innymi obywatelami wydawałam robotniczemu delegatom zapomogi dla dzielnic. Oni roznosili te zapomogi do mieszkań podług spisów składanych przez różne grupy i stowarzyszenia robotnicze. W słotny dzień listopadowy wśród delegatów robotniczych zjawiał się w biurze strajkowym Komitetu Obywatelskiego Stefan Żeromski – miał z jednym z robotników roznosić zapomogi w dzielnicy mokotowskiej. Mimo zakazu lekarza, mimo męczącego suchotniczego kaszlu – w zimny dzień jesienny listopada przez błotne wówczas uliczki Mokotowa chodził po ciemnych, wilgotnych izbach robotniczych, po suterrenach, poddaszach i przybudówkach podmiejskich. On, pracownik pióra, nosił zapomogę strajkową walczącym o swobodę pracownikom młotów i kielni. O zdrowie swoje nie pytał. Może gdzie w dzielnicy mokotowskiej żyje jeszcze i pamięta tę wędrówkę robotnik, pod którego opiekę oddałam wtedy, pełna niepokoju, nie dbającego o siebie wielkiego pisarza.

## Uczta

Byłem pierwszym poetą mego pokolenia, który poznał żywego Żeromskiego, mówię: „żywego”, chcąc tym podkreślić cudowność owego wypadku, o którym nikt z nas wtedy nie marzył, że może mu się przydarzyć, a który nastąpił jesienią 1919 – u legendarnego Karpowicza w Zakopanem\*. Nie pamiętam już tego dobrze, ale zdaje mi się, że przedstawiła mnie państwu Żeromskim – pani Orkanowa, żona poety. Nie umiałbym też powiedzieć, jak to się stało, że to, co wydawało mi się wtedy rzeczą najbardziej nieprawdopodobną – to znaczy, już nie poznanie Żeromskiego, ale znajomość z nim, nawet zażyłość – spadło na mnie jako coś tak naturalnego, jakby to chodziło o każdego innego pana, który siadywał po południu u Karpowicza. Faktem jest przecież, że kiedy wyjeżdżałem z Zakopanego, było postanowione i przyrzeczone, że ta znajomość będzie dalej praktykowana w Warszawie, gdzie państwo Żeromscy mieli powrócić na stałe po latach przymusowego pobytu poza Królestwem, i że zostanę wówczas powiadomiony o ich powrocie. Opowiadanie o tym wyróżnieniu losu, jakim była znajomość moja z Żeromskim, stanowiło największą sensację moich rozmów z przyjaciółmi po przyjeździe do Warszawy i naturalnie nie było mowy o tym, abym długo sam miał cieszyć się tym szczęściem. Tak zwana grupa „Skamandra” – naówczas w rosnącym blasku zdobywanej sławy, ale zarazem w ogniu wszelkich na nas i przez nas podejmowanych ataków – postanowiła, że pierwsza powita największego pisarza polskiego powracającego do wolnej stolicy. Później okazało się, że o powitaniu Żeromskiego nie pomyślał nikt poza nami, przede wszystkim z powodu szalejącego wtedy rodzimego bałaganu, ale ponadto dlatego, że stał on tak wysoko w wyobrażeniu współczesnych, iż każdy mimo woli myślał, że nie ma do niego dostępu, że otoczony będzie od razu przez jakichś bliżej nikomu nie znanych, szczęśliwie zaprzyjaźnionych z nim ludzi, że oczywiście ma zapewnione mieszkanie i że prawdopodobnie wszelkie zamiary takich światowości jak bankiety i uroczyste toasty byłyby najgorzej przez niego przyjęte. My, byliśmy wtenczas bardzo młodzi, przyzwyczajeni robić właśnie rzeczy, których nikt wtedy nie robił, nad wszelkimi innymi względami góro-

---

\* znana restauracja zakopiańska

wało w nas dziecinne prawie pragnienie zbliżenia się do niedostępnego twórcy uwielbianych książek. W rezultacie więc zamyśliwszy to, co nikomu innemu nie przyszło do głowy, nie tylko sami wyrządziliśmy sobie niebywałą przyjemność, ale jak się okazało, daliśmy też Żeromskiemu chwile bardzo mu wtedy potrzebnej radości i niezbędnego poczucia, że jest wciąż mistrzem i przewodnikiem młodych.

Po paru latach dopiero, kiedy Żeromski po przebyciu ciężkiej choroby – na krótko przed tą, która go miała zabrać – odpoczywał w swoim konstancińskim dworku, opowiadała komuś pani Hania Żeromska, jaką mu sprawiła radość ofiarowując mu na pamiątkę jego ozdrowienia złote pióro. I dodała przy tym:

– Wie pan, że to był drugi w ogóle prezent, jaki kiedykolwiek Stefan otrzymał. Pierwszy, najpierwszy w życiu, to był ten tom „Skamandra”, który mu młodzi poci ofiarowali po naszym przyjeździe do Warszawy. A ten ich obiad był to pierwszy i jedyny wydany na jego cześć bankiet.

Odbył się ów bankiet w gabinecie „Pod Bachusem”, gdzieśmy wtenczas stale nie bywali, będąc związani ze skromniejszą w cenach, ale za to wypełnioną zawsze przez wielką cyganerię, z Makuszyńskim na czele, „Astorią”.

Byliśmy w komplecie wszyscy skamandryci. Pamiętam doskonale, że przeznaczwszy stosunkowo znaczną, jak na nasze ówczesne kieszenie, ilość marek polskich jako bankietową składkę, stwierdziliśmy z przerażeniem przy zakończeniu obiadu, że wskutek obojętności, z jaką, przejęci uroczystą atmosferą, znosiliśmy bezustanne a podstępne dolewanie przez kelnerów wina – nie możemy zapłacić przedstawionego nam rachunku. Brakującą sumę pokrył od razu bez szemrania, zrezygnowany od lat i przygotowany zawsze w takich okazjach na najgorsze, wydawca Żeromskiego, Jakub Mortkowicz.

Żeromski przyjął nasze zaproszenie z tą właśnie nigdy nie opuszczającą go powagą; jeśli my sami, choć obca nam była przesadna skromność, nie lubiliśmy przez wyostrzone poczucie śmieszności myśleć o sobie poważnie – to już sam sposób, w jaki Żeromski przywitał się z nami, jego wzięcie się w czasie tego bankietu i wreszcie jego mowa jakby nadały nam tę powagę, jakby ją z nas wydobyły i powiedziały nam, że jesteśmy nie tylko beniaminkami upojonej wolnością Warszawy, ale że mamy

być następcami tych, którzy nieraz wśród cierpień i walki pełnili przed nami służbę polskiego pisarza. Kiedy Żeromski podniósł się, aby podziękować za witające go przemówienia, ogarnęło nas wszystkich wzruszenie takie, jakby nagle hetman Żółkiewski powrócił z tamtego świata i miał się do nas odezwać. Ze spuszczoną, jak zawsze, kiedy przemawiał, głową, jakby zarazem wstydząc się swej szczerości i bojąc się jej przeszkodzić – powiedział od razu parę zdań, które zdawały się być wyjęte z jego książek, zdań pełnych wstrząsającego liryzmu i wykluczającej wszelką poufalość godności. Zwierzył się nam, że kiedy przed niedawnym czasem dotknął go największy cios jego życia – śmierć ukochanego syna, po której długo nie mógł w żadnych podejmowanych pracach odnaleźć poczucia wagi swych wysiłków i sensu życia – wpadł mu w rękę świeżo wyszły z druku, przysłany mu z Warszawy zbiór wierszy młodego poety, właśnie jednego z nas obecnych w tej sali. Te wiersze, przeczytane jednym tchem, pozwoliły mu po raz pierwszy zapomnieć o jego żalobie, połączyły go znów z tą młodością, której pozbawiła go śmierć Adasia, przypomniały mu, o czym zapomniał przybity nieszczęściem, że są, że będą zawsze młodzi, którzy walczą, którzy czują i tworzą rzeczy nowe. Było tylko jeszcze potem parę zdań tej mowy – ale wszystkie padły w nasze milczenie jak jakieś ważne objawienie, bo człowiek, który je wypowiadał, mówił zawsze tylko prawdę i tylko to, co czuł głęboko. Później Żeromski – z powagą władcy udzielającego najwyższego odznaczenia – wznosił toast na cześć poezji i w tej chwili poczuliśmy wszyscy, że weszliśmy naprawdę i uroczyście do literatury.

Jan Lechoń: *Żeromski*, „Wiadomości” 1951. (Cyt. wg *Wspomnień o Stefanie Żeromskim*, Warszawa 1961).

### *Pierwsza nagroda państwowa*

W kilka tygodni później odbyło się posiedzenie Komitetu naszej literackiej nagrody państwowej, po raz pierwszy w r. 1924 przyznawanej. Miałem zaszczyt przewodniczyć w tym Komitecie. Przyznaliśmy jednoznacznie nagrodę Żeromskiemu za *Wiatr od morza*, jako utwór najbardziej odpowiadający pojęciu nagrody państwowej. Na moją propozycję zredagowaliśmy rodzaj adresu do Żeromskiego z tekstem naszego orzecz-

nia i z wyrazami hołdu dla Wielkiego Pisarza. Późnym wieczorem zawiozłem Żeromskiemu ten adres do mieszkania na Zamku.

Przeczytał go w milczeniu i – pobladł. Wielkie jak groch łzy spadać poczęły po zmęczonych i schorzałych policzkach. Nie powiedział ani słowa. Wstał, porwał mnie w ramiona i bardzo głęboko uściśnął...

Pierwsza nagroda państwowa była drobną rekompensatą za krzywdę sztokholmską...

Jan Lorentowicz: *Spojrzenie wstecz*, jw.

### *Przed premierą «Przepióreczki»*

W roku 1924, jako młodzianka, prawie początkująca aktorka, zostałam zaangażowana przez dyrektora Osterwę do Teatru Narodowego w Warszawie. Dano mi rolę Doroty Smugoniowej w sztuce Stefana Żeromskiego *Uciekla mi przepióreczka...*

Stefana Żeromskiego poznałam jeszcze przed rozpoczęciem prób. Zawiózł mnie Juliusz Osterwa do Konstancina, do pp. Żeromskich, aby autorowi pokazać przyszłą Smugoniową. Pobyt w Konstancinie przeleciał jak sen, sen lekki i radosny. Żeromski okazał się człowiekiem tak prostym i bezpośrednim, że miało się wrażenie, jak gdyby znało się go dawno dobrze. Okazał mi tyle sympatii i serca, tyle zainteresowania moimi pierwszymi krokami w Warszawie, że nabrałam otuchy i poczułam się trochę pewniejsza. Byłam mu za to głęboko wdzięczna, gdyż trwałam wciąż jak gdyby w oszołomieniu – nowe miasto, duży teatr, tylu znakomych kolegów, a do tego jeszcze *Przepióreczka* i Stefan Żeromski.

We wrześniu rozpoczęliśmy próby. Obsada była bardzo mocna i dobra, składająca się z samych starszych kolegów, znanych aktorów, a więc Ludwik Solski, Stefan Jaracz, Juliusz Osterwa, Tekla Trapszo, Kotarbiński, Śliwicki, Zieliński, Bednarczyk, Chmieliński, Różański, Staszkowski – no, i moja skromna osoba. Reżyserował Osterwa, a potem, gdyśmy już próby robili na scenie, montował sztukę na prośbę Osterwy – Kazimierz Kamiński, gdyż Osterwa grając główną rolę nie mógł być jednocześnie na widowni jako reżyser kierujący całością sztuki.

Początkowo nastrój na próbach był dość oficjalny i chłodnawy, czuło się jak gdyby niedowierzanie i zdania o sztuce były bardzo różne. Chwa-

lono jako dzieło literackie, jako sztukę sceniczną – krytykowano. Zainteresowanie wśród aktorów, nawet nie grających w tej sztuce, było ogromne. Mieczysław Frenkiel również przeczytał sztukę i wyraził się: „To bardzo piękne, ale nie na scenę – to jest literatura-papier...” – potem zresztą kajał się mistrz Frenkiel i kilkakrotnie był na przedstawieniu *Przepióreczki*.

Do nastroju ogólnego przyczyniało się też to, że wszyscy znakomici aktorzy, którzy grali w *Przepióreczce* – z wyjątkiem Osterwy i Jaracza – grali role nie dające pola do popisu i przyjęli je tylko ze względu na osobę Żeromskiego. Osterwa jako reżyser umiał z właściwym sobie czarem tak pomówić z każdym, że po chwili każdy czuł i wierzył, że na nim tylko sztuka i powodzenie jej się opiera. Jednym słowem, Osterwa już podczas pierwszych prób był tym Przelęckiem, który zachęca, rozgrzewa i skłania do działania swych kolegów, w sztuce profesorów, w życiu aktorów. Toteż wkrótce nastrój uległ radykalnej zmianie. Wszyscy rozgarzali się, a nawet częściowo wciągnęli się w reductową metodę pracy.

Dwie tylko osoby w tym otoczeniu były onieśmiałe i stremowane od pierwszej próby: Żeromski i ja.

Żeromski był prawie na wszystkich próbach, z wyjątkiem tych dni, gdy czuł się gorzej, już wtedy zaczynał chorować. Ze słów Żeromskiego wiem, że *Przepióreczka* była jego najukochańszym dziełem, bardzo wzięł sobie do serca niepowodzenie *Białej rękawiczki* i związane z tym zarzuty krytyków, toteż drżał o los *Przepióreczki*. Kiedyś wyraził się:

– Znowu powiedzą, że nie czuję teatru i że to nie jest sceniczne.

Na próbach był cichy, skupiony i niemal nieśmiały, w dyskusjach nawet prawie udziału nie brał, o ile się go wprost nie zapytano, tylko oczy mu się świeciły objawiając głęboką emocję i zainteresowanie.

Raz zdarzył się nawet zabawny wypadek. Osterwa, aby ożywić nieco i rozruszać starszą generację aktorską, zaprosił z Reduty na próby analityczne profesora Mieczysława Limanowskiego – człowieka o gorącym temperamencie, działającego na otoczenie jak dynamit, który umiał sprokocować do dyskusji, i to czasem bardzo gwałtownej. Tak się stało i tym razem. Podczas jednej z analitycznych prób Limanowski rozpętał burzę, rozpoczynając dyskusję nad jakimś prostym i nieskomplikowanym zdaniem. Kolejno wszyscy dali się wciągnąć i jeden przez drugiego każdy przypisywał autorowi coraz to inne tendencje, zrobił się gwałt i rwe-



tes, wszyscy zapomnieli, że jest obecny autor i że jego najlepiej byłoby zapytać. Autor, rozbawiony, siedział cichutko i obserwował. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł:

– Zapytać autora! Jaka myśl kryje się w tym zdaniu?

– Ależ tu się nic nie ukrywa – usprawiedliwiał się autor. – To należy tak rozumieć, jak napisałem!

„W ogniu pracy”, jak to określano w Reducie, Żeromski powoli oswoił się z obcym mu początkowo i tak specyficznym otoczeniem. Był bardzo wrażliwy, więc odczuwał nastrój trochę oficjalny, jaki panował na początku, i z równą wrażliwością chłonał później entuzjazm aktorów, zapal i wielką wdzięczność, jaką wszyscy czuliśmy do niego, jako do twórcy sztuki, nad którą się pracowało.

Gdy rozpoczęły się próby tzw. sytuacyjne na scenie, prowadził je – jak już wspominałam – Kazimierz Kamiński. Ustawiono ławki na scenie, urządzono szkołę przy mojej pomocy, gdyż według systemu pracy redukowej ja – jako nauczycielka w sztuce – musiałam urządzić i ozdobić moją szkołę własnymi rękami.

Ławki szkolne podziały na moich starszych kolegów zgola nieoczekiwanie: odmłodnieli – z wyjątkiem mistrza Solskiego, który jest zawsze młody – i zaczęli zupełnie po sztubacku broić i swawolić. Rej wodził mistrz Solski, pełen zawsze humoru i niesłychanych pomysłów. Przywiązywali się sznurkami do ławek, skakali przez okno dekoracji, niemal gonili się...

Wszystko to do łez rozśmieszało Żeromskiego. Widok był rzeczywiście zabawny, gdyż panowie byli leciwi, tak że Żeromski kiedyś powiedział mi:

– Pani ma szczęście grać w *Przepióreczce* z tysiącem lat...

Często słychać było pobłażliwy głos Kamińskiego:

– Chmieliński! Przestań bawić się sznurkiem.

– albo:

– Solski, Solski! Przestań gadać i siedź spokojnie!

– albo wreszcie:

– Nie kręć się, Bednarczyk! Uważajcie! Nie podpowiadać!

Podpowiadali, kto mógł, Kotarbińskiemu, który umiał świetnie rolę, ale znany był ze swego roztargnienia i czasem powtórzył to, co mu dla

kawału młodociani koledzy podpowiadali, ale że serce miał gołębie, nigdy się nie obraził...

Po kilku dniach oswoili się wszyscy z otoczeniem na scenie i zaczęła się wylaniać prawdziwa sztuka, prawdziwe przeżycia.

Żeromski płonącymi oczyma chłonał ten cud powolnych narodzin swoich postaci, swoich ludzi. I czasem szereg dni z rzędu graliśmy na próbach tak samo. Żeromski siedział sam na widowni, słuchał i oczy miał pełne łez...

Wreszcie nadszedł dzień premiery, właściwie prapremiery, w której miałam szczęście brać udział. Było to dnia 27 lutego 1925 r.

Nastrój podniosły, teatr wypełniony, miało się wrażenie jakiegoś święta. Trema ogromna. I autor, i aktorzy zdenerwowani i podnieceni. Żeromski był za kulisami i patrzył na scenę przez szparę między oknem a ścianą. W drugim akcie, podczas sceny Jaracza z Osterwą, tak się przejął, że wysunął się za daleko i część publiczności zobaczyła w oknie dekoracji twarz autora dosłownie zalaną łzami.

Potem wielkie brawa – owacje – triumf zupełny. Żeromski tego dnia był bardzo szczęśliwy.

Maria Malanowicz-Niedzielska: *Z Żeromskim na premierze „Przezióreczki”, „Dziennik Polski” 1945.*





# KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER





## «Panicz ludźmierski»

Na całym Podhalu, w całym nowotarskim powiecie z przyległościami, nie znaleźć człowieka, który by nie wiedział, gdzie leży wieś Ludźmierz. Nad Czarnym położona Dunajcem, który na jej terenie bierze w siebie wody obfitych strumieni, krajobrazowo piękna, słynie ponadto swoją tradycją, swoją przeszłością, w zapisach notowana od XIII stulecia.

Na tym to Ludźmierzu w środkowych dziesiątkach lat XIX w. „siedział” pan marszałek Przerwa-Tetmajer – marszałek, bo sprawował funkcje marszałka powiatu nowotarskiego, osobistość wielce szanowana, miłośnik sztuk pięknych i literatury, z koneksjami też literackimi i z tradycjami powstańczymi 1831 r. Jak się wywiązywał z marszałkowskich swoich zobowiązań – żadnych świadectw nie ma, należy przypuszczać, że dobrze; znacznie gorzej szło mu z gospodarką na Ludźmierzu, toteż po zwykłym w takich wypadkach „borykaniu się z losem” musiał się rozstać ze swoją majątnością ziemską i osiąść w Krakowie. Od tej pory na tych samych salonach, gdzie się o nim mówiło: „ten zacny pan marszałek”, teraz zaczęto mówić z pełnym, a do niczego nie obowiązującym współczuciem: „ten biedny pan marszałek”.

...dwóch miał synów „biedny pan marszałek”: z pierwszego małżeństwa Włodzimierz (1862–1923), znany malarz, i z drugiego poślubienia Kazimierz (1865–1940), poeta, autor *Skalnego Podhala*, ten właśnie przecz nas tu nazwany paniczem ludźmierskim.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer więcej tomów napisał prozą niż mową wiązaną, poezja jednak pozostała znakiem rozpoznawczym jego talentu, bo zarówno w liryce, jak i w powieści, a zwłaszcza w noweli, a tym bardziej w rapsodach *Skalnego Podhala*. – cokolwiek poetyczności nadaje charakter dziełu.

Do literatury wszedł jako liryk. Pierwszy zbiorek jego wierszy ukazuje się w roku 1891, kiedy więc ma lat 26, ale już przedtem w czasopiśmie krakowskich i warszawskich drukuje krótkie utwory rymowane,

które zwracają na siebie uwagę, budzą zainteresowanie. Nierzadko i zachwyty. Zachwyty – powiedzmy od razu: o swoistej podmurówce wrażeń.

Znanym bowiem i uznanym staje się za swoje poezje miłosne. Niewątpliwie pisano przed nim erotyki o takiej samej wartości artystycznej, a może i wyższej, ale nie pisano przed Tetmajerem erotyków równie śmiałych w swojej zmysłowości.

Kilka zdań powyżej napisałem, że erotyki Tetmajera uderzały w czytelnika. Nieściśle odpowiada to prawdzie. Jego erotyki uderzały przede wszystkim w rzeszę czytelniczek. Na artyzmie tej poezji miłosnej poznali się oczywiście i mężczyźni obdarzeni smakiem, ale nie mężczyźni stworzyli Tetmajerowi poczytność, o jakiej dzisiejsi poeci nawet we snach nie marzą. Oszałamiającą popularność tym utworom stworzyły oczarowane kobiety.

Do publicznej wiadomości podane rymem oświadczenie, że autor lubi, kiedy kobieta w jego „objęciach mdleje”, jak i inne manifesty seksu otaczały imię Tetmajera rozgłosem, w którym zgorszenie szczerze zraszało się z admiracją. Stwierdzano, że nie sposób zaakceptować wiersze do tego stopnia „nagością bezczelne” – i namiętnie rozciekawiano się, jak wygląda ich autor, jak się zachowuje, w jakim stopniu przypomina sobą swoją twórczość. Tetmajer jest na ustach córek i matek, pannen, wdów i mężatek. Znać go osobiście, przyjąć go u siebie na *jour fixe* \* należało do rywalizacji salonów, a jego ręką mieć napisany choćby krótki aforyzm – to już była zdobycz jakby nie z tego świata. Roje rozgorączkowanych wielbicielek stanowiły naturalne uzupełnienie osoby Tetmajera. Na przełomie stuleci wychodzące w Krakowie czasopismo humorystyczne „Liberum Veto” w jednym ze swoich numerów umieściło rysunek przedstawiający szczelny wieniec uroczych babiszonów wyraźnie zasłaniających coś czy kogoś, który się w tym natłoku znajduje, a pod rysunkiem podpis: „Zgadnijcie, gdzie jest Tetmajer.” Stan ten rzeczy znakomicie się wzmagał okolicznością, że poeta nasz nie zniechęcał do siebie wielbicielek. Przynajmniej na początku swej kariery. Po kilkunastu latach praktyki, zapytany w jakimś wywiadzie, co uważa za swą największą przyjemność, odpowie krótko: „Najszcześniejszym się czuję, gdy w letni słoneczny dzień położę się na reglach – sam.”

---

\* w stały dzień przyjęć

Poza wielbicielekmi autora byli atoli wielbiciele jego talentu. Wielbiciele i wybrane wielbicielki. Ci to, w zgodzie z krytyką zawodową, w lot spostrzegli i stwierdzili, że czy idzie o erotyki, czy o inne rodzaje liryki, to tak rzetelnie poetyckiego tonu, takich obrazów, takiej melodii dawno już nie znano w polskiej literaturze.

Kazimierz Tetmajer jako humorysta to niejako osobny rozdział w jego usposobieniu. Nigdy nie zabiegał o reputację człowieka dowcipnego, raczej wprost przeciwnie, ale w wysokim stopniu działała w nim zdolność wychwytywania tego, co śmieszne. Gdy umarła Konopnicka \*, przebywał we Włoszech; jedno z pism warszawskich, chcąc godnie uczcić pamięć poetki, zwróciło się doń o nekrolog – w drodze telegraficznej, w telegraficznym też skrócie mieszcząc i mieszając uczucie żalu z praktycznym celem depeszy, w słowach następujących: „Umarła Konopnicka, strata dla literatury niepowetowana, prosimy 200 wierszy artykułu.” Odelegrował natychmiast w tym samym stylu: „Strata naprawdę wielka, dołączam się do powszechnego żalu i po 50 kopiejek od wiersza.”

Ileć wydobyl się ze swoich melancholii i ileć zapomniał o swojej pozie powagi, zawsze wyskakiwał z niego urwisz i urwisz kazał mu nieraz zapominać o koniecznej rozwadze.

W czasach kiedy dość energicznie zabiegał o suty ożenek, zadurzyła się w nim zamozna i niepospolicie piękna panna. Dochodziło już do porozumienia; któregoś dnia po długiej wieczornej wizycie pana Kazimierza rozmarzone dziewczę poprosiło go o napisanie jakiegoś wiersza na *d o b r a n o c*. „Z przyjemnością!” Siadł i po chwili na karteczce widniał dystych \*:

*Dobranoc, cudzie kochany,  
obrót się, czym cbcesz, do ściany.*

Przeczytawszy tę impertynencję rodzice panny przecięli konkury poety. Nie mógł nie wiedzieć, czym mu grozi ten wierszyk, ale bies urwiszostwa przemógł.

Adam Grzymala-Siedlecki: *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, jw.

\* 8 X 1910 r. we Lwowie

\* dwuwiersz



### Poeta z «Wesela»

Gdy objąłem redakcję „Museionu”, rozpisując listy do wybitnych pisarzy polskich z zaproszeniem do współpracy, napisałem także list do Kazimierza Tetmajera. Ponieważ mnie uprzedzono, że to człowiek bardzo drażliwy, napisałem w tonie nadzwyczaj hołdowniczym.

Po paru dniach przychodzi jeden z moich przyjaciół i oświadcza mi, że Tetmajer szuka sekundantów, żeby mnie wyzwać na pojedynek. Z największym zdumieniem pytam, o co się mógł obrazić. Otóż pokazało się, że, pisząc do Tetmajera, przez jakieś dziwne roztargnienie zakończyłem mój list zdaniem: „Przesyłam Panu wyrazy czci, poważania i największego uznania jego wielkiego talentu.” To słowo „uznanie”, rzeczywiście nie stosowne w liście młodego redaktora do wielkiego poety, Tetmajer uznał za obrazę, lekceważenie, ironię.

Co teraz robić? nie będę się przecież strzelał z Kazimierzem Tetmajerem, którego wielbię entuzjastycznie.

Posyłam więc do niego jednego z literatów z oświadczeniem, że go chcę przeprosić, pytam się, kiedy mnie może przyjąć. Tetmajer odpowiada posłowi, że się chce ze mną pojedynkować.

Sytuacja okropna, czuję się ośmieszonym na całe życie.

Biorę na odwagę, idę sam do niego, rozumiuję bowiem, że jeśli mnie za drzwi wyrzuci, to przynajmniej będę mógł się uważać za obrażonego i niech już będzie ten pojedynek.

Pukam do pokoju hotelu, w którym mieszkał, i wchodzę bez anonsowania się. Przedstawiam mu się i powiadam:

– Może mnie pan za drzwi wyrzucić, ale musi pan wpierw wysłuchać mego usprawiedliwienia. Wiem, że postępuję wbrew kodeksowi honorowemu, ale pan jest za wielkim poetą, żebym mógł inaczej postąpić.

Tetmajer się uśmiechnął, podał mi rękę i po kilku minutach rozmowy byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Później on sam tłumaczył mi powód swojego oburzenia. Ktoś mu powiedział, fałszywie go informując, że jestem siostrzeńcem profesora Stanisława Tarnowskiego, a „Museion” jego placówką. A Tarnowski pisał wtedy o poecie: „a co by powiedział pan Tetmajer, gdyby ktoś, przeczytawszy jego poezje i przejąwszy się ideałami, podpalił kościół Mariacki”.

To wszystko dziś wydaje się bardzo dziwne. I to oburzenie profesora

literatury na lirykę tak mało rewolucyjną, jaką była poezja Tetmajera, i to załatwianie spraw literackich na placu boju z pistoletem w ręku – ale takie były czasy i tacy ludzie.

Wracam do Kazimierza Tetmajera. Świetny ten poeta, subtelny liryk admiirowany przez kobiety, z którymi lubił igrzać słowem i dowcipem, co Wyspiański podsłuchał na bronowickim weselu i uwiecznił w kapitalnych scenach z Maryną i Rachelą, był wtedy po napisaniu swego najcieńszego dzieła – *Na skalnym Podbalu*. Ale młodość jego już minęła, a sława poety lirycznego została nieco przyćmiona przez nowe gwiazdy Kasprowicza i Staffa. Był też niesłychanie drażliwy i czuły na to, co o nim mówią i piszą. Ten wielki umysł zapewne już opanowały początki choroby, manii prześladowczej, której później uległ.

To jego usposobienie było powodem nieprawdopodobnych czasem jego pretensji do ludzi i świata.

I tak w kilka tygodni po tym incydencie ze mną odwiedził go w hotelu Władysław Żeleński, znany muzyk, ojciec Boya. Żeleński, człowiek wtedy sędziwy, miał zwyczaj mówić bardzo głośno. W czasie tej wizyty i rozmowy z Tetmajerem, pogniewany na jakiegoś recenzenta, opowiadał o jego artykule i wykrzykiwał: „ten osioł, głupiec”, i inne tego rodzaju epitety pod adresem nieszczęsnego krytyka. A krzyczał tak głośno, że ludzie przechodzący ulicą przystawali i słuchali, co się dzieje w tym pokoju. Gdy stary Żeleński wyszedł, Tetmajer skombinował, że ludzie w hotelu w sąsiednich pokojach i na ulicy mogli myśleć, iż to dla niego były przeznaczone te wyzwiska. Poczul się obrażonym i poszedł do Władysława Żeleńskiego, by żądać jakiegoś zadośćuczynienia, nie zdając sobie zapewne sprawy, w jakiej formie ma być wyrażone. Ale źle trafił, bo stary artysta strasznie się rozgniewał i słowa „osioł”, „głupiec” padły tym razem pod adresem poety, który był zresztą bliskim jego krewnym.

Tetmajer, jak przeważnie wszyscy wielcy artyści, był człowiekiem o wielkiej dobroci serca i czułości w stosunku do przyjaciół. Przekonałem się o tym na sobie – gdy gniew jego na mnie minął, zaczął się martwić, że wyrządził mi krzywdę, że podejrzewał mnie niesłusznie, i nie wiedział, co zrobić, by mi to wynagrodzić. Był dla mnie serdeczny, przyjacielski i koleżeński, co naturalnie pochlebiali mi bardzo, napawało dumą i radością.

Wyszło wtedy właśnie świeżo *Na skalnym Podhalu*. Nie zostało tak przyjęte, jak na to zasługiwało. Ani krytyka, ani czytająca publiczność jeszcze się nie zorientowała, czym ją obdarzył poeta.

Oczywiście na to, by taką wizję fantastyczną, a równocześnie bardzo realistyczną i tak tatrzańską, jak granit jest tatrzański, stworzyć, musiała poetę z tym ludem, który dziś na Podhalu żyje, łączyć wspólnota krwi, zmysłów, wyobraźni, musiał tam, nie gdzie indziej, się urodzić, w Ludzimirzu, który należy do centrum góralszczyzny, gdzie na liczne odpusty Najświętszej Panny zjeżdża się całe Podhale.

Musiał rozmawiać ze starym Wojtkiem Toporem, chodzić z raubszicami\* na kozy, słuchać opowiadań starego Budza z Gronia. I musiał, jak jego Sablik – zbój, myśliwy i muzyk, przejść wszystkie pustacie, drogi błędne i straszne, „ślizgie” spiczaste kamienie, zdradne upłazy trawnic, spadziste, utrudniające zbocza, turnie ziejące przepaściami, kąty lasów przepadłe, moczary skryte w gąszczu, spady wód szumiące i koleby myśliwskie, leżące cicho i tajemnie.

Musiał pokochać spojrzenie szukające oparcia, rozciągnięcie ciała na skale, zarzut ciupagi na konar w niechcącym puścić w górę gąszczu, wrąb w pole lodowe.

Musiał być człowiekiem gór!

Świeżo po ukazaniu się *Na skalnym Podhalu* nie od razu zdano sobie sprawę, czym jest ta książka i jakie jej miejsce w historii literatury. Tetmajer nie tylko nie był zadowolony z jej przyjęcia przez krytykę i publiczność, ale bolał nad tym i skarżył się przede mną, jak człowiek głęboko nieszczęśliwy.

Nie wiem już kto i gdzie napisał, że *Na skalnym Podhalu* są to przeważnie słyszane i napisane góralskie powieści i legendy, co oburzyło Tetmajera do głębi i wytrąciło go z równowagi. Staralem mu się wytłumaczyć, że to jest taki nonsens, iż nikt na serio nie może traktować tego zarzutu. Bo trzeba chyba być pozbawionym zdrowego sensu, żeby myśleć, że góral mógł wysnuć te wizje, które mogły wyjść tylko z duszy artysty i poety, spadkobiercy romantyków. Trzeba nie mieć najmniejszego pojęcia o mowie polskiej, by nie widzieć, że gwara użyta przez Tetmajera jest literackim pomnikiem wystawionym gwarze góralskiej. Ulana jest

\* kłusownikami

z tego samego spiżu co język dzisiejszych górali, ale spiż ten wlany został w formę wyczelowaną natchnieniem artysty.

Skarżył mi się Tetmajer, że niektóre z jego powieści ze *Skalnego Podbala* są opowiadane obecnie przez chłopów jako ich własne, a słuchający ich na wycieczkach biorą to za dobrą monetę. Że mało kto ze śpiewających już wie, iż strofa „Hej, idem w las, piórko mi się migoce” nie jest pieśnią chłopską, ale początkiem jego wiersza. Perswadowałem mu, że to nie powód do smutku i rozgoryczenia, ale dumy i radości, bo w ten sposób literatura tworzy życie, jak właściwie sztuka stworzyła całą tak zwaną dziś góralszczyznę. Nie mogłem go jednak przekonać. Gniewał się, zżymał, oburzał i groził, że będzie wytaczać proces nie wiadomo komu i za co. Martwił się także, że jego pisma góralskie są tak mało czytane – choć napisał kiedyś, że go to wcale nie martwi.

I tak było rzeczywiście. Gdy koło *Chłopów* Reymonta zrobiono od razu wielki hałas, *Na skalnym Podbale* było raczej przemilczane. A przecież dzieło to przynajmniej równie godne sławy wszechpolskiej i gdyby mogło być przetłumaczone, sławy wszechświatowej. Zrobiono pocie krzywdę, a krzywdę tę jego chore, ambitne serce odczuło bardzo boleśnie.

*Genus irritabile vatum* – drażliwym jest ród poetów, mówi stare łacińskie przysłowie. Jakże często w życiu sprawdziłem słusność tej maksymy. Wielką mają radość i szczęście tworzenia, ale bywa okupione zazwyczaj zgryzotą, gdy dzieło ich już w świat poszło i staje się przedmiotem krytyki, napaści, a co najwięcej gnębi – obojętności. Sława mało cieszy, ale brak sławy bardzo boli.

Tetmajer, gdy nie gniewał się i nie obrażał, gdy zanadto nad sobą nie bolał i nie skarżył się, był człowiekiem uroczym i jak każdy artysta, miał z Bożej łaski wdzięk w obcowaniu z ludźmi i dar wymowy.

Pamiętam, gdy po naszym pojednaniu spędziliśmy wieczór przy kielichu, ja mu opowiadałem, jak jest u mnie na wsi. Jakie tam dymy mgieł sinobłękitnych włóczą się po pagórkach skąpanych w tęczy, jak łany zbóż aż brzęczą kołysząc ciężkie kłosa urodzajnej ziemi proszowskiej. A on, podniecony moją opowieścią, zaczął malować swoją wieś rodzinną.

– U nas w Ludzimierzu było ślicznie – zaczął swoje wspomnienia. Słyszę jego głos rozrzewniony, widzę jego oczy wpatrzone w kraj

dzieciństwa, w ciszę „zaszkloną w powietrzu”, w słońce iskrzące na zlodowaciałych, zmrożonych Tatrach.

„W Ludzimierzu było ślicznie...”

Wiercie mi, trzeba nie tylko czytać poetów, trzeba żyć z nimi, słuchać, jak gwarzą, gawędzą, rozczulają się pięknem, które jest w ich duszy, jak w złotym cyborium\* przechowane, a magia wspomnień wynosi je na światło. Poezji żywego, mówionego słowa nie zgłusza szelest papieru, dlatego czasem wolę słuchać opowiadań poety niż czytać najpiękniejsze jego książki.

Ludwik Hieronim Morstin: *Spotkania z ludźmi*, Kraków 1957.

### *Tragedia Tetmajera*

O tragedię Kazimierza Tetmajera otaarłam się parokrotnie. Zapewne, że to szczegóły raczej drobne i widziane z daleka, zetknięcie się jednak z nimi wywarło na mnie w swoim czasie wrażenie naprawdę wielkie, więcej nawet – w paru wypadkach – wstrząsające.

Kiedy „poznałam” Tetmajera – miałam szesnaście lat. Piszę to w cudzysłowie, bo czyż można nazwać na serio „poznaniem” parokrotne zetknięcie się podlotka z poetą znajdującym się w pełnym rozkwicie swej sławy?

Było to w Zakopanem, w ślicznej willi „Schodnica”, położonej na stoku Gubałówki i należącej wówczas do stryja mego, znanego lekarza, dr Teodora Dunina.

Była w „Schodnicy” wielka, jak ogromny, głęboki pokój, weranda. Z tej werandy widziało się w dole – wąwóz zakopiańskiej doliny, szeroki, olbrzymi płat zielonych, rozłożystych łąk, a potem daleki łańcuch gór, precudną panoramę Tatr z Giewontem, który wznosił się tuż, tuż – naprzeciwko naszych oczu. W pogodny, jasny dzień podchodziły te góry tak jakoś blisko, że miało się je dosłownie przed samymi oczyma; w dniu pochmurne i słotne cofały się, oddalały, szarzały, zasnuwane mgłą, dalekie, nieprzystępne i obce. Było na tej werandzie bardzo cicho. Tam, pod nami, w dole zostawał cały zgiełk zakopiańskiego życia. Tutaj był

\* Puszka, w której przechowuje się hostie.

tylko bezmiar powietrza, toń nicogarniona nieba, czuby drzew rosnących poniżej, dachy przytulonych do siebie chat na Sobczakówce.

Na tej werandzie siadywał czasem Tetmajer. Pamiętam dobrze jego dość wysoką, elegancką postawę, doskonały ubiór, przystojną twarz z pięknym ciemnym wąsem, jego pewną siebie uprzejmość, towarzyską gładkość i – zamyślane oczy. Pamiętam, jak pewnego razu, patrząc w milczeniu na omgloną dalekość gór, przesłonił oczy ładną, dobrze utrzymaną dłońią. Wydało mi się to wtedy trochę sztuczne, zakrawało na pozę. Bo przecież obok, na tej samej szerokiej ławie pod ścianą werandy, siedział Jan Kasprowicz i też patrzył na góry: zwyczajnie, po prostu, z widocznym, nieukrywany zachwytem.

Był niski i krępy – jak go sobie wtedy określiłam: „jak mocny pień” – miał twarz dużą i posępną, z głęboką bruzdą między wydatnymi brwiami; w obejściu był szorstki, małowówny. Wiało od niego stężoną mocą. Ci dwaj znakomici poeci, obaj wspaniali piewcy Tatr, siedzący na jednej ławie i patrzący na największe swoje ukochanie – góry, wydawali mi się przedstawicielami dwóch niepodobnych do siebie światów. Z pewnym dziś wstydem wyznam, że wtedy wolałam Tetmajera. Nie dorosłam jeszcze wówczas ani do Kasprowiczowskiej potęgi, ani do Kasprowiczowskiej prostoty...

Mogłam snuć sobie wówczas dużo myśli i spostrzeżeń, robić dużo swych podlotkowskich uwag, bo „znajomość” nasza ograniczała się raczej do patrzenia: trudno nazwać rozmową kilka uprzejmych czy żartobliwych słów, z którymi się do nas, młodzieży, zwracał jeden czy drugi poeta. W każdym razie i to było dla mnie bardzo wiele. Bardzo też czułam się dumna, gdy zaraz następnej jesieni czy zimy Tetmajer, spotkawszy się ze mną w przejściu w Filharmonii, przywitał mnie z uśmiechem i podając mi rękę powiedział:

– Co widzę? Zakopiańska panienka z warkoczami! Jakże mi pani miło przypomniała „Schodnicę”!

Przelotna „znajomość” z Tetmajerem żywo wstała w mojej pamięci, gdy po jakichś dwóch czy trzech latach na wielkim publicznym balu w pięknej sali Techników poznałam starszą od siebie o dobrych kilka lat, a więc zapewne dwudziestocztero- czy dwudziestopięcioletnią, bardzo piękną, świetnie ubraną pannę. Była zaręczona z Tetmajerem, nosiła się sztywno i dumnie i jakoś po królewsku opierała na smukłej, białej

jak alabaster szyi swoją jasnowłosą, najmodniej uczesaną głowę. „Narzeczona Tetmajera” budziła ogólne zainteresowanie; panny zazdrościły jej narzeczonego, tak znakomitego poety; młodszy i starsi nieco panowie – dojrżeli do małżeństwa „epuzerzy” – ze swej strony zazdrościli pocie tak urodziwej, efektownej, no, i tak zamożnej panny...

Zaszły jednak nieprzewidziane okoliczności. Okazało się, że Tetmajer miał nieślubnego synka, którego bardzo kochał i z którym rozstać się nie chciał. Gdy doszło do wyjaśnień, panna, oburzona, zerwała narzeczeństwo. Nie sądzę, aby rozchwianie się tego małżeństwa było dla Tetmajera przejściem bardzo głębokim, a tym bardziej – tragicznym. Natomiast wielką tragedią jego życia stał się ten syn właśnie, to małe ukochane chłopiętko, przez które rozbiły się ambitne matrymonialne plany poety. Nie znałam bliżej tych spraw, słyszałam jednak, że chłopiec wyrósł na młodzieńca wykolejonego, pełnego nałogów, wyzyskującego ojca. Mówiono nawet, że nie był zupełnie normalny. Słyszałam, że Tetmajer – mimo wszystko – kochał go najgorętszą ojcowską miłością. Usłyszałam potem, że syn Tetmajera popełnił samobójstwo. Kiedy to było – dobrze nie pamiętam, w każdym razie w okresie międzywojennego dwudziestolecia. Płynęły lata. Mijał czas. I oto znowu, nieoczekiwanie, zdarzyły mi się takie oto, przelotne, ale jakże pamiętne „spotkania”.

Jest okres międzywojennego dwudziestolecia, jego pierwsze mniej więcej lata. Załatwiam w Kasie Literackiej na Nowym Świecie jakieś swoje literacko-życiowe sprawy. Czekam w poczekalni, bo prezes jest w tej chwili zajęty. Przeglądam leżące na stole gazety, gdy nagle zza zamkniętych drzwi gabinetu dobiegać mnie zaczynają podniesione, jakby spicrające się głosy. Jakaś sprzeczką, jakieś wymówki, jakiś nieopanywany, rozdrażniony, jakby histeryczny krzyk jednego z mówiących.

I nagle otwierają się gwałtownie szarpnięte drzwi. Wybiega z nich ktoś, kogo na razie nie poznaję. Rozwiane połę zniszczonego jasnego płaszczka, przejęta gniewem, oburzeniem i desperacją, zmięta, znana mi chyba twarz, w obramowaniu nieporządnego, szpakowatego zarostu. Chwycijnym krokiem przbiega poczekalnię, wpada do przedpokoju. Idzie za nim śpiesznie najwidoczniej zdenerwowany prezes.

– Ależ kolego! – woła.

A ze schodów już dobiega histeryczny, nabrzmiały rozpaczą i jakby słochem krzyk:

– Pięćdziesiąt złotych! Pięćdziesiąt złotych! jak żebrakowi! Hańba! A ja... ja... ja jestem przecież Tetmajerem!

Dowiedziałam się potem, że chodziło o comiesięczną bezzwrotną zapomogę przyznaną Tetmajerowi, której Kasa Literacka, mająca bardzo szczupłe fundusze, nie mogła powiększyć. Tetmajer był w wielkiej biedzie, rozpoczynał się też okres – już dośmiertny – jego nienormalności.

A oto spotkanie drugie.

Jestem na Powązkach; idę ku swoim grobom, skręcając od czwartej bramy w prawą stronę alejką biegnącą wzdłuż muru. Pełno tam pod murem mogił, pełno pomników, drzew, zieleni, kwiatów. Staję nagle, zaskoczona nieoczekiwanym widokiem. Na mogile, na której leży ogromny, ciężki, nieociosany głaz, klęczy jakiś mężczyzna. Rękoma kurczowo obejmuje kamień. Siwa, zmierzwiiona, łysawa głowa – przytulona do tego kamienia. Ramiona kurczą się i drgają w głębokim, rozpaczliwym szlochu. Ubranie zmięte, wyszarzałe, na trawę rzucona laska, raczej kij sękaty. Tetmajer?

Cichutko, jak najciszej, aby go nie sploszyć, aby nie widział, że ktoś obcy podpatrzył jego ból, cofnęłam się i skręciłam w najbliższą alejkę.

Kiedy wracałam potem tą samą drogą, nie było go już na mogile. Podeszłam. Wymięta trawa, wrośnięty w nią olbrzymi, mchem gdzieniegdzie porosły głaz. Na głazie wyryte słowa: „Nieszczęsnemu synowi ten kamień położył ojciec.”

A potem – nie pamiętam już, który to był rok – przypomniano sobie o Tetmajerze. Zorganizowano obchód 50-lecia jego twórczości. Tetmajer był już wówczas człowiekiem na pół tylko normalnym. A przy tym – ślepi.

Był zupełnie samotny, opuszczony, niemal bez środków do życia. Wiem, że któryś z właścicieli hotelu czy to Europejskiego, czy może raczej Bristolu, ofiarował mu dożywotnio pokój i utrzymanie. Ale Tetmajer, który cierpiał na manię prześladowczą i zewsząd obawiał się zamachu na swoje życie, nic tam prawie nie jadał. Bał się. Chodził po mieście, wystukując sobie drogę kijem, prawie obdarty, zarosnięty, brudny. Widywałam go czasem na ulicy i patrzyłam ze zgrozą. Cóż za straszna, samotna, rozpaczliwa w tej chorobie i opuszczeniu starość! Ścisnęło mi się serce.

Dość często spotykał się z Tetmajerem mój brat. Tetmajer znał go



jeszcze z dawnych zakopiańskich czasów jako młodziutkiego chłopaczka i zachował dla niego specjalny sentyment. Spotykali się potem w Krakowie, a teraz – Tetmajer, nabrawszy do Mietka jakiegoś wyjątkowego zaufania, w nim szukał oparcia i pomocy. Udawało się czasem Mietkowi nakłonić go do zjedzenia czegoś gorącego. Szli wtedy do małej restauracyjki, gdzieś niedaleko Szpitalnej, nie pamiętam, czy przy ulicy Zgoda, czy Przeskok, Mietek zamawiał obiad i musiał sam skosztować każdej potrawy, zanim Tetmajer zdecydował się na jedzenie. Odprowadzał go potem „do domu”, a sam przychodził z takich spotkań zupełnie rozstrojony.

Nie wiem, jak odbywał się obchód jubileuszowy Tetmajera, silnie jednak zapisał się w mej pamięci mój w nim pośredni i bardzo niefortunny udział.

W gimnazjum, w którym pracowałam jako polonistka, na lekcjach literatury postanowiłam w tym jubileuszowym okresie mówić o Tetmajerze. Czytałam uczennicom jego wiersze, urywki ze *Skalnego Podbala*, pokazywałam fotografię portretu pędzla bodajże Wyczółkowskiego, mówiłam o obecnej doli poety. Dziewczęta przejęły się. Zapragnęły wyrazić mu szczerzy zachwyt dla jego poezji, dowieść, że nie jest zapomniany, że one – młodzież – znają jego dzieła... Przecież chyba zrobią mu tym choćby małą przyjemność? A może – może – uda im się rozdmuchać w jego sercu drobnutką choćby iskierkę radości? Postanowiły pójść do Tetmajera w sporej gromadce, z wiązanką kwiatów. Omówiliśmy, jak się mają zachować, co i jak mówić. Pomogłam im w wyborze kwiatów i puściłam je same, widziałam bowiem, że nie bardzo mają ochotę iść „pod opieką”.

W niespełna godzinę – zjawiły się u mnie. Wszystkie były zdenerwowane, rozstrojone, jakby czymś zrozpaczone. Któraś płakała. Opowiadały gorączkowo, jedna przez drugą.

Pokazano im drzwi pokoju Tetmajera. Zastukały. Weszły. Stary, siwy, zarosnięty człowiek zerwał się z krzesła i cofnął za nie. Chwycił poręcz w obie ręce, jakby się chciał tym krzesłem bronić.

– Czego chcecie? – zapytał ostro.

Jedna z nich, z kwiatami w ręku, wysunęła się. Zaczęła coś mówić, ale była taka zdetonowana, że tylko bąkała coś... że młodzież, że kochają jego wiersze... że to pięćdziesiąt lat... że chciały... że te kwiaty...

– Wyjść! wyjść! – krzyknął jakimś strasznym, naderwanym głosem poeta. – Wyjść! Wszystko kłamstwo! Nie potrzeba mi waszej pamięci! Ha! ha! młodzież ma pamiętać o umarłym... o umarłym pocie! Wyjść! Wyjść!

– Rzuciłyśmy kwiaty na stół i uciekłyśmy... Taki był straszny.

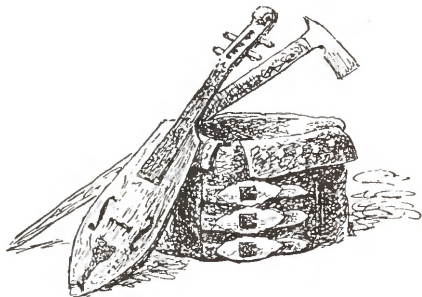
– Jeszcze mi teraz nogi drżą – mówiła któraś – on był nie tylko straszny, on był tragiczny!

– Nie mogę... nie mogę tego znieść... – szlochała ta, która weszła już płacząc. – Żeby taki poeta... Tetmajer... i taki opuszczony... taki pół-przytomny... taka straszna ruina!...

– To ma być ten sam, którego fotografię pokazywała nam pani? To chyba niemożliwe. I... proszę pani... on zdaje się prawie wcale nie widzi!... – zrozpaczonym głosem wołała inna. Otoczyły mnie kołem, rozstrojone, zdesperowane, zupełnie wytracone z równowagi. Płakały już teraz wszystkie – ze zdenerwowania, z przestrawienia, ze współczucia, ze strasznego żalu.

Płakałam razem z nimi.

Helena Duninówna: *Ci, których znalazłam*, jw.





# WŁADYSŁAW ST. REYMONT





## *Droga do «Komediantki»*

Józef Rejment, organista przy kościele parafialnym, a i główny kancelista (jaki to był kaligraf!) w urzędzie stanu cywilnego w Tuszynie, wśród licznych swoich dzieci miał też jednego z najmłodszych, syna Staszka (imię Władysław przybrał autor *Chłopów* dopiero jako pisarz, zmieniając zarazem Rejmenta na Reymonta), słynnego na całe miasteczko drapichrusta i nieuka. Żadnym sposobem nie mogąc go przymusić do nauki szkolnej, stary Rejment skorzystał z okoliczności, że najstarszą swą córkę wydał za mąż za Konstantego Jakimowicza, majstra krawieckiego w Warszawie – i wysłał zakalę rodu, dwunastoletniego wiedzy wroga, do zięcia. Tam to, u swego szwagra, przyszły laureat Nobla terminował w kunszcie krawieckim. Pan Jakimowicz był nieuleczalnym teatromanem. Dobrze sprawujący się terminatorzy otrzymywali odeń w sobotę gratyfikację w wysokości czterdziestu groszy, by za nie nabyć bilet do teatru – i nazajutrz, przy niedzieli, opowiedzieć szefowi treść słyszanej sztuki. Takim trybem poznał też teatr i terminator Rejment. Byłoby to może już dość dla tej niezwykle pobudliwej natury, ale do oglądania teatru z paradyzu przyłączyła się dawka jeszcze silniejsza: państwo Jakimowiczowie raz po raz dawali w swym mieszkaniu spektakle amatorskie. Nasz Rejment, dopuszczony do nich w charakterze może maszynisty podnoszącego kurtynę, może pomocnika perukarza, zachłysnął się aktorstwem i chociaż – po licznych burzach i buntach – dokończył terminatorstwa i za dzieło uszycia fraka uznany był uroczyście za czeladnika krawieckiego, to jednak nazajutrz po egzaminie cechowym zemknął do któregoś z wędrownych teatrów, by tam grać pod pseudonimem Urbańskiego. Ciągnęło się to z przerwami, w trudach, w nędzy, w niepowodzeniach artystycznych, przez dobre sześć, siedem lat, zanim pod zapalę nie zaczął się nareszcie podszywać krytycyzm i ... autokrytycyzm. Z krytycyzmu wyrosła *Komediantka*...

## *Na paryskim bruku*

W niewielkiej, zabrudzonej sali paryskiej Szkoły Medycznej odbywała się skromna uroczystość „obrony” tezy doktorskiej p. Marii Sulickiej. Na uroczystość podobną przybywa zazwyczaj grono kolegów i przyjaciół doktoranta lub doktorantki. Śród obecnych znalazł się przypadkiem znany warszawski lekarz dr Józef Drzewiecki, powracający z londyńskiego kongresu homeopatów\*. W tyle za nim, na amfiteatralnie podwyższonej ławie, siedział osamotniony młodzieniec o wyglądzie dosyć osobliwym. Był błydy i zalekniiony, miał długie, obcięte pod prostym kątem włosy i połykiwał wysokimi aż do kolan cholewami. W Paryżu, gdzie przepływają nieustannie fale cudzoziemców, nikt nie zwraca uwagi na szczegóły ubrania. Domyślałem się, że cholewiasty nieznajomy zabląkał się do tej sali z ciekawości. Tegoż dnia pod wieczór p. Sulicka podejmowała swych gości tezewych czarną kawą. Z dała od innych pod ścianą stał w milczeniu młodzieniec w butach z cholewami.

Zaintrygowany, zapytałem świeżo upieczonej doktorki, kim jest ów tajemniczy pan.

– Młody literat. Przyjechał z Drzewieckim. Nazywa się Reymont.

– Reymont?...

Wiedziałem o jego talencie, więc zaczęłem od razu lękliwego gościa, wyprowadziłem go na balkon, obsypałem komplementami za nowele: *Śmierć* i *Franek*, które niedawno czytałem. Reymont był wzruszony. Rozgadał się szybko. Poprawiał wciąż niesforną czuprynę, mówił z zapalem o swoich planach najbliższych. Zaprosiłem go nazajutrz na obiad i pokazałem mu Paryż. Dr Drzewiecki o swoim pupilu podróżnym mało pamiętał. Zabrał Reymonta do Londynu na własny koszt, ale zostawił go na bruku paryskim bez grosza. Postój w Paryżu trwał zaledwie kilka dni. Reymont pożerał oczyma dziwy wielkiej stolicy i rzucał kiedy niekiedy krótkie słowa zachwyty: „Psiakrew!”, albo: „Cho-lera!” Przy rozstaniu dał mi z żarem obietnicę:

– Ja tu niezadługo przyjadę!...

Przyjechał dopiero w końcu listopada 1896 r. Stał u mnie i prze-

---

\* Zwolennicy metody podawania pacjentom minimalnych dawek substancji, które w większych ilościach wywołują właśnie zwalczane objawy chorobowe.

mieszkaliśmy razem lat kilka. W długich rozmowach z towarzyszem codziennym stwierdziłem od razu, że mam do czynienia z człowiekiem bez żadnego wykształcenia. Ogromny talent pchnął go na fale życia i Reymont, niby gąbka, wsysał chciwie wszystko, co słyszał około siebie. Skromny podróżnik sprzed lat dwóch zmienił się do gruntu. Był upojony powodzeniem *Pielgrzymki do Jasnej Góry*, *Komediantki*, *Fermentów* i *Spotkania*. Warszawski świat literacki znał na wylot i wygłaszał o nim zdania bezwzględne. O swoich personaliach mówił często i za każdym razem inaczej. Najczęściej powtarzała się wersja, że „po czasach szkolnych” zaprzęgnięto go do gospodarki rolnej, ale tęsknota za swobodą kazała mu uciec z domu i włączyć się z jakąś grupą aktorską. Gdy mu dokuczyla nędza, przyjmuje posadę na kolei, skąd znów ucieka do teatru, a potem znów dostaje miejsce dozorca ułamka toru kolejowego z pensją dwunastu rubli miesięcznie. Wówczas to pisał podobno ołówkiem, w rowie na kamieniu lub na trawie, pierwsze swe utwory. Wreszcie poszedł szukać szczęścia literackiego w Warszawie.

Okazało się dopiero po śmierci Reymonta, że wersja ta była nieścisła. Podejrzewałem w niej poważne luki. Zaintrygowało mnie np., że Reymont znakomicie przerabiał i reperował sobie własne ubrania. Gdy go pytałem, gdzie się tej sztuki nauczył, odpowiedział:

– W teatrze. Tam trzeba było wszystko umieć.

Tajemnicę odkrył dopiero przed kilku laty A. G. Siedlecki, który odnalazł w warszawskim cechu krawieckim dokument świadczący, że Reymont został tam wyzwolony na czeladnika krawieckiego w r. 1884. Wynika stąd, że oddany był do rzemiosła w trzynastym roku życia, czyli że „szkoły” jego nie przekroczyły nauki elementarnej. Ten wybitnie ciekawy szczegół swego życiorysu ukrywał Reymont z jakimś fałszywym wstydem do końca życia. Niewiele również wiadomo o jego pracy scenicznej. W wywiadzie zapewniał, że pod dyrekcją Stobińskiego, później obu Ratajewiczów (ojca i syna), wreszcie – Cybulskiego grywał „role bohaterskie”. Jedyny ze starszych aktorów, który go znał w owym czasie, a mianowicie Szymborski (zmarły niedawno), opowiadał, że Reymont zdolności aktorskich nie posiadał wcale, a w pracy scenicznej przeszkadzał mu dotkliwie krótki wzrok (przewracał meble na scenie).

Gdy opuścił teatr w grudniu 1886 r., miał zaledwie lat dziewiętnaście. Później siedział beczynnym w domu, skąd poszedł na posadę dozorca



plantów \* między Rogowem a Pływią. Żył w owym czasie w wielkiej rozterce duchowej. Po zawodzie miłosnym postanawia w lutym 1893 r. wstąpić do klasztoru na Jasnej Górze i w liście do przeora Rejmana pisze, że „zamiar ten – to nie chwilowe zniechęcenie – to potrzeba wprost organiczna serca, rozważana w swej doniosłości długo i bezstronnie”.

Reymont zawsze lubił tworzyć o sobie malownicze legendy, w które w końcu wierzył sam. Jedną z nich powtarzał mi w Paryżu często, w kilku narastających wersjach: Utrzymywał, że ród swój wyprowadza z wikingów skandynawskich, którzy osiedli najpierw nad Bałtykiem, a później zawędrowali do ziemi piotrkowskiej. Stąd pochodzi rzekomo jego nazwisko: R e y m o n t.

Podobnego zdania była również nasza *madame la concierge* \*, która nam usługiwała. Naczytawszy się romansów, zagadnęła mnie pewnego dnia nieśmiało:

– Chciałam panu coś powiedzieć: Ja wiem dobrze, że panowie są przecież przebrani książęta. Pan Saint-Reymont (tak czytała skrót jego imienia: St. Reymont) – to na pewno markiz. A pan musi być na pewno *un vicomte* \*, bo przecież Lorentowicz (wymawiała: Lorantoviks) – to przecież nie jest nazwisko.

Nie wyprowadzałem jej z błędu. Dopiero po śmierci Reymonta dowiedziałem się, że rodowe nazwisko rzekomego potomka wikingów i markiza brzmiało: Balcerek. Zwyczajem niektórych naszych wsi, w których mieszka wielu ludzi tego samego nazwiska, do Balcerka dodano przydomek Rejment, którym później podpisał się już ojciec Władysława Stanisława, organista kościelny, na urzędowym akcie jego chrztu w parafii Kobiele Wielkie. Dalszej zmiany Rejmenta na Rcymonta dokonał sam autor *Chłopów*.

Namówiłem Reymonta, aby się nauczył nieco języka francuskiego, skoro przybył do Paryża na czas dłuższy. Zaproponował mi, abym się podjął tej nauki. Lekcje szły bardzo opornie. Najprostszycy „słówek” nie mógł przyszyły laureat Nobla zapamiętać. Gdy raz utrwalił sobie

\* toru kolejowego

\* pani dozorczyńni (franc.)

\* wicehrabia (franc.)

w myśli „un couton” (zamiast *un couteau* – nóż), powtarzał ten wyraz przez całe lata w restauracjach. Nie znał żadnego języka obcego; nawet – rosyjskiego. Po kilkunastu lekcjach (zaniedbywanych pod różnymi pretekstami) przerwaliśmy, za wspólną niemą zgodą, uciążliwą i bezpłodną naukę. Przyjeżdżał później Reymont przez długie lata do Paryża i nie nauczył się nawet czytać po francusku.

Swój dzień powszedni układał w taki sposób: Przy śniadaniu rannym opowiadał mi wrażenia z dnia poprzedniego, które zazwyczaj koloryzował z przesadą „zgrywającego się” aktora. Pisał rano zazwyczaj godzinę lub dwie. Dla utworów swych przygotowywał najpierw rodzaj obszernego brulionu-konspektu, po którego ukończeniu przystępował do tzw. przepisywania, polegającego na tym, iż z jednej stronicy brulionu powstawało kilka, a niekiedy kilkanaście stronic tekstu ostatecznego. Metodzie tej pozostał Reymont wierny, zdaje się, do końca swej twórczości. Po obiedzie (to jest francuskim *déjeuner*), który jadaliliśmy na mieście, Reymont chodził do kawiarni, gdzie spędzał kilka godzin na gawędzie. Najwięcej przebywał w modnej w owe czasy (dziś już nie istniejącej) Café du Panthéon przy rogu bulwaru St.-Michel i rue Soufflot. Zbierali się tam literaci polscy czasowo zamieszkali w Paryżu oraz gromada malarzy... Gawędy kawiarniane były dla Reymonta szkołą średnią, a częściowo i wyższą. Z nadzwyczajną chciwością chłonał w siebie wszystko, co posłyszał... Gdy nazajutrz przy rannej kawie olśniewał mnie nabytymi świeżo wiadomościami, łatwo mogłem odróżnić źródła, z których pochodziły. Wieczorami zachodził niekiedy do *music-hallów*, do cyrku; w teatrach nie bywał niemal zupełnie, bo nic nie rozumiał. Najchętniej spędzał wieczory u znajomych. Późnym wieczorem wracał do domu i czasem czytywał powieści polskie, najczęściej zaś zanurzał się w „Kurierze Warszawskim”, który wertował od deski do deski, dowodząc, że ogłoszenia dają mu więcej wiadomości o życiu warszawskim niż artykuły.

W czerwcu Reymont wybierał się zazwyczaj do kraju. Pomimo popularności jego pism dochody z nich były bardzo znikome, nie wystarczające na skromne utrzymanie. Trzeba było ratować się nieustannie pożyczkami i szukać pomocy u przyjaciół. Pomagali mu: Godebski, Paderewski i inni.

W r. 1900 Reymont nie wrócił do Paryża o zwykłej swej porze, tj.

w końcu jesieni. Padł ofiarą wielkiej katastrofy kolejowej pod Włochami, w której doznał mocnego wstrząśnienia nerwowego i miał potłuczoną głowę. Leżał jakiś czas w szpitalu, gdzie go pielęgnowała narzeczoną. Od zarządu kolei otrzymał tytułem odszkodowania 40 000 rubli, które stały się zaczątkiem jego przyszłej fortuny, powiększonej znacznie po Nagrodzie Nobla. Po ślubie, w r. 1902, Reymont przyjechał do Paryża już z żoną. Nasze współmieszkanie zakończyło się siłą rzeczy.

Jan Lorentowicz: *Spojrzenie wstecz*, jw.

### *Pacjent z krakowskiego sanatorium*

[W kawiarni Schmidta, gdzie zbierała się cyganeria krakowska,] pewnego poobiedzia zjawił się, prowadzony przez pielęgniarkę pod rękę, jakiś młody, bladawy, lecz doskonale ubrany pan. Z miną lorda zamówił kawę mrożoną, uchodzącą w naszych oczach za szczyt rozrzutności, i pudełko „egipskich”. Lorenc\* wnet się dowiedział, że jest to pacjent lecznicy Gwiazdomorskiego i nazywa się Reymont. Zналиśmy już jego *Pielgrzymkę do Jasnej Góry*, *Komediantkę* i rozrzewnialiśmy się niedawno żalną idyllą *Lili*, więc gdy przybył znów nazajutrz, przywitaliśmy go hałaśliwie i serdecznie.

Przesuwając często ręką przez bujną, w tył zaczesaną czuprynę, opowiadał nam Reymont o szoku nerwowym, jakiego doznał podczas katastrofy kolejowej w Królestwie, i o procesie wytoczonym dyrekcji kolei warszawsko-wiedeńskiej, która musi mu zapewnić dożywotnią rentę, bo on już tak jak dotąd pisać nie potrafi. Na szczęście kolej wolała mu wypłacić 40 000 rubli, bo gdyby zgodziła się na propozycję Reymonta, byłaby cofnęła mu rentę po sukcesach *Cbłopów* i Nagrodzie Nobla.

Reymont na razie leczył się zapamiętałe – na koszt dyrekcji kolei – w sanatorium nie pił i nie palił, za to u Schmidta stawiał sobie i nam gęste kolejki i opowiadał o swym życiu.

Było ono jak z bajki. Zaczęło się od pasania boso krowy. Potem przyszła szkoła i praca zarobkowa. Był kolejno czeladnikiem krawieckim, pomocnikiem geometry, aktorem, urzędnikiem kolejowym, mnichem i znów kolejarzem, a ciągle piszącym liche wiersze po kryjomu, przy

\* płatniczy u Schmidta

świeczce kupionej za cenę kolacji. Wszystkie te przeobrażenia Reymonta widzieliśmy przed sobą, bo opowiadał o nich z bajeczną ruchliwością maski, rąk i oczu i odgrywał te role, z których każda miała swój wyraz i swój odmienny charakter.

Stasinek Sicrosławski mówił potem, że Reymont pewnie fantazjuje i że w tych opowiadaniach musi być wiele błagi, ale to nie osłabiało bynajmniej naszego podziwu i naszych sympatii dla tak porywającego *causeura* \*.

Odprowadzałem go razu pewnego do lecznicy i skarżyłem się na tę duszną atmosferę Krakowa, która nas wszystkich gnębi. Z drugiej strony, patrząc w Berlinie na żebracze życie bez jutra Przybyszewskiego, miałem wrodzony lęk przed zejściem z tej ścieżki, jaką wskazywano w Galicji każdemu młodemu akademikowi: urząd.

Reymont namawiał mnie więc na przeniesienie się do Warszawy. Panują tam bowiem zgoła odmienne stosunki w świecie dziennikarsko-literackim, które pozwolą mi wcześniej czy później wyjechać do Paryża. Każdy człowiek – mówił – mający pretensje do takiego czy innego talentu powinien przeżyć dłuższy okres czasu w Paryżu!

Ciekawy to był objaw. Reymont uwielbiał Francję, jej kulturę, kochał Paryż i nigdzie mu się tak dobrze i tak łatwo nie pracowało jak właśnie tam, a nie mógł się nigdy nauczyć języka francuskiego.

Chodziliśmy jeszcze przez chwilę przed lecznicą, którą Reymont zamierzał wnet opuścić, bo ugoda z kolejną miała być już zawarta, więc wybierał się do Warszawy, aby odebrać pieniądze i wyjechać na dalszą, jak mówił, kurację do Włoch. Naborykał się tyle z biedą, z tyłu pieców chleb jadał nieraz gorzki, że mimo młodości miał rozwagę, spryt i umiejętność chodzenia koło interesów jak stary i doświadczony człowiek. I wtedy już marzył o kawałku własnej ziemi.

– Wy sami urodziliście się na wsi – mówił – więc zrozumiecie tę moją tęsknotę za oknem umajonym pachnącym groszkiem czy rezedą, przez które widziałbym świat mojego dzieciństwa, kiedyś to bosy pasał krowy i słuchał cykania świerszczy w gorący letni dzień.

Znikł nam też Reymont wnet z oczu i zostaliśmy znów sami z na-

---

\* *Causeur* (franc.) — człowiek odznaczający się talentem do interesującego i błyskotliwego prowadzenia rozmowy.

szymi małymi troskami i dyskusjami. Jego temperament, bujność życia, dar przeżywania całym sobą każdej opowiadanej historii budziły w nas, kilku jego znajomych z krakowskiej kawiarni, tym większą tęsknotę za owym światem dalekim, który tak nęcąco przedstawiał.

Alfred Wysocki: *Sprzed pół wieku*, jw.

### *W świecie wyobraźni Reymonta*

Jeżeli wzmozona władza zmysłów jest nieodzownym warunkiem realistycznego talentu powieściopisarskiego, to w zakresie wzroku Reymont wykazywał się jakąś niemal doskonałą kwalifikacją.

Nie znało się bardziej towarzyskiego odeń człowieka. Gościnność jego przechodziła w legendę. Słyszeli jego obiadki i kolacyjki, na których pani Reymontowa dawała dowody talentu kulinarnego równego uzdolnieniom pisarskim jej męża. Żył nieustanną potrzebą obcowania z ludźmi. Jeśli tylko nie był zajęty pisaniem lub gdy tylko skończył dzienne swoje pensum, któremu poświęcał czas od wczesnych godzin rannych do trzynastej, najwyżej czternastej – natychmiast wypływał na świat, czy to na umówione już z kimś spotkanie, czy do kawiarni, gdzie niechybnie złowi mile towarzystwo. Nie bez korzyści; gdy inni twórcy do zdefiniowania swoich idei dochodzić mogą tylko w odosobnieniu, autorowi *Ziemi obiecanej* myśli formowały się, a nawet powstawały one najbujniej w temperaturze obcowania z ludźmi.

Gdy np. Żeromski mógł się w towarzystwie ożywiać, ale tylko wtedy, gdy to towarzystwo odpowiadało jego wymaganiom intelektualnym – Reymont dobrze się czuł w każdym zbiorowisku ludzkim i z człowiekiem wszelakiego gatunku. Wszystko jedno kto: jego kolega po piórze czy fryzjer w przygodnej balwierni; dorożkarz, który go do domu odwozi czy członek Klubu Myśliwskiego, profesor uniwersytetu czy przekupka ze Starego Miasta – z każdym umiał wdać się w pogwarke, od każdego umiał wyciągnąć jakąś cenną dla siebie wiadomość i każdego sobą zainteresować. Nie umiał obojętnym przejść wobec czyjejś troski czy utrudnienia życiowego – natychmiast śpieszy z pomocą czy radą. Nie było dla niego ani „małych ludzi”, ani małych spraw. Rozciekawały go wszelkie drobiazgi, wszelkie włókienka życia. Zanim zasiadł do swego *Roku 1794*, przez długie miesiące w bibliotekach publicznych wyszukiwał

w gazetach XVIII w. wiadomości – o czym? o ówczesnych cenach rynkowych, o cenie korca żyta, o cenie funta mięsa czy masła, łokcia płótna itd. „Bez dokładnej tego znajomości nie mogę sobie odtworzyć powszedniego dnia bohaterów mojej powieści; muszę wiedzieć, jakimi dochodami mogli rozporządzać, ile mogli wydać, z jakiego materiału strój sobie sprawić, ile bez zrujnowania się w karty przegrać, do jakiej klasy traktierni\* zająć mogli, gdy ze wsi do Warszawy zajeżdżali – bez tego w ekonomicznej abstrakcji będą mi wisiały moje postaci.”

Czy to przejęcie się, jakie wkładał w rozmowy, czy pogoda duchowa nieodrodnego pyknika to sprawiała\*, dość, że nawet chmurni z natury ludzie poddawali się pogodzie jego towarzyskości. Stanisławowa Wyspiańska, która niemal wszystkich artystów czy intelektualistów uważała za podejrzaną warstwę społeczeństwa, dla jednego tylko bodaj Reymonta czyniła wyjątek w swoich opiniach, może dlatego, że spośród przybywających do Węgrzec „darmozjadów” on jeden jedyne zainteresował się jej oborą, z uznaniem chwalił wygląd krów, szczegółowo wypytywał o paszę dla nich na zimę itd., a nawet dał jej starodawny przepis na jakieś szarawary futrzane, by nie marzła, gdy zimą w mroźne przedranki musi w oborze asystować przy udoju.

Zbawcze szarawary dla pani Wyspiańskiej... Na prawo i lewo przy lada okazji, jakby z jakichś nieprzebranych zasobów praktycznej mądrości, zasypywał ludzi wszelakimi radami, przepisami, receptami. Co najmniej na kilka istnień ludzkich starczyłoby tych potocznych wiadomości, które tkwiły w jego głowie. Nierozłącznie się to łączyło z tą jego cechą umysłową, którą by można nazwać wszechciekawością.

Obchodziło go wszystko, co ludzkie i pozaludzkie. Stosunkowo najmniej interesowała go może... literatura. Literatura i czysty intelektualizm. Dziwne to, ale tak było. Natomiast polityka, procesy socjalne, życie gospodarcze, wynalazki, cuda techniki, sport – powiedzmy: życie, nie tylko go rozciekawiało, ale i ożywiało, rozpałało. Podczas wojny rosyjsko-jaapońskiej\* przebywałem w Krakowie w tym samym pensjonacie, w któ-

---

\* restauracji

\* Wg jednej z teorii w psychologii pyknicy — ludzie niewysocy i tędzy, okrągłej postury, odznaczają się pogodnym, zrównoważonym usposobieniem.

\* 1904/05 r.

rym i on stanął, mogłem przeto mieć w „ewidencji” każdą godzinę jego dnia – i sprawdziłem, że nie było w dniu takiej godziny, której by nie poświęcił losom toczącej się wojny. Pokój, który zajmował, czynił wraz z wystawą kartograficznej, tyle tu było map Dalekiego Wschodu, tyle ich wisiało na ścianach, tyle ich rozłożonych na stole i na fotelach, a najbardziej spośród nich szczegółowa mapa terenu walk w Mandżurii, nazwana dziesiątkami szpilek z chorągiewkami o barwach państwowych obu walczących stron – a autor *Roku 1794* od rana już tkwił nad tym swoim „frontem” i przedstawiał chorągiewki stosownie do opublikowanych w rannej prasie biuletynów wojennych. „Ja muszę się wedrzeć w rdzeń rzeczy, inaczej nie ma jej dla mnie” – sam to kiedyś powiedział.

Niejednokrotnie miałem sposobność śledzić, jak się w Reymontcie odbywa proces wżerania się w rzecz, ale jeden zwłaszcza przykład utkwił mi w pamięci. Po pierwszej wielkiej wojnie to było: przy kawiarnianym stoliku u Lourse'a w Warszawie aktor Kazimierz Kamiński opowiadał nam – Reymont też był obecny – opowiadał, jak to w roku 1905, czasu konwulsji rewolucyjnych w Królestwie, zdarzyło się, że pod sąd wojenny oddano jakąś staruszczkę, biedaczkę, właścicielkę lichej lepianki z przedmieścia Górczewskiego (dziś ulica Górczewska w Warszawie). Oskarżenie było groźne, bo udowodniono, że w jej domku schował się ścigany przez policję rewolucjonista – a nie dano wiary zgodnym z prawdą jej zapewnieniom, że nie był to jej znajomy. Upewniwszy się, że czeka ją śmierć z wyroku sądowego, wezwała krewniaków i porozdawała im całe swoje mizerne mienie, z lepianką włącznie. Tymczasem stała się rzecz nieoczekiwana, nie oczekiwana nawet przez broniącego ją adwokata: sąd uniewinnił ją. I tu dramat: nim doszło do wyroku, bratanek jej, obdarowany przez nią owym domkiem, zdołał go już „opylić” i pieniądze wydać; „ruchoomości” też już przeszły do obcych, bo nędzarze spadkobiercy czym prędzej je „upłynnili” – staruszka stanęła przed rozpaczliwym pytaniem: co dalej? Niedola uratowanego istnienia...

Ta oto historia zagarnęła w siebie wyobraźnię autora *Fermentów*. Przez dobrych kilka tygodni nie mógł się z niej wydobyć. Przy lada sposobności opowiadał ją; można powiedzieć, że nawet szukał słuchaczy. Za każdą nową reprodukcją coraz to bardziej rozrastała się w szczegółach i w plastyce. Nadbudowa rozpoczęła się w jego opowiadaniu od chwili, w której rozpoczął się pościg policji za owym rewolucjonistą: młody za-

machowiec zabija komisarza policji (w niektórych wersjach zabijał oficera żandarmerii), zabija go na ulicy Wolskiej (zdaje się, że zgodnie z faktem). Pościg w kierunku Górczewskiej. Widziało się jak na dłoni wszystkie momenty ucieczki, widziało się, jak uciekający ostrzeliwuje się po drodze, popłoch wśród przechodni, opustoszałe chodniki, widziało się, jak goniony dopadł już przedmieścia, jak wystrzelił ostatnią kulę z browninga, jak ma już na piętach dopędzających go policjantów, jak naraz dojrzał otwarte drzwi lepianki; tu już nie rewolucjonista ów, lecz, zdawało się, i sam Reymont wpada w te drzwi: na lewo komora, na prawo drzwi uchylone prowadzące do izdebki z ubitą ziemią zamiast podłogi – i o takim szczególe nie zapomniała jego imaginacja! – w izdebce okienko („na półtora łokcia, nie więcej, wysokie”), zamachowiec skacze przez to okno na podwóreczko, po czym ginie policjantom w chaosie górczewskich bud, opłotków i śmietnisk (autentyczny zamachowiec istotnie zdołał zniknąć). Jakby był przy tym wszystkim.

W pierwszych redakcjach historia odbywała się w luźnym jakby schemacie, ale z dnia na dzień coraz ściślejszych nabiera konturów, coraz to w szczegółowsze przyodziewa się rysy. Czwarty czy piąty kolejny słuchacz miał już sposobność dowiedzieć się o zawartości skrzyni, stojącej pod ścianą „na prawo od okienka” w izdebce staruszki. Tym samym trybem rozrastało się aresztowanie staruszki, odwiezienie jej do Cytadeli, przesłuchiwanie przez żandarmów etc. Jeszcze dwa, trzy dni i z niestrudzonej fantazji Reymonta zaczęła się wynurzać postać młodego adwokata, który z urzędu ma bronić staruszki, jeszcze pewien czas – i sformowała się scena przekazywania „majętności”, defilował zespół spadkobierców z całą charakterystyką indywiduów. W następnych stadiach wypracowała się dramatyczność rozprawy sądowej. Uwolnienie, powrót staruszki na Górczewskie. Z jaką precyzją odtworzyła się tu rozmowa jej ze „spadkobiercami”, jakże się dorysowała figura bratanka-andrusa! I nareszcie finał: wyzbyta ze wszystkiego staruszka w wizji naszego pisarza usiadła na progu chałupinki. Otepiała, siedzi bezradna, samotna – i tylko w pewnej chwili z cichym gdakaniem zjawia się kura, jedyny tej biedaczki żywy inwentarz. Przy rozdawaniu swego dobra zapomniała o kurze, nikomu jej nie darowała, nikt jej jakimś cudem nie ukradł. Pod nieobecność właścicielki zbiedniała, wychudła; zgłodniała przychodzi teraz do swojej „pani” i upomina się o pożywienie. „Pani” ujrzała ją, użaliła się nad jej dolą –



i „ktoś z sąsiednich chałup widział” (tak to brzmiało w opowiadaniu), jak wzięła ją za pazuchę i ruszyła z nią w świat. Dokąd? Tego nikt nie wie.

Jakby przy tym wszystkim był, jakby osobiście znał osoby działające, jakby bywał u staruszczeni na Górczewskim, jakby asystował przy śledztwie i na rozprawie sądowej. Zbyteczne byłoby dodawać, że mieliśmy tu klasyczny dla Reymonta proces powstawania dzieła literackiego, ale co w tym było jak najbardziej Reymontowskiego, to ta przemiana wiadomości w doznanie, w osobiste doznanie. Wieloma przykładami można stwierdzić, że wtedy mu się pisało z sukcesem, kiedy współżył ze swoimi bohaterami, kiedy swoją fikcję zdołał przeistoczyć w sobie w autentykę.

Kochał się w autentyce.

Weźmy jego *Chłopów*. Autentyczność zaczyna się od nazwy miejsca, gdzie się rzecz dzieje: Lipce, leżące nie opodal Pszczonowa. Topografia w powieści oddana z ambicją mierniczego, który ma sporządzić mapę Lipców: ten sam staw jako centralny punkt osiedla, ta sama wokół stawu droga, niemalże dokładnie wierne porozmieszczanie chałup, zgodne z rzeczywistością ulokowanie kościoła, niezmienione umiejscowienie karczmy, precyzyjnie ścisły kierunek drogi do Pszczonowa, ten sam strumyk, który wiedzie na kapuściska. Niemal wszystkie nazwiska osób działających – prawdziwe. Gdy w roku 1929 zwiedzałem Lipce, poniekąd autochtonów wskazywano mi jako prototypy postaci z Reymontowej powieści. Jeden z nich – i pod swe starsze lata osobnik wesołej natury – przedstawił mi się sam, jako ten, którego autor „opisał” jako któregoś z dziańskich parobczaków. Do pewnego czasu wydawało się, że wymyślone jest nazwisko głównego bohatera: Boryny. Nie zachowała się w Lipcach pamięć o żadnym kmieciu tego nazwiska. Ale w dzienniczku poufnym autora *Chłopów* z czasów, kiedy Lipce poznawał, odnajdujemy stronicę, na której spisał szczegółowo wykaz swoich drobnych długów: temu rubli 2, owemu rubla, komuś tam rubli cztery etc. Wśród tych wierzycieli doczytujemy się i: „Boryna 3 ruble”. Więc istniał – może gdzieś w okolicy? – jakiś autentyczny Boryna. Pożyczając 3 ruble Reymontowi, biednemu wówczas pomocnikowi dróżnika kolejowego, dobroczyńca ów ani się spodziewał, że jego 3 ruble tyle słynności przyniosą jego nazwisku.

Ta sama skłonność do „osobistego dotyku” w *Komediantce*, w *Lili*, w *Marzycielu*, w *Wampirze*. Gdy się zabiera do pisania *Ziemi obiecanej*,

gdzie przemysł tkacki staje się jakby rdzeniem pacierzowym akcji, odbywa przedtem kilkutygodniową praktykę u tkacza, by doznać tego osobistego dotyku. „Powinno się mieć we własnych nerwach pracę, którą chce się potem opisywać” – dawał radę młodym beletrystom. Jeżeli ludzi czy zdarzenia powieściowe wysnuwał z imaginacji, wówczas przed ujęciem pióra w rękę tylekroć wyobrażał w sobie wygląd i psychikę bohaterów oraz perypetie ich przeżyć, że przedstawiali oni być tworamii jego fantazji, stawali się autentyką.

Tu stajemy wobec pewnego paradoksu psychologicznego. Ta sama organizacja umysłowa, która nie bez pasji dba o maksymalną prawdę w swojej twórczości – znana była w kole przyjaciół i kolegów z niepowściągliwej potrzeby „koloryzowania”, wysnuwania z głowy najprzeróżniejszych historii, które chciały uchodzić za zdarzenia prawdziwe. Nawiasem zaznaczamy, że prawdziwą ucztą było wysłuchać niejednej z tych fantazji, tak były artystyczne, nie tylko sensacyjne. Co w ich artyzmie uderzało, to niebywale cenne urealnianie drobnych szczegółów, np. kapitalne – malarskie, należałoby powiedzieć – zaznaczanie oświetleń i barw, dbałość o konkrety aury: pogody czy słoty, migawkowe uchwyty spojrzenia czy odruchów imaginowanej figury etc. Wewnętrzna prawda tak te bezceremonialne nieraz wymysły dyszały, że nie wiadomo było: wierzyć w nie czy nie wierzyć?

Mam głębokie przekonanie, że to jego fantazjowanie, nieraz może humorystyczne dla otoczenia, stanowiło jakąś nieodzowną potrzebę jego twórczości literackiej, że było jakimś utrzymywaniem talentu w prężności. Tej jego potrzeby nigdy nie umiała zrozumieć pani Reymontowa, uroczą pani Aurelia.

Trudno byłoby zaprzeczyć, że pisarz nasz miał jej wiele do zawdzięczenia. Przede wszystkim umiała mu stworzyć warunki pracy – to już bardzo wiele. Ale na tym nie koniec. Staranne jej wykształcenie, dobra znajomość języków zachodnioeuropejskich (których on nigdy nie chciał osiąść nawet na powszedni użytek) itd. pozwalały jej być ważną dla męża pomocą intelektualną. Z urodzenia i wychowania nieodrodna potomkini rzetelnych *bourgeois* (z domu była Schattschneider), odciągnęła autora *Komediantki* od świata cyganerii – to też jej zapewne należy na plus zapisać. Ale cóż? Ta potomkini rzetelnych, kłamstwem nie skalanych *bourgeois* ani rusz nie umiała się rozsmakować w urodzie Reymontowego

przeinaczania rzeczywistości. Gdy ten niebacznie w jej obecności rozpuścił fantazję, zgorszona żona wzrokiem upominała go, by dał spokój. Biedak milkł – i zdaje się, milkła, gasła też jakaś drobina jego rozpadu twórczego.

\*

Gdym w r. 1929 odwiedzał Krosnowę, zastałem tam żyjącego jeszcze dawnego dróżnika kolejowego, a więc przełożonego, szefa Reymonta z czasów jego inspekcji toru. Starzec ponad 70 lat, już na emeryturze, ale jeszcze czerstwy i o żywych władzach umysłowych; ze sposobu bycia typ drobnego rękodzielnika z mniejszego miasta. Zapytałem go, czy pamięta niejakiego Stanisława Rejmenta, który mu był za pomocnika koło roku 1890.

– Jakże bym mógł nie pamiętać! – odpowiada i twarz mu się rozpromienia, dowód, że z sympatią o tym swoim podwładnym wspomina. – Czy pan nie wie – zapytuje mnie – co się z tym chłopakiem dzieje? bo opuścił pracę na torze i słych o nim zaginął.

Jasne było, że zacny szef Reymonta nie słyszał o żadnym dziele pisarskim swojego byłego pomocnika, że do tego jego pod gontem, drewnianego domu w Krosnowej nie dotarły nigdy żadne wieści o sukcesach, o chwale Reymonta; pozostał w pamięci jedynie Rejment, „starszy robotnik” kolejowy na dystansie Rogów–Płyćwia. Zacząłem go więc powiadamiać o niezwykłych osiągnięciach jego pupila na drodze pisarskiej, słuchał uważnie, ale jakby nie imponowało mu to, nie dostrzegał związku między „tym nowym zajęciem” byłego kolejarza a stopniem jego znaczenia.

– Czy go szanowali w tym jego późniejszym życiu? – zapytał jakby z troską.

Używając argumentu *ad hominem*\* poinformowałem go, że autor *Chłopów* do takiego doszedł znaczenia, że sam biskup prowadził jego trumnę do grobu. To go jakby uspokoiło, to mu dało dowód, że ludzie umieli się poznać na tym jego „chłopaku”, przez chwilę nad czymś rozmyślał, po czym oświadczył:

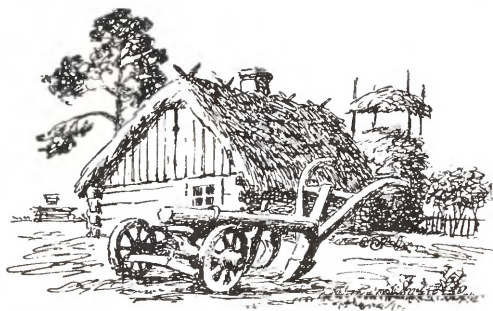
---

\* dostosowanego do rozmówcy (dosł. łac. do człowieka)

- Ja się tam oczywiście nie mogę znać na tym, czego on w książkach dokonał, ale to jedno wiem, że był uczciwym człowiekiem.

„Był uczciwym człowiekiem” – to przynajmniej tyleż znaczy co sława, to – choć niedopowiedziane – brzmiało w jego oświadczeniu.

Adam Grzymala-Siedlecki: *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, jw.





# STANISŁAW WYSPIAŃSKI





## Portret artysty

Przedwcześnie urodzony – i z tego powodu skazany na wątłość organizmu, uderzał też delikatnością rysunku fizycznego. Niski, drobny, wytwornie filigranowy, choć zupełnie proporcjonalny w budowie. Od pomniejszych jakby jego rysów niekojarząco odbijały się duże sarmackie wąsiska, spadające dwiema garściami złotej, nieco rudawej pszenicy na dość gęstą i niezupełnie sforną brodę. Po epoce programowego rozwichrzenia czupryny i brody fryzura poddana już była regułom grzebienia i szczotki, a broda i gęsty splot włosów układały się w pukiel fantazji, dając jego twarzy wyraz mussetowski \*. W wyrazie tym nie bez znaczenia była bladeść twarzy, tyle niepokojąca, ile i romantyczna, i obszar prawdziwy jasnych niebieskich oczu, przenikliwych, głęboko wpatrzonych w świat.

Spod wąsa, mocno nerwowymi ruchami skręcanego, przedzierał się czasami uśmiech. Prawie nigdy nie był inny, jak tylko ironiczny. Nawet wtedy, gdy był widowym znakiem szczerego rozbawienia, to i wtedy miał poblask satyryczny. Uzupełnieniem tego wrażenia stawał się *timbre* głosu. Mówił Wyspiański cicho, w dźwięku zaś jego mowy była jakaś ostrość, jakby uderzenie kością o kość. Ten głos nie nadawał się do wypowiadania słów tkliwych, miękkich. Był stworzony do wygłaszania zdań kategoriycznych, formułowania zestawień zdecydowanych i zimnych, a zwłaszcza kostycznych.

Wzrok przenikliwy i nieco imperatywny, uśmiech jakby pozornie pogardliwy i wrodzona, rzekłbyś: wyniosłość cichego głosu – te wtórne cechy wrażenia dodawały psychicznego wzrostu tej szczupłej, drobnej fizyczności. Mimo woli pociągały nas jego oczy, te dwa bławaty rosnące wśród pszenicy lechickiej jego czupryny.

Mowa jego była powolna, słowa wydobywały się z głowy z pewnym trudem. Ale za to nie było nerwowego strzępienia składni. Mówił pra-

---

\* tj. upodobniając go do romantycznego poety francuskiego Alfreda de Musset



widłowo, ułożonymi zdaniami, z predylekcją do logicznego i architektonicznego układu okresów. Nie zawsze i nie wszędzie skłonny do mówienia, mógł kilka godzin przesiedzieć w absolutnym milczeniu, nie kępując się ciszą nawet wówczas, gdy się doń zwracano z pytaniem, dając za odpowiedź niezwykle uprzejmy uśmiech i jakiś niezartykułowany pomruk. Gdy już jednak zaczął mówić, uważał, że ma wykład – prawie zawsze z naczelną supozycją o analfabetyzmie słuchaczy. Nie lubił, by mu przerywano, a raczej nie zważał na przerywanie – siedł tylko za swoją myślą, stawiał jeden argument za drugim, aż do końcowego, szczytowego myśli związania.

Cechą uderzającą też od pierwszego wejrzenia była jego ambicja poskramiania nerwów i sangwinicznego temperamentu\*. Dość było spojrzeć na jego ruchy szparkie, porywcze, czasem niespodziane, by wiedzieć, że temperament tego człowieka domaga się o wymiary organizmu dwa razy większe. Natura jego domagała się posłuszeństwa od otoczenia, nie znosiła oporu. Gdyby chciał być szczery, to przy każdej przeciwności zdania byłby bił pięścią w stół i nakazywał milczenie. Tak jednak nauczył się poskramiać swoją krewkość, że chwile jego irytacji i obrazy poznawaliśmy jedynie po nerwowym ruchu zapinania surduta na guziki. Byłaby w tym geście jakaś mimowolna symbolika przesunięcia sytuacji na grunt zimnego konwenansu, gdyby nie zwykła w takich wypadkach humorystyka, polegająca na tym, że nigdy nie potrafił tak się zapiąć, by odpowiedni guzik przypadał na odpowiednią dziurkę klapy. Zamiast majestatu powstawała jakaś ucieszna dysproporcja w rysunku jego figury i to zazwyczaj rozbierało stronę przeciwną. Zresztą nawet w takich sytuacjach na poły uciesznych umiał wzbudzać respekt. Od jego wnętrza psychicznego szła jakaś powaga. Przy Wyspiańskim, nawet wówczas, kiedy jeszcze nie był wielkim, zachowywano się z pewnego rodzaju uwagą czy bezwiednym kępowaniem się...

Adam Grzymała-Siedlecki: *Wyspiański. Cechy i elementy twórczości*, Kraków 1918.

---

\* Wg tradycyjnego podziału temperamentów sangwinicy odznaczają się gwałtownością reakcji.

## Kwiaty

Do Wyspiandra na Poselską zachodziło się wtedy, gdy się powzięło stanowczą i nieodwołalną decyzję „zerwania z tym życiem bezmyślnym”, z rują, porubstwem, opilstwem. Tam koło niego unosiła się całkiem inna atmosfera, jakby klasztoru, cela Fra Angelica czy Poverella z Asyżu, kwiatki, ptaszki, praca, upojenia, ale czysto duchowe – egzaltacje artystyczne. Trzeba się było wkupiać znów w łaski sporym „naręczem” kwiatów. Gdy się bowiem wchodziło np. z malwami, nagietkami, z „pantofelkami Matki Boskiej”, z kiściami serduszek różowych – twarz surowa na pukanie intruza rozpromieniała się cudownie. Nie trzeba zatajać, gdy się raz szczerze pisze, że te kwiaty niekiedy buchało się z ogrodu na Łobzowie. Rozkochany w Grassecie Wyspiander rysował kwiaty godzinami z pedanterią japońską. W kwiaty mógł wpatrywać się godzinami ten najczystszy i najbardziej strzelisty duch naszej generacji...

Adolf Nowaczyński: *Pamflety*, Warszawa 1950.

## Nocne spacery

Stanisława Wyspiańskiego poznałem w krakowskim „Życiu” po powrocie z Berlina. Dowiedziawszy się, że bywałem z Przybyszewskim w redakcji miesięcznika „Pan”, który pod względem zdobnictwa, układu graficznego, nowej techniki druku i bogactwa ilustracji uchodził za jedno z pierwszorzędných wydawnictw literackich Europy, zbliżył się do mnie i z wielką ciekawością wypytywał o wszystkie te szczegóły. Mimo że na większość pytań nie umiałem Wyspiańskiemu odpowiedzieć, zaczął okazywać mi pewną życzliwość i zapraszał mnie na wspólne nocne spacery. Wychodziliśmy od Turliniego i szli Plantami w stronę Wawelu. Pochwalił mnie kiedyś mówiąc, że umiem milczeć. Gdy był w lepszym nastroju, ciekawił go Berlin i jego wystawy, malarze, lecz nie przerywał nigdy mych opowiadań. Może myślał o czym innym. Podchodziliśmy najczęściej pod zamek albo spoglądaliśmy na srebrzystą wstęgę Wisły z daleką sylwetką obronnych murów klasztoru norbertanek.

Gdybym był jasnowidzem, domyśliłbym się, że marzą mu się wówczas owe rapsody rycerskie, obrazy wielkich czynów, sylwety bohaterów naszej

przeszłości, którymi miał tak wzruszająco do duszy polskiej przemówić! Ale nie myślałem o tym ani przez chwilę. Widziałem w Wyspiańskim tylko malarza walczącego z brakiem uznania, szukającego nowych dróg dla swej twórczości, i nie podejrzewałem go nawet o jakiegokolwiek literackie ambicje. Czytałem wprawdzie w „Życiu” jego artykuł o kościele Świętego Krzyża z ilustracjami artysty, lecz były one o wiele ciekawsze od treści, nie zwracającej szczególniejszej uwagi.

Ten milczący, poważny, ubogi, lecz schludnie ubrany, anemicznie bladej skóry człowiek miał jednak w sobie coś władczego. Spojrzenie jego zimnych, stalowych oczu oneśmiało. Wyczuwało się mimo woli w tej tak niepozornej postaci pewną wyższość duchową, która wyróżniała Wyspiańskiego od jego otoczenia. Był tak bardzo inny od nas wszystkich, że nikt (poza nieobecni Henrykiem Opieńskim i Lucjanem Rydlem) nie mógł nazwać się jego przyjacielem.

Pracując w „Życiu” pisywałem tam drobne wzmianki z wystaw i teatrów, głównym wszakże moim zajęciem była korekta. I ona zbliżyła mnie więcej do Wyspiańskiego, bo dni składania pisma spędzaliśmy zawsze razem. Jako kierownik działu artystycznego był on w robocie swej niezwykle dokładny i drobiazgowy. W redakcji przeglądał najpierw manuskrypty przeznaczone do druku i obmyślał dla każdego niemal artykułu czy wiersza rodzaj druku, rysunek liter początkowych, rozmiary interlinii i odpowiedni ornament. Przynosił już gotowe klisze przepięknych, wówczas nigdzie nie spotykanych motywów kwiatowych, liści klonowych, lilii, ostu czy motyli, które miały swój oryginalny styl i nadawały każdej przez Wyspiańskiego ułożonej stronie szczególny, bardzo artystyczny wyraz.

W Drukarni Narodowej przekonałem się także nieraz, z jaką łatwością potrafił Wyspiański narzucać swoją wolę, nawet najbardziej opornym. Metrampaż i zecerzy nie uznawali jego „nowinek” i wymysłów, utrudniających ich pracę. Musiałem też nieraz wzywać artystę na pomoc, gdy dostrzegłem w korekcie, że nie wykonano jego poleceń. Wystarczyło jedno krótkie przemówienie Wyspiańskiego, poparte spojrzeniem jak pchnięcie szpadą ostrym, aby pan metrampaż godził się na wszystkie jego wymysły. Umiał on także uśmiechać się przyjaźnie lub kpiąco pod bujnym rudym wąsem. Z takim uśmieszkiem narysował moją karykaturę ze złośliwie podchwyconą sylwetą głowy starca o moich rysach, mówiąc, że wnet tak będę wyglądał pijąc tyle czarnej kawy z rumem. Nauczyłem się tego

w Norwegii, a że w drukarni było duszno i gorąco, krzepiłem często ducha owym szlachetnym trunkiem, którego Wyspiański, zwolennik umiarkowania w jedzeniu i piciu, nie uznawał. Cenna ta pamiątka i kilka innych rysunków Wyspiańskiego, robionych na poczekaniu u Turlińskiego, spłounęły razem z moimi zbiorami w naszej willi na Żoliborzu.

Wyspiański nie wspominał wówczas nigdy, że pisze. Dowiedziałem się o tym dopiero przypadkowo. Mieszkalem wówczas właściwie w Piaskach, ale miałem także zapewniony nocleg w redakcji „Życia”. Pewnego razu zapomniałem kluczy i nie miałem gdzie prznocować, było też za późno, aby jechać do Piasków. Poprosiłem więc Wyspiańskiego, abym mógł przesiedzieć do rana w jego pracowni na placu Mariackim, naprzeciwko kościoła. Byłem po raz pierwszy u niego. Pokój duży, na piętrze, o dwu szerokich oknach. Było tam czysto, schludnie, przyjemnie. Dwa stoły zastawione książkami, przyborami malarskimi, francuskimi czasopismami, które mu przysyłał Lucjan Rydel. Zabrałem się do ich przeglądania, Wyspiański zasiadł zaś przy mniejszym stoliku do pisania. Coś kreślił, coś poprawiał i dodawał. Wziął potem kilka kartek papieru i zaczął pisać na nowo. Pismo miał dość nieczytelne, z zawijasami, jakby dekoracyjne... Godziny znały cudny, zawsze mnie wzruszający hejnał, tak bliski, jakby go ktoś obok w drugiej izbie wygrywał. Jakos przed szóstą Wyspiański złożył systematycznie zapisane kartki i odezwał się:

– No! Nareszcie skończyłem! Może pójdziemy na kawę...

Przypuszczam, że autor *Warszawianki* poprawiał właśnie jej manuskrypt po przeprowadzeniu kilku rozmów z Tadeuszem Pawlikowskim, lecz jest to tylko mój domysł, bo Wyspiański ni słowem o tym nie wspomniał.

Wyszliśmy. Kościół Panny Marii wyrósł przed nami szary i posępny. Tylko wieże jaśniały w liliowej poświacie zbliżającego się dnia. Boczna brama była otwarta. Nawa tonęła w głębokim zmierzchu. Przed głównym ołtarzem paliła się wieczna lampka, rzucając nikły krąg światła na stopnie ołtarza. Przez kościół przesuwwały się jakieś cienie i znikaly w stallach. Co chwila zapalały się tam woskowe świeczki ustawione na pulpitych i oświetlały stare, pomarszczone oblicza kobiet w chustkach, kapuzach lub kapeluszach z wstążkami wiązanymi pod brodę. Ta gra światła zlocących to część twarzy lub profile staruszek, to pelzających w górę po rzeźbach stalli była zachwycająca...

Nie widziałem w mroku twarzy mego towarzysza, pamiętam tylko, że oczy jego świeciły jak gwiazdy. Siedział nieruchomo; patrzył, patrzył bez końca! Wilgotny ziąb zaczął przenikać mój jesienny płaszcz, szepnąłem więc w końcu:

– Cóż będzie z naszą kawą?

\*

I jeszcze jedno wspomnienie, zdaje się z października 1898 roku. Wyspiański złożył już manuskrypt *Warszawianki* Pawlikowskiemu i spodziewał się, że będzie ona wnet grana. Wyłoniły się jednak jakieś trudności z obsadą i Wyspiański opowiadał mi o nich, bojąc się, aby nie odwlokły wystawienia. Pisując wówczas w „Życiu” wzmianki teatralne, znałem cały niemal personel aktorski i różne jego sprawy. Poradziłem więc Wyspiańskiemu, aby poprosił osobiście wszechwładną wówczas Wandę Siemaszkową o objęcie roli głównej i zajęcie się *Warszawianką*, a wszystkie przeszkody będą z pewnością usunięte.

Wyspiański nie chciał nikogo o nic prosić. Przekonałem go jednak w końcu i obiecałem, że będę mu towarzyszył.

Umówiliśmy się na jakieś popołudnie jesienne, pełne deszczu i szarugi. Brnęliśmy po błocie, bo Siemaszkowa mieszkała gdzieś w okolicach Długiej, a tramwaj konny kursował tylko między stacją kolejową a mostem Podgórskim i końcem Karmelickiej.

Służąca oświadczyła nam, że pani leży, lecz poprosiła do małego, bardzo mieszczkańskiego saloniku. Tylko pęk wstążek ze złotymi napisami i kilka wieńców przypominały, że to siedziba artystki.

Po dłuższej chwili ukazała się Wanda Siemaszkowa, wówczas młoda, dość zażywna, przystojna kobieta, nie mająca nic w sobie, tak jak jej mieszkanie, z wyglądu, gestu czy pozy aktorki. Zagaiłem rozmowę, bo Wyspiański siedział milczący, z nogami wsuniętymi kurczowo pod krzesło, pod którym zobaczyłem z przerażeniem dwie spore kałuże sączące się z przemoczonych i na pewno dziurawych trzewików mego towarzysza. Zacząłem mówić o celu mojej wizyty. Siemaszkowa zerkała gniewnie na zabloconą posadzkę, odpowiedziała też dość wyniośle, że dyrektor opowiadał jej wprawdzie o *Warszawiance* i jakiejś w niej roli, ale ona nie

czuje się zdrowa i jest także bardzo zajęta. Chętnie jednak posłucha, co autor opowie jej o swej sztuce.

Wówczas Wyspiański zaczął mówić streszczając w ogólnych zarysach swój utwór, który nazwał „Pieśnią z roku 1831”, podkreślając znaczenie roli Marii, jaką przeznaczył dla Siemaszkowej. I to było najdziwniejsze i najmniej oczekiwane, że ten milczący towarzysz naszych nocnych spacerów stał się wymownym i umiejętnym recytatorem swoich wierszy. Umiał też tak plastycznie i żywo odmalować ową tragiczną postać polskiej dziewczyny, która, pragnąc dla swego ukochanego sławy i laurów bojowych, wysłała go na śmierć za ojczyznę, że widziałem, jak Siemaszkowa słucha Wyspiańskiego z coraz większym zajęciem.

Z niepozornej postaci młodego artysty w starym, pod szyję zapiętym angielu\* wyrósł nagle znakomity człowiek teatru. Głos jego cichy nabrał siły i głębi, nagiął się do każdego wypowiedzianego słowa, czarował nie tylko mnie, ale i Siemaszkową. Losy *Warszawianki* były już zapewnione. Zostawiłem więc uspokojonego Wyspiańskiego u aktorki i wróciłem do redakcji „Życia”, gdzie czekała na mnie ostatnia korekta.

Straciłem odtąd Wyspiańskiego zupełnie z oczu. Tkwił bowiem po całych dniach w teatrze, walczył ze starym dekoratorem Spitziaрем, przyzwyczajonym do dekoracji robionych niejako mechanicznie, według od dawna ustalonych wzorów. Wyspiański zaś domagał się, aby były malowane ręcznie, tak jak maluje się obraz. Szukał poza tym po całym mieście obrazów z epoki powstania 1831 roku, biustu Napoleona, któremu trzeba było dorabiać wieniec laurowy, a te wszystkie jego zabiegi znajdowały w dyrektorze Pawlikowskim chętnego i pojętnego protektora.

Alfred Wysocki: *Sprzed pół wieku*, jw.

### *Suwerenny artysta*

Zdumiewająca była energia Wyspiańskiego. Dniami całymi przesiadywał w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, kłócił się z despotycznym jej kierownikiem, prof. Ulanowskim, staczał walki z niesfornym persone-

---

\* długim surducie

lem zcerskim, ale w końcu dokonał tego, że wszystko się przed jego autorytetem ugięło, dokonał nawet reformy w całej drukarni uniwersyteckiej, bo od tego czasu odznaczają się wydawnictwa tej drukarni szczególną troskliwością o artystyczny układ.

Nieugięty, bezwzględny, gdy o sztukę chodziło, obcy całkiem życiu i jego warunkom, nie liczył się, niestety, z żadnymi kosztami.

Klisze wszystkich dzieł sztuki, które w „Życiu” pomieszczał, zamawiał u Huśnika w Pradze... a Huśnik słono kazał sobie płacić.

Pamiętam, jak raz nadszedł rachunek od Huśnika na 800 guldenów. Pytam, przerażony, Wyspiańskiego:

– Ależ, Stachu, na Boga żywego, czym ja to zapłacę? Nie mam przecież pieniędzy! Nie będziemy mogli numeru z drukarni wykupić, a wiesz, jaki Ulanowski jest srogi, nie wypuści numeru prędzej, póki mu się nie zapłaci.

– Pieniądze? – Wyspiański uśmiechnął się sardonicznie. – Pieniądze muszą być!

– Ale jakim cudem?

– Powinno być zaszczytem dawać pieniądze na „Życie”.

Wobec takiej logiki zamilkłem; oczywiście i pieniądze się znalazły, ale wolę przemilczeć, z jakim ciężkim trudem.

Przytaczam ten szczegół, bo jest niezmiernie charakterystyczny dla psychiki Wyspiańskiego.

Nie znał żadnych przeszkód, nie wiedział, co to znaczy „nie można”, gdy o wykonanie jego artystycznych zamiarów i poczynań chodziło, stawał się bezwzględny, nieugięty, a często posuwał się do dziecinnego uporu...

Jeżeli zaś znalazł istotnie całkiem już nieprzewidywalne przeszkody, to go to zupełnie nie obchodziło – miał przeświadczenie, że je przezwyciężył, i z zupełnym spokojem, jakby go w ogóle żaden zawód nie był spotkał, zabierał się do nowej pracy.

Nie znałem nigdy tak suwerennego artysty – nigdy nie słyszałem z ust jego jakiegoś gorzkiego słowa, nigdy utyskiwania lub rozgoryczenia, lub żalu za doznane krzywdy – dla niego pojęcie, jak: zawód lub krzywda – a może żadnego z artystów polskich tak nie krzywdzono jak właśnie je-

go – nie istniało. Zbyt był bogaty – cóż go to obchodziło, że skarbiec jego o jakiś drogocenny klejnot uszczuplony został!

Stanisław Przybyszewski: *Exegi monumentum...*, w albumie: *Stanisław Wyspiański. Dzieła malarskie*, Warszawa 1925.

### *Wszystko sam*

Było to pod koniec zeszłego wieku; młody Wyspiański przyszedł do Muzeum Narodowego w Krakowie oglądać świeżo urządzoną salę Matejki. Jak mu się podoba? Niczłe. Ale on urządziłby to lepiej. Nikogo to nie dziwiło. Wyspiański zawsze wszystko urządziłby inaczej, przerobiłby na kopyto własne. Wszak złośliwi mawiali, że już w pierwszym dniu stworzenia byłby przerwał Stwórcy wykrzyknikiem: „Nie tak, Panie Boże!” Ale Wyspiański nie ogranicza się do negatywnego „inaczej”. Oповіда, jak być powinno: obrazy Matejki pośrodku – dobrze; ale wkrąg ich zawiesić należą obrazy innych, na których tle wystąpiłaby wyraźnie odrębność twórcza Matejki. I jął określać każdy obraz z osobna: całą ich gamę. Ktoś zauważył, że takich obrazów znaleźć by można parę, lecz innych nie ma. Wyspiański wzruszył ramionami: taki drobiazg! Cóż łatwiejszego jak je wymalować.

Bo i w chwili tak banalnej jak zwiedzanie nowo otwartej sali wiecznie działający aparat twórczy Wyspiańskiego nie spoczywał. I z bezwzględnością twórcy podporządkowuje zaraz myśli własnej wszystko: całe Muzeum z obrazami, wszystko to zagarnia dla siebie, jako własne tworzywo surowe, które wyobraźnia jego wnet przetapia na nową zjawę – na ścianę-obraz-dramat: duch Matejki zmagający się ze sztuką i umysłowością współczesną. Ma już linię i ton, reszta już tylko rzeczą wykonania!

Minął lat dziesiątek. Wyspiański jest już złamany chorobą, lecz duchowo potężny jak nigdy. Jest to epoka twórczości gorączkowej. Równocześnie maluje obrazy, pisze dramaty, komponuje witraże, dekoracje ścienne, sprzęty domowe, zabicga o dyrekcję teatru, inscenizuje dramaty, przygotowuje repertuar na pięć miesięcy. Spotkawszy go w tym czasie, zagadnąłem o politykę. Słuchał uważnie, po czym rzekł:

- Wie pan, ja chciałbym objąć redakcję dzienników krakowskich.
- Którego dziennika?



– Mówię: dzienników krakowskich, wszystkich, od „Czasu” po „Na-przód” \*. Chciałbym pokazać, jak każdy z nich winien być redagowany ze swego stanowiska.

Tadeusz Żuk-Skarszewski: *Stanisław Wyspiański (1869—1907)*, tamże.

### «Wesele»

W drugiej połowie lutego 1901 r. w Krakowie przyszedł do mnie Wyspiański z rękopisem pierwszego aktu *Wesela*. Był on wtedy poetą nierozgłośnym, autorem *Warszawianki*, *Lelewela*, dzieł przyjętych dobrze przez krytykę krakowską, które jednak na razie nie miały wielkiego powodzenia.

Wyspiański w owe pamiętne popołudnie zaczął mi czytać cichym głosem początek przedziwnego poematu-szopki, zrodzonego z przeżyć bronowickich... Przeszawał chwilami, wtrącał krótkie uwagi. Po półtoragodzinnym czytaniu – ożywiony, zachwycony, prosiłem gorąco o dalszy ciąg sztuki. Potem w ciągu tygodnia wrywałem poecie na gorąco kartki rękopisu *Wesela*, które, przepisane, poszły szybko na warsztat wśród gorączkowego tempa pracy i życia sceny krakowskiej.

Na próbie czytanej artyści sztukę przyjęli bez entuzjazmu, a nawet jedna z młodych wówczas aktorek ze złością rzuciła o stół rolę Panny Młodej, którą potem chętnie zagrała Siemaszkowa. Ja ustąpiłem rolę Wernyhory Knake-Zawadzkiemu, albowiem w wyznaczonej mu roli Czepca, w chłopskiej skórce, czuł się nieswojo. Rolę Gospodarza objął Sobiesław, Dziennikarzem był Sosnowski, Poetą Pawłowski (później Tarasiewicz), Rachelą Sulima, parobczaków grali Mielewski i Zclwero-wicz, a w roli Stańczyka Kamiński pracował z pasją i trafił od razu w ton mocny, głęboko wróżebny. Podczas prób czar poety zawiadnął wykonawcami, którzy szybko wciągnęli się w oryginalną atmosferę mająków i snu pomieszanego z jawą. Autor pracował gorliwie z nami i z ówczesnym reżyserem, Adolfem Walewskim.

Gdy w dniu 16 marca 1901 roku zapadła kurtyna po ostatnim akcie pierwszego przedstawienia *Wesela*, nastąpiła w teatrze krakowskim „chwila

---

\* tj. od organu konserwatystów po pismo socjalistyczne

osobliwa". Cała publiczność, oszołomiona napięciem teatralnego wrażenia, siedziała z tchem zapartym, jakby do miejsc przykuta... Pomimo oklasków Wyspiański nie ukazał się na proscenium. Zniknął nagle z teatru niepostrzeżony... Powoli opróżniała się sala. Jeden z ostatnich wyszedł malarz Stanisławski, gdy już światła gaszono, i szeptał przyciszonym głosem:

– To nadzwyczajne, szalone, ale genialne!...

Józef Kotarbiński: *Ze świata uludy*, Warszawa 1926.

### *Córeczka*

W malarskiej twórczości Wyspiańskiego tak często zachwycają nas prześliczne, pełne wyrazu główki dziecinne. Wyspiański kochał dzieci i dlatego tak pięknie je malował. Sam był bardzo dobrym ojcem, ale ze wszystkich dzieci najbardziej kochał swoją córeczkę Helenkę. Malował często jej portrety, a oprócz tego w innych jego rzeczach można też znaleźć podobieństwo do córki. Gdy była maleńka, często nosił ją i kołysał na rękach. Helenka uwielbiała ojca; największym dla niej szczęściem było, gdy opowiadał jej bajki i uczył wierszyków. Żyli oboje w jakimś wspólnym świecie, tylko ich własnym. On nazywał ją swoją królową, a kiedy sprzedawał dobrze jakiś obraz, to zabierał ją ze sobą dorożką do miasta, aby mogła realizować wszystkie swoje marzenia i pragnienia. Wracała do domu obładowana zabawkami i łakociami. Zabierał ją ze sobą czasem do domu pp. Pareńskich lub Nowaków, gdzie naturalnie także ją rozpieszczano. Matka gniewała się nieraz o to, bo przeciwna była psuciu dziecka. Ale ojciec, może w przeczuciu, że niedługo będzie mógł się nią cieszyć, nie hamował wobec niej uczuć i tkliwości. Toteż doprawdy tragicznie przeżyła siedmioletnia Helenka stratę ojca. Dziecko przemieniło się zupełnie, stało się trudne dla otoczenia i zamknięte w sobie. Dlatego też w dwa lata później uznano, że najlepiej, jeśli Helenka będzie się chować w otoczeniu rówieśniczek i pod odpowiednią fachową opieką. Zdecydowano, że klasztor Św. Józefa, przeniesiony z Francji do Vincele (między Lozanną a Genewą), przy którym znajdował się wzorowo zorganizowany pensjonat dla dziewcząt, we wspólnym otoczeniu i powietrzu szwajcarskim, będzie pod każdym wzglę-

dem najodpowiedniejszym dla małej Helenki. Tam też ją ulokowano i tam pozostawała przez lat 7. Pierwsze miesiące pobytu w obcym kraju, między nieznanymi ludźmi, ciężkie i trudne były dla biednego dziecka, które swoje bóle i tęsknoty wyładowywało w ten sposób, że pisało listy do tatusia i chowało je zawsze na noc pod poduszkę. Na drugi dzień rano mała Helenka czuła się zawsze trochę pocieszona, bo była pewna, że tatuś przeczytał jej list i już wie o wszystkich jej troskach. Gdy po ukończeniu pensji wróciła do Krakowa jako śliczna młoda panna, wkrótce wyszła za mąż za p. Adama Chmurskiego. Obecnie pp. Chmurscy mieszkają stale w Krakowie...

Marian Krzyżanowski: *Wspomnienia księgarza*, w tomie zbiorowym *Kopiec wspomnień*, Kraków 1959.

### *Malarstwo czy poezja?*

Był równocześnie malarzem i pisarzem. Czy dałoby się ustalić, która dziedzina była mu bliższa? Niewątpliwie talent malarski był w nim pierworzodniejszy. Niewątpliwie z organizacji malarskiej, z oka da się wyprowadzić jego poezję, zwłaszcza dramatopisarstwo. Malowanie, a raczej rysowanie, było jego nie tylko powołaniem, ale i nieustanną potrzebą, a ołówek jakby szóstym palcem jego dłoni. Gdy nieuleczalność choroby ubezwładniła mu prawą dłoń, czyniąc z niej jedną wielką ranę, nie czuł się upośledzony jako pisarz, bo myśli swoje i słowa mógł dyktować, natomiast niewypowiedzianie cierpiał, że ręka ta nie potrafi wypowiadać go w liniach i barwach. Byłem raz świadkiem przejmującej wprost chwili, która to jego cierpienie ujawniła.

Było to w okresie, kiedyśmy się w teatrze krakowskim przygotowywali do wystawienia jego *Cyda*. Dla uzyskania niezbędnych informacji wraz z Janem Spitziarcm, ówczesnym tego teatru scenografem, pojechaliśmy do Wyspiańskiego. Z ożywieniem powiadał nam, jak chce na scenie widzieć swoje dzieło: kostiumy wedle portretów Velasqueza – dekoracje? – sięgnął lewą, zdrową ręką na półkę z książkami, wyjął tom ilustracji Veronese'a, otworzył kartę z reprodukcją *Wesela w Kanie Galijskiej*: „Oto dekoracja dla tej sztuki.” Spitziar oniemiał ze zdumienia, z olśniewającego zdumienia. Natychmiast zaczął przenosić obraz na

geometrię sceny. Wspólnie z autorem uporali się z wszystkimi szczegółami, brakło jednak rozwiązania ostatniego planu po prawej stronie dekoracji. „Tam powinniśmy widzieć fragment morskiej zatoki” – poinformował poeta. Spitziar nie bardzo jeszcze jednak widział, w jakich wymiarach, w jakim kształcie ma być ten fragment namalowany. „Może jakoś to spróbuję nakreślić” – postanowił Wyspiański. Ujął ołówek i przymocował do rozplaszczonej swojej prawej dłoni. Domyślam się, że niezupełnie zrozumiałe jest to, co napisałem o „przymocowaniu” i „rozplaszczonej dłoni”. Postaram się to wyjaśnić. Dla procesu gojenia się ropiejącej prawej jego dłoni rzeczą niezbędną się stało zapewnić jej nieruchomość; w tym celu opatrzoną kuracyjnymi maściami, obandażowaną dłoń z góry i spod spodu ujęto w dwie drewniane deszczułki i poprzewidywano je równolegle sznurkami. Za te to sznurki Wyspiański założył ołówek i wiódł nim po arkusiku papieru. Narysował ową zatokę.

Należało podziwiać niebywałą wprawę ręki, która, nie czując w dłoni ołówka, poprzez przeszkadzające warstwy waty, bandaży i deseczek potrafiła jednak zdobyć się na rysunek – i trzeba było widzieć, jaki! Nie mówię o sobie, jako o laiku w tych sprawach, ale pamiętam, ile profesjonalnego uznania uzyskał rysunek u Spitziaara. Nie podzielił jego uznania Wyspiański. Jakbym to dziś, teraz na niego patrzył, tak go mam w oczach w owej chwili: spojrzal na swój rysunek, przypatrywał mu się milcząco – może przez całą minutę, po czym drżącym, dojmującym smutnym głosem wyszemrał: „Pomyśleć, właśnie teraz – teraz, kiedy wydaje mi się, że zacząłbym umieć rysować, właśnie teraz...” – i wzrok, zapewne bezwiednie, przeniósł na winowajczynię, na tę biedną, kaleczą dłoń. Ani Spitziar, ani ja nie śmieliśmy nań spojrzeć.

Teraz należy sobie uprzytomnić całość sytuacji. Rana prawej dłoni przyprawiała go o nieustanny, i to niewypowiedziane dręczący ból. Postępy choroby osłabiały go tak, że kto inny, z mniejszą wytrzymałością, leżałby bezwładny. Bóle dłoni odbierały mu sen, a beczsenność coraz to bardziej wyczerpywała jego system nerwowy. Wszystko to przemagał. W cierpieniach i bezsile fizycznej nie przestawał pracować, przekładał *Cyda*, układał sceny *Zygmunta Augusta i Barbary*; być może, iż najbliższym uskarżał się na swój istic hiobowy stan – nikt z obcych nie słyszał odeń skargi czy nawet zaprzęgnięcia uwagi jego męczarnią. Nikt z obcych nigdy nie słyszał jego jęku, z taką wytrzymałością i z taką zapewne wy-

niosłością tań przed światem swoją straszłą nicdolę cielesną. Nie potolał nie załamać się, gdy rzecz poszła o jego sztukę, o jego możliwości twórcze.

W niezapomnianym tym dla mnie bolesnym westchnieniu ubezwładnionego artysty zamknęła się jednak nie tylko sprawa jego pogrzebanych aspiracji malarskich. Skryło się w tym westchnieniu jeszcze coś innego, jakże dla Wyspiańskiego charakterystyczne: mówię tu o tym jego: „teraz, gdy może zacząłbym umieć rysować”... Usłyszało się to z ust artysty, którego pracom towarzyszyła reputacja mistrza kunsztu rysunkowego! Ileż nienasyconej żądz doskonałości nurtować musiało tę niespokojną, namiętą, artystycznie krezusową duszę!

Malarstwo czy twórczość pisarska? Co bardziej umiłował? Zdaje mi się, że najbardziej umiłował trzecią swoją dziedzinę tworzenia, dziedzinę niejako wyrosłą z tamtych dwóch: teatr. Teatr mu realizował jego lawiny widzeń malarskich, akcji dramatycznej oddanych – i jego muzyki myśli, dialogom dramatycznym przekazanej. Scena! Dopiero scena dawała pełnię jego artystycznego „ja”. Ona dopiero dawała mu całkowitą radość istnienia.

Adam Grzymała-Siedlecki: *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, jw.



## KOMENTARZ



## JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

Julian Ursyn Niemcewicz urodził się w r. 1758 w okolicach Brześcia Litewskiego w średnio zamożnej rodzinie szlacheckiej. Wychowanie obywatelskie nastrojone na ton patriotyczny i solidne na owe czasy wykształcenie odebrał w warszawskiej Szkole Rycerskiej. Po jej ukończeniu przebywał od r. 1777 na najświetniejszym bodaj i najbardziej oświeconym dworze wielkopańskim jako adiutant Adama Kazimierza Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Jemu zawdzięczał pierwszą zachętę do pracy literackiej. Ciętym swym piórem posłużył się Niemcewicz, poseł inflancki, jako bronią polityczną podczas Sejmu Czteroletniego w służbie celów Stronnictwa Patriotycznego: współredaktor „Gazety Narodowej i Obcej”, organu Stronnictwa, współtwórca projektu Konstytucji 3 maja, był też autorem bajek politycznych, pełnych aktualnych aluzji tragedii historycznych *Władysław pod Warną* i *Kazimierz Wielki*, a przede wszystkim komedii *Powrót posła*, która wywołała burzę wśród opozycji starszszlacheckiej. Działalność podobną prowadził za rządów Targowicy przysyłając z emigracji zjadliwe broszury ośmieszające jej przywódców, program i poczynania. Podczas powstania 1794 Niemcewicz był sekretarzem Kościuszki; wzięty do niewoli pod Maciejowicami, przesiedział w twierdzy petersburskiej do śmierci carowej Katarzyny. Uwolniony przez Pawła I wyjechał z Kościuszką w grudniu 1796 r. do Stanów Zjednoczonych, gdzie przebywał do r. 1807; ożenił się z Amerykanką. W latach 1802—1804 odwiedził Polskę, a po utworzeniu Księstwa Warszawskiego wrócił na stałe do kraju. Za Księstwa i Królestwa był sekretarzem senatu, wizytatorem szkół, czynnym członkiem, a od r. 1826 prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wydał wówczas m. in. powieści *Dwaj panowie Sieciechowie* (1815), *Lejbe i Sióra* (1821), *Jan z Tęczyna*. Po wybuchu powstania wyjechał w misji dyplomatycznej do Londynu, skąd w r. 1833 przeniósł się do Paryża. Brał czynny udział w życiu kulturalnym emigracji. Zmarł w r. 1841. Pozostawił cenne pamiętniki z różnych epok życia.

### *Poezja i proza*

Sabina z Gostkowskich GRZEGORZEWSKA (1808—1872) — żona Aleksandra, członka Rządu Narodowego w czasie powstania krakowskiego 1846 r., autorka wspomnień, głównie z dzieciństwa w Galicji, ogłaszanych fragmentami w prasie warszawskiej, częściowo wydanych osobno.



Izabela z Flemingów CZARTORYSKA (1746—1835), jedyna córka podskarbiego w. litewskiego, właściciela olbrzymich dóbr w Holandii, wydana została w szesnastym roku życia za starszego od niej o lat kilkanaście kuzyna, Adama Kazimierza Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Początkowo modna dama nie grzesząca surowością obyczajów, w latach późniejszych stała się prawdziwym wzorem patriotyzmu i cnót obywatelskich, a niezmierzone bogactwa własne i mężowskie posłużyły jej do realizacji wielu pięknych i pożytecznych zamierzeń. Największym dziełem jej życia były Puławy, które stanowiły główną rezydencję księstwa już od r. mn. w. 1780; tu również osiada księżna po śmierci męża w r. 1823. Wspaniała ogród, do którego sprowadzała rośliny, krzewy i drzewa z całego świata, zbudowana w parku Świątynia Sybilli, w której gromadziła pamiątki narodowe w myśli ratowania zabytków przeszłości, cenna biblioteka, szkółka dla dzieci wiejskich, zakład naukowy dla panien, wreszcie dom, będący „jawnym i po całym kraju zawołanym przybytkiem i wzorem cnót obywatelskich” i „nie wytopionego żadnymi przygodami patriotyzmu” (ze wspomnienia pośmiertnego w „Kronice Emigracji Polskiej”, t. III, Paryż 1835) — wszystko to sprawiało, że Puławy przyciągały uwagę nie tylko swoich, ale i obcych przybyszów, aczkolwiek nie był to już wówczas, jak w ostatnich dziesiątkach XVIII w., tętniący życiem dwór magnacki. W tym czasie księżna Izabela zajęła się również pracą pisarską. W r. 1805 wyszła we Wrocławiu jej książeczka *Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów*, w r. 1815 *Książka do pociechy dla dzieci wiejskich*, a w parę lat potem (1818—1821) ukazał się głośny *Pielgrzym w Dobromiłu*, pierwsza próba skreślenia historii Polski dla ludu. Książka ta doczekała się kilkunastu wydań i była bardzo wysoko oceniana przez współczesnych; nawet Joachim Lelewel napisał pochlebną recenzję.

Aleksandra z Lubomirskich POTOCKA (1760—1836) — siostrzenica Adama K. Czartoryskiego, wdowa po Stanisławie Kostce Potockim, działaczka Stronnictwa Patriotycznego na Sejmie Wielkim, senatorze-wojewodzie Księstwa Warszawskiego, ministrze oświaty Księstwa i Królestwa Polskiego. Potoccy rezydowali w Wilanowie, gdzie zgromadzili bogate zbiory sztuki, starożytności itp.

SPIEWY HISTORYCZNE Juliana Ursyna Niemcewicza ukazały się w druku w 1816 z rysunkami utalentowanych dam: Ewy Sułkowskiej, Laury Potockiej i Cecylii Dembowskiej, oraz z muzyką kompozycji Marii Szymanowskiej, Marii Wirtemberskiej, Zofii Zamoyskiej i in. Stanowiły one próbę realizacji zrodzonego w warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk zamysłu stworzenia „pieśnioksięgu”, który miał objąć całość dziejów Polski. Popularności *Spiewów* nie dorównała żadna inna książka polska całego stulecia. Wiersze te były przez długie lata niewoli podręcznikiem patriotyzmu, z którego we wszystkich trzech zaborach uczyła się młodzież historii Polski. Pisał ks. Adam Jerzy Czartoryski w *Zywocie J.U. Niemcewicza* (Berlin-Poznań 1860):

„W salonach, w buduarach u pięknych pań leżały *Spiewy* roztwarte na ozdobnych stolikach między zbytkowymi gracikami. Czytano, śpiewano je; damy rysunkiem i muzyką przyczyły się do ich ozdobnego wydania; panienki uczyły się ich na pamięć i tym sposobem pokochały, poznały historię krajową. Wkrótce *Spiewy* z wyższych salonów zstąpiły do domów szlacheckich; z Warszawy i Krakowa zaszły nie tylko do

miast prowincjonalnych, ale na wieś do państwa, a od dworu na folwark i tam przez córkę oficjalisty, co z pensji na wakacje wróciła, śpiewane były. Elegantki parafii, jak elegantki warszawskie, unosiły się nad *Śpiewami*; nikt nie śmiał nie znać książki

Niemcewicza, przyznać się do nieznajomości dziejów swego kraju. Zdarzyło się, że z salonów *Śpiewy* zachodziły nawet do przedpokojów [...] nauczając na wszystkich piętrach, co jest Polska, czym była i jak ją kochać potrzeba."

„Pamiętnik Warszawski” z r. 1818 donosił jako o „nadzwyczajnym zjawieniu w księgarstwie polskim”, że 1500 egzemplarzy pierwszego wydania *Śpiewów* rozprzedano w siedem miesięcy. W ciągu trzech lat następnych rzucono na rynek jeszcze dwa wydania, tak że łączny nakład trzech wydań osiągnął cyfrę 20 000 egzemplarzy. W ówczesnych warunkach europejskich był to sukces bez precedensu.

Jerzego WASZYNGTONA poznał Niemcewicz w Ameryce w r. 1798. Bawił wówczas w Mount Vernon, posiadłości amerykańskiego bohatera narodowego, któremu poświęcił *Krótką wiadomość o życiu i sprawach generała Washington*, wydaną w jego *Pismach wierszem i prozą* (1803—1805). Nie brał natomiast udziału w żadnej kampanii w Ameryce ani też nie zetknął się z innym wybitnym politykiem amerykańskim z czasów wojny o niepodległość — Beniaminem FRANKLINEM, myślicielem i wynalazcą pionochronu, zmarłym już w r. 1790.

Klaudia z Działyńskich POTOCKA (1802—1836) to słynna później „pani Klaudyna”, anioł opiekuńczy żołnierzy-tulaczy, szukających po klęsce powstania listopadowego schronienia na ziemi obcej. W czasie powstania pielęgnowała chorych w szpitalach warszawskich, po upadku Warszawy osiadła w Dreźnie, na szlaku wielkiej emigracji, i wyprzedawszy klejnoty cały swój majątek i wszystkie siły oddała niesieniu pomocy każdemu nieszczęśliwemu Polakowi.

„Ta kobieta — pisał Mickiewicz — godzi z rodzajem ludzkim i może natchnąć znowu wiarą w cnotę i dobroć na ziemi. Zdaje się mieć życia tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły na służenie innym.” I pragnął „pani naszej”, jak zwali Klaudynę ubóstwiający ją żołnierze i poeci, poświęcić *Pana Tadeusza*:

„Zwyczajem autorskim proszę  
Panią o pozwolenie dedykowania.”

Nie pozwoliła, niczego tak nie unikając jak rozgłosu.

Maria z Czartoryskich księżna WIRTEMBERSKA (1768—1854), starsza córka generała ziem podolskich, nieszczęśliwa w zawartym dla wspaniałych paranteli małżeństwie z ks. Ludwikiem Wirtemberskim, z panującej rodziny książęcej, po rozwodzie z mężem osiadła przy rodzicach. W r. 1816 wydała *Matwinę, czyli Domyślność serca*, najlepszą powieść polską tych lat, uderzającą prawdą i subtelną analizą psychologiczną. Zainteresowanie współczesnych tą powieścią było ogromne: znajdowano w niej „wierny obraz towarzystwa warszawskiego i obrazy niektórych pojedynczych osób”, a także — i to jeszcze wzmagало pocztytność książki — domyślano się, że bohaterka tytułowa jest w dużej mierze portretem autorki.

Wojciech SKARSZEWSKI (1742—1827), prymas od r. 1824, zasłużył niewątpliwie na „przykre słowo”, był bowiem przedstawicielem najciemniejszych sił wśród duchowieństwa polskiego. Wybitny targowiczanie, jedynie interwencji nuncjusza papieskiego zawdzięczał uchylenie wyroku śmierci podczas insurekcji warszawskiej 1794 r. Był też przywódcą kampanii wyższego kleru przeciw działalności oświatowej min. Potockiego.

### *Obiad imieninowy*

Fryderyk SKARBEK (1792—1866), z wykształcenia ekonomista, profesor ekonomii politycznej na uniwersytecie warszawskim, prowadził ożywioną działalność społeczną, naukową, publicystyczną i literacką; jest autorem dzieł ekonomicznych, artykułów społeczno-gospodarczych, prac historycznych, pamiętników, powieści i kilkudziesięciu komedii wystawianych na scenie warszawskiej. Cieszył się opinią świetnego oratora. Zwłaszcza słynna była jego mowa z r. 1814 wygłoszona nad zwłokami ks. Józefa Poniatowskiego, przywiezionymi wówczas do kraju. W dzieciństwie, spędzonym w rodzinnej Żelazowej Woli, miał Skarbek za nauczyciela Mikołaja Chopina, ożenionego następnie z kuzynką hrabiny Skarbkowej, Justyną Krzyżanowską. Na intencję tego ucznia i przyjaciela dali państwo Chopinowie swemu synowi imię Fryderyk.

Autorytet Niemcewicza w społeczeństwie był rzeczywiście zupełnie niezwykły.

„Można śmiało powiedzieć — wspomina Andrzej Edward Koźmian — iż dwie były w owym czasie najsilniejsze potęgi w kraju, obie sprzeczne sobie: jedna wielkiego księcia [Konstantego], druga Niemcewicza, jedna ujemna, druga dodatnia, jedna fizyczna, druga moralna.”

Źródłem owej potęgi moralnej było — bardziej niż jego twórczość — życie poety, całkowicie poświęcone służbie krajowi. „Gdyby pokolenia umiały czytać historię takich ludzi, mogłyby na pewno dostrzec w nich drogi własnych przeznaczeń” — powie o Niemcewicu Mickiewicz w swych wykładach paryskich. „Niemcewicz stał za ręką mię prawości” — stwierdza Maurycy Mochnacki, a Andrzej Zamojski (por. niżej, przypis na s. 323) mówi o patriotyzmie swego pokolenia, że nie był on „mickiewiczowski, ale raczej niemcewiczowski”.

JAN Z TĘCZYNA — powieść historyczna Niemcewicza wydana w r. 1825. Tematem jej są dzieje tragicznie zakończonej miłości wojewody bełskiego Jana Baptysty Tęczyńskiego (ok. 1540—1563) i królowej szwedzkiej Cecylii. Miarą poczytności utworów Niemcewicza może być fakt, iż księgarz Glücksberg wypłacił mu za *Jana z Tęczyna* pewną sumę jako honorarium autorskie. Było to w owych czasach wydarzenie wprost sensacyjne. „Szczęśliwym wybrańcem losu mógł się nazwać autor, którego utwór zamieściło bezpłatnie wydawnictwo... W przeciwnym razie musiał swą pracę drukować własnym nakładem albo też szukać łaskawego mecenasa.” Opisany przez Skarbka obiad odbył się w r. 1828 u tejeż wojewodziny Potockiej, w której salonie Niemcewicz odczytywał fragmenty powieści przed jej wydaniem.

Ludwik OSIŃSKI (1775—1838) — pseudoklasyyczny poeta, krytyk i tłumacz, profesor literatury porównawczej na uniwersytecie warszawskim, dyrektor Teatru Narodowego po Wojciechu Bogusławskim, nieubłagany wróg nowych prądów w literaturze. Złośliwy dowcip, dar pięknej wymowy, łatwość rymowania, znajdująca wyraz w licznych wierszach okolicznościowych i odach, ogląda umysłowa i talenty towarzyskie zyskiwały Osińskiemu wielką popularność w stolicy Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego.

### W Ursynowie

DZIADUNIO to Teodor Januszewski (1756—1837), ojciec Salomei Słowackiej, zarząca dóbr Liceum krzemienieckiego.

Tomasz POTOCKI (1809—1861) był sąsiadem Słowackiego w pałacu Paca przy ul. Miodowej w Warszawie (dziś Ministerstwo Zdrowia). Pałac Paca był w owym czasie ludny i gwarny, zamieszkały przez wiele rodzin.

„Wszyscy się tam znali, wszyscy odwiedzali i wszyscy schodzili w ogródku, który był w samym środku głównego podwórza — pisała Bogusława z Dąbrowskich Mańkowska w swym *Pamiętniku* (Poznań 1880—1882) — [...] wspomnieć muszę o czcigodnej i licznej rodzinie hr. Michała Potockiego, który miał wtenczas dwóch dorosłych synów, Tomasza i Henryka, tak zaszczytnie znanych z odwagi i poniesionych w roku trzydziestym ran.”

Anna LUBAŃSKA, z pierwszego męża Radziwiłłowa, była znajomą poety z Wilna.

Jan ŚNIADECKI (1756—1830) — matematyk i astronom, profesor uniwersytetu krakowskiego, później wileńskiego, zaprzyjaźniony z domem pani Słowackiej. Młodziutkiego poetę, przejętego nowym duchem w poezji, razić musiały apodyktyczne sądy Śniadeckiego wymierzone przeciw romantyzmowi.

### Na obczyźnie

O Ignacym Domeyce zob. niżej, s. 304.

TOWARZYSTWO LITERACKIE powstało w Paryżu w kwietniu 1832 r. „Pomimo nadanej mu nazwy nowemu stowarzyszeniu nie o uprawę literatury chodziło — pisze Lubomir Gadon w t. I *Emigracji polskiej* (Kraków 1901). — Była to raczej garstka patriotów, którzy chwyтали za pióro, aby nim dalej bronić sprawy, poruszyć opinię publiczną i ożywić obronę praw pogwałconych. Fundamentalny artykuł ustawy opiewał, że przedmiotem Towarzystwa będzie «zbierać i ogłaszać materiały dotyczące się dawnego Królestwa Polskiego, jego obecnego położenia lub pomyślności przyszłej, a to w widoku zachowywania i ożywiania w opinii narodów spólczenia, które dla Polski okazywały».”

Pod koniec grudnia 1832 r. zawiązało się również w Paryżu TOWARZYSTWO

NAUKOWEJ POMOCY, stawiające sobie za cel opiekę nad kształceniem polskiej młodzieży wychodźczej przez zbieranie środków materialnych, zakładanie szkół, ułatwianie wstępu do francuskich zakładów naukowych itp.

Wybitne postaci emigracji polistopadowej wymienione przez Domeykę to: Adam Jerzy CZARTORYSKI, syn Adama Kazimierza, przywódca prawicy emigracyjnej; Karol KNIAZIEWICZ, generał napoleoński, przedstawiciel rządu powstańczego w Paryżu, podobnie jak Ludwik PLATER — wiceprezes Towarzystwa Literackiego; Bonawentura NIEMOJOWSKI, poseł opozycyjny sejmowi Królestwa, członek rządu powstańczego; zwycięzca spod Stoczka Józef DWERNICKI; generał Kazimierz MAŁACHOWSKI, wódz naczelny przed kapitulacją Warszawy; wreszcie przyszli bohaterowie węgierskiego powstania 1848/49 r. — generałowie Henryk Dembiński, również kilkudniowy wódz naczelny w r. 1831, i Józef Bem.

LUDWIK Filip, ks. Orleański, wyniesiony na tron francuski przez rewolucję lipcową w r. 1830, przebywał w Stanach Zjednoczonych jako emigrant polityczny w latach 1796—1800.

Dominique-Georges de PRADT (1759—1837), arcybiskup Malines, był w latach 1811—1812 rezydentem Napoleona w Warszawie. Niemcewicz tak go scharakteryzował w *Pamiętnikach czasów moich*: „Nie było człeka mniej stworzonego do tak ważnego urzędu. Figura nikczemna, żadnej w sobie nie mająca godności; zamiast rozsądku dowcip satyryczny, zamiast powagi ustawiczne kręcielstwo...”.

Karolina z Borzymowskich GIEDROYCZOWA — wdowa po generale Romualdzie, bohaterze walk powstańczych na Litwie w 1794 r., znana z patriotyzmu matka pułkownika napoleońskiego Józefa Stefana, również przebywającego na emigracji, i pi-sarki Łucji Rautenstrauchowej.

O Adamie Sołtanie, krewnym i przyjacielu Zygmunta Krasieńskiego, zob. niżej, s. 319.

Charles-Maurice TALLEYRAND de Périgord (1754—1838) — jeden z najgłośniejszych polityków epoki, znany zarówno z wybitnych zdolności, jak i z giętkości, która pozwalała mu utrzymać się na świeczniku przy ciągłej zmianie rządów. Przytoczona jego opinia brzmi w przekładzie: Żadne rokowania na nic się wam nie zdadzą. Trzeba, żebyście wybili sobie z głowy tę Polskę.

### *Chrzestny ojciec*

Maria GORECKA (1835—1922) była najstarszą córką Adama Mickiewicza. Swe wspomnienia o ojcu spisała dla najmłodszego brata, Józefa, który, osierocony w piątym roku życia, nie mógł we własnej pamięci zachować obrazu domu rodzicielskiego. Wspomniany przez nią Władzio to najstarszy syn poety, Władysław (zob. niżej, s. 325).

## ANTONI MALCZEWSKI

## „Piękny jak anioł”

Materiałów do biografii Antoniego Malczewskiego istnieje bardzo niewiele, a i te podają często informacje sprzeczne. Brak własnych wspomnień poety, bardzo szczupła jego korespondencja, długie okresy całkowitej izolacji od ludzi w jego niedługim życiu — wszystko to otacza Malczewskiego urokiem romantycznej tajemniczości. Już okoliczność przyjścia jego na świat budzi spory: jedni podają, że urodził się w Warszawie, inni, że w Kniahininie, majątku rodzinnym w pobliżu Dubna. Ustalono, że stało się to dnia 3 VI 1793 r. Wiadomo, że ojcem jego był generał Jan Malczewski, człowiek zamożny, który dla ratowania majątku przystąpił do konfederacji targowickiej, matką zaś Konstancja z Bleszyńskich, przedstawiająca typ modnej, rozbawionej damy. Najwcześniejsze lata dzieciństwa spędził więc Antoni Malczewski w atmosferze wykwinnego świata zabaw i zbytku. „W domu rodzicielskim pierwsze wychowanie odebrawszy, wielkiej natenczas wziętości francuszczyzną przesiąkł tak dalece, iż się dopiero późno wyuczył języka polskiego” — pisze August Mosbach, literat i historyk polski zamieszkały we Wrocławiu, w przedmowie do wrocławskiego wydania *Marii* z r. 1851. Po śmierci matki w r. 1800 (ojca utracił w osiem lat potem) chłopcem opiekowali się stryj Franciszek Malczewski i ciotka Julianna Skibicka. Im to zawdzięczał edukację w słynnym Liceum krzemienieckim.

Wg przypuszczeń Józefa Ujejskiego, który poświęcił Malczewskiemu monografię, autorem anonimowo opublikowanej relacji był Teofil Januszewski (1798—1865), najmłodszy brat pani Salomei Słowackiej-Bécu, urodzony i wychowany w Krzemieńcu. W r. 1827 poślubił pasierbicę swjej siostry, Hersylię Bécu; obydwójce należeli do najbliższych przyjaciół Juliusza Słowackiego.

Dnia 1 X 1805 r. stokratny wystrzał z armat i dzwony kościołów wołyńskich obwieściły uroczystą chwilę otwarcia LICEUM krzemienieckiego, któremu skromne miasteczko nad Ikwą zawdzięczało chlubny przydomek Aten wołyńskich. Szkoła, której twórcą, opiekunem i dobrodziejem był Tadeusz Czacki, spełniała na południowo-wschodnich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej taką rolę, jaką na północno-wschodnich odgrywał w tym samym czasie Uniwersytet Wileński. Wpływ Krzemieńca na naukę, kulturę, oświatę w Polsce był olbrzymi. W jego murach, pod kierunkiem takich profesorów, jak Joachim Lelewel, Euzebiusz Słowacki, Alojzy Feliński, Aleksander Mickiewicz (brat Adama) — kształciła się młodzież, która później zasłynęła w rozmaitych dziedzinach sztuki, kultury, nauki, pracy publicznej. Wyszli z Liceum m. in. poeci: Antoni Malczewski, Maurycy Gosławski, Tymon Zaborowski, Stefan Witwicki, Franciszek Kowalski (por. niżej. s. 295), powieściopisarz i dramaturg Józef Korzeniowski. W r. 1830, na wieść o wybuchu powstania w Warszawie, bieg nauk w Krzemieńcu został przerwany, a nieco później z rozporządzenia władz carskich Liceum zamknięto. Nowy, krótki okres odrodzenia szkoły przypadł na lata między pierwszą a drugą wojną światową.

### *Romantyczna młodość*

Konstanty GASZYŃSKI (1809—1866) — poeta, dozgonny przyjaciel Zygmunta Krasińskiego, z którym kolegował na ławie szkolnej w warszawskim Liceum. Czynny uczestnik życia literackiego Warszawy kongresowej, walczył w powstaniu listopadowym, a po klęsce przeszedł granicę pruską. Resztę życia spędził na emigracji we Francji, gdzie współpracował jako dziennikarz z prasą francuską. Jego wiersze żołnierskie i patriotyczne, opublikowane w zbiorze *Pieśni pielgrzyma polskiego* (1833), bardzo popularne wśród współczesnych, wysoko cenil Mickiewicz. Ogłosił m. in. romans historyczny *Dwaj Śreniawici* (1830), *Kontuszowe pogadanki* (1851), obrazek z życia emigracyjnego *Pan Dezydery Boczek i sługa jego Pafnucy* (1846). Sam charakteryzował własną twórczość wyznaniem: „Serdeczność jedyną rymów mych zaletą.”

Cytowane tu wspomnienia oparł Gaszyński na opowiadaniach towarzysza pułkowego poety, spisując je jednak dopiero po wielu latach — dobrze zachował w pamięci fakty, ale nieco pomylił daty.

Przebieg służby wojskowej Malczewskiego ustalił na podstawie urzędowych źródeł Cezary Biernacki („Dziennik Warszawski” 1854, nr 433):

„... wszedł w służbę na podporucznika dn. 1 września 1811 r. do Korpusu Inżynierów. Dnia 1 maja 1812 r. postąpił na porucznika do artylerii konnej. Dnia 1 lipca t. r. przeniesiony na adiutanta polowego do sztabu generała Ksawerego Kosseckiego. Dnia 29 maja 1813 r. do sztabu kwatremistrzostwa jeneralnego odkomenderowany. Odbył kampanię w r. 1813 w Polsce, znajdując się w oblężeniu twierdzy Modlina, w skutku kapitulacji której dostał się do niewoli.”

Iwan Fiodorowicz PASKIEWICZ (1782—1856), naczelny wódz armii carskiej w Polsce od 26 VI 1831 r., tytuł hrabiego Erywańskiego otrzymał za zdobycie Erywania w wojnie rosyjsko-perskiej 1826—1827 r., księcia Warszawskiego — za ostateczne stłumienie powstania listopadowego. Jako namiestnik Królestwa w latach 1831—1856 wsławił się bezwzględnyimi metodami policyjnego terroru, tępieniem wszystkiego, co polskie.

POJEDYNEK poety z przyjacielem, również Wołyniakiem, Aleksandrem Błędowskim (1788—1831), oficerem ułanów Księstwa Warszawskiego, zasłużonym w kampaniach r. 1809, 1812 i 1813, powstańcem 1831 r., odbył się prawdopodobnie już w r. 1812, gdyż właśnie rana w nodze uniemożliwiła Malczewskiemu wzięcie udziału w wyprawie moskiewskiej Napoleona. Przyczyną przyjacielskiej zwady była piękna i zalotna hrabina Karolina Chodkiewiczowa, adorowana w tym czasie przez Malczewskiego i dająca nawzajem swymi względami urodziwego oficera.

Nazwisko damy, do której stał Malczewski liściki miłosne z oblężonego Modlina, nie zachowało się w niczym wspomnieniu. Znana jest natomiast KSIĘŻNA L., której miłość była pierwszym poważnym przeżyciem romantycznego młodzieńca. To Franciszka z Załuskich Lubomirska, żona Fryderyka, wicegubernatora wołyńskiego, która, porzucając właśnie męża, szukała przygód w świecie. Zawiedziony w swych uczuciach i po

raz pierwszy głęboko smutny, puścił się poeta w samotną podróż po Europie. W Wenecji poznał podobno lorda Byrona, w Szwajcarii wdarł się na Mont-Blanc, jako ósmy w ogóle, a pierwszy z Polaków zdobywca tego najwyższego alpejskiego szczytu.

Ernst Theodor Amadeus HOFFMANN (1776—1822) — jeden z najwybitniejszych romantyków niemieckich, autor fantastycznych opowieści, w których wielką rolę odgrywają tajemne siły, magia itp. BALZAC został tu przywołany ze względu na zainteresowania tajemniczymi, niezbadanymi zjawiskami, którym to zainteresowaniom dał wyraz w takich utworach, jak *Jaszczur*, *Ludwik Lambert* i in.

### *Na Mont-Blanc*

Jest to list Malczewskiego do profesora Marc-Auguste Picteta, szwajcarskiego przyrodnika, twórcy obserwatorium na Górze Św. Bernarda w Alpach i współzałożyciela genewskiego czasopisma naukowego „Bibliothèque Universelle”. Prof. Pictet opublikował list, pisany przez poetę po francusku, w swoim czasopiśmie w r. 1818, a w kilka miesięcy później przedrukował go w polskim przekładzie „Dziennik Wileński”.

Horace-Bénédict de SAUSSURE (1740—1799) — słynny szwajcarski fizyk i przyrodnik, jeden z pierwszych zdobywców Mont-Blanc i otaczających szczytów, zasłużony badacz i popularyzator wiedzy o Alpach.

Basil HALL (1788—1844) — angielski podróżnik, który jako oficer marynarki zwiedził wiele krajów. Swą podróż do wybrzeży Korei opisał w książce wydanej w r. 1818.

### *Sąsiedzka wizyta*

Franciszek KOWALSKI (1799—1862), wychowanek Liceum krzemienieckiego, zasłużył się przekładem zbiorowych dzieł Moliera, pomyślanym, zgodnie z zaleceniami epoki Oświecenia, jako przeróbka przystosowująca utwory obcego autora do stosunków polskich. W trosce o „przebranie w strój polski” komedii znakomitego Francuza Kowalski przerabiał nazwiska (np. Georges Dandin został Grzegorzem Fafulą), w usta chłopów wkładał polską gwarę, nawet sytuacje przystosowywał do aktualnych stosunków polskich. Obdarzony niezwykłą łatwością rymowania, pisał Kowalski wielce popularne piosenki oraz fraszki, dowcipne, lekkie, improwizowane na poczekaniu. W całej Polsce śpiewano wtedy i później do dziś znaną piosenkę *Tam na bloniu błyszczą kwiecie...*; Kowalski ułożył ją w czasie powstania listopadowego, pełniąc służbę w twierdzy Zamościa.

Julia MODZELEWSKA była matką Zofii Marii RUCIŃSKIEJ, która zaważyła tak fatalnie na życiu poety. Pani Rucińska, mieszkająca wraz z mężem, podśędkiem, i dziećmi w pobliżu Hrynowa, mająteczku, który Malczewski wziął w dzierżawę po



powrocie z zagranicy, cierpiała na jakąś chorobę nerwową. Malczewski spróbował ją leczyć modnym wówczas w całej zachodniej Europie magnetyzmem. Teoria magnetyzmu, twór wiedeńskiego lekarza Franza Mesmera (1734—1815), zakładała istnienie w organizmie magnetycznych fluidów, które przy leczeniu chorób nerwowych leczący miał przekazywać osobie cierpiącej. Kuracja pani Rucińskiej okazała się zbawienna dla niej, zębna dla niego. Rozhisteryzowana kobieta zaczęła coraz częściej wzywać do siebie pięknego magnetyzera, aż wreszcie i on, obok udręczonego męża, stał się niewolnikiem jej nerwów i jej osoby. Sytuację ówczesną ukazuje w *Notatkach z mojego życia* (Poznań 1873) poeta, powieściopisarz i tłumacz rodem z Wołynia Henryk Cieszkowski:

„Pamiętam ich wizyty u nas w Bortnowie. Przyjeżdżali oboje [Rucińska i Malczewski] w karecie, a mąż na koźle, bo mąż tylko wieść potrafił ją bez bólów nerwowych, którym w drodze ulegała. Wchodzili razem do salonu, mąż za nimi z bańką ciepłej wody, którą jej nogi ogrzewał. I rozsunięte z początku ich krzesła powoli przysuwały się, ręka w rękę weszła i w tej pozycji do końca wizyty pozostawali.”

Na próżno poeta próbował uciezki.

### *Próba uciezki*

Henrieta z Działyńskich BŁĘDOWSKA, z drugiego męża Rottermundowa (1794—miedzy 1860 a 1865), córka wybitnego uczestnika spisku przygotowującego powstanie 1794 r., była żoną właściciela Błudowa, owego Aleksandra Błędowskiego, który pojedynkował się z Malczewskim w Warszawie. W jej pamiętniku przechował się obraz życia wołyńskich i ukraińskich dworów i pałaców pierwszej ćwierci XIX w.

### *Ostatni akt*

Franciszek Salezy DMOCHOWSKI (1801—1871) — poeta, tłumacz, krytyk, dziennikarz i wydawca, jeden z najczynniejszych literatów warszawskich pierwszej połowy XIX w. Spod jego pióra wyszła krytyczna ocena sonetów Mickiewicza, na którą poeta odpowiedział słynną rozprawą *O krytykach i recenzentach warszawskich*. On również zamieścił w październikowym numerze redagowanej przez siebie „Biblioteki Polskiej” z 1825 r. pierwszą recenzję *Marii* Malczewskiego — jedyną, jakiej poeta doczekał się za życia. Recenzja była chłodna i nieprzychylna; zwolennik estetyki klasycznej nie dojrzał piękna poematu i chwalać wprawdzie talent autora — wytknął mu jednak przede wszystkim usterki stylu, kompozycji, formy. Sąd czołowego krytyka warszawskiego kładł kres marzeniom poety o sławie. W cytowanym tu pamiętniku, pisanym po r. 1850, Dmochowski próbuje zbagatelizować swą mimowolną zresztą rolę w kłęsce Malczewskiego.

MARIA ukazała się w początkach sierpnia 1825 r. nakładem własnym autora, który zapożyczył się na ten cel na sumę 1000 zł. Nikt nie chciał kupować książeczki nie-

znanego autora. Był to ostateczny cios dla poety, udęczonego nędzą, chorobą, kłopotliwą sytuacją życiową i nerwami swej towarzyski. 2 V 1826 r. Antoni Malczewski zakończył życie.

Żadne z pism współczesnych nie poświęciło mu choćby kilku słów wspomnienia. Tylko „Kurier Warszawski” z 5 V poinformował swych czytelników:

„Obecni tu przyjaciele śp. WJPana Antoniego Malczewskiego oddali mu ostatnią chrześcijańską przysługę, znajdując się przy pochowaniu jego zwłok na cmentarzu Powązkowskim.”

Dopiero w cztery lata po śmierci Malczewskiego zabrał głos wódz romantyków warszawskich, Maurycy Mochnacki, i odtąd datuje się wielka pośmiertna sława autora *Marii*. Mochnacki pisał m. in. (*O literaturze polskiej w wieku XIX*):

„Poświęćmy kilka słów cieniem poety, który za dni swoich tak był skromny i tak cichy — tak natchniony, a tak mało znany rodakom, spółzemiautom. Urońmy łzę na jego grobowcu, bo wieszcz umarły jest patronem żywych. Smutna powieść jego, jak dumy i śpiewy tego kraju, gdzie się urodził. Ofiara nieumiejętnej krytyki, co ją przed kilką laty na zapomnienie skazała! — Publiczność polska nie zna *Marii* Malczewskiego. Nie we wszystkich ręku znajduje się to poema. Nie rozkupiono małej liczby odbitych egzemplarzy. Przykład nieprawdy recenzentów godny pamięci. *Maria* Malczewskiego jest jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej...”

Zawrzało w warszawskim świecie literackim. *Maria* stała się tematem rozmów i sporów po salonach i kawiarniach. Kronikarz warszawskiego życia kulturalnego w okresie przedpowstaniowym, Kazimierz Wł. Wójcicki, kreśli w swej *Kawie literackiej* (Warszawa 1873) scenkę takiej gorącej dyskusji w popularnej kawiarni zwanej „Dziurką”. Jeden z jej uczestników kończy rzecz słowami:

„Mój bratku! teraz, kiedy wam zdjął kurzą ślepotę Maurycy, pokazawszy całą wysoką wartość *Marii*, to szermujesz śmiało za Malczewskim, a gdy wydał swoją *Marię*, to nikt nie chciał egzemplarza kupić. Kiedy umarł, kilku nas tylko poszło za trumną, cośmy garstkę ziemi rzucili na martwe zwłoki wielkiego poety. Niedawno to temu, a dziś już nikt nie wie, gdzie spoczywa, i ja sam pamiętam tyle tylko, że gdzieś w pobliżu ponurych katakumb. Taka to nagroda na tym świecie dla geniuszów i wyższych ludzi, co przynoszą o całą głowę głupią gawiedź.”

## ALEKSANDER FREDRO

Aleksander Fredro urodził się w r. 1793 w Galicji w zamożnej rodzinie szlacheckiej o pretensjach arystokratycznych. Dzieciństwo upłynęło mu na wsi i we Lwowie. Systematycznego wykształcenia nie odebrał. W latach 1809—1814 walczył w szeregach wojsk Księstwa Warszawskiego, gdzie dosłużył się stopnia kapitana, resztę życia spędził bądź we Lwowie, bądź w swych dobrach, dzieląc czas między gospodarowanie i pracę literacką. Brał też udział w życiu publicz-

nym Galicji, jako deputowany do galicyjskiego sejmu stanowego, członek Rady Narodowej w r. 1848, w 1861 poseł na Sejm Krajowy; interesował się zwłaszcza przedsięwzięciami natury gospodarczej. Lata 1850—1855 spędził w Paryżu. W druku debiutował w r. 1816 anonimowymi wierszami pisanymi w manierze pseudoklasykcyjnej. W r. 1817 wystawił na scenie lwowskiej pierwszą komedię — *Intrygę na przedce*. Do r. 1835 trafiło na deski sceniczne około 20 dalszych, wśród nich najbardziej znane, takie jak *Pan Geldbab*, *Mąż i żona*, *Damy i buzary*, *Pan Jowialski*, *Śluby panięskie*, *Zemsta*, *Dożywocie*. Następując teraz długa przerwa w twórczości Fredry: komediopisarz złamał pióro najpewniej urażony ostrą krytyką pisarzy demokratycznych, którzy zarzucili mu brak ducha narodowego, porównując jego komedie z najwyższymi wzlotami literatury emigracyjnej. Uraz był tak głęboki, że chociaż około 1854 r. pisarz podjął ponownie zatrudnienia literackie, powstałych wówczas komedii (m. in. *Wielki człowiek do małych interesów*, *Rewolwer*, *Wychowanka*) nie ogłaszał drukiem ani nie wystawiał. Publiczność poznała je dopiero po śmierci Fredry, który zmarł w r. 1876.

### „Strach przestraszony”

Pamiętniki Fredry, pisane w latach 1844—1846, nie były przeznaczone do druku. Miały one pozostać „jako pamiątka w rękopiśmie dla rodziny”. Jednakże pod koniec życia znakomity pisarz wyraził zgodę na ich ogłoszenie, choć w dalszym ciągu twierdził, że nie są „godne druku”. Zupełnie innego zdania są czytelnicy i krytycy. Władaw Borowy stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że *Trzy po trzy* to nie bezładna gawęda, ale świadoma konstrukcja literacka, której swobodny, pozornie chaotyczny, pełen dygresji tok odpowiada popularnym w owej epoce wzorom. Pod żartobliwym tytułem *Trzy po trzy* i żartobliwą na ogół formą narracji powiedział nam Fredro w swych pamiętnikach o sobie więcej, niż moglibyśmy się domyślać z jego utworów. Podnosi to w przedmowie do cytowanego wydania Adam Grzymała-Siedlecki pisząc:

„...z komedii Fredrowskich poznajemy Cześników i Rejentów, Podstoline i Szambelanów, Zdzisławów, Czesławów, Klary i Aniele, i Edwinów — natomiast dość dalekim znajomym pozostaje dla nas Fredro. Sądząc po conceptach i dogryzkach satyrycznych, zdajemy sobie sprawę z jego umysłowości; ale umysłowość jest, jak wiadomo, najmniej podmiotową (użyjmy paradoksu) cechą ludzkiej osobowości; najmniej nam ona powie o życiu i czynach jednostki; chętniej pragnęlibyśmy poznać w człowieku świat jego uczuć, emocyj, w ogóle pole jego instynktów, słowem, to, co budzi wolę, postanowienia; co jest motorem, nie hamulcem. Tych motorycznych pierwiastków, tak już jawnych u Mickiewicza czy Słowackiego, u Sienkiewicza czy Wyspiańskiego, brak nam w starej twórczości Fredry... I oto dopiero te szczere, w zupełnej poufności kreślone pamiętniki odsłaniają nam pełnię duchowego oblicza Fredry. Tutaj, nie tamowany żadnym przepisem estetycznym, drga żywy człowiek...”

Uwaga Dąbrowskiego była o tyle istotna, a zupełna ignorancja Fredry oczywista, że zachowanie ŚREDNIÓWKI — przedziału międzywyrazowego występującego regularnie po określonej liczbie sylab, stanowiło jeden z głównych przepisów klasycznej teorii wiersza.

Adresat cytowanego wierszyka to Ludwik JELSKI (1785—1843), uczestnik kampanii napoleońskich, prezes Banku Polskiego w Warszawie za Królestwa, na emigracji w Paryżu sekretarz Towarzystwa Literackiego.

### *Szabla i pióro*

Ludwik JABŁONOWSKI (1810—1887) jest jednym z najciekawszych pamiętnikarzy XIX-wiecznych. Zarówno bardzo czynne jego życie osobiste (walczył w powstaniu listopadowym, spiskował przeciw Austriakom w tajnych związkach galicyjskich 1832—1846, cierpiał w więzieniu lwowskim, był porucznikiem gwardii narodowej w 1848 r.), jak i stosunki pokrewieństwa czy przyjaźni z luminarzami lwowskiego życia kulturalnego i działaczami patriotycznymi dostarczyły jego wspomnieniom wiele materiałów obyczajowych i faktograficznych. A Jabłonowski umie opowiadać jak rzadko kto — nie darmo w czasach swej romantycznej młodości marzył o laurach poety. Pamiętniki swe pisał po klęsce Wiosny Ludów, rozgoryczony i zgorzkniały, osamotniony w swym Nastasowie na Podolu i nieprzystępny nawet dla najbliższych.

Aleksandra Fredry, ożenionego z jego siostrą Zofią, nie lubił, co łatwo wyczytać w jego pamiętniku, choćby nawet i w cytowanym tu opisie wyglądu pisarza, jak i w lekceważeniu jego wykształcenia. Inaczej opisuje Fredrę Franciszek Ksawery Prek (*Czasy i ludzie*, Wrocław 1959): „Jest wzrostu miernego, twarzy ściągłej, nosa miernego, trocha wygiętych w nim dziurek, oczu czarnych, ognistych, ust równych, włosów rudych, nieco szczupły, posiada umiejętności, języki francuski i niemiecki doskonale, rozumie wiele, jest dowcipny, trochę uszczypliwy, polityk wielki, filut, wyśmiewa drugich, jednakże jest szlachetny, nigdy zaś pochlebny. Ma nadzwyczajny talent.”

Zaś wnuczka pisarza, Maria z Fredrów Szembekowa, wręcz zaprzecza słowom Jabłonowskiego (w książce *Niegdyś...*, por. s. 53):

„Z opisu ogłoszonego przez Ludwika Jabłonowskiego nie mogłabym go poznać [...] Nie miał on, jak pisze wuj Jabłonowski, oczu szarych, ale piwne, o wyrazie żywym i przenikliwym, za młodu był — sam to w *Trzy po trzy* przyznaje — rudy i dlatego «Rudziem» go w rodzinie nazywano; za mojej pamięci włosy miał bujne, miękkie, śnieżnobiałe, wąs siwy, dość krótko przystrzyżony, uśmiech rzadki, ale, wbrew twierdzeniu szwagra, Jabłonowskiego, bardzo miły [...] Jeżeli — jak dalej twierdzi wuj Jabłonowski — dziad był ospą znaczoney, to chyba bardzo nieznacznie; nigdy śladów tych nie zauważyłam. Ospę przebywał w późnym wieku, gdzieś około r. 1866 czy może i wcześniej [...] zaraził się nią od golibrody przychodzącego go codziennie golić...”

Do wojska wstąpił szesnastoletni Aleksander Fredro po wybuchu wojny francusko-austriackiej w 1809 r. Dwaj starsi jego bracia, Maksymilian i Seweryn, byli już

w szeregach. „Maksymilian — notuje Fredro w swym pamiętniku — został adiutantem księcia Józefa. Będąc potem szefem szwadronu 2 pułku ułanów Tyszkiewicza, robił kampanię 1809 roku. Później został majorem [...] w 5 pułku strzelców konnych Kuratowskiego. Że zaś ja awansowałem na kapitana adiutanta-majora — do tegoż samego pułku, odbyliśmy obok siebie kampanię 1812 r.” Po ucieczce z niewoli rosyjskiej i krótkim odpoczynku we Lwowie wyruszył Fredro do Saksonii i tam przy boku drugiego brata, Seweryna, dowódcy batalionu gwardii cesarskiej, wziął udział w kampanii 1813—1814. W Dreźnie otrzymał krzyż *Virtuti Militari*, a w rok później Legię Honorową.

Po klęsce Napoleona powrócił do kraju z oddziałami wojska polskiego, przyprawdzonymi przez gen. Wincentego Krasińskiego.

„Osiemnastego lutego roku 1814 — pisze Fredro w pamiętniku — jechał na białym koniu człowiek średniego wieku, nieco otyły, w sieraczkowym surducie pod szyję zapiętym, w kapeluszu stosowanym, bez żadnego znaku prócz małej trójkolorowej kokardy. Za nim w niejakiej odległości drugi, znacznie młodszy, także w surducie, ale ciemnozielonym, także w kapeluszu bez znaków, także zgarbiony równie jak pierwszy, a może i lepiej — siedział na dereszowatym koniu. Koń biały, krwi orientalnej, był niewielki, niepokaźny, ale dzielny. Deresz zaś był... dereszowaty, trudno co o nim więcej powiedzieć; nie wstrzymywany ani sławą przodków, ani swoim własnym usposobieniem, potykał się często na drodze, którą mu los codziennie wyznaczał. Pierwszym z tych jeźdźców był Napoleon, drugim byłem ja.”

Dawid IGEL — założyciel głośnej dynastii antykwariuszy lwowskich, początkowo domokrażny sprzedawca starych druków, od r. 1816 właściciel antykwariatu. Ostatni antykwariusz Igel, prawnuk Dawida — Zygmunt, zginął podczas drugiej wojny światowej.

### „Mąż i żona”

Jan Aleksander FREDRO (1829—1891) — jedyny syn wielkiego komediopisarza, również komediopisarz i żołnierz. W czasie Wiosny Ludów walczył w powstaniu węgierskim, później, od 1850 r. do 1857, przebywał na emigracji we Francji; do kraju powrócił po amnestii i osiadł w majątku rodzinnym Beńkowa Wisznia.

Mieszkając w Jatwięgach Aleksander Fredro napisał: *Intrygę na prędcę* (przerobioną następnie na *Nowego Don Kiszota*), *Pana Geldbaba*, *Zrządność i przekorę*, *Męża i żonę*, *Cudzoziemczynię* oraz sporo wierszy; z tego też okresu datuje się pomysł *Odludków i poety*. *Męża i żonę*, komedię napisaną prawdopodobnie w r. 1821, wystawił teatr lwowski 29 IV 1822 r.

### Czwartkowe obiady

Zygmunt KACZKOWSKI (1825—1896) — wybitny powieściopisarz historyczny, autor m. in. cyklu *Ostatni z Nieczujów* — z czasów stanisławowskich, oraz *Olbrachto-*

wych rycerzy. W młodości związany z ruchami narodowyzwoleńczymi, więziony dwukrotnie przez władze austriackie, w r. 1863 posunął się do zdrady narodowej. Zmiany zachodzące w jego poglądach odzwierciedlają już pisane w latach pięćdziesiątych (przed drugim aresztowaniem) powieści współczesne, niechętnie demokratom.

Maksymilian FREDRO (1784—1846), najstarszy brat Aleksandra, po upadku Napoleona zmienił orientację polityczną, ożenił się z Rosjanką i został adiutantem cara. W latach 1826—1830 mieszkał w Warszawie, gdzie prowadził salon literacki.

Historia MAŁŻEŃSTWA i jedynej wielkiej miłości w życiu Fredry miała przebieg bardzo romantyczny. Zofia Jabłonowska wydana została za mąż w piętnastym roku życia za znacznie od niej starszego, lecz niezmiernie bogatego, hr. Stanisława Skarbka, dziwaka, nie dbającego zupełnie o piękną, młodziutką żonę. Fredro poznał ją w Wiedniu, wracając do kraju po klęskę Napoleona, i obraz jej pozostał w jego sercu na zawsze. Po kilku latach nieszczęśliwego pożycia Zofia opuściła męża i wróciła do rodziców, mieszkających w pobliżu Fredrowskich Jatwieg. Bliskie sąsiedztwo dawało okazję do częstych spotkań, młodzi pokochali się wzajemnie, ale rodzina Zofii nie chciała się zgodzić na rozwód. Jedenaście lat walczy Fredro o swe szczęście, chwilami myśli nawet o samobójstwie, cierpi, rozpacza, szaleje — nareszcie jednak przełamuje opory i 8 XI 1828 r. poślubia swą ukochaną.

Tadeusz WASILEWSKI (1795—1850) — działacz społeczno-polityczny w Galicji, deputat do sejmu stanowego, szermierz sprawy uwłaszczenia chłopów. Wobec braku polskiej kadry urzędniczej pełnił bezinteresownie funkcję rady w lwowskim Gubernium, tj. zarządzie administracyjnym Galicji.

Henryk LUBOMIRSKI (1777—1850) — syn Ludwika z Sosnowskich, ukochanej Kościuszki, pierwszy (od r. 1827) kurator lwowskiego Zakładu im. Ossolińskich, ogromnie zasłużony dla rozwoju Ossolineum.

Jan SAGATYŃSKI (zm. 1849) — paź Stanisława Augusta; towarzyszył królowi na wygnaniu w Petersburgu. Głośny z dowcipu i daru opowiadania, spisał swoje wspomnienia. *Pamiętnik... byłego pазia króla Stanisława Poniatowskiego* ukazał się w Poznaniu w r. 1845.

Aleksander BATOWSKI (1799—1862) — lwowski bibliofil i kolekcjoner rycin, współpracujący z Ossolineum.

Jan Nepomucen KAMIŃSKI (1777—1855) — dyrektor i reżyser teatru lwowskiego, autor i tłumacz ok. 80 sztuk teatralnych. On to wystawił po raz pierwszy komedię Fredry na scenie.

Wincenty POL, uczestnik powstania listopadowego, po krótkim pobycie na emigracji osiadł w r. 1832 w Galicji. Ogromną popularność zawdzięczał wierszom patriotycznym stanowiącym jakby kronikę walk powstańczych, wydanych w Paryżu w r. 1833 jako *Pieśni Janusza*.

KUFSTEIN był najcięższym w Austrii więzieniem dla przestępców politycznych.

### *Pan Fredro*

Jerzy LESZCZYŃSKI (1884—1959) — wybitny aktor, jeden z najświetniejszych odtwórców ról Fredrowskich na polskich scenach. Pochodził ze znakomitej dynastii aktorskiej: jego dziadkiem był Wincenty Rapacki, mistrz charakteryzacji i precyzji w operowaniu środkami ekspresji (sławny Milczek w *Zemście*), dramaturg i powieściopisarz, ojcem wielki tragic Bolesław Leszczyński, matką nieporównana komiczka Honorata Leszczyńska. Wspomniany tu brat cioteczny Wicusz to Wincenty Rapacki-syn, również aktor i autor popularnych fars.

FLIS — skomponowana i wystawiona w r. 1858 jednoaktowa opera Moniuszki. W tymże roku kompozytor, otrzymawszy nominację na dyrygenta opery, przeniósł się z Wilna do Warszawy.

Henryk SIEMIRADZKI (1843—1902) — malarz polski o światowym rozgłosie, autor monumentalnych malowideł o tematyce antycznej.

Michał BAŁUCKI (1837—1901) — autor licznych powieści i popularnych komedii, jak *Dom otwarty*, *Grube ryby*, *Klub kawalerów*. Mieszkał stale w Krakowie.

Ofiarodawca wypchanego konika to zapewne krakowski śpiewak i kompozytor pieśni Stanisław NIEDŹIELSKI (1842—1895).

### *I tu, i tam*

We wspomnieniach wnuczki znajdujemy również charakterystykę pewnej znamiennej cechy osobowości znakomitego pisarza:

„...dziad był od młodości usposobienia melancholijnego — wszystko zawsze widział w czarnych kolorach — spędzał dnie całe w smutnej zadumie i milczeniu i coraz częściej z wiekiem zapadał w okresy chorobliwej hipochondrii, tzw. splinu, z którego jedynie obecność i koncepty wnuków wyprowadzić go były w stanie.

«Dziadzio smutny, idźcie, dzieci, go zabawić!» — oto zdanie, któreśmy nieraz z ust babki słyszeli. Nigdy, przenigdy, jak daleko pamięć moja sięgnie, z babką żartów żadnych nie wymieniał, nigdy nikomu bajeczek ani anegdotek — nie tylko że nie opowiadał, ale opowiadać wręcz nie umiał! Jest to jeden z ciekawych rysów jego umysłowości, że on, którego nieznównana werwa tyle pokoleń do śmiechu pobudzała i po dziś dzień pobudza — sam śmiechu prawie że nie znał; dowcipami sypał, ale tylko z piórem w rękę.»

## ADAM MICKIEWICZ

Adam Mickiewicz urodził się w r. 1798 w Nowogródku lub w Zaosiu pod Nowogródkiem jako syn adwokata przy sądach powiatowych. Po ukończeniu szkoły w rodzinnym mieście wstąpił w r. 1815 na Uniwersytet Wileński. W czasie studiów brał czynny udział w pracach tajnych stowarzyszeń młodzieży akademickiej, co ściągnęło na niego w r. 1823 uwięzienie, a w r. 1824 zesłanie w głąb Rosji. W chwili aresztowania był już, od r. 1819, nauczycielem szkoły powiatowej w Kownie. W r. 1818 „Tygodnik Wileński” wydrukował pierwszy wiersz Mickiewicza — *Zimę miejską*. W latach 1822—1823 ukazały się dwa tomiki *Poezji* — zawierające *Ballady i romanse*, *Grażynę*, II i IV część *Dziadów* — które otwierają nową epokę w literaturze polskiej. W Rosji, gdzie Mickiewicz zbliżył się z dekabrystami, a także ze środowiskiem pisarzy (m.in. z Puszcynem, z którym się zaprzyjaźnił), powstały *Sonet*y, *Sonet*y krymskie i *Konrad Wallenrod*. Opuściwszy w r. 1829 Cesarstwo Rosyjskie odbył poeta z Antonim Edwardem Odyńcem podróż po Niemczech, Włoszech i Szwajcarii. Na wieść o wybuchu powstania wyruszył do kraju, dotarł jednak tylko do Wielkopolski, skąd po kilkumiesięcznym pobycie wyjechał w r. 1832 do Drezna, a następnie do Paryża. W r. 1832 ukazała się III część *Dziadów* oraz *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*, w 1834 *Pan Tadeusz*. W r. 1833 Mickiewicz redagował pismo „Pielgrzym Polski”, w którym opublikował liczne artykuły. W r. 1834 ożenił się z młodszą córką nie żyjącej już wówczas słynnej pianistki Marii Szymanowskiej. W latach 1839—1840 zajmował katedrę literatury łacińskiej na uniwersytecie w Lozannie, 1841—1844 — katedrę literatur słowiańskich w paryskim Collège de France. W r. 1841 został gorącym wyznawcą Andrzeja Towiańskiego, któremu udało się wyleczyć Celinę Mickiewiczową, cierpiącą na zaburzenia psychiczne. W r. 1847 zerwał z „Mistrzem” i w 1848 włączył się w rewolucyjny nurt Wiosny Ludów. Stworzył wówczas legion polski, biorący udział w walce ludu włoskiego o niepodległość, a w r. 1849 redagował i zasilął własnymi pracami publicystycznymi francuskie pismo „Trybuna Ludów”, organ demokracji różnych narodów. W listopadzie 1855 r. zmarł na cholerę w Konstantynopolu, dokąd udał się podczas wojny krymskiej w celu zorganizowania polskich sił zbrojnych do walki z Rosją.

*Pierwsza książka*

ALEKSANDER Mickiewicz (1801—1871) — trzeci syn Mikołaja, filareta, późniejszy profesor prawa w Liceum krzemienieckim, a następnie na uniwersytetach w Kijowie i Charkowie.

FRANCISZEK Mickiewicz (1796—1862) — najstarszy z braci. Mimo kalectwa brał czynny udział w powstaniu listopadowym, po którego upadku osiadł w zaborze pruskim.



Miejsce urodzenia Adama Mickiewicza — Zaosie czy Nowogródek — nie zostało dotychczas definitywnie ustalone. Starszy od poety o dwa lata Franciszek podał jeszcze wersję trzecią: opowiedział on mianowicie Antoniemu Małeckiemu, że Adam urodził się „w jakiejś samotnie nad drogą położonej karczynie, tak nędznej, że nawet stołu nie było, na którym by było można nowo narodzone dziecię położyć i powić w pieluszki. I otóż miało tam z tego powodu zajść to dziwne zdarzenie, że brak stołu zastąpiła księga, i że na tej księdze dokonano tej pierwszej czynności z dziecicciem. Ową księgą zaś miał być foliant dzieł Krasickiego — jak gdyby przepowiednia przyszłości wchodzącego w świat w taki sposób dziecięcia.”

### *Wśród filomatów i filaretów*

Ignacy DOMEYKO (1801—1899), uwieczniony przez Mickiewicza w III części *Dziadów* pod imieniem Żegoty (tj. Ignacego), należał do najulubieńszych przyjaciół wileńskiej młodości, później paryskiej emigracji poety. Uczestnik walk powstańczych na Litwie, służył w tym samym pułku, w którym znajdowała się Emilia Plater. Większą część swego długiego i niezmiernie zasłużonego żywota spędził w Chile, zajmując się pracą naukową i profesorską w zakresie chemii, geologii i mineralogii. Dokonał szeregu odkryć, ogłosił wiele poważnych prac naukowych. Na polu górnictwa i edukacji w Chile zasługi jego były tak ogromne, że wedle określenia miejscowej prasy „był więcej niż profesorem — był apostołem nauki w Chile”.

List Domeyki do Zaleskiego, redaktora „Roczników”, pisany w Santiago de Chile w marcu 1870 r., uważany jest przez badaczy literatury za jedno z najcenniejszych źródeł pamiętnikarskich do historii Filomatów i Filaretów.

Kuratorem okręgu szkolnego wileńskiego był w latach 1803—1824 Adam Jerzy CZARTORYSKI, którego zabiegom i mądrej opiece przypisać należy rozkwit uniwersytetu. Do najwybitniejszych profesorów należeli w tym okresie filolog klasyczny Godfryd Ernest GRODDECK (1762—1825) i wysoko ceniony przez Mickiewicza Leon BOROWSKI (1784—1846), zajmujący katedrę wymowy i poezji. Borowski otaczał Mickiewicza szczególną opieką. Wg tradycji, przeczytawszy pierwsze próby młodego poety wykrzyknął: „Geniusz, geniusz zabyłśnie w kraju naszym!”

Spśród filomatów największy wpływ na młodzież miał przyrodnik, poeta-amator, autor wierszy okolicznościowych Tomasz ZAN (1796—1855). Z jego to głównie inicjatywy narodzili się najpierw Promieniści (u p r o m i e n i e n i miłością Zana), później wybrani spośród nich weszli w skład Filaretów — miłośników cnoty.

„Wymyślono — pisze Domeyko — że nie tylko z oczu, ale i z czoła Tomasza, ilekroć razy był otoczony swymi kochanymi dziećmi, wychodziły promienie, które przenikały duszę każdego, co był sposobny do przejścia się uczuciem cnoty i piękności, a odbijały się w powietrzu lub gasły, ilekroć napotykały na zimne lub nieczyste serce.”

Żartobliwy Zan i jego przyjaciele mierzyli siłę tych uczuć tzw. erometrem, o skali 80 „promionek”. Owe promionki spotyka się bardzo często w korespondencji przyjaciół, zwłaszcza u krotochwilnego Czeczota.

W czasie procesu młodzieży Zan usiłował wziąć całą winę na siebie, nie zdołał jednak uchronić przyjaciół, którzy skazani zostali na zesłanie w głąb Rosji. Z wymienionych przez Domeykę Franciszek MALEWSKI (1800—1870) pozostał już na stałe w Petersburgu, gdzie mieszkał czas pewien z Mickiewiczem i gdzie został z czasem wysokim urzędnikiem. Ożenił się z Heleną Szymanowską, siostrą Celiny Mickiewiczowej.

Dopiero w r. 1856 powrócił z Syberii Onufry PIETRASZKIEWICZ (1793—1863), któremu zawdzięczać należy przechowanie archiwum filomackiego.

Podobnego losu nie uniknęli też: Józef JEŻOWSKI (1798—1855) — filolog klasyczny, wydawca Horacego, zwolennik królewskiego profesora Immanuela KANTA (1724—1804), którego filozofia, rewolucyjnie odmienna od doktryn poprzedników, wchodziła wówczas w modę w Polsce wypierając systemy XVIII-wieczne; Jan CZECZOT (1796—1847) — tłumacz ludowych piosenek białoruskich, autor wierszy wzorowanych na poezji ludowej; Teodor ŁOZIŃSKI (ur. 1796), student wydz. fizyczno-matematycznego, uczeń Alojzego OSIŃSKIEGO, w latach 1806—1824 profesora Liceum krzemienieckiego, autora m. in. *Słownika mitologicznego* i niewydanego *Słownika języka polskiego* w 14 tomach.

Wspominając posiedzenia Filomatów wymienia Domeyko ponadto: Józefa KOWALEWSKIEGO (1801—1878), wybitnego później orientalistę, Jana SOBOLEWSKIEGO, nauczyciela w Krożach, zmarłego na zesłaniu w r. 1829, i Wincentego BUDREWICZA (1795—ok. 1850), matematyka nazywanego przez kolegów Budrysem (stąd ballada *Trzech Budrysów*).

### *Kuracja serca*

Antoni Edward ODYŃNIEC (1804—1885) w czasach wileńskich należał wraz z Ludwikiem Spitznaglem i Aleksandrem Chodźką do najmłodszych poetów, gromadzących się przy Zanie. Stąd jego znajomość, później przyjaźń z Mickiewiczem, stąd związki z młodzieżą filarecką. Obdarzony niezwykłą łatwością rymowania, cieszył się dużą popularnością, ale jego utwory oryginalne nie wytrzymały próby czasu. Trwałym natomiast wkładem pozostały niektóre z jego licznych przekładów poetyckich (m.in. z romantyków angielskich), *Wspomnienia z przeszłości* oraz *Listy z podróży*, zawierające bogaty materiał informacyjny i anegdotyczny o Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim i wielu innych wybitnych ludziach, z którymi Odyńiec pozostawał w zażyłych stosunkach. Wspomnienia, pisane przez Odyńca pod koniec życia, nie we wszystkich swoich przekazach są w pełni wiarogodne (tak np. Mickiewicza łączyły z panią Kowalską wcale nie platoniczne stosunki), jest w nich przecież bardzo wiele rzeczy cennych, malujących obyczajowość i atmosferę czasów romantyzmu w Polsce.

Aleksander WERESZCZYŃSKI, „bardzo miły i zacny obywatel z Podola, wielki amator poezji”, udający się do Petersburga, przywiózł Odyńca do Kowna swoim powozem.

### *Pierwsze aresztowania*

Stanisław MORAWSKI (1802—1853) — w l. 1818—1823 student medycyny Uniwersytetu Wileńskiego, filareta, a od grudnia 1820 filomata, pamiętnikarz obdarzony nieprzeciętnym talentem literackim. Z pozostawionych przez niego materiałów, które spłonęły w r. 1944, wydano, prócz cytowanych tu wspomnień, tomy *W Peterburku i Szlachta bracia*.

Aresztowania patriotycznej młodzieży wileńskiej rozpoczęły się jesienią 1823 r. Na wieść o tym Morawski przybył w pierwszej połowie października do Wilna.

Wspomniany przez pamiętnikarza Jan JANKOWSKI, student wydz. literackiego, filareta, spowodował pierwsze masowe aresztowania. Przy rewizji znaleziono m.in. w jego papierach pornograficzne wiersze o Katarzynie II oraz protokoły z zebrania tajnego Związku Naukowego uczniów gimnazjum w Swisłoczy. Sterroryzowany przez Nowosilcowa Jankowski ujawnił wszystkich znanych mu filaretów, a następnie, szantażowany groźbą śmierci, oskarżył ich o działalność antyrządową.

„Trzeba i to powiedzieć — pisze dalej Morawski, który uniknął aresztowania dzięki wstawiennictwu swego byłego prefekta ze szkoły kowieńskiej, Szymona Ławrynowicza, mającego brata w Komisji Śledczej — że to ogólne uczucie, które się w masach na wieść każdej wielkiej niesprawiedliwości wyrabia, cały lud wileński, jakby jednego męza, na naszą przeniosło stronę. Kobiety jak zawsze rej wodziły [...] Nadto w tejże samej policji, która nas śledziła, było wielu dawnych Towarzystwa członków. Ci tracili tym samym wszystko, jeśli się rzecz o nich wykryje i uznana zostanie za winę. Żony ich płakały nad losem już uwięzionych, szponowały na myśl o uwięzić się mających! Z dwóch wzięci flanków równie silnych, równie potężnych, mężowie prostej trzymali się linii i naszą znowu tworzyli policję.”

Kazimierz PIASECKI (1798—1882) — prawnik bardzo czynny w Towarzystwie Filomatów w ostatnim okresie jego istnienia. Wyrokiem Komisji Śledczej oddany pod nadzór policji.

### *W wileńskich więzieniach*

Edward Tomasz MASSALSKI (1799—1879), filareta, aresztowany jesienią 1823 r. opisuje w swym pamiętniku organizację pomocy więziennej.

Hieronim BOTWINKO — wileński prokurator gubernialny, członek Komisji Śledczej.

Towarzystwo Filaretów dzieliło się na siedem GRON, nazwanych od siedmiu kolorów tęczy.

### *W celi Adama*

Antoni FREYEND (ok. 1800—1831) — filareta rodem ze Żmudzi, którego wesołe usposobienie rozpraszało smutki bazylińskiego więzienia. Zginął prawdopodobnie w powstaniu.

Józef Kalasanty LWOVICZ — pijar, student matematyki, filareta.

Wiersz czytany przez Mickiewicza to *Nowy Rok*, naśladowany z niemieckiego romantyka Jean Paula, drukowany w r. 1825.

Wyrok Komisji, zatwierdzony przez najwyższe władze w Petersburgu, ogłoszono więźniom 17 VIII 1824 r. Opisane tu pożegnalne spotkanie odbyło się 5 XI. Wspomniany Stanisław KOZAKIEWICZ to student prawa, czynny filomata.

### *Rozmowa poetów*

Józef PRZECŁAWSKI (1799—1879) — kolega Mickiewicza z Uniwersytetu Wileńskiego, od r. 1824 urzędnik ministerstwa spraw wewnętrznych w Petersburgu. W latach 1830—1856 redagował ugody i skrajnie konserwatywny „Tygodnik Petersburski”. Ogłaszał w prasie rosyjskiej wspomnienia.

Jego relację o stosunku Puszkina do Mickiewicza potwierdzają także Rosjanie. Ksenofont Polewoj, redaktor czasopisma „Moskowskij tielegraf”, zaprzyjaźniony serdecznie z obydwojma poetami, wspominał:

„Puskin [...] zaraz go przy pierwszym widzeniu należyście ocenił i największe mu okazywał uszanowanie... W rzeczy samej ani ukształceniem, ani wielostronną uczonością nie mógł równać się z Mickiewiczem i własne a szczerze przyznanie się do tego naszego poety stanowi niemalą jego zaletę...”

O erudycji zaś Mickiewicza tenże sam Polewoj tak powiadał:

„Zdaje się, że nie było w żadnej literaturze arcydzieła, którego by nie znał w oryginale. Jeżeli ktoś w rozmowie wymienił jakiego poetę czy pisarza sławnego, on zaraz dał dowód, że go zna doskonale, cytując z niego strofy, a nawet całe strofice. Pamiętam, jak podczas jednej uczy literackiej zadziwił wszystkich, cytując po grecku różne ustępy *Iliady*; co większa, gdy jeden z biesiadników, który wiek swój spędził na studiowaniu Homera, zacytował z niego jakikolwiek wiersz, Mickiewicz zaraz deklamował następne wiersze, jak gdyby umiał na pamięć całą *Iliadę*.”

W dwa lata później młody Zygmunt Krasieński, poznawszy się z Mickiewiczem w Szwajcarii, relacjonował swoje wrażenia w liście do ojca z 5 IX 1830 r.:

„Mickiewicz nieco się ożywił i lepiej z nami zapoznał. O! jakie fałszywe sądy były o nim w Warszawie. Rozległej on jest nauki; umie po polsku, po francusku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku. Doskonale zna politykę europejską, historię, filozofię, matematykę, chemię i fizykę. W literaturze nikt może w Polsce tyle nie ma znajomości. Słyszając go mówiącym, zdaje się, że każdą

książkę czytał. Sądy ma bardzo rozsądne, poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony, nieszczęścia już mu zmarszczki na trzydziestoletnim czole wryły. Zawsze spokojny, cichy, ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach. Wydał mi się być ideałem człowieka uczonego i geniuszu pełnego."

Karolina z Rzewuskich SOBĄŃSKA — siostra pisarza Henryka i Ewy Hańskiej-Balzac, kochanka i agentka generała Jana Witta, szefa tajnej policji na ziemiach południowej Rosji. Mickiewicz poznał piękną awanturkę w Odessie.

Mickiewicz wspomina w rozmowie dwu uczonych, których prace wywarły znaczny wpływ na teorię i praktykę literatury romantycznej: najwybitniejszego krytyka i teoretyka romantyzmu w Niemczech, Augusta Wilhelma SCHLEGLA (1767—1845), na którego powoływał się już w przedmowie do I t. *Poezji* z 1822 r., oraz Szwajcara Leonarda Sismonde de SISMONDI (1773—1842), autora ważnego dzieła o literaturze narodów południowo europejskich, znanego też jako historyk i ekonomista.

John MILTON (1608—1674) to jeden z największych poetów angielskich, autor wspaniałych eposów *Raj utracony* i *Raj odzyskany*; Alexander POPE (1688—1744) — popularny w epoce Oświecenia autor m. in. tłumaczonego przez Niemcewicza żartobliwego poematu *Pukiel porwany*; Thomas MOORE (1770—1852) — poeta romantyczny wysoko ceniony w kręgu Mickiewicza, który przełożył jego wiersz *The Meeting of the Waters*.

### *Ulubiona powieść*

Bohdan ZALESKI (1802—1886) — poeta, powstaniec 1831 r., poseł na sejm powstańczy. Na emigracji w Paryżu zaprzyjaźnił się z Mickiewiczem, który bardzo wysoko cenił jego talent poetycki. Szczególnie popularne były dumki ukraińskie Zaleskiego, powstałe w latach dwudziestych, i poemat *Rusalki*.

Stefan GARCZYŃSKI (1805—1833) — poeta (autor *Wacława*) i żołnierz, adiutant generała Umińskiego w powstaniu listopadowym. Chory na płuca Garczyński, znajdujący się w Dreźnie pod opieką Klaudyny Potockiej, przesłał Domeyce do Paryża swe poezje z prośbą o zajęcie się drukiem. Zaalarmowany listami pani Kludyny o postępującą chorobę przyjaciela, Mickiewicz porzucił pisanie *Pana Tadeusza* i poświęcił się całkowicie książce Garczyńskiego: robił korekty, kreslił, poprawiał, pilnował druku. Na końcu drugiego tomiku pomieścił *Redutę Orzona* i, przypisując ją generałowi Umińskiemu, dodał następującą dedykację:

„Wiersz ten, pisany pod wpływem opowiadań Garczyńskiego, umieszczam między dziełami przyjaciela, jako wspólną naszą własność. Poświęciłem go ostatniemu wodzowi polskiemu, który w sprawie naszej nie rozpaczał i do końca chciał walczyć. A. M.”

Garczyński ujrzał swe poezje w druku w ostatnich dniach przed śmiercią. Zmarł 20 IX 1833 r., w Awinionie, przewieziony tam dla lepszego klimatu przez Mickiewicza i do ostatnich chwil pielęgnowany przez Klaudynę Potocką.

Antoni GORECKI (1787—1861) — bajkopisarz, żołnierz napoleoński i powstaniec 1831 r., przyszedł teść najstarszej córki Mickiewicza.

Bohdan JAŃSKI (1807—1840) — współpracownik Mickiewicza w redakcji „Piełgrzym”, założyciel religijnego związku Braci Zjednoczonych, z którego rekrutowali się twórcy zakonu zmartwychwstańców.

Stefan ZAN (zm. 1859) — najmłodszy brat Tomasza, prawnik, filareta, na emigracji zwolennik Towiańskiego.

Stefan WITWICKI (1802—1847) — poeta i publicysta związany z emigracyjnym ruchem katolickim, autor opisu matecznika wprowadzonego w zmienionej formie do *Pana Tadeusza*.

Spotkaniem wieczornym u Mickiewicza kres położyły ROZRUCHY republikańskie w Paryżu 5 i 6 VI 1832 r. Zaburzenia przybrały wówczas tak niepokojące rozmiary, że w pałacu Tuileries, gdzie mieszkał Ludwik Filip, rozpatrywano projekty ucieczki. Zarówno władze, jak i prawicowa prasa podejrzewały Polaków o poważny udział we wspomnianych wypadkach. Wielu emigrantom cofnięto wówczas zezwolenie na pobyt w stolicy, zmuszając ich do przeniesienia się na prowincję. W szczególności pamięć zawiodła Zaleskiego: napoleoński generał Bernard Clausel nie przyłączył się, wbrew przewidywaniom, do rebeliantów, a Dwernicki przybył z Austrii do Paryża dopiero 30 VI. Wymieniony tu Odilon Barrot był w tych latach jednym z przywódców opozycji.

*Poezje lorda Byrona tłumaczone*, GIAUR przez Adama Mickiewicza, KORSARZ przez Edwarda Odyńca ukazały się w Paryżu w grudniu 1834 r., z datą 1835, nakładem Aleksandra JEŁOWICKIEGO, emigracyjnego księgarza i wydawcy, w kilka lat później jednego z pierwszych zmartwychwstańców.

Rękopis *Pana Tadeusza* przepisywał do druku Domeyko, korekty przeprowadzał przeważnie Bohdan Jański. Wydawcą był Aleksander Jełowicki. Pierwsze egzemplarze pierwszego, dwutomowego wydania „ulubionej powieści” ukazały się w początkach lipca 1834 r. Nakład wynosił 3000 egzemplarzy. Bliższe szczegóły o losach pierwszych wydań dzieł Mickiewicza znaleźć można w książce Teofila Sygi *Te księgi proste*, Warszawa 1956.

### O poezji

Teofil LENARTOWICZ (1822—1893) przybył do Paryża z Brukseli latem 1852 r. Obawa przed aresztowaniem kazała mu opuścić w r. 1848 Warszawę, gdzie miał już pewną skromną pozycję literacką; na emigracji nie był jeszcze znany jako poeta. Mickiewicza odwiedził po raz pierwszy w sierpniu tego roku, i — jak wskazują współ-

czesne jego wynurzenia — nie był bynajmniej zachwycony. Później widywał Adama częściej, a latem 1855 r. przebywał z nim u Bohdana Zaleskiego w Fontainebleau. Swe wspomnienia spisał na prośbę syna poety, Władysława (por. niżej, przypis na s. 325). Znajomość Lenartowicza z Norwidem datuje się sprzed wyjazdu tego ostatniego, wówczas świetnie się zapowiadającego młodego liryka, w r. 1842 za granicę, kiedy to obaj poeci spotykali się w środowisku młodych literatów Warszawy i w jej literackich salonach.

Mickiewicz zestawia tu artystów różniących się wyraźnie charakterem twórczości: RAFAELA z Filipem WOUWERMANEM (1619—1668), autorem obrazów przedstawiających sceny wojenne i myśliwskie, najwybitniejszym z trzech braci-malarzy niderlandzkich; największego rzeźbiarza starożytnej Grecji FIDIASZA (ok. 500 — ok. 432 p.n.e.), m. in. budowniczego Partenonu ateńskiego, z florenckim rzeźbiarzem Luca della ROBBIA (ok. 1400—1482), twórcą postaci aniołów i tańczących chłopców w katedrze rodzinnego miasta, a SZEKSPIRA z wielkim poetą szkockim Robertem BURNSEM (1759—1796), który pisał ballady i pieśni związane z przyrodą i folklorem ojczystego kraju.

## JULIUSZ SŁOWACKI

Juliusz Słowacki urodził się w Krzemieńcu w r. 1809. Po ukończeniu wydziału prawnego Uniwersytetu Wileńskiego wyjechał w r. 1829 do Warszawy, gdzie rozpoczął pracę jako urzędnik Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu. W Warszawie powstały wczesne utwory, które weszły później w skład wydanych w r. 1832—1833 w Paryżu trzech tomów *Poezji*: dramaty *Mindowe* i *Maria Stuart*, powieści poetyckie, jak *Mnich*, *Arab*, *Jan Bielecki* i in. Wybuch powstania powitał poeta opublikowaniem liryków patriotycznych, w walkach jednak udziału nie brał. W lipcu 1831 r. opuścił Warszawę udając się przez Drezno do Londynu, a stąd do Paryża. Pod koniec r. 1832 osiadł w Genewie, gdzie mieszkał do 1835 i gdzie powstał m. in. *Kordian* i *Horsztyński*. Na lata 1836—1838 przypada podróż Słowackiego na Bliski Wschód, której plonem był *Anbelli*, *Grób Agamemmona*, *Hymn*, *Ojciec zadżumionych...* Od r. 1838 poeta mieszkał stale w Paryżu. W r. 1839 i 1840 wydał dwie tragedie z zamierzonego większego cyklu poświęconego legendarnym dziejom Polski — *Balladynę* i *Lillę Wenedę*. Echa sporów emigracyjnych, rywalizacji z Mickiewiczem, niedoceniaenia przez krytykę pobrzmiwają w dygresyjnych partiach poematu *Beniowski* (pierwszych 5 pieśni 1841). W roku jego wydania powstał też opublikowany pośmiertnie dramat *Fantazy*. W r. 1842 Słowacki wstąpił do Koła zwolenników Towiańskiego, zerwał z nim jednak wkrótce z niezupełnie wyjaśnionych pobudek. Kilkumiesięczny kontakt z „Mistrzem” i jego doktryną nie pozostał bez wpływu na umysłowość Słowackiego: ostatnie lata jego życia upłynęły pod znakiem idei mistycznych. Odbija je twórczość tego okresu: *Genezis z Duchą*, *Król-Duch*, dramaty *Ksiądz Marek*, *Sen srebrny Salomei* i in.

Odmienny charakter ma *Odpowiedź na „Psalmy przyszłości”*, wydana anonimowo w r. 1848 rewolucyjna w swej wymowie replika na utwór Krasińskiego. W r. 1848 Słowacki udał się do Wielkopolski, by wziąć udział w powstaniu, był to już jednak, z uwagi na postępy niszczącej jego organizm gruźlicy, tylko akt solidarności z walczącymi. Wracając przez Wrocław spotkał się po raz ostatni z matką. Zmarł w Paryżu 3 IV 1849 r.

### *Julek i jego dom rodzinny*

Salomea z Januszewskich SŁOWACKA-BÉCU, matka poety, urodziła się w r. 1792, zmarła na cholera w Krzemieńcu w sierpniu 1855 r. Mając 16 lat poślubiła starszego od niej o lat 19 Euzebiusza Słowackiego, profesora Liceum krzemienieckiego; w rok później urodził się jej jedyny syn. W r. 1811 państwo Słowaccy przenieśli się z Krzemieńca do Wilna, gdzie ojciec poety uzyskał na Uniwersytecie stanowisko profesora wymowy i poezji. W r. 1814 Euzebiusz Słowacki zmarł na gruźlicę; po jego śmierci wdowa wraz z synkiem wróciła do rodziców do Krzemieńca, lecz w cztery lata potem znów zamieszkała w Wilnie, wyszedłszy powtórnie za mąż za profesora Uniwersytetu, doktora Augusta Bécu, który później, podczas procesu młodzieży, wysługiwał się władzom, nie gardząc donosicielstwem (por. s. 96—98). Wileński salon państwa Bécu skupiał elitę umysłową i artystyczną miasta, tętniącego wówczas najwyższym nurtem życia duchowego. Po nagłej śmierci doktora Bécu od uderzenia piorunu w r. 1824 pani Salomea pozostała jeszcze trzy lata w Wilnie, zajmując się kształceniem syna i opieką nad pasierbicami, po czym wróciła do Krzemieńca. Dalsze lata spędziła przeważnie na Wołyniu, trochę też podróżując. W r. 1848 we Wrocławiu spotkała się po raz ostatni z ciężko już chorym synem, a po jego śmierci odbyła podróż do Paryża, aby odwiedzić grób na cmentarzu Montmartre i zabrać pozostałe pamiątki. Obdarzona artystyczną naturą, niezmiernie wrażliwa, czytana, wywarła pani Salomea wielki wpływ na ubóstwianego i ubóstwiającego ją syna. Poeta postawił jej też najpiękniejszy pomnik literacki — w listach i w wierszach.

Rodzina Ferdynanda SPITZNAGLA (rodem ze Szwabii), lekarza i profesora Uniwersytetu Wileńskiego, należała do najbliższego grona towarzyskiego państwa Bécu. Niezwykle uzdolniony syn profesora LUDWIK (ok. 1806—1827) był najukochańszym przyjacielem Juliusza; śmierć samobójczą egzaltowanego młodzieńca odczuł poeta bardzo boleśnie. Echa tej przyjaźni odnajdujemy w *Godzinie myśli*, w wierszu *Do Ludwika Spitznagla*, w pamiętniku i w listach do matki.

Dwie CÓRKI Jędrzeja ŚNIADECKIEGO, brata Jana i jak on profesora Uniwersytetu, to Zofia (1798—1880), od r. 1826 żona historyka Michała Balińskiego, oraz Ludwika (1802—1866), pierwsza młodzieńcza miłość kilkunastoletniego Juliusza, miłość nie odwzajemniona, romantyczna i dorosła już panna kochała się bowiem wówczas w młodym oficerze rosyjskim Korsakowie. Ponad dwudziestoletni końcowy okres swego życia spędziła u boku Michała Czajkowskiego, słynnego Sadyka Paszy.



PASIERBICAMI pani Bécu były Aleksandra (1804—1832), zmarła w rok po ślubie z drem Józefem Mianowskim, i Hersylia (1808—1872), która poślubiła brata macochy Teofila Januszewskiego. Obie siostry pozostawały w stosunku serdecznej zażyłości ze Słowackim.

W BORUNACH bazylianie prowadzili szkołę, gdzie Odyniec kolegował z wujem panien Bécu.

Błotnicki wydał w r. 1825 pt. *Wikary wekfildzki* swój przekład słynnej angielskiej powieści sentymentalnej *The Vicar of Wakefield* (1766) Olivera GOLDSMITHA.

### *Pod polską banderą*

Sprawa niespodziewanego wyjazdu Słowackiego z powstańczej Warszawy (8 III 1831 r.) za granicę, rozmaicie komentowana przez badaczy, a i przez samego poetę zaciemniona czynionymi sobie wyrzutami, została ostatnio wyjaśniona w pracy Stanisława Świrki *Słowacki — poeta Warszawy*. Zebrawszy dostępne dokumenty i relacje współczesnych Świrko stwierdza mianowicie, że Słowacki opuścił Warszawę jako kurier dyplomatyczny Rządu Narodowego. Stwierdzenie to prof. Julian Krzyżanowski ocenia jako trwałą zdobycz, kładzie ono bowiem „kres legendzie, korzeniami tkwiącej w przeczuleniu genialnego poety, sformułowanym w wypowiedziach, jak «godności nie mam, przed męką uciekłem».” Niektórzy uczeni skłaniają się jednak w dalszym ciągu do tezy, iż poeta otrzymał misję dopiero w Dreźnie.

### *W Szwajcarii*

Po przybyciu do Genewy 30 XII 1832 r. Słowacki zatrzymał się początkowo w hotelu, ale już po kilku dniach przeprowadził się do pensjonatu Klaudyny Pattey, położonego na przedmieściu Pâquis, w pobliżu jeziora. Mieszkał tam prawie trzy lata, otoczony serdecznością i troskliwością, a przez córkę pani Pattey, Eglantynę, darzony głębokim sentymentem.

Z rodziną Wodzińskich poznał się Słowacki w Szwajcarii, gdzie spędzili oni lata 1832—1835; latem 1834 r. odbył z nimi dłuższą wycieczkę w Alpy.

Najstarsza córka Wincentego i Teresy Wodzińskich, Maria (1819—1897), późniejsza Józefowa Skarbkowa, wreszcie Władysławowa Orpiszewska, przeszła do historii dzięki Słowackiemu i Chopinowi, który w r. 1837 starał się o jej rękę. Słowacki poświęcił jej kilka wierszy; przypomina ją również bohaterka poematu *W Szwajcarii*. Wodzińscy są często wspomniani w szwajcarskiej korespondencji poety; w listach do matki zaprzecza on jednak, jakoby miał być zakochany w Marii. Ona sama także przeciwstawiła się legendzie o miłości poety w liście do jego biografy, Henryka Biegeleisena, z 2 VIII 1893 r.:

„Zbyt pochlebne zdanie o moim wpływie na twórczość Słowackiego odeprzeć muszę. Ci, co o nim dotąd pisali, dając folgę własnej fantazji, utworzyli z Marii Wodzińskiej jakiś poetyczny obraz, który przy świetle prawdy pewnie zblednie. Niektóre daty są tu potrzebne. Urodziłam się 1819 r., zatem w epoce naszej znajomości ze Słowackim, tj. w 1834 r. i kilka miesięcy 1835 r., miałam lat 16, a tak byłam jeszcze obarczona lekcjami, że nie miałam czasu zastanawiać się nad życiem, tym bardziej jaki bądź wpływ wywierać. Nie zwracałam uwagi nawet, żeby Słowacki był mną zajęty, jak to później twierdzono. Opuścił on Genewę na parę miesięcy przed naszym wyjazdem, przy pożegnaniu mówił wprawdzie o żalu i tęsknocie. Powiadano mi potem, że wyjechał dlatego, że Eglantyna Pattey, późniejsza hr. de Lupé, była o mnie zazdrosna. Bardzo mnie to zdziwiło, bo ja nigdy ładna nie byłam, a Eglantyna, piękna i rozumna, była rzeczywiście jego opatrznością. W owym czasie Słowacki jeszcze nie był sławnym [...] W salonie mojej matki zbierało się niemal codziennie polskie towarzystwo. Czas naszego powrotu do kraju zbliżał się, więc rozstanie się z tymi dobrymi i przyjaznymi osobami na zawsze. Jednego wieczoru, mając mały album z luźnymi kartkami, rozdawałam je z prośbą, aby mi co napisano; jedną taką kartkę podałam Słowackiemu, on się zamyślił, potem przeszedł do drugiego pokoju, gdzie stało biurko mojej matki. Widzieliśmy, gwarząc dalej w salonie, jak chodził przez kilka chwil, potem usiadł i pisał. Gdy wrócił, wiersz przeczytał, wszyscy byli zachwyceni...” (cyt. wg H. Bieleiseina: *Juliusz Słowacki*, Lwów 1895).

Wiersz ten, zaczynający się od słów: „Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony...”, drukowany jest wśród liryków Słowackiego pt. *W sztabucku Marii Wodzińskiej*.

Opisaną tu scenkę opowiedziała w r. 1900 F. Hoesickowi młodsza siostra Marii, Józefa Kościelska.

Seweryna z Żochowskich Pruszkowa, z drugiego męża DUCHIŃSKA (1816—1905), literatka warszawska, po upadku powstania styczniowego wyemigrowała do Francji, skąd nadsyłała od r. 1870 korespondencje do „Biblioteki Warszawskiej”.

### Pierwszy słuchacz „Mazepy”

Fryderyk Henryk LEWESTAM (1817—1878) — z pochodzenia Duńczyk, mieszkający od r. 1841 w Warszawie, literat, dziennikarz, publicysta, historyk literatury. Był jednym z redaktorów encyklopedii Orgelbranda, przełożył na niemiecki *Nieboską komedię* Krasińskiego. W okresie znajomości ze Słowackim (1839—1840) słuchał wykładów w paryskim Collège de France, mając już za sobą studia na uniwersytecie berlińskim, gdzie uzyskał doktorat filozofii.

Jan MAZEPA, paż Jana Kazimierza, później hetman kozacki, jest bohaterem wydanego w r. 1819 poematu Byrona *Mazepa*.

### *Wiosna poznańska 1848 roku*

Julian BUKOWIECKI (1833—1896) — działacz społeczny i dziennikarz, wieloletni redaktor „Wielkopolanina”. Jego ojciec, August Samuel (zm. 1856), major wojsk napoleońskich, brał udział w wyprawie na Moskwę.

Słowacki przyjechał do Poznania z Paryża 11 IV 1848 r. z zamiarem wzięcia udziału w powstaniu wielkopolskim; towarzyszyli mu Zygmunt Szczęsny Feliński, Andrzej Fredro, Józef Czarnowski i Stanisław Tchórzewski. Po przybyciu dyliżansu do Poznania podróżnych ostrzeżono, że grozi im aresztowanie jako emigrantom polskim przyjeżdżającym z Francji. Fredro, na którego nazwisko był wystawiony zbiorowy bilet, po zgłoszeniu się do policji został rzeczywiście aresztowany, ale jego towarzyszy uratowały miejscowe panie, wyprowadzając ich kolejno ze stacji pocztowej. Słowackim zaopiekowała się Bibiana MORACZEWSKA (1811—1887), siostra Jędrzeja, historyka i działacza demokratycznego, sama również działaczka i literatka, należąca w Warszawie do kręgu „entuzjastek”, skupionych wokół Żmichowskiej.

Akcję wojsk pruskich przeciw powstańcom zapoczątkowało zdobycie zaciekle bronionego obozu i miasteczka Książ.

### *Wspólny nocleg*

Mieczysław Weryha-DAROWSKI (1810—1889), gorący patriota i działacz niepodległościowy, odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* za walkę w powstaniu listopadowym, wslawił się już we wczesnej młodości swym entuzjazmem dla naszych wielkich poetów romantycznych.

Sprawa wyglądała tak: Wkrótce po wydaniu *Konrada Wallenroda* Mickiewicz otrzymał wiadomość, że w Krakowie ukazał się bezprawny przedruk tego poematu. Nękanym już i z innych stron podobnym brakiem poszanowania swych praw autorskich i walczący z trudnościami materialnymi poeta rozgniewał się i postanowił wyciągnąć konsekwencje wobec sprawcy „plagiatu”, którym okazał się właśnie Darowski, osiemnastolerni student Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczestnik tajnych stowarzyszeń patriotycznych. Mickiewiczza znała wówczas rozkochana w poezji młodzież galicyjska tylko z czwartego zeszytu lwowskiej „Polihymnii”, więc gdy Darowski otrzymał w prezencie egzemplarz petersburskiego wydania *Konrada Wallenroda* i odczytał go kolegom, każdy chciał zdobyć na własność tę książkę. Wtedy Darowski, nie mając pojęcia o prawach autorskich, wpadł na myśl wydania utworu własnym kosztem i w edycji tak taniej, by każdy najuboższy student mógł książkę kupić; sądził, że tym sposobem nie tylko dogodzi pragnieniom kolegów, ale także złoży hold poecie. Dzięki energii Darowskiego i jego przyjaciół w ciągu tygodnia przedruk *Wallenroda* był gotów. Wydano 500 egzemplarzy, w tym 100 zdobionych rycinami, reszta bez rycin, w cenie 20 gr. W trzy dni nakład został rozkupiony. Jeden egzemplarz posłał Darowski Mickiewiczowi do Petersburga wraz z entuzjastycznym listem, łudząc się nadzieją, że zasłużył na pochwałę i podziękowanie. Tymczasem otrzymał ostrą odpowiedź i żądanie

wycofania z obiegu bezprawnej edycji. Darowski podporządkował się woli poety, ale nie udało mu się wykupić wszystkich sprzedanych tomików, choć szukał ich wszędzie; zdobyte egzemplarze odesłał Mickiewiczowi.

Słowacki przyjechał do Wrocławia 9 V 1848 r. Następnego dnia wysłał przez jakiegoś rodaka jadącego do Galicji kartkę do matki, o czym wspomina w liście do niej z 15 VI: „...bilecik, który odebrałaś przez przyjaciela, był pisany po pierwszym moim noclegu u nieznanego ziomka, który mię na noc przyjął, bo nie wiedziałem, czy mi otwarcie zanoćować pozwolą.” Pani Bécu przybyła na spotkanie z synem ok. 20 VI i spędziła z nim przeszło dwa tygodnie. Żona stryjecznego brata poety, Aleksandra z Witkowskich Słowacka, we *Wspomnieniach o pani Słowackiej-Bécu, matce Słowackiego* („Świt” 1886) cytuje słowa, jakimi pani Bécu opisywała spotkanego po osiemnastu latach rozstania syna:

„Bardzo był zmieniony i mizerny, kiedy go widziałam we Wrocławiu. Czy ja się spodziewałam, że to widzenie nasze będzie ostatnie?! Stan jego umysłu zatruwał mnie, rozmowa była urywana, był sam roztargniony, przymuszał się do wesołości. Wyszliliśmy na przechadzkę; zostawił mnie na ulicy, sam wbiegł do sklepu i wrócił trzymając złoty zegarek.

— Masz, matko, to pamiątka naszego widzenia się od syna, który kocha ciebie. Chodźmy za miasto — dodał — tam swobodniej będziemy rozmawiać, będąc trzymał rękę twoją. Prawda, że nieładnie wyglądam, siły mnie czasem opuszczają, ale to przejdzie, będę zdrow. Ty nie mogłabyś ciągle być ze mną, dziwaczę...”

## ZYGMUNT KRASIŃSKI

Zygmunt Krasiński urodził się w r. 1812 w Paryżu jako syn wslawionego czynami bojowymi generała napoleońskiego, pod którego dowództwem w dwa lata później oddziały polskie powróciły do kraju. Wcześniej osierocony przez matkę, dzieciństwo spędził pod przemożnym wpływem ojca — w warszawskim pałacu Krasińskich i w dobrach Opinogóra pod Ciechanowem. Ukończywszy Liceum warszawskie wstąpił w r. 1827 na uniwersytet. Relegowany w wyniku zajęcia z kolegami, wyjechał w 1829 do Genewy, gdzie przebywał do r. 1832 prowadząc niesystematyczne studia. W powstaniu udziału nie wziął ulegając wyraźnej woli ojca; poczucie niespełnionego obowiązku patriotycznego legło ciężarem na całym jego życiu. W r. 1832 generał Krasiński próbował, sprowadziwszy syna do Petersburga, zapewnić mu karierę w dyplomacji carskiej, ale poeta zasłonił się chorobą oczu, która istotnie nękała go do śmierci. Resztę życia spędził przeważnie za granicą, z rzadka tylko zaglądając do kraju. W r. 1843, znów na życzenie ojca, ożenił się z Elżą Branicką. Twórczość literacką rozpoczął już w latach studenckich. Po utworach młodzieńczych, przede wszystkim powieściach, wydał bezimiennie w 1835 r. *Nieboską komedię*, a w 1836 *Irydioną*. Z innych ważniejszych utworów Krasińskiego w 1843 ukazał się pod

nazwiskiem Gaszyńskiego mesjanistyczny poemat *Przedświt*, w 1845 (II wydanie z *Psalmem żalu i Psalmem dobrej woli* 1848) *Psalmy przyszłości*. Niezwykle cenną część jego spuścizny stanowią listy, z których wiele ukazało się drukiem. Zmarł w Paryżu 23 II 1859 r.

### Portret dziecięcy

Tego właśnie dnia, gdy go ks. Czartoryska zobaczyła po raz pierwszy, Zygmunt Krasiński obchodził swoje trzecie urodziny. Jedyny syn generała Wincentego Krasińskiego i Marii z Radziwiłłów, od najwcześniejszego dzieciństwa zadziwiał otoczenie inteligencją i bystrością umysłu. Uwielbiający go ojciec lubił się nim chwalić przed gośćmi, a w pałacu Krasińskich na Krakowskim Przedmieściu bywało najprzedniejsze towarzystwo. Kajetan Koźmian wspomina w swych *Pamiętnikach* (oddział III, Kraków 1865):

„Co tylko Warszawa miała najznakomitszego z urodzenia, ze znaczenia, z nauki, rozumu, dowcipu, wszystko to chętnie uczęszczało do domu, do którego uprzejmość i przyjemność towarzyska gospodarza przyciągały; całe Towarzystwo Przyjaciół Nauk: Niemcewicz, Osieński, Linde itd. itd., lubili tam uczęszczać i wieść rozprawy poważne, zabawne lub wesołe. W dniu wielkanocne najliczniejsze a może najobfitsze święcone dom Krasińskich wystawiał i nie same dobrane osoby, lecz cała niemal publiczność warszawska, aż do aktorów teatralnych, miała w nim udział. Krasiński bowiem zanedbywał często możniejszych, a za popularnością ubiegać się i opinię wszystkich klas jednać sobie lubił, używał też jej w całej rozciągłości, bo powagą ze znaczenia nie raził, a uprzejmością pociągał.”

Po matce, która osierociła go w dziesiątym roku życia, odziedziczył Zygmunt Krasiński bardzo wątłe zdrowie; przez całe życie dręczyła go szczególnie choroba oczu zagrażająca ślepotą.

Do czternastego roku życia uczył się w domu; we wczesnym dzieciństwie miał krótko jako nauczyciela Józefa Korzeniowskiego, znanego później pisarza.

„Najcenniejsi nauczyciele, których mu generał dobiarał — pisze Kallenbach we wspomnianej pracy — zdumieni byli niezwykłą pojętnością chłopca, jego pamięcią bez granic, nienasyconą żądzą nauki. Było to o tyle niebezpieczne, że łatwo mogło skusić pedagogów do nadmiernego próbowania sił chłopięcych; jakoż mamy dziś istotnie wrażenie, że wymagano od niego za wiele, zwłaszcza za wiele na raz od dziecka. Z dochowanych zeszytów szkolnych Zygmunta Krasińskiego widać, że już w trzynastym roku życia tłumaczyć musiał ustępy z *Pamiętników* Niemcewicza na łacinę, przygotowywać się ze słownika grecko-łacińskiego do tłumaczenia *Iliady*, tłumaczyć trudne ustępy polskie na język francuski [...] Następstwem tego było to, że dziecko nie miało czasu być dzieckiem, że przedwcześnie zaczęło myśleć, a myśli swe wyrażać nie jak dziecko, ale jak dorosły.” W latach 1826—1827 był Krasiński uczniem Liceum warszawskiego.

„Chodzę co dzień do Liceum z rana — donosi oju 28 IX 1826 r. — to jest

od pół do ósmej, i po południu od drugiej do czwartej. We wtorek i czwartek po południu zupełnie wolne. Jest dosyć do roboty, ale nie nad siły. Dają w Liceum polski, francuski, łaciński, niemiecki, grecki język, oprócz tego historią, literaturę, geografią, matematykę. Szósta klasa jest dosyć liczną, gdyż przeszło pięćdziesiąt uczniów zamyka. Co dzień o dziesiątej z rana dziesięć minut wolnych jest, podczas których przybiegam do domu na śniadanie...”

Liceum mieściło się w gmachu uniwersyteckim, na wprost pałacu Krasińskich. W lipcu roku następnego zdaje Krasiński końcowe egzaminy licealne, bardzo długie wówczas i bardzo uciążliwe. 3 VII np. od 6 rano do 4 po południu pisze ćwiczenie łacińskie, następnego dnia siedzi nad ćwiczeniem polskim od 6 rano do 6 wieczorem. Przez te dwanaście godzin pisze pracę na temat: „Wykazać niedostateczność prawideł moralności z samego rozumu wypływających i wskazać wyższość zasad moralności chrześcijańskiej”.

### *Tragiczne przeżycie*

Andrzej Edward KOŹMIAN (1804—1864), syn Kajetana, przywódcy obozu kłasyków warszawskich, sam również pisarz, tłumacz (przełożył m. in. *Makbeta*), zaprzyjaźnił się z młodszym od niego o 6 lat Krasińskim w r. 1827. Oprócz cytowanych tu pamiętników opublikowano też w latach 1894—1896 cztery tomy jego listów.

Pogrzeb senatora-wojewody Piotra Bielińskiego, prezesa pamiętnego Sądu Sejmowego z r. 1828, odbył się 13 III 1829 r. Masowy udział młodzieży akademickiej w pogrzebie był manifestacją solidarności z wyrokiem owego Sądu, który, narażając się na gniew cara Mikołaja I, uwolnił oskarżonych członków Towarzystwa Patriotycznego od odpowiedzialności za zbrodnię zdrady stanu i skazał pięciu z nich jedynie za przynależność do związków tajnych, pozostałych zaś w ogóle uniewinnił. Wyrok zapadł niemal jednogłośnie — tylko Wincenty Krasiński i jeszcze jeden z sędziów wotowali za najwyższym wymiarem kary dla oskarżonych wojskowych. Ten fakt przekreślił w opinii patriotycznego społeczeństwa warszawskiego całą rycerską przeszłość gen. Krasińskiego, jego walki w kampaniach napoleońskich i jego osobistą, niezwykłą dotychczas popularność. Odwrócili się od niego liczni przyjaciele, z Niemcewiczem na czele, jedynie Kajetan Koźmian próbował go bronić w swoich pamiętnikach, twierdząc, iż stanowisko Krasińskiego w Sądzie Sejmowym wynikało nie z braku patriotyzmu ani z obojętności dla dążeń niepodległościowych narodu, lecz tylko z bardzo rygorystycznego pojmowania obowiązku lojalności wobec złożonej carowi przysięgi.

Głęboką miłość do ojca i posłuszeństwo wobec jego kategorycznego żądania przypłacił Zygmunt Krasiński najcięższym przeżyciem swych lat młodzieńczych.

Drugi bohater opisywanych tu wypadków — Leon ŁUBIENSKI (1812—1860), syn Tomasza, również generała zasłużonego w wojnach napoleońskich, po relegowaniu z Uniwersytetu wyjechał na studia do Edynburga, później Berlina. W okresie międzypowstaniowym był jedną z najbardziej charakterystycznych postaci życia towarzyskiego Warszawy, dzięki zwłaszcza ciętemu dowcipowi. Krasiński nie przebaczył

mu nigdy zniewagi, chociaż Łubieński, bawiąc w Genewie, szukał pojednania z dawnym przyjacielem. Ambicja przyszłego twórcy *Irydiona* cierpiała tym dotkliwiej, że na wykłady głośniego z wymowy Osieńskiego zbiegał się cały świat kulturalny Warszawy.

Profesor, na którego wykładzie zjawiał się sam tylko Krasieński, to Jan Wincenty BANDTKIE, badacz dawnego prawa polskiego.

### *Kartki z dziennika podróży*

*Listy z podróży* Odyńca, publikowane w „Kronice Rodzinnej” w latach 1867—1878, nie są, jak sugeruje autor, autentycznymi listami wysyłanymi do przyjaciół podczas wspólnej z Mickiewiczem podróży po Europie, ale późniejszą sztuczną konstrukcją, opartą zapewne i na zachowanych notatkach, i na niespisanych wspomnieniach. Zamieszczone tu wyjątki pochodzą z części IV, z tych listów, które stanowią jakby dzienniczek odbytej razem z Krasieńskim wycieczki w Alpy Szwajcarskie. Krasieńskiemu towarzyszył jego guwerner i opiekun w czasie pobytu za granicą — Jakubowski, oraz kamerdyner Lintner.

Opinię Odyńca, że Krasieński w tym czasie „wierszy zgoła pisać nie umie”, potwierdza niejednokrotnie sam poeta w korespondencji z przyjaciółmi, np. Konstantym Gaszyńskim. Ale autor pierwszej obszernej monografii Krasieńskiego, Stanisław Tarnowski, ostrzega, by tych wyznań poety nie brać dosłownie. „Naprzód — pisze Tarnowski — Krasieński miał zwyczaj nie tylko ukrywania się, ale mistyfikacji ze swymi wierszami. Wszakże przed najbliższymi przyjaciółmi udaje, że *Dzień dzisiejszy* i *Ostatni* są Koźmiana.” Ukrywał się nie tylko z wierszami. *Nieboską komedię* i *Irydiona* wydał bezimiennie, *Trzy myśli Ligenzy* pod pseudonimem Mielikowski herbu Gozdawa, *Psalmy* jako Spirydion Prawdzicki, *Przedświt* pod nazwiskiem Konstantego Gaszyńskiego, *Sen* jako rzekomą pozostałość z rękopisów po śp. J. S. (Słowackim).

August ZAMOYSKI (1811—1889), jeden z synów ordynata zamojskiego Stanisława i Zofii, najmłodszej córki Adamostwa Czartoryskich, powstaniec 1831 r., z Odyńcem mieszkał w warszawskim pałacu Zamoyskich w latach 1826—1829, kiedy autor *Listów z podróży* zatrudniony był przy przygotowywaniu materiałów do zamierzonego czasopisma „Pamiętnik im. Zamoyskich”.

Pierwszą miłością Krasieńskiego była Amelia z Bronikowskich ZAŁUSKA, która po śmierci rodziców wychowywała się w spokrewnionym domu Krasieńskich, gdzie też zamieszkała, kiedy męża jej uwięziono w r. 1827 pod zarzutem zdrady stanu. Lata genewskie wypełnia egzaltowane i dosyć „wyдуманne” uczucie do poznanej tam młodej Angielki Henrietty WILLAN, której mieszczańskie pochodzenie przekreślało z góry wszelką myśl o małżeństwie. Panna Willan opuściła Genewę w kwietniu 1830 r.

Mickiewicz i Odyniec zaprzyjaźnili się w Rzymie z rosyjską ziemianką rodziną CHLUSTINÓW (Klustin to pisownia wg wymowy francuskiej), złożoną z matki (później matki chrzestnej najstarszego syna Mickiewicza), córki — wybitnie uzdolnionej panny Anastazji, i syna Siemiona, oficera gwardii. W czasie pobytu w Genewie Chlustinowie poznali również Krasieńskiego.

Podróźni znaleźli się na terenie akcji głośnej powieści sentymentalnej Jean-Jacques'a Rousseau *NOWA HELOIZA* (1761), która wywarła ogromny wpływ na literaturę europejską. Tematem jej są dzieje nieszczęśliwej miłości.

Krasiński czytał w drodze Percy Bysshe SHELLEYA (1792—1822) — wybitnego romantycznego poetę angielskiego, liryka i dramaturga.

### *Po zerwaniu z Kornelią*

Trzecią kobietą, która obudziła żywsze uczucia Krasińskiego, a pierwszą jego dojrzałą miłością była poznana w Rzymie ziemianka z Podola Joanna z Morzkowskich Bóbr-Piotrowicka (1807—1889). Poetę dręczyła bolesna świadomość, że zadzierzgnięty przez niego romans zламаł życie pani Bobrowej, kobiecie uczciwej, szlachetnej i szczerze kochającej, najlepszej dotąd żonie i matce. Gen. Krasiński starał się za wszelką cenę o zerwanie gorszącego związku, który stał na przeszkodzie świetnemu ożenkiowi syna. Zwrócił się z perswazją do Bobrowej, która pod presją moralną zerwała z kochankiem. Zerwanie odbyło się w sierpniu, co pozwala ustalić, iż wówczas właśnie pisany był cytowany tu, nie opatrzony datą, list.

„Jak wynika z treści listu — czytamy w komentarzu edytorskim — był on pisany w Opinogórze po otrzymaniu przez Krasińskiego listu Joanny Bobrowej, zrywającej z nim, niby druga Dama Kameliowa, pod przymusem ojca jej kochanka. Był to sierpień 1838 r., albowiem 28 sierpnia 1838 r. widocznie wkrótce po zerwaniu z Krasińskim tej, która była natchnieniem Krasińskiego do postaci Kornelii w *Irydionie*, pisze on do Edwarda Jaroszyńskiego, sąsiada Bobrów na Podolu: «Donieś mi też, co się z nią dzieje... bo zupełnie przerwane są między nami komunikacje, a co dzień czuję jakby przekleństwo wiszące mi nad głową, za to, żem dowiódł ją do nieszczęścia...»”

W rok później obraz Kornelii wypiera z serca poety Beatrice — piękna lwica salonowa Delfina z Komarów Potocka. Ale nieszczęśliwa, chora na nerwy Joanna Bobrowa zachowa dla niego miłość do końca życia; zakochany w niej Juliusz Słowacki będzie mógł otrzymać w zamian za swe uczucie tylko dar życzliwej przyjaźni.

Korespondencja Krasińskiego ze starszym od niego o lat dwadzieścia Adamem SOŁTANEM (1792—1863) trwała od końca 1834 r. do śmierci poety. Cytowany list zachował się w zbiorach prawnika adresata, Adama Sierakowskiego. Sołtan, pułkownik wojsk polskich, za udział w powstaniu listopadowym skazany został na wygnanie i konfiskatę dóbr, a nadto władze carskie pozbawiły go opieki nad jego pięciorcem dzieci. Trzech synów, z których najmłodszy miał trzy lata, umieszczono w Instytucie Paziów w Petersburgu, dwie córki zaś oddano do klasztoru wizytek w Kamieńcu. Gdy w r. 1836 nadeszła z Kamieńca wiadomość o śmierci młodszej córki Sołtana, Krasińskiemu udało się przez stosunki ojca wydobyć z klasztoru starszą i sprowadzić ją do Wiednia. Była to właśnie wspomniana w liście Marysia.



„Już to w ogóle historia przyjaźni Krasińskiego jest stanowczo najpiękniejszym rozdziałem jego życia — pisze Ignacy Chrzanowski w studium *Osobowość Krasińskiego (Krasiński żywy)*. — Kiedy się tylko dowiedział, że który z przyjaciół jest w biedzie, zaraz mu posyłał hojne zasiłki, ale nie bezpośrednio, tylko przez ludzi, aby przyjaciel nie wiedział, kto go wspiera; tej dziwnie szlachetnej, dziwnie delikatnej hojności Krasińskiego doświadczał na sobie np. Norwid, doświadczał i Słowacki, i to w epoce, kiedy był bij zabij na Krasińskiego! Nie o samych zresztą przyjaciółach myślał Krasiński. Oto np. Klaczko. Nie lubił go Krasiński, zrazu przynajmniej, ale go wysoko cenił za jego pisma polskie, więc dowiedziawszy się, że jest w potrzebie, przesłał mu 500 franków, niby to na książki potrzebne do studiów [...] Wspierał także i Mickiewicza i warto przytoczyć ustęp z listu do Cieszkowskiego [...] z 25 I 1847: «Bądź łaskaw 1500 fr. panu Adamowi oddać [...] on w szkaradnej biedzie i bieda przeszkadza mu do jasnego widzenia rzeczy.» A po śmierci Mickiewicza było jego troską, czy dzieci zmarłego nie są w biedzie, i pisał do Cieszkowskiego 6 XII 1855: «Jeśli zaraz przyjść trzeba na ratunek dzieciom, to mi napisz.»

Nie szczędził także Krasiński grosza na różne cele publiczne, np. na Bibliotekę Polską w Paryżu. Dla siebie tylko, jak świadczy ks. Jan Koźmian, był skąpy, nie lubił «wszelkiego zbytku, wystawności, zabawy».

Konstanty DANIELEWICZ (1809—1842) zaprzyjaźnił się z Krasińskim już za czasów szkolnych i uniwersyteckich. Na życzenie generała wyjechał z nim za granicę jako jego — przez długie lata — towarzysz i opiekun. Filozof z wykształcenia, zaznajamiał poetę z najnowszymi prądami w filozofii, przede wszystkim z doktryną Hegla. Projekty matrymonialne, o których wspomina Krasiński, nie doszły do skutku. Autor *Irydiona* obecny był przy przedwczesnej śmierci Danielewicza.

### *Wieczory na Krakowskim Przedmieściu*

Henryk OLECHNOWICZ-STECKI (ur. 1823), archeolog i numizmatyk, przez matkę swą, z domu Czacką, spokrewniony był z Krasińskim, którego babka, Antonina z Czackich Krasińska, była rodzoną siostrą Tadeusza Czackiego.

Kazimierz LUBOMIRSKI (1813—1871), właściciel Równego, kurator równieńskiego gimnazjum, był muzykiem, kompozytorem popularnych piosenek, jak *Gwiazdka*, *U nas inaczej* itp.

### JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Józef Ignacy Kraszewski urodził się w r. 1812 w Warszawie w rodzinie ziemiańskiej. Po ukończeniu gimnazjum wstąpił w r. 1829 na wydział literacki Uniwersytetu Wileńskiego. Już w rok później debiutował czterema powiastkami, z których dwie ukazały się w wileńskim „Noworoczniku Literackim”, a dwie w petersburskim „Bałamucie”. Aresztowany w grudniu 1830 r., zwolniony został

w marcu 1832, ale nie wolno mu było opuszczać Wilna, gdzie znajdował się pod dozorem policyjnym. Zamknięcie Uniwersytetu przerwało nie ukończone studia, kontynuował natomiast młody pisarz twórczość literacką. W r. 1833 opuścił Wilno, a w 1838 ożenił się i osiadł na dzierżawie na Wołyniu, dzieląc czas między gospodarkę, literaturę i publicystykę. W latach 1841—1851 wydawał w Wilnie, borykając się z trudnościami finansowymi, pismo kulturalne „Athenaeum”. Miał już wówczas poważny autorytet w społeczeństwie. Z ważniejszych dzieł tego okresu wymienić należy poemat z dziejów Litwy *Anafielas*, powieści takie, jak *Poeta i świat*, *Latarnia czarnoksiężska*, wreszcie „powieści ludowe”: *Ulanę*, *Ostapę Bondarczyka*, *Budnika*, *Jarynę*. Zniechęcony ostatecznie do gospodarki na roli, osiadł Kraszewski w 1853 r. w Żytomierzu, gdzie piastował urząd honorowego kuratora gimnazjum. Pobyt w Żytomierzu, obok ożywionej działalności społeczno-kulturalnej, zaznaczył się wydaniem dalszych dzieł, m. in. *Chaty za wsią*, *Jermoły*, *Historii kolka w płocie*, oraz szeroką współpracą z prasą, przede wszystkim warszawską. Jej ukoronowaniem było objęcie w r. 1859 redakcji „Gazety Codziennej”, połączone z zamieszkaniem w Warszawie. W r. 1862, w związku z trudną sytuacją polityczną, Kraszewski złożył berło redakcyjne, a w roku następnym za „radą” władz zaborczych przeniósł się do Drezna, gdzie spędził resztę życia. Lata drezdeńskie przyniosły obfitą produkcję własną (cykl historyczny, *Szaloną*, powieści związane z powstaniem styczniowym, jak *Dziecię Starego Miasta* i in.), poczynania wydawnicze, jak Biblioteka Pamiętników i Podróży po Dawnej Polsce, i ogromny plon publicystyczny. Aresztowany przez władze pruskie i uwolniony za kaucją, wyjechał Kraszewski do Szwajcarii, gdzie zmarł w Genewie w r. 1887.

### *Nazwisko w poniewierce*

Antoni MARCINKOWSKI (1823—1880) — ziemianin spod Kijowa, pisarz, publicysta, erudyta i właściciel cennego księgozbioru. Współpracował z czasopismami i pismami zbiorowymi na Kresach oraz z prasą warszawską. Artykuł o Kraszewskim był jego ostatnią pracą.

Ojciec pisarza, Jan Kraszewski, dziedzic wioski Dołhe w Grodzieńskim, pragnął istotnie, by najstarszy syn kultywował tradycje przodków i pozostał ziemianinem. Niechętnym też okiem patrzył na zatrudnienia literackie, którym Józef Ignacy oddawał się ze znacznie większym zapalem aniżeli studiom na Uniwersytecie Wileńskim. Młody pisarz, zamieszany w wypadki powstania listopadowego i 16 miesięcy trzymany w więzieniu, a po uwolnieniu skazany na przymusowy pobyt w Wilnie, dopiero latem 1833 r. mógł powrócić do rodziców i wtedy ojciec zażądał kategorycznie, by zajął się gospodarką. Zmuszony do posłuszeństwa, pomagał ojcu, nie przestając jednak zasilać wileńskiego wydawnictwa księgarza Zawadzkiego płodami swego pióra. W kilka lat później dobrowolnie nawet postanowił poświęcić się gospodarce na roli, a to za sprawą uczucia do panny Zofii Woroniczówny z Wołynia. Po ślubie, który odbył się latem

1838 r., zaczyna Kraszewski gospodarować w majątku Omelno na Wołyniu, wziętym dla niego przez ojca w dzierżawę od Krasickich, a w dwa lata później nabywa Gródek pod Łuckiem; równocześnie bardzo dużo czyta, pisze, stale rozszerza zakres swych zainteresowań: poeta, powieściopisarz, historyk, krytyk i publicysta coraz bardziej biorą górę nad ziemianinem, aż wreszcie całkowicie zbrzydzi sobie gospodarowanie i odda je w ręce zarządcy. W miarę rosnącej sławy syna pan Jan Kraszewski zmieni później zdanie o pogardzanym zawodzie literata (por. *Kraszewski w Warszawie*).

### *Droga do serca*

Teodor Tomasz JEŻ (właśc. Zygmunt Miłkowski, 1824—1915) — pisarz i żołnierz, działacz niepodległościowy, uczestnik kampanii węgierskiej 1848/49 r., organizator oddziału powstańczego w 1863 r., współpracownik wielu pism krajowych i emigracyjnych. Większość życia spędził na tułactwie, od Konstantynopola po Londyn, zawsze zajęty sprawami publicznymi. Ogłosił prawie 90 ogromnie poczytnych powieści, m. in. z życia ludu ukraińskiego (*Hrybor Serdeczny*), z dziejów walk ludów bałkańskich o wolność (*Uskoki, Narzeczona Harambaszy*), z czasów powstania węgierskiego (*Ci i tamci*). Prócz prac o tematyce politycznej pozostawił bardzo ciekawy pamiętnik *Od kolebki przez życie* (Kraków 1936—1937), obrazujący koleje jego niezwykle czynnego i bogatego żywota. Jeż był również świadkiem śmierci Kraszewskiego w Genewie. Opis ostatnich chwil autora *Starej baśni* pomieścił w cytowanych *Wspomnieniach*.

KONTRAKTAMI nazywano, jeszcze za Rzeczypospolitej, wielkie doroczne stycznio-we jarmarki, na które zjeżdżała się szlachta celem dokonania najróżniejszych transakcji finansowych. Miejscem kontraktów był początkowo Lwów, po pierwszym rozbiorze Dubno, a po trzecim Kijów. Kontrakty dubieńskie odbywały się w dalszym ciągu, ale nie miały tak dużego znaczenia.

Jeż wymienia powieściopisarzy, których utwory ukazywały się w pierwszych dziesiątkach XIX w.: Aleksander BRONIKOWSKI (1787—1834), zamieszkały stale w Dreźnie, pisał po niemiecku — tłumaczone skwapliwie na polski — powieści z dziejów ojczystych; Feliks BERNATOWICZ (1786—1836) wślawił się romansami — sentymentalnym *Nierozsądne śluby* i historycznym *Pojata, córka Lezdejki*, wzorowanym na twórczości cieszącego się wówczas wielką estymą Waltera Scotta; Ludwik KROPIŃSKI (1767—1844) był autorem, obok tragedii *Ludgarda*, także romansu *Julia i Adolf, czyli Nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru*.

Na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej szczególnie zaznaczał się wpływ konserwatywnej i ugodowej grupki pisarzy i publicystów skupionych wokół „Tygodnika Petersburskiego”. Największym talentem literackim obdarzony był wśród nich autor *Pamiętek Soplicy* i *Listopada*, Henryk Rzewuski (1791—1866), propagator ugody z caratem, nieubłagany wróg wszelkich poczynań niepodległościowych i wszelkich idei demokratycznych, używający pseudonimu JAROSZ BEJŁA, największym autorytetem krytycznym cieszył się Michał GRABOWSKI (1804—1863).

Zenon BRZozowski (1806—1887), syn przyjaciółki pani Bécu, towarzysz podróży Słowackiego na Wschód, adresat żartobliwego wiersza zaczynającego się od słów: „Wielmożny Panie /Powinszowanie/ Nowego Roku...”. W r. 1841 ożenił się z Elizą Zamoyską.

Andrzej ZAMOYSKI (1800—1874), brat panny młodej i wspomnianego tu już Augusta, to wybitny działacz na polu gospodarczym i politycznym, założyciel Towarzystwa Rolniczego, przywódca Białych w dobie powstania styczniowego.

Niedocenianie krajowej literatury romantycznej, przyćmienie przez wielkie indywidualności Emigracji, było zjawiskiem powszechnym nie tylko współcześnie, ale aż po 20-lecie międzywojenne.

### *Kraszewski w Warszawie*

Paulina z Lauczów WILKOŃSKA (1815—1875) — powieściopisarka, żona Augusta, autora niezmiernie w swoim czasie popularnych humorystycznych *Ramot i ramotek*. Po osiedlcniu się w Warszawie ok. r. 1840 Wilkońscy brali bardzo żywy udział w życiu literackim i umysłowym miasta.

Najmłodszym bratem Józefa Ignacego był Kajetan KRASZEWSKI (1827—1896), literat, kompozytor utworów na fortepian oraz astronom-amator (autor artykułów na ten temat w encyklopedii Orgelbranda).

### *Rcwanż*

Maurycy KARASSOWSKI (1823—1892) — kompozytor i muzykolog, wiolonczelista, od 1868 r. członek nadwornej orkiestry teatralnej w Dreźnie. Ogłosił wiele prac, m. in. *Młodość Fryderyka Chopina*. Utrzymywał bliską znajomość z Kraszewskim: za czasów jego redakcji był recenzentem muzycznym „Gazety Codziennej”. Wspomniany przez niego obiad odbył się w przeddzień imienin pisarza, 18 III 1879 r.

Okoliczności i przebieg jubileuszu Kraszewskiego opisuje Bronisław Chlebowski (*Sto lat myśli polskiej*, t. VIII, Warszawa 1913):

„Rosnące w całym społeczeństwie pragnienie złożenia hołdu wielkiemu pracownikowi spowodowało przyspieszenie uroczystości, która zamiast w pięćdziesięciolecie, przypadające w r. 1880, naznaczoną została na rok 1879. Już w r. 1877 z inicjatywy Adama Pługa (Pietkiewicza) w gronie współpracowników „Kłósów” powstała myśl przygotowania na zbliżający się jubileusz książki pamiątkowej, mającej w szeregu specjalnych opracowań przedstawić życie i różnokierunkową działalność jubilata. Zawiązano komitet redakcyjny, w skład którego weszli: Chmielowski, Kaszewski, Korotyński, Korzon, Lewestam, Oskierka, Pawiński, Pług, Skimborowicz, Struve i Wójcicki. Koszta druku i nakładu wzięły na siebie redakcje

główniejszych pism warszawskich i poważniejsze drukarnie. Kilka tysięcy prenumeratorów zapisało się przed wyjściem z druku książki. Jednocześnie ogłoszona prenumerata na *Wybór pism* Kraszewskiego w 15 tomach ściągnęła o wiele liczniejsze zapisy. Czysty zysk z obu tych wydawnictw, przeznaczony jako dar dla autora-jubilata, doszedł sumy 60 000 rubli.

Najwymowniejszym jednak wyrazem hołdu był odbyty w Krakowie w dniu 3 października 1879 r. wspaniały obchód, na który przybyło około 12 000 uczestników ze wszystkich prowincji polskich i rozrzuconych po obczyźnie kolonii. Po uroczystym powitaniu jubilata na dworcu kolei w dniu 2 października przez radę miejską, młodzież uniwersytecką, cechy i tłumy publiczności nazajutrz w sali świeżo odnowionych Sukiennic odbył się akt hołdu narodowego, rozpoczęty kantatą Żeleńskiego ze słowami Asnyka. Po wstępnej przemowie prezydenta miasta Zybkiewiczza rozpoczęło się składanie darów i adresów przez 120 delegacji od różnych instytucji, korporacji, prowincji, grup społecznych, kolonii zamorskich. Z kolei powstał ze swego krzesła wielki doniosłością wywartego wpływu, rozmiarami dokonanych prac, napięciem zbiegających się dziś ku niemu uczuć milionów dusz — szczupły, drobny, pochylony wiekiem, pracą i chorobą starzec i wśród ciszy uroczystej odczytał z drukowanej karty swą odpowiedź i spowiedź zarazem. W przemówieniu tym odsłonił po raz pierwszy swą głęboką i niewzruszoną wiarę w żywotność narodu i jego odrodzenie się współczesne. [...]

Nie jako pisarz, poeta, lecz jako nauczyciel, publicysta, budzieli życia narodowego przemawiał w tej chwili uroczystej Kraszewski. Sam ten obchód swymi pojavami stwierdzał zarówno szerokość, jak siłę i charakter wpływu, jaki wywierał przez pół wieku na społeczeństwo ten niez mordowany przodownik życia narodowego, zamkniętego, przez zakazy i ścieśnienia stanu wyjątkowego, w ciasnym zakresie bytu rodzinnego i stosunków towarzyskich."

Fenomenem, olbrzymem, tytanem pracy zwą Kraszewskiego wszyscy współcześni, podziwiając rozmiary dorobku i wielkość wysiłku pisarza, będącego w dodatku przez całe życie człowiekiem bardzo wątłym, nerwowym, cierpiącym na chroniczne bolesne dolegliwości. Skala jego zainteresowań i działalności nie znała właściwie żadnych granic; poza powieściopisarstwem (kilkaset tomów własnych powieści) obejmowała: poezję, filozofię, historię, archeologię, muzykę, malarstwo, krytykę literacką, podróżopisarstwo, dziennikarstwo i wreszcie prace edytorskie przy wydawnictwie pamiętników historycznych. Punktualnie co miesiąc redakcje „Biesiady”, „Kłosów”, „Bluszczu”, „Tygodnika Ilustrowanego”, „Tygodnika Mód i Powieści” otrzymywały od Kraszewskiego korespondencje, zaznajamiające czytelników z ruchem naukowym, literackim, artystycznym, społecznym, a częściowo i politycznym w Europie. A już w zakresie i znaczeniu swej korespondencji prywatnej można by rzec, że stanowił Kraszewski sam jeden instytucję o niezmiernym autorytecie moralnym. Jego sąd ułatwiał młodym wstęp do literatury i np. Sienkiewicz, debiutujący powieścią *Na marnie*, posłał ją Kraszewskiemu za pośrednictwem przyjaciela z nieśmiałą prośbą o ocenę. Kraszewski odpisał:

„Powieść *Na marnie* pisana jest wybornie. Czytałem ją z wielkim zajęciem i jednym

szczerym słowem mogę powiedzieć to tylko, że rzadko pierwsza praca jest tak dojrzałą. Winien to autor i talentowi, i tej wielkiej trafności, z jaką obrał sobie przedmiot — z własnego lub widzianego i znanego życia, a mógł malować z natury.”

### *W drezdeńskiej pracowni*

Aleksander Bolesław BRZOSTOWSKI (1848—1920) — literat, bibliograf, bibliotekarz, antykwarium. Współpracował z czasopismami galicyjskimi i warszawskimi, zamieszczając artykuły treści bibliograficznej i pamiątkarskiej. W domu Kraszewskiego, nabytym za sumę ofiarowaną mu z racji jubileuszu, spędził 4 miesiące, pełniąc funkcję bibliotekarza.

Cytowany przez Brzostowskiego Michał WOŁOWSKI (1851—1900) to warszawski dziennikarz, publicysta, powieściopisarz i autor sceniczny, założyciel dziennika „Głos”, w ostatnich latach życia dyrektor teatru w Łodzi.

### *W więzieniu*

Władysław MICKIEWICZ (1838—1926) — najstarszy syn poety, pisarz, publicysta, historyk emigracji, wydawca dzieł ojca (z rękopisów), jego korespondencji oraz materiałów biograficznych. Działalność literacką rozpoczął w języku francuskim w 1859 r., publikując artykuły polityczne i historyczne oraz broszury. W r. 1866 założył w Paryżu Księgarnię Luksemburską, w r. 1899 został tamże dyrektorem Biblioteki Polskiej. Wydał m. in.: *Żywoć Adama Mickiewicza* (Poznań 1890—1893), *Emigracja polska 1860—1890* (Kraków 1908).

Wybawiciel Kraszewskiego Antoni RADZIWIŁŁ, generał-adiutant cesarza niemieckiego Fryderyka III, był wnukiem Antoniego Radziwiłła, namiestnika W. Ks. Poznańskiego, i księżniczki Luizy von Hohenzollern-Anspach, bratanicy Fryderyka Wielkiego pruskiego.

Wielki cykl 29 powieści historycznych w 76 tomach, zaczynający się *Starą baśnią* i zakończony *Saskimi ostatkami*, stworzył Kraszewski w okresie 11 lat — od 1876 do 1887 r.

## ELIZA ORZESZKOWA

Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa urodziła się w r. 1841 w rodzinie ziemiańskiej, w majątku Miłkowszczyzna w pobliżu Grodna. Po ukończeniu pensji klasztornej w Warszawie wydana została jako siedemnastoletnia panienka za mąż za ziemianina z Polesia Piotra Orzeszkę i zamieszkała w jego majątku Ludwinów. Rozbudzone, w związku z toczącymi się wówczas dyskusjami nad problemem uwłaszczenia chłopów, zainteresowania społeczne przyszłej pisarki

były jedną z przyczyn rozbieżności w małżeństwie; mało harmonijnie układające się życie Orzeszków zakończone zostało ostatecznie w r. 1869 rozwodem. W r. 1863 Orzeszkowa uczestniczyła w akcjach pomocy powstańcom toczącym partyzanckie walki w lasach poleskich. Po upadku powstania Ludwinów skonfiskowano, a Orzeszko znalazł się na zesłaniu. Przyszła autorka *Marty* osiadła wówczas w rodzinnej Miłkowszczyźnie i — mając do rozporządzenia bogatą bibliotekę pozostałą po ojcu — rozpoczęła intensywne samokształcenie. W r. 1866 debiutowała w druku *Obrazkiem z lat głodowych*, w 1867 ukazała się pierwsza jej powieść — *Pamiętnik Waławy*. W r. 1869 osiadła na stałe w Grodnie. W latach 1879—1882 prowadziła w Wilnie księgarnię wydawniczą. Rozwijiała ożywioną działalność publicystyczną, występując gorąco w obronie ideałów humanistycznych, m. in. w kwestii żydowskiej i w sprawie emancypacji kobiet. Obok licznych artykułów, opowiadań i nowel ukazały się wówczas najwybitniejsze powieści Orzeszkowej: *Meir Ezofowicz*, *Dziurdziowie*, *Nad Niemnem*, *Cham*. Zmarła w Grodnie 18 V 1910 r.

### *Kraj lat dzieciennych*

Ludwik MĘYET (1850—1912) — adwokat i literat warszawski, kolekcjoner dzieł sztuki, oddany krzewiciel sławy wielkich polskich artystów. Wydał m. in. 2 t. *Listów Słowackiego* (Lwów 1899), przyczynił się do założenia w Warszawie sekcji muzycznej im. Chopina, organizował imprezy na cześć kompozytora. Dla Orzeszkowej był Męyet najwierniejszym i najbardziej ofiarnym sługą; toczył boje z wydawcami o jej honoraria, załatwiał jej wszystkie polecenia w Warszawie, biegał po zakupy i prowadził z nią latami rozległą korespondencję, z której ocalało ponad 300 listów pisarki (*Listy zebrane*, t. II, Wrocław 1955) i ponad 700 listów Męyeta.

W cytowanym tu fragmencie błędnie (być może, jest to błąd korektorski) podana jest data urodzin Orzeszkowej. Znakomita pisarka urodziła się 25 V 1841 r. Jej siostra Klementyna, zwana Klemunią, zmarła w 1851 r.

### *Debiut*

Henryk GALLE (1872—1948) — historyk literatury, krytyk literacki, pedagog, zasłużony popularyzator literatury polskiej. W latach 1905—1911 był sekretarzem redakcji „Tygodnika Ilustrowanego”, redagował „Przegląd Bibliograficzny”, był członkiem komitetu redakcyjnego wydawnictwa *Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej*. Recenzował wiele utworów Orzeszkowej.

Ludwik JENIKE (1818—1903) — redaktor „Tygodnika Ilustrowanego” od założenia tego pisma w r. 1859 do r. 1886; tłumacz Goethego.

Związki Orzeszkowej z „Tygodnikiem Ilustrowanym” były długotrwałe, chociaż pisarka skarżyła się, że ją Jenike „recenzjami masakruje”. W r. 1867 pismo to dru-

kowało *Wspomnienia z powiatu pińskiego*, w r. 1869 — pierwszą dłuższą powieść. *W klatce*, w 1874 — *Eli Makowera*, w 1887 — *Nad Niemnem*, w 1890 — *Jędrę*, w 1894 — nowelę *Pieśń przerwana*, w 1895 — *Wśród kwiatów*, w 1897 — *Excelsior*, w 1898 — nowelę *Gwiazda wschodzi*, w 1899 — *Argonautów*, w 1901 — *Z różnych dróg*, w 1902 — *Anastazję*, wreszcie w r. 1907 — *Gloria victis*.

### Po pożarze Grodna

Wiktor GOMULICKI (1848—1919) — poeta, powieściopisarz, nowelista, krytyk literacki, publicysta i dziennikarz, którego wielostronna twórczość związana była bardzo silnie z Warszawą; on to wprowadził do poezji miasto i jego mieszkańców, przeszłości stolicy poświęcił liczne szkice (*Opowiadania o Starej Warszawie* i in.) i większe publikacje, w Warszawie również rozgrywa się akcja jego historycznych powieści (*Cudna mieszczka* i in.). Współpracował z prasą rozmaitych odcieni; sam też podejmował kilkakrotnie redakcję czasopism. Największą popularność wśród jego książek zdobyły do dziś rozchwytywane przez młodzież *Wspomnienia niebieskiego mundurka* z lat szkolnych 1859—1864 w pułtuskiej szkole powiatowej.

Sylwetka, o której wspomina Gomulicki, ukazała się pt. *Eliza Orzeszkowa* w nrze 279 „Kuriera Codziennego” 1883.

Pożar zniszczył Grodno w początkach lata 1885 r. W liście z 19 VI/1 VII pisała Orzeszkowa do Erazma Piltza, redaktora petersburskiego „Kraju” (*Listy zebrane*, t. I, Wrocław 1954):

„U nas gorąco, duszno, gwarno, łzawo i rozpaczliwie. Po dniach całych mamy gardła pełne pyłu i popiołu, a oczy pełne łez. Ze stu biedakami codziennie rozmawiać trzeba, a te różne wzbronienia, zwłoki, formalizmy codziennie też jeden więcej kolec w serce wbijają...”

W tymże „Kraju”, w nrze z 16/28 VI, gdzie znajduje się również korespondencja Gomulickiego, drugi korespondent grodzieński, podpisany literami R. A. D., donosił:

„Widziałem p. Orzeszkową; godną jest podziwienia, bo przynosi z uśmiechem klęskę materialną, co ją spotkała, i zajęta jest wyłącznie losem swych współobywateli, a jednak straciła wszystko! Niewielkie oszczędności jej, na hipotekach w domach ulokowane, przepadły, bo właściciel ich zrujnowany; bank miejscowy, któremu powierzyła małą sumkę, zapewne także ogłosi swoją upadłość (?). Z 4000-tomowej biblioteki ocalono zaledwie kilkaset książek. Zginęły też rękopisma i prace do druku przeznaczone, w tej liczbie nowelka dla „Kraju” [...] którą szanowna powieściopisarka dopisała w wigilię pożaru i nazajutrz miała odesłać. Zginęło, słowem, całe mienie, i oczekiwany zarobek i oto ta niewiasta, której skronie szron już przykrywa, myśli tylko o innych i niechętnie mówi o swoich stratach; kiedy ją zapytują, spieszy znów skierować rozmowę do nieszczęśliwego losu innych.”



Stanisław NAHORSKI (1826—1896) — grodzieński adwokat i działacz społeczny, od 1867 r. doradca prawny pisarki. Wieloletnia przyjaźń, a z czasem i miłość uwieńczona została małżeństwem zawartym w 1894 r.

O wydarzeniu tym zawiadomiła pisarka Méyeta w początkach listopada (*Listy zebrań*, t. II):

„Mój Najlepszy i Drogi Przyjacielu.

Z podpisu mego domyśl się, jaka awantura stała się ze mną. Pośmiej się trochę, jeżeli uczujesz ochotę, z niewczesności wydarzenia tego; gniewać się o to nie będę, bo sama z siebie śmieję się serdecznie. W zamian proszę Cię, abyś wierzył, że rządziły mną pobudki bardzo poważne, że tak uczynić byłam powinna, że potrzebowałam na to wiele odwagi i mocy, a lekkomyślność jakakolwiek dalej niż kiedykolwiek była ode mnie. Zresztą zmiana nie zaszła w niczym i żadna. Nawet na tę jeszcze zimę pozostałam w swoim mieszkaniu, zanim tamto, w domu własnym, uporządkuje się i urządzi. Nazwiska swego ani mogę, ani chcę, ani mam prawa zmieniać; tylko dla stosunków oficjalnych i niektórych prywatnych wybieram do niego drugie. Swoich drukowanych kopert do mnie zmieniać nie potrzebujesz. Katastrofa zaszła w dniu 21 paźdz[icznika] st[arego] st[yłu] — 2 listopada n[owego] st[yłu]. Oto wszystko.”

List podpisany był: „El. Orzeszkowa-Nahorska”.

Władysław MIERZWIŃSKI (1850—1905), jeden z najświetniejszych tenorów bohaterskich epoki, królował wiele lat na scenach operowych Europy i Ameryki; był synem krakowskiego murarza, powstańca z 1830 r.

### *Z dawnych dni*

Zuzanna RABSKA (1886—1960) — córka historyka Aleksandra Kraushara, żona redaktora „Kuriera Warszawskiego”, poetka, nowelistka, autorka książek dla młodzieży, krytyk literacki, bibliofilka.

Romułd TRAUĞUTT nie ukończył żadnej „szkoły rycerskiej”, bo nie udało mu się dostać do petersburskiej Akademii Wojsk Inżynieryjnych; studiował na niej zaocznie już jako oficer-ochotnik armii rosyjskiej, w której przesłużył lata 1845—1862 i doszedł do stopnia podpułkownika.

### *U pani Elizy*

Franciszek Ksawery GODLEWSKI (1866—1937) — działacz społeczny i literat. Po ukończeniu gimnazjum w Suwałkach i oficerskiej szkoły rosyjskiej odbywał służbę wojskową w Grodnie, gdzie mieszkały jego dwie siostry, zaprzyjaźnione z Orzeszkową. Godlewski znalazł się wtedy w najbliższym otoczeniu pisarki, która obdarzała go bardzo serdeczną sympatią.

EPOKĄ TYZENHAUZOWSKĄ nazywa Godlewski lata 1765—1780, kiedy to podskarbi nadworny litewski Antoni Tyzenhauz uczynił Grodno ośrodkiem swoich poczynań zmierzających do stworzenia przemysłu polskiego. Budowane z rozmachem, ale bez rozważania sytuacji gospodarczej kraju, z dużą za to lekkomyślnością w szafowaniu środkami finansowymi, oparte przy tym na pańszczyźnianej sile roboczej, manufaktury Tyzenhauza okazały się tworem nietrwałym. „Epoka tyzenhauzowska” była okresem największego rozkwitu miasta.

Antoni KAMIENSKI (1861—1933) — grafik, ilustrator dzieł literackich, m. in. utworów Orzeszkowej. Zamieszczony w „Tygodniku Ilustrowanym” z 13 X 1900 r. jego rysunek przedstawiający dziewczynkę wiejską, a zatytułowany *Anastazja* natchnął pisarkę pierwszym pomysłem dłuższego opowiadania, które pt. *Anastazja* ukazało się w r. 1903.

Marian ZDZIECHOWSKI (1861—1938) — teoretyk i historyk kultury, historyk literatury, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, później wileńskiego. W r. 1904 brał udział w staraniach o przyznanie Orzeszkowej Nagrody Nobla.

Zainteresowania Orzeszkowej i jej „panien” odbijają przełom dwu epok. Tematem dysput jest tu zarówno mistrz pozytywistycznej krytyki literackiej, historyk i filozof Hippolyte TAINÉ (1828—1893) czy czołowy publicysta pozytywizmu polskiego Aleksander ŚWIĘTOCHOWSKI, który pisał również niesceniczne dramaty poświęcone problematyce filozoficznej i społeczno-politycznej (*Duchy* ukazały się w r. 1909), jak i przedstawiciele literatur skandynawskich, które w drugiej połowie XIX w. przeżywały rozkwit i znaczny wpływ wywarły na literaturę europejską końca stulecia. Na pierwszym miejscu z wymienionych przez Godlewskiego postawić należy wybitnego dramaturga norweskiego Henrika IBSENA (1828—1906), którego twórczość, przesiąknięta symbolizmem, służyła demaskowaniu kłamstwa i obłudy mieszczańskiego społeczeństwa.

Edward LUBOWSKI (1837—1923) — warszawski komediopisarz, publicysta i autor powieści. W działalności publicystycznej zwalczał prasę pozytywistyczną, natomiast tezy, którym daje wyraz jego twórczość sceniczna, zbliżone są do programu pozytywistów.

Powieść *Argonauta*, drukowana w odcinkach „Tygodnika Ilustrowanego” w r. 1899, ukazała się osobno w r. 1900.

W tym i niektórych innych utworach (m. in. w *Australczyku*, 1895) znalazła swój wyraz niechęć autorki do cywilizacji wielkomiejskiej i potępienie wyjazdów wybitniejszych jednostek spośród Polaków w głąb Cesarstwa Rosyjskiego ze względu na większe tam perspektywy kariery i majątku. Stąd niżej aluzja do odpływania z Grodna „Australczyków” i „Argonautów”.

„ROLA” była skrajnie konserwatywnym i zajadle antysemickim pismem wydawanym w Warszawie od r. 1882 przez Jana Jeleńskiego.

Ulica, przy której mieszkała pisarka, nazwana została nazwiskiem Michała MURAJOWA, generał-gubernatora wileńskiego w latach 1863—1865, zwanego powszechnie Wieszatelem ze względu na niesłychane okrucieństwo, jakie okazał wobec powstańców litewskich.

## BOLESŁAW PRUS

Bolesław Prus (właśc. Aleksander Głowacki herbu Prus) urodził się w r. 1845 w okolicach Hrubieszowa w zubożałej rodzinie szlacheckiej, jako syn oficjalisty w dobrach ziemiańskich. Wczesnie osierocony przez rodziców, wychowywał się u babki i ciotki. Brał udział w powstaniu styczniowym. Po złożeniu matury w Lublinie rozpoczął w r. 1866 studia na wydziale matematyczno-fizycznym Szkoły Głównej, ale już w 1868 musiał je przerwać z powodu trudności finansowych. Przez kilka lat miał się różnych prac zarobkowych; na rok 1872 przypada początek jego długoletniej działalności dziennikarskiej jako publicysty i humorysty. Związał się z prasą umiarkowanie pozytywistyczną, której poglądy podzielał. W r. 1875 zaczął drukować w „Kurierze Warszawskim” słynne swoje *Kroniki*, prowadzone aż do śmierci, z kilkakrotną zmianą czasopism. W r. 1874 ukazały się pierwsze opowiadania Prusa, w latach 1878—1884 jego najznakomitsze nowele, jak *Antek*, *Katarynka*, *Kamizelka* czy *Omyłka*. Po pierwszych powieściach — *Pałac i rudera*, *Dusze w niewoli* i *Anielka* — *Placówka* rozpoczyna w r. 1885 serię najwybitniejszych powieści realizmu krytycznego w Polsce: w latach 1887—1889 „Kurier Codzienny” drukuje *Lalkę*, w 1890—1893 *Emancypantki*, w 1895—1896 „Tygodnik Ilustrowany” — *Faraona*. Życie osobiste Prusa, który w r. 1875 poślubił Oktawię Trembińską, toczyło się spokojnie, bez wstrząsów. Nurt codziennej pracy przerywały tylko wyjazdy do ulubionego Nałęczowa, a jedynym ważniejszym wydarzeniem była podróż zagraniczna w r. 1895. Prus zmarł niemal nagle w r. 1912, w toku pracy nad powieścią *Przemiany*.

### Głowacz

Gustaw DOLIŃSKI (1846—1906), lekarz lubelski, studiował matematykę, później medycynę w Szkole Głównej; następnie kształcił się w Berlinie, Paryżu i Wiedniu.

Wymienieni przez Dolińskiego koledzy szkolni i uniwersyteccy Prusa to: Adam MYSŁOWSKI (zm. 1912), absolwent wydziału medycznego Szkoły Głównej, lekarz w Kłodawie; Zbigniew KAMIŃSKI — w latach późniejszych współredaktor „Kuriera Lubelskiego”; Michał ŚWIĄTKOWSKI, którego pisarz wspominał w r. 1890:

„Najweselszy i najdowcipniejszy z tej gromady śp. Michał Ś., który kiedy nie miał co jeść, czytywał *Klub Pickwicka*, był wyborem karykaturzystą i miał genialne pomysły mechaniczne: zbudował np. mikroskop, w którym soczewkę przedmiotową

zastępowała kropla wody" (*Słowo o krytyce pozytywnej*, wg *Pism*, t. XXIX, Warszawa 1950).

W „*Kurjerze Świątecznym*” drukował Prus w r. 1866 jedno z pierwszych swych prac: *Żywoć Jana w Oleju i Pamiętniki śp. Jana w Oleju*.

O sobie samym z czasów pobytu w szkole lubelskiej pisał w cytowanym już *Słowie o krytyce pozytywnej*:

„Wśród tej młodzieży kipiącej życiem Głow. był nie gorszy i nie lepszy od innych, tylko trochę starszy i doświadczeńszy. A ponieważ każdy z nich miał jakąś oryginalną cechę umysłowości, więc i on ją miał. Był to fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych. Więc wykladał na prawo i lewo, że wszystko jest głupstwem i kłamstwem, czego nie można wyliczyć i zważyć, a przynajmniej zaobserwować...”

Aleksandrowi Świętochowskiemu wyjaśniał żartobliwie:

„Głowacki uczęszczał do szkół od roku 1856 do roku 1866, co już wskazuje, że należał do tej interesującej grupy młodzieńców, która w poziomym języku profesorów nazywała się próżniakami i urwisami.”

Jak wiadomo, przyczyną przedłużenia nauki szkolnej był w rzeczywistości udział w powstaniu styczniowym i wynikłe stąd uwięzienie.

SZKOŁA GŁÓWNA powstała w Warszawie w wyniku ustawy o wychowaniu publicznym z maja 1862 r. Był to uniwersytet złożony z czterech wydziałów: prawniczego, filologiczno-historycznego, matematyczno-fizycznego i lekarskiego. Żywoć Szkoły Głównej był krótkotrwały — w r. 1869 decyzją władz carskich została ona zamknięta, a jej miejsce zajął uniwersytet rosyjski.

WUJ z Nowej Aleksandrii (Puław) to Jakub Cyman, przewodniczący rady rodzinnej sprawującej opiekę nad osieroconym w dzieciństwie chłopcem.

### *Wspomnienie z powstania styczniowego*

Miłosz KOTARBIŃSKI (1854—1945) — malarz, głównie religijny, profesor warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, w latach 1887—1891 kierownik artystyczny „Tygodnika Ilustrowanego”.

Władysław OLENDZKI (1843—1894) — publicysta, redaktor dziennika „Słowo”, później „Kuriera Codziennego”, w którym Prus drukował *Lalkę*.

Prus poszedł do powstania ze szkoły kieleckiej wraz ze swym o 12 lat starszym bratem Leonem, który w szkole tej był nauczycielem łaciny, języka polskiego i historii Polski. Młodszy z braci zaciągnął się do oddziału „Dzieci Warszawskich” pod dowództwem Ludwika Żychlińskiego; po dwumiesięcznych walkach został kontuzjowany w bitwie pod Siedlcami i wzięty do niewoli, a następnie przewieziony do szpitala w Siedlcach. Przedtem jeszcze ciężką ranę otrzymał Żychliński i pozbawiony dowódcy

oddział „Dzieci Warszawskich” rozdzielił się na mniejsze partie. Leon Głowacki w wyniku ciężkich przeżyć powstańczych popadł w nieuleczalną chorobę umysłową; zmarł w 1907 r. w lubelskim szpitalu dla psychicznie chorych.

W liście do Walerego Przyborowskiego z 16 III 1902 r. (*Listy*, Warszawa 1959) Prus w następujący sposób relacjonuje finał swej dwumiesięcznej kampanii powstańczej:

„Dnia 15 sierpnia wzięto mnie do niewoli i do szpitala w Siedlcach, skąd, jako ciężko chory, a nade wszystko dzięki protekcji pocziwej rodziny sędziego Dryla — no, i dzięki 16 latom! zostałem uwolniony, bodaj że w Dzień Zaduszny. W połowie listopada przyjechała moja ciotka Olszewska z Warszawy, skąd przywiozła chorego brata, Leona, następnie obu nas zabrała do swego domu w Lubartowie. Tam mieszkałem z bratem przeszło miesiąc. W grudniu znowu mnie aresztowali i przetrzymali w więzieniu lubelskim do początków maja...”

Wdowa po wielkim pisarzu, pani Oktawia Głowacka (zm. 1936), opowiedziała Tadeuszowi Hiżowi, dziennikarzowi warszawskiemu, inne jeszcze szczegóły tamtych wydarzeń (*T. Hiż: Talent, dziwnactwo i coś jeszcze*, Warszawa 1937):

„Mój mąż, proszę pana, znalazł się w powstaniu w 16 roku życia. W bitwie pod Siedlcami został kontuzjowany, a ponadto proch osmalił mu oczy. Kiedy go wzięto do niewoli, ciotka, która się nim opiekowała, odnalazła go po długich poszukiwaniach w więzieniu lubelskim na Zamku [...] Spojrzawszy na chłopca, struchlała. Stał z oczami zawiązanymi chustką i robił wrażenie niewidomego. Po mozolnej kuracji wzrok udało się uratować, ale krótkowzroczność pozostała na całe życie. Władze rosyjskie dzięki jakiejś protekcji zgodziły się w końcu na zwolnienie chłopca z więzienia i przyjęcie go do liceum lubelskiego. Ale był spóźniony o dwa lata, wobec czego skończył 7 klas jako najstarszy z trójki trzech kolegów, jaką tworzył wspólnie z Aleksandrem Świętochowskim i Gustawem Dolińskim, późniejszym lekarzem i literatem.”

Kim był ów wysłannik Rządu Narodowego pracujący później jako redaktor depesz w „Kurierze Codziennym”, nie udało się ustalić.

### *W redakcji „Kuriera Warszawskiego”*

Aleksander KRAUSHAR (1843—1931) — uczestnik powstania styczniowego, absolwent Szkoły Głównej, adwokat, historyk-amator. Ogłosił ponad dwieście prac historycznych, głównie z dziejów Warszawy.

Marian GAWALEWICZ (1852—1910) — płodny powieściopisarz, dramaturg, poeta, krytyk literacki i teatralny, reżyser, dyrektor teatrów w Łodzi i Warszawie, kierownik literacki teatru lwowskiego, dziennikarz. W latach 1879—1883 był kierownikiem działu politycznego „Kuriera Warszawskiego”.

Wacław SZYMANOWSKI (1821—1886) — poeta, dramaturg, felietonista i dziennikarz, redaktor „Kuriera Warszawskiego” w latach 1868—1886.

Józef KAUFMAN — księgarz warszawski, w latach 1871—1875 wydawca tygodnika humorystycznego „Mucha”; prawidłowy tytuł humoreski Prusa wydrukowanej w tym piśmie brzmi: *Na śmierć Filtusia czworo trenów*.

Feliks FRYZE (1843—1907) w latach 1869—1875 współpracownik „Kurieria Warszawskiego”, później redaktor i wydawca „Muchy”, wreszcie redaktor „Kurieria Porannego”.

### *Katastrofa*

Jan LORENTOWICZ (1868—1940) — wybitny krytyk teatralny i literacki, tłumacz. W latach 1890—1903 mieszkał w Paryżu, gdzie studiował, pisywał do pism francuskich i redagował (1891—1893) polskie pismo socjalistyczne „Pobudka”. Popularyzował w Polsce najnowsze prądy i kierunki w poezji francuskiej, we Francji — literaturę polską. Autor serii sylwetek pisarzy Młodej Polski, *Dziejów teatru w Polsce* i monografii *Teatr polski w Warszawie*, zebrał swoje recenzje teatralne w 5 t. pt. *Dwadzieścia lat teatru*.

Włodzimierz SPASOWICZ (1828—1906), prawnik, historyk literatury i publicysta piszący w polskiej i rosyjskiej prasie. Do r. 1861 profesor prawa karnego na uniwersytecie w Petersburgu, potem adwokat w tymże mieście, znakomity mówca. Założyciel i współwydawca warszawskiego miesięcznika „Ateneum” i — z Erazmem Filtzem — petersburskiego ugodowego czasopisma „Kraj”. Prześięknęty poglądami śródowiska rosyjskich pisarzy liberalnych, występował w głośnych odczytach warszawskich przeciw Polowi, który w późnej swej twórczości stał się chwałcą tradycji starszszlacheckich, i przeciwstawiał mu demokratyczną w swej wymowie poezję Syrokomli.

Kazimierz DŁUSKI (1855—1930) — lekarz-społecznik, działacz socjalistyczny w kraju, później na emigracji; założyciel sanatorium przeciwgruźliczego w Kościelisku.

Władysław BOGUSŁAWSKI (1838—1909) — wnuk „ojca teatru polskiego”, krytyk teatralny i literacki, kierownik działu krytyki teatralnej w „Kurierze Warszawskim”.

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY” (1866—1905) — główny organ pozytywistów w ich walce z konserwatywną „starą prasą”.

Stanisław MENDELSON (1857—1913) — jeden z twórców kółek socjalistycznych i założycieli PPS, pod koniec życia syjonista.

Zygmunt HERYNG (1854—1931) — ekonomista, działacz socjalistyczny. Bolesław WYSŁOUCH (1855—1937) — ludowiec, wybitny polityk i publicysta, organizator ruchu ludowego w Galicji.

Aleksander Świętochowski opublikował w r. 1932 na łamach „Wiadomości Literackich” fragment swego *Pamiętnika*, w którym stwierdzając, że przywódcą napastników był Mendelson, pisał:

„...utkwilo mi głęboko w pamięci jedno wstrętne wspomnienie z r. 1878. Kiedy redagowałem «Przegląd Tygodniowy», wpadł do mnie nieznan student szpetnej powierzchowności i z progu wykrzyknął: «Zawiadamiam pana, że spoliczkowaliśmy na ulicy Prusa.» Wstrząśnięty zgrozą na ten ohydny meldunek, nie zdążyłem stosownym słowem plunąć na przybysza, który natychmiast wybiegł [...] Ponieważ z Prusem pozostawaliśmy w wojnie literackiej, przypuszczał, że tą wiadomością sprawi mi przyjemność.”

Nękająca Prusa, zwłaszcza w starszych latach, agorafobia, była, jak przypuszczano, konsekwencją kontuzji głowy w czasie powstania styczniowego. Wstrząs psychiczny po wypadku na placu Grzybowskiem pogorszył znacznie stan zdrowia pisarza. Wspomina np. Adam Breza (1850—1936), literat i publicysta, współpracujący z Prusem w redakcjach pism warszawskich: „Znosiłem go na plecach z 3 piętra. Przez plac Saski trzeba go było przeprowadzać. Nawet w wagonie kolejowym jadąc zasłaniał sobie oczy, kiedy pociąg biegł trochę wyżej.”

### W Nałęczowie

Konrad CHMIELEWSKI (ur. 1871) — nauczyciel gimnazjów warszawskich, autor prac naukowych i literackich.

Prus był świadkiem na ślubie Stefana Żeromskiego z pierwszą jego żoną, Oktawią z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczową (por. niżej, s. 350); wspomina o tym Oktawia Żeromska w korespondencji z prof. Wacławem Borowym („Życie i Myśl” 1951):

„Małżeństwu Żeromskich patronował Prus i za święty obowiązek uważał sobie być świadkiem przy ślubie. Pojechał więc z nimi i z czterema Radziwiłłowiczami do Garbatki, gdzie miał im dać ślub ksiądz G. (Grudziński, zdaje się, choć nie mam pewności), kolega i przyjaciel Żeromskiego. Żeromski był chory; jeden z Radziwiłłowiczów podtrzymywał go przy ołtarzu. Po drodze w Iwangrodzie (tj. Dęblinie, według ówczesnej nazwy) Prus «fundował» towarzystwu obiad. Spotkał tam jakąś znajomą. «Co pan tu robi?» — «A, nie widzi pani? Nareszcie udało mi się w moim kantorze stręczeń skleić jakieś małżeństwo. Wprawdzie pan młody cherlak, ale zawsze!» (Prus w Nałęczowie rozповідаł, że ma kantor stręczeń i że wynajmuje młodych ludzi na spacer do wąwozu po dwa ruble za godzinę, a z językiem francuskim — po rublu.”

Z okresu pisania *Lalki* mamy również parę drobnych przyczynków pamiętnikarskich u Miłozza Kotarbińskiego i Adama Brezy. Prus drukował swe arcydzieło, jak wiadomo, w odcinku „Kuriera Codziennego”.

„Widziałem — wspomina Kotarbiński — że pisywał ją w redakcji. Wieczorem na numer jutrzejszy. Czapelski odstępował mu wtedy swojego niewielkiego gabinetu redaktorskiego, a w redakcji panowała dyskretna cisza. Zdarzało się jednak, że Prus, czy nie czuł się dobrze usposobionym, czy miał inne zamierzenia, wieczoro-

rem w redakcji nie pisał. Pamiętam, jak raz, przyszedłszy pod wieczór i przywitawszy się jak zwykle uprzejmie, zamiast sięść do pracy, powiedział: «Wiecie, dziś zafundowałem sobie teatr.» Redaktor zajął się natychmiast zmianą układu numeru na jutro, gdyż jutro, ku wielkiemu zmartwieniu czytelników, *Lalki* w odcinku nie będzie. Nikt jednak nie śmiał za to Prusowi zrobić jakiegokolwiek wymówki czy uwagi.”

Zdarzyła się i przerwa dłuższa. „W samym środku *Lalki* musiał przerwać i pojechać do Nałęczowa, żeby sił nowych nabrać” — notuje Breza.

Od 5 VIII aż do 21 XI 1888 r. czytelnicy „Kuriera Codziennego” musieli czekać na dalszy ciąg *Lalki*.

### *Maszyna do pisania*

Jan ZGODA — pseudonim Wojciecha Dąbrowskiego (1869—1932), dziennikarza i literata lwowskiego.

Prus przyjechał do Lwowa w lipcu 1898 r., odbywając podróż po Galicji dla zebrania materiałów dotyczących sytuacji gospodarczej tej dzielnicy; pracę tę wykonywał na zlecenie Jana Błocha, warszawskiego ekonomisty i bankiera, budowniczego wielu linii kolejowych w Kongresówce i autora licznych rozpraw półnaukowych, z których 7-tomowa *Przyszła wojna*, przełożona na kilka języków, zdobyła mu rozgłos europejski.

Maszynę do pisania kupił Prus w r. 1897.

### *Spotkania z Prusem*

Ludwik KRZYWICKI (1859—1941) — wybitny uczony: socjolog, ekonomista, etnolog i antropolog, działacz społeczno-polityczny i publicysta, od młodości związany z ruchem socjalistycznym. Pierwszy wspomniany tu artykuł przeciw Prusowi był jego debiutem publicystycznym. Relegowany w tymże roku z Uniwersytetu, zbiegł z Warszawy przed aresztowaniem; powrócił w r. 1888. W latach 1889—1893 prowadził konspiracyjną działalność polityczną, po czym poświęcił się głównie pracy naukowej. W okresie międzywojennym był profesorem warszawskich wyższych uczelni.

Pośrednikiem między Prusem a Krzywickim był Ignacy MATUSZEWSKI (1858—1919), najwybitniejszy krytyk literacki okresu Młodej Polski, autor m. in. programowego studium *Słowacki a nowa sztuka*, w latach 1883—1892 stały współpracownik „Przeglądu Tygodniowego”.



## HENRYK SIENKIEWICZ

Henryk Sienkiewicz urodził się w r. 1846 w Woli Okrzejskiej jako syn podlaskiego ziemianina, który po sprzedaży majątku przeniósł się do Warszawy. W Warszawie też ukończył pisarz gimnazjum, po czym rozpoczął studia w Szkole Głównej. Od r. 1869 współpracował jako publicysta z prasą skrajnie pozytywistyczną, w 1872 przeszedł do umiarkowanej „Niwy”, której był czas pewien współwydawcą i współredaktorem, ostatecznie znalazł się na pozycjach konserwatywnych. Od r. 1875 pisywał stałe kroniki w „Gazecie Polskiej” pod pseudonimem Litwos. W r. 1876 wydał powieść współczesną *Na marne*. W tymże roku wyjechał do Ameryki, skąd nadsyłał „Gazecie Polskiej” *Lisiny z podróży*. W latach 1877—1881 powstały najsłynniejsze opowiadania i nowele Sienkiewicza: *Szkie węglem*, *Janko Muzykant*, *Z pamiętnika poznańskiego nauzczyciela*, *Bartek Zwycięzca*, *Za chlebem*, *Latarnik*. Na czoło pisarzy swoich czasów wysunął się Sienkiewicz drukowaną w prasie warszawskiej w latach 1883—1888 *Trylogią*, zdobywając niebywałą popularność. Od r. 1882 współpracował z dziennikiem „Słowo”. W latach 1891—1894 wydał powieści współczesne *Bez dogmatu* i *Rodzina Połanieckich*. W latach 1894—1896 drukował w odcinkach *Quo vadis?*, które przyniosło mu sławę światową i Nagrodę Nobla, 1897—1900 *Krzyżaków*. W r. 1900 obchodził jubileusz 30-lecia pracy pisarskiej; otrzymał wówczas w darze od społeczeństwa majątek ziemski Obłęgorek w Kieleckiem. W r. 1911 wydał *W pustyni i w puszczy*. Podczas pierwszej wojny światowej współpracował z Paderewskim przy organizowaniu pomocy dla ofiar wojny w Polsce. W trakcie tej akcji zmarł w r. 1916 w Vevey w Szwajcarii nie ukończywszy powieści z czasów napoleońskich pt. *Legiony*.

*Reportaż z pożaru*

Tadeusz CZAPELSKI (1853—1930) — publicysta, dziennikarz i wydawca, sekretarz redakcji, później redaktor „Kuriera Warszawskiego”, „Kuriera Codziennego”, „Tygodnika Ilustrowanego”; pod koniec życia zasłużony pracownik biblioteki Ossolineum we Lwowie, gdzie parał się również dziennikarstwem. Szczególnie wiele zawdzięczał mu „Kurier Warszawski”.

Współpracę z „Gazetą Polską” rozpoczął Sienkiewicz w marcu 1873 r. za redakcji Józefa Sikorskiego, który początkującemu felietoniście dał niezmiernie twardą szkołę. Wspomina o tym przyjaciel i kolega redakcyjny Antoni Zaleski w książce *Towarzystwo warszawskie* (Warszawa 1882), opublikowanej pod pseudonimem Baronowa X.Y.Z.:

„Kiedy losami «Gazety Polskiej» władął ówczesny jej redaktor, p. Sikorski, w gronie współpracowników był także młody chłopak, który świeżo ukończył wydział filologiczny w Szkole Głównej i debiutował w «Tygodniku Ilustrowanym» z rozprawą o Sępie Szarzyńskim. Polecono mu w «Gazecie» pisywanie fejtetonów

tygodniowych. Młodzieniec zabrał się do pracy z zapałem, a ówczesne jego kroniki zwróciły od razu uwagę wszystkich na nowo objawiający się talent. P. Sikorskiemu jednak bardzo się nie podobały owe fejeletony, pełne młodzieńczej werwy, młodzieńczego zapału i poezji. Autorowi ich odmawiał zupełnie talentu, a co więcej, zarzucał mu niesumiennność, dlatego, że za wiele było w jego kronikach poezji, a za mało faktów.

— Ja chcę faktów! proszę o fakta! — powtarzał ustawicznie biednemu Litwosowi (pseudonim Sienkiewicza), kreśląc mu wszystko, co było tylko żywszym, oryginalniejszym i ponad szablon wyskakiwało. Z fejeletonu leciały też co tydzień strzępki, a zostawał tylko suchy szkielet. Taka była jednak potęga talentu, że i ten szkielet zdradzał jeszcze niepospolitą zdolność. Pewnego razu ktoś z współpracowników «Gazety» winał Sikorskiemu fejeletonisty.

— Wielka sztuka! — odpowiedział surowy Argus — patrz pan, ile tu musiałem wyrzucić i jakim się napracowałem.

I pokazywał rękopis cały pokreślony, a w nim powymazywane najpiękniejsze ustępy, istne perełki poezji. Chcąc też «wyrobić niesuminnego młodzieńca», powierzał mu najsuchsze i najpospolitsze roboty reporterskie. Nic też dziwnego, że pod takim redaktorem biedny Litwos czuł się skrepowanym i tracił wszelką do pisania ochotę. Odżył on dopiero, kiedy Edward Leo objął redakcję «Gazety». Ten poznał się od razu na wielkim talencie...»

Do płonącego Pułtusa wyjechał Sienkiewicz 24 VII 1875 r. kurierską karetką pocztową, zwaną sztajnkellerką od nazwiska znanego przemysłowca warszawskiego Piotra Steinkellera, który takie dziesięcioosobowe karetki, odznaczające się wielką trwałością, produkował w swojej fabryce powozów na Solcu na użytek własnego przedsiębiorstwa komunikacyjnego. Pierwszą linię pospiesznej poczty uruchomił Steinkeller 1 X 1838 r., ale sztajnkellerki kursowały jeszcze na bocznych pozbawionych połączeń kolejowych trasach w początkach XX w.

Sienkiewicz deklamował w drodze sonet V *O nietrwalej miłości rzeczy świata tego* swego ulubionego poety — Mikołaja Sępa Szarzyńskiego (ok. 1550—1581). Szkic o Sępie, opublikowany w „Tygodniku Ilustrowanym” w lipcu r. 1869, był drugą z kolei drukowaną pracą przyszłego autora *Krzyżaków*.

Reportaż Sienkiewicza z pożaru Pułtusa ukazał się 27 VII jako kolejny odcinek prowadzonej przez niego stałej kroniki warszawskiej pt. *Chwila obecna*.

Towarzysze młodego dziennikarza z kawiarni Lessla, mieszczącej się w pałacu Saskim, to Leopold MIKULSKI (1843—1881) — prawnik i publicysta, związany z prasą pozytywistyczną, z którym Sienkiewicz mieszkał razem w tym czasie w domu przy ul. Niecałej 8, i Daniel ZGLIŃSKI (właśc. Freudenson, 1847—1931), pisarz sceniczny, krytyk literacki i teatralny, od r. mn. w. 1870 sprawozdawca teatralny „Przeglądu Tygodniowego”.

### Wyprawa za ocean

Helena MODRZEJEWSKA (1840—1909), najślawniejsza polska artystka dramatyczna, porzuciła w r. 1876 teatry warszawskie, zgębiona szykanami cenzury, i wyjechała wraz z mężem, Karolem Chłapowskim, synem z pierwszego małżeństwa, Rudolfem, i kilkoma jeszcze przyjaciółmi do Kalifornii dla odpoczynku i ratowania nadwężonego zdrowia. Początkowo cała ta mała kolonia polska osiadła w Anaheim (nie daleko Los Angeles), na farmie wybranej przez Sienkiewicza. Praca na roli okazuje się przecież dla wszystkich zbyt ciężka, a dla Modrzejewskiej oddalenie od teatru staje się udręką nie do zniesienia; przy tym zasoby pieniężne Chłapowskiego są na wyczerpaniu. Rozpoczyna więc artystka bardzo intensywną naukę języka angielskiego i po roku występuje po raz pierwszy na scenie teatru w San Francisco. Sukces był niezwykły.

„Teatr wył, ryczał, klaskał, tupał — donosił Sienkiewicz w korespondencji dla „Gazety Polskiej”. — Mężczyźni odbierali swoim *ladies* bukiety i ciskali je na scenę, starzy rodacy nasi płakali jak małe dzieci, słowem, oczywistość przeszła wszelkie nadzieje i wszelkie oczekiwanie [...] Pułkownik Hinton, redaktor «Evening Post», przybiegłszy do jednego z naszych rodaków, wykrzyknął z czysto amerykańskim entuzjazmem: «*Now she is worth 200 000 dollars!*» (Ona jest teraz warta 200 000 dolarów!).”

Wkrótce zdobywa Modrzejewska sławę światową; uchodzi za jedną z najlepszych wykonawczyń ról kobiecych w dramatach Szekspira. Osiedlwszy się na stałe w Ameryce, przyjeżdża do Polski na gościnne występy; dzięki jej świetnej kreacji w *Warszawiance* Wyspiańskiego na scenie teatru krakowskiego dramat ten, wystawiony uprzednio bez powodzenia, staje się rewelacją artystyczną. Również syn znakomitej artystki, który w Ameryce ukończył studia, zrealizował swe marzenia, zdobywając w przybranej ojczyźnie wielki rozgłos jako konstruktor i budowniczy mostów.

Sienkiewicz wyruszył z Warszawy 19 II 1876 r., odprowadzany na dworzec przez liczne grono przyjaciół, z Heleną Modrzejewską na czele, i przebywał w Ameryce prawie dwa lata, zwiedzając nieznaną kraj w nieustannych wycieczkach. Plonem literackim miesiący spędzonych za oceanem były m. in. następujące utwory: *Listy z podróży*, *Szkice węglem*, *Selim Mirza*, dramat *Na przebój* (przerabiany następnie dwukrotnie i wystawiony we Lwowie i Warszawie pt. *Na jedną kartę*) oraz wiele artykułów, m. in. *Osady polskie w Stanach Zjednoczonych*.

Stanisław WITKIEWICZ (1851—1915) — malarz i krytyk, niezmiernie zasłużony dla kultury Podhala, propagator realizmu w malarstwie i tzw. stylu zakopiańskiego w budownictwie drewnianym, oraz Adam CHMIEŁOWSKI (1846—1916), również malarz i społecznik, znany pod imieniem brata Alberta, założyciel zgromadzenia albertynów — nie wzięli udziału w amerykańskiej wyprawie.

### Prototyp Zagłoby

Edmund Zbigniew BRODOWSKI (1852—1901) — działacz Polonii amerykańskiej; większość życia spędził w Stanach Zjednoczonych, gdzie redagował pisma polonijne.

Malowniczą postać kapitana Korwin-Piotrowskiego spotykamy i u innych pamiętnikarzy. Krzyż *Virtuti Militari* otrzymał on w czasie powstania listopadowego z rąk gen. Samuela Różyckiego, dowódcy dywizji toczącej walki w Kieleckiem i Sandomierskiem. Później udał się na tułaczkę, przewędrował Stany Zjednoczone, aż narreszcie osiadł jako komisarz do spraw imigracji chińskiej w San Francisco, gdzie zdobył sobie dużą popularność i powszechną sympatię. Język angielski znał doskonale, ale uparł się wymawiać słowa tak, jak się je pisze, z czego wynikały nieraz humorystyczne sytuacje.

W cytowanych wspomnieniach Modrzejewskiej znajdujemy zabawny opis przygotowań do wizyty kapitana Piotrowskiego na farmie naszych artystycznych emigrantów:

„Najważniejszym zagadnieniem było odpowiednie menu. Kapitan był smakoszem, a ponieważ był bardzo duży i bardzo gruby, jego ogromne ciało wymagało przy niesłychanym apetycie nieprawdopodobnych ilości jedzenia. Na pierwszy obiad postanowiliśmy upiec indyka i Sypniewski, najbardziej kompetentny w takich praktycznych sprawach, poszedł do miasta i kupił dużego i tłustego indora. Teraz nasunęła się kwestia: kto go zabije? Nasi idealisci spojrzeli po sobie i nieznacznie, jeden za drugim, rozproszyli się w rozmaitych kierunkach [...] «Anusiu — zawołałam — czy ty potrafisz zabić indyka?» — «O, Matko święta! — wykrzyknęła ze śmiechem [przywieziona z Polski służąca] — to duże ptaszysko? Nie potrafiłabym go utrzymać, przecież on jest silniejszy ode mnie, a przy tym nigdy dotychczas nie zabiłam żadnego stworzenia.» Widząc, że niepodobna, abym namówiła tę niewinną istotę do popełnienia zbrodni, poszłam do męża i powiedziałam mu, że jeżeli ktoś nie zabije jednak tego ptaka, to nie będzie dla kapitana obiadu.

Po chwili spostrzegłam wyglądając przez okno, że powraca z Sienkiewiczem i Paprockim. Naradzali się we trzech przez chwilę, a potem Sienkiewicz wszedł na chwilę do swego mieszkania w szopie i wyszedł stamtąd z ciupagą [...] nasi panowie przywieźli tego kilka sztuk z wypraw w Tatry. Sienkiewicz wyostrzył swoje narzędzie na kamieniu szlifierskim i z rozmachem wbił je w drewniany klocek używany do siekania mięsa. Potem zaczęło się polowanie za indykiem, a kiedy ofiara została schwytana, mężczyźni we trzech z wielką ceremonią rozpostarli indyka na klocku. Mój mąż trzymał za nogi, Paprocki za głowę, a Sienkiewicz z surowym obliczem wykonawcy wyroku podniósł ciupagę i odrąbał niewinnemu winowajcy głowę.”

Mówiąc o „uwiecznieniu” Piotrowskiego miał Sienkiewicz na myśli konkretny zupełnie projekt cyklu *Cpowiadań kapitana Korwina*. Pierwszym z nich miała być nowelka *Przez stępy*, napisana w Paryżu, w powrotnej drodze z Ameryki.

Seweryn GAŁFZOWSKI (1801—1878) — wybitny lekarz polski, od powstania

1831 r. przebywający na emigracji, najpierw w Niemczech, później w Meksyku, wreszcie od r. 1848 w Paryżu, gdzie oddawał się pracy społecznej wśród emigrantów.

### *Próba generalna*

*Ogniem i mieczem* drukowane było równocześnie w dwóch dziennikach: w warszawskim „Słowie” od 2 V 1883 r. do 1 III 1884 i w krakowskim „Czasie” od 3 V 1883 do 5 III 1884 r. Swą pierwszą wielką powieść historyczną pisał Sienkiewicz prawie całkowicie w Warszawie; rozpoczynając jej publikację w odcinkach gazet miał gotowy pierwszy tom, nad drugim pracował już w trakcie druku. „Jestem tak zajęty — donosił w jednym z listów — że rady sobie dać nie mogę...” Pierwotnie pisarz zamierzał nazwać powieść *Wilcze gniazdo*, tytuł *Ogniem i mieczem* wymyślił Olendzki. Dzięki *Ogniem i mieczem*, a następnie dalszym częściom *Trylogii* obydwa dzienniki były rozchwytywane przez czytającą publiczność. Bardzo często w opiniach współczesnych powtarza się zdanie, że „Słowo” stoi Sienkiewiczem. Pisarz był zresztą również w latach 1881—1887 redaktorem „Słowa”. Współredaktorem był wspomniany już Antoni Zaleski (1858—1895).

### *Dar od Wołodyjowskiego*

Ofiarowane anonimowo pieniądze posłużyły ostatecznie Sienkiewiczowi do stworzenia funduszu im. Marii Sienkiewiczowej przy Akademii Umiejętności w Krakowie. Zabezpieczony w austriackich papierach zastawnych, fundusz przetrwał do r. 1918, po czym stopniał w ogólnej dewaluacji tych papierów. Korzystali z niego dla poratowania zdrowia m. in.: Maria Konopnicka, Stanisław Wyspiański, Gustaw Daniłowski, Stanisław Witkiewicz, Kazimierz Tetmajer.

Pierwsza żona Sienkiewicza, Maria z Szetkiewiczów, urodzona w r. 1854, zmarła 19 X 1885 r. w Falkenstein pod Frankfurtem, po czterech zaledwie latach najszczęśliwszego pożycia, osierociwszy dwoje małych dzieci. Ostatnie półtora roku życia spędziła w uzdrowiskach włoskich i niemieckich, szukając na próżno ratunku dla chorych płuc. Pisarz pielęgnował żonę z miłością i poświęceniem, nie mogąc, mimo nieustannej troski i męczących podróży, zaprzestać pracy literackiej, dającej środki na kosztowną kurację. W takich warunkach — między Reichenhall, Meranem, Mentoną, San Remo i w krótkich wypadach do Warszawy — powstało zakończenie *Ogniem i mieczem* i prawie cały *Potop*.

„Ciężka to rzecz — pisał Sienkiewicz z Mentony do teścia 2 III 1885 r. — podróżować i pisywać po hotelach, bez żadnych resursów umysłowych — i ciarki mnie biorą, gdy pomyślę, że jeszcze trzy tomy trzeba nabazgrać i żyć ciągle tymczasowym życiem. Gdyby nie to i nie ból głowy, byłoby tu przyjemnie. Kiedy w niedzielę przy pięknej pogodzie zawiozę Marynię do Nizy, bo to stąd godzina drogi. Ale trochę czasu nie mam — bo «Czas» następuje mi na pięty i spod pióra drukuje. Straciłem dużo czasu na podróż tu i dlatego mnie dogonili.”

Ofiarą gruźlicy padli dwaj wybitni, acz odmienni twórcy tego czasu: romantyk z ducha Artur GROTGER (1837—1867), malarz martyrologii polskiej lat sześćdziesiątych, i realista Maksymilian GIERYMSKI (1846—1874), wcielający w swęj twórczości teorie grupy skupionej wokół Witkiewicza i pisma „Wędrowiec”.

Poza „darem od Wołodyjowskiego” innym przykładem niezmiernej popularności Sienkiewicza i siły oddziaływania jego powieści historycznych na czytelników był testament zmarłego w r. 1909 bogatego ziemianina spod Łegnicy, Alfreda Ludwika von Olszewskiego, ożenionego z rodowitą Niemką i nie mającego żadnej styczności ze społeczeństwem polskim. Pod wpływem lektury *Trylogii* (w przekładzie niemieckim) odczuwała się w Olszewskim krew polska. Nakazywał on swoim dzieciom, by uczyły się języka polskiego i historii Polski, by czciły narodowość polską, swoje polskie nazwisko i polskie pochodzenie. W razie niespełnienia tego warunku milionowy spadek miała dożywnie otrzymać wdowa, a po jej śmierci — Sienkiewicz. Pani von Olszewska wszczęła pertraktacje.

„Wielki pisarz i wielki obywatel — pisze Leon Bochenek w broszurze *Henrykowi Sienkiewiczowi w 50-lecie „Ogniem i mieczem”, 1883—1933* — ani na chwilę nie myślał, aby milionowę zapis traktować jako własność osobistą, lecz musiało nasunąć się pytanie, czy wolno mu zwalniać dzieci śp. von Olszewskiego, które ojciec usiłował zwrócić ojczyźnie, a przynajmniej zbliżyć do Polski, od wszelkich przewidzianych i podyktowanych przez niego warunków. Z drugiej strony, mistrz daleki był od wszelkiego przymusu w sprawach wyboru ojczyzny i narodowości, co w następujących słowach wyraził [...]: «Do Polski i do polskiej idei nie ciągnie się nikogo groźbą wyzucia z ziemi odziedziczonej po ojcach. Byłby to sposób [...] niezgodny ani z moim osobistym charakterem w szczególności, ani z polską kulturą w ogóle.»”

Sienkiewicz zrzekł się notarialnie praw do spadku, zażądał tylko, by dla utrwalenia w dzieciach Olszewskiego pamięci życzenia ojca złożono 30 000 marek jako depozyt w Banku Krajowym w Krakowie na warunkach wyłożonych w testamencie. Po 24 latach okazało się, że chociaż dzieci von Olszewskiego wysoko cenią polskie pochodzenie swego zmarłego ojca, jednakże zastrzeżonych warunków nie mogły spełnić, wobec czego zrzekają się wszelkich pretensji do depozytu. Wówczas rodzina Sienkiewicza pieniądze te przeznaczyła na Uniwersytet Ludowy w Odolanowie.

### Wyrok śmierci

Eugenia ZMIJEWSKA (zm. 1923) — powieściopisarka i publicystka, bardzo w swoim czasie popularna; długie lata współpracowała z redakcją „Słowa”, gdzie miała częste okazje spotykania Sienkiewicza.

O systemie pracy Sienkiewicza pisał podobnie Jeremiahs Curtin, amerykański tłumacz *Trylogii*, w artykule zamieszczonym w miesięczniku „The Century” z r. 1898: „W pisaniu trzyma się Sienkiewicz następnęj metody: Wypracowuje naprzód

szczegółowy plan i skrupulatnie go spisuje. Plan ten, jak sam o sobie powiada, «wre i fermentuje» w jego głowie. Będąc gotowym do rozpoczęcia dzieła, dzieli swój czas nie na dni, lecz na tygodnie, i tak z tygodnia na tydzień spisuje pewną ilość. Pisze prawie bez poprawek i nigdy nie przepisuje, tak że ma zawsze tylko jeden manuskrypt i ten odsyła do druku. Chociaż cały plan dzieła ma naprzód ściśle obmyślony, ale nie zawsze ściśle się go trzyma. Wrzenie i fermentacja wywołują zmiany i stosownie do tego zmieniają się i szczegóły. Obchodzi się przy tym bez pomocy sekretarza lub pisarza [...] Studia literackie odbywa sam, zwiedza i bada miejscowości, które zobaczyć mu wypada, a czy to pisze w Szwajcarii, czy we Włoszech lub we Francji, wozi z sobą potrzebne książki i zamyka się z nimi podczas godzin pracy, które dla niego zaczynają się o 8 lub 9 rano do 1 po południu, a także i kilka godzin później. Wieczorem po obiedzie nie pisze nigdy."

Wymienione przez Żmijewską wśród źródeł wiedzy historycznej pisarza SILVAE RERUM (dosł. łac. lasy rzeczy) to prowadzone po dworach szlacheckich księgi, do których wpisywano zarówno najważniejsze wydarzenia rodzinne, jak i przepisy kulinarne, recepty, kopie listów w sprawach domowych i publicznych, a nawet utwory literackie.

Mścisław GODLEWSKI (1846—1908) — prawnik, działacz gospodarczy, dziennikarz. Należał wraz z Sienkiewiczem w r. 1874 do założycieli „Niwy”, którą redagował od 1876. Po ustąpieniu w r. 1887 Sienkiewicza objął redakcję „Słowa”.

### *W dniu powszednim*

Adam GRZYMAŁA-SIEDLECKI (ur. 1876) — powieściopisarz i krytyk związany z teatrem nie tylko jako recenzent i autor lekkich komedii, ale również jako kierownik literacki kilku kolejnych scen oraz dyrektor teatru w Krakowie. Teatrowi również poświęcona jest jedna z najwybitniejszych jego książek — tom wspomnień zatytułowany *Świat aktorski moich czasów* (Warszawa 1957). Z rozległych kontaktów Grzymały ze światem literatury urosła druga jego pozycja pamiętnikarska, cytowani tu *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*. Sienkiewicza poznał jej autor, kiedy w latach 1906—1911 był kierownikiem literackim teatrów krakowskich.

Wspomniana tu pani SIENKIEWICZOWA to trzecia żona autora *Trylogii*, Maria z Babskich, daleka jego krewna, znana mu od dziecka. Pisarz poślubił ją w r. 1904. Drugie jego małżeństwo, z Marią Wołodkowiczówną, zawarte 11 XI 1893 r., rozpadło się już po kilku tygodniach; w dwa lata później zostało ono formalnie unieważnione.

Dowcipy Sienkiewicza, nieraz bardzo swawolne, krążyły wśród współczesnych, przetwarzane jako najlepsze anegdoty. Tadeusz Boy-Żeleński w tomie wspomnień *Znasz-li ten kraj?* opowiada jeden z Sienkiewiczowskich dowcipów, wywołujących ogromną uciechę w towarzystwie krakowskim. Na pewnym przyjęciu, na którym królowała znana z urody pani Z., mająca dwie śliczne córki, Amę i Natę, Sienkiewicz, zawsze pełen galanterii dla dam, napisał pięknej pani na wachlarzu: „Ładna Nata, ładna Ama, ale

najładniejsza mama”, po czym nachylił się do ucha sąsiada i dokończył: „Biedna Ama, biedna Nata, ale najbiedniejszy tata...”

## GABRIELA ZAPOLSKA

Gabriela Zapolska urodziła się w r. 1860 na Wołyniu w zamożnej rodzinie ziemiańskiej Korwin-Piotrowskich. Odebrała częściowo domową, częściowo klasztorną edukację, zgodną z obowiązującym kanonem wychowawczym dla panien z dobrych domów, i w r. 1878 wyszła za mąż za porucznika gwardii Konstantego Śnieżko-Blockiego. Po krótkim i nieudanym pożyciu opuściła męża, zerwała z własną rodziną i, przybrawszy pseudonim Zapolska, weszła na drogę kariery aktorskiej. W latach 1882—1889 występowała ze zmiennym szczęściem na scenach stałych i w trupach objazdowych, drukując jednocześnie w prasie i wydając osobno pierwsze swoje utwory literackie. Zarówno osoba i tryb życia obdarzonej urodą i bujnym temperamentem autorki, jak drastyczność poruszanych przez nią odważnie tematów i skłonność do wyjaskrawień w ich ujęciu złożyły się na aurę skandalu, która otaczać będzie twórczość Zapolskiej nawet wówczas, kiedy stanie się już ona pisarką o szerokiej poczytności i ugruntowanej renomie. Pobyt w Paryżu, dokąd wyprawiła się w r. 1889 po laury nowej Modrzejewskiej, był wprawdzie płodny literacko i pozwolił Zapolskiej zetknąć się z nowymi prądami w literaturze i teatrze, nie przyniósł jednak spodziewanych sukcesów aktorskich. Po powrocie w r. 1895 występowała jeszcze przez kilka lat w Krakowie i Lwowie, po czym porzuciła ostatecznie deski sceniczne. Teatr przyniósł jej zresztą sławę, ale jako pisarce: najlepsze z jej sztuk, jak *Żabusia* (1897), *Moralność pani Dulskiej* (1906), *Ich czworo* (1907), *Skiz* (1908), *Panna Maliczewska* (1910), weszły do żelaznego repertuaru scen polskich. Poczynając od *Kaśki Kariatydy* wydawała też liczne powieści: *Janka, Wodzirej, Przedpiekle, O czym się nie mówi, O czym się nawet myśleć nie chce, Sezonowa miłość* i in. Zrezygnowawszy ze sceny, podjęła działalność krytyczną i publicystyczną; współpracowała z lwowskim „Słowem Polskim”. W r. 1901 poślubiła młodszego o lat kilka malarza Stanisława Jankowskiego; małżeństwo to, po burzliwych kolejach, kilkakrotnych zerwaniach i pojednaniach, rozpadło się ostatecznie w r. 1910. Pisarka zmarła we Lwowie w r. 1921, po długiej chorobie, samotna, opuszczona, prawie ociemniała.

### *Marzenia o sławie aktorskiej*

W r. 1885 wydała Zapolska pierwszą swą książkę, zbiór drukowanych już po czasopismach nowel pt. *Akwarele*. Ani autorka, ani wydawca nie przewidywali, ile skandalicznego szumu powstanie wokół tej książki. Krytyka rzuciła się na Zapolską z wielką gwałtownością, ale ostrością ataku przeszedł wszystkich Jan Ludwik Popław-



ski, w późniejszych latach jeden z twórców stronnictwa narodowo-demokratycznego, a wówczas współpracownik pozytywistycznej „Prawdy”, który w artykule *Sztandar ze spódnicy*, w „Prawdzie” z 29 VIII 1885 r., nie tylko odsądził *Akwarele* od jakiegokolwiek wartości artystycznej, ale nadto dotknął autorkę osobiście, zarzucając jej plagiat i sugerując niedwuznacznie, iż jej nowele zawierają reminiscencje własnych przeżyć „osoby romansowej z rozkiełnaną wyobraźnią”. Tytuł zaś swego artykułu wyjaśnił w następujący sposób: „*Marta Orzeszkowej* jest powieścią słabą, ale autorka podniosła w niej sztandar idei, około którego zgrupowali się jej zwolennicy; p. Zapolska zamiast chorągwi wywiesiła czerwoną spódnicę; pod takim znakiem odbywać się mogą tylko zapasy miłosne młodych byczków.” Zapolska, występująca wówczas w lwowskim teatrze, ogłosiła w „Kurierze Codziennym” list otwarty, w którym — odrzucając oskarżenie o plagiat jako oszczerstwo — wezwwała autora artykułu, aby w przeciągu dziesięciu dni przedstawił sądowi honorowemu „z czcigodnym J. I. Kraszewskiem na czele” dowody, na których oparł swe twierdzenie, tj. rzekome pierwowzory inkryminowanych nowel. Do sądu honorowego jednak nie doszło, zwłaszcza że Kraszewski odsiadywał wtedy wyrok w Magdeburgu. Wydawca doradził Zapolskiej, by skierowała sprawę do sądu. Tak też uczyniła oskarżając o obrazę nie tylko Popławskiego, ale również i Aleksandra Świętochowskiego, jako redaktora „Prawdy”. Rozprawa sądowa, która odbyła się 9 IV 1886 r., stała się jednym z najgłośniejszych procesów literackich. Salę wypełnili po brzegi literaci, dziennikarze, studenci Uniwersytetu, dla których Świętochowski był wówczas bożyszczem. Zapolska na rozprawę nie przybyła, jej interesy reprezentował adwokat Antoni Pilecki, mówca znacznie słabszy od przeciwników. Bohaterem procesu stał się Świętochowski, znakomity orator, który w przemówieniu swym zmiażdżył wprost Zapolską jako pisarkę. Jej nieobecność zaważyła niekorzystnie na opinii sędziów — i w rezultacie sprawa została przegrana. W opinii publicznej jednak brutalna napaść Świętochowskiego wywołała niesmak, nawet oburzenie. Pierwszy dał temu wyraz Adolf Dygasiński, dotychczasowy przyjaciel Świętochowskiego, w artykule zamieszczonym na łamach „Wędrowca”; pośpieszyli z obroną także i inni publicyści. Mimo licznych objawów życzliwości Zapolska odczuła swą krzywdę bardzo boleśnie, zwłaszcza że m. in. w tym samym okresie lwowski „Dziennik Polski”, publikujący w odcinkach, równocześnie z „Przeglądem Tygodniowym”, jej powieść — *Kaszkę Kariatydę*, przerwał druk uznawszy temat za niemoralny; młoda autorka odmalowała mianowicie w swym pierwszym większym utworze tragiczny los naiwnej i niedoświadczonej dziewczyny wiejskiej na służbie w mieście, nie szczędząc oczywicie przy tym jaskrawych barw w obrazie domów jej mieszczańskich chlebowawców.

Mówiąc o Modrzejewskiej wspomina Lorentowicz jej występ w dramacie francuskim ADRIENNE LECOUVREUR (1849) pióra Eugène Scribe'a i Ernesta Legouvé, osnutym na dziejach romansu i tragicznej śmierci wybitnej aktorki paryskiej z pierwszej połowy XVIII w. Dając wielkie pole do popisu tytułowa rola w tej sztuce stanowiła marzenie ówczesnych aktorek.

Maria SZELIGA (właśc. z Mireckich Czarnowska, ok. 1854—1927) — powieściopisarka i poetka. Ok. 1880 r. opuściła kraj, zagrożona aresztowaniem za tajną dzia-

łałość oświatową. W Paryżu, gdzie poślubiła malarza Edwarda Loevy, walczyła jako publicystka o prawa kobiet.

Po naukę dykcji zwróciła się Zapolska do aktorów najstarszego teatru francuskiego — Comédie Française, w którym klasyczna sztuka wypowiedzi scenicznej doprowadzona była do perfekcji. KOMEDIA FRANCUSKA zorganizowana jest po dziś dzień jako rodzaj stowarzyszenia aktorów; przyjęcie na *sociétaire'a*, tj. członka tego stowarzyszenia, uważane było za swego rodzaju dyplom wysokiej doskonałości aktorskiej, mimo że Comédie już wówczas zdradzała objawy skostnienia. Pierwszym nauczycielem ambitnej Polki był Denis TALBOT (1824—1904), który usunąwszy się w r. 1879 ze sceny poświęcił się działalności pedagogicznej, i Jeanne SAMARY (1857—1890), *sociétaire* od r. 1879, specjalistka od ról subretek.

Protetorką autorki *Kaśki Kariatydy* była też pokrewna jej bojowym temperamentem i celami ataków płomiennego pióra dziennikarka i publicystka paryska występująca pod pseudonimem mme SÉVERINE (1855—1929).

Osiągnąwszy poprawność wymowy kandydatka na drugą Modrzejewską występowała na dwu nowatorskich scenach paryskich: u André ANTOINE'A, walczącego o prawdę w sztuce teatralnej, propagatora dramatu naturalistycznego, w jego istniejącym od r. 1887 Théâtre Libre, gdzie po raz pierwszy Francuzi oglądali sztuki Ibsena, oraz w trupie teatralnej OEUVRE, założonej w r. 1893 przez Aurélien-Marie Lugné-Poe'go, prezentującej przede wszystkim najnowszy, symbolistyczny dramat europejski, m. in. M. Maeterlincka, Skandynawów itp.

Pośrednictwa między Zapolską a Oeuvre podjęła się redakcja ilustrowanego miesięcznika „LA REVUE BLANCHE” (1889—1903), na którego łamach dochodziły do głosu najnowsze prądy zarówno w literaturze, jak w naukach społecznych.

Surowym krytykiem, a później przychylnym recenzentem był znany poeta Catulle MENDÈS (1841—1909).

### *Parowanie ciosów*

Ludwik SOLSKI (1855—1954), jedna z najwybitniejszych postaci teatru swoich czasów, znakomity aktor i reżyser, dyrektor teatrów w Krakowie i Warszawie. Debiutował w Krakowie w 1875, po czym po kilkuletnim pobycie na prowincji grał znów w tym mieście w latach 1883—1900.

Tadeusz PAWLIKOWSKI (1861—1915) — reżyser i dyrektor teatru krakowskiego (1893—1899 i 1913—1915) i lwowskiego (1900—1906). Dzięki szerokiej kulturze Pawlikowskiego oraz poczynaniom reformatorskim w zakresie inscenizacji i gry aktorskiej lata jego dyrektury to okres rozkwitu kierowanych przez niego scen.

Kazimierz KAMIŃSKI (1865—1928) — jeden z najznakomitszych aktorów polskich, świetny zwłaszcza w rolach charakterystycznych. Role swoje ujmował realistycz-

nie a przygotowywał je niezwykle starannie za pomocą sumiennych studiów i obserwacji. W Krakowie, dokąd ściągnął go Pawlikowski, grał w latach 1893—1901.

Premiera *Malki Szwarcenkopf* odbyła się 16 X 1897 r., premiera *Tamtego* — sztuki o patriotycznej wymowie, obrazującej stosunki w zaborze rosyjskim, wystawionej więc pod pseudonimem Józef Maskoff — 5 III 1898. Zapolska napisała sztukę w 10 dni. Priwislanski kraj to oficjalna nazwa dawnego Królestwa Polskiego po stłumieniu powstania styczniowego.

Ostatnia sztuka dramaturga, aktora i krytyka teatralnego Jana Konstantego CHECINSKIĘGO (1826—1874) — *Krytycy*, w której autor pragnął wyłożyć swoje poglądy na rolę i zadania rzetelnie pojętej krytyki, przyjęta została jako napaść na postraktowane w niej satyrycznie środowisko krytyków.

Wybuchowość, spontaniczność pisarstwa Zapolskiej charakteryzuje jej list do Józefa Kotarbińskiego (por. niżej, przypis na s. 363, zamieszczony w książce jego żony, Lucyny Kotarbińskiej, *Zza kulis teatru* (Warszawa 1933). Przynaglana kiedyś przez Kotarbińskiego o ukończenie sztuki, którą przyrzekła jego teatrowi, Zapolska odpisała:

„Widzi pan, sztuka to nie jest obrębianie tuzina chustek do nosa. Ja nie wiem, kiedy ja ją będę mogła napisać... Nie pisałam dwa lata i jednego tygodnia, będąc ciężko chora, napisałam... *Dulską*.”

*Tamtego* napisałam nagle, w tydzień. Ja nie jestem sztukorób. Ja nagle, niespodziewanie, w trakcie na przykład najbanalniejszej rozmowy albo w konsultacji z doktorem, staję dęba i zaczynam w umyśle widzieć scenę i na niej chodzące figury ze wszystkich polskich teatrów. Często do pożyczam i z francuskich. I oto już wiem, że będę pisać. Ale ja nie wiem, kiedy to przyjdzie, i ja żadnego przymusu nie mogę mieć na karku, bo coś się buntuje wtedy we mnie, jakaś rozpacz, złość mnie ogarnia, i nie będę w stanie nic robić.”

#### *Burzliwa audyencja*

Juliusz GERMAN (1881—1953) — powieściopisarz i dramaturg, z wykształcenia prawnik, absolwent uniwersytetu lwowskiego.

Michał BOBRZYŃSKI (1849—1935) — wybitny historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i polityk obozu konserwatywnego; stanowisko namiestnika Galicji piastował w latach 1908—1913.

Ów doktor RADWAN-PRAGŁOWSKI, kurujący pisarkę z jej licznych dolegliwości — ze znakomitą pomocą skutkiem — magnetyzmem i sugestią, odegrał poważną rolę w ostatecznym rozbiu jej drugiego małżeństwa.

## JAN KASPROWICZ

Jan Kasprowicz urodził się w r. 1860 w Szymborzu na Kujawach w biednej rodzinie chłopskiej. Ukończywszy w bardzo trudnych warunkach szkołę średnią studiował na uniwersytetach w Lipsku i Wrocławiu, wysyłając wiersze i korespondencje do prasy lwowskiej i warszawskiej oraz do petersburskiego „Kraju”. Zbliżyony w tym okresie do kół socjalistycznych, dostał się w r. 1887 na kilka miesięcy do więzienia. W r. 1889 osiadł we Lwowie, gdzie do 1902 pracował w organie ludowców „Kurier Lwowski”, a następnie przeszedł do narodowodemokratycznego „Słowa Polskiego”. W latach 1909—1925 był profesorem literatury porównawczej uniwersytetu lwowskiego. Zmarł w r. 1926. Pierwsze tomy poetyckie Kasprowicza to *Poezje* (1889), *Z chłopskiego zagonu* (1891), *Anima lacrymans* (1894), *Miłość* (1895), *Krzak dzikiej róży* (1898). W r. 1902 w trzech oddzielnych tomikach ukazały się *Hymny*, przyjęte z niesłychanym entuzjazmem przez krytykę młodopolską. Nie doceniony natomiast pozostał tomik prozy poetyckiej *O bobaterskim koniu i walącym się domie* (1906). Zbiorki *Ballada o słoneczniku* (1908) i *Chwile* (1911) poprzedziły najpopularniejszy tom liryków Kasprowicza — *Księgę ubogich* (1916) i zbliżony do niej w tonacji pośmiertnie wydany *Mój świat*. Płodny tłumacz literatury greckiej, angielskiej, niemieckiej i in., jest ponadto Kasprowicz autorem skonfiskowanego poematu *Chrystus* (1890) i kilku dramatów: *Świat się kończy*, *Bunt Napierskiego*, *Sita*, *Marcholt gruby a sprośny*.

### *Z Szymborza w świat*

Zygmunt WASILEWSKI (1865—1948) — działacz i publicysta Stronnictwa Narodowego, autor wielu prac krytycznych i historycznoliterackich, m. in. monografii *Jan Kasprowicz* (1922). Był zaprzyjaźniony z autorem *Hymnów*: Kasprowicz należał do redakcji „Słowa Polskiego”, redagowanego przez Wasilewskiego w latach 1902—1915.

Odległość Szymborza, rodzinnej wioski Kasprowicza, od Inowrocławia wynosi 4 km. Wspominając swe codzienne dwukrotne wędrówki pisał po latach poeta do Adama Wiślickiego, redaktora „Przeglądu Tygodniowego”, który drukował niektóre jego młodzieńcze utwory:

„Od młodości chowałem się w stosunkach najsmutniejszych: dostawszy się do gimnazjum, sam nie wiem, w jaki sposób, musiałem chodzić do domu 3/4 mili, nieraz w śniegu i szarudzę; przez osiem lat dostawałem, idąc do szkoły, na dziennie pożywienie 10 fenigów. Zimą nie miałem nigdy ciepłego okrycia nawet, bo pierwsze palto otrzymałem mając lat 17, za cenę 5 talarów; toteż nabawiłem się choroby gardłowej, która mnie trapiła przez lat 14...” (cyt. wg Tadeusza Mikulskiego: *Spotkania wrocławskie*, Kraków 1954). Najskrajniejsza nędza towarzyszyła całej młodości poety. Gdy wybrał się na studia uniwersyteckie do Lipska, otrzymał od

ojca 40 marek. Lipsk był drogi, więc skromne zasoby rozchodziły się szybko. Przeniósł się tedy do Wrocławia, gdzie było nieco taniej. Już w półroczu zimowym 1884/85 był Kasprowicz studentem uniwersytetu wrocławskiego. Dom rodziców, walczący z własną biedą, niewiele mógł mu pomóc. Tyle tylko, że po każdych feriach wyprawiał go w drogę z workiem prowiantów. „Pewnego razu — opowiadał później Kasprowicz przyjacielowi — matka dała mi na wyjeźdnem polec słoniny. Przech dobre dwa miesiące była to podstawa mego odżywiania się. Słonina jednak skończyła się, skórecz rzuciłem za piec i został tylko suchy chleb. W końcu i tego chleba zabrakło. Było już bardzo źle, kiedy naraz przypomniałem sobie o owej skórecz za piecem. Wydobyłem ją stamtąd, otarłem z kurzu, obmyłem i zacząłem gotować. Po kilkunastu godzinach gotowania zmiękla tak, że mogłem ją krajać i żuć jak gumę” (cyt. jw.).

### *Rozbita dom*

Alfred WYSOCKI (1873—1959) — prawnik, przed pierwszą wojną światową dziennikarz, w okresie międzywojennym dyplomata. Na przełomie XIX i XX w. obracał się w środowisku artystycznym Krakowa i Lwowa.

Stanisław PRZYBYSZEWSKI (1868—1927) odegrał w okresie Młodej Polski ogromną rolę, dzięki swym utworom, które budziły wówczas zachwyty „głębią metafizyczną” i walorami wybujałego, pełnego ekspresji stylu, jako realizacja postulatów nowej sztuki, a bardziej jeszcze dzięki urokowi swej niepospolitej indywidualności, nie uznającej żadnych rygorów. W r. 1898 zjechał, opromieniony glorią znanego już i cenionego pisarza niemieckiego, do Krakowa i objął redakcję pisma „Życie”, z którego uczynił trybunę modernizmu polskiego. Jego pierwsza żona, Norweżka, zginęła tragicznie, zastrzelona przez wielbiciela. Syn nauczyciela wiejskiego na Kujawach, Kasprowicza znał od dzieciństwa. Był entuzjastą jego twórczości, zwłaszcza *Hymnów*.

Jadwiga z Gąsowskich (1869—1927), która w r. 1899 porzuciła Kasprowicza dla Przybyszewskiego, była (od 1892) drugą żoną poety; pierwsze, bardzo nieszczęśliwe i krótkotrwałe małżeństwo zawarł Kasprowicz w czasach studiów we Wrocławiu.

### *Sumienny profesor*

Michał PAWLIKOWSKI (ur. 1887) — bratanek wspomnianego tu Tadeusza, poeta, tłumacz, redaktor w latach 1909—1914 kwartalnika kulturalnego „Lamus”; z wykształcenia historyk sztuki.

Jan BOŁOZ-ANTONIEWICZ (1858—1922), wszechstronnie wykształcony historyk sztuki, autor m. in. monografii Grotgera, był od r. 1893 pierwszym profesorem na utworzonej wówczas katedrze historii sztuki uniwersytetu lwowskiego.

### *Harenda*

Maria z Buninów KASPROWICZOWA (ur. 1890) — trzecia żona poety, z pochodzenia Rosjanka. Kasprowicz poślubił ją w 1911 r.

Władysław KOŚCIELSKI (1886—1933) — założyciel warszawskiego wydawnictwa Biblioteka Polska, wydawca „Przeglądu Warszawskiego”. Przełożył *Fausta* Goethego.

BIBLIA RADZIWIŁOWSKA, albo Brzeska, wytłoczona została w r. 1563 nakładem Mikołaja Radziwiłła Czarnego w jego drukarni w Brześciu Litewskim, w pięknej szacie typograficznej. Jej tekst, ustalany jak najstaranniej wedle obcych Biblii, tłumaczony był zbiorowo w środowisku kalwinów polskich. Druk bardzo rzadki i cenny.

## STEFAN ŻEROMSKI

Stefan Żeromski urodził się w r. 1864 na Kielecczyźnie w zrujnowanej rodzinie ziemiańskiej; ojciec jego dzierżawił folwark Strawczyn. Przyszły autor *Puszczy jodłowej* wychował się u stóp Gór Świętokrzyskich, w Ciekotach, dokąd rodzice jego przenieśli się w r. 1868. Po roku przygotowawczym w szkole elementarnej w Psarach rozpoczął w 1874 naukę w gimnazjum kieleckim. Wiele elementów autobiograficznych z lat szkolnych, trudnych i głodnych, zawierają *Szyfowe prace* (1897). Ukończywszy szkołę, ale nie złożony egzaminu maturalnego, wyjechał Żeromski w r. 1886 do Warszawy, gdzie rozpoczął studia w Szkole Weterynaryjnej, przerwane już w 1888. Bardzo ciężkie warunki materialne zmuszały go do tułania się po „kondycjach” gubernerskich w dworach ziemiańskich. W r. 1889 ukazały się w pismach warszawskich pierwsze opowiadania Żeromskiego, w 1895 wyszły pierwsze jego książki: *Opowiadania* i *Rozdziałki nas kruki, wrony...* Po ślubie z Oktawią Rodkiewiczową Żeromski pracował w latach 1892—1896 w bibliotece Muzeum Polskiego w Rapperswilu, a 1897—1904 w Bibliotece Ordynacji Zamojskich w Warszawie. Rosnąca pocztytność jego dzieł pozwoliła mu wreszcie na przerwanie pracy zarobkowej. Miał już wówczas za sobą wydanie *Szyfowych prac, Utworów powieściowych, Ludzi bezdomnych* i *Popiołów*. Mieszkał teraz głównie w Nałęczowie, gdzie wybudował sobie „chatę” w stylu zakopiańskim — dopóki, aresztowany w r. 1908, nie otrzymał nakazu opuszczenia Królestwa. Do wybuchu pierwszej wojny światowej przebywał w Zakopanem, Krakowie i Paryżu. W r. 1908 ukazały się *Dzieje grzechu* i *Duma o betmanie*, a dalej *Róża, Sułkowski, Uroda życia* i *Wierna rzeka*. W r. 1914 Żeromski zaciągnął się początkowo do legionów Piłsudskiego, ale rychło je opuścił i założył w Zakopanem z Kasprowiczem tajną organizację niepodległościową. W latach 1916—1919 wydał trylogię *Walka z szatanem*. W r. 1919 przeniósł się na stałe do Warszawy. Brał udział w życiu literackim; był m. in. autorem projektu Polskiej Akademii Literatury.

W r. 1920 włączył się w akcję plebiscytową na Mazurach. W ostatnich latach życia wydał m. in. *Wiatr od morza* i *Przedwieśnienie*, wokół którego rozprętała się gwałtowna polemika polityczna. Zmarł 20 XI 1925 r.

### W Bibliotece Zamoyskich

Stanisław STEMPOWSKI (1870—1952) — działacz społeczny, tłumacz i publicysta związany sympatiami z PPS. W latach 1903—1905 był jednym z redaktorów socjalistycznego pisma „Ognio”. Pamiętniki swoje spisał podczas okupacji.

Helena DUNINÓWNA — współczesna pisarka dla dzieci i młodzieży, działaczka kulturalno-oświatowa.

PIERWSZĄ ŻONĄ ŻEROMSKIEGO była, jak już wspominaliśmy, Oktawia Radziwiłłowiczówna (1866—1928), pasierbica doktora Chmielewskiego, dyrektora nałęczowskiego zakładu leczniczego. W wieku lat szesnastu wyszła z egzaltowanych pobudek za mąż za byłego powstańca 1863 r., o wiele od niej starszego Henryka Rodkiewicza, który właśnie powrócił z zesłania ze zrujnowanym zdrowiem. Po dwu latach małżeństwa Rodkiewicz zmarł osierocając malutką córeczkę, Henrykę. Żeromski poznał młodą wdowę w Nałęczowie, gdzie pełniła ona obowiązki kasjerki, rzuciwszy posadę w Warszawie, w redakcji „Wędrowca”. Ślub ich odbył się, jak wiadomo, 2 IX 1892 r. W r. 1912 Żeromski opuścił panią Oktawię i zawarł nowe małżeństwo, z malarką Anną Zawadzką (ur. 1890), która występuje we wspomnieniu Lechonia. Historyk literatury, autor wielu prac o Żeromskim, Wacław Borowy, który poznał Oktawię Żeromską w ostatnim roku jej życia, przyznaje, że tradycja przypisująca Madzi z *Emancypantek* i Joasi z *Ludzi bezdomnych* pewne rysy pierwszej towarzyszkii autora *Popiołów*, ma niejaki uzasadnienie. Pani Oktawia miała z Żeromskim jednego syna, Adama (ur. 1899), który w r. 1918 zmarł w Nałęczowie na gruźlicę.

W okresie kiedy pisarz pracował w Bibliotece Ordynacji Zamoyskich, Żeromscy mieszkali w oficynie słynnego, odziedziczonego po Czartoryskich, dwukrotnie w w. XVIII przebudowywanego pałacu Błękitnego, którego front wychodził na ul. Senatorską. Zwierzchnikiem pisarza był jeden z wybitniejszych historyków polskich Tadeusz KORZON (1839—1918), autor m. in. *Doli i niedoli Jana Sobieskiego* i 6-tomowych *Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta*. Stanowisko dyrektora Biblioteki Zamoyskich objął on w r. 1897.

### Chude lata

W r. 1896 Jan Ludwik Popławski i Józef Karol Potocki, używający pseudonimu Marian Bohusz, założyli pismo „GŁOS”, o tendencjach niepodległościowych i ludowych.

Informacja, że Żeromski nie dostał z „Głosu” honorarium za swą nowelę *Z dzien- nika: Psie prawo*, jest nieścisła, pisarz bowiem zanotował w *Dziennikach* pod datą 23 I 1890 r.:

„O pierwszej z południa [20 I] byłem w redakcji «Głosu», gdzie miałem odebrać honorarium za nowelkę. Kasjer redakcji i redaktor *de facto*, pan Hłasko, obyspał mnie potokiem komplementów [...] Mówił, że nowele moje są znakomitymi utwo- rami, że Dygasiński umyślnie przychodził do redakcji dla dowiedzenia się, kto to tak wybornie maluje lud, że umyślnie cenne te prace redakcja zachowywała na koniec roku, aby «Głos» sprawiał dobre wrażenie, że on, pan Hłasko, w imieniu redakcji błaga mię o dalsze współpracownictwo [...] To powiedziawszy pan Hłasko policzył wiersze mej noweli i wręczył mi rs. 8 (wyraźnie ośm!). Wątpię, czy komu płacą tak szczerze. Są to pierwsze pieniądze zarobione na literaturze...”

Nie jest to zresztą jedyna nieścisłość w szkicu Lorentowicza: nie znajduje potwier- dzenia informacja o roli „stosunków” pani Oktawii, pisarz nie bawił w r. 1892 w Kra- kowie dłużej niż parę tygodni, *Odgłosy krakowskie* nie były stałym felietonem...

*Szyfrowe prace* ukazały się jesienią 1897 r., *Ludzie bezdomni* pod koniec 1899, z datą 1900.

Nauczycielstwem prywatnym po dworach i korepetycjami ratował się Żeromski przed nędzą już od czasów szkolnych. Pod datą 19 II 1884 r. pisze w swych *Dzien- nikach*:

„...wolałbym nic nie mieć jak ten chleb tak cierpki i suchy. Nie chcę wyrzekać ani się skarżyć — ale ciężki to ten chleb korepetytorski. Mnie tam wszystko jedno, mogę zapomnieć o tych upokarzających mię kolacjach i obiadach... ale trudno nie czuć siebie w sobie nierzaz. Cóż to za dwuznaczne położenie — coś pośredniego między gościem, domownikiem, rezydentem a sługą. Ach! żyć ze swego grosza — jakież to szczęście!...”

Sprawa honorariów autorskich Żeromskiego stała się wiele lat później przyczyną głośnego konfliktu między pisarzami i wydawcami. Żeromski zauważył mianowicie, że chociaż utwory jego cieszą się wielką popytnością, pieniądze od wydawców za sprze- dane egzemplarze wpływają niezmiernie powoli, co mogło nasuwać uzasadnione podej- rzenie, że książki drukowane są bezprawnie w nakładach większych od ustalonych w umowie. Sprzedając więc w r. 1908 swą *Dumę o betmanie* Kasie Przejrzomości i Pomocy Warszawskich Pracowników Księgarskich uzyskał od wydawców zgodę na to, by wszystkie egzemplarze były numerowane i opatrzone ekslibrisem. W ten sposób miał kontrolę nad liczbą wydrukowanych egzemplarzy; miało to poważne znaczenie, ponieważ autor otrzymywał zależny od tej liczby procent od sprzedaży. Wydawcy po- czuli się obrażeni, wobec czego Żeromski poprosił Lorentowicza, by wyjaśnił w prasie znaczenie jego marki ochronnej. Lorentowicz ogłosił w „Nowej Gazecie” (4 VIII 1908 r.) ostry artykuł, w którym zaatakował, nie wymieniając nazwisk, pewnych wy- dawców za krzywdzenie autorów. Księgarze odpowiedzieli protestem, na co z kolei 194 pisarzy zareplikowało *Deklaracją autorów*, solidaryzującą się ze stanowiskiem



Żeromskiego. Spór ciągnął się dwa lata, sprawa zabezpieczenia interesów pisarzy nie posunęła się jednak naprzód.

„Wreszcie — kończy Lorentowicz — wzorem zagranicy, znalazł Żeromski swego stałego wydawcę. Był nim Jakub Mortkowicz, rzutki, niezwykle energiczny i pomyślny dyrektor Tow. Wydawniczego, a przede wszystkim szlachetny i prawy człowiek. Wydawał u niego Żeromski swe książki począwszy od *Nawracania Judasza* (1916). Mortkowicz rozumiał, że wydawanie utworów Żeromskiego stać się może nie tylko moralną podstawą jego domu wydawniczego. Otaczał p. Stefana czujną opieką, zgadzał się na wszelkie z jego strony kontrole egzemplarzy, wypłacał mu, tytułem zaliczek, stałe pensje miesięczne. Długoletnia choroba Żeromskiego osłabiała z każdym dniem jego wątły organizm. P. Stefan zdawał sobie z tego sprawę, ale na kilka tygodni przed zgonem remanent jego honorariów u Mortkowicza był tak znaczny, iż znakomity pisarz nie czuł obawy o los swoich najbliższych.”

### *Wśród strajkujących robotników*

Stefnina SEMPOŁOWSKA (1872—1943) — wybitna działaczka społeczna i oświatowa, nauczycielka, autorka książek i artykułów o tematyce społecznej i pedagogicznej oraz książek dla młodzieży. Główną dziedziną jej działalności była opieka nad więźniami politycznymi zarówno przed pierwszą wojną światową, jak i w 20-leciu międzywojennym. Wywierała wielki wpływ siłą swej indywidualności i postawą moralną.

### *Uczta*

Jan LECHOŃ (1899—1956) — liryk i satyryk o szczupłym objętościowo, ale ważkim artystycznie dorobku, autor m. in. słynnego wiersza *Mocznacki*. Współpracownik „Wiadomości Literackich”, redagował przez kilka lat tygodnik satyryczny „Cyrulik Warszawski”, po czym wyjechał do Paryża jako attaché kulturalny ambasady polskiej. W r. 1940 udał się do Ameryki; po wojnie nie powrócił do kraju.

Lechoń był, obok Juliana Tuwima, Jarosława Iwaszkiewicza, Antoniego Słonimskiego i Kazimierza Wierzyńskiego, jednym z twórców grupy poetyckiej SKAMANDER, wydającej od r. 1920 miesięcznik literacki pod tymże tytułem. Mimo że grupa Skamandra, mająca ambicje odnowienia poezji stosownie do potrzeb nowej epoki, nie reprezentowała wyraźnej i jednolitej linii programowej, odgrywała w życiu literackim 20-lecia międzywojennego olbrzymią rolę dzięki temu, że skupiała rzeczywiście wybitne indywidualności pisarskie. Wspomnienie Lechonia dotyczy pierwszego, „bohaterskiego” okresu istnienia grupy, kiedy to ukazywały się pierwsze tomiki skamandrytów.

### *Pierwsza nagroda państwowa*

KRZYWDA SZTOKHOLMSKA, o której wspomina Lorentowicz, wiąże się z wysunięciem kandydatury Żeromskiego do literackiej Nagrody Nobla. Starania wszczęto już w r. 1920 i początkowo wydawało się, że Żeromski ma poważne szanse, jednakże

wobec germanofilskich tendencji w Akademii Szwedzkiej *Wiatr od morza* przyjęty został bardzo niechętnie i w prasie szwedzkiej ukazał się nieprzychylny pisarzowi artykuł jednego z członków Akademii. Zawikłana sprawa starań o nagrodę dla Żeromskiego jest do dziś przedmiotem polemik. W każdym razie 13 XI 1924 przyznano Nobla Reymontowi. Janina Mortkowiczowa, żona Jakuba, pozostawiła relację o wrażeniu, jakie uczyniła na Żeromskim ta wiadomość:

„Pamiętam wyraźnie scenę, kiedy dowiedział się o przyznaniu tej nagrody Reymontowi. Chodził wielkimi krokami po pokoju i mówił głośno jakby sam do siebie: «Nic sobie z tego nie robię. Nic mnie to nie obchodzi. Tylko Haniusi mi żal. Tak na to liczyła.»”

W tych warunkach przyznanie pierwszej nagrody państwowej, i to właśnie za *Wiatr od morza*, dawało pisarzowi satysfakcję moralną. Już zresztą w maju tegoż roku ta sama książka Żeromskiego otrzymała nagrodę im. Orzeszkowej jako najwybitniejsze dzieło literackie lat 1922—1924.

Żeromski dostał od prezydenta Wojciechowskiego na Zamku „trzy duże, widne i suche pokoje z widokiem na Wisłę”, co pozwoliło mu opuścić niezdrowe mieszkanie na Wspólnej. Od jesieni 1920 r. Żeromscy mieli też własną willę w Konstancinie pod Warszawą.

### Przed premierą „Przepióreczek”

Maria MALANOWICZ-NIEDZIELSKA (1900—1943) — aktorka sceny krakowskiej, warszawskiej, poznańskiej i lwowskiej. Osterwa sprowadził ją do roli Doroty Smugoniowej w *Przepióreczce* z Krakowa, gdzie skończyła szkołę dramatyczną i rozpoczęła występy.

Juliusz OSTERWA (1885—1947) — znakomity aktor i reżyser, dyrektor teatrów i pedagog. W latach 1923—1925 był dyrektorem warszawskiego Teatru Narodowego. Entuzjastą Osterwy był Żeromski; z myślą o nim stworzył postać Przelęckiego w *Przepióreczce*. Była to też jedna z najlepszych i najgłośniejszych ról tego aktora.

Premierowa obsada aktorska *Przepióreczki* — z wyjątkiem debiutującej w Warszawie Malanowicz-Niedzielskiej — miała na afiszu najsławniejsze nazwiska artystów Teatru Narodowego.

Prapremiera *Białej rękawiczki* odbyła się w Teatrze Polskim w Warszawie 8 III 1921 r. Była to jedyna sztuka Żeromskiego przyjęta przez krytykę raczej nieprzychylnie. Inne jego dramaty: *Ponad śnieg bielszym się stanę* (prapremiera 29 XI 1919 na inaugurację Reduty), *Turoń* (również w Reducie 24 IV 1923 r.), wielokrotnie na różnych scenach *Sułkowski* (z Osterwą w roli tytułowej) — cieszyły się zawsze wielkim powodzeniem. Niedługo przed śmiercią Żeromskiego Teatr im. Bogusławskiego w Warszawie rozpoczął przygotowania do wystawienia *Róży* w reżyserii Leona Schillera i w oprawie scenograficznej Andrzeja Pronaszki. Wielki pisarz, bardzo już wówczas ciężko chory, z rzadka tylko znajdował siły na krótkie rozmowy z realizatorami swego

dramatu, którzy odwiedzili go po raz ostatni w przeddzień zgonu. Premiera *Róży* odbyła się w kilka miesięcy po śmierci autora, 3 III 1926 r. Było to jedno z najświetniejszych widowisk teatralnych w przedwojennej Warszawie.

Mieczysław FRENKIEL (1859—1935) — jeden z najwybitniejszych aktorów charakterystycznych i komediowych sceny polskiej, grający w latach 1890—1932 w teatrach warszawskich.

Teatr „REDUTA” powstał w 1919 r., założony przez Juliusza Osterwę i Mieczysława LIMANOWSKIEGO (1876—1948), z wykształcenia geologa, późniejszego profesora Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, związanego ze sztuką teatralną gorącym zamiłowaniem i wszechstronną, bogatą wiedzą. Nazwę swą wziął teatr po części od Sal Redutowych przy Teatrze Wielkim, w których początkowo został ulokowany, lecz w większym jeszcze stopniu od idei, jaka przyświecała obydwu założycielom: chcieli stworzyć *redu*tę bojową, walczącą o prawdę sceniczną, o polski charakter dramaturgii i inscenizacji, o przywrócenie teatrowi miana prawdziwej świątyni sztuki. Wkrótce po otwarciu przy teatrze powstała szkoła, nazwana Instytutem, kształcąca ideowych aktorów. W dwudziestolecie swego istnienia wystawiała „Reduta” wyłącznie sztuki polskich pisarzy, na jej scenie odbyły się prapremiery wielu wybitnych utworów (*Ponad śnieg* i *Turoń* Żeromskiego, *Pierścień wielkiej damy* Norwida i in.). Wielką zasługą „Reduty” było stworzenie nowego typu teatru objazdowego, który docierał do odległych miast i miasteczek z pięknymi przedstawieniami na bardzo wysokim poziomie.

O roztargnionym Kotarbińskim zob. niżej, przypis na s. 363.

## KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

Kazimierz Przerwa-Tetmajer urodził się w r. 1865 w Ludzimierzu na Podhalu w rodzinie ziemiańskiej o tradycjach patriotycznych i literackich. Do gimnazjum i na uniwersytet uczęszczał w Krakowie, dokąd rodzina Tetmajerów przeniosła się po stracie majątku. Przed pierwszą wojną światową mieszkał w Krakowie, Warszawie i Zakopanem. Utrzymywał się z pracy literackiej, krytycznej i publicystycznej. Debiutował nowelką o tematyce góralskiej drukowaną w r. 1886. Popularność i sławę zdobyły mu liryki ukazujące się jako kolejne cztery serie *Poezji* w latach 1891—1900. W literaturze polskiej zapisał się najtrwalej literacką wizją świata góralszczyzny tatrzańskiej w cyklu opowieści *Na skalnym Podhalu* (1903—1910). Jego twórczość prozatorska obejmuje ponadto powieści, współczesne i historyczne, jak „epopeja tatrzańska” z XVII w. *Legenda Tatr* i cykl powieściowy z czasów napoleońskich *Koniec epopei*. Od r. 1892, kiedy wystawił na scenie krakowskiej jednoaktówkę *Mąż-poeta*, uprawiał też, bez większego powodzenia, dramaturgię. Jest m. in. autorem fantazji dramatycznej *Zawieszona Czarna* (1901), o czym wspomnieć warto ze względu na aluzje do niej w *Weselu* Wyspiańskiego. W 20-leciu międzywojennym poeta, coraz po-

ważniej chory psychicznie, wegetował w Warszawie. Wprawdzie w r. 1921 wybrany został prezesem Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, w 1928 otrzymał nagrodę literacką miasta Warszawy, w 1934 przyznano mu honorowe członkostwo Polskiej Akademii Literatury, były to już jednak hołdy dla przeszłości. Zmarł w szpitalu w styczniu 1940 r.

### „Panicz ludźmiński”

Włodzimierz TETMAJER, malarz zajmujący się też literaturą i polityką, pozostał pod wpływem charakterystycznego dla owych lat zwrotu do ludowości. Malował głównie obrazy rodzajowe z życia wsi krakowskiej. Ożenił się z chłopską córką z Bronowic Małych pod Krakowem, Anną Mikołajczykówną, i osiadł w jej wsi rodzinnej. W kilka lat później, 20 XI 1900 r., młodszą siostrę Tetmajerowej, Jadwigę, poślubił Lucjan Rydel (zob. niżej, przypis na s. 362). Ten drugi obrzęd zaślubin, obchodzony hucznie w domu Tetmajerów w Bronowicach, dał Wyspiańskiemu impuls do napisania *Wesela*. Wszystkie osoby tego dramatu miały swe odpowiedniki wśród gości weselnych: Gospodarz to Włodzimierz Tetmajer, Gospodyni — jego żona, Pan Młody — Rydel, Poeta — Kazimierz Przerwa-Tetmajer...

Z młodości autora *Na skalnym Podbatu* pozostało wśród współczesnych wiele wspomnień, malujących go jako młodzieńca pełnego fantazji, umiejącego się cieszyć urokami życia. W zbiorowym *Kopcu wspomnień* (Kraków 1959) Marian Turski przekazuje nam następujący obrazek:

„Pamiętam go dobrze jako bawidamka, kokietującego poezją motyla, szukającego miodowych kwiatków w warszawskich i krakowskich buduarach i w zakopiańskich pensjonatach. Kiedyś byłem świadkiem, jak w ogrodzie Chramca w Zakopanem na żądanie pani L. z Warszawy, o której względy zabiegał, usiadł w pełnej gali na fontannie. Widok był arcyzabawny, gdyż fontanna biła ostro, woda sikała mu więc ze wszystkich otworów ubrania. Bohaterski czyn spalił na panewce, albowiem [...] dostał od niej kosza. Było to w czasach jego największej popularności...”

### Poeta z „Wesela”

Ludwik Hieronim MORSTIN (ur. 1886) — dramaturg, miłośnik i znawca kultury antycznej, której „jak najszerszemu umiłowaniu” „w artystycznej kulturze narodowej” poświęcił redagowany w latach 1911—1913 w Krakowie, wspólnie z Władysławem Kościelskim, miesięcznik „Museion”. Z tych samych zamiarów wyrosły jego „opowieści greckie” dla młodzieży i szkice zebrane w tomie *Dziwy kultury antycznej*. Poczynając od r. 1912 wystawiał na scenach polskich liczne sztuki o bardzo różnorodnej tematyce — od *Trylogii antycznej*, której bohaterkami są Penelopa, Ksantypa i Kleopatra, aż po satyrę na świat literacki 20-lecia w *Rzeczypospolitej poetów*. Obok

tomu wspomnień, z którego pochodzi przytoczony fragment, wydał też *Moje przygody teatralne*.

Stanisław TARNOWSKI (1837—1917) — historyk literatury polskiej, profesor i dwukrotnie rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Akademii Umiejętności, „papież” krakowskiego świata naukowego i arystokratycznych salonów. Konserwatysta w upodobaniach i poglądach, miał krytyczny, niechętny stosunek do całej nowej literatury.

Władysław ŻELEŃSKI (1837—1921), ojciec Boya, kompozytor, autor m. in. popularnych oper, ożeniony był z siostrą matki Kazimierza Tetmajera.

Początkowe objawy choroby psychicznej, która zniszczyła talent i życie Tetmajera, zaobserwowano w czasie pierwszej wojny światowej.

„Coraz bardziej rosnąca skaza psychiczna — pisze Grzymała-Siedlecki w cytowanej powyżej książce — koło roku 1916 przeistoczyła się w dotkliwą manię prześladowczą; uczył się otoczony wrogami, miał przekonanie, że przeważna część jego znajomych wiąże się w spisek przeciwko niemu; z mieszkania swego na drugim piętrze słyszał jak w piwnicach na toczydle ostrzą na niego noże. Z początku choroby miał tę przynajmniej ulgę, że swoich krewnych i przyjaciół nie zaliczał do sprzysiężonych swych wrogów. Stało się jednak, że silnie o stan jego poczytalności zaniepokojeni Włodzimierz Tetmajer i Boy-Żeleński umieścili go w zakładzie psychiatrycznym prof. Piltza w Krakowie. Zrazu, nie zdając sobie dokładnie sprawy, czym jest to sanatorium, zgodził się na pobyt w nim, ale gdy tylko uświadomił sobie istotne tego zakładu przeznaczenie, czym prędzej opuścił go, Boya i brata zamieścił na najczarniejszej liście swoich prześladowców i przestał ufać najbliższemu. Straszną rzeczą było widzieć to jego potworne osamotnienie dodane do rozpaczliwej walki z całym światem — walki z nieustannym widmem, że lada chwila, nie wiadomo skąd, wypadną płatne zbiry i zamordują go. Zasypiał dopiero wówczas, gdy potrzeba snu przewalczała nieustanną jego ze snem walkę. Walczył ze snem, bo nie dowierzał zamkom i łańcuchom we drzwiach. Doprowadzał się do dosłownego głodu, bo żywił się tylko pomarańczami i jajkami, zbadawszy przedtem starannie, czy skorupka nie nadpęknięta, jako że przez najwęższą nawet szczelinę wrogowie mogą zastrzyknąć truciznę.

Z miesiąca na miesiąc uszczuplał grono tych, których nie posądzał o zmwę z wrogami. Do tej coraz to mniejszej garstki znajomych zachodził czasem. Serce ścisnęło się na jego widok. Ten niegdyś świetny na salonach dandys, ten panicz ludzmiński, teraz żebraczym wzrokiem wodził, jakby błagając o ratunek, którego mu było nie sposób dostarczyć. Na dodatek złego srożyła się już wojna [...]

To wszystko wzięwszy pod uwagę, nie sposób było nie zdumiewać się nad pewnymi momentami jego inteligencji, jakby wyosobnionymi z całości zamroczeń. Należałem do tych, których nigdy nie posądzał o spisek z Boyem i z Włodzimierzem Tetmajerem; nie nazbyt często, ale zdarzało się, że bywał w moim domu; pierwsze kwadransy służyły mu na przeżywaniu swojej okrutnej obsesji, ale wystarczyło, gdy, wygłodzony, posyłał się jakim takim posiłkiem, odetchnął upewnie-

nim o swoim u mnie bezpieczeństwie i dał się wciągnąć w rozmowę, oddalając go od owych wrogów i ich machinacji, a było się świadkiem i słuchaczem świetnych nieraz spostrzeżeń o sytuacji militarnej walczących stron, o skutkach moralnych, jakie przyniesie ze sobą wojna, o politycznych zawiłościach, które spadną na narody. Wizyty jego dowodnie wykazywały, jak wszystkie jego udręki i paniki, jak cała subiektywna zgroza istnienia nie potrafiły jednak odebrać mu troski o naród i o ludzkość.”

### *Tragedia Tetmajera*

Około r. 1901, w czasie prób w teatrze krakowskim dramatu Tetmajera *Zawisza Czarny*, poeta związał się z kobietą, która stała się w kilka lat później matką jego syna. Dziecko swe uwielbiał ślepo i bezkrytycznie, dał mu nazwisko Tetmajerów i otoczył je najczulszą opieką. Niestety, syn nie okazał się godnym tak wielkiej miłości. W pamiętniku znanego muzykologa Adolfa Chybińskiego (*W czasach Straussa i Tetmajera*, Kraków 1959) znajduje się długi ustęp poświęcony wspomnieniom wieloletniej znajomości z Tetmajerem. Oto fragment dotyczący syna poety:

„Późnym latem roku 1923, podczas ponownego pobytu w Zakopanem, pracowałem nad rozprawą o muzycznych instrumentach Podhala w Muzeum Tatrzańskim. Pewnego dnia wieczorem wracałem ze spaceru i na rogu ulicy Kościeliskiej i Kaszelewskiego spotkałem najniespodziewaniej Tetmajera, o którego pobycie w Zakopanem nie wiedziałem [...] Szedł, jak zwykle, krokiem powolnym, może bardziej powolnym niż dawniej, można by nawet powiedzieć: krokiem ciężkim. Od razu zorientowałem się, że musi być albo cierpiącym, albo mieć jakieś wielkie zmartwienie. Nic spodziewałem się jednak, że stanę się świadkiem zdarzeń, które do dzisiejszego dnia pozostawiły we mnie bardzo bolesne wspomnienia.

Miłym dla mnie było, że poeta pamiętał, iż pracując nad rozprawą o góralskich instrumentach muzycznych, że zapytał o stan pracy i że obiecał mi udzielić pewnych wskazówek i wiadomości o rzeczach mało już znanych. Słiśmy po przywitaniu w stronę Krupówek [...] Przyspieszyliśmy swe kroki i niebawem weszliśmy do hotelu Pod Giewontem. Tetmajer zajmował tam dwa małe pokoje na pierwszym piętrze [...] Z drugiego pokoju wyszedł jego syn, z którym mnie zapoznał mówiąc: «To cała moja pociecha.»

Przypatrzyłem się bliżej tej «pocieszce», gdy wniesiono światło do pokoju, w którym siedzieliśmy z Tetmajerem, tocząc rozmowę o muzyce góralskiej. Ta kilkusetletnia wówczas pociecha poety, której napisał jako czuły ojciec kilka pięknych wierszy, była ciemnym blondynkiem o już szorstkim głosie i bardzo niemiłym spojrzeniu spode łba. Miał oczy zdradzające złe instynkty. Nietrudno było w nich wyczytać niezadowolenie, że ojciec ma gościa. Za to ojciec spoglądał ku «pocieszce» z wielką tkliwością [...]

Rozmawialiśmy dalej o instrumentach góralskich. W pewnym momencie rzekł Tetmajer spoglądając na syna:

— Ja też mam taką małą basetkę, która zawsze gra jedną melodię: «Daj pieniądze, daj pieniądze, daj, daj, daj.»

To, co potem nastąpiło, było jednym z najprzykrzejszych zdarzeń, jakich byłem świadkiem. Usłyszałem bowiem wezwanie miłego synka, «aby ojciec milczał i nie mówił... głupstw». Zamiast słowa «milczał» użył synek zupełnie innych, tu nie dających się przytoczyć słów [...]

[...] Mimo zaproszenia Tetmajera, aby go odwiedzać, nie byłem w stanie pójść do niego, aby nie być świadkiem tego rodzaju incydentów. Opowiadano mi, że chłopak dopuszczał się różnych przestępstw, za które nie pociągano go do odpowiedzialności jedynie ze względu na osobę ojca. Nie sprawdzono nic z tego, co poeta wyraził w swym przepięknym wierszu pt. *Memu synkowi...* Sprawdzała się jedynie i stałe ojowska miłość poety [...] I sprawdzała się ona aż do zgonu syna. Opowiadano, że Tetmajer w jakimś zapamiętałym bólu po jego stracie nie chciał wydać zwłok syna..."

W ostatnich kilkunastu latach swego życia korzystał Tetmajer z bezpłatnej gościny w Hotelu Europejskim w Warszawie. Na domiar nieszczęść katarakta pozbawiła go, niemal zupełnie wzroku.

50-lecie jego pracy literackiej przypadło na rok 1937.

Pierwszej, ciężkiej zimy wojennej, w początkach stycznia 1940 r., znaleziono na ulicy na wpół zamarniętego starca. Po przewiezieniu go do szpitala Dzieciątka Jezus lekarze poznali w nim Kazimierza Tetmajera. Był nieprzytomny. Majaczył wierszami. Zmarł 18 stycznia.

## WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Władysław Stanisław Reymont, urodzony w r. 1867, był synem organisty wiejskiego nazwiskiem Rejment. Wychowanie jego ograniczyło się do kilku klas szkoły elementarnej i zakończonego wyzwoleńmi terminu u krawca, praktykę życiową natomiast miał w młodości bogatą i urozmaiconą: zbiegłszy z domu próbował najrozmaitszych zawodów. — od handlu po aktorstwo, i obracał się w najróżniejszych środowiskach — od paulinów jasnogórskich, u których rozpoczął nowicjat, po spirytystów niemieckich. Znakomity obserwator, spostrzeżenia swoje i doświadczenia tego okresu przetworzył później w twórczości literackiej. Osiadłszy pod Skierniewicami jako funkcjonariusz kolejowy bardzo niskiego szczebla, zaczął wysyłać do prasy warszawskiej i krakowskiej korespondencje i opowiadania. Debiutował w druku w r. 1893; wówczas też przeniósł się do Warszawy, gdzie początkowo klepał biedę. Pozycję w świecie literatury zapewnił mu reportaż literacki *Pielgrzymka do Jasnej Góry* (1895), a byt materialny — wysokie odszkodowanie za wypadek kolejowy w r. 1899. Odtąd poświęcił się wyłącznie pracy literackiej. Wyjeżdżał kilkakrotnie za granicę, po pierwszej wojnie światowej osiadł na wsi w Wielkopolsce. W r. 1924 otrzymał Nagrodę Nobla za *Chłopów* (1902—1909). Zmarł w r. 1925 w War-

szawie. Opublikował, prócz licznych nowel (m. in. zbiory *Spotkania, Na kra-  
wędzi, Pęknięty dzwon*), dłuższe opowiadania, jak *Lili, Sprawiedliwie*, oraz  
powieści: *Komediantka* (1896), z życia wędrownych trup aktorskich, powiązana  
fabularnie z *Fermentami* (1897), *Ziemia obiecana* (1899) — obraz środowiska  
fabrykantów łódzkich, trylogia historyczna *Rok 1794* (1918) i in.

### *Droga do „Komediantki”*

W warszawskim Cechu Mistrzów i Mistrzyń Krawieckich znajdowały się przed  
wojną dokumenty dotyczące rzemieślniczych początków kariery życiowej przyszłego  
laureata Nagrody Nobla. Przejrzał je i opisał Jan Lorentowicz w swej książce *Spoj-  
rzenie wstecz*. Z dokumentów tych wynika, że w okresie 1879—1883 Stanisław Rej-  
ment, urodzony 7 V 1867 r. we wsi Kobile Wielkie, pow. radomskiego, uczęsz-  
czał do Warszawskiej Szkoły Niedzielno-Rzemieślniczej i był w tym czasie termina-  
torem krawieckim. Naukę przerwał w klasie trzeciej i otrzymał na świadectwie nastę-  
pujące stopnie: z religii, języka rosyjskiego, arytmetyki i kaligrafii — dobre, z języka  
polskiego — celujące. Na podstawie tego świadectwa promowany został z termina-  
tora na czeladnika krawieckiego. 2 V 1883 krawiec Konstanty Jakimowicz zapisał  
Stanisława Rejmenta do cechu krawieckiego „na dokończenie nauki od dn. 2 maja do  
1 stycznia 1884 roku, tj. na dziewięć miesięcy [...] Po dziewięciu miesiącach, dn. 2 stycz-  
nia 1884 r., nastąpił akt wyzwolin siedemnastoletniego Stanisława Rejmenta na czel-  
adnika [...] Majster wyzwalaający, Konstanty Jakimowicz, w rubryce zapytaniem:  
«jaką na dowód uzdolnienia zrobił sztukę», czyli «jaką okazał kwalifikację do stopnia  
czeladniczego», kazał pomieścić podpisane własnoręcznie oświadczenie: «Okazał frak b.  
dobrze uszyty.»”

### *Na paryskim bruku*

Cyprian GODEBSKI (1835—1909) — rzeźbiarz polski zamieszkały stałe w Pa-  
ryżu, twórca m. in. pomnika Mickiewicza w Warszawie, Kopernika w Krakowie  
i posągu Moniuszki w katedrze warszawskiej.

Ignacy Jan PADEREWSKI (1860—1941) — światowej sławy pianista, kompozy-  
tor i polityk, niestrudzony propagator sprawy polskiej w świecie; wielu polskich arty-  
stów korzystało z jego pomocy materialnej.

Wspomniany przez Lorentowicza aktor charakterystyczny Jan SZYMBORSKI  
(1850—1909), który w latach 1866—1900 występował w zespołach prowincjonalnych,  
opowiadał o karierze teatralnej Reymonta (cyt. wg *Niepospolitych ludzi*):

„Mniej więcej w połowie sezonu zjawił się u naszego dyrektora jakiś mło-  
dzień, przedstawił się jako Urbański i prosił o debiut. Warunki fizyczne raczej  
nieprzychylnie: niewysokiego wzrostu, o nicnadzwyczajnym głosie i wzroku tak  
krótkiego, że bez szkieleń nic prawie nie widzi. Dyrekcja dała mu jednak debiut  
w *Barkoli* Gawalewicz. Wszedł na scenę nieprzytomny z tremy, a że grał



«amanta», więc grał bez okularów, co go do reszty ubezwładniało. Skończył scenę i, na pół ociemniały, zamiast ze sceny wyjść normalnymi drzwiami, otworzył stojącą obok szafę i wszedł do szafy. Utłuki oczywiście cały spektakl *Barkaroli*. Dyrektor zatrzymał go jednak w zespole. Był miły, koleżeński, lubiliśmy go. Twierdził, że jest synem obywatela ziemskiego z Lubelszczyzny. Po jakimś czasie zniknął nam z oczu. Po kilku latach, jadąc koleją warszawsko-wiedeńską, na stacji Baby czy Wolbórka ujrzałem go w czerwonej czapce kierownika ruchu. Ucieszony, wybiegłem z wagonu, dopadłem go:

— Jak się masz, Urbański! — krzyknąłem.

On się rozejrzał bystro, jakby chciał skontrolować, czy ktoś mnie nie słyszał — i, przygarniając mnie do siebie, szepnął mi do ucha:

— Nie jestem Urbański, nazywam się Rejment.”

### *Pacjent z krakowskiego sanatorium*

Reymont leczył się w pierwszej w Krakowie lecznicy prywatnej, założonej w r. 1883 przez Jana GWIAZDOMORSKIEGO, w r. 1889 przeniesionej do własnego gmachu. Dom Zdrowia dra Gwiazdomorskiego słynął ze znakomych warunków i troskliwej opieki.

Żalosa idylla aktoreczki trupy prowincjonalnej, obdarzonej czystością i głębią uczuć, jest tematem dłuższej noweli Reymonta *Lili* (1899), opartej, podobnie jak powieść *Ko-mediantka* (1896), na własnych obserwacjach autora z czasów jego „kariery” teatralnej.

PRZYBYSZEWSKI spędził lata 1889—1898 w Berlinie, gdzie wprawdzie wywalczył sobie poważne stanowisko w świecie literackim, ale gdzie też często przymierał głodem.

Stanisław SIEROSŁAWSKI (1877—1942) — dziennikarz krakowski i nowelista. znany z dowcipu konferansjer „Zielonego Balonika”, słynnego przed pierwszą wojną kabaretu literacko-artystycznego w Krakowie.

### *W świecie wyobraźni Reymonta*

Wymownym przykładem głębokiego przejmowania się autora *Chłopów* opisywanymi ludźmi i sytuacjami jest przytoczone w cytowanej książce następujące opowiadanie pani Reymontowej:

„Pierwszy tom *Chłopów* pisał Władek w Bretanii nad morzem. Gdy skończył opis wesela, nad którym niemal bez przerwy pracował kilka dni — po prostu padł bez sił na łóżko, tak doszczętnie wyczerpany, że, wystraszona, sprowadziłam natychmiast lekarza. Obejrzał, opukał, obadał i wreszcie zapytał:

— Co się z panem działo, że pan się doprowadził do tak groźnego stanu?

— Przez trzy doby bez przerwy tańczyłem oberka — odpowiedział pacjent.”

## STANISŁAW WYSPIAŃSKI

Stanisław Wyspiański urodził się w r. 1869 w Krakowie jako syn rzeźbiarza. Po ukończeniu gimnazjum studiował w latach 1887—1890 w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie był uczniem Matejki; w r. 1888 brał udział w pracach nad polichromią wnętrza kościoła Mariackiego. Rozpoczął też studia uniwersyteckie w zakresie historii, historii sztuki i literatury. Teatrem, głównym swoim umiłowaniem, interesował się od najwcześniejszych lat, również w czasie podróży zagranicznych, które dla pogłębienia studiów malarskich podejmował jako stypendysta kilkakrotnie w latach 1890—1894. Od r. 1896 pracował nad słynnymi witrażami i polichromią prezbiterium krakowskiego kościoła Franciszkanów. W r. 1897 debiutował w druku pierwszą redakcją *Legedy*, w 1898 na scenie — *Warszawianką*. Współpracował z „Życiem” krakowskim, a za redakcji Przybyszewskiego był kierownikiem artystycznym tego periodyku, podnosząc, po raz pierwszy w Polsce, szatę graficzną do rangi elementu współkształtującego oblicze czasopisma. W latach 1901—1903 wystawił na scenie krakowskiej *Wesele*, *Wyzwolenie*, *Protesilasa i Laodamię* oraz *Bolesława Śmiałego*. Z ważniejszych jego wydanych utworów wymienić należy poza wspomnianymi poemat *Kazimierz Wielki* (1900) i dramaty: *Klątwa* (1899), *Legion* (1900), *Akropolis* (1904), *Noc listopadowa* (1904), *Sędziowie* (1907). Związki Wyspiańskiego z teatrem nie ograniczały się do dramatopisarstwa: jego koncepcje inscenizacyjne, scenograficzne wywarły wielki wpływ na rozwój teatru polskiego, dokonując wyłomu w tradycyjnych konwencjach. Pełną realizację własnych postulatów w tej dziedzinie uniemożliwiło artyście fiasko starań o dyrekcję teatru w Krakowie w 1905 r. W r. 1906 Wyspiański został profesorem malarstwa dekoracyjnego i kościelnego w Akademii. Chory nieuleczalnie od r. 1898, zmarł w lecznicy krakowskiej 28 XI 1907 r.

*Kwiaty*

Adolf NOWACZYŃSKI (1876—1944) — dramaturg, satyryk, w latach międzywojennych publicysta narodowej demokracji; w okresie młodopolskiej cyganerii i Zielonego Balonika pełen temperamentu i złośliwego dowcipu uczestnik bojów z filisterią nieszczaństwa krakowskiego.

Atmosfera pracowni Wyspiańskiego kojarzy się Nowaczyńskiemu z postaciami Fra ANGELICO (1387—1455), włoskiego malarza religijnego wczesnego Odrodzenia, dominikanina, oraz św. Franciszka, zwanego Biedaczną (wł. Poverello) z Asyżu.

Eugène GRASSET (1841—1917) — znakomity rysownik francuski, pionier nowoczesnego kierunku w sztuce zdobniczej i dekoracyjnej. Z pracami jego zetknął się Wyspiański w czasie swych studiów w Paryżu i pod ich wpływem zajął się stylizacją motywów roślinnych.

W otoczeniu krakowskich artystów Wyspiański był jedynym abstynentem. Gdy go namawiano do picia i zapewniano, że alkohol podnosi fantazję, odpowiadał, iż fantazji mu nigdy nie brak, a po alkoholu boli go tylko głowa.

### *Nocne spacery*

Kawiarnia TURLIŃSKIEGO (naprzeciw Teatru Słowackiego w Krakowie) była ulubionym miejscem spotkań artystów Młodej Polski w latach 1897—1900. Salka w tej kawiarni nazwana przez artystów „Paonem” była, jak to żartobliwie określil Boy-Zeleński, prawdziwą „kuźnią intelektu”. W „Paonie” leżały pod ręką bloki z papierem rysunkowym, pastele i węgle. „Często nad ranem zaczynał tam robić swoje portrety Wyspiański.”

Henryk OPIEŃSKI (1870—1942) — kompozytor, dyrygent, muzykolog, miłośnik dawnej muzyki, autor monografii Chopina i francuskiej historii muzyki polskiej. Z Wyspiańskim zaprzyjaźnił się, podobnie jak Rydel, jeszcze na ławie szkolnej.

Lucjan RYDEL (1870—1918) — poeta, dramaturg i tłumacz, gruntownie wykształcony, syn profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Współczesna krytyka ceniła wysoko jego historyczną trylogię dramatyczną o Zygmuncie Augustcie i grywaną do tej pory baśń dramatyczną *Zaczarowane koło*. Autor m.in. opowiadania z dziejów greckich *Ferenike i Pejzidoros*, które wyprzedziło tematyką *Dysk olimpijski* Parandowskiego.

Prapremiera *Warszawianki*, pierwszej sztuki Wyspiańskiego, która ujrzała światło kinkietów, odbyła się 28 XI 1898 r. Rolę Marii grała Wanda SIEMASZKOWA (1867—1947), najwybitniejsza aktorka młodopolska, wielka tragiczka, której wrózono sławę Modrzejewskiej. Późniejsza Panna Młoda w premierowym przedstawieniu *Wesela*, zasłynęła jako znakomita odtwórczyni postaci kobiecych w dramatach Wyspiańskiego.

### *Suwerenny artysta*

Kierownikiem drukarni uniwersyteckiej był Bolesław ULANOWSKI (1860—1919) — historyk prawa, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Słowa Przybyszewskiego o Wyspiańskim: „zbyt był bogaty”, oznaczają, oczywiście, bogactwo duchowe. W znaczeniu materialnym nigdy, nawet w okresie już uznanej wielkości, nie doszedł do dobrobytu; nie przywiązywał zresztą do tych spraw żadnej wagi. Jedynym większym wydatkiem, na jaki mógł się zdobyć, było zakupienie gospodarstwa wiejskiego w Węgrzyczach, nie opodal Krakowa, ale nabył je dla dogodzenia upodobaniom żony, prostej chłopki, która, urodzona i wychowana na wsi, nie czuła się szczęśliwa w mieście.

### *Wszystko sam*

Tadeusz ŻUK-SKARSZEWSKI (1858—1933) — publicysta i powieściopisarz krakowski, współtwórca i jeden z konferansjerów Zielonego Balonika, współautor wystawianych tam szopek.

Pasję reformatorską Wyspiańskiego charakteryzują znakomicie dwie inne anegdoty, przytoczone przez Grzymałę-Siedleckiego (*Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*):

„Wakacje 1903 roku spędzałem na kuracji w Rymanowie. Pewnego dnia otrzymuję od Wyspiańskiego kartkę, w której mnie zawiadamia, iż z polecenia lekarza ma przebyć kilka tygodni w Rymanowie, a więc prosi o wynajęcie mu mieszkania. Rzecz jasna, natychmiast to zrobiłem, po czym wskazanego dnia pojechałem na stację (8 km od Zdroju) i przywiozłem go o godzinie, kiedy w restauracji Domu Zdrojowego siadano do obiadu. Spożyliśmy obiad, zaproponowałem krótki spacer. Stanęliśmy na werandzie, z której kilka szerokich schodów prowadziło do parku; z rzadka tylko wyższymi drzewami ozdobionego, a tuż za parkiem w górę ciągnący się las. Wyspiański przyjrzał się widokowi, po czym po 2—3 minutach zawyrokował: «Ten park trzeba by dokładnie zmienić.» Wyjął szkicownik i kilkudziesięciu rzutami ręki nakreślił nowe rozplanowanie drzew, klombów etc. Ani jeden świerk, ani jedna tuja, ani jeden krzew nie przepadły w jego planie, ale ani jedno nie zostało na swym miejscu.

Swojego czasu, gdy go wybrano do Rady Miejskiej miasta Krakowa, sprawowanie swego mandatu rozpoczął od tego, że na kilkudziesięciu kartonach wymalował projekty zmienionych uniformów dla służby miejskiej: pachółków magistrackich, woźnych, konduktorów tramwajowych, straży pożarnej itd. Złożył to prezydentowi miasta, po czym zrzekł się swego mandatu, wychodząc z założenia, że poza tym, co zdziałał, ważniejszych już dlań spraw w mieście być nie może...”

### *„Wesele”*

Józef KOTARBIŃSKI (1849—1928) — jedna z czołowych postaci teatru swojej epoki: aktor, reżyser, dyrektor i kierownik literacki scen krakowskiej i warszawskiej, krytyk teatralny i pamiętnikarz malujący środowisko teatralne. W latach 1877—1893 występował w teatrach warszawskich, po czym przeniósł się do Krakowa, gdzie w latach 1899—1905 był po Pawlikowskim dyrektorem teatru. Na stanowisku tym zasłużył się przede wszystkim wprowadzeniem do repertuaru dzieł wielkich romantyków, uważanych dotychczas za niesceniczne (m. in. wystawił *Dziady* w inscenizacji Wyspiańskiego), oraz wystawieniem dramatów Wyspiańskiego, m. in. *Wesela*. Jako aktor celował w rolach Szekspirowskich i w dramatach romantycznych.

Wernyhora z prapremiery *Wesela*, znakomity odtwórca Otella, Króla Lira, Wojewody w *Mazepie*, Franza Moora w *Zbójcach* Schillera i Chłopińskiego w *Warszawian-*

ce — Stanisław KNAKE-ZAWADZKI (1859—1930), rzeczywiście ani warunkami zewnętrznymi, ani rodzajem talentu nie pasował do roli Czepca.

Jan STANISŁAWSKI (1860—1906) — znakomity pejzażysta, profesor krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, artysta o wszechstronnych zainteresowaniach i niezmiernym autorytecie wśród młodzieży.

### *Córeczka*

Z domami dwóch znanych lekarzy krakowskich, PAREŃSKIEGO i NOWAKA, łączyły Wyspiańskiego przez całe życie węzły serdecznej przyjaźni. Zwłaszcza profesorowa Eliza Pareńska otaczała artystę zawsze życzliwą opieką; jej dwie córki — Marynę i Zosię (później żonę Tadeusza Boya-Żeleńskiego) uwiecznił Wyspiański w *Weselu*.

Po śmierci Wyspiańskiego Rada Miasta Krakowa objęła opiekę nad sierotami i spuścizną zmarłego, ustanawiając oficjalnym opiekunem masy spadkowej prezydenta miasta.

### *Malarstwo czy poezja?*

Oryginalna koncepcja inscenizacyjna *Cyda* nie miała charakteru realistycznego, akcja bowiem tragedii Corneille'a rozgrywa się w średniowieczu. „Hiszpańskość” zapewnić miały kostiumy wg portrecisty dworu madryckiego Diego de Silva y VELASQUEZA (1599—1660), ogólne ramy dekoracji narzucił Paolo VERONESE (1528—1588), wenecki malarz renesansowy, który odtwarzanym z upodobaniem uctwom biblijnym czy starożytnym nadawał koloryt własnej epoki.

Nad scenami dramatycznymi ZYGMUNT AUGUST pracował Wyspiański przed śmiercią; publikacji doczekały się dopiero w r. 1931.





## SPIS RZECZY

Przedmowa . . . . .	5
---------------------	---

### JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

<i>Poezja i proza</i> (Sabina Grzegorzewska) . . . . .	11
<i>Imieninowy obiad</i> (Fryderyk Skarbek) . . . . .	14
<i>W Ursynowie</i> (Juliusz Słowacki) . . . . .	17
<i>Na obczyźnie</i> (Ignacy Domeyko) . . . . .	19
<i>Chrzestny ojciec</i> (Maria Gorecka) . . . . .	22
<i>Polski przysmak</i> . . . . .	23

### ANTONI MALCZEWSKI

<i>„Piękny jak anioł”</i> (Teofil Januszewski?) . . . . .	27
<i>Romantyczna młodość</i> (Konstanty Gaszyński) . . . . .	27
<i>Na Mont-Blanc</i> . . . . .	30
<i>Sąsiedzka wizyta</i> (Franciszek Kowalski) . . . . .	34
<i>Próba ucieczki</i> (Henryka Błędowska) . . . . .	35
<i>Ostatni akt</i> (Franciszek Salezy Dmochowski) . . . . .	36

### ALEKSANDER FREDRO

<i>„Strach przestraszony”</i> . . . . .	41
<i>Szabla i pióro</i> (Ludwik Jabłonowski) . . . . .	46
<i>„Mąż i żona”</i> (Jan Aleksander Fredro) . . . . .	47
<i>Czwartkowe obiady</i> (Zygmunt Kaczkowski) . . . . .	47
<i>Pan Fredro</i> (Jerzy Leszczyński) . . . . .	50
<i>I tu, i tam</i> (Maria Szembekowa) . . . . .	53

### ADAM MICKIEWICZ

<i>Fierwsza książka</i> (Aleksander Mickiewicz) . . . . .	57
<i>Wśród filomatów i filaretów</i> (Ignacy Domeyko) . . . . .	57
<i>Kuracja serca</i> (Antoni Edward Odyniec) . . . . .	61
<i>Pierwsze aresztowania</i> (Stanisław Morawski) . . . . .	65
<i>W wileńskich więzieniach</i> (Edward Tomasz Massalski) . . . . .	67
<i>W celi Adama</i> (Ignacy Domeyko) . . . . .	70
<i>Rozmowa poetów</i> (Józef Przecławski) . . . . .	72



„Ulubiona powieść” (Bohdan Zaleski) . . . . .	73
Lekcje z ojcem (Maria Gorecka) . . . . .	80
O poezji (Teofil Lenartowicz) . . . . .	81

#### JULIUSZ SŁOWACKI

<i>Julek i jego dom rodzinny</i> (Antoni Edward Odyniec) . . . . .	85
<i>Pod polską banderą</i> (Teofil Januszewski) . . . . .	89
<i>W Szwajcarii</i> (Józefa Kościelska i Seweryna Duchńska) . . . . .	90
<i>Pierwszy słuchacz „Mazepy”</i> (Fryderyk Henryk Lewcstam) . . . . .	92
<i>Wiosna poznańska 1848 roku</i> (Julian Bukowiecki) . . . . .	95
<i>Wspólny nocleg</i> (Mieczysław Weryha-Darowski) . . . . .	100

#### ZYGMUNT KRASIŃSKI

<i>Portret dziecięcy</i> (Izabela Czartoryska) . . . . .	103
<i>Tragiczne przeżycie</i> (Andrzej Edward Koźmian) . . . . .	103
<i>Kartki z dziennika podróży</i> (Antoni Edward Odyniec) . . . . .	105
<i>Po rozstaniu z Kornelią</i> . . . . .	111
<i>Wieczory na Krakowskim Przedmieściu</i> (Henryk Olechnowicz Stecki) . . . . .	112

#### JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

<i>Nazwisko w poniewierce</i> (Antoni Marcinkowski) . . . . .	117
<i>Droga do serca</i> (Teodor Tomasz Jeż) . . . . .	117
<i>Kraszewski w Warszawie</i> (Paulina Wilkońska) . . . . .	121
<i>Rewanż</i> (Maurycy Karassowski) . . . . .	122
<i>W dreźnieńskiej pracowni</i> (Aleksander Bolesław Brzostowski) . . . . .	123
<i>W więzieniu</i> (Aleksander Bolesław Brzostowski) . . . . .	128

#### ELIZA ORZESZKOWA

<i>Kraj lat dziecinnych</i> . . . . .	133
<i>Debiut</i> (Henryk Galle) . . . . .	135
<i>Po pożarze Grodna</i> (Wiktor Gomulicki) . . . . .	137
<i>Z dawnych dni</i> (Zuzanna Rabska) . . . . .	138
<i>U pani Elizy</i> (Franciszek Godlewski) . . . . .	140

#### BOLESŁAW PRUS

<i>Głowacz</i> (Gustaw Doliński) . . . . .	151
<i>Wspomnienie z powstania styczniowego</i> (Miłosz Kotarbiński) . . . . .	153
<i>W redakcji „Kurier Warszawski”</i> (Aleksander Kraushar i Marian Gawalewicz) . . . . .	155

<i>Katastrofa</i> (Jan Lorentowicz) . . . . .	158
<i>W Nałęczowie</i> (Konrad Chmielewski) . . . . .	164
<i>Maszyna do pisania</i> (Jan Zgoda) . . . . .	166
<i>Spotkania z Prusem</i> (Ludwik Krzywicki) . . . . .	167

## HENRYK SIENKIEWICZ

<i>Reportaż z pożaru</i> (Tadeusz Czapelski) . . . . .	175
<i>Wyprawa za ocean</i> (Helena Modrzejewska) . . . . .	177
<i>Prototyp Zagłoby</i> (Edmund Zbigniew Brodowski) . . . . .	180
<i>Próba generalna</i> (Adam Breza) . . . . .	181
<i>Dar od Wołodyjowskiego</i> . . . . .	182
<i>Wyrok śmierci</i> (Eugenia Żmijewska) . . . . .	184
<i>W dniu powszednim</i> (Adam Grzymała-Siedlecki) . . . . .	185

## GABRIELA ZAPOLSKA

<i>Marzenia o sławie aktorskiej</i> (Jan Lorentowicz) . . . . .	191
<i>Parowanie ciosów</i> (Ludwik Solski) . . . . .	196
<i>Burzliwa audyencja</i> (Juliusz German) . . . . .	198

## JAN KASPROWICZ

<i>Z Szymborza w świat</i> (Zygmunt Wasilewski) . . . . .	205
<i>Rozbity dom</i> (Alfred Wysocki) . . . . .	208
<i>Wśród przyjaciół</i> (Zygmunt Wasilewski) . . . . .	211
<i>Sumienny profesor</i> (Michał Pawlikowski) . . . . .	213
<i>Harenda</i> (Maria Kasprowiczowa) . . . . .	214

## STEFAN ŻEROMSKI

<i>W bibliotece Zamoyskich</i> (Stanisław Stempowski i Helena Duninówna) . . . . .	221
<i>Chude lata</i> (Jan Lorentowicz) . . . . .	224
<i>Wśród strajkujących robotników</i> (Stefania Sempołowska) . . . . .	226
<i>Uczta</i> (Jan Lechoń) . . . . .	227
<i>Pierwsza nagroda państwowa</i> (Jan Lorentowicz) . . . . .	229
<i>Przed premierą „Przezióreczki”</i> (Maria Malanowicz-Niedzielska) . . . . .	230

## KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

<i>„Panicz ludźmiński”</i> (Adam Grzymała-Siedlecki) . . . . .	237
<i>Poeta z „Wesela”</i> (Ludwik Hieronim Morstin) . . . . .	240
<i>Tragedia Tetmajera</i> (Helena Duninówna) . . . . .	244

## WŁADYSŁAW ST. REYMONT

<i>Droga do „Komediantki”</i> (Adam Grzymała-Siedlecki) . . . . .	253
<i>Na paryskim bruku</i> (Jan Lorentowicz) . . . . .	254
<i>Pacjent z krakowskiego sanatorium</i> (Alfred Wysocki) . . . . .	258
<i>W świecie wyobraźni Reymonta</i> (Adam Grzymała-Siedlecki) . . . . .	260

## STANISŁAW WYSPIAŃSKI

<i>Portret artysty</i> (Adam Grzymała-Siedlecki) . . . . .	271
<i>Kwiaty</i> (Adolf Nowaczyński) . . . . .	273
<i>Nocne spacery</i> (Alfred Wysocki) . . . . .	273
<i>Swawolny artysta</i> (Stanisław Przybyszewski) . . . . .	277
<i>Wszystko sam</i> (Tadeusz Żuk-Skarszewski) . . . . .	279
<i>„Wesele”</i> (Józef Kotarbiński) . . . . .	280
<i>Córeczka</i> (Marian Krzyżanowski) . . . . .	281
<i>Malarstwo czy poezja?</i> (Adam Grzymała-Siedlecki) . . . . .	282

## KOMENTARZ

Julian Ursyn Niemcewicz . . . . .	287
Antoni Malczewski . . . . .	293
Aleksander Fredro . . . . .	297
Adam Mickiewicz . . . . .	303
Juliusz Słowacki . . . . .	310
Zygmunt Krasiński . . . . .	315
Józef Ignacy Kraszewski . . . . .	320
Eliza Orzeszkowa . . . . .	325
Bolesław Prus . . . . .	330
Henryk Sienkiewicz . . . . .	336
Gabriela Zapolska . . . . .	343
Jan Kasprówic . . . . .	347
Stefan Żeromski . . . . .	349
Kazimierz Przerwa-Tetmajer . . . . .	354
Władysław Stanisław Reymont . . . . .	358
Stanisław Wyspiański . . . . .	361

Teksty nie opatrzone informacją o autorze wyjęte są z listów lub wspomnień samych pisarzy. Tytuły fragmentów pochodzą od autorki opracowania.





Cena zł 48.—

1353

STOWARZYSZENIE  
BIBLIOTEKARZY  
POLSKICH  
WARSZAWA 1964

